POST CAPTAIN

Patrick O'Brian

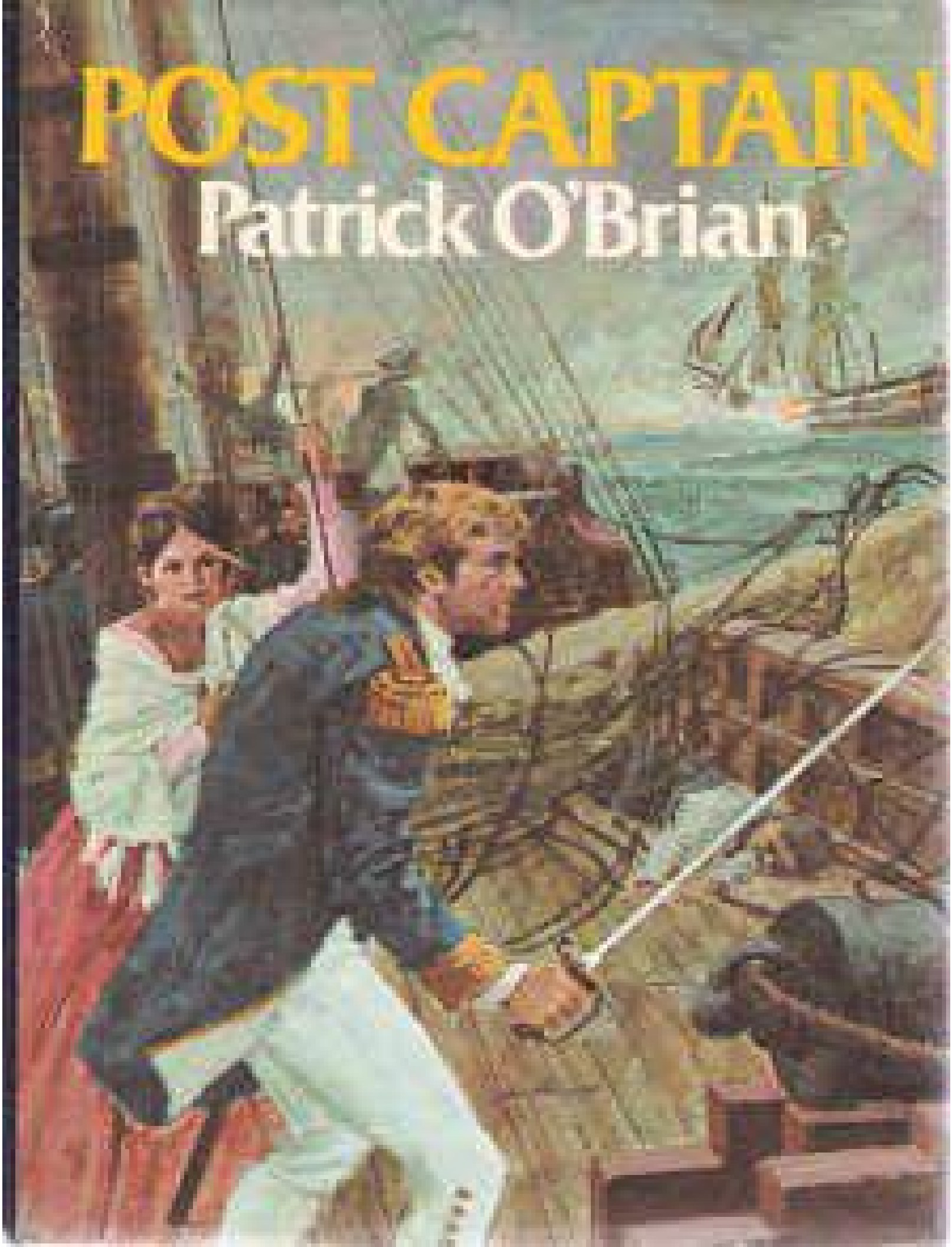

Patrick O'Brian

Kapitan

Tłumaczył Bernard Stępień

Tytuł oryginału *Past Captain*

Copyright © by Patrick 0'Brian, 1972

Kochanej Mary

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Strugi deszczu z sunących na wschód w poprzek kanału La Manche chmur przerzedziły się nieco o świcie, pozwalając dostrzec, że ścigana jednostka zmieniła kurs. Fregata „Charwell", płynąca w pogoni przez większą część nocy, pomimo mocno porośniętego dna rozwijała prędkość około siedmiu węzłów i odległość dzieląca oba żaglowce wynosiła obecnie niewiele ponad półtorej mili. Doganiany okręt powoli obracał się ku linii wiatru i na pokładzie „Charwell" zapanowała jeszcze głębsza niż dotąd cisza, gdyż oczom zgromadzonych na stanowiskach ludzi ukazała się burta z dwoma długimi rzędami furt działowych. Dopiero teraz, po raz pierwszy od chwili, gdy obserwator na maszcie zameldował o żaglach na horyzoncie, mieli okazję przyjrzeć się dokładnie nie znanej jednostce. Niemal cudem dostrzeżono ją wówczas w gęstniejącym mroku, o jeden rumb na lewo od kursu. Zmierzała na północny zachód i większość członków załogi „Charwell" uznała, iż musi to być statek z jakiegoś rozbitego francuskiego konwoju lub usiłujący przerwać blokadę Amerykanin, zamierzający przedrzeć się do Brestu pod osłoną bezksiężycowej nocy.

W dwie minuty po dostrzeżeniu potencjalnej zdobyczy na fregacie postawiono dodatkowo bramsle na foku i grotmaszcie. Nie była to imponująca powierzchnia płócien, lecz przecież okręt miał już za sobą długą i męczącą podróż z Indii Zachodnich: dziewięć tygodni z dala od lądu, sztormy w okresie równonocy, które do granic wytrzymałości targały nadwerężony takielunek, do tego jeszcze trzy dni sztormowania w najgorszym punkcie Zatoki Biskajskiej. Nic więc dziwnego, że kapitan Griffiths oszczędzał trochę swoją jednostkę. Mimo iż na masztach nie rozpięto piramidy żagli, fregata już po kilku godzinach znalazła się za rufą ściganego okrętu, a gdy zabrzmiały cztery szklanki porannej wachty, na pokładzie „Charwell" ogłoszono alarm bojowy. Na dźwięk bębna hamaki w błyskawicznym tempie powędrowały do siatek, tworząc ochronne nadburcia, odtoczono działa. Rozespani i wyrwani z ciepłych posłań odpoczywający marynarze stanęli przy armatach w strugach lodowatego deszczu — trwali tak już ponad godzinę, co wystarczyło, by przemarzli do szpiku kości.

W grobowej ciszy, jaka teraz zapadła, dał się słyszeć głos kogoś z obsługi dział na śródokręciu. Jakiś marynarz wyjaśniał sytuację swemu towarzyszowi, stojącemu obok małemu człowieczkowi z szeroko otwartymi oczami.

— To francuski dwupokładowiec, bracie. Siedemdziesiąt cztery lub osiemdziesiąt dział. Wpakowaliśmy się, bracie, w niezłą kabałę.

— Ciszej tam, do diabła! — zawołał kapitan Griffiths. — Panie Quarles, proszę zapisać nazwisko tego mądrali.

I wtedy morze znów znikło, przesłonięte strugami ulewnego deszczu. Teraz już jednak wszyscy na zatłoczonym pokładzie rufówki wiedzieli, co kryje się za tą szarą, gęstą kurtyną — francuski okręt liniowy z dwoma rzędami otwartych szeroko furt działowych. Zauważono też delikatną zmianę ustawienia jednej rei, oznaczającą, iż liniowiec zamierza wystawić na wiatr fokżagiel, stanąć w dryfie i zaczekać na fregatę.

Uzbrojenie „Charwell" stanowiły trzydzieści dwie dwunastofuntowe armaty. Gdyby udało się zbliżyć do przeciwnika na tyle, by oprócz dalekosiężnych dział mogły zostać również użyte krótkolufowe karonady, umieszczone na forkasztelu i na rufie, łączna waga metalu wyrzucanego przy pełnej salwie burtowej wyniosłaby dwieście trzydzieści osiem funtów. Francuski okręt liniowy był tymczasem w stanie wystrzelić pociski o łącznej wadze dziewięciuset sześćdziesięciu funtów. Dysproporcja sił była w tej sytuacji bardziej niż oczywista i ewentualna ucieczka z wiatrem nie przyniosłaby tutaj nikomu wstydu, gdyby nie fakt, że gdzieś z tyłu, za szarą zasłoną, znajdowało się wsparcie — potężna, uzbrojona w trzydzieści osiem osiemnastofuntowych dział fregata „Dee". W czasie ostatniego sztormu straciła co prawda stengę grotmasztu i poruszała się teraz nieco wolniej, lecz oba okręty pozostawały wcześniej w zasięgu wzroku, i z pokładu „Dee" odpowiedziano na sygnał kapitana Griffithsa o podjęciu pościgu. Dowódca „Charwell" był przecież w tym zespole najstarszym kapitanem. Okręt liniowy nadal niestety miałby znaczną przewagę ognia nad dwiema fregatami, lecz bez wątpienia mógłby zostać pokonany. Na pewno spróbowałby ostrzeliwać salwami burtowymi jedną z fregat, dotkliwie ją przy tym kalecząc, lecz w tym samym czasie druga jednostka mogłaby zająć pozycję przed dziobem lub za rufą liniowca, by niemal bezkarnie razić go morderczym ogniem wzdłuż pokładów. Coś takiego byłoby możliwe, a podobne przypadki już się wcześniej zdarzały. Na przykład w 1797 roku „Indefatigable" i „Amazon" zniszczyły francuski okręt uzbrojony w siedemdziesiąt cztery działa. „Indefatigable" i „Amazon" dysponowały jednak wtedy razem osiemdziesięcioma dalekosiężnymi armatami, a „Droits de l'Homme" nie mógł otworzyć furt na najniższym pokładzie — morze było zbyt wzburzone. Dzisiaj fala jest niezbyt wysoka i aby stawić czoło napotkanemu okrętowi, brytyjska fregata musiałaby odciąć mu drogę do Brestu i walczyć — kto wie, jak długo?

— Panie... Panie Howell... Proszę wejść z lunetą na maszt i sprawdzić, czy uda się panu dostrzec gdzieś „Dee" — polecił kapitan Griffiths.

Nim skończył mówić, długonogi podchorąży był już w połowie drogi na top stermasztu i głośne: „Tak jest, sir!" doleciało na pokład z wysoka, wraz ze strugami zacinającego deszczu. Nadszedł szczególnie gwałtowny szkwał i przez moment zgromadzeni na rufie ludzie z trudem dostrzegali przez szarą ulewę słabe zarysy forkasztelu. Ze szpigatów płynęły rwące strumienie wody. Nagle deszcz ucichł, świat pojaśniał niespodziewanie i z masztu rozległo się wołanie:

— Na pokładzie! Sir, widzę ich na zawietrznym trawersie. Naprawili prowizorycznie...

— Zamelduje pan o tym na dole — odpowiedział kapitan donośnym, bezbarwnym głosem. — Niech zgłosi się do mnie pan Barr.

Trzeci porucznik biegiem ruszył ze swego stanowiska na rufę. Gdy wbiegał na górę, wiatr poderwał połę jego przemoczonego płaszcza i oficer konwulsyjnym gestem przycisnął ociekający wodą materiał, sięgając równocześnie drugą ręką do kapelusza.

— Proszę zdjąć ten kapelusz! — zawołał kapitan Griffiths, a jego twarz nagle poczerwieniała. — Proszę go natychmiast zdjąć. Wszyscy panowie zaznajomili się z rozkazem wydanym przez lorda St Vincenta i wiedzą, w jaki sposób należy prawidłowo oddawać honory... — Dowódca okrętu urwał nagle i odezwał się ponownie dopiero po krótkiej chwili. — Kiedy zmienia się pływ?

— Proszę o wybaczenie, sir — powiedział ostrożnie Barr. — Dziesięć minut po ósmej. Już niedługo skończy się przesilenie pływu.

Kapitan chrząknął i zwrócił się w stronę podchorążego.

— Panie Howell?

— Na „Dee" naprawili prowizorycznie stengę grotmasztu, sir — pośpiesznie zameldował młody człowiek. Stał z odkrytą głową, wysoki, o wiele wyższy od swego przełożonego. — Właśnie zmienili kurs. Płyną teraz ostro na wiatr.

Dowódca skierował swą lunetę w stronę „Dee". Bramsle drugiej fregaty były teraz wyraźnie widoczne nad postrzępionym horyzontem. Chwilami pojawiały się też marsle, gdy oba okręty płynęły równocześnie w górę na fali. Kapitan starannie wytarł ociekający wodą obiektyw, jeszcze raz spojrzał na „Dee", potem obrócił się, by popatrzeć na Francuza. Złożył w końcu teleskop i wpatrywał się teraz w odległą fregatę. Stał samotny, oparty o reling, na kapitańskim pokładzie na prawej burcie rufówki. Zgromadzeni po przeciwnej stronie oficerowie spoglądali zamyśleni to na Francuza, to na „Dee", to na plecy dowódcy.

Sytuacja wciąż była niepewna. Wszystko na razie należało rozpatrywać jako szereg ewentualności. Jakakolwiek jednak decyzja podjęta teraz w sposób jednoznaczny wpłynie na dalszy przebieg wydarzeń. Z tą chwilą wypadki zaczną następować jeden po drugim, z początku powoli, później coraz szybciej, a ewentualne ich skutki nigdy już nie będą mogły zostać cofnięte. Należało jednak tak postąpić, i to szybko, gdyż przy obecnej prędkości i kursie, „Charwell" w ciągu dziesięciu minut znajdzie się w zasięgu dział dwupokładowca. Wciąż jednak pozostawało zbyt wiele możliwych do uwzględnienia czynników... Druga fregata, „Dee", nie żeglowała najlepiej na wiatr. Powstrzyma ją także na pewno zmieniający się pływ — prąd popłynie prostopadle do jej kursu i kto wie, czy nie okaże się konieczny dodatkowy hals. Pół godziny mogło wystarczyć, by trzydziestosześciofuntowe działa Francuza wypruły z „Charwell" wnętrzności i pozbawiły ją masztów. Potem pozostawało tylko odprowadzić zdobytą fregatę do Brestu. Wiatr wiał akurat w tamtym kierunku. Dlaczego nie widać żadnego z okrętów blokady? To niemożliwe, by wszystkie zostały zepchnięte ze swoich pozycji. Nie wiało przecież aż tak mocno. Wszystko to było bardzo dziwne. Wszystko, zaczynając od dziwnego zachowania francuskiego liniowca. Odgłos dział powinien przyciągnąć tutaj okręty blokującej eskadry... Może uda się grać na zwłokę...

Kapitan Griffiths czuł na sobie spojrzenia wielu par oczu i ta świadomość napełniała go wściekłością. Obserwowało go wyjątkowo dużo ludzi, gdyż na pokładzie znajdowało się kilku

oficerów i cywilów, którzy zaokrętowali jako pasażerowie — część w Gibraltarze, pozostali zaś w Port of Spain. Byli wśród nich: otrzaskany z ogniem w wielu bitwach generał Paget, bardzo wpływowy człowiek, oraz kapitan Aubrey. Tak. Szczęściarz Aubrey, który nie tak dawno z powodzeniem zaatakował uzbrojonym w czternaście dział brygiem „Sophie" hiszpańską fregatę „Cacafuego", zaopatrzoną w trzydzieści sześć armat. Kilka miesięcy temu o niczym innym nie rozmawiano we flocie i ewentualna decyzja stawała się w tej sytuacji jeszcze trudniejsza.

Kapitan Jack Aubrey stał przy ostatniej od rufy karonadzie na lewej burcie, a jego twarz nie zdradzała jakichkolwiek emocji. Dzięki swemu wysokiemu wzrostowi, z miejsca, w którym się znajdował, miał doskonały obraz całej sytuacji i widział oba szybko przesuwające się okręty, które razem z „Charwell" wyznaczały wierzchołki gigantycznego trójkąta. Tuż obok Jacka znajdowały się dwie nieco niższe postacie: doktor Maturin, były lekarz okrętowy na brygu „Sophie" oraz jakiś mężczyzna w czarnym ubraniu, w czarnym kapeluszu i długim czarnym płaszczu. Na wąskim czole tego człowieka bez wahania można było napisać słowa: „agent wywiadu" lub krócej: „szpieg" — z powodu braku miejsca. Obaj panowie rozmawiali w dziwnym języku, który kilku słuchaczom wydawał się łaciną. Dyskutowali z wyraźnym ożywieniem i Aubrey pochylił się w ich stronę, przechwyciwszy rozwścieczone spojrzenie z przeciwległej strony pokładu.

— Stephen, czy nie powinieneś czasem już zejść na dół? — wyszeptał wprost do ucha swego przyjaciela. — Za chwilę możesz być potrzebny w kokpicie.

Kapitan Griffiths odwrócił się od relingu i wyraźnie siląc się na spokój, powiedział:

— Panie Berry, proszę podnieść sygnał. Zamierzam...

W tym momencie na okręcie liniowym odezwało się działo i natychmiast z sykiem wystrzeliły w niebo cztery błękitne race, które płonęły przez chwilę wysoko bladym płomieniem, w coraz jaśniejszym świetle poranka. Zanim jeszcze ostatni, opadający powoli snop iskier uleciał z wiatrem, w górę wzbiły się jedna po drugiej kolejne rakiety. Wyglądało to jak jakiś dziwny pokaz sztucznych ogni, urządzony daleko na pełnym morzu.

„O co im do diabła chodzi ?" — pomyślał Jack Aubrey, przymrużając oczy. Na fregacie odezwał się szmer zdumionych głosów. Wszyscy członkowie załogi byli wyraźnie zaskoczeni niezwykłym widowiskiem.

— Na pokładzie! — zawołał obserwator z fokmasztu. — Na ich zawietrznej pojawił się jakiś kuter!

Dowódca „Charwell" natychmiast skierował w tę stronę swoją lunetę.

— Podebrać wyżej dolne żagle — zawołał szybko. Gdy podniesione na gejtawach płótno grot i fokżagla przestało zasłaniać liniowiec, kapitan Griffiths ujrzał kuter, wyraźnie angielski, który podciągnął właśnie w górę reję i powoli nabierając prędkości, kierował się w stronę fregaty. — Niech podejdą do naszej burty. Panie Bowes, proszę wystrzelić z działa przed ich dziób — polecił kapitan zdecydowanym głosem.

Nareszcie, po tylu godzinach oczekiwania na chłodzie, padły szybkie rozkazy. Starannie wycelowano

dwunastofuntowe działo, rozległ się huk wystrzału, obłok gryzącego dymu wirował przez chwilę unoszony wiatrem. Kula przeleciała przed dziobem nadpływającego stateczka i na pokładzie „Charwell" rozległ się gromki okrzyk radości. Odpowiedzią był podobny okrzyk z kutra, zamachały uniesione wysoko kapelusze. Obie jednostki zbliżyły się do siebie z wypadkową prędkością prawie piętnastu węzłów.

Kuter był szybki i bardzo dobrze prowadzony — z pewnością statek przemytniczy. Podszedł blisko zawietrznej burty „Charwell", wytracił prędkość i stał teraz, kołysząc się na fali, elegancki jak mewa. Ogorzałe, uśmiechnięte twarze spoglądały z jego pokładu w górę, na lufy dział fregaty.

„Już w następnej minucie wcieliłbym spośród nich siłą do służby z pół tuzina doskonałych marynarzy" — pomyślał Jack, a kapitan Griffiths wywołał tymczasem dowódcę kutra.

— Zapraszam na pokład — zaproponował ostrożnie. Na stateczku zapanowało małe zamieszanie. Manewrowano żaglem, wystawiano odbijacze, posypały się przekleństwa. Po chwili kapitan kutra ze sporym pakunkiem pod pachą wspiął się po stopniach na rufę fregaty. Sprawnie przeskoczył przez reling i wyciągnął w stronę kapitana Gnffithsa dłoń na powitanie.

— Życzę panu wszystkiego najlepszego z okazji zakończenia wojny — powiedział wesoło.

— Koniec wojny? Pokój? — zawołał zdumiony Griffiths.

— Tak, sir. Wiedziałem, że zaskoczy pana ta nowina. Traktat pokojowy został podpisany przed zaledwie trzema dniami. Na okrętach w morzu nikomu nic jeszcze o tym nie wiadomo. Mój kuter jest wypełniony gazetami: londyńskimi, paryskimi i lokalnymi. Mnóstwo artykułów, najświeższe wiadomości... — dodał gość, rozglądając się dookoła rufówki. — Pół korony za egzemplarz...

Nikt nie wątpił w prawdziwość wypowiedzianych przed chwilą słów, lecz twarze zgromadzonych na rufie oficerów nie zdradzały żadnych emocji. Szeptana wiadomość pobiegła jednak po pokładzie, a pośród promieniujących radością załóg karonad i na forkasztelu odezwały się nagle wiwaty. Kapitan jak zwykle polecił, by pan Quarles zapisał nazwiska ludzi naruszających dyscyplinę, lecz nikt nie zwracał na to specjalnej uwagi. Wesołe okrzyki pomknęły w stronę rufy i rozlegały się już teraz na całym okręcie. Ludzie wrzeszczeli jak opętani, szczęśliwi wobec wizji zakończenia służby, wolności, powrotu do żon i kochanek, bezpieczeństwa, rozkoszy życia na lądzie.

Groźby kapitana Griffithsa nie brzmiały zresztą zbyt poważnie. Ktoś, komu udałoby się w tym momencie zajrzeć głęboko w oczy dowódcy fregaty, dojrzałby w nich coś bliskiego ekstazie. Pokój oznaczał co prawda utratę pracy — wszystko rozwiało się w jednej chwili jak obłoczek dymu — lecz równocześnie nikt już nigdy nie dowie się. jaki to sygnał miał zostać przed chwilą wysłany. Pomimo pozornie surowej twarzy kapitan był wyjątkowo uprzejmy, gdy prosił pasażerów, pierwszego porucznika, oficera i podchorążego z wachty, by wszyscy zechcieli wspólnie z nim zjeść dzisiejszy obiad.

— To wspaniałe widzieć, jak rozsądni potrafią być ludzie. Jak umieją docenić dobrodziejstwa pokoju — Stephen Maturin zagadnął grzecznie pastora Hake'a.

— Tak, oczywiście. Błogosławiony pokój... — odparł duchowny. Kapelan nie miał na lądzie żadnego majątku ani stałego źródła utrzymania, nie miał też zgromadzonych oszczędności. Wiedział za to doskonale, iż cała załoga „Charweł" zostanie zwolniona do domów, gdy tylko okręt zacumuje w Portsmouth. Po słowach doktora demonstracyjnie wyszedł z mesy oficerskiej. Chodził teraz tam i z powrotem po pokładzie, zamyślony i milczący. Maturin i Aubrey zostali sami.

— Wydaje mi się, że powinien okazać więcej zadowolenia — zauważył Stephen.

— Nigdy chyba nie przestaniesz mnie zadziwiać. — Jack spojrzał z czułością na swego przyjaciela. — Spędziłeś przecież na morzu już tyle czasu, nikt też nie miałby prawa nazwać cię głupcem. O niektórych morskich sprawach wiesz jednak mniej niż dziecko. Musiałeś chyba zauważyć, jak ponurzy byli przy obiedzie Quarles, Rodgers i inni? Jak posępni stawali się wszyscy podczas tej wojny, gdy tylko pojawiało się niebezpieczeństwo zawarcia pokoju?

— Pomyślałem, że to skutek nie przespanej nocy, ciągłego napięcia. Ta pogoń była bardzo męcząca. Nie wspomnę tu o poczuciu zagrożenia dziś rano. Kapitan Griffiths był jednak w doskonałym humorze.

— Och... — powiedział Jack, przymrużając oko. — W jego przypadku sprawy wyglądają zupełnie inaczej. Jest przecież pełnym kapitanem. Codziennie zarabia swoje dziesięć szylingów i niezależnie od okoliczności pnie się coraz wyżej na liście kapitanów, w miarę jak ci przed nim umierają lub zostają awansowani. Jest już raczej stary, jeśli wolno mi tak powiedzieć, ma czterdzieści lat, a może więcej... Przy odrobinie szczęścia ma jednak wciąż szansę umrzeć jako admirał. Nie, nie martwię się tutaj o niego, lecz o innych: o poruczników, z ich głodową pensją i minimalnymi szansami na objęcie samodzielnego dowództwa; o nieszczęsnych podchorążych, którzy nie uzyskali dotąd promocji i nigdy już teraz jej nie uzyskają. Nie ma przecież w tej chwili nadziei, by udało im się zaokrętować. W ich przypadku nie ma też mowy o jakimkolwiek wynagrodzeniu. Mogą tylko ewentualnie zaciągnąć się na statki handlowe lub... zostać pucybutami przy bramie St James's Park. Słyszałeś na pewno kiedyś tę starą piosenkę? Przypomnę ci kawałek. — Aubrey zanucił fragment zwrotki i po chwili zaczął śpiewać półgłosem:

Jack woła: „Dobre wieści: milkną działa, pokój, puszczą nas do domu — pięknie ".

Rzekł admirał: „Złe nowiny"; kapitan woła: „Me serce pewnie zaraz pęknie!"

Porucznik rozpacza: „Co począć? Przed trudnym stanąłem wyborem ".

Doktor na to: „Ja nie zginę — gdzieś na wsi zostanę znachorem ".

— Cha, cha, to dla ciebie, Stephen, cha, cha, słuchaj dalej...

Podchorąży powiada: „Bez zawodu, kim teraz ja biedny zostanę.

Pójdę pewnie czyścić buty, tam pod St James's Park bramę.

I tam będę czekał, dnie całe, służyć gotów na każde wołanie.

A byle przechodzień, gdy zechce, mym panem się stanie... "

Pan Quarles zajrzał do mesy, rozpoznał piosenkę i gwałtownie nabrał powietrza do płuc. Jack Aubrey był tutaj jednak przecież gościem, wyższym rangą oficerem — dowódcą okrętu, z epoletem na ramieniu — no i do tego jeszcze barczystym, dobrze zbudowanym mężczyzną. Quarles westchnął więc tylko głośno i zamknął za sobą drzwi.

— Powinienem śpiewać trochę ciszej. — Jack skarcił sam siebie, przysunął swoje krzesło do stołu i zniżając głos, mówił dalej. — Tak... Najbardziej szkoda mi tych chłopaków, choć sam też nie mam przecież powodów do zadowolenia. Skończyły się nadzieje na jakikolwiek okręt. Nie będzie zresztą nieprzyjaciela, z którym ewentualnie można by walczyć, gdybym nawet jakimś cudem objął kolejne dowództwo. To jednak nic w porównaniu z sytuacją, w jakiej znaleźli się inni. Mieliśmy szczęście do wojennych zdobyczy i gdyby nie mój odwlekający się awans na kapitana, z zadowoleniem przyjąłbym perspektywę spędzenia paru miesięcy na lądzie: polowania, okazja, by posłuchać dobrej muzyki, opera... Moglibyśmy nawet wybrać się do Wiednia. Co na to powiesz? Muszę jednak przyznać, że nie uśmiechają mi się dalekie lądowe podróże. Tak... Nie mogę się porównywać z innymi. Najlepiej będzie zatroszczyć się o przyszłość już teraz. Myślę, że nie będzie z tym większego kłopotu. — Aubrey wziął do ręki „The Times", potem szybko przejrzał egzemplarz „The London Gazette", w nadziei, iż może teraz, czytając już po raz czwarty, zauważy jednak swoje nazwisko. — Podaj mi, proszę, tę gazetę z półki... — poprosił, odkładając na bok nie dokończona lekturę. — Chodzi mi o „The Sussex Courier"...

— Czegoś takiego szukałem — stwierdził pięć minut później. — „Psy Pana Savile'a czekają o dziesiątej w środę szóstego listopada 1802 roku, w pobliżu Champflower Cross..." Jako chłopiec przeżyłem kiedyś z tą sforą wspaniałe polowanie, regiment mojego ojca obozował wtedy w Rainslord. Co za wspaniała okolica. Dużo otwartej przestrzeni. Oczywiście pod warunkiem, że ma się odpowiedniego konia. Posłuchaj teraz tego: „Elegancka rezydencja dla panów, do wynajęcia na rok za umiarkowaną cenę". Piszą tutaj, że może tam mieszkać aż dziesięć osób.

— W oddzielnych pokojach?

— Oczywiście. Nie można przecież nazwać elegancką rezydencją domu, w którym nie ma wystarczającej liczby pokoi. Znów mnie zadziwiasz, Stephen. Na pewno jest dziesięć oddzielnych sypialni. To mogłoby być nawet ciekawe; dom, w takiej okolicy, niezbyt daleko od morza.

— Nie myślałeś o wyjeździe do Woolhampton, do ojca?

— Tak... Myślałem. Zamierzam złożyć mu wizytę. Cały problem w tym, że mieszka tam z nim teraz moja nowa macocha, wspominałem ci przecież... Jeśli mam być szczery, to niezbyt mi odpowiada taka sytuacja. — Przyjaciel Stephena urwał, próbując przypomnieć sobie nazwiska sławnego człowieka ze starożytności, któremu też tak wiele kłopotów sprawiło ponowne małżeństwo ojca. Generał Aubrey całkiem niedawno ożenił się ze zwykłą mleczarką, piękną czarnooką kobietą o wilgotnych dłoniach, dobrze znaną Jackowi. Jak się ten starożytny ktoś nazywał? Akteon, Ajaks, Arystydes? W każdym razie chodziło o bardzo podobną sytuację i wymienienie tutaj odpowiedniej osoby subtelnie wyjaśniłoby zaistniałe okoliczności. Pomimo wysiłków Jack nie zdołał jednak przypomnieć sobie, o kogo tutaj dokładnie chodziło i po dłuższej chwili znów zajął się

przeglądaniem ogłoszeń. — Dobrze byłoby ulokować się gdzieś blisko Rainslord. Trzy lub cztery niezłe sfory w okolicy, do Londynu tylko dzień drogi, a do wynajęcia prawie tuzin eleganckich rezydencji dla dżentelmenów. Może zamieszkasz tam ze mną, Stephen? Weźmiemy Bondena, Killicka, Lewisa, może jeszcze kogoś ze starej załogi „Sophie", zaprosimy też do nas podchorążych. Będziemy pili piwo, grali w kręgle... Prawdziwy raj!

— Bardzo mi to odpowiada — Maturin odpowiedział z uśmiechem. — W tamtej okolicy są wapienne gleby, a w zagłębieniach terenu znaleźć można ciekawe rośliny i chrząszcze. Tak chciałbym znaleźć się nad którymś z tamtejszych jeziorek...

Polcary Down. Stalowoszare niebo i chłodny oddech północnego wiatru wiejącego ponad rozlewiskami, połaciami zaoranej ziemi, aż do rozległego, porośniętego trawą wzgórza. Daleko, na najniższej krawędzi tego pustkowia, rozciągały się zarośla, nazywane Rumbold's Gorse. W ich pobliżu kręciło się kilka postaci w czerwonych kurtkach, a poniżej, pośrodku zbocza, stał nieruchomo zaprzęg ciągnących pług wołów. Oracz skończył właśnie kolejną skibę i patrzył teraz pod górę, na psy pana Savile'a. przedzierające się przez krzewy janowca i zwiędnięte paprocie.

Sfora posuwała się powoli, niepewnie, trop miejscami zanikał i jadący konno myśliwi mieli wystarczająco dużo czasu na popijanie z piersiówek, chuchanie w dłonie i rozglądanie się po okolicy. Spoglądali więc od czasu do czasu na wijącą się w dole wśród szachownicy pól rzekę, na wieże Hither, Middle, Nether i Savile Champflower, na dachy sześciu lub siedmiu dużych domów rozrzuconych w dolinie. W oddali widniały wierzchołki przypominających grzbiety wielorybów wzgórz, a za nimi można było dostrzec ciemne, ołowianoszare morze.

Nie był to zbyt rozległy teren łowiecki i prawie wszyscy doskonale się tutaj znali: pół tuzina farmerów, kilku dżentelmenów z Champflowers i okolicznych parafii, dwóch oficerów z mocno zdziesiątkowanego obozu w Rainsford, pan Burton, który pojawił się dzisiaj pomimo przeziębienia i kataru w nadziei, iż uda mu się choć spojrzeć na pannę St John. I wreszcie doktor Vining, z kapeluszem przypiętym do peruki i dodatkowo przyciśniętym do głowy przewiązaną pod brodą chustką. Doktor zbyt szybko zapomniał tego ranka o swych pacjentach, skuszony odgłosem rogu. i gdy psy po raz kolejny zgubiły ślad, zaczął niespokojnie wiercić się w siodle, dręczony wyrzutami sumienia. Raz po raz spoglądał w kierunku Mapes Court, gdzie czekała na niego pani Williams. „Nic jej nie jest" — pomyślał. „I tak jej nie pomogę, lecz dla przyzwoitości powinienem tam zajrzeć. Zaraz do niej pojadę... jeśli oczywiście zdołam doliczyć do stu, zanim psy znów podejmą trop".

Doktor chwycił się za przegub, wyczuł puls i zaczął liczyć. Gdy doszedł do dziewięćdziesięciu, przerwał na moment, rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu jakiejś wymówki i na odległym skraju zarośli ujrzał nieznajomą postać. „To na pewno ten medyk, o którym mi wspominano" — powiedział do siebie. „Wypada podjechać bliżej i zamienić z nim dwa słowa. Wygląda na dziwaka. Niech mnie kule biją... Naprawdę..."

„Dziwak" siedział na mule, co na polowaniu było widokiem raczej niespotykanym. Niezależnie zresztą od tego, w całej postaci owego człowieka było coś niezwykłego — ciemnoszare, przyciasne ubranie, blada twarz i wyblakłe oczy, wreszcie biała, krótko ostrzyżona głowa (peruka i kapelusz były przytroczone do siodła), a nawet sposób, w jaki ten zagadkowy jeździec zjadał kromkę natartego czosnkiem chleba. Nieznajomy mówił coś właśnie do swego towarzysza, w którym doktor Vining

rozpoznał nowego dzierżawcę Melbury Lodge.

— Powiem ci, co to jest, Jack! — Rozprawiający głośno mężczyzna był czymś wyraźnie podekscytowany. — Powiem ci...

— Hej, proszę pana! Tak, mówię do pana jadącego na mule...! — stary pan Savile krzyknął wściekłym głosem. —Czy pozwoli pan psom wykonać ich robotę? Co to ma znaczyć? Co to za rozmowy? Czy pan myśli, że to kawiarnia albo jakiś cholerny klub dyskusyjny?

Kapitan Aubrey przygryzł wargi ze skruchą, popędził konia i szybko pokonał dwadzieścia jardów dzielących go od jadącego na mule towarzysza.

— Powiesz mi to później, Stephen — powiedział cicho, odciągając Maturina na drugą stronę zarośli, tak by zeszli z oczu prowadzącemu polowanie. — Powiesz mi później, gdy wreszcie znajdą tego swojego lisa.

Skrucha nie bardzo pasowała do twarzy Jacka, czerwonej przy tej pogodzie jak jego kurtka, i gdy tylko zniknęli za targanymi wiatrem kolczastymi krzewami, oblicze kapitana natychmiast się rozpogodziło. Z nadzieją spojrzał w gęstwinę janowca, skąd co jakiś czas słychać było węszące wytrwale psy.

— Szukają lisa, prawda? — zagadnął Stephen, tak jakby w Anglii zwykło się w ten sposób polować raczej na hipopotamy. Nie doczekawszy się odpowiedzi, podjął swe przerwane zajęcie i znów podniósł do ust trzymany w ręce kawałek chleba.

Wiatr wiał pod górę, wzdłuż łagodnego zbocza, po niebie cierpliwie żeglowały wiszące wysoko chmury. Koń Jacka od czasu do czasu podnosił uszy. Był to nowy nabytek, wielkie, silne zwierzę, w sam raz, by unieść ważącego dwieście dwadzieścia funtów jeźdźca. Rumak ów nie przejmował się jednak zbytnio polowaniami i podobnie jak niektóre inne wałachy, większość czasu rozmyślał o tym, co bezpowrotnie przyszło mu utracić. Gdyby udało się zapisać słowami myśli, jakie kolejno pojawiały się w głowie gniadosza, wyglądałyby one mniej więcej tak: „Za ciężki... Siedzi za bardzo z przodu, gdy przeskakujemy ogrodzenie... Jak na jeden dzień, dosyć już się nadźwigałem... Chętnie już teraz zrzuciłbym ten przeklęty ciężar, ale poczułem właśnie klacz... Klacz! Och!" Nozdrza konia rozszerzyły się, wierzchowiec parsknął i zaczął przebierać w miejscu nogami.

Jack rozejrzał się dookoła i ujrzał, iż w kierunku zarośli nadjeżdżają, w poprzek zaoranego pola, dwie kolejne osoby: parobek na kucyku oraz piękna młoda kobieta na drobnej, kasztanowatej klaczy. Przy ogrodzeniu oddzielającym pole od nieużytków chłopak zeskoczył z siodła i próbował otworzyć bramę. Piękna amazonka nie czekała jednak, skierowała swego konia wprost na przeszkodę, potem w pięknym stylu przeskoczyła na drugą stronę. Akurat w tej chwili rozległ się donośny psi skowyt, po czym głęboko w krzakach odezwało się gorączkowe ujadanie, mogące być wreszcie zapowiedzią czegoś naprawdę interesującego.

Hałas ucichł jednak, młody wyżeł wyszedł z gęstwiny i stał wpatrzony gdzieś daleko w otwarte pole. Stephen Maturin wyjechał tymczasem zza splątanych zarośli, śledząc lot szybującego wysoko sokoła. Na widok muła kasztanowata klacz zaczęła kaprysić, zatańczyła niesfornie w miejscu, zarzucając

łbem i błyskając białymi pęcinami.

— No dalej, ty... — dosiadająca jej amazonka zawołała czystym, dźwięcznym głosem. Jack nigdy wcześniej nie słyszał, by młoda kobieta używała podobnych wyrazów, spojrzał więc w jej stronę ze szczególnym zainteresowaniem. Nieznajoma wciąż zajęta była nieposłuszną klaczą, lecz po chwili poczuła na sobie jego spojrzenie i z niezadowoleniem zmarszczyła brwi. Aubrey szybko odwrócił wzrok. Dziewczyna była wyjątkowo ładna — wydawała się wręcz piękna z zarumienioną twarzą i podniesioną wysoko głową. Wyjątkowo elegancko trzymała się w siodle, siedziała wyprostowana, z nie zamierzoną gracją —jak podchorąży u steru szalupy żeglującej po wzburzonym morzu. Miała kruczoczarne włosy i błękitne oczy, a w jej postaci było coś zawadiackiego, co przy tak drobnej osóbce wydawało się nieco komiczne i bardziej niż ujmujące. Jej strój — bladoniebieski kostium do konnej jazdy, z białymi wyłogami i mankietami — przypominał mundur porucznika marynarki. Dopełnieniem tego ubioru był wyjątkowo elegancki trójgraniasty kapelusz, przyozdobiony strusimi piórami. W jakiś niepojęty sposób, zapewne dzięki przemyślnemu wykorzystaniu grzebieni, udało jej się upiąć włosy pod kapeluszem w taki sposób, iż jedno ucho pozostało odkryte. To piękne ucho — co Jack zdołał zauważyć, gdy klacz posuwała się bokiem w ich kierunku — było różowe jak...

— Tam jest ten lis, którego wszyscy tak zawzięcie szukają — zauważył zupełnie obojętnie Stephen. —To właśnie to biedne stworzenie, wokół którego robi się tu dziś tyle zamieszania. Tak właściwie to chyba nie lis, a lisica. Tak. Na pewno...

Rzeczywiście. Płowy lis przemykał szybko obok nich w dół zbocza, wzdłuż płytkiej bruzdy, kierując się w stronę zaoranego pola. Uszy koni i muła jak na komendę obracały się w ślad za zwierzęciem. Lis odbiegł już całkiem daleko, gdy Aubrey stanął w strzemionach, podniósł wysoko kapelusz i krzyknął donośnym głosem. Wszyscy myśliwi obrócili się w jego stronę, róg Jacka zagrał dźwięcznie, a z zarośli odpowiedziało mu szczekanie wybiegających na otwartą przestrzeń psów, które poczuły trop w zagłębieniu terenu i gnały teraz jak oszalałe, z wściekłym ujadaniem. Po chwili były już po drugiej stronie ogrodzenia, w połowie nie tkniętego jeszcze przez pług ścierniska, pozostawiając łowczego i resztę myśliwych daleko w tyle, przy zaroślach. Uczestnicy polowania natychmiast rzucili się w ślad za grającymi cudownie psami i na zboczu zatętniły głośno kopyta koni. Ktoś otworzył bramę, wszyscy tłoczyli się teraz przy niej, próbując przecisnąć się na drugą stronę — skok w dół zbocza wydawał się w tym miejscu raczej ryzykowny. Aubrey z początku usilnie powstrzymywał się, postanawiając nie próbować czegoś tak nierozważnego — był tutaj w końcu po raz pierwszy, na nie znanym sobie terenie. Coraz trudniej było mu jednak opanować bicie wzywającego do czynu serca i Jack zdążył już zaplanować, którędy skieruje swego konia, gdy tylko zdoła jakoś przedostać się na drugą stronę. Był zagorzałym zwolennikiem łowów na lisa. Kochał wszystko, co łączyło się z takim polowaniem — od odgłosu grającego rogu, do charakterystycznego zapachu rozszarpanego zwierzęcia. Problem polegał jednak na tym, iż jego umiejętności łowieckie nie były nawet w połowie tak wielkie, jak mu się zdawało. Poza kilkoma nieprzyjemnymi sytuacjami, gdy nie mogąc zaokrętować, musiał pozostać na lądzie, ponad dwie trzecie swego życia spędził przecież na morzu.

Brama była wciąż zablokowana i nie było nadziei, iż wszystkim myśliwym uda się przez nią przedrzeć, zanim psy znajdą się na następnym polu. Aubrey obrócił więc nagle swego konia, krzyknął na Stephena i popędził w kierunku ogrodzenia. Kątem oka zdążył jeszcze dostrzec kasztanowatą

klacz, szykującą się do skoku gdzieś pomiędzy tłumem przy bramie a mułem doktora. Gdy gniadosz uniósł się w górę, Jack spojrzał w bok, próbując zobaczyć, jak poradziła sobie dziewczyna, a niosący go koń natychmiast poczuł tę nagłą zmianę równowagi. Złośliwy rumak przesadził płot wysokim, szybkim susem i lądując z nisko opuszczoną głową, niespodziewanym, podstępnym ruchem tułowia wyrzucił jeźdźca z siodła.

Aubrey nie spadł gwałtownie. Osuwał się powoli ze śliskiego końskiego boku, trzymając się ręką grzywy. Wierzchowiec był już jednak panem sytuacji i po przebiegnięciu dwudziestu jardów pozbył się uprzykrzonego ciężaru. Nie do końca jednak. But Jacka utkwił w strzemieniu i nie było siły, która mogłaby go teraz stamtąd uwolnić. Potężne ciało krzyczącego i klnącego głośno żeglarza zawisło u boku gniadosza. Koń był tym coraz bardziej zaniepokojony, zaczął powoli tracić głowę, parskał i dziko rozglądał się dookoła. Przyspieszając kroku, ruszył przez bezlitośnie wyboiste, świeżo zaorane pole.

Poganiacz porzucił natychmiast swoje woły i potykając się, biegł teraz pod górę, wymachując batem. Wysoki młody człowiek w zielonym ubraniu, jeden z naganiaczy, popędził w kierunku galopującego konia z rozpostartymi szeroko ramionami, krzycząc coś i próbując zatrzymać ogłupiałe zwierzę. W stronę gniadosza odważnie pokłusował również muł, który jako ostatni z wierzchowców przedostał się na drugą stronę ogrodzenia. Odłączył od grupy myśliwych, bez trudu wyprzedził biegnących ludzi i stanął na drodze galopującego konia. Ze stoickim spokojem czekał teraz, aż nastąpi zderzenie. Stephen zeskakując z siodła, schwycił lejce zaskoczonego gniadosza, potem przytrzymał go aż do chwili, gdy na miejsce dotarli obaj zdyszani mężczyźni.

Woły, pozostawione w połowie kolejnej skiby, były tak poruszone całym tym wydarzeniem, iż miały już zamiar same ruszyć z miejsca i skręcić beztrosko gdzieś w bok. Zanim jednak zdołały się zdecydować, było już po wszystkim. Oracz odprowadził zawstydzonego konia na skraj pola, a młodzieniec w zielonej kurtce podniósł wraz ze Stephenem z ziemi pokrwawionego i potłuczonego Jacka. Ruszyli powoli, słuchając w milczeniu gorączkowych wyjaśnień pechowego jeźdźca, a muł posłusznie kroczył ich śladem.

Jeśli nie liczyć lokaja i parobka, w Mapes Court mieszkały wyłącznie niewiasty. Można więc było śmiało powiedzieć, że dom został całkowicie zdominowany przez kobiety. Gospodyni, pani Williams, była niewątpliwie najważniejszą osobą i to właśnie dzięki niej królowała tam kobiecość. Typowo żeńskie cechy dominowały w jej postaci tak bardzo, że trudno było dostrzec jakiekolwiek inne wyraziste przejawy charakteru. W istocie była ona jednak osobą w pewien zauważalny sposób prymitywną, pomimo iż jej rodzina, licząca się i bardzo poważana w okolicy, mieszkała w tych stronach od niepamiętnych czasów.

Trudno natomiast było dostrzec jakiekolwiek podobieństwo pomiędzy panią Williams a jej córkami i siostrzenicą, które to damy, zamieszkując pod jednym dachem, stanowiły rodzinę. Ich dom nie był też wcale świątynią poświęconą rodzinnym związkom lub tradycjom. Poczerniałe portrety przodków z dużym prawdopodobieństwem mogły zostać zakupione przy okazji jakichś wyprzedaży, a trzy córki, choć wychowane razem, miały zupełnie odmienne charaktery. Wydawało się to trochę dziwne, biorąc pod uwagę fakt, że wszystkie wzrastały w owej szczególnej atmosferze — od dzieciństwa wpajano im przecież, że najważniejszymi i uniwersalnymi wartościami są społeczna pozycja oraz pieniądze. Stałym elementem codziennego życia w domu ich matki było pewne szczególne oburzenie, które nie

wymagało stałej pożywki, lecz bardzo łatwo ją sobie znajdowało. Czasami na tydzień wystarczał temat, iż któraś ze służących paradowała w niedzielę ze srebrnymi spinkami. Bardzo trudno było więc pojąć, skąd wzięły się tak uderzające różnice zarówno w wyglądzie, jak i w usposobieniu trzech panien Williams. Sophie, najstarsza z nich, była smukłą dziewczyną z szeroko rozstawionymi szarymi oczami. Miała wysokie, gładkie czoło, nieskazitelną, jedwabistą skórę i jasne miękkie włosy o złotawym odcieniu, a w wyrazie jej twarzy kryło się coś cudownie słodkiego. Była bardzo skrytą osobą, żyła marzeniami, z których nikomu nigdy się nie zwierzała. Być może za sprawą szczególnej moralności swej matki, wcześnie nabrała odrazy do dorosłego życia. W każdym razie, jak na swoje dwadzieścia siedem lat, wyglądała zaskakująco młodo. Nie można jednak było powiedzieć, iż jest niedojrzała lub nadmiernie egzaltowana. Wydawała się raczej istotą w szczególny sposób eteryczną, czymś w rodzaju nieosiągalnego obiektu westchnień, tak jakby za chwilę miała zostać złożona w ofierze jakiejś bogini. Jak Ifigenia. Ponieważ Sophie potrafiła zadbać o swą urodę i elegancko się ubrać, jej wygląd zawsze wzbudzał podziw. Wystrojona, prezentowała się naprawdę wspaniale. Mówiła niewiele, niezależnie od tego, w jak licznym towarzystwie się znalazła. W razie potrzeby potrafiła jednak błysnąć dowcipem lub celnym spostrzeżeniem, okazując znacznie większą bystrość umysłu, niż można się było tego spodziewać, zwłaszcza jeśli wzięło się pod uwagę jej wykształcenie i ograniczenia związane ze spokojnym życiem na prowincji. Słowa wypowiadane przez tak uroczą, zwykle ustępliwą i trochę nieobecną duchem osobę, często nabierały jakby dodatkowego znaczenia, toteż wiele razy zdołała zaskoczyć mężczyzn, dla których stanowiła zagadkę. Zwłaszcza dla tych demonstracyjnie obnoszących się z przeświadczeniem o wyższości własnej płci. Uderzała ich ukryta siła, często połączona z nutą potajemnego rozbawienia, z ulotnym posmakiem czegoś, czego Sophie nie miała jednak zamiaru z nikim dzielić.

Cecylia była z kolei córką o wiele bliższą wyglądem i charakterem matce: mała gąska z pucołowatą buzią i błękitnymi oczami, uwielbiająca stroić się i kręcić loki. Niewyobrażalnie płytka i ograniczona, wręcz głupia, z drugiej jednak strony na pewno szczęśliwa, hałaśliwie radosna, za to zupełnie pozbawiona wszelkiej złośliwości. Uwielbiała towarzystwo mężczyzn, bez względu na ich wiek, pozycję czy wygląd. Panowie natomiast nie interesowali w ogóle jej młodszej siostry, Frances, jak na razie zupełnie obojętnej na jakiekolwiek zaloty. Ta długonoga nimfa wciąż jeszcze z upodobaniem rzucała kamieniami we wróble gnieżdżące się na drzewach, radośnie przy tym pogwizdując. Uosabiała beztroską niewinność młodości i jako urocze zjawisko była wprost zachwycająca. Miała kruczoczarne włosy, jak jej kuzynka Diana, i piękne ciemnoniebieskie oczy. Różniła się od swych sióstr tak bardzo, jakby należała do jakiegoś zupełnie innego świata. Wspólną cechą panien Williams była za to młodzieńcza gracja, wszystkie miały sporo wrodzonej wesołości, wspaniałe zdrowie i po dziesięć tysięcy funtów w złocie każda.

Przy takich zaletach dziwny wydawał się fakt, iż jak dotąd żadna z nich nie wyszła za mąż, zwłaszcza że małżeńskie łoże nigdy nie przestawało być obiektem zainteresowania ich matki. W okolicy brakowało jednak mężczyzn, a dokładniej, odpowiednich kawalerów, co sporo tutaj wyjaśniało, jeśli uwzględniło się skutki trwającej przez dziesięć lat wojny oraz nieprzychylność Sophie, która odrzuciła przecież kilka poważnych propozycji. Pozostałe przyczyny to przede wszystkim zachłanność pani Williams, troszczącej się o to, by ewentualny związek okazał się jak najbardziej korzystny, a także wyraźna niechęć części miejscowych dżentelmenów wobec perspektywy posiadania takiej teściowej.

Trudno było powiedzieć, czy owa dostojna matrona naprawdę lubiła swe córki. Oczywiście „kochała je i poświęciła im wszystko", lecz w jej psychice nie było zbyt wiele miejsca na podobne bzdury. Znacznie ważniejsze było nieustanne udowadnianie własnej nieomylności oraz prawości, okazywanie zmęczenia i ciągłe użalanie się nad zrujnowanym doszczętnie zdrowiem. Doktor Vining, który znał panią Williams od dawna i przyjmował na świat jej dzieci, nie bardzo rozumiał powody tych narzekań. Wątpił, by była zdolna do jakichś głębszych macierzyńskich uczuć, lecz musiał przyznać, chociaż z całego serca jej nie lubił, że ta zacna dama gotowa była dać z siebie wszystko, gdy w grę wchodziły wszelkie sprawy związane z sytuacją materialną córek. Potrafiła gasić bezlitośnie ich entuzjazm, przez cały rok dręczyć je przycinkami i zepsuć nawet uroczyste urodzinowe przyjęcie niespodziewanym bólem głowy, lecz równocześnie walczyłaby przecież jak lwica z rodzicami, kuratorami bądź adwokatami potencjalnych narzeczonych, w trosce o „odpowiednie zabezpieczenie finansowe". Nie zmieniało to niestety faktu, iż jej trzy córki nadal pozostawały pannami. Szczególną ulgę przynosiła tu jednak pani Williams świadomość, że winę za obecny stan rzeczy przypisywać mogła swej siostrzenicy, tak skutecznie konkurującej z ich urodą. Rzeczywiście, owa siostrzenica, Diana Villiers, wyglądała chyba równie atrakcyjnie jak Sophie, chociaż w żaden sposób nie była do niej podobna. Wydawała się bardzo wysoka — chodziła wyprostowana, z podniesioną głową, lecz gdy stanęły obok siebie, sięgała Sophie zaledwie do ucha. Obie miały sporo naturalnego wdzięku, lecz poruszały się w zupełnie różny sposób: Sophie płynnie, powabnie, wręcz z ociąganiem, w ruchach Diany można było z kolei dostrzec pewien szczególny, pulsujący rytm. Przy tych niezwykle rzadkich okazjach, gdy w promieniu dwudziestu mil od Mapes odbywał się jakiś bal, tańczyła wspaniale, a w świetle świec jej cera wydawała się prawie tak doskonała jak u Sophie.

Diana Villiers była wdową. Urodziła się w tym samym roku co Sophie, lecz zakosztowała zupełnie innego życia. W wieku piętnastu lat, po śmierci matki, wyjechała do Indii, aby zająć się prowadzeniem domu swego rozrzutnego, beztroskiego ojca. Żyła tam wygodnie i bogato, nawet po ślubie z biednym jak mysz kościelna młodym człowiekiem, adiutantem taty. Pan młody po prostu przeprowadził się do tego olbrzymiego pałacu, a nikt nie zwrócił większej uwagi na obecność nowego domownika i dodatkowej służby. To małżeństwo, na pewno nierozsądne, oparte wyłącznie na emocjach, okazało się zbyt żarliwe i gwałtowne. Jedynym celem tego pełnego samozaparcia związku było jego samounicestwienie i zadawanie sobie nawzajem jak najdotkliwszych cierpień. Z drugiej jednak strony Diana zdobyła dzięki temu przystojnego męża oraz poważne nadzieje na piękny park i dziesięć tysięcy funtów rocznego dochodu. Charles Villiers był bowiem nie tylko dobrze urodzony (tylko jedno schorowane życie dzieliło go od odziedziczenia wielkiego majątku), lecz również posiadał wszystkie niezbędne wówczas w Indiach atrybuty. Był inteligentny, wykształcony, dobrze wychowany, dynamiczny i pozbawiony skrupułów. Błyskotliwy na arenie politycznej, miał wszelkie szansę, by zrobić zawrotną karierę. Mógł nawet zostać drugim Clive'em i dorobić się olbrzymiego majątku już w wieku trzydziestu kilku lat, gdyby nie fakt, iż wraz ze swym teściem poległ niespodziewanie w potyczce z Tippoo Sahibem. Ojciec Diany był wówczas zadłużony na sumę trzystu tysięcy rupii, a jej mąż na prawie połowę tej kwoty.

Kompania Wschodnioindyjska opłaciła powrót Diany do Anglii, młodej wdowie przyznano też rentę w wysokości pięćdziesięciu funtów rocznie, która miała być wypłacana aż do ewentualnego ponownego zamążpójścia. Po powrocie do kraju pani Villiers dysponowała więc tylko kompletem tropikalnych strojów, pewną wiedzą o ludziach i świecie, i właściwie niczym więcej. Wróciła ponownie do punktu wyjścia, od nowa ucząc się życia. Natychmiast bowiem zdała sobie sprawę z

faktu, iż ciotka zamierza przejąć nad nią całkowitą kontrolę, nie pozwalając na to, by powracająca z Indii siostrzenica w jakikolwiek sposób mogła przeszkodzić swym kuzynkom. Diana nie miała pieniędzy, nie miała też dokąd pójść, musiała więc jakoś przystosować się do ciasnego, żyjącego swym własnym powolnym rytmem świata angielskiej prowincji, z jego ustalonymi zasadami i szczególną moralnością.

Dobrowolnie oddała się pod kuratelę ciotki i od samego początku postanowiła postępować z wyczuciem, ostrożnie, jak najwięcej pozostając w cieniu. Wiedziała, iż inne kobiety mogą uznać jej obecność za zagrożenie i nie zamierzała niepotrzebnie ich prowokować. Teoria w wielu jednak przypadkach rozmijała się z praktyką, a sprawowanie opieki, w rozumieniu pani Williams, oznaczało całkowite ubezwłasnowolnienie. Dostojna matrona czuła co prawda pewien respekt wobec Diany i nigdy nie ośmielała się posunąć zbyt daleko, ani na chwilę jednak nie zrezygnowała z prób narzucenia swej woli i wymuszenia absolutnego posłuszeństwa. Zaskakujący był fakt. iż tej prymitywnej, skrajnie głupiej kobiecie, pozbawionej wszelkich głębszych zasad moralnych i poczucia honoru, zawsze udawało się trafić w najbardziej czułe miejsce.

Taka sytuacja trwała od lat i potajemne wyprawy Diany na polowania pana Savile'a powodowane były nie tylko zamiłowaniem do konnej jazdy. Powróciwszy tym razem do domu, spotkała w sieni swą kuzynkę Cecylię. Strojnisia biegła właśnie do lustra wiszącego pomiędzy oknami jadalni, by spojrzeć na swój nowy czepek.

— Wyglądasz w tym paskudnym nakryciu głowy jak sam Lucyfer — powiedziała Diana ponurym głosem, gdyż psom nie udało się dopędzić lisa i wszyscy w miarę przystojni mężczyźni rozjechali się w różne strony.

— Och! Och! — zawołała Cecylia. — To przecież bluźnierstwo. Tak. Na pewno. Nie powinno się wymawiać tego imienia. Nie słyszałam czegoś równie strasznego od czasu, gdy Jemmy Blagrove nazwał mnie tym okropnym słowem. Zaraz powiem mamie...

— Nie bądź głupia, Cissy. To tylko cytat. Z literatury. Z Biblii.

— No cóż... Może i tak. W każdym razie to bardzo przerażające. Cała jesteś ubłocona. Och, wzięłaś mój kapelusz. Jesteś taka złośliwa. Na pewno zniszczyłaś pióra. Chyba zawołam mamę. — Dziewczyna chwyciła kapelusz, stwierdziwszy jednak, iż nie ucierpiał, paplała dalej. — Tak. Jechałaś pewnie jakąś błotnistą drogą? Pewnie wybrałaś się wzdłuż Gallipot Lane? Czy widziałaś może polowanie? Na Polcary byli dzisiaj myśliwi. Przez cały poranek dochodziły stamtąd ich okrzyki.

— Widziałam... Z daleka — rzekła Diana poważnie.

— Tak wystraszyłaś mnie tym, co powiedziałaś o diabłach — mówiła Cecylia, dmuchając na strusie pióra — że zupełnie zapomniałam o najważniejszej nowinie. Admirał wrócił!

— Już przyjechał?

— Tak. Będzie u nas dziś po południu. Przysłał Neda z pozdrowieniami i zapowiedział, że po

obiedzie przywiezie zamówioną przez mamę berlińską wełnę. Taka wiadomość! Co za radość! Na pewno powie nam coś o tych tajemniczych młodych mężczyznach. Pomyśl tylko!

Admirał Haddock pojawił się, zanim jeszcze panie zdążyły usiąść do herbaty. Miał co prawda najniższy z admiralskich stopni, został emerytowany, zanim zdołał podnieść swą admiralską flagę i od tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego czwartego roku nie pływał, lecz dla rodziny pani Williams był najwyższym autorytetem we wszelkich sprawach związanych z morzem i żeglugą. Bardzo go tu wszystkim brakowało od momentu, gdy w okolicy pojawił się kapitan Aubrey z Royal Navy, nowy dzierżawca Melbury Lodge — kolejny mężczyzna w sferze ich wpływów. Problem polegał na tym, iż nic nikomu o owym panu nie było wiadomo, a do kawalera damy nie mogły przecież wybrać się pierwsze z wizytą.

— Kochany admirale... Czy mógłby pan nam coś powiedzieć o naszym nowym sąsiedzie? — zagadnęła z przymilnym uśmiechem gospodyni. Wcześniej ostrożnie pochwaliła wełnę z Berlina, przez chwilę oglądała ją bardzo dokładnie, mrużąc oczy i wydymając wargi, aż wreszcie odłożyła motek na bok, uznając, iż jakość oraz kolor nie są warte żądanej ceny. — Czy zna go pan może? Ten dżentelmen jest kapitanem marynarki, zajął Melbury Lodge i nazywa się podobno Aubrey...

— Aubrey? Oczywiście. — Admirał, jak papuga, przesunął koniuszkiem wyschniętego języka po spierzchniętych wargach. — Wiem o nim wszystko. Nigdy go co prawda nie spotkałem, lecz pytałem o niego kolegów w klubie i przejrzałem „Navy List". To młody człowiek, pełniący obowiązki dowódcy okrętu.

— Czy to znaczy, że on tylko udaje kapitana?! — zapytała wzburzona pani Williams, szczerze chcąc w to uwierzyć.

— Ależ nie! — Admirał Haddock sprzeciwił się zniecierpliwiony. — W marynarce nazywamy wszystkich dowódców okrętów kapitanami, chociaż formalnie nie wszyscy posiadają taki stopień. Oficer staje się prawdziwym kapitanem, pełnym kapitanem, z chwilą objęcia dowództwa okrętu przynajmniej szóstej klasy, o osiemdziesięciu dwóch armatach lub, powiedzmy, fregaty z trzydziestoma dwoma działami. Dopiero zresztą taka jednostka jest w pełnym tego słowa znaczeniu okrętem... Tak to wygląda, droga pani.

— Teraz rozumiem — powiedziała pani Williams, kiwając głową, jakby istotnie udało jej się coś z tego pojąć.

— Właśnie. Ten młodzieniec był tylko dowódcą slupa, lecz za to bardzo dzielnie poczynał sobie na Morzu Śródziemnym. Lord Keith wysyłał go z patrolu na patrol — na tym małym starym brygu z podniesioną rufówką, który zabraliśmy Hiszpanom w dziewięćdziesiątym piątym — a nasz bohater bawił się w kotka i myszkę z całą ich przybrzeżną żeglugą. Kilka razy udało mu się zapełnić po brzegi pryzami Lazaretto Reach w Port Mahon. Szczęściarz Jack Aubrey, tak go wtedy nazywano. Dorobił się wtedy na pewno ładnej sumki... To właśnie on zdobył „Cacafuego"! Właśnie on! — Admirał zawołał z wyraźnym triumfem w głosie i spojrzał na obojętne twarze słuchaczek. Wobec braku spodziewanej reakcji potrząsnął głową. — Nigdy o tym panie nie słyszały, jak mi się zdaje? — zapytał zdziwiony.

Nie słyszały. Z przykrością musiały przyznać, iż nazwa „Cacafuego" nigdy nie obiła im się o uszy. Czy to ma coś wspólnego z bitwą o St Vincent? Może tak niezwykłe wydarzenie miało miejsce akurat wtedy, gdy były zajęte zbieraniem truskawek? Zaprawiły przecież aż dwieście słoików.

— Cóż... „Cacafuego" to nazwa hiszpańskiej fregaty o trzydziestu dwóch działach. Nasz Aubrey zaatakował tę jednostkę swoim małym slupem uzbrojonym w czternaście dział, zdobył ją i odprowadził jako pryz na Minorkę. Wspaniała akcja! W całej flocie nie mówiło się wtedy o niczym innym. Coś było jednak nie w porządku z papierami zdobytego okrętu; został ponoć wcześniej wyczarterowany kupcom z Barcelony i nie dowodził nim jego kapitan, co oznaczało, iż oficjalnie, w tamtej akurat chwili, nie był to okręt wojenny, lecz korsarski. Gdyby nie ów szczegół, Aubrey na pewno zostałby awansowany na kapitana i objąłby dowództwo tej jednostki. Może nawet otrzymałby szlachectwo? Cóż, stało się inaczej. Bywa i tak... W Admiralicji są różne tryby i trybiki... Wyjaśnię to paniom innym razem. Fregata nie została w każdym razie zakupiona do służby i jak dotąd nasz bohater nie otrzymał awansu. Co więcej, jak mi się zdaje, nie zostanie awansowany w najbliższym czasie. Jest torysem, a w każdym razie jego ojciec to zagorzały torys, co jednak nie zmienia faktu, iż naszemu dzielnemu młodemu człowiekowi wyrządzono naprawdę wielką krzywdę. Można zarzucić mu to czy owo, lecz zamierzam zwrócić na niego uwagę. Odwiedzę go jutro i przekażę wyrazy uznania w związku z jego niezwykłą akcją... Powiem też, jak bardzo oburzyła mnie ta okropna niesprawiedliwość...

— A więc istnieją jakieś zarzuty, które można by mu postawić? — zapytała Cecylia. — Czy zrobił coś złego?

— Ależ nie, moja droga. W każdym razie o niczym takim mi nie wiadomo. Z tego co słyszałem, jest odważny, tyle że niezbyt przejmuje się dyscypliną. Ach, ci młodzi ludzie! We flocie nie ma miejsca na podobne rzeczy, zwłaszcza gdy dowodzi nią St Vincent... Tak. Wpłynęło wiele skarg na zachowanie naszego dzielnego młodzieńca: brak zdyscyplinowania, nieposłuszeństwo, samowola, nierespektowanie rozkazów. Ktoś taki nie ma przed sobą przyszłości w marynarce. Na dodatek, jak mówią, kapitan Aubrey nie przestrzega zbyt gorliwie piątego przykazania...

Na twarzach słuchaczek pojawiły się teraz wyraźne oznaki wytężonego umysłowego wysiłku — dziewczęta natychmiast zaczęły recytować w pamięci dekalog. Gdy dotarły do fragmentu mówiącego o tym, co należy robić w niedzielę, jak na komendę zmarszczyły brwi, chcąc dodać sobie powagi. Szybko jednak rozpogodziły się, gdy zrozumiały w końcu, o którym przykazaniu wspomniał admirał.

— Mówiło się sporo o pewnej pani... — Ich gość mówił dalej. — O żonie przełożonego, wyższego oficera... Podobno to właśnie ta sprawa wpłynęła na ostateczny rozwój wydarzeń. Mając dodatkowo na uwadze ów wspomniany brak dyscypliny, wszystko wygląda jeszcze gorzej. Trudno oczekiwać, by Stary Jarvie, choć różnie się o nim mówi, mógł tolerować podobne historie. Zwłaszcza że nie kocha przecież torysów.

— Czy ten „Stary Jarvie" to morska nazwa diabła, sir? — zapytała zaciekawiona Cecylia.

Admirał popatrzył na nią z zakłopotaniem.

— To hrabia St Vincent, moja droga, pierwszy lord Admiralicji.

Ponieważ wspomniano przedstawiciela władzy, pani Williams zrobiła poważną i pełną szacunku minę. Po wystarczająco długiej pauzie zagadnęła ostrożnie:

— Wydawało mi się, admirale, że wspomniał pan coś o ojcu naszego młodego kapitana?

— Tak. To właśnie generał Aubrey narobił nie tak dawno wielkiego zamieszania, wychłostawszy kandydata wigów w Hinton.

— To przecież haniebne... Z pewnością jednak ów generał musi być bogatym człowiekiem, skoro pozwolił sobie wybatożyć członka parlamentu?

— Nie jest aż tak bogaty, droga pani. Posiada nieduży, mocno zadłużony majątek po tamtej stronie Woolhampton. Tak mi przynajmniej powiedziano. Mój kuzyn Hanmer dobrze zna generała.

— Czy kapitan Aubrey jest jedynakiem?

— Tak, moja pani. Od niedawna ma jednak macochę. Jego ojciec kilka miesięcy temu poślubił dziewczynę z wioski. Podobno jest bardzo żywa, wesoła i całkiem urodziwa.

— Wielkie nieba! Coś podobnego! — Pani Williams była szczerze oburzona. — Wydaje mi się jednak, że nie istnieje już niebezpieczeństwo... Chyba generał jest już w podeszłym wieku?

— Ależ skąd, moja droga — z uśmiechem odparł admirał. — Nie ma więcej niż sześćdziesiąt pięć lat. Gdybym był na miejscu jego syna, nie kryłbym swego niezadowolenia.

Pani Williams wyraźnie poweselała.

— Biedny młody człowiek — westchnęła z ulgą. — Tak bardzo mu współczuję...

Lokaj odniósł tacę z herbatą, poprawił ogień na kominku i zaczął zapalać świece.

— Jak szybko teraz zapada zmrok — zauważyła gospodyni. — Nie trzeba jednak na razie zapalać lichtarzy przy drzwiach... John, zasłaniając okna, ciągnij za sznurek. Dotykanie ręką niszczy materiał, zużywają się też karnisze. A co może pan powiedzieć, admirale, o tym drugim dżentelmenie z Melbury Lodge, o przyjacielu kapitana?

— Ach, wiem, o kogo pani chodzi. Niestety, niewiele mi o tym człowieku wiadomo — odparł admirał Haddock. — Był lekarzem okrętowym na dowodzonym przez kapitana Aubreya brygu i jest podobno nieślubnym dzieckiem kogoś tam... Nazywa się Maturin.

— Przepraszam, sir... — ostrożnie zapytała Frances. — Nieślubne dziecko? Co to znaczy?

— No cóż... — Admirał niepewnie rozejrzał się wokół.

— Nie przeszkadzaj, moja droga — skarciła córkę pani Williams.

— Pan Lever odwiedził ostatnio Melbury — szybko powiedziała Cecylia. — Kapitan Aubrey był

wtedy w Londynie, stale tam podobno jeździ... Rozmawiał z doktorem Maturinem i mówi, że to bardzo dziwny dżentelmen, coś jakby cudzoziemiec. Kroił podobno na kawałki konia w zimowym salonie.

— To straszne — stwierdziła pani Williams. — Będą musieli zmywać plamy z krwi zimną wodą. Tylko zimna woda zmywa krew. Czy nie sądzi pan, admirale, że należałoby im o tym powiedzieć? Że muszą koniecznie spróbować użyć zimnej wody?

— Ośmielam się stwierdzić, że na pewno doskonale sobie radzą z usuwaniem podobnych plam. Mają wprawę. Pomyślałem teraz jednak. .. — admirał Haddock rozejrzał się po pokoju — ... że to wspaniała okazja dla pani dziewcząt. Marynarze z kieszeniami pełnymi złotych gwinei, wyrzuceni na brzeg tuż pod waszymi drzwiami. Szukając męża, wystarczy tylko zawołać, a oni natychmiast przybiegną... Cha, cha!

Admirał był powszechnie znany z niewyszukanego poczucia humoru, nic więc dziwnego, że i tym razem nie zdołał rozbawić towarzystwa. Sophie i Diana spoważniały nagle, Cecylia potrząsnęła głową, a Frances zrobiła obrażoną minę. Pani Williams przygryzła wargi i spuściła wzrok, usiłując wymyślić jakąś ciętą ripostę.

— Tak czy inaczej... — admirał był wyraźnie zaskoczony ciszą, jaka nagle zapadła w salonie — ...jak mi wiadomo, nie ma tu raczej na co liczyć. Gdy Trimble zaproponował, iż przedstawi go swojej szwagierce, Jack Aubrey odparł, że „dał sobie spokój z kobietami". Najwyraźniej ten ostatni związek okazał się na tyle pechowy, iż nasz kapitan postanowił zrezygnować z kobiet. W tych sprawach nie jest więc szczęściarzem, niezależnie od tego, jak go nazywają. Ma też zresztą i inne kłopoty. Nie chodzi mi tu tylko o sprawę awansu czy nową żonę ojca. W sądzie Admiralicji rozstrzyga się właśnie apelacja w sprawie kilku neutralnych pryzów. Moim zdaniem to właśnie dlatego kapitan Aubrey tak często podróżuje do Londynu. Nie powiodło mu się i chyba powoli zaczyna to rozumieć. Całkiem więc słusznie zrezygnował z wszelkich myśli o małżeństwie. Do tego bardzo potrzebne jest szczęście, które na razie biedaka opuściło. Dlatego unika teraz towarzystwa dam.

— To absolutna prawda — zawołała Cecylia. — W ich domu nie ma ani jednej kobiety! Wiem to od pani Burdett, która akurat przechodziła tamtędy przypadkiem, i od naszej Molly. Jej chatka stoi w pobliżu Melbury Lodge i widać stamtąd wszystko, co dzieje się w tym domu. Obaj dżentelmeni mieszkają razem i są obsługiwani przez kilku marynarzy. To bardzo dziwne! Pani Burdett ma bardzo dobry wzrok, możecie mi wierzyć, i twierdzi, że szyby w oknach wprost lśnią czystością, a ramy okienne i futryny zostały świeżo pomalowane na biało.

— Jak oni sobie radzą? — zapytała zdumiona pani Williams. — To coś naprawdę dziwnego i nienaturalnego. Możecie mi wierzyć, że nie usiadłabym w takim domu, nie wytarłszy najpierw krzesła chusteczką. Naprawdę!

— Ależ droga pani... — zawołał admirał. — Przecież na morzu radzimy sobie całkiem dobrze.

— Och... Na morzu... — powiedziała z uśmiechem pani Williams.

— Jak ci biedacy cerują swoje rzeczy? — zapytała Sophie. — Na pewno kupują wszystko nowe...

— Już widzę, jak siedzą z pończochami na grzybkach i igłami w dłoniach! — zawołała uradowana Frances. — Potrafię też wyobrazić sobie ich rozmowy: „Doktorze, czy może pan podać mi błękitną włóczkę? Leży za panem, obok naparstka"... Cha, cha, cha.

— Myślę, że na pewno umieją gotować — nieśmiało odezwała się Diana. — Mężczyźni potrafią przyrządzić stek, zawsze można też usmażyć jajecznicę lub zjeść chleb z masłem...

— To wszystko jest tak cudownie niezwykłe — głośno westchnęła Cecylia. — I takie romantyczne. Jak jakieś starożytne ruiny. Och, tak bardzo chciałabym ich odwiedzić.

ROZDZIAŁ DRUGI

Panny Williams nie musiały zbyt długo czekać na zawarcie znajomości z mieszkańcami Melbury Lodge. Admirał Haddock zadziałał niezwykle sprawnie, po marynarsku, prosząc damy i ich nowych sąsiadów na wspólny obiad. Oczywiście kapitan Aubrey i jego przyjaciel doktor Maturin natychmiast zostali zaproszeni w gościnę do Mapes. Panie szybko uznały, iż obaj panowie są wspaniali, mili, dobrze wychowani, towarzyscy, a ich przyjazd ożywił okolicę. Sophie stwierdziła jednak, że doktor Maturin zdecydowanie potrzebował odpowiedniego odżywiania. „Jest taki blady i milczący" — pomyślała z troską. Nawet osoba o najtroskliwszym sercu nie byłaby za to w stanie powiedzieć czegoś podobnego o Jacku, który od początku przyjęcia znajdował się w doskonałej formie. Jego śmiech słychać było niemal bez przerwy — od chwili, w której wraz ze Stephenem ukazali się na podjeździe, aż do pożegnań pod oszronionym przez przymrozek portykiem. Na poznaczonej bliznami twarzy kapitana przez cały czas gościł uśmiech, ustępujący czasem miejsca radosnemu zadowoleniu. Chociaż błękitne oczy dzielnego żeglarza z dziwną tęsknotą spoglądały na karafkę oraz znikające szybko resztki puddingu, nawet na moment nie przestał dowcipkować i bawić towarzystwa miłą rozmową. Zjadał wszystko, co tylko przed nim postawiono i nawet pani Williams poczuła coś w rodzaju sympatii do tak uroczego gościa.

— No cóż... — powiedziała, gdy daleko w mroku umilkł wreszcie tętent końskich kopyt. — Chyba jeszcze nigdy nie miałam okazji urządzić lak udanego przyjęcia. Kapitan Aubrey zjadł aż dwie kuropatwy. Nic dziwnego... były mięciutkie... I pływająca wyspa doskonale wyglądała w tej srebrnej wazie: zostało jeszcze sporo na jutro. Reszta wołowiny po zmieleniu będzie wspaniała... Na pewno nasi goście nic odjechali głodni. Nie wydaje mi się, by często było im dane zjeść tak wspaniały obiad. Dziwię się, że admirał mógł mieć jakieś uwagi pod adresem naszego przemiłego kapitana. Przecież to prawdziwy dżentelmen. Sophie, moja droga, idź i powiedz Johnowi, niech zleje resztkę pozostawionego przez panów wina do małej butelki. Porto niszczy karafkę...

— Tak, mamo.

— A teraz, moje drogie... — wyszeptała pani Williams, odczekawszy, aż zamkną się drzwi. — Zauważyłyście pewnie wszystkie, że Sophie bardzo zainteresowała kapitana. Wiem to na pewno. Dlatego wydaje mi się, iż miło będzie z naszej strony, jeśli pozwolimy, by przy następnej okazji jak najdłużej przebywali tylko we dwoje. Czy ty mnie słuchasz, Diano?

— Oczywiście, ciociu. Doskonale rozumiem, o co ci chodzi — odpowiedziała Diana, odwracając się plecami do okna. Daleko, na oświetlonej blaskiem księżyca drodze, wijącej się między Polcary i Beacon Dawn, wciąż jeszcze widać było poruszające się szybko sylwetki jeźdźców.

— Ciekawe, naprawdę bardzo ciekawe, czy w domu został jeszcze jakiś kawałek pieczonej gęsi — głośno zastanawiał się Jack. — Na pewno ci dranie zdążyli zjeść wszystko. W najgorszym razie pozostaje nam omlet i butelka czerwonego wina. Tak, koniecznie jakieś dobre wino. Czy znałeś kiedyś kobietę, która miałaby choćby najmniejsze pojęcie o porządnym winie?

— Nigdy.

— I prawie tak samo z puddingiem. Jakie to jednak urocze dziewczęta! Zauważyłeś może, jak najstarsza z panien Williams trzymała w dłoni kieliszek i patrzyła przez wino na światło świecy? Cóż za wdzięk... Piękny nadgarstek, cudowna dłoń i te długie, długie palce...

Stephen Maturin drapał się z uporem i nie zwracał uwagi na słowa przyjaciela. Jack nie zrażony tym mówił dalej.

— A ta pani Villiers... Tak pięknie trzyma głowę. I jakie rumieńce... Chyba tylko cera odrobinę gorsza niż u kuzynki. Może na skutek pobytu w Indiach? No i te wspaniałe ciemnoniebieskie oczy. Ile ta urocza dama może mieć lat, Stephen?

— Niecałe trzydzieści.

— Pamiętam, jak uroczo wyglądała na koniu. Boże, rok lub dwa temu na pewno bym... Jak człowiek się zmienia... Tak czy inaczej, lubię być otoczony kobietami. Są zupełnie inne niż mężczyźni. Pani Villiers powiedziała kilka bardzo ciepłych słów o flocie. Mówiła bardzo rozsądnie. Dokładnie też rozumie, na czym polega żeglowanie różnymi kursami względem wiatru. Musi mieć chyba w rodzinie kogoś związanego z morzem. Mam nadzieję, że znów ją zobaczymy... że zobaczymy je wszystkie.

Te nadzieje spełniły się już wkrótce, znacznie szybciej, niż można się było tego spodziewać. Pani Williams przejeżdżała właśnie przypadkiem koło Melbury i poleciła, by Thomas skręcił na tak dobrze jej znany podjazd. Gdzieś za drzwiami śpiewały donośne męskie głosy:

Och, wy lubieżne damy

Co mieszkacie w burdelu.

Cha-cha, cha-cha, cha-cha, cha-hej.

Bez was byłoby nam źle,

Kochacie nas tak wielu.

Panie weszły do sieni, nie speszone tym wcale, gdyż żadna z nich, oprócz Diany, nie była w stanie do końca zrozumieć słów piosenki, a młoda pani Villiers nie przejmowała się na szczęście zbytnio podobnymi rzeczami. Już za to na progu wszystkie z wielką satysfakcją zauważyły, iż służący, który

wpuścił je do środka, ma włosy splecione w sięgający do połowy pleców warkoczyk. Wnętrze domu było jednak zaskakująco czyste. Pani Williams przesunęła palcem po górnej krawędzi boazerii i stwierdziła, że przedpokój musiał rano zostać wyjątkowo dokładnie wysprzątany — chyba już z racji wiosennych porządków. Jedyną rzeczą, jaka tutaj zwracała uwagę, było szczególnie staranne rozmieszczenie krzeseł — stały ustawione idealnie równo, jak reje na okręcie. Nietypowy był też sznur dzwonka — długa na trzy sążnie lina, zakończona mosiężnym blokiem topowym.

Śpiew ucichł nagle i Diana uświadomiła sobie, że czyjaś twarz musiała mocno się zarumienić. Rzeczywiście — kapitan Aubrey wyszedł im pośpiesznie na spotkanie wyraźnie zaczerwieniony. W jego głosie nie było jednak słychać specjalnego zakłopotania.

— Taka sąsiedzka wizyta to prawdziwa przyjemność. Cóż za niespodzianka! — Jack zawołał radośnie. — Pani Williams, pani Villiers... jestem waszym uniżonym sługą. Panno Cecylio, panno Frances, tak się cieszę, że panie widzę. Proszę dalej, do...

— Właśnie przejeżdżałyśmy — wyjaśniła pani Williams. — Pomyślałam, że możemy wpaść na chwilę i zapytać, jak rośnie jaśmin...

— Jaśmin? — Aubrey był bardziej niż zdumiony.

— Tak... — powiedziała pani Williams, unikając wzroku swoich córek.

— Ach, oczywiście, jaśmin. Zapraszam do salonu. Siedzimy tam z doktorem Maturinem przy kominku. Stephen powie paniom wszystko o jaśminie.

Salon zimowy w Melbury Lodge był przytulnym pomieszczeniem. Okna dwóch ścian wychodziły na ogród, a w głębi pokoju stał pomalowany jasnymi farbami fortepian. Dookoła rozmieszczono stojaki z nutami. Również na zamkniętej pokrywie instrumentu leżały sterty nutowego papieru. Stephen Maturin podniósł się zza klawiatury, ukłonił i stał w milczeniu, przyglądając się gościom. Jego czarne ubranie było tak stare, iż miejscami materiał wydawał się zielonkawy, a na twarzy doktora widać było trzydniowy zarost. Stephen z zawstydzeniem pocierał teraz dłonią swe nie ogolone policzki.

— A więc panowie są muzykami! — wykrzyknęła pani Williams. — Skrzypce, wiolonczela! Ja tak kocham muzykę. Symfonie, kantaty... Czy umie pan grać na fortepianie, sir? — z wyraźną życzliwością zapytała Maturina. Jak dotąd nie zwracała na niego uwagi, gdyż doktor Vining wyjaśnił jej, iż lekarze okrętowi są często niedouczeni i zwykle źle zarabiają. Dziś była jednak w wyjątkowo dobrym humorze.

— Próbowałem coś zagrać, droga pani, lecz ten fortepian jest trochę rozstrojony — Stephen odpowiedział grzecznie.

— Myślę, że się pan myli — kategorycznie stwierdziła pani Williams. — To bardzo drogi instrument. Clementi. Nie ma droższych. Doskonale pamiętam, jak przywieziono go tu olbrzymim wozem.

— Wszystkie pianina i fortepiany się rozstrajają, mamo — cicho podpowiedziała Sophie.

— Nie te od Clementiego, kochanie — stwierdziła z uśmiechem matka. — W całym Londynie nie znajdzie się droższego instrumentu. Clementi dostarcza je nawet na dwór królewski — dodała z pełnym wyrzutu spojrzeniem, tak jakby nie dowierzający jej słuchacze okazali się bardzo nielojalni. — Poza tym, sir... — spojrzała na Jacka —... te obrazki na skrzyni namalowała moja najstarsza córka! Są w chińskim stylu...

- Wszystko więc wyjaśnione, droga pani! — zawołał Aubrey. — Nasz wspaniały fortepian musiałby być naprawdę bardzo niewdzięczny, gdyby faktycznie rozstroił się po tym, jak został pomalowany ręką panny Sophie. Podziwialiśmy dziś rano ten pejzaż z pagodą, prawda, Stephen?

— Prawda. — Doktor wziął znad klawiatury nuty adagio D-dur Hummla. — Najbardziej podobały nam się most, drzewo i właśnie pagoda... — dodał.

Rzeczywiście. Ów obrazek miał wymiary tacy do podawania herbaty, a jego miękkie, czyste linie oraz przytłumione kolory powodowały wrażenie, że całość podświetlona jest jakimś niezwykłym, księżycowym światłem.

Sophie opuściła głowę, zawstydzona, jak wiele razy przedtem, piskliwym głosem matki i całym tym szumem dookoła swojej osoby.

— Czy ten właśnie fragment grał pan przed chwilą? — zapytała z niezbyt dobrze udawaną pewnością siebie, sięgając po odłożone przez doktora nuty. — Pan Tindall kazał mi to bez przerwy ćwiczyć...

W tym dokładnie momencie w salonie zapanowało niezwykłe poruszenie. Pani Williams odmówiła zdecydowanie zajęcia miejsca na kanapie, zrezygnowała też z poczęstunku. Preserved Killick i John Witsoever, starszy marynarz, zjawili się ze stolikami, tacami, dzbankami oraz dodatkowym zapasem opału.

— Czas teraz na kawałeczek okrętowego suchara i łyk rumu... — wyszeptała Frances, a Cecylia zachichotała głośno. Jack poprowadził tymczasem panią Williams i Stephena przez oszklone drzwi do ogrodu, w stronę rośliny, która, jak sądził, była jaśminem.

W rzeczywistości jaśmin rósł aż pod oknami biblioteki i właśnie tam obaj panowie usłyszeli znajome dźwięki adagio Hummla, brzęczące i odległe, jakby wydobywały się z pozytywki. Muzyka w absurdalny sposób przypominała ów chiński obrazek: była lekka, eteryczna, banalna. Stephen Maturin skrzywił się, słysząc zbyt niskie A i za wysokie C, a na początku pierwszej wariacji spojrzał z zakłopotaniem na Jacka, chcąc sprawdzić, czy ten również zwrócił uwagę na błędne frazowanie. Aubrey wydawał się jednak całkowicie pochłonięty słowami pani Williams, która od dłuższego czasu bardzo drobiazgowo opowiadała o skomplikowanych okolicznościach, jakie towarzyszyły zasadzeniu tu tego właśnie krzewu.

Klawiszy dotknęły teraz jakieś inne ręce. Adagio znów popłynęło nad trawnikiem, pokrytym topniejącym szronem — muzyka była tym razem dźwięczna, trochę niedokładnie zagrana, lecz czuło się w niej energię, siłę i swobodę. Tragiczna pierwsza wariacja zabrzmiała szorstko, chropawo,

widać było, iż wykonawca doskonale ją rozumie.

— Moja Sophie gra naprawdę wspaniale — powiedziała pani Williams, przechylając na bok głowę. — To taka słodka i miła melodia.

— Czy to na pewno panna Williams gra w tej chwili, droga pani?

— zapytał Stephen.

— To Sophie! — zawołała z oburzeniem dostojna matrona. — Żadna z jej sióstr nie potrafi zagrać więcej niż gamę, a wiem na pewno, że Diana w ogóle nie zna nut. Podobnie żmudne zajęcia nie leżą w jej naturze...

— Wracając po zabłoconych ścieżkach, Jack i Stephen musieli, chcąc nie chcąc, wysłuchać tego, co zdaniem towarzyszącej im damy powinni wiedzieć na temat cierpliwości, pracowitości i dobrego gustu.

Pani Villiers odskoczyła szybko od fortepianu, nie na tyle szybko jednak, by nie zdołały tego dostrzec bystre oczy pani Williams. Natychmiast też pojawiło się w nich głębokie oburzenie, które nie znikło aż do końca wizyty. Nie miała tu najmniejszego znaczenia nawet wiadomość, iż Jack zamierzał w najbliższym czasie wydać bal z okazji kolejnej rocznicy bitwy pod St Vincent — panie były pierwszymi zaproszonymi gośćmi.

— Chyba przypominacie sobie tę wspaniałą akcję sir Johna Jervisa, koło przylądka St Vincent? Czternastego lutego w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym siódmym, w Dzień Świętego Walentego? — zapytał kapitan.

— Oczywiście, że sobie przypominam, sir, lecz moje córki... — tu nastąpiło głębokie westchnienie — ... są zbyt młode, by mogły o czymś takim pamiętać. Czy wygraliśmy wtedy?

— Oczywiście, mamo — syknęły dziewczęta.

— Wygraliśmy — zgodziła się pani Williams. — Proszę powiedzieć, czy brał pan może udział w tej bitwie?

— Tak, droga pani — odparł Jack. — Byłem trzecim na „Orionie". Dlatego właśnie zawsze obchodzę tę rocznicę w towarzystwie wszystkich przyjaciół i towarzyszy broni, jakich tylko uda mi się razem zgromadzić. A ponieważ mamy tutaj salę balową...

— Możecie mi wierzyć, moje drogie — stwierdziła pani Williams, gdy wracały do domu — że ten bal, tak naprawdę, będzie wydany na naszą cześć, to znaczy... dla mnie i dla moich córek! Nie mam najmniejszych wątpliwości co do tego, że nasza Sophie rozpocznie go, tańcząc z kapitanem Aubreyem. W Dzień Świętego Walentego! Frankie, pobrudziłaś cały przód swojej sukni czekoladą. Jeśli będziesz jadła tak dużo ciasta i słodyczy, dostaniesz pryszczy. I co wtedy? Żaden mężczyzna na ciebie nie spojrzy. Tak. W tym mniejszym cieście musiał być chyba z tuzin jaj i pół funta masła. Nigdy w życiu nie byłam tak zaskoczona!

Diana Villiers towarzyszyła paniom tylko dlatego, iż nie wypadało zostawić jej samej w domu. Po dłuższym wahaniu pani Williams uznała też, iż nie mogło być mowy o jakimkolwiek porównaniu między pannami z posagiem w wysokości dziesięciu tysięcy funtów każda a wdową bez grosza przy duszy. Teraz jednak, rozważywszy wszystko dokładniej i przechwyciwszy kilka bardzo wymownych spojrzeń, musiała stwierdzić, że ewentualne sympatie panów z marynarki nie są tak łatwe do przewidzenia, jak zachowanie okolicznych właścicieli ziemskich i ich synów o pospolitych twarzach.

Diana doskonale zdawała sobie sprawę z tego, co kołatało się w umyśle ciotki i nie zdziwiła się zbytnio, gdy tuż po śniadaniu następnego dnia została zaproszona „na małą pogawędkę, moja droga". Zaskoczył ją jednak promienny uśmiech pani Williams i kilkakrotnie powtórzone słowo „koń". Do tej pory, zawsze oznaczało ono kasztanowatą klacz Sophie: „Jakie to uprzejme ze strony Sophie, że znów pozwoliła ci trochę pojeździć na swoim koniu. Mam nadzieję, że to biedne zwierzę się nie przemęczyło"... Tym razem chodziło jednak o coś innego — o bardzo konkretną propozycję, ubraną oczywiście w mnóstwo niepotrzebnych słów: o konia dla Diany. Była to bardziej niż oczywista próba przekupstwa — chodziło tu najzwyczajniej o to, by pani Villiers nie próbowała konkurować z dziewczętami. Sophie na pewno pozbędzie się wówczas wyrzutów sumienia; przestanie myśleć, iż odbierając Dianie swą klacz, pozbawiłaby kuzynkę jedynej przyjemności, i tym chętniej wybierze się na konną przejażdżkę w towarzystwie kapitana i doktora. Diana połknęła przynętę, z pogardą wypluła haczyk, po czym popędziła do stajni porozmawiać z Thomasem, gdyż zbliżał się właśnie wielki koński jarmark w Marston.

Po drodze spotkała Sophie. Dziewczyna szła właśnie szybko w stronę domu, ścieżką prowadzącą przez park z Grope, domu admirała Haddocka. Dziarsko wymachiwała rękami, powtarzając cicho pod nosem: „Prawa burta, lewa burta, dziób, rufa".

— Ahoj marynarzu! — Diana zawołała nad żywopłotem i ze zdumieniem zauważyła, że na twarzy kuzynki pojawił się wiśniowy rumieniec. Oddany na ślepo strzał trafił w dziesiątkę. Sophie spędziła dziś sporo czasu w bibliotece admirała, przeglądając stare wydania „Navy List", pamiętniki oficerów marynarki, słownik morski Falconera oraz roczniki „Naval Chronicie". Admirał zaskoczył ją przy tym właśnie zajęciu — podszedł cicho od tyłu w swych miękkich kapciach i zawołał:

— „Naval Chronicle", czy tak? Cha, cha! Wiem, który rocznik cię interesuje, moja panno — powiedział, podając wydanie z tysiąc osiemset pierwszego roku. — Czy wiesz, że Diana cię wyprzedziła? Była u mnie kilka dni temu. Musiałem wyjaśnić jej, na czym polega żegluga różnymi kursami względem wiatru i jaka jest różnica między brygiem a fregatą. Znajdziesz tu krótki opis akcji naszego kapitana. Szkoda tylko, że autor tej relacji nie bardzo wiedział, o czym pisze; dodał mnóstwo dymu, by w ten sposób pominąć szczegóły. Ta fregata miała przecież bardzo ciekawy osprzęt... Pomogę ci to znaleźć.

— Och nie, nie — powiedziała przerażona Sophie. — Chciałam tylko cokolwiek się dowiedzieć... — Jej głos ucichł w oddali.

Zażyłość pogłębiała się coraz bardziej, nie na tyle jednak, by można było już zebrać jej owoce. Sprawy nie posuwały się naprzód tak szybko, jak życzyłaby sobie tego pani Williams. Kapitan Aubrey był oczywiście bardzo uprzejmy i miły — może nawet chwilami zbyt miły, lecz nie udało jej się dostrzec u niego nawet najmniejszych oznak tego, na co z takim utęsknieniem czekała. Jak na razie

nie było mowy nie tylko o narodzinach gorącego uczucia, lecz nawet o jakimś szczególnym zainteresowaniu. Jack był tak samo szczęśliwy w towarzystwie Frances, jak i Sophie. Czasami pani Williams zastanawiała się, czy aby wszystko jest z nim w porządku. Może był jednym z tych oficerów marynarki, których dotyczyły te dziwne opowieści? Czy to nie podejrzane, że dwaj mężczyźni mieszkają razem? Kolejną rzeczą, która nie dawała jej spokoju, był koń Diany. Z tego, co słyszała i z czego tak niewiele była w stanie zrozumieć, Diana jeździła konno lepiej niż Sophie. Nasza dostojna matrona nie bardzo co prawda wierzyła takim stwierdzeniom, lecz nawet cień myśli o jakichkolwiek tego typu porównaniach wystarczał, by bardzo żałowała teraz, iż kupiła siostrzenicy podobny prezent. Bez przerwy dręczyły ją też ostatnio pełne niepokoju wątpliwości. Widziała, jak odmieniona była teraz Sophie, lecz z drugiej strony, nie mogła przecież liczyć na jakiekolwiek zwierzenia swej córki. Nie było też nadziei na to, by dziewczyna przejęła się w końcu radami matki i spróbowała wyglądać w obecności panów trochę bardziej atrakcyjnie — powinna się prostować, wyżej nosić głowę i pamiętać o pomalowaniu ust przed wejściem do pokoju.

Niepokój pani Williams znacznie by się zapewne pogłębił, gdyby pewnego dnia dane jej było obserwować polowanie ze sforą psów młodego pana Savile'a. Sophie nie pasjonowała się zbytnio takimi rozrywkami. Lubiła galopować w pogoni, chwile oczekiwania wydawały jej się jednak nudne i bardzo współczuła zaszczutym lisom. Jej klacz miała werwę, lecz nie była zbyt wytrzymała, podczas gdy piękny gniady wałach Diany mógł nosić swą panią na grzbiecie przez cały dzień, a na dodatek uwielbiał brać udział w zabijaniu.

Polowali dzisiaj od dziesiątej trzydzieści i słońce stało już nisko. Jak dotąd udało im się dopaść dwa lisy. Trzecia wytropiona sztuka, bezpłodna lisica, nieźle zatańczyła sobie z pogonią i wyprowadziła myśliwych w nieprzyjemne strony, daleko za Plimpton, na wilgotne orne pola, poprzecinane podwójnymi płotami i szerokimi rowami. Potencjalna zdobycz wyprzedzała teraz pościg zaledwie o jedną miedzę i szybko tracąc siły, kierowała się do znanego sobie wylotu systemu melioracyjnego. Przy ostatniej zmianie kierunku Jack szczęśliwie wybrał skrót i oboje wraz z Sophie znaleźli się bardzo blisko goniącej lisa sfory, wyprzedzając pozostałych uczestników polowania. Drogę utrudniała jednak nieprzyjemna przeszkoda: nasyp, błoto i wysoki płot, za którym lśniła rozległa tafla wody. Sophie z niechęcią spojrzała na ogrodzenie, szykując konia do skoku, nie pragnęła jednak wcale znaleźć się po drugiej stronie. Była wręcz wdzięczna, gdy klacz odmówiła kolejnego wysiłku. Obie miały już dosyć. W całym swoim życiu Sophie nigdy nie była taka zmęczona. Nie chciała też oglądać rozszarpanego na strzępy lisa, a sfora właśnie dopadała zdobyczy. W głosie prowadzącej psy starej suki odezwała się już triumfalna nuta.

— Do bramy! Do bramy! — zawołał Jack, zawracając konia i kierując się ku narożnikowi pola. Otworzył przejście do połowy (brama była stara, oberwana), gdy w pobliżu pojawił się Stephen. Sophie mówiła coś do doktora:

— ... Dlatego chciałabym już wracać do domu. Proszę, niech panowie jadą dalej. Nie zwracajcie na mnie uwagi. Doskonale znam drogę.

Na twarzy Jacka pojawiło się współczucie, natychmiast zapomniał, jak bardzo przed chwilą był zawiedziony.

— Ja też najchętniej już wrócę do domu — powiedział z bardzo uprzejmym uśmiechem. —

Wystarczy na dzisiaj.

— Ja pojadę z panną Williams — zaproponował Stephen.

— Ależ nie, nie trzeba, naprawdę.... — prosiła ze łzami w oczach Sophie. — Nie przeszkadzajcie sobie, panowie. Doskonale sama sobie poradzę...

Rozległ się głuchy tętent kopyt i na pole wpadła teraz Diana. Jej umysł skoncentrowany był wyłącznie na ogrodzeniu oraz na tym, co znajdowało się po drugiej stronie. Nie dostrzegła Sophie i towarzyszących jej mężczyzn, a jedynie grupę jeźdźców tłoczących się przy bramie. Siedziała w siodle prosto i bez najmniejszego śladu zmęczenia, tak jakby dosiadała konia nie dłużej niż pół godziny. Wydawało się, iż jest częścią swego wierzchowca, tak zupełnie skupiona na tym, co robi. Ruszyła odważnie wprost na przeszkodę, spięła konia, spod rozpędzonych kopyt trysnęło błoto i już po chwili była po drugiej stronie. Prezentowała się naprawdę wspaniale: zgrabna sylwetka, wysoko podniesiona głowa, skrywane zadowolenie, powaga i pewność siebie. Wszystko to razem sprawiało, iż wyglądała piękniej niż ktokolwiek, kogo Jack i Stephen dotąd oglądali. Nieświadoma zupełnie wrażenia, jakie wywarła, wyglądała w tej chwili nad wyraz korzystnie, co wywołało na twarzach obu mężczyzn uniesienie, i pani Williams mogłaby tu mieć poważne powody do niepokoju.

Dostojna matrona z utęsknieniem wyczekiwała tymczasem zapowiedzianego przez Jacka balu. Podjęła już niemal tyle samo przygotowań co kapitan, a w Mapes Court pojawiło się mnóstwo gazy, muślinu i tafty. Umysł zacnej damy całkowicie pochłonięty był teraz rozmaitymi strategicznymi planami —jedna z intryg miała na przykład na celu usunięcie gdzieś na najbliższe dni Diany. Pani Williams nie miała co prawda żadnych uzasadnionych podejrzeń, lecz doskonale zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Dzięki pomocy niemal tuzina pośredników i prawie tylu listów, zdołała sprawić, iż rodzina pozostawiła bez opieki chorego psychicznie kuzyna. Nie można było jednak nic poradzić na przekazane w obecności świadków zaproszenie, przyjęte przecież, i rano w dzień balu jeden z zaproszonych przez kapitana gości miał przywieźć Dianę z powrotem do Champflower.

— Pan Maturin czeka na ciebie, Diano — zawołała Cecylia. — Spaceruje tam i z powrotem po podjeździe, prowadząc za uzdę swego konika, i jest dzisiaj naprawdę elegancko ubrany! Ma nowy ciemnozielony płaszcz z czarnym kołnierzem... I nową perukę. To pewnie dlatego wybrał się ostatnio do Londynu! To twoje kolejne zwycięstwo, moja droga. Doktor był przecież zwykle taki zaniedbany, a czasem chodził nawet nie ogolony.

— Nie podglądaj tak zza firanki jak pokojówka, Cissy. Czy pożyczysz mi swój kapelusz?

— Moim zdaniem on naprawdę wygląda dzisiaj elegancko. — Cecylia dalej patrzyła przez okno, marszcząc firanę. — Włożył też dziś ładną kamizelkę w kropki. Pamiętasz może, jak przyszedł wtedy na obiad w kapciach? Gdyby o siebie zadbał, byłby naprawdę przystojnym mężczyzną.

— Tak. Rzeczywiście wspaniała z niego zdobycz — powiedziała pani Williams drwiącym tonem, podobnie jak Cecylia spoglądając przez okno. — Lekarz okrętowy bez grosza przy duszy, czyjś nieślubny syn i papista. Wstyd Cissy. Jak możesz chwalić kogoś takiego.

— Dzień dobry doktorze! — zawołała Diana, schodząc ze schodów. — Chyba nie musiał pan na

mnie czekać? Cóż za wspaniały kucyk. W naszych stronach się takich nie widuje. Daję słowo.

— Dzień dobry, pani Villiers. Spóźniła się pani. Bardzo się pani spóźniła.

— To jeden z przywilejów należnych damom. Czy w ogóle zwrócił pan uwagę na fakt, że jestem kobietą?

— Chyba będę musiał. Tym spóźnieniem rzeczywiście dowiodła pani swej kobiecości. Z drugiej strony trudno mi jednak pojąć, iż tylko z racji jakichś należnych pięknej płci względów, osoba tak inteligentna i wrażliwa jak pani pozwoliła sobie zmarnować większą część pięknego poranka. Nigdy tego nie zrozumiem. Proszę, pomogę pani dosiąść konia. Tak. Wszystkiemu winna jest płeć... Tyle rzeczy różni mężczyzn i kobiety. Nie myślę tu tylko o anatomii i kwestiach erotycznych...

— Ciszej, doktorze. Nie powinien pan tak głośno mówić o podobnych sprawach... Wczoraj wystarczająco się pan naraził.

— Wczoraj? Ach, rzeczywiście, lecz to przecież nie ja pierwszy powiedziałem, iż dowcip bywa czasem wynikiem nieoczekiwanej kopulacji myśli. To całkiem popularna sentencja. Banalny frazes...

— Nie tutaj. Jeśli chodzi o moją ciotkę, jest pan na pewno pierwszym człowiekiem, który ośmielił się publicznie wygłosić podobne stwierdzenie.

Jechali w górę Heberden Down. Ranek był piękny, bezwietrzny. Trzymał lekki mróz, uprząż poskrzypywała lekko, w powietrzu unosił się zapach koni. Z nozdrzy wierzchowców wydobywały się białe obłoczki pary.

— Nie interesują mnie kobiety jako płeć... grupa... — stwierdził nagle Stephen. — Dostrzegam tylko poszczególne osoby. Tam jest Polcary — zauważył, zmieniając temat i wskazał dłonią dolinę. — Tam właśnie ujrzałem panią po raz pierwszy. Dosiadała pani wtedy klaczy swojej kuzynki. Może jutro się tam razem wybierzemy? Pokażę pani kolonię gronostajów.

— Niestety, jutro nic z tego na pewno nie wyjdzie. Tak mi przykro. Muszę udać się do Dover i zaopiekować się pewnym starszym dżentelmenem. Biedak nie jest całkiem normalny. To mój daleki kuzyn...

— Chyba pojawi się jednak pani na balu? — zawołał Maturin.

— Och tak, wszystko zostało już uzgodnione. Niejaki pan Babbington zabierze mnie z sobą po drodze. Czy kapitan Aubrey nic panu o tym nie wspomniał?

— Bardzo późno wróciłem do domu dziś w nocy, a rano prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. Ja również w przyszłym tygodniu wybieram się do Dover. Czy będę mógł tam panią odwiedzić? Wpadnę na herbatę.

— Oczywiście. Nawet dobrze się składa; pan Lowndes wyobraża sobie, że jest imbrykiem. Zagina jedną rękę jako uszko, a drugą wystawia w ten sposób, jak dzióbek, i mówi: „Czy pozwoli pani nalać sobie filiżankę herbaty?" Nie mógł pan więc trafić pod lepszy adres. Z tego, co wiem, wybiera pan

się też na kilka dni do naszej pięknej stolicy. Czy to prawda?

— Tak. Na pięć dni, od poniedziałku do piątku.

Diana pociągnęła za cugle, koń zwolnił nieco biegu, a na jej twarzy pojawiło się nagle pełne wahania zawstydzenie. Pani Villiers bardzo przypominała teraz Sophie.

— Czy wyświadczyłby mi pan przysługę, doktorze?

— Oczywiście — odpowiedział Stephen i spojrzał młodej kobiecie prosto w oczy. Szybko jednak odwrócił wzrok, zaskoczony widocznym w nich pełnym desperacji i bólu napięciem.

— Na pewno zdaje pan sobie sprawę z tego, jaka jest moja pozycja w tym domu... Czy mógłby pan sprzedać w moim imieniu ten drobiazg? Muszę mieć coś, w czym mogłabym pokazać się na balu.

— Jakiej sumy mam zażądać?

— Sądzi pan, że ewentualny kupiec nie zaproponuje ceny? Będę szczęśliwa, jeśli dostanę dziesięć funtów. Jeśli uda się panu to spieniężyć. .. Czy mogę prosić o kolejną uprzejmość? Czy mógłby pan powiedzieć wówczas panu Harrisonowi z Royal Exchange, by natychmiast przysłał mi te rzeczy? Tu jest spis i próbka materiału. Może to nadać karetą pocztową do Lewes, a stamtąd przesyłkę odbierze posłaniec. Muszę mieć jakąś suknię na bal.

Suknia balowa — najpierw rozpruta i zwężona, potem poszerzana — leżała teraz, owinięta miękkim papierem, w kufrze czekającym w holu domu pana Lowndesa, rano, czternastego lutego.

— Pan Babbington do pani — zaanonsowała służąca.

Diana pobiegła do saloniku i jej promienny uśmiech przygasł nieco. Zawiedziona, spojrzała raz jeszcze, tym razem znacznie niżej i zobaczyła uradowaną twarz młodego człowieka w ocieplanej kurtce. Jego głos okazał się za to zaskakująco wysoki, wręcz piskliwy.

— Czy pani Villiers? Jeśli pani pozwoli... Babbington zgłasza swoje przybycie.

— Och, pan Babbington... Dzień dobry. Kapitan Aubrey mówił mi, że będzie pan tak uprzejmy i zawiezie mnie do Melbury Lodge. Kiedy ma pan zamiar wyruszyć? Jest zimno i pański koń nie powinien marznąć na dworze. Mam tylko mały kuferek. Stoi przy drzwiach. Czy wypije pan lampkę wina? A może oficerowie marynarki wolą rum?

— Odrobinka rumu na rozgrzewkę dobrze mi zrobi. Czy i pani się ze mną napije? Na zewnątrz jest naprawdę chłodno.

— Troszkę rumu i dużo wody — Diana szeptem poleciła służącej. Dziewczyna była jednak zbyt zbulwersowana obecnością eleganckiej dwukółki na dziedzińcu i nie usłyszała słowa „woda". Przyniosła napełnioną po brzegi ciemnobrązowym płynem szklanicę, z którą pan Babbington wyjątkowo sprawnie sobie poradził. Pani Villiers, wyraźnie tym zdumiona, zaniepokoiła się jeszcze bardziej, widząc wysoki, wywrotny pojazd i nerwowego konia. Tylko oczy i uszy siwka nie były

śnieżnobiałe.

— Gdzie jest pański woźnica, sir? — zapytała bardzo niepewnym głosem. — Może w kuchni?

— W mojej załodze nie ma woźnicy, droga pani — dumnie odpowiedział Babbington. Patrzył teraz na Dianę z nie ukrywanym podziwem. — Sam prowadzę nawigację. Czy mogę pani pomóc? Proszę postawić stopę na tym schodku i podciągnąć się do góry. Teraz ten pled. Przywiążemy go mocno od rufy. Dwie wyblinki... I już gotowe. Wszystko w porządku? Tak trzymać. Robimy zwrot! — zawołał do ogrodnika i z fasonem wyjechał z podwórza. Lewe koło z trzaskiem zahaczyło po drodze o pomalowany na biało słupek. Sposób, w jaki młody żeglarz radził sobie z lejcami i batem, przyprawiał panią Villiers o palpitację serca. Wychowała się wśród kawalerzystów i nigdy w życiu nie widziała czegoś podobnego. Zastanawiała się teraz, jak uda się panu Babbingtonowi pokonać bez wywrotki całą tę długą trasę od Arundel. Przypomniała sobie o swym kuferku, umieszczonym z tyłu, a gdy zjechali z głównego traktu na wijące się wśród wzgórz polne drogi, była już w stu procentach pewna, że w ten sposób daleko nie zajadą. Raz za razem zahaczali kołem o wysokie pobocze lub zjeżdżali na sam skraj rowu. „To się musi źle skończyć. Trzeba czym prędzej odebrać lejce temu młodemu człowiekowi" — pomyślała.

Droga prowadziła teraz prosto pod górę, coraz wyżej, co oznaczało, że z drugiej strony wzniesienia znajdował się zapewne długi zjazd — nie wiadomo jak stromy i karkołomny. Koń zwolnił, szedł teraz stępa, aż w pewnym momencie rozległ się bardzo charakterystyczny odgłos — biedny zwierzak musiał chyba być karmiony fasolą.

— Bardzo przepraszam... — powiedział podchorąży, przerywając ciszę.

— Nic nie szkodzi — Diana odpowiedziała chłodno. — Pomyślałam, że to koń. — Ukradkowe spojrzenie pozwoliło jej stwierdzić, iż na moment znikła gdzieś ułańska fantazja żeglarza. — Pokażę panu, jak powoziłam w Indiach. — Młoda dama odebrała szybko swemu towarzyszowi lejce i bat. Gdy jednak tylko udało jej się nawiązać kontakt z siwkiem i pokierować go tak, by szedł spokojnie środkiem drogi, spróbowała odzyskać sympatię pana Babbingtona. Poprosiła, by wyjaśnił jej, co oznaczają kolory przypisane różnym eskadrom — błękitny, czerwony i biały. Co to znaczy, że dana jednostka jest wyżej względem wiatru? Jak w ogóle wygląda życie na okręcie? Służba na morzu musi być na pewno bardzo trudna i niebezpieczna. Pewnie dlatego jest też tak bardzo ważna. W końcu to dzięki marynarce wojennej bezpieczne są granice kraju. Czy to prawda, iż pan Babbington osobiście brał udział w tej słynnej akcji, w zdobyciu „Cacafuego"? Diana nigdy wcześniej nie słyszała o zwycięstwie odniesionym przy tak zastraszającej dysproporcji sił. Kapitan Aubrey musi bardzo przypominać samego lorda Nelsona...

— To prawda — ochoczo przytaknął podchorąży. — Nie wiem jednak, czy i sam Nelson tak zgrabnie by sobie wtedy poradził. Nasz kapitan to wspaniały człowiek, choć na lądzie wszystko zapewne wygląda inaczej. Jest tak bezpośredni, że wydać się może zupełnie zwyczajnym człowiekiem. W żaden sposób się nie wywyższa i nie zadziera nosa. Przyjechał do nas, by pomóc mojemu wujowi w wyborach. Był taki wesoły... Przyłożył laską paru wigom. Poprzewracali się jak kręgle. Oczywiście wszyscy byli kłusownikami i metodystami. Dawno się tak nie ubawiłem. W Melbury pozwolił mi i Pullingsowi wybrać sobie konie i stanął z nami do wyścigu. Trzy razy dookoła pastwiska i po schodach na górę do biblioteki. Zwycięzca otrzymać miał od pokonanych po złotej gwinei i butelce

wina. Wszyscy kochamy kapitana, proszę pani, chociaż na morzu jest taki surowy i wymagający.

— Kto wtedy zwyciężył?

— Och, wszyscy w końcu pospadaliśmy z siodeł... Z tym, że kapitan zrobił to chyba celowo. Po prostu nie chciał naszych pieniędzy.

Zatrzymali się na popas w zajeździe. Po zjedzeniu posiłku i wypiciu kufla piwa pan Babbington ponownie nabrał odwagi.

— Jest pani najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem — wyznał szczerze. — Będzie się pani przebierać w moim pokoju, z czego teraz jestem bardzo dumny. Gdybym wiedział, że chodziło tu o tak uroczą osobę, przygotowałbym poduszeczkę do szpilek i dużą butelkę perfum.

— Dziękuję. Okazał się pan bardzo miłym młodym mężczyzną — stwierdziła Diana. — Cieszę się, że podróżuję pod pańską opieką.

Po takim oświadczeniu młody podchorąży miał wszelkie powody, by być w nadzwyczaj dobrym nastroju. Wychowany w służbie na morzu, wiedział doskonale, iż są sytuacje, w których najważniejszą rzeczą staje się przejęcie inicjatywy. Pani Villiers z początku zamierzała pozwolić mu tylko odjechać z podjazdu, lecz pełen animuszu młodzieniec trzymał dzielnie lejce przez całą drogę z Newton Priors, aż do samych bram Melbury Lodge. Dowiózł swą pasażerkę szczęśliwie, a gdy wysiadała przy jego pomocy z dwukółki, podziwiało ich aż dwunastu żeglarzy.

W osobowości i sposobie bycia Diany było najwyraźniej coś wyjątkowego, jakaś szczególna otwartość, piracka odwaga, coś, co sprawiało, że przyciągała uwagę ludzi morza. Interesowały ich jednak również bardzo córki pana Simmonsa (dwie podobne do lalek piękności), Frances (tańcząca pośrodku sali i odmierzająca rytm wysuniętym koniuszkiem języka), pospolita Cecylia z tryskającą zdrowiem twarzą, no i oczywiście inne urocze panie obecne w oświetlonej świecami sali balowej. Wszyscy bez wyjątku byli też porażeni urodą i wdziękiem Sophie, która otworzyła bal, tańcząc z kapitanem Aubreyem. Najstarsza córka pani Williams ubrana była w różową suknię ze złotą szarfą i wyglądała naprawdę wspaniale.

— Jest prześliczna — powiedziała Diana Villiers do Stephena Maturina. — Różowy to najniebezpieczniejszy kolor na świecie, lecz do jej cery pasuje wprost idealnie. Oddałabym wszystko za taką skórę.

— Sporo daje też ta szarfa i perły. Złoto podkreśla piękny kolor włosów, a perły biel zębów — zauważył Stephen. — Sądzę, że pod pewnym względem kobiety zdecydowanie przewyższają mężczyzn. Potrafią zupełnie szczerze i obiektywnie docenić dobry gust oraz urodę innych pań. Wręcz przyjemność sprawia im czasem fakt, że ktoś inny wygląda pięknie i elegancko. Na przykład tak jak pani. Pozostałe uczestniczki balu podziwiają tę wspaniałą suknię. Wiem to na pewno. Nie tylko z ich spojrzeń. Stanąłem po prostu z tyłu i podsłuchałem, o czym mówią.

Rzeczywiście. Suknia była bardzo ładna: lekka, zwiewna, jasnobłękitna z dodatkiem bieli. Bez śladu czerni i jakiejkolwiek zależności od gustu pani Williams. Wydawało się to całkiem zrozumiałe — na

balu każda kobieta miała przecież prawo wyglądać jak najlepiej. Wiadomo było też, iż w przypadku dwóch osób o jednakowo zgrabnej figurze oraz podobnym poczuciu piękna i elegancji, dama w sukni za pięćdziesiąt gwinei prezentować się będzie na pewno lepiej od rywalki, którą stać było tylko na strój za dziesięć funtów.

— Musimy zająć miejsca - Diana powiedziała nieco głośniej, gdyż odezwały się już skrzypce i sala balowa wypełniła się muzyką. Widok był naprawdę wspaniały. Wnętrze przyozdobiono kolorowymi flagowymi sygnałami — jeden z nich polecał „nawiązać bliższy kontakt z nieprzyjacielem", a pozostałe zrozumiałe były tylko dla marynarzy. Pokryta pszczelim woskiem podłoga lśniła w blasku wielu świec, przy drzwiach i pod ścianami stali licznie zgromadzeni goście, pośrodku wirowały tańczące pary. Piękne suknie, fraki, białe rękawiczki — wszystko to odbijało się w oszklonych drzwiach do oranżerii i w wysokich lustrach z tyłu za orkiestrą. Spotkała się dziś tutaj prawie cała okolica, byli też przybysze z Portsmouth, Chatham, Londynu i innych miejsc, dokąd los rzucił ich po zakończeniu wojny. Wszyscy mieli na sobie swe najlepsze ubrania, wszyscy bez wyjątku zamierzali dobrze się bawić i jak dotąd, wszyscy byli bardzo zadowoleni. Podobne okazje zdarzały się w tych stronach niezwykle rzadko (dwa lub trzy razy do roku, nie licząc publicznych potańcówek), a ten bal podobał się głównie dlatego, iż był zupełnie inny niż zwykle, i tak starannie został zorganizowany — wszystko zapięte na ostatni guzik. Szczególną atrakcję stanowili obsługujący gości marynarze w niebieskich kurtkach, ze splecionymi w warkoczyki na plecach włosami, tak niepodobni do niedbałych wynajętych kelnerów, jakich zwykło się widywać. Ważne okazało się również i to, że wśród uczestników balu znacznie więcej było mężczyzn niż kobiet. Wszyscy ci panowie byli na dodatek niezwykle chętni do tańca.

Pani Williams siedziała w towarzystwie innych matek i przyzwoitek, w pobliżu dwuskrzydłowych drzwi prowadzących do bufetu i jadalni. Widziała stamtąd wszystkie tańczące pary i na przemian to potakiwała, to uśmiechała się znacząco. Bardzo znacząco, gdyż opowiadała właśnie o wszystkim swej kuzynce, pani Simmons. Kończąc pierwszy taniec, Diana widziała triumfującą, rumianą twarz ciotki. Następną twarzą, jaką ujrzała, było uśmiechnięte oblicze Jacka, który podszedł, by porwać ją na parkiet.

— Cóż za piękny bal, kapitanie — powiedziała pani Villiers z promiennym uśmiechem. Jej partner ubrany był w purpurowy mundur, szamerowany złotem. Wydawał się potężny, władczy. Na jego czole lśniły krople potu, a błyszczące oczy płonęły zadowoleniem. Zgodziła się na taniec. Aubrey powiedział coś nieistotnego, lecz bardzo uprzejmego i już po chwili wirowali pośrodku sali.

— Proszę usiąść na chwilę — powiedział Stephen. Drugi taniec właśnie się skończył i Jack odprowadził swą partnerkę. — Jest pani bardzo blada.

— Naprawdę? — zdziwiła się Diana, spoglądając uważnie w lustro.

— Czy źle wyglądam?

— Ależ nie, nie powinna pani jednak tak się przemęczać. Musi pani chwilkę odpocząć, najlepiej tam, gdzie jest trochę więcej świeżego powietrza. Chodźmy do oranżerii.

— Obiecałam, że zatańczę z admirałem Jamesem. Przyjdę tam po kolacji.

Po posiłku aż trzech oficerów marynarki wstało od stołu i ruszyło do oranżerii w ślad za panią Villiers, wśród nich i admirał James. Wszyscy jednak wycofali się, widząc Stephena czekającego z szalem w dłoniach.

— Nigdy bym nie przypuszczał, że zastaniemy tam doktora — zdziwił się pan Mowett. — Na „Sophie" wydawał się kimś w rodzaju pozostającego w celibacie mnicha.

— Niech go szlag trafi — stwierdził pan Pullings. — Szło mi już tak dobrze...

— Nie jest pani zimno? — zapytał Stephen, okrywając szalem ramiona Diany. Przypadkowo dotknął dłonią jej skóry i nagle poczuł jakąś dziwną zmianę, tak jakby w ten sposób przekazana została mu jakaś zła, nie wymagająca jednak słów wiadomość.

— Diano... — powiedział czule, wbrew swej intuicji i temu, co tak niespodziewanie poczuł przed chwilą.

— Proszę mi powiedzieć — odezwała się dziwnie szorstkim tonem — czy admirał James jest żonaty ? — Tak myślałam. Podświadomie czuję w nim wroga.

— Wroga?

— Oczywiście. Niech pan nie będzie głupcem, doktorze. Na pewno wie pan o tym, że żonaci mężczyźni są największymi nieprzyjaciółmi niezamężnych kobiet. Czy mógłby pan podać mi coś do picia? Od tego zaduchu zaschło mi w gardle.

— Proszę, oto odrobina ponczu z lodem.

— Dziękuję. Ci żonaci panowie oferują przyjaźń, nazwa nie odgrywa tu zresztą większej roli, oczekując w zamian, by kobieta poświęciła im swoje życie, przyszłość, dała serce i... Nie chcę być wulgarna, rozumie pan zapewne, o czym myślę. Mężczyźni nie potrafią być tylko przyjaciółmi. Wiem o tym doskonale, może mi pan wierzyć. Nie ma tu dookoła ani jednego, łącznie ze starym admirałem Haddockiem i tą marionetką wikarym, który nie chciałby spróbować ze mną czegoś podobnego. Nie wspomnę nawet o Indiach. Za kogo oni wszyscy mnie mają? — wykrzyknęła, bębniąc palcami po poręczy fotela. — Jedynym szczerym w tej kwestii człowiekiem, jakiego spotkałam, był Southampton. Przysłał do mnie pewną staruszkę z Madras, otwarcie proponując za jej pośrednictwem, bym została jego utrzymanką. I, na honor, gdybym wtedy wiedziała, jak będzie wyglądało moje życie tu w Anglii, w tej błotnistej dziurze pełnej kochających tylko piwo prostaków, podobna propozycja wydałaby mi się bardzo interesująca. Czy wie pan, jak wygląda moje życie? Bez grosza przy duszy, pod nadzorem wulgarnej, pretensjonalnej i głupiej kobiety, która mnie nienawidzi? Jak pan sądzi, jak się czuję, spoglądając w taką przyszłość, wiedząc, że moja uroda przemija - jedyny majątek, jaki posiadam? Niech pan posłucha, doktorze. Mówię z panem szczerze, ponieważ pana lubię. Bardzo pana lubię i wydaje mi się, że i pan jest mi życzliwy. Jest pan tak naprawdę pierwszym i jak dotąd jedynym spotkanym przeze mnie w Anglii człowiekiem, którego mogę uznać za swego przyjaciela. W każdym razie jest pan kimś, komu mogę zaufać jak prawdziwemu przyjacielowi.

— Zawsze może pani być pewna mojej przyjaźni — odpowiedział z trudem Stephen. Dopiero po

chwili odezwał się znowu, tym razem mówiąc już lekkim, obojętnym tonem.—Nie jest chyba aż tak źle. Wygląda pani niezwykle pociągająco, a ta suknia, zwłaszcza jej dolna część, mogłaby skusić nawet św. Antoniego. Wie pani o tym doskonale. To nieuczciwe, jeśli najpierw kokietuje się mężczyzn, a potem wysuwa oskarżenia pod ich adresem, gdy w końcu dadzą się sprowokować. Doskonale pani sobie z nimi radzi i szybko tracą dla pani głowę. Może nie robi pani tego całkiem świadomie, lecz w każdym razie jest w pani coś...

— Czy twierdzi pan, że jestem... że zachowuję się wyzywająco? — zawołała Diana.

— Właśnie. O to mniej więcej mi chodzi. Nie wydaje mi się też, by zdawała sobie pani sprawę z tego, jak bardzo krzywdzi pani mężczyzn. W swoich opiniach wyciąga pani zbyt daleko idące wnioski na podstawie odosobnionych przypadków. Posuwa się pani od szczegółu do ogółu. Spotkała pani kilku mężczyzn, którzy próbowali panią wykorzystać i na tej podstawie ukuła pani tezę o męskiej przewrotności. Nie wszystkie koty są czarne...

— W nocy wszystkie. Wierzę jednak, że pan jest akurat tutaj wyjątkiem. Dlatego właśnie panu zaufałam. Nie ma pan pojęcia, jaka to dla mnie ulga. Wychowałam się wśród inteligentnych mężczyzn — panowie z Madras byli trochę rozpuszczeni, a ci z Bombaju jeszcze gorsi, lecz inteligencji na pewno im nie brakowało — i podobnego otoczenia tak bardzo teraz potrzebuję. Naprawdę cieszę się. mogąc nareszcie porozmawiać z kimś otwarcie, swobodnie, bez owijania słów w bawełnę.

— Pani kuzynka, Sophie, jest przecież bardzo inteligentna.

— Tak pan uważa? Może kojarzy nieco szybciej, lecz przede wszystkim jest jeszcze niedojrzałą dziewczyną. Nie mówimy tym samym językiem. To prawda, że jest piękna. Zgadzam się. Niewiele jednak wie... Nie potrafię ponadto zapomnieć o jej fortunie. Po prostu nie umiem jej tego wybaczyć. To takie niesprawiedliwe. Jak zresztą wiele innych spraw w moim życiu.

Stephen nie odezwał się, podał tylko swej towarzyszce kolejny kawałek lodu.

— Jedyne, co mężczyzna naprawdę może zaoferować kobiecie, jest małżeństwo — mówiła dalej Diana. — Uczciwy, oparty na partnerstwie związek. Pozostało mi jeszcze około pięciu, sześciu lat. Jeśli do tego czasu nie wyjdę za mąż... A jak mam znaleźć kogoś odpowiedniego tutaj, na tym pustkowiu? Czy nie oburzają pana moje słowa? To znaczy... czy nie straciłam w pańskich oczach?

— Nie. Rozumiem doskonale, o czym pani myśli i nie czuję się tym poruszony. Rozmawiamy przecież jak przyjaciele. Po prostu poluje pani, przez cały czas rozglądając się za potencjalną zdobyczą.

— Dokładnie. Mówiłam, że jest pan inteligentny.

— Zależy więc pani tak bardzo na partnerskim związku?

— Tylko i wyłącznie. Gardzę kobietami, które okazując się zupełnie pozbawione inicjatywy i odwagi, popełniają mezalians. To szczyt głupoty. Muszę panu wyznać, iż całkiem niedawno pewien sprytny chłystek z Dover, podrzędny adwokacina, miał czelność poprosić mnie o rękę. Wyobraża pan

sobie? Nigdy dotąd w całym moim życiu nie zostałam tak upokorzona. Prędzej pójdę na stos lub do końca życia zostanę opiekunką mojego kuzyna Imbryka.

— Na jaką więc zwierzynę pani poluje?

— Nie mam zbyt wygórowanych wymagań. Mój wymarzony małżonek musi oczywiście być w miarę zamożny... Absolutnie nie wyobrażam sobie życia w wiejskiej chacie. Powinien też być w miarę bystry i zrównoważony. W żadnym wypadku nie może też okazać się kaleką lub zgrzybiałym starcem. Admirał Haddock, na przykład, znajduje się poza obszarem moich zainteresowań. Dalej, chociaż to już nie takie ważne, chciałabym, by mój mężczyzna dobrze trzymał się w siodle, a przynajmniej, by zbyt często z niego nie spadał. Cenię też sobie mężczyzn z mocną głową. Pan się nie upija, doktorze, i to między innymi bardzo mi się w panu podoba. Kapitana Aubreya i połowę innych obecnych tu dzisiaj panów trzeba będzie zanieść do sypialni...

— Ja też lubię wino, lecz nie zdarza mi się. bym tracił samokontrolę. Tak czy inaczej, sporo przecież już dzisiaj wypiłem. Wracając do Jacka... Czy nie sądzi pani, że akurat w jego przypadku spóźniła się pani na łowy? Wydaje mi się, iż dzisiejsza noc będzie tu miała decydujące znaczenie.

— Czy on coś panu mówił? Czy się panu zwierzał?

— Nie jestem plotkarzem. Myślałem, że również dlatego uznała mnie pani za swego przyjaciela i obdarzyła zaufaniem.

— To prawda. W każdym razie myli się pan co do wagi dzisiejszego wieczoru. Znam Sophie. Pański przyjaciel może się jej oświadczyć nawet teraz, lecz ona będzie potrzebowała sporo czasu do namysłu. Nigdy nie obawiała się staropanieństwa. Podobne myśli w ogóle nie przychodzą jej do głowy. Ośmielam się stwierdzić, że ta dziewczyna wręcz boi się małżeństwa. Pamiętam, jak krzyczała, gdy powiedziałam jej, iż niektórzy mężczyźni mają owłosione torsy! Poza tym ona nie lubi być... brakuje mi słowa.

— Popychana? Sterowana?

— Właśnie. Jest co prawda bardzo posłuszna, uważam, że to wręcz głupie z jej strony, trudno... Na pewno nie jest jednak w stanie zaakceptować sposobu, w jaki jej matka usiłuje wpływać na bieg wydarzeń. Wie pan, o co mi chodzi. Ciotka wmuszała w was przecież to swoje obrzydliwe wino... Sophie ma bardzo silną wolę i pod tą jej układnością kryje się rogata dusza. Aby ją zdobyć, potrzeba czegoś więcej niż tylko ten dzisiejszy bal.

— Nie jest emocjonalnie zaangażowana?

— Zaangażowana? Związana uczuciowo z pańskim przyjacielem? Myślę, że ona sama tego nie wie. Lubi go, schlebia jej jego zainteresowanie, z pewnością też każda kobieta chciałaby mieć takiego męża: bogaty, przystojny, odnoszący sukcesy, pogodny, życzliwy, kochający rodzinę. Nasza śpiąca królewna zupełnie jednak do niego nie pasuje. Tak mi się przynajmniej wydaje. Jest zbyt zamknięta w sobie, uparta, skryta. Moim zdaniem potrzeba mu kogoś bardziej energicznego, żywego. Z Sophie na pewno nie będzie szczęśliwy.

— Może ona skrywa w sobie jakieś namiętności, których pani nie dostrzega? Może po prostu nie chce ich pani zauważyć?

— To nieważne, doktorze. Jej potrzeba zupełnie innego mężczyzny. W pewien sposób pan bardziej do niej pasuje, oczywiście, gdyby nie ta jej ignorancja...

— A pani? Czy pani odpowiadałby Jack Aubrey?

— Tak. Wystarczająco go lubię. Wolałabym może kogoś bardziej... Nie wiem, jak to określić. Dorosłego? Pański Jack to wciąż duży chłopiec.

— Odnosi przecież sukcesy, jest oficerem marynarki. Sama pani o tym przed chwilą wspomniała.

— To nie ma związku z tym, o co mi chodzi. Mężczyzna może doskonale radzić sobie w wybranej dziedzinie, będąc we wszystkich innych sprawach bezradnym dzieckiem. Pamiętam pewnego matematyka, ponoć jednego z najsławniejszych, który przyjechał do Indii, by przeprowadzić jakieś badania planety Wenus. Bez swojego teleskopu nie nadawał się do cywilizowanego życia. Był jak niezdarny malec. Uczepił się mej ręki pewnego przeraźliwie nudnego wieczoru, pocąc się i jąkając. Nie. Wolę polityków. Ci przynajmniej wiedzą, jak żyć, i przeważnie są oczytani. Chciałabym, żeby i kapitan Aubrey był oczytany, bardziej... taki jak pan. Dokładnie. Jest pan bardzo dobrym kompanem i naprawdę lubię pańskie towarzystwo. Tak. Nasz kapitan jest za to bardzo przystojny. Proszę spojrzeć — powiedziała, odwracając się w stronę okna. — Właśnie mamy go na oku. Bardzo dobrze tańczy. Szkoda, że jest taki niezdecydowany.

— Zmieniłaby pani na pewno opinię, widząc, jak Jack dowodzi w bitwie swoim okrętem.

— Chodzi mi tylko o jego stosunki z kobietami. Jest zbyt sentymentalny, lecz pomimo to odpowiada mi. Nadaje się. Czy mogę panu coś powiedzieć? Jest pan lekarzem, więc zapewne zrozumie pan, o co mi chodzi. Byłam już zamężna, nie jestem małą dziewczynką, a romanse zdarzają się w Indiach tak samo często jak w Paryżu. Są chwile, kiedy mam ochotę zagrać w trochę inny sposób. Czasem bardzo mnie to kusi. Wręcz powinnam chyba tak postąpić, oczywiście gdybym mieszkała w Londynie, a nie tutaj, w tej cholernej dziurze.

— Czy ma pani powody, by przypuszczać, że Jack myśli o pani?

— Chodzi panu o to, czy ja mu odpowiadam? Tak. Pewne rzeczy bardzo wiele znaczą dla doświadczonej kobiety. Wątpię, czy on kiedykolwiek pomyślał poważnie o Sophie. Ona raczej go nie interesuje, prawda? Jej posag nie znaczy chyba dla niego zbyt wiele? Czy dobrze się panowie znacie? Wydaje mi się, że w marynarce wszyscy znają się od dawna, a przynajmniej wiele o sobie nawzajem wiedzą.

— Och, ja akurat nie jestem marynarzem. Spotkałem Jacka na Minorce. W zeszłym roku. Zawiozłem tam pacjenta, któremu pomóc miał śródziemnomorski klimat. Mój pacjent zmarł, a ja przypadkowo spotkałem Jacka na koncercie. Polubiliśmy się i Jack zaproponował mi, bym zaciągnął się na statek jako lekarz okrętowy. Zgodziłem się, gdyż byłem akurat bez grosza przy duszy, i od tej pory jesteśmy razem. Poznałem go na tyle, bym miał prawo stwierdzić, że na pewno nie interesuje go teraz posag

ewentualnej wybranki i inne tego typu sprawy. Może powinienem pani o czymś opowiedzieć...

— Och tak. bardzo proszę.

— Jakiś czas temu Jack wplątał się w nieszczęśliwy romans z żoną innego oficera. Kobieta, o której mówię, była bardzo dynamiczna, miała styl, odwagę, słowem, wszystkie cechy, które Jack tak wysoko ceni. Okazała się jednak fałszywa, okrutna i zraniła go bardzo głęboko. Dlatego też takie wartości, jak dziewictwo, niewinność, skromność są teraz dla niego o wiele ważniejsze, niż mogłoby się to na pozór wydawać.

— Ach tak... Teraz pojmuję. Wszystko zrozumiałam. Czy czasem nie stoi pan po stronie Sophie? Może panu na niej zależy? Nic z tego. Nic pan nie wskóra, proszę mi wierzyć. To biedactwo nie zrobi nawet kroku bez zgody swej matki. Nie chodzi tu tylko o to, że matka trzyma pieczę nad posagiem. Nasza panna jest po prostu nauczona posłuszeństwa. Panu zaś nigdy nie uda się zdobyć sympatii mojej ciotki. Nawet gdyby pan próbował przez tysiąc lat. Wciąż jednak może pan sobie oczywiście wzdychać do Sophie, ile tylko pan zapragnie.

— Lubię ją i podziwiam. To wszystko.

— Na pewno?

— Tak. Na pewno nie wchodzą tu w grę inne znane pani uczucia. Różnica pomiędzy mną a panią polega jednak tutaj na tym, że ja, w przeciwieństwie do pani, nie lubię zadawać bólu.

Diana wstała, piękna, wyprostowana jak trzcina.

— Wracajmy już. Muszę koniecznie zatańczyć znów z kapitanem Aubreyem — powiedziała wesoło, całując Stephena w policzek. — Bardzo mi przykro, jeśli pana zraniłam.

ROZDZIAŁ TRZECI

Od wielu lat Stephen Maturin prowadził swój sekretny dziennik, zapisany charakterystycznym, zrozumiałym tylko dla autora stenograficznym pismem. Na stronach owego zeszytu znaleźć można było rozmaite szkice anatomiczne, opisy roślin, ptaków, wszelkich żyjących stworzeń, a po odszyfrowaniu notatek okazałoby się, iż wszelkie naukowe informacje zapisywane są po łacinie. Spostrzeżenia bardziej osobistej natury rejestrowane były w języku katalońskim, którym doktor posługiwał się w młodości. Również najświeższych zapisków dokonał w tej właśnie mowie:

15 lutego... gdy ona pocałowała mnie tak nagle, ugięły się pode mną kolana. Może się to wydać absurdalne i śmieszne, lecz ledwo byłem w stanie odprowadzić ją z powrotem na salę balową. Z trudem zdołałem przywołać się do porządku. Obiecywałem sobie przecież, że coś podobnego nigdy się nie powtórzy. Miało nie być już więcej tak silnych emocji i rozczarowań. Swoim zachowaniem dowiodłem jednak tego, jak bardzo sam siebie okłamuję. Postępowałem ostatnio bardziej niż nierozsądnie, wystawiając swe serce na najcięższą próbę.

21 lutego. Zastanawia mnie sytuacja, w jakiej znalazł się Jack Aubrey. Jakże bezradny jest mężczyzna, wobec bezpośredniego ataku przypuszczonego przez kobietę. Każda dziewczyna, gdy

tylko dojrzeje, potrafi wspaniale odparowywać ciosy, skutecznie broniąc się przed szalonym uczuciem. Z czasem staje się to jej drugą naturą. Ta przewrotna gra nie jest skrępowana żadnymi zasadami. Pochwalają ją wszyscy, nawet nieszczęśnicy, którzy na jej skutek zostali odrzuceni. Jakże inaczej wygląda to w przypadku mężczyzn. Nie mają takiego pancerza. Im bardziej są wrażliwi, szarmanccy, honorowi, tym mniejsze mają szansę odparcia nawet najsubtelniejszego ataku. Dżentelmenom nie wolno ranić i nigdy nie są skłonni do zadawania bólu.

Gdy twarz, na którą nigdy dotąd nie zdarzyło mi się spoglądać bez przyjemności, która nigdy nie zwracała się w moją stronę bez szczerego uśmiechu, nagle stała się na mój widok lodowata, nieruchoma, pozbawiona wyrazu, poczułem się nagle dziwnie przygnębiony. Ujrzałem wtedy, zupełnie nieoczekiwanie, całkiem inną osobę i sam równocześnie stałem się kimś innym. Z drugiej oczywiście strony, życie pod jednym dachem z panią W. na pewno nie jest jednak przyjemnością i biorąc to pod uwagę, wiele rzeczy powinno się wspaniałomyślnie wybaczyć. Jak na razie nie potrafię jednak. Pojawiło się tyle okrucieństwa, bezduszności, w grę weszły nagle ewentualności, których się nie spodziewałem. Zdrowy rozsądek wymaga, bym przestał się angażować.

J.A. jest niespokojny, niezadowolony z siebie, rozgoryczony faktem, że Sophie tak się ociąga. Jej słodkiego, niewinnego wahania nie można jednak nazwać niechęcią czy nieśmiałością. Mój przyjaciel mówi o rozkapryszonych pannach i ich braku rozsądku — biedak nigdy nie potrafił poradzić sobie w sytuacjach, gdy jakaś nieprzewidziana okoliczność pokrzyżowała mu plany. To właśnie miała częściowo na myśli Diana Villiers, wspominając o jego emocjonalnej niedojrzałości. Rzeczywiście, między nim a D. V. istnieje szczególne podobieństwo — oboje są w pewien sposób dla siebie stworzeni. Sophie jest chyba najbardziej wartościową i godną szacunku dziewczyną, jaką znam, lecz przede wszystkim jest kobietą. J.A. nigdy nie był zbyt lotny i spostrzegawczy w podobnych sprawach. Z drugiej jednak strony zaczyna patrzeć na mnie coraz bardziej podejrzliwie. Po raz pierwszy od chwili, w której się poznaliśmy, nasze wzajemne stosunki wyraźnie się ochłodziły - Podobna sytuacja jest na pewno równie przykra i bolesna dla nas obu. Nie jestem w stanie patrzeć na Jacka inaczej niż z sympatią, lecz gdy pomyślę o wszystkich ewentualnościach, o tym, co jest przecież naprawdę bardzo prawdopodobne i możliwe, wszystko wygląda zupełnie inaczej.

D. V. nalega, bym zaprosił ją do Melbury na partyjkę bilarda. Jak na kobietę jest oczywiście zaskakująco dobrym graczem i może bez trudu pokonać każdego z nas. To jej naleganie połączone jest z niegodziwymi próbami dręczenia mnie i bardzo w tej sytuacji niesmacznymi pochlebstwami. Znoszę to, gdyż oboje wiemy doskonale, o co w tym wszystkim tak naprawdę chodzi. Ustne deklaracje przyjaźni nie są przecież w stanie nikogo tutaj zwieść. Coś w rodzaju przyjaźni jednak między nami istnieje — również po stronie Diany — a przynajmniej ja chciałbym w to wierzyć. Sytuację, w jakiej się obecnie znalazłem, można by chyba uznać za najbardziej upokarzającą z możliwych, gdyby nie fakt, że Diana nie jest tak sprytna, jak myśli. Jej poglądy i zamierzenia wydają się bardzo logiczne i jednoznaczne, lecz ona sama nie jest w stanie aż na tyle kontrolować swych emocji, by udało się jej to wszystko zrealizować. Jest cyniczna, lecz nie tak bardzo, jak sama sądzi. Inaczej nie przejmowałbym się wcale jej postępowaniem. Dokąd mnie to doprowadzi? No właśnie. Bezgranicznie zdumiewa mnie moje zachowanie, brak zdecydowania, łagodność, dobrowolne poniżanie się.

Pytanie: Czy przyczyną tego, iż jako mężczyzna narodziłem się teraz na nowo, nie jest czasem moje pełne pasji zaangażowanie w sprawę niepodległości Katalonii? Jestem przekonany, że musi tutaj istnieć jakiś bezpośredni związek. Przy obecnym wietrze raport Bartholomeu powinien dotrzeć do Anglii za jakieś trzy dni.

— Stephen, Stephen, Stephen! — Głos dudnił na korytarzu, coraz, głośniej, aż w końcu głowa Jacka pojawiła się w drzwiach pokoju. — Och! Tutaj jesteś. Bałem się, że znów poszedłeś obserwować te swoje gronostaje. Posłaniec przywiózł ci małpę!

— Jaką małpę? — zapytał spokojnie Stephen.

— Bardzo zmarnowaną. W każdym zajeździe po drodze wychylała podobno kufel piwa i jest teraz najzwyczajniej w świecie pijana. Chciała oddać się Babbingtonowi.

— W takim razie to na pewno ta sprośna szympansica doktora Lloyda. Jego zdaniem cierpi na jakieś dziwne... rozdrażnienie narządów płciowych. Mamy wspólnie zoperować ją po moim powrocie.

Jack spojrzał na zegarek.

— Może przed wyjściem zagramy w karty? — zaproponował.

— Z wielką przyjemnością.

Karty szybko spadały na stół. Jedno po drugim następowały po sobie kolejne rozdania. Aubrey i Maturin grywali ze sobą już od dawna i doskonale znali nawzajem swój styl. Jack w zaskakujący sposób przechodził od ryzykowania wszystkiego dla zdobycia maksymalnej liczby punktów, do spokojnej i przemyślanej obrony, oznaczającej twardą walkę o każdą kartę. Stephen korzystał z osiągnięć Laplace'a w zakresie rachunku prawdopodobieństwa i z dobrej znajomości charakteru Jacka.

— Piątka.

— Źle.

— Czwórka.

— Do czego?

— Do waleta.

— Jeszcze gorzej.

— Trzy damy...

— Też źle. Grali dalej.

— Reszta jest moja. — Stephen powiedział z filozoficznym spokojem, przebijając samotnego króla

asem. — Dziesięć za karty plus to, co zostało. Razem będzie pięć gwinei. Będziesz miał okazję odegrać się w Londynie.

— Gdybym nie stracił moich kierów... — Jack roztrząsał przegraną — ...miałbym cię na muszce. Sprzyja ci ostatnio wprost niewiarygodne szczęście w kartach, Stephen.

— To raczej kwestia wprawy.

— Wprawy ? Skądże... Szczęście! Tylko i wyłącznie. Ostatnio zbyt dobrze ci się wiedzie. Byłbym niepocieszony, gdybyś przypadkiem zakochał się w tej samej co i ja kobiecie.

Cisza, jaka po tym zapadła, nie trwała dłużej niż sekundę, gdyż właśnie zameldowano im, że konie są już gotowe. Wypowiedziane przez Jacka słowa wciąż jednak wisiały między nimi jak nie dopowiedziana groźba, gdy w lodowatej mżawce kłusowali w stronę Londynu.

Deszcz przestał padać mniej więcej w połowie drogi, gdy posilali się w gospodzie „Pod Krwawiącym Sercem". Zza chmur wyjrzało radosne słońce, zobaczyli też pierwszą w tym roku jaskółkę, śmigającą jak pierzasty pocisk nad stawem w Edenbridge. Na długo przedtem, zanim znaleźli się „U Thackera", w ulubionej kawiarni oficerów marynarki, obaj zdążyli zapomnieć o urazie i znów wszystko było tak jak dawniej. Rozmawiali bez cienia wzajemnych uprzedzeń o morzu, służbie na okręcie, o przypuszczeniach, że przelotne ptaki mogą w nocy orientować się według gwiazd, wreszcie o włoskich skrzypcach, które Jack zamierzał kupić, i o odrastaniu kłów u słoni.

— Kogo ja widzę! Aubrey! — zawołał kapitan Foster, wstając zza stolika w loży na końcu sali. — Właśnie o panu mówiliśmy. Dosłownie pięć minut temu pożegnał nas Andrews. Opowiadał o balu, jaki wydał pan u siebie na wsi, w Sussex. Ponoć wszystko wypadło znakomicie. Tuzin panien na wydaniu, wszystkie piękne jak malowanie... Wiemy o wszystkim... — dodał z szelmowskim uśmiechem. — Czy mamy panu pogratulować?

— Nie. Właściwie nie, sir. Bardzo jednak panom dziękuję za życzliwość... Może trochę później, jak wszystko dobrze się ułoży...

— Tak trzymać! Tak trzymać! W przeciwnym razie gorzko będzie pan żałował. Wie pan... Jaki to ja byłem przystojny, te sto lat temu... Prawda, doktorze? Witam serdecznie. Czy nic mam racji? Jeśli pański przyjaciel dalej popłynie właściwym kursem, będzie miał szansę zostać dziadkiem. Mój wnuk ma już sześć zębów. Sześć! Wyobraża pan sobie?

— Nie spędzę u Jacksona zbyt wiele czasu — wyjaśnił Jack. Wybierał się właśnie do swego agenta pryzowego, który prowadził wszystkie jego sprawy finansowe. — Złupiłeś mnie dzięki twemu nieprawdopodobnemu szczęściu w kartach i potrzebuję teraz trochę gotówki. Do tego jeszcze te złe wiadomości z sądu Admiralicji... Pójdę potem na Bond Street. Nie wiem, co prawda, czy będę miał sumienie zapłacić za skrzypce aż tyle. Nie jestem przecież wirtuozem... Chcę jednak pograć na nich chociaż przez chwilę.

— Powinieneś sprawić sobie dobry instrument. Pamiętaj o tym, że w każdej minucie spędzonej na pokładzie „Cacafuego" zarabiałeś przecież na skrzypce z pracowni Amatich. Możesz z powodzeniem

odżałować te parę funtów. Nie warto odmawiać sobie przyjemności. Nie mamy ich przecież w życiu zbyt wiele.

— Naprawdę? Bardzo cenię sobie twoje zdanie, Stephen. Jeśli nie zamarudzisz zbyt długo w Admiralicji, zajdź, proszę, po drodze do tego sklepu. Trochę mi doradzisz.

Stephen wszedł do siedziby dowództwa floty, podał portierowi swoje nazwisko i natychmiast został poproszony dalej, z pominięciem osławionej poczekalni, w której jak zwykle tłoczyli się pozostający bez przydziału na okręty oficerowie. Zdenerwowani, posępni, niektórzy wręcz zabiedzeni, wszyscy łudzili się nadzieją, że ewentualna rozmowa zmieni sytuację, w jakiej się znaleźli. W przeważającej większości przypadków czekali na próżno.

Stephen został przyjęty przez pewnego starszego mężczyznę w czarnym surducie. Po pełnym szacunku powitaniu ów człowiek poprosił, by doktor zechciał łaskawie usiąść. Wyjaśnił, że sir Joseph dołączy do nich natychmiast po zakończeniu posiedzenia Rady, trwającego już o godzinę dłużej, niż przewidywano. Czarny Surdut zamierzał omówić tymczasem kilka najważniejszych spraw — do Admiralicji dotarł właśnie raport Bartholomeua.

— Zanim rozpoczniemy — powiedział Stephen — ośmielę się zauważyć, iż powinienem chyba korzystać z innego wejścia do budynku... A może następnym razem spotkamy się gdzie indziej? Dostrzegłem przypadkiem po drugiej stronie Whitehall pewnego człowieka, którego miałem wcześniej okazję widzieć w towarzystwie Hiszpanów z ambasady. Nie wiem, czy się nie mylę, może to tylko przypadek, lecz...

Do pokoju wszedł szybko sir Joseph.

— Doktorze Maturin! Przepraszam, że musiał pan czekać. Posiedzenie Rady bardzo się przeciągnęło. Witam serdecznie. Bardzo to uprzejme z pana strony, że zechciał pan w tak krótkim czasie stawić się na nasze wezwanie. Otrzymaliśmy właśnie raport Bartholomeua i chcielibyśmy zasięgnąć pańskiej opinii w kilku kwestiach, które w związku z tym pojawiły się tak niespodziewanie. Czy mogę kolejno je panu przedstawić? Jego Lordowska Wysokość bardzo prosił, bym już dziś wieczorem zapoznał go z rezultatami naszej rozmowy...

Brytyjski rząd doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, iż w Katalonii, hiszpańskiej prowincji lub raczej kilku prowincjach, w najbogatszym i najbardziej uprzemysłowionym regionie królestwa, coraz silniej odzywały się dążenia niepodległościowe. Wiadomo też było, że obecny pokój może nie potrwać długo — Francuzi w szaleńczym tempie budowali nowe okręty — i ewentualne oderwanie się Katalonii od Hiszpanii na pewno znacznie osłabiłoby koalicję, jaką Bonaparte mógł utworzyć na wypadek wojny. Wspominały o tym bardzo wyraźnie różne grupy katalońskich separatystów, kontaktujące się teraz z brytyjskim rządem, choć bez wątpienia kwestia ta już wcześniej wydawała się oczywista. Nie po raz pierwszy przecież Anglii zależało na tej części Hiszpanii i na osłabieniu potencjalnych nieprzyjaciół. Admiralicję interesowały oczywiście głównie katalońskie porty: stocznie, nabrzeża, składy, zaopatrzenie dla okrętów. Sama Barcelona stanowiła tutaj niewyobrażalną wprost wartość, a w grę wchodziły przecież i inne portowe miasta, wliczając w to Port Mahon na wyspie Minorce, będącej przecież jeszcze niedawno posiadłością brytyjską, która to tak nieoczekiwanie została oddana Hiszpanii przez polityków negocjujących ostatnie porozumienie

pokojowe. Marynarka wojenna, zgodnie z brytyjską tradycją niezależnych i nie porozumiewających się ze sobą służb wywiadowczych, prowadziła tutaj własną grę, wykorzystując w tym celu swoich ludzi. Wśród nich brakowało jednak osób mówiących po katalońsku, znających historię tej krainy i właściwie nikt nie był w stanie prawidłowo oszacować znaczenia różnych sił, roszczących sobie prawo do reprezentowania obozu niepodległościowego. W Anglii przebywało co prawda kilku kupców z Barcelony i Walencji, lecz było ich w sumie niewielu i wszyscy oni utracili na skutek wojny kontakt z krewnymi oraz przyjaciółmi. Stephen Maturin był więc najbardziej poważanym doradcą Admiralicji we wszelkich kwestiach związanych z Katalonią. Wiadomo było co prawda, że w młodości sympatyzował z rewolucjonistami, lecz nikt obecnie nie próbował kwestionować jego kompetencji, rzetelności i bezinteresowności. Szanowano również bardzo dorobek naukowy doktora; nikt inny jak sam naczelny lekarz floty zalecił, by praca o wodolecznictwie oraz uwagi o operacyjnym leczeniu pęcherza moczowego znalazły się w kuferku każdego okrętowego medyka. Przy Whitehall ceniono sobie więc Stephena Maturina o wiele wyżej niż w okolicach Champflower. Był przecież dyplomowanym lekarzem, po uniwersyteckich studiach, miał sporą posiadłość w okolicach Leridy, a jego ojciec połączony był więzami krwi z najprzedniejszymi rodami brytyjskiego imperium. Czarny Surdut i jego współpracownicy wiedzieli doskonale, że wykształcony lekarz, mówiący biegle po katalońsku i hiszpańsku, mógł poruszać się po Hiszpanii tak swobodnie, jakby był jej rodowitym mieszkańcem. Ktoś taki wydawał im się bez wątpienia wprost bezcennym agentem wywiadu — inteligentny, godny zaufania, dyskretny, głęboko zakonspirowany. Fakt, że doktor był katolikiem, stanowił tutaj tylko dodatkową zaletę. Chętnie wycisnęliby coś ze swoich sekretnych funduszy, byleby tylko udało się skłonić go do współpracy. Stephen niczego takiego jednak nie żądał. Delikatne próby wysondowania go w tej kwestii, nie przyniosły żadnego rezultatu. Najwyraźniej pieniądze nie miały tutaj znaczenia.

Maturin opuścił siedzibę Admiralicji bocznymi drzwiami, przeszedł przez park, potem skierował się w stronę Piccadilly i dalej na Bond Street. Jack, tak jak zapowiedział, był w sklepie, wciąż niezdecydowany.

— Coś ci powiem, Stephen. Nie jestem do końca pewny, czy to brzmienie mi odpowiada. Posłuchaj...

— Gdyby było dzisiaj troszkę cieplej — wtrącił sprzedawca — dźwięk byłby jeszcze doskonalszy. Szkoda, że nie słyszał pan, jak pan Galignani grał na tym wspaniałym instrumencie w zeszłym tygodniu, gdy paliliśmy jeszcze w piecu.

— No cóż... Dalej nie wiem... — stwierdził Jack. — Chyba powinienem jeszcze się zastanowić. Na dzisiaj wystarczy. Proszę zapakować mi tylko te struny i kalafonię. Niech pan odłoży dla mnie te skrzypce, a ja skontaktuję się jakoś z panem w przyszłym tygodniu... Stephen... — zagadnął, chwytając doktora za ramię, gdy wyszli już na ulicę. — Grałem na tych skrzypcach przez prawie godzinę i wciąż nie mogę się zdecydować. Przyszedłem od razu tutaj, gdyż nie zastałem Jacksona ani jego wspólnika. To bardzo dziwne, ponieważ byliśmy umówieni... Jeden z urzędników powiedział mi, że Jackson wyjechał z miasta i niedługo wróci, nie wiadomo jednak dokładnie, kiedy to nastąpi. Muszę jeszcze teraz przekazać moje wyrazy uszanowania Staremu Jarviemu i przypomnieć mu o swoim istnieniu, a potem możemy wracać do domu. Nie mam ochoty czekać na Jacksona.

W powrotnej drodze wjechali w deszcz dokładnie tam, gdzie go przedtem zostawili. Na dodatek

zerwał się nieprzyjemny wschodni wiatr. Koń Jacka zgubił podkowę i większą część popołudnia stracili na szukanie kowala, który okazał się ponurym drabem, zbyt głęboko wbijającym gwoździe. Było już ciemno, gdy znaleźli się na skraju lasu Ashdon. Do tego czasu świeżo podkuty wierzchowiec okulał, a do przebycia wciąż pozostawała jeszcze długa droga.

— Pozwól, mój drogi, że sprawdzę twoje pistolety. — Jack odezwał się, uważnie obserwując zarośla. — Z tego, co wiem, nie masz najmniejszego pojęcia o tym, jak powinny być osadzone skałki.

— Och, wszystko jest w porządku — szybko odparł Stephen. Nie chciał otwierać swoich olstrów; w jednym tkwiła teratoma, a w drugim słoik z arabską koszatką. — Czyżbyś sądził, że coś nam tutaj zagraża?

— To niebezpieczny odcinek drogi, zwłaszcza jeśli pomyśli się o tych wszystkich zdemobilizowanych po zakończeniu wojny żołnierzach. Niedaleko Aker's Cross napadli niedawno na karetę pocztową. Dalej, pokaż no mi te swoje pistolety. A to co? Tak myślałem...

— To teratoma — odpowiedział nadąsany Stephen.

— Teratoma? — zapytał Jack, trzymając ów niezwykły przedmiot w dłoni. — Jakiś granat?

— Potworniak. Czasem coś takiego tworzy się w jamie brzusznej. Bywa, że wewnątrz podobnego guza znajdują się długie czarne włosy, czasem zęby. W tym akurat są i zęby, i włosy, dlatego tak bardzo go sobie cenię. Pochodzi z brzucha pewnego bogatego kupca, pana Elkinsa z City.

— Boże! — zawołał Jack, odkładając teratomę do olstra i wycierając gwałtownie dłoń o grzbiet swojego wierzchowca. — Wolałbym, żebyś zostawił ludzkie brzuchy w spokoju. Domyślam się, że nie masz w ogóle broni?

— Nie mam...

— Nigdy nie dożyjesz do późnej starości — stwierdził Jack, zsiadając z konia. Pochylił się i uważnie obejrzał nogę kulejącego coraz bardziej zwierzęcia. — Niedaleko stąd jest oberża, wcale nie najgorsza, pół mili w bok od głównej drogi. Może byśmy tam zanocowali? Co ty na to?

— Tak bardzo obawiasz się rozbójników?

— Cały trzęsę się ze strachu i za chwilę chyba spadnę z konia. Na pewno nierozsądnie byłoby dać sobie nabić guza, lecz bardziej martwi mnie noga mojego konia. Poza tym... — dodał po chwili Jack — ...mam takie dziwne przeczucie. Nie bardzo chcę być dzisiaj w domu. To dziwne; jeszcze nie tak dawno bardzo mi na tym zależało. Rano byłem rześki i radosny jak marynarz na przepustce. Teraz wszystko wydaje mi się ponure i szare. Nie wiem dlaczego. Na morzu miewa się czasem przygnębiającą świadomość, że okręt nieuchronnie zbliża się do zawietrznego brzegu. Wiesz... Zła pogoda, mocno zrefowane górne żagle, ani śladu słońca. Od kilku dni nie ma jednoznacznie określonej pozycji, swoje położenie znasz z dokładnością około stu mil... I nagle w nocy czujesz, że zbliża się zawietrzny brzeg. Nic nie widać, lecz ty słyszysz już prawie zgrzyt skał, rozdzierających dno twojego okrętu... Czy ty też...

Stephen nie odpowiedział. Owinął się tylko mocniej płaszczem, broniąc się przed przenikliwym chłodem.

Pani Williams nigdy nie schodziła na śniadanie. Między innymi i to sprawiało, że pokój śniadaniowy w Mapes Court wydawał się bez wątpienia najweselszym pomieszczeniem w całym domu. Uchylone okna wychodziły na południowy wschód, uszyte z gazy firanki poruszały się lekko w promieniach porannego słońca, do wnętrza wpadał świeży zapach wiosny. Wnętrze było typowo kobiece: delikatne białe meble, zielony, świeżo wytrzepany dywan, krucha porcelanowa zastawa, kruche bułeczki z miodem i eleganckie panie pijące herbatę.

Jedna z owych pań, Sophie Bentinck, zdawała właśnie relację z uroczystego obiadu w zajeździe „Pod Białym Sercem". Jednym z zaproszonych tam gości był jej narzeczony, pan George Simpson.

— Wtedy rozpoczęły się toasty i gdy George zawołał: „Piję za Sophie!", kapitan Aubrey powiedział: „Och, ten toast wypiję aż trzy razy. Sophie to imię bardzo drogie memu sercu". Na pewno nie myślał wtedy o mnie... Przecież się nie znamy. — Mówiąca te słowa dziewczyna rozejrzała się po pokoju, z życzliwością szczęśliwie zaręczonej panny, która pragnie, by wszyscy dookoła byli tak samo zadowoleni z życia jak ona.

— I kapitan rzeczywiście wypił ten toast aż trzykrotnie? — Sophie zapytała z wyraźnym zaciekawieniem.

— Chodziło mu zapewne o nazwę okrętu, którym po raz pierwszy samodzielnie dowodził — szybko wtrąciła Diana.

— Oczywiście. Wiem o tym. — Sophie zarumieniła się nagle. — Wszystkie o tym wiemy.

— Poczta! — zawołała Frances, wybiegając z pokoju. Nastąpiła pełna wyczekiwania cisza. Rozejm. — Dwa listy do mamy, jeden dla Sophie Bentinck, z niebieską pieczęcią. To Kupidyn... Nie... Skrzydlata koza. Jeden dla Diany, też opieczętowany. Nie znam takiego herbu. Od kogo ten list, Diano?

— Frankie, zachowuj się, jak na dobrze ułożoną pannę przystało — skarciła Frances jej starsza siostra. — Nie powinnaś interesować się cudzymi listami. Należy udawać, że nic się o nich nie wie...

— Mama zawsze otwiera listy, które dostajemy. Szkoda tylko, że tak rzadko do nas przychodzą.

— Napisała do mnie po balu siostra Jammy'ego Balgrave'a — pochwaliła się Cecylia. — Podobno jej brat stwierdził, że tańczyłam jak łabędź. Mama była bardzo niezadowolona. Nakrzyczała na mnie i powiedziała, że to bardzo niestosowne porównanie, gdyż łabędzie wcale nie tańczą z powodu swych kaczych nóg. Śpiewają za to bardzo pięknie. Ja i tak zrozumiałam jednak, o co Jammy'emu chodziło... Czy mama pozwala ci otrzymywać listy? — zapytała, zwracając się do panny Bentinck.

— Och, oczywiście. Jesteśmy przecież zaręczeni i w naszym przypadku wszystko wygląda zupełnie inaczej — szybko wyjaśniła dziewczyna, spoglądając znacząco na swój zaręczynowy pierścionek.

— Tom, listonosz, wcale nie próbuje udawać, że nic mu nie wiadomo o cudzych listach —

zauważyła Frances. — On też nie wie, co to może być za pieczęć na liście Diany. Powiedział mi za to, że do Melbury przychodzi korespondencja z Londynu, Irlandii i Hiszpanii. Ostatnio z Hiszpanii był bardzo gruby list, za który odbiorca musiał naprawdę słono zapłacić!

Pokój śniadaniowy w Melbury Lodge również wydawał się radosny, na zupełnie inny jednak sposób: surowy mahoń, turecki dywan, masywne krzesła, zapach świeżo parzonej kawy, smażonego boczku, tytoniu i przemokniętych mężczyzn. Jack i Stephen spędzili cały poranek, wędkując i właśnie spożywali pierwszy tego dnia posiłek. Przykryty białym obrusem stół cały zastawiony był dzbankami z kawą, stojakami do grzanek, talerzami z wędzoną westfalską szynką i nie tkniętym dotąd plackiem. Na środku stołu leżał na półmisku dorodny, złapany dziś rano pstrąg.

— To ten złowiony pod mostem — zauważył Jack.

— Przepraszam, sir, poczta — zameldował Preserved Killick, wchodząc.

— Od Jacksona. — Aubrey oglądał listy. — Jest też coś od mojego prawnika. Ciekawe, co piszą... Przepraszam cię na chwilę, zobaczę, czy jest coś ważnego... Boże! —zawołał w kilka sekund później. — To nie może być prawda!

Stephen podniósł wzrok znad talerza i spojrzał na swego przyjaciela zaskoczony. Jack podał doktorowi przeczytany przed chwilą list. Pan Jackson, agent pryzowy, zbankrutował. Zlikwidował pospiesznie swoje interesy i uciekł z resztą pieniędzy do Boulogne, a jego wspólnik złożył wniosek o ogłoszenie upadłości firmy. Wierzyciele nie mogli mieć nadziei, że otrzymają więcej niż sześć pensów za funta długu.

— Co gorsza — Jack zaczął mówić dziwnie przyciszonym głosem — poleciłem temu draniowi, aby stopniowo inwestował wszystko, co zarobiłem na „Sophie". Sprawy niektórych pryzów ciągną się latami, jeśli właściciele składają apelacje... Jackson wypłacał mi drobne kwoty, które, jak twierdził, były odsetkami od mojego kapitału, lecz wszystko to okazało się potwornym oszustwem. Przechwytywał po prostu moje pieniądze do własnej kieszeni, w miarę jak sukcesywnie do niego spływały. Wszystko teraz przepadło. Co do grosza... — Umilkł na chwilę i stał nieruchomo przy oknie, wpatrzony w dal. W dłoni trzymał następny list. — Ten jest od mojego prawnika — wyjaśnił, złamawszy pieczęć. — Na pewno w sprawie tych nieszczęsnych neutralnych pryzów, których sprawa rozstrzygała się niedawno w sądzie. Boję się wręcz to czytać. No właśnie. Tego się obawiałem... Zostałem wyrzucony na zawietrzny brzeg, zmieniono werdykt, mam zwrócić jedenaście tysięcy funtów. Nie mam w tej chwili nawet jedenastu pensów... Naprawdę zawietrzny brzeg:.. Jak mam się teraz z tego wykaraskać? Pozostało mi tylko jedno wyjście. Muszę zrezygnować z myśli o awansie na stopień kapitana i poprosić o dowództwo na jakimś mniejszym okręcie. Muszę dostać okręt. Stephen, czy mógłbyś pożyczyć mi dwadzieścia funtów? Nie mam w tej chwili gotówki. Natychmiast jadę do Admiralicji. Nie ma ani chwili do stracenia. Och... Obiecałem przecież pojeździć konno z Sophie... Może zdążę przed wyjazdem...

— Skorzystaj z wynajętego powozu. Nie możesz zjawić się w Londynie zaniedbany i przemęczony.

— Masz rację. Tak właśnie zrobię, dziękuję. Killick!

— Tak jest, sir?

— Ruszaj do gospody „Pod Kozą" i zamów dla mnie bryczkę na jedenastą. Spakuj też moje rzeczy. Wyjeżdżam na kilka dni... Na tydzień.

— Jack... — Stephen zagadnął ostrożnie, gdy Killick wyszedł z pokoju. — Nie mów nikomu o tym, co cię spotkało. Bardzo cię proszę.

— Jest pan przeraźliwie blady, kapitanie — zawołała Sophie na widok Jacka. — Czy przypadkiem nie spadł pan znów z konia? Proszę wejść i usiąść w fotelu. Och, naprawdę powinien pan zaraz usiąść.

— Nie, dziękuję bardzo. W tym tygodniu ani razu nie wyleciałem z siodła — odpowiedział z uśmiechem Jack. — Skorzystajmy z tych resztek słońca. Jeśli będziemy zwlekać, zmoczy nas deszcz. Proszę tylko spojrzeć na te chmury na południowym zachodzie. Jaki piękny ma pani strój do konnej jazdy.

— Podoba się panu? Naprawdę? Mam go dziś na sobie po raz pierwszy — wyjaśniła, wciąż patrząc z niepokojem na twarz Jacka, która teraz niezdrowo się zarumieniła. — Może jednak pozwoli się pan poczęstować filiżaneczką herbaty? Woda zaraz się zagotuje.

— Ależ tak! Musi pan wejść chociaż na chwilę! — zawołała z okna pani Williams, próbując równocześnie zapiąć pod szyją kołnierzyk żółtej sukni. — Herbata zaraz będzie gotowa, a w małym saloniku jest świeżo napalone. Możecie posiedzieć tam chwilkę razem. Będzie wam ciepło i przytulnie. Sophie też ma na pewno ochotę na herbatę. Prawda, moje dziecko?

Jack ukłonił się z uśmiechem i ucałował dłoń dziewczyny. Jego determinacja zwyciężyła jednak — pomimo powtarzanych wielokrotnie zaproszeń nie wszedł do domu i zgodnie z wcześniejszym planem ruszyli oboje konno drogą z Foxdene w kierunku wzgórz.

— Czy naprawdę pan nie upadł? — Sophie zapytała znowu. Nie oznaczało to bynajmniej, iż nie wierzyła zapewnieniom kapitana. Chciała po prostu w ten sposób dać dowód swej troski o niego.

— Ależ skąd — odpowiedział Jack, patrząc w jej piękną, zwykle tak obcą twarz, na której tym razem bez trudu dostrzec można było sympatię, czułość i zaangażowanie. — Spadł na mnie jednak dzisiaj zupełnie nieoczekiwany i niezwykle bolesny cios... Droga Sophie... Mogę tak się do pani zwracać, prawda? Zawsze tak właśnie nazywam panią w myślach... Otóż gdy dowodziłem noszącym pani imię brygiem, zatrzymałem dwa neutralne statki, zmierzające do Marsylii. Z ich dokumentów wynikało, że owe jednostki żeglują z Sycylii do Kopenhagi z ładunkiem siarki. W chwili gdy je zauważyłem, kierowały się jednak prosto do portu w Marsylii. Znajdowałem się już wtedy w zasięgu dział baterii brzegowej na wzgórzu. Siarka miała zostać wyładowana we Francji.

Dla Sophie siarka była czymś, co wymieszane ze słodkim syropem podawano dzieciom w piątki. Wciąż pamiętała te nieprzyjemne okruchy między zębami. Widać to było z wyrazu jej twarzy i Jack wyjaśnił szybko:

— Siarka potrzebna jest do wyrobu prochu. Dlatego odesłałem te statki do Port Mahon, gdzie oba od ręki zostały uznane za zdobyte najzupełniej w zgodzie z prawem pryzy. Uznano, iż próba zawinięcia do francuskiego portu z podobnym ładunkiem, stanowi rażące pogwałcenie neutralności. Teraz jednak, po czasie, właściciele obu jednostek złożyli apelacje i sąd zdecydował, iż owe statki nie mogą zostać uznane pryzami, gdyż należy dać wiarę oświadczeniom ich kapitanów. Obaj stwierdzili, że szukali w porcie schronienia przed złą pogodą. Zła pogoda! Nie było prawie wiatru: drobniutka fala, żeglowaliśmy pod wszystkimi możliwymi żaglami, a wpadające do morza kule z trzydziestosześciofuntowych dział baterii brzegowej robiły na nieruchomej wodzie koła ćwierćmilowej średnicy.

— Och! Jakież to niesprawiedliwe! — zawołała z oburzeniem Sophie. — Cóż za podli ludzie. Jak mogli powiedzieć coś podobnego. Ryzykował pan przecież swoje życie, wyprowadzając te statki spod luf dział na brzegu. To przecież oczywiste, że siarka miała pozostać we Francji. Z pewnością ci niegodziwi kłamcy zostaną ukarani. Co można teraz zrobić? Co pan zrobi?

— Jeśli chodzi o wyrok sądu, nic już nie można poradzić. Ten werdykt jest ostateczny. Muszę jednak tam pojechać i zobaczyć, jakie inne kroki uda mi się przedsięwziąć... Co zdołam załatwić w Admiralicji.. . Jadę dzisiaj i przez jakiś czas mnie tutaj nie będzie. Nudzę panią opowieściami o moich problemach, gdyż pragnę, aby uwierzyła pani, że nie wyjeżdżam z Sussex z własnej woli i z lekkim sercem. O nie! Wcale nie jestem z tego powodu szczęśliwy.

— Och, wcale mnie pan nie nudzi. Absolutnie. Wszystko, co ma jakikolwiek związek z marynarką, bardzo mnie interesuje. Czy jednak wspomniał pan o dzisiejszym dniu? Powinien pan raczej położyć się i odpocząć.

— Muszę jechać dzisiaj. Niestety.

— W takim razie nie może pan jechać konno. Lepiej będzie, jeśli weźmie pan powóz.

— Ma pani rację. To samo poradził mi Stephen. Tak też zrobię. Zamówiłem już bryczkę z gospody „Pod Kozą".

— Cóż za wspaniały człowiek z tego doktora. Jest tak bardzo panu oddany. Prawdziwy przyjaciel. Tak... Musimy wracać. Natychmiast. Powinien pan odpocząć choć trochę przed podróżą.

Gdy się rozstawali, Sophie podała Jackowi dłoń i powiedziała z naciskiem:

— Będę się modliła, by panu się poszczęściło. Taka głupia dziewczyna z prowincji jak ja niewiele może tutaj pomóc, lecz...

— Och! Już jesteście! — zawołała pani Williams. — O czym rozmawialiście na przejażdżce? Ach, wybaczcie... Nie chcę być niedyskretna. Chyba dobrze się pan opiekował moją córką?

Dwaj sekretarze, na wypadek, gdyby któryś z nich zawiódł, pisali najszybciej, jak tylko potrafili:

„Do Markiza Kornwalii Milordzie,

Z jak największym szacunkiem oraz uwagą zaznajomiłem się z listem Waszej Lordowskiej Mości w sprawie awansu dla kapitana Bulla. Z niezwykłą przykrością muszę jednak powiadomić, iż w obecnej chwili nie jestem w stanie zrealizować tego życzenia. Mam zaszczyt być... i tak dalej..."

— Jak wam idzie, Bates?

— Dobrze, wasza wysokość.

„Do Pani Paulett

Szanowna Pani,

Nie jestem w stanie przyznać racji Pani argumentom na rzecz awansu dla kapitana Mainwaringa. Jest jednak coś niezwykle wzruszającego oraz chwalebnego w postawie siostry, wspierającej karierę brata i naprawdę nie mogę czynić Pani wyrzutów z powodu listu w tej sprawie. Dlatego też tak niezwłocznie na ów list odpowiadam. Jestem Pani... i tak dalej..."

„Do Sir Charlesa Greya

Drogi Sir Charlesie,

Porucznik Beresford prowadził nieuczciwą grę, chcąc dostać się do Irlandii i bardzo wiele stracił przez to w moich oczach. Jest odważny i zdecydowany, lecz równocześnie wydaje mu się, że arystokratyczne pochodzenie automatycznie zapewni mu awans, z pominięciem wielu znacznie bardziej przecież zasłużonych oficerów, o nienagannym przebiegu służby. Nie mogę tolerować takiej postawy. Odmówiłem już podobnym prośbom księcia Walii, księcia Clarence, księcia Kentu i księcia Cumberlandu, nie będzie więc Pan chyba zdziwiony, jeśli oświadczę stanowczo, iż również w tym przypadku nie zamierzam zmieniać swoich zasad. Moim zdaniem prowadziłoby to nieuchronnie do całkowitego rozkładu i upadku floty. Z uszanowaniem..."

„Do Księżnej Kingston

Droga Pani,

Całkowicie zgadzam się z opinią szanownej Pani o kapitanie Hallowsie, dowódcy „Frolic". Jest rzeczywiście gorliwy, ambitny i, gdyby nie pewne nadmierne poczucie niezależności oraz częsty brak zdyscyplinowania, byłbym skłonny, wyłącznie z uwagi na Pani osobę, w wymierny sposób docenić jego zasługi. Powstrzymuje mnie jednak przed tym również świadomość tego, jak liczna jest grupa starszych stażem i równie zasłużonych dowódców, mających niezaprzeczalne pierwszeństwo w otrzymaniu przydziału na którąkolwiek z tak niewielu obecnie, nie obsadzonych jednostek. Proszę o wybaczenie i równocześnie zapewniam, że przy innej, sposobniejszej okazji, będę naprawdę szczęśliwy, mogąc dać Pani dowód mojego wielkiego szacunku. Uniżony i pokorny sługa szanownej Pani..."

— Koniec z listami. Kto zapisał się na rozmowę?

— Kapitanowie: Saul, Cunningham, Aubrey i Small. Porucznicy: Roche, Hampole...

— Wystarczy mi czasu tylko dla pierwszych trzech.

— Tak, wasza lordowska mość.

Jack usłyszał za drzwiami wybuch rubasznego śmiechu, gdy pierwszy lord Admiralicji i Cunningham pożegnali się sprośnym dowcipem, prosto z oficerskiej mesy. Obaj panowie służyli kiedyś razem na tym samym okręcie i można było mieć nikłą nadzieję, że po wizycie przyjaciela St Vincent będzie w nieco lepszym nastroju.

Niestety. Dowódca marynarki nie miał najwyraźniej powodów do wesołości — zbyt poważnie traktował swe próby zreformowania floty. Przejmował się politycznymi rozgrywkami, rzucającymi mu kłody pod nogi politykami i niepewną większością własnej partii w parlamencie. Przywitał Jacka chłodnym i nieprzyjaznym spojrzeniem.

— Kapitanie Aubrey, był już pan u mnie w zeszłym tygodniu. Mam bardzo mało czasu. Pański ojciec, generał, przysłał aż czterdzieści listów do mnie i do pozostałych członków Rady. Oczywiście otrzymał odpowiedź, iż pomimo zdobycia „Cacafuego", nie przewiduje się obecnie awansu dla pana.

— Wasza lordowska mość, przyszedłem tu dzisiaj w innym celu. Rezygnuję z nadziei na stopień

kapitana. Liczę obecnie na to, że uda mi się zostać dowódcą kolejnego slupa. Mój agent pryzowy zbankrutował, sąd rozstrzygnął na moją niekorzyść apelację neutralnych armatorów i muszę teraz dostać jakiś okręt.

Aubrey mówił przyciszonym głosem, przejęty sytuacją i szczególną powagą miejsca, w jakim się znajdował. Stary lord St Vincent miał problemy ze słuchem i chyba nie do końca zrozumiał, o co Jackowi chodziło.

— Co to znaczy muszę?! — zawołał. — Od kiedy to dowódcy okrętów przychodzą do Admiralicji i oznajmiają, że muszą otrzymać przydział? Jeśli rzeczywiście musi pan zaokrętować, cóż miał znaczyć pański występ w Arundel? Wystrojony jak fircyk, paraduje pan po ulicach na czele zwolenników pana Babbingtona, a na dodatek okłada pałką uczciwych ludzi! Gdybym był tego świadkiem, surowo ukarałbym pana za nieprzystojne zachowanie. Na pewno nie pozwoliłby pan sobie wówczas w stosunku do mnie na podobne stwierdzenia. Jest pan po prostu bezczelnym awanturnikiem!

— Wasza wysokość... Źle się wyraziłem. Z pełnym szacunkiem pozwolę sobie wyjaśnić, iż używając owego nieszczęsnego słowa, chciałem tylko zaakcentować fakt, że bankructwo Jacksona zmusza mnie, bym błagał waszą wysokość o przydzielenie mi dowództwa. Rezygnuję równocześnie z wszelkich innych nadziei i oczekiwań. Jestem zrujnowany...

— Jackson? Rzeczywiście — stwierdził obojętnie St Vincent. — Jeśli nawet pańska nieroztropność kosztowała pana utratę całego majątku, nie może pan oczekiwać, że Admiralicja pomoże teraz panu ponownie się wzbogacić. To przecież bezcelowe. Pieniądze nie trzymają się głupców... Jeśli zaś chodzi o te neutralne pryzy, to wie pan przecież doskonale, że zajął je pan na swoje własne ryzyko. Należało odpowiednio się zabezpieczyć. Cóż pan jednak robi? Szasta pan pieniędzmi na lewo i prawo, planuje pan małżeństwo, choć wie pan, a raczej powinien pan wiedzieć, że jest ono dla oficera marynarki równoznaczne z zakończeniem kariery. Urządza pan też pijackie przyjęcia z okazji zwycięstwa torysów w wyborach uzupełniających... Jak pan śmie w takich okolicznościach przyjść tutaj i oświadczyć, że musi pan otrzymać kolejne dowództwo? Na dodatek pańscy krewni i przyjaciele zasypują mnie listami, w których twierdzą, iż musi pan zostać awansowany na stopień kapitana. Dokładnie takiego zwrotu użył książę Kentu, nakłoniony do tego przez lady Keith. Pańskie zwycięstwo nad „Cacafuego" w żaden sposób nie może być podstawą awansu. Cóż ma więc znaczyć pańskie oświadczenie, iż „rezygnuje pan ze swoich oczekiwań i nadziei"? Sprawa jest prosta. Najzwyczajniej w świecie nie ma pan czego oczekiwać.

— Wasza wysokość, ośmielam się przypomnieć, że „Cacafuego" to uzbrojona w trzydzieści dwa działa fregata...

— Statek korsarski.

— Tylko z powodu jakichś kruczków prawnych! — powiedział Jack, podnosząc głos.

— Jak pan się do mnie odzywa? Czy zapomniał pan, gdzie się pan znajduje i z kim rozmawia?

— Proszę mi wybaczyć...

— Zdobył pan statek korsarski, dowodzony przez nie wiadomo kogo, płacąc za to życiem trzech członków doborowej załogi slupa jego królewskiej mości i śmie pan twierdzić, że zasłużył sobie w ten sposób na awans?

— Było też ośmiu rannych. Jeśli potyczki mają być oceniane według listy ofiar, ośmielam się przypomnieć, że okręt flagowy waszej wysokości miał w bitwie pod St Vincent jednego zabitego i pięciu rannych.

— Czyżby pozwalał pan sobie porównywać wielką bitwę morską z...

— Z czym, sir? — zawołał Jack, a jego oczy poczerwieniały. Podniesione głosy ucichły nagle. Drzwi gwałtownie się otworzyły.

Czekający na korytarzu ludzie zobaczyli, jak kapitan Aubrey energicznym krokiem wychodzi z gabinetu dowódcy floty i szybko zbiega po schodach w stronę wyjścia na dziedziniec.

Doktor zapisał w dzienniku:

3 maja. Prosiłem go, by nie mówił nikomu o swojej obecnej sytuacji. Teraz o wszystkim wie już cała okolica. Mój przyjaciel nie ma zupełnie pojęcia o kobiecej naturze i dla niego kobiety są tylko obiektem pożądania (czasem tak gorącego). Nie miał siostry, a jego matka zmarła, gdy był małym dzieckiem. Biedak nie jest więc w stanie uzmysłowić sobie sprytu i diabelskiej przewrotności pani W. Ta pozbawiona wszelkich skrupułów niewiasta wycisnęła zapewne w jakiś sposób z Sophie wszystkie informacje i z niezdrową gorliwością rozpowiedziała o wszystkim w sąsiedztwie. Z tym samym dziwnym pośpiechem i zaangażowaniem wysłała swe córki do Bath. Posłużyła się szantażem — użyła jako argumentu swego zdrowia, licząc na czułe serce i posłuszeństwo Sophie. Nic prostszego. Nie było tym razem narzekania, zwykłego u pani W. w takich sytuacjach, obeszło się bez trwającego nawet miesiąc ociągania. Tym razem nie zwlekała nawet tygodnia. Wyjazd nastąpił po dwóch zaledwie dniach wzmożonej aktywności. Gdyby to wszystko zdarzyło się chociaż o tydzień później i gdyby Sophie zdążyła przyjąć oświadczyny Jacka, ów dziwny pośpiech niczego by już nie zmienił. Tak konsekwentna i odpowiedzialna dziewczyna na pewno nie pozwoliłaby na zerwanie zaręczyn, niezależnie od zaistniałych okoliczności. Niestety. Sprawy nie mogły potoczyć się gorzej: rozłąka, rozczarowanie, skłonność J.A. do ulegania zwierzęcym instynktom (właściwa zresztą wszystkim młodym mężczyznom), niestałość...

Jakże okrutną i podłą osobą jest pani Williams. Nie wiedziałbym nic o ich wyjeździe, gdyby nie liściki od D. V. i potajemna wizyta zatroskanej Sophie. Biedactwo. Nie jest przecież młodsza od swej kuzynki, lecz wciąż przypomina małą dziewczynkę. Dianę postrzegam w zupełnie inny sposób, choć i ona zapewne musiała być wspaniałym dzieckiem. Chyba podobnym do Frances — takie samo niewinne i bezwzględne okrucieństwo. .. Tak... Nasze panie wyjechały. Cóż za cisza. Jak ja powiem o tym Jackowi? Czuję się teraz tak, jakbym miał znienacka uderzyć go w twarz.

Stephen niepotrzebnie tak się martwił. Wszystko poszło bardzo gładko.

— Dziewczęta wyjechały — zaczął ostrożnie. — Pani Williams we wtorek zabrała je do Bath. Sophie była tu u mnie i powiedziała, że bardzo jej przykro z powodu wyjazdu.

— Czy zostawiła dla mnie wiadomość? — zapytał Jack, a jego ponura twarz nieco pojaśniała.

— Nie. Niezupełnie. Chwilami trudno mi ją było zrozumieć, tak była zdenerwowana. Znajdowała się przecież w bardzo niezręcznej sytuacji; niezamężna kobieta odwiedzająca w pojedynkę samotnego mężczyznę... Tu w Champflower czegoś takiego jeszcze nie było. Z tego co powiedziała, udało mi się jednak wywnioskować, że nie wyjeżdża z Sussex z własnej woli i z lekkim sercem.

— Czy nie sądzisz, że mógłbym do niej po kryjomu napisać, adresując list do Diany Villiers?

— Pani Villiers wciąż jest w Mapes Court — chłodnym tonem wyjaśnił Stephen. — Nie pojechała do Bath.

Sytuacja, w jakiej znalazł się Jack, stała się publiczną tajemnicą. Wiadomości o neutralnych pryzach ukazały się w londyńskich gazetach, w okolicy mieszkało też wielu oficerów marynarki. Niektórzy z nich ucierpieli finansowo w związku z bankructwem Jacksona i doskonale zdawali sobie sprawę z rozmiarów katastrofy. Jakby tego było mało, młoda żona generała Aubreya dziewiętnastego maja powiła w Woolhampton syna. Ów fakt stał się szczególną pointą całej tej przykrej sprawy.

Pani Williams triumfowała:

— Opatrzność miała nas w swojej opiece, moje drogie. A mówiono nam przecież, że ten młodzieniec to typ spod ciemnej gwiazdy, rozpustnik i hulaka. Pamiętacie na pewno, że od początku mi się nie podobał. Mówiłam, że ma coś nie w porządku z ustami... I te jego oczy też wydały mi się nie takie jak trzeba. Tak. Znam się na ludziach. Nigdy się nie mylę.

- Och, mamo! — zawołała Frances. — Powiedziałaś, że to prawdziwy dżentelmen... I do tego bardzo przystojny.

— Nieprawda. Mężczyzna nie musi być urodziwy. Ważne, co sobą reprezentuje — oburzyła się pani Williams. — Proszę natychmiast iść do swojego pokoju. Patrzcie ją, jaka przemądrzała! Za karę nie dostaniesz puddingu. Cóż za brak szacunku.

Wkrótce okazało się, że również i inni ludzie nigdy nie darzyli Jacka sympatią. Krytykowano teraz jego usta, podbródek, oczy, kosztowne rozrywki, konie, chęć posiadania własnej sfory psów gończych. On sam znał ten obyczaj bardzo dobrze, wiele razy miał okazję obserwować z boku podobne sytuacje, lecz owo ogólne potępienie okazało się znacznie bardziej bolesne, niż mógł tego oczekiwać. Kupcy nagle zaczęli traktować go z ostrożną nieufnością, u sąsiadów dostrzegał coraz wyraźniejszy brak szacunku, czasem wręcz lekceważenie.

Posiadłość w Melbury Lodge została wydzierżawiona na rok, czynsz opłacono z góry, domu nie można było wynająć komuś innemu, ewentualna przeprowadzka nie miała więc większego sensu. Jack zaczął oszczędzać; sprzedał zbędne konie, swoich ludzi poinformował, że niestety muszą odejść, gdy tylko uda im się znaleźć nowe miejsca pracy, przestał też zapraszać gości na obiady. Jego wierzchowce były naprawdę wspaniałe i jeden z nich został sprzedany po cenie kupna, co wystarczyło na spłatę lokalnych długów. Było to jednak stanowczo za mało, by kapitan Aubrey mógł w pełni odzyskać utracone zaufanie. W Champflower chętnie wierzono nawet w urojone fortuny

(majątek kapitana szacowano wcześniej bardzo wysoko), lecz jednocześnie bardzo pogardzano biedakami.

Jack został właściwie wykluczony z towarzystwa. Nie tylko dlatego, iż zanadto zajęty był teraz własnymi sprawami. Stał się też bardzo drażliwy. Irytowały go nawet najbardziej błahe przypadki zupełnie nie zamierzonego lekceważenia. Nie zapraszano go więc na obiady, ostatnio bywał już tylko w Mapes Court. W obecności proboszcza z żoną oraz siostrą pani Villiers mogła, nie urażając niczyjego poczucia przyzwoitości, przyjmować u siebie również i panów z Melbury Lodge.

Właśnie po jednej z takich wizyt Jack i Stephen powiedzieli sobie dobranoc, tuż po tym jak rozsiodłali i odprowadzili do stajni swoje wierzchowce.

— Zdaje mi się, że nie masz dziś ochoty pograć w karty? — zapytał Aubrey, zatrzymując się na schodach i spoglądając w dół na stojącego w holu Maturina.

— Nie mam ochoty — odparł doktor. — Jestem trochę rozkojarzony. Jak się okazało, Stephen rzeczywiście miał inne plany i jego myśli błądziły gdzie indziej. Już wkrótce ruszył ich śladem, krocząc szybko w ciemności przez Polcary Down. Starannie wyminął grupkę kłusowników koło Gole' s Hanger, potem zatrzymał się pod kępą wierzb, kołyszących się i skrzypiących na wietrze, nieopodal Mapes Court. Mimo wielu modernizacji wiekowemu domostwu wyraźnie brakowało symetrii i najstarsze skrzydło tej szczególnej budowli kończyło się przysadzistą basztą z jednym oświetlonym oknem. Stephen ruszył teraz, prawie biegnąc, ścieżką między grządkami warzywniaka. Serce biło mu coraz mocniej i gdy stanął wreszcie przed małymi drzwiami u stóp wieży, słyszał to szalone kołatanie równie wyraźnie jak odległe szczekanie psów. Ostrożnie dotknął klamki, a na jego twarzy pojawiła się rezygnacja i świadomość porażki. „Za każdym razem, gdy staję u tych drzwi, łudzę się, że znajdę za nimi szczęście" — pomyślał, zwlekając przez chwilę. Delikatnie spróbował zamka. Mechanizm zadziałał bezszelestnie.

Maturin powoli wspiął się po kręconych schodach na pierwsze piętro, do mieszkanka Diany. Tworzyły je mały salonik i sypialnia, całość połączona była z resztą budynku długim korytarzem, kończącym się przy głównych schodach. W saloniku nie było nikogo. Stephen usiadł na kanapie i z uwagą zaczął przyglądać się wyszywanemu złotą nitką indyjskiemu sari, przerabianemu właśnie na europejską suknię. W złotawym świetle lampy złote tygrysy rozrywały na strzępy oficera Kompanii Wschodnioindyjskiej, leżącego na zakrwawionej ziemi z butelką brandy w dłoni. Czasem butelka była w lewej, czasem w prawej ręce - wzór miał wiele rozmaitych wariacji.

— Spóźnił się pan, doktorze — powiedziała Diana, wchodząc do saloniku ze swej sypialni. Ubrana była w przykryty dwoma szalami peniuar, a jej twarz wydawała się zmęczona i mało przyjazna. — Właśnie kładłam się do łóżka. Może pan jednak posiedzieć pięć minut, skoro pan przyszedł. Och, ma pan takie zabłocone obuwie.

Stephen zdjął buty i wystawił je za drzwi.

— Przy norach królików spotkałem paru opryszków z wnykami. Musiałem zejść z drogi — wyjaśnił. — Umie pani po mistrzowsku wprawiać mnie w zakłopotanie...

— A więc znów szedł pan tutaj po kryjomu, piechotą? Czy nie wolno panu wychodzić w nocy? Można by pomyśleć, że wziął pan ślub z tym człowiekiem. Tak przy okazji... Jak tam jego sprawy? Wydawał się dziś bardzo radosny. Tak beztrosko żartował z Annie Strode, tą głupią gąską.

— Obawiam się, że nic się nie poprawiło. Właściciele statków są chciwymi, brutalnymi, prymitywnymi i pozbawionymi skrupułów ludźmi. A może raczej żarłocznymi padlinożercami, sępami bez skrzydeł, zdolnymi do najgorszych podłości.

— Przecież lady Keith... — pani Villiers urwała nagle. List od lady Keith dotarł do Melbury dziś rano i nie wspominano o tym przy obiedzie. Stephen z wielką uwagą oglądał wzór wyszyty na sari i zauważył, że oficer kompanii miejscami wydawał się radosny, wręcz bliski ekstazie, gdzie indziej zaś konał w agonii. — Nie ma pan prawa oczekiwać ode mnie wyjaśnień — szybko powiedziała Diana. — Spotkaliśmy się przypadkiem, na konnej przejażdżce. Nie jestem przecież pańską własnością. To prawda, że raz lub dwa razy pozwoliłam się panu pocałować. Po prostu przychodził pan tutaj akurat w chwilach, gdy byłam gotowa skoczyć do studni lub zwariować. Chciałam wyrwać się z tego kieratu, z tego ponurego domu, w którym przyszło mi mieszkać z garstką bezzębnych służących. Nie ma pan jednak do mnie żadnych praw. Nie jesteśmy kochankami. Nigdy nie byliśmy.

— Wiem o tym — powiedział spokojnie Stephen. — Nie musi mi też pani niczego wyjaśniać. Nie oczekuję tego. Wszelki przymus prowadzi do kresu przyjaźni, zadowolenia i radości. — Przerwał na chwilę. — Moja droga, czy mógłbym się czegoś napić?

— Och! Proszę mi wybaczyć — zawołała, z nieco śmieszną po jej poprzednich słowach uprzejmością. — Na co ma pan ochotę? Porto? Brandy?

— Brandy, jeśli mogę prosić. Czy widziała pani kiedyś tygrysa?

— Och, tak — Diana odpowiedziała obojętnie, szukając tacy i karafki. — Kilka zastrzeliłam. Nie mam tu odpowiednich kieliszków. Oczywiście siedziałam wtedy bezpiecznie na słoniu. Często można spotkać tygrysy w drodze z Maharinghee do Bania lub w delcie Gangesu. Czy odpowiada panu ta szklaneczka? Potrafią przepływać z wyspy na wyspę. Widziałam kiedyś, gdy jeden wchodził do wody tak zdecydowanie jak koń. Płyną głęboko zanurzone, z uniesionymi głowami, ciągnąc

za sobą daleko z tyłu ogon. W tej przeklętej baszcie jest tak zimno. Od chwili powrotu do Anglii nie miałam okazji tak naprawdę się ogrzać. Idę do łóżka, to jedyne ciepłe miejsce w tym domu. Może pan przyjść i posiedzieć przy mnie chwilkę, gdy wypije pan brandy.

Mijały kolejne dni, złote dni, przesycone zapachem siana — piękny początek lata. Wszystkie sprawy komplikowały się jednak coraz bardziej i w przypadku Jacka był to tylko zmarnowany czas, jeśli nie liczyć dwóch wyjazdów do Bath, do lady Keith. Za pierwszym razem odwiedził też goszczącą u krewnych panią Williams, a za drugim, zupełnie przypadkiem, spotkał się z Sophie w Pump Room. Wrócił podekscytowany, wzburzony, znacznie jednak bardziej podobny do pogodnego i energicznego człowieka, jakim był jeszcze nie tak dawno. Takim przynajmniej zawsze widział go Stephen.

Postanowiłem z tym skończyć— zapisał doktor w swoim dzienniku. — *Nie daję szczęścia, od nikogo też go nie otrzymuję. Moje opętanie nie ma ze szczęściem nic wspólnego. Napotykam tylko*

obojętność, która lodowatym chłodem przeszywa moje serce. I nie tylko serce... Obojętność, cynizm, a do tego jeszcze chęć sprawowania władzy, ciągle dyktowanie warunków, zazdrość, fałszywa duma i próżność. Wszystko poza brakiem odwagi. Fałszywe opinie, ignorancja, zła wiara, zmienność, dodałbym do tego i okrucieństwo, gdybym był w stanie zapomnieć o naszym pożegnaniu w tamtą niedzielną noc, niewyobrażalnie patetycznym jak na osobę o tak nieokiełznanej naturze. Ową szczególną niezależność, połączoną z wyjątkowym wdziękiem, można by chyba nawet uznać za zaletę, nieprawdaż? Niczego to jednak nie zmieni. Nie mam zamiaru bardziej się angażować. Już nie. Jeśli ten flirt z Jackiem potrwa dłużej, pójdę swoją drogą. Mój przyjaciel może nagle uświadomić sobie, że starał się tak bardzo tylko po to, by cierpieć w wyniku zadanej samemu sobie rany. Podobnie może wyglądać sprawa z Dianą — Jack nie jest przecież mężczyzną, z którym można bezkarnie grać w kotka i myszkę. Lekkomyślne postępowanie tej kobiety martwi mnie bardziej, niż jestem to w stanie wyrazić. Zachowuje się absolutnie niezgodnie z zasadami, które, jak sama twierdzi, stanowią jej życiowe credo. To, co czyni, nie zgadza się nawet z jej naturą. Diana nie może teraz wyjść za niego. Co nią kieruje? Nienawiść do Sophie? Do pani W.?

Jakaś nieokreślona chęć zemsty? Chęć poigrania z ogniem w magazynie pełnym prochu?

Zegar wybił godzinę dziesiątą. Za pół godziny Stephen miał spotkać się z Jackiem przy arenie do walki kogutów w Plimpton. Wyszedł więc z mrocznej biblioteki na zalany słońcem dziedziniec, gdzie spokojnie czekał ołowianoszary muł. Zwierzę patrzyło zaciekawione na drogę, daleko za stajnie. Maturin również spojrzał w tę stronę i zobaczył listonosza kradnącego gruszkę z drzewa w kuchennym ogrodzie.

— Podwójny list dla pana, sir — ostrożnie powiedział listonosz. W kącikach jego ust wciąż jeszcze lśniły kropelki gruszkowego soku. Czy doktor coś widział? Stąd do ogrodu jest przecież tak daleko. — Dwa szylingi i osiem pensów, jeśli pan pozwoli. I dwa listy dla kapitana. Jeden już opłacony, drugi z Admiralicji...

— Dziękuję bardzo. — Stephen odebrał przesyłki i zapłacił należność. — Chyba za gorąco dzisiaj na spacery z torbą pełną korespondencji.

— O tak, sir. To prawda. — Listonosz uśmiechnął się z ulgą. — Byłem na plebanii i u Crokera, a potem u doktora Vininga... Doktor dostał dziś list od swego brata z Godmersham, więc chyba w niedzielę będzie miał gości. Zaniosłem też do młodego pana Savile'a kolejny list od narzeczonej. Nie ma chyba na świecie drugiej piszącej tak często i tak dużo damy. Będę szczęśliwy, gdy wreszcie się pobiorą i zamiast wysyłać do siebie listy, zaczną po prostu rozmawiać.

— Jest naprawdę bardzo gorąco. Radzę spróbować soczystej gruszki. To najlepszy sposób na pragnienie. Poprawia też humor.

Gdy Stephen wszedł do budynku mieszczącego arenę, walki kogutów już się rozpoczęły. Wewnątrz ujrzał ciasny krąg farmerów, handlarzy, Cyganów i okolicznych dżentelmenów. Wszyscy wydawali się zanadto podekscytowani, jedyną godną tutaj uwagi rzeczą była pełna zawziętości odwaga walczących pośrodku ptaków.

— Kto stawia na pstrokatego?! Równe szanse! Kto stawia na pstrokatego?! — wołał wysoki Cygan z szyją przewiązaną czerwoną chustką.

— Ja stawiam — oświadczył Jack. — Pięć gwinei, właśnie na pstrokatego.

— Przyjmuję. — Cygan powiedział szybko, rozglądając się dookoła. Jego oczy zwęziły się, a w głosie zadźwięczała żartobliwa, przymilna nuta. — Pięć gwinei, szanowny panie? To sporo jak na takiego biednego wędrowca jak ja i licho opłacanego dowódcę okrętu. Może sprawdzimy, czy mamy aż tyle? — Ułożył w rzędzie na drewnianej poręczy pięć złotych monet. Jack wysunął do przodu dolną szczękę i przy każdym z lśniących krążków położył jeden własny. Oba koguty były już na arenie. Zanim zostały wypuszczone, ich właściciele przez chwilę ściskali je czule i szeptali coś do dumnych, przyozdobionych czerwonymi grzebieniami głów. Dwa ptaki podchodziły teraz do siebie ostrożnie, z godnością, zataczając szerokie łuki i już po chwili zwarły się w walce. Dokładnie w tej samej chwili wyskoczyły w górę, zamigotały umocowane do nóg stalowe ostrogi. Jedno za drugim następowały kolejne, rozgrywane w powietrzu tuż nad ziemią starcia. Na środku areny wirował teraz pierzasty kłąb, a dookoła rozlegały się dzikie okrzyki podnieconych walką kibiców.

Pstrokaty kogut stracił jedno oko, spod drugiego strumieniem ciekła krew. Zataczając się, wciąż stawiał jednak czoło przeciwnikowi, wypatrując go w krwawej mgle. Ujrzał niewyraźny cień i skoczył naprzód, tylko po to, by otrzymać śmiertelną ranę. Nie skonał jednak od razu, stał jeszcze przez chwilę, a stalowe ostrogi rozdzierały na strzępy jego grzbiet. W końcu upadł na arenę, przygnieciony ciężarem rywala. Zwycięzca zbyt był jednak pokaleczony, by mógł o własnych siłach podnieść się i zapiać triumfalnie.

— Wyjdźmy na zewnątrz — zaproponował Stephen. — Chłopcze, przynieś nam dzbanek wiśniowego wina. Będziemy na ławce, na dworze. Czy teraz zauważyłeś wreszcie, że jestem? — znów zwrócił się do Jacka.

— I to ma być wiśniowe wino? — Maturin zawołał po chwili, nie doczekawszy się odpowiedzi. — Ten łapserdak ma czelność nazywać coś podobnego winem! Mam listy dla ciebie, Jack.

— Ten pstrokaty nie chciał tak naprawdę walczyć — powiedział Aubrey ze smutkiem.

— To prawda. Ale bił się dzielnie. Dlaczego na niego postawiłeś?

— Spodobał mi się. Chodził, kołysząc się na boki, jak marynarz. Nie był typowym zadziornym kogutem, lecz gdy już znalazł się na arenie, gdy go sprowokowano, walczył do upadłego. Nawet, gdy nie było już nadziei. Nie żałuję, że go wybrałem. Zrobiłbym to jeszcze raz. Czy mówiłeś może coś o korespondencji?

— Tak. Mam dwa listy dla ciebie. Nie krępuj się moją obecnością.

— Dziękuję ci, Stephen. Admiralicja potwierdza otrzymanie mojego pisma z siódmego bieżącego miesiąca. Drugi list jest z Bath. Zaraz zobaczę, co Queenie w nim napisała... O Boże!

— Coś się stało?

— O Boże... — powtórzył Jack, uderzając pięścią w kolano. — Chodźmy stąd. Sophie wychodzi za mąż.

Przejechali stępa już prawie milę, a Jack wciąż mówił coś do siebie. Mamrocząc, wypowiadał jakieś urywane fragmenty zdań, pomieszane z pozbawionymi ze sobą związku pojedynczymi słowami.

— Queenie pisze z Bath — powiedział wreszcie — że człowiek o nazwisku Adams, właściciel wielkiej posiadłości w Dorset, poprosił Sophie o rękę. Szybko to poszło, daję słowo. Nigdy bym się tego po niej nie spodziewał.

— Czy to nie jakaś przypadkowo zasłyszana plotka?

— Ależ skąd! Lady Keith była u pani Williams w mojej sprawie. Sądziłem, że dzięki temu będę mógł tam bywać, pomimo mojej obecnej sytuacji. Queenie ma przecież bardzo rozległe koneksje.

— Na pewno. Myślałeś, że znajomość z nią zaimponuje pani Williams?

— Właśnie. Dlatego Queenie wybrała się z wizytą, a pani Williams, rozpromieniona, opowiedziała jej o wszystkim. Opisała nawet szczegółowo majątek przyszłego zięcia. Czy wierzysz, że Sophie mogła zrobić coś takiego?

— Nie. Wątpię w prawdziwość tej relacji w pewnym bardzo istotnym punkcie. Nie przypuszczam, by ów człowiek oświadczył się bezpośrednio Sophie, tak jak to napisano. Chodzi tu chyba raczej tylko o propozycję złożoną matce. Tak mi się przynajmniej zdaje.

— Boże, tak chciałbym być teraz w Bath — mówił cicho Jack, a jego oblicze poszarzało w gniewie. — Kto mógł przypuszczać, że ona pozwoli sobie na coś podobnego. Ta jej szczera i niewinna twarz... Przysiągłbym... Tak słodkie i czułe słowa zaledwie kilka dni temu... Sprawy posunęły się już tak daleko! Oświadczyny! Pomyśl o trzymaniu za rękę, westchnieniach, spoglądaniu w oczy... A wydała mi się taka uczciwa...

Stephen próbował tłumaczyć, że mogło tu zajść jakieś nieporozumienie, że wszystko należało jeszcze wyjaśnić, a pani Williams zdolna przecież była do wszelkich sztuczek. Równie dobrze jednak mógł mówić do swojego muła. Jack nie zmienił zdania. Z tym samym zawziętym wyrazem twarzy stwierdził, że po prostu się pomylił. Sądził, że tym razem nareszcie udało mu się znaleźć prostolinijną i oddaną dziewczynę, że nie będzie nieuczciwości, zakłamania i komplikacji. Nie zamierzał więcej o tym rozmawiać. Gdy dojechali do skrzyżowania w Newton Priors, powiedział:

— Stephen, wiem, że jesteś mi naprawdę życzliwy i chcesz dla mnie jak najlepiej. Muszę jednak teraz być sam. Pojadę przez wzgórza do Wivenhoe. Wybacz mi, lecz nie zniósłbym niczyjego towarzystwa. Nie będziesz chyba potrzebował swojego kuca? Nie czekaj też z kolacją. Zjem coś po drodze.

— Killick, zanieś do pokoju kapitana trochę szynki i dzbanek piwa — polecił Stephen. — Wróci dziś chyba bardzo późno. Ja też wychodzę.

Z początku szedł powoli, oddychał bez trudu, a serce biło w swym zwykłym rytmie. Z czasem jednak,

gdy z tyłu zostały pierwsze mile tak dobrze znanej drogi i rozpoczęła się wspinaczka na wzgórze Polcary, narzucił sobie znacznie szybsze tempo. Coraz bardziej przyspieszał kroku i gdy dotarł na szczyt, serce bez trudu nadążało za tykającym szybko zegarkiem. „Dokąd tak gnasz" — pomyślał z uśmiechem, sprawdzając tętno. „To prawda, że nigdy jeszcze dotąd nie wspiąłem się tutaj tak szybko. Jestem nieźle wytrenowany. Dobrze zrobiły mi te spacery. Na pewno żałośnie teraz wyglądam, taki zdyszany. Dobrze, że jest ciemno..."

Poruszał się teraz znacznie wolniej; wytężając wszystkie swe zmysły, próbował wykryć najmniejszy nawet ruch koło Gole's Hanger lub na biegnącej w dole drodze. Daleko z prawej strony słychać było szukającego łani jelenia, po lewej krzyknął zabijany przez drapieżnika królik — zapewne ofiara polującej sowy. Niżej, między drzewami, majaczyło uśpione domostwo i przysadzista wieża z jednym jasno oświetlonym oknem.

Stephen dotarł wreszcie do kępy wierzb, cichych teraz i pokrytych liśćmi. Dom widać stąd było w całej okazałości. Pod drzewami doktor znalazł swego własnego kucyka, uwiązanego do gałęzi leszczyny. Rozpoznał zwierzę od razu, zanim jeszcze rozległo się ciche rżenie. Stanął w miejscu jak wryty. Dopiero gdy konik odezwał się po raz drugi, Maturin podszedł bliżej, potem delikatnie pogładził chrapy i grzbiet uradowanego kuca. Przez chwilę wpatrywał się w jasną plamę światła, wreszcie odwrócił się i odszedł powoli. Po jakichś stu jardach, gdy drzewa przesłoniły już wieżę, znieruchomiał, położył dłoń na sercu, po chwili znów ruszył przed siebie. Szedł teraz niezdarnymi krokami, wolno i ociężale, potykając się o wyboje. Tylko dzięki niesamowitemu wysiłkowi woli poruszał się do przodu.

— Jack, chyba będziemy musieli się rozstać — powiedział rano przy śniadaniu. — Sprawdzę, czy w karecie pocztowej znajdzie się dla mnie wolne miejsce.

— Chcesz wyjechać? — Jack zawołał zdumiony. — Chyba żartujesz?

— Nie czuję się zbyt dobrze i chciałbym trochę zmienić klimat. Pojadę w moje rodzinne strony.

— Rzeczywiście nie wyglądasz zbyt dobrze. — Jack patrzył teraz na swego przyjaciela z uwagą i głęboką troską. — Tak bardzo byłem zajęty swoimi cholernymi sprawami, że w ogóle nie zwróciłem na to uwagi. Tak mi przykro, Stephen. Na pewno nudzisz się tu sam z Killickiem, bez reszty towarzystwa. Mam nadzieję, że to nic poważnego, że nie jesteś chory. Przypominam sobie teraz, że ostatnio rzeczywiście wyglądałeś bardzo mizernie i wyraźnie byłeś bez humoru. Nie miałeś na nic ochoty. Może powinieneś poprosić o poradę doktora Vininga? Zbada cię, spojrzy na wszystko z boku, z zewnątrz... Rozumiesz chyba, o co mi chodzi. Nie jest na pewno tak doskonałym lekarzem jak ty, lecz może coś poradzi. Pozwól mi go wezwać. Natychmiast po niego pojadę, muszę zdążyć, zanim wyruszy do swoich pacjentów.

Sporo czasu zajęło Stephenowi przekonywanie przyjaciela. Uspokajał go aż do przyjścia listonosza:

— ...doskonale wiem, co mi jest. Już kiedyś na to chorowałem. To nic groźnego. W każdym razie to nie jest żadna śmiertelna choroba. Znam też odpowiednią kurację. Taka dolegliwość nazywa się *solis deprivatio*.

— Solis? Słońce? Brak słońca? — Jack zawołał zdziwiony. — Chyba ze mnie żartujesz? Nie powiesz mi przecież, że wybierasz się do Irlandii szukać słońca.

— To rzeczywiście był żart — przyznał Stephen. — Chodziło mi jednak raczej o Hiszpanię, nie o Irlandię. Wiesz przecież, że mam tam dom w górach za Figueras. Ostatnio zapadł się dach tej części, w której trzymane są owce. Muszę dopilnować naprawy. Mieszkają tam też nietoperze, które od lat obserwuję. Przyszedł listonosz — zauważył, podchodząc do otwartego okna i wyciągając rękę na zewnątrz. — Jeden list. Kapitan Aubrey... Dla mnie nic nie ma.

— Rachunek — powiedział Jack, odkładając na bok kartkę. — Tak właściwie, to jest i list do ciebie. Zupełnie o nim zapomniałem. Wczoraj spotkałem Dianę Villiers, a ona poprosiła mnie, bym ci to oddał. Mówiła o tobie same pochlebne rzeczy, Stephen. Jej zdaniem jesteś wspaniałym kompanem, świetnie grasz na wiolonczeli i po mistrzowsku posługujesz się nożem. Bardzo cię wychwalała...

Bardzo możliwe. List był na swój sposób uprzejmy:

Mój drogi.

Jak podle traktuje Pan swoich przyjaciół. Tyle dni bez znaku życia. To prawda, że ostatnim razem byłam niedobra dla Pana. Proszę mi wybaczyć. Po prostu coś wtedy we mnie wstąpiło. Z kobietami tak bywa. Pełnia księżyca, wschodni wiatr, grzech pierworodny... Na pewno Pan rozumie. Znalazłam jednak ostatnio kilka ciekawych indyjskich motyli, właściwie tylko ich skrzydła — były w jednej z książek należących kiedyś do mojego ojca. Jeśli nie jest Pan zbyt zmęczony i jeśli oczywiście nie umówił się już Pan z kimś innym, może zechce Pan przyjść i obejrzeć je dziś wieczorem.

D.V.

— ...co oczywiście nie znaczy, że naprawdę tak o tobie myśli. Poprosiłem ją, by zechciała pokoncertować z nami w czwartek. Dobrze zna to trio, chociaż umie tylko grać ze słuchu. Skoro jednak musisz jechać... Poślę Killicka, niech wszystko odwoła.

— Może nie powinienem tak się spieszyć. Zobaczymy, co przyniesie następny tydzień. Owce mają przecież wełnę, a nietoperze mogą przenieść się do kaplicy.

Stephen jechał powoli ledwie widoczną w ciemności drogą, recytując w pamięci fragmenty wyimaginowanego dialogu. Uwiązał swego muła przy głównym wejściu do domu i miał właśnie zastukać, gdy Diana otworzyła drzwi.

— Dobry wieczór, Diano — powiedział uprzejmie. — Dziękuję za liścik.

— Lubię sposób, w jaki pan się ze mną wita, Stephen — odparła z uśmiechem. Najwyraźniej była w doskonałym nastroju. Wyglądała uroczo. — Czy nie dziwi się pan, widząc mnie tutaj?

— Troszeczkę.

— Cała służba ma wychodne. Bardzo pan dzisiaj oficjalny. Dlaczego tym razem wybrał pan główne

drzwi? Tak się cieszę, że pana widzę. Proszę do mnie. Ułożyłam specjalnie dla pana moje motyle.

Maturin zdjął buty i usiadł na małym krzesełku.

— Przyjechałem się pożegnać — wyjaśnił. — Wkrótce wyjeżdżam za granicę. Najprawdopodobniej w przyszłym tygodniu.

— Och, Stephen. Zostawi pan swoich przyjaciół? Jak teraz poradzi sobie Jack Aubrey? Nie może pan go opuścić. Wydaje się taki przygnębiony. A co ja biedna pocznę sama? Nie będę miała z kim rozmawiać. Komu będę mogła podokuczać?

— No właśnie...

— Czy bardzo był pan przeze mnie nieszczęśliwy?

— Czasem traktuje mnie pani jak psa, Diano.

— Och, mój drogi. Tak mi przykro. Już nigdy nie będę niedobra dla pana. Czy naprawdę musi pan wyjechać? Taka szkoda. Przyjaciele całują się na pożegnanie. Proszę choć udać, że ogląda pan moje motyle, tak ładnie je poukładałam... Potem proszę mnie pocałować i dopiero wtedy pana stąd wypuszczę.

— Jestem zupełnie bezradny wobec pani, Diano. Wie pani o tym doskonale. Jechałem powoli przez Polcary, układając w myślach słowa pożegnania. Powinienem teraz powiedzieć pani, że lepiej będzie, jeśli odejdę i przestaniemy się widywać, że tego właśnie wymaga właściwie pojmowana przyjaźń, i zwykła uprzejmość. Nie możemy pozwolić, by jakieś gorzkie słowa oszpeciły pamięć tego, co było między nami. Powinienem powiedzieć dużo więcej, lecz najzwyczajniej w świecie nie mogę.

— Chciał pan zerwać naszą przyjaźń? Nie wolno nam nawet o tym pomyśleć. Nigdy.

— Nigdy. Ma pani rację.

W pięć dni później te zakazane myśli pojawiły się jednak w dzienniku doktora:

Jestem teraz, zmuszony oszukiwać Jacka i trudno jest mi się pogodzić z taką koniecznością, choć nie raz przecież okłamywałem różnych ludzi. Oczywiście mój przyjaciel też nie jest wobec mnie szczery, lecz w jego przypadku wynika to głównie z chęci przekonania mnie, iż nadal jest wierny Sophie. Doskonale zna przecież moje zdanie w tej sprawie. Biedak ma jednak wyjątkowo otwartą i szczerą naturę — jego nieudolne wysiłki, choć tak uporczywe, nie przynoszą oczekiwanych wyników. Diana ma rację: nie wolno mi teraz go zostawić. To dla niego zbyt ciężkie chwile. Dlaczego ona dodatkowo to utrudnia? Dla zabawy? Gdybyśmy żyli w innym stuleciu, powiedziałbym, że jest opętana przez diabła. Nawet i obecnie podobna możliwość wydaje się całkiem prawdopodobna. To wyjaśniałoby, dlaczego jednego dnia ta kobieta jest najbardziej czarującą osobą na świecie, a innego okazuje się tak bezwzględna i okrutna. Na skutek wielokrotnego powtarzania, jej słowa, które jeszcze niedawno tak bardzo mnie raniły, utraciły wreszcie swą niszczycielską moc. Zamknięte drzwi nie są już dla mnie równoznaczne z wyrokiem

śmierci. Coraz częściej myślę o rozstaniu i zerwaniu naszej przyjaźni. Takie przeświadczenie narasta we mnie powoli. Teraz to już coś więcej niż tylko ewentualność, pomysł. Nigdy dotąd tego u siebie nie zauważyłem, nie natrafiłem też u żadnego z autorów na opis czegoś podobnego. Wydaje mi się jednak, iż czasem taka drobna pokusa, prawie nic, może mieć większą moc niż najgorętsze nawet żądze. Wcale przecież aż tak bardzo nie ciągnie mnie do Mapes Court; tak właściwie nic też nie zmusza mnie, bym pił laudanum, którego krople tak pieczołowicie odliczam co noc... Moja obecna dawka to czterysta kropli — zamknięty w butelce sposób na uspokojenie oszalałych myśli. W obu tych przypadkach nie ma najmniejszego przymusu. Są pokusy, którym nie potrafię się oprzeć...

— Killick, o co chodzi? — Stephen spytał gniewnie, oburzony faktem, że ktoś ośmielił się przeszkodzić mu w tak osobistych rozmyślaniach. — Co chcesz mi powiedzieć? Bardzo dziwnie wyglądasz. Chyba piłeś?

Killick podszedł bliżej i pochylając się nad fotelem doktora, wyszeptał:

— Na dole czeka kilku bardzo dziwnych gości, sir. Pytają o kapitana. Jakiś urzędnik w peruce i paru przebierających nogami osiłków. Nie podobają mi się. Wszyscy mają małe okrągłe kapelusze, a jeden z nich chowa coś pod płaszczem. To na pewno pomocnicy szeryfa.

Stephen potakująco skinął głową.

— Porozmawiam z nimi w kuchni. Nie... W pokoju śniadaniowym, okna wychodzą tam na trawnik. Spakuj kuferek kapitana i moją małą walizę. Daj mi też wszystkie listy, które dzisiaj przyszły. Zaprzęgnij potem muła do małego wozu i zawieź nasz bagaż na drogę do Foxdene.

— Tak jest, sir. Spakować, zaprząc muła i do Foxdene.

Gdy Stephen wychodził z jadalni, zostawiając w niej posępnych egzekutorów, na jego twarzy pojawił się radosny uśmiech. Nareszcie miał do czynienia z konkretną sytuacją. Z dokładnością do mili lub dwóch wiedział, gdzie powinien znaleźć Jacka i Dianę. Nie miał jednak pojęcia, co poczuje, gdy wdrapawszy się na strome zbocze, ujrzy ich twarze, pełne lodowatego gniewu, oburzenia i jawnej wrogości.

— Dzień dobry — powiedział, zdejmując kapelusz. Diana skinęła z oddali głową i przeszyła doktora lodowatym spojrzeniem.

— Bardzo się pan zdyszał, panie Maturin. Czyżby pan tu przybiegł? Czy aż tak bardzo chciał pan zobaczyć, jak...

— Musi mi pani wybaczyć... Chciałbym zamienić z kapitanem kilka słów na osobności — odpowiedział Stephen, spoglądając dumnie w jej stronę. Odprowadził kuca na bok i zaczął szybko mówić: —Jack, ludzie szeryfa przyszli aresztować cię za długi. Musimy dziś w nocy przedostać się do Francji, a stamtąd dalej do Hiszpanii. Twój kuferek i wóz są już na skrzyżowaniu z drogą do Foxdene. Będziesz mógł zamieszkać w moim domu. Wszystko bardzo dobrze się składa. Jeśli się naprawdę pospieszymy, uda nam się złapać w Folkestone statek pocztowy. — Maturin odwrócił się,

popatrzył na Dianę i ruszył w dół zbocza.

Rozległ się tętent kopyt, a Diana zawołała:

— Niech pan jedzie, kapitanie Aubrey. Niech pan rusza natychmiast. Ja muszę porozmawiać z doktorem Maturinem... — Po chwili pani Villiers zatrzymała swego wierzchowca tuż obok Stephena. — Muszę z panem porozmawiać, doktorze... Stephen... Czy wyjedzie pan, nie pożegnawszy się ze mną?

— Nie chce pani, żebym odszedł? — zapytał Maturin, a w jego oczach zakręciły się łzy.

— Nie, nie chcę — zawołała. — Nie może mnie pan zostawić. Proszę jechać do Francji... Niech pan jednak do mnie pisze. Błagam. Niech pan pisze. I wróci... —Ścisnęła go mocno swą drobną dłonią i odjechała. Spod kopyt jej konia wzlatywały w górę grudki wilgotnej ziemi.

— Nie pojedziemy do Folkestone — mówił Jack, prowadząc muła po zarośniętej trawą drodze. — Do Dover. Seymour dowodzi okrętem „Amethyst" i dziś w nocy ma przewieźć przez kanał cesarskiego ambasadora. Zabierze i nas. Służyliśmy razem na „Marlborough". Gdy tylko znajdziemy się na pokładzie królewskiego okrętu, komornik będzie nas mógł pocałować gdzieś.

W pięć minut później Aubrey odezwał się znowu:

— Czy wiesz, Stephen, co za list mi przyniosłeś? Ten mały, zalakowany?

— Nie mam pojęcia.

— To od Sophie. Napisany przez nią i wysłany wprost do mnie. Wyobrażasz sobie? Ta biedna dziewczyna obawia się, że pogłoski o owym Adamsie i jego ambicjach mogły zaniepokoić jej przyjaciół. To wszystko nieprawda. Bzdury. Widziała go może z tuzin razy, a ów pan większość czasu spędzał, rozmawiając w cztery oczy z mamą. Sophie wspomina też o tobie. Przesyła ci pozdrowienia i prosi o odwiedziny, gdy będziesz w Bath. Podobno pogoda jest naprawdę wspaniała. Boże, Stephen, po raz pierwszy w życiu wylądowałem tak nisko. Straciłem fortunę, prawdopodobnie zmarnowałem swoją karierę. A do tego jeszcze teraz i to...

— Nie masz pojęcia, jaka to dla mnie ulga. — Tym razem Jack mówił schylony, sprawdzał bowiem, czy przednie sztaksle okrętu wypełniły się wiatrem. — Znów na morzu. Wszystko jest tutaj takie proste

i oczywiste. Nie chodzi mi tylko o to, że udało mi się uciec przed aresztowaniem. Myślę o wszystkich komplikacjach, jakie niesie ze sobą życie na lądzie. Nie nadaję się chyba do roli lądowego szczura.

Stali na pokładzie rufowym, w tłumie zdziwionych i rozglądających się bezradnie dookoła urzędników, sekretarzy, członków świty ambasadora, którzy nagle zaczęli tracić równowagę i chwytali się teraz rozpaczliwie lin bądź ramion współtowarzyszy — fregata coraz mocniej kołysała się na fali, a wysokie brzegi Dover znikły w strugach ulewnego letniego deszczu.

— Tak — zgodził się Stephen. — I ja również usiłowałem ostatnio spacerować po linie, lecz nic

specjalnego z tego nie wyszło. To prawda, że na morzu człowiek czuje się swobodniej. Jeszcze nie tak dawno uznałbym to wręcz za wybawienie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Tulon. Mistral ucichł wreszcie i na powierzchni morza pojawiały się tylko pojedyncze grzywacze. Powietrze wciąż było jednak idealnie przejrzyste i patrzący przez lunetę ze wzgórz za miastem obserwator bez trudu mógłby odczytać nazwy siedmiu okrętów liniowych, stojących na Petite Rade: „Formidable" i „Indomptable", każdy uzbrojony w osiemdziesiąt armat, potem „Atlas", „Scipion", „Intrepide", „Mont-Blanc" oraz „Berwick", z siedemdziesięcioma czterema działami. Widok ostatniego z tych żaglowców mógł urażać nieco dumę i honor Anglików, gdyż jeszcze przed paru laty jednostka ta należała do Royal Navy. Gdyby owym Anglikom dane było zajrzeć do zazdrośnie strzeżonego arsenału, ich honor i duma zostałyby wystawione na jeszcze cięższą próbę, gdyż znajdowały się tam dwa następne brytyjskie liniowce o siedemdziesięciu czterech działach: „Hannibal", zdobyty przez Francuzów podczas akcji sir Jamesa Saumareza w Cieśninie Gibraltarskiej w 1801 roku i „Swiftsure", przechwycony na Morzu Śródziemnym o kilka tygodni wcześniej. Oba te okręty przechodziły teraz bardzo intensywne naprawy.

W całym zresztą porcie wyczuwało się wzmożoną aktywność i szczególne napięcie. Upał, milczące zielone wzgórza, urwiste przylądki i olbrzymia błękitna połać wody z tyłu za wyspami — wprost niewyobrażalnie nieruchoma, zalana jaskrawym, oślepiającym blaskiem — a pośrodku tego wszystkiego hałaśliwe, ruchliwe miasto. Tysiące poruszających się jak w ukropie maleńkich figurek: białe koszule, niebieskie spodnie, lśniące czerwienią szarfy. Pomimo słonecznego południa port przypominał rozgrzebane mrowisko. Łodzie przemykały z arsenału na Petite Rade, z Petite Rade na Grande Rade, od okrętów do nabrzeży, tam i z powrotem. Ludzie tłoczyli się na pokładach żaglowców, w ruch szły ciesielskie toporki, stalowe i drewniane młotki, ubijaki używane przy uszczelnianiu kadłubów, świdry oraz dłuta. Grupki skazańców wyładowywały ze statków dębowe belki z Ragusy, smołę ze Sztokholmu, pakuły z Hamburga, drzewce i olinowanie z Rygi. Temu wszystkiemu towarzyszył trudny do opisania hałas i tysiące rozmaitych zapachów, tak charakterystycznych dla wielkiego portu: odór z rynsztoków, zapach morskiej wody, gnijących wodorostów, rozgrzanych kamieni i smażonego czosnku, smakowita woń pieczonych na ruszcie ryb.

— Obiad — powiedział kapitan Christy-Palliere, zamykając teczkę z wyrokami śmierci (nazwiska rozpoczynające się na litery od F do L). — Zacznę od kieliszka Banyuls, paru sardeli i garści oliwek. Czarnych oliwek. Potem skuszę się chyba na zupę rybną Heberta i zwykłą langustę w rosole. Pomyślę też może o jego *gigot en croute;* o tej porze roku jagnięta smakują wybornie, kwitnie przecież tymianek. Później już tylko ser, truskawki i coś do kawy. Na przykład spodeczek moich angielskich konfitur. Nie mam dziś po prostu ochoty na wystawny posiłek. Moja udręczona wątroba nie wytrzymałaby w tym upale czegoś podobnego. Mamy zresztą bardzo dużo pracy, jeśli „Annibale" ma być gotowy do wyjścia w morze już w przyszłym tygodniu. Musimy też załatwić sprawę akt Dumanoira. Tak chciałbym, żeby tu wrócił. Szkoda, że nie zdążyłem rano przesłuchać tych Maltańczyków. Po dobrym obiedzie może nam przyjść ochota darować im życie...

— Do jagnięcia najlepszy będzie chyba kieliszek Tavela — zauważył kapitan Penhoet. Wiedział doskonale, że już za chwilę nastąpią filozoficzne uwagi na temat niestrawności, winy, Poncjusza Piłata i niestosowności podobnie przykrej sytuacji: oficerowie marynarki muszą przesłuchiwać

potencjalnych szpiegów. Wolał zatem przerwać wywody swego towarzysza. — To chyba...

— Dwóch Anglików do pana, sir— zameldował ordynans.

— Och, nie! — zawołał kapitan Christy-Palliere. — Nie o tej porze, do licha. Powiedz im, że mnie nie ma, Jeannot. Wrócę może o piątej. Co to za jedni?

— Pierwszy nazywa się Aubrey, Jacques. Twierdzi, że jest kapitanem ich marynarki wojennej — wyjaśnił ordynans, mrużąc oczy i przeglądając trzymany w ręce urzędowy formularz. — Urodzony pierwszego kwietnia sześćdziesiątego szóstego roku w Bedlam koło Londynu. Zawód ojca: mnich, matki: trucicielka. Nazwisko panieńskie matki: Borgia, imię matki: Lukrecja. Ten drugi nazywa się Maturin, Etienne...

— Szybko, szybko — zawołał Christy-Palliere. — Moje spodnie, Jeannot. Mój krawat! — Dla wygody kapitan siedział w kalesonach. — Szybciej, łajdaku! Zjemy jednak dzisiaj porządny obiad. Jeannot, znajdź szczotkę do ubrań. Ten Anglik to ów jeniec, o którym ci opowiadałem. Doskonały żeglarz i wspaniały kompan. Chyba nie przeszkadza ci, że będziesz musiał rozmawiać przy stole po angielsku, Penhoet? Jak ja wyglądam?

— Jak naganiacz drogiego domu publicznego — kapitan Penhoet odpowiedział w języku Szekspira. — Jeśli wciągniesz trochę brzuch, może uda ci się zwrócić ich uwagę.

— Przyprowadź ich tutaj, Jeannot — polecił Christy-Palliere ordynansowi. — Mój drogi Aubrey — zawołał, ściskając Jacka i całując go w oba policzki. — Tak się cieszę, że pana widzę. Doktorze Maturin, witam serdecznie. Proszę mi pozwolić przedstawić: kapitan fregaty Penhoet, kapitan fregaty Aubrey, doktor Maturin, niegdyś moi goście na pokładzie „Desaix"...

— Bardzo mi miło — powiedział kapitan Penhoet.

— *Domestique monsieur*... — Jack zarumienił się aż do kołnierzyka koszuli. — Penhoet? Ja... Ja pamiętać dobrze... pan... bitwa... Ushant... „Le Pong" — dukał po francusku. Wkrótce jednak w jego głowie zapanowała zupełna pustka. Zwrócił się więc po pomoc do kapitana Christy-Palliere: — Jak mam powiedzieć, że doskonale pamiętam wszystkie szczegóły wspaniałej akcji kapitana Penhoeta i dowodzonego przez niego okrętu „Le Pong" koło Ushant, w dziewięćdziesiątym dziewiątym roku?

Słowa Jacka zostały bardzo dokładnie przetłumaczone, panowie uśmiechnęli się do siebie jeszcze przyjaźniej i kolejny raz podali sobie ręce.

— Możemy rozmawiać po angielsku — zaproponował Christy-Palliere. — Mój przyjaciel jest jednym z naszych najlepszych tłumaczy. Musimy natychmiast wybrać się gdzieś na obiad. Jesteście panowie na pewno zmęczeni. Z jak daleka przyjechaliście? Jak znosicie te upały? Rzadko miewamy tak wysokie temperatury w maju. Czy odwiedziliście panowie moich krewnych w Bath? Chyba zostaniecie z nami przez kilka dni? Tak się cieszę, że was widzę!

— To my mieliśmy zamiar panów zaprosić na obiad — zawołał Jack. — Zamówiliśmy już nawet stolik...

— Jesteście panowie w moim kraju — nie znoszącym sprzeciwu tonem oświadczył Christy-Palliere. — Proszę, panowie pozwolą... — Poprowadził swoich gości korytarzem do wyjścia. — Pojedziemy do małej gospody pod miastem. Na zwykły obiad, nic wystawnego. Mają tam jednak wyśmienite wino, stół w altance... Na świeżym powietrzu... No i gospodarz sam przyrządza wszystkie potrawy. — Zwracając się do Stephena, dodał: — Jest z nami znów doktor Ramis! We wtorek wrócił z urlopu. Poproszę go, by przyszedł do nas. Po obiedzie. Doktor nie pogodziłby się z faktem, że jemy ciężko strawne potrawy. Opowie panu o epidemiach cholery i o nowej egipskiej ospie.

— Kapitan Aubrey bawił się wtedy z nami w kotka i myszkę — opowiadał Christy-Palliere, układając na stole kawałki chleba, mające reprezentować okręty eskadry admirała Linoisa. — Dowodził wówczas tym małym brygiem z podniesioną rufówką. „Sophie"...

— Pamiętam ten okręcik. — Kapitan Penhoet skinął głową.

— Z początku miał znacznie lepszą pozycję względem wiatru, lecz nie dysponował właściwie żadną możliwością manewru. Z tej strony wiał wiatr, bardzo kapryśny, a tutaj był przylądek. — Na stole rozgrywały się kolejne etapy pogoni za brygiem. — ...I wtedy zupełnie niespodziewanie wyłożył ster na burtę, w mgnieniu oka postawił boczne żagle i ruszył prosto między nasze okręty. Bardzo blisko admirała. Szczwany lis. Wiedział, że nie odważę się ryzykować ostrzelania flagowca. Wiedział również, że zaskoczony „Desaix" nie odda zbyt szybko salwy burtowej. Przemknął pomiędzy nami i przy odrobinie szczęścia udałoby mu się uciec. Admirał zasygnalizował jednak do mnie, bym kontynuował pościg. Mój „Desaix" zaledwie przed tygodniem zszedł z doku i miał idealnie czysty kadłub. Wspaniale też żegluje przy słabych wiatrach z rufy. Mówiąc krótko... zmiótłbym pana z powierzchni morza moją ostatnią salwą, drogi przyjacielu, gdyby pańska „Sophie" nie skapitulowała wreszcie jak zaszczuty zając.

— Pamiętam to wszystko doskonale — uśmiechnął się Jack. — Miałem serce w gardle, gdy ujrzałem, że „Desaix" zaczyna zmieniać kurs. Już wcześniej straciłem jednak resztki złudzeń, widząc, że jest pan w stanie żeglować dwa razy szybciej ode mnie, nie trudząc się stawianiem bocznych żagli.

— Taki manewr przejścia przez nasz szyk musiał być wykonany naprawdę błyskawicznie — z uznaniem stwierdził kapitan Penhoet. — Mieliście szczęście, że nie trafiła was pełna salwa burtowa. Ja sam poddałbym się znacznie wcześniej, gdy tylko liniowiec admirała zbliżył się dostatecznie blisko. Z zasady na swoich jednostkach macie za dużo dział, prawda? Przeciążony okręt nie żegluje dobrze przy słabych wiatrach. Nic dziwnego, że nie zdołaliście uciec.

— Wyrzuciłem wszystkie armaty za burtę — wyjaśnił Jack. — W sumie jednak ma pan rację. Z kolei na waszych okrętach jest zwykle zbyt wielu ludzi, chodzi mi zwłaszcza o żołnierzy. Pamięta pan zapewne historię „Phoebe" i „Africaine"...?

Skromny posiłek miał równie skromne zakończenie — na stole pojawiła się butelka brandy i dwa kieliszki. Kapitan Penhoet zmęczony rozmową w obcym języku wrócił do swego biura, a Stephen Maturin zasiadł przy stole doktora Ramisa, co było zapewne znacznie bardziej korzystne dla zdrowia — zamiast koniaku stała tam butelka gazowanej wody z siarkowego źródła. Przylądek Sicie zmienił w tym czasie kolor na purpurowy, morze było teraz fioletowe, a wszechobecne świerszcze rozpoczęły swój wieczorny koncert.

Obydwaj panowie, Jack i Christy-Palliere, sporo już wypili. Rozmawiali teraz o swoich zawodowych problemach i obaj byli zdumieni faktem, że mieli bardzo podobne powody do narzekań. Christy-Palliere również nie widział dla siebie żadnych szans na awans. Miał już co prawda stopień *capitaine de vaisseau,* co w przybliżeniu odpowiadało brytyjskiemu pełnemu kapitanowi, lecz, jak sam powiedział: „We francuskiej marynarce karierę można zrobić jedynie dzięki protekcji i intrygom. W górę najszybciej pną się polityczni awanturnicy, a prawdziwi marynarze zostali odsunięci na dalszy plan". Nie wszystko zostało tu powiedziane wprost, lecz Jack pamiętał ich poprzednie rozmowy, a także to, o czym wspominali angielscy krewni francuskiego kapitana. Delikatnie mówiąc, Christy-Palliere był niezbyt zagorzałym republikaninem. Oburzony postępowaniem parweniusza Bonapartego i jego kompletną ignorancją w sprawach dotyczących służby na morzu, pragnął w głębi duszy, by Francja była praworządną, konstytucyjną monarchią. Nie czuł się dobrze w swej obecnej roli. Oczywiście oddany był całym sercem Francji i służbie w marynarce wojennej, lecz równocześnie nie podobali mu się stojący u steru władzy ludzie. Podczas ostatniego spotkania z Jackiem ze zrozumieniem mówił o problemach irlandzkich oficerów służących w Royal Navy, o moralnych dylematach wywoływanych przez podobną sytuację. Tym razem jednak zajęty był wyłącznie własnymi sprawami, a degustacja czterech różnych gatunków wina i dwóch gatunków brandy sprawiła, iż chwilami był bardzo bliski niedyskrecji.

— Z panem sprawa jest prosta — tłumaczył Jackowi. — Są na pewno ludzie, na których poparcie może pan liczyć. Ma pan przecież przyjaciół, niektórzy są może nawet lordami, bądź mają słówko „sir" przed nazwiskiem. Po wyborach parlamentarnych nastąpi zmiana na stanowisku ministra i doczeka się pan wreszcie wymarzonego awansu. Cóż jednak my mamy powiedzieć? W grę wchodzi nie tylko interes republiki; ważne są też wpływy rojalistów, katolików, masonów. Dochodzą do tego jeszcze kaprysy konsula, a z tego, co mówią, niedługo może i cesarza. Gąszcz sprzecznych ze sobą dążeń, wśród których trzeba bardzo umiejętnie lawirować. Nic na to jednak nie poradzimy. Dokończmy po prostu tę butelkę... Wie pan... — Christy-Palliere powiedział po chwili zadumy. — Znudziło mnie już to siedzenie w biurze. Można od tego dostać odcisków na tyłku. Jedyną nadzieją, jedynym rozwiązaniem jest w tej chwili... — Francuz zawiesił głos.

— Nie powinniśmy głośno marzyć o wybuchu nowej wojny. Nie wypada... — stwierdził Jack. Jego myśli od dawna żeglowały identycznym kursem. —Tak bardzo chciałbym jednak znów znaleźć się na morzu.

— Nie wypada marzyć o wojnie, to prawda.

— Zwłaszcza, jeśli weźmie się pod uwagę okoliczność, że przyszłoby nam wówczas walczyć z narodem, który darzymy największą sympatią. Holendrzy i Hiszpanie nie są obecnie godnymi nas przeciwnikami. Zawsze bezgranicznym zdumieniem napawał mnie fakt, że Hiszpanie tak doskonale budują piękne i olbrzymie okręty, z drugiej zaś strony tak dziwnie nimi sterują. W bitwie pod St Vincent...

— To wina ich admiralicji — zawołał Christy-Palliere. — Wszystkie admiralicje są takie same. Przysięgam na głowę mojej matki, że i dowództwo naszej marynarki wojennej...

Wejście posłańca najprawdopodobniej zapobiegło słowom, które w najlepszym wypadku należałoby uznać za zdradę ojczyzny. Francuski kapitan poprosił o wybaczenie i odszedł na bok, aby zapoznać

się z treścią doręczonej mu właśnie wiadomości. Przeczytał trzymaną w dłoni kartkę dwukrotnie, trzeźwiejąc szybko. Był potężnym, podobnym do niedźwiedzia mężczyzną, nie tak wysokim jak Jack, lecz znacznie lepiej zbudowanym. Miał mocną głowę i potrafił sporo wypić — pomimo wielu kieliszków brandy bez trudu pozbierał myśli. Nie był też głupcem. Jego piwne oczy, zawsze tak uprzejme, patrzyły teraz surowo i przenikliwie. Wrócił do stołu, zawahał się i zanim zaczął mówić, wypił łyk gorącej kawy.

— Wszystkie marynarki wojenne na świecie mają problemy tego rodzaju — powiedział powoli. — Mój kolega, który zajmuje się takimi sprawami, jest na urlopie i ja go zastępuję. Mam tutaj opis człowieka, który z lunetą w dłoni obserwował dziś rano z Mount Faron nasze umocnienia i inne obiekty wojskowe; mężczyzna, średniego wzrostu, szczupły, jasne oczy, peruka, szare spodnie, mówi po francusku z południowym akcentem. Rozmawiał też z pewnym bardzo podejrzanym kupcem z Barcelony, który jest właścicielem dwóch feluk stojących w porcie.

— Ten człowiek w peruce to na pewno Stephen Maturin — zawołał Jack. — Nie mam najmniejszych wątpliwości. Mój przyjaciel ma lunetę. Bardzo dobrą, Dollanda. Zapewne był na Mount Faron wcześnie rano, zanim jeszcze wstałem z łóżka i podglądał te swoje ukochane ptaki. Wspominał coś o mieszkających tam jakichś bardzo rzadkich czyżykach lub sikorkach... —Jack roześmiał się głośno. — Dobrze, że nie poszedł do twierdzy i nie poprosił o wypożyczenie mu wielkiego artyleryjskiego teleskopu. Cha, cha. Nie ma pan się czego obawiać. Doktor to najporządniejszy i najbardziej uczciwy człowiek na świecie. Jest bardzo wykształcony, zna nazwy wszystkich owadów i roślin świata, potrafiłby też bardzo zgrabnie odjąć panu nogę. W żadnym jednak wypadku nie powinno się go samego wypuszczać z domu. Jeśli chodzi o port i obiekty wojskowe, to zapewniam pana, że Stephen nie potrafi na okręcie odróżnić dziobu od rufy, wciąż nie zna też nazw najważniejszych żagli, choć uczyłem go tego chyba z tysiąc razy. Biedak nie ma do tego zupełnie głowy. Jestem absolutnie pewien, że chodzi tutaj o niego, gdyż wspomniał pan coś o rozmowie z kupcem z Barcelony. Na pewno rozmawiali w tamtejszym języku, czy tak? Doktor przez wiele lat mieszkał w Katalonii. Posługuje się ich mową tak, jakby się tam urodził. Właśnie tam obaj zmierzamy. Do jego majątku w górach. Wyruszymy, gdy tylko Stephenowi uda się wynająć łódź i odwiedzić Porquerolles. Chce obejrzeć jakieś zielsko, które rośnie tylko i wyłącznie na tej wyspie. Cha, cha, cha — Aubrey roześmiał się znowu, szczerze rozbawiony. — I pomyśleć, że biedak został uznany za szpiega! Trudno było nie uwierzyć w te poparte śmiechem słowa. Oczy francuskiego kapitana złagodniały. Uśmiechnął się z ulgą i zapytał:

— Rozumiem więc, że jest pan gotów ręczyć honorem za swojego przyjaciela?

— Z ręką na sercu. — Jack położył dłoń na piersi. — Drogi kapitanie, pańscy ludzie muszą być chyba niezbyt rozgarnięci, skoro podejrzewali Stephena Maturina o niecne zamiary.

— W tym właśnie problem — zgodził się Christy-Palliere. — Niektórzy z nich są po prostu głupi. Nie to jest jednak najgorsze. Należy też pamiętać o innych specjalnych służbach. Jest przecież jeszcze żandarmeria, szpicle Fouchego i reszta lądowych szczurów. Niektórzy z tych ludzi są niewiele mądrzejsi niż moi podwładni. Proszę więc nakłonić swego przyjaciela, by był bardziej dyskretny. Chciałbym też przekazać panu jeszcze jedną radę, kapitanie Aubrey — Francuz zniżył głos. — Lepiej będzie, jeśli panowie zapomnicie o przeprawie do Porquerolles i jak najszybciej wyruszycie do Hiszpanii.

— Z powodu upałów? — zapytał Jack. Jego towarzysz wzruszył ramionami.

— Może pan tak to nazwać. Nie wolno mi powiedzieć nic więcej. — Christy-Palliere wyszedł na taras, zamówił kolejną butelkę i wrócił do Jacka. — Rozumiem więc, że odwiedził pan moich krewnych w Bath? — zagadnął zupełnie innym niż poprzednio, obojętnym tonem.

— Tak. Miałem zaszczyt gościć w Laura Place podczas mojej pierwszej wizyty w Bath. Zostałem wówczas bardzo uprzejmie zaproszony na herbatę. Wszyscy byli w domu: pani Christy, panna Christy, panna Susan, madame des Aguillieres oraz Tom. Czarujący ludzie, bardzo bezpośredni i przyjacielscy. Sporo rozmawialiśmy o panu. Mają nadzieję, że wkrótce ich pan odwiedzi. Prosili, bym przy najbliższej sposobności przekazał panu od nich pozdrowienia i ucałowania. Całusy oczywiście od panien... Za drugim razem zaprosili mnie na wycieczkę i piknik, lecz niestety, byłem już umówiony. Odwiedziłem Bath dwukrotnie...

— Co pan myśli o Polly?

— Och, to wspaniała dziewczyna. Bardzo pogodna i taka uprzejma dla starszej pani. Owa dama to chyba pańska ciotka, prawda? Polly doskonale mówi po francusku! Powiedziałem kilka słów, a ona natychmiast wszystko zrozumiała i przekazała cioci. Dokładnie to, o co mi chodziło.

— Jest rzeczywiście wspaniała — zgodził się kuzyn dziewczyny. — Mogę również pana zapewnić — dodał bardzo poważnym tonem — że ona naprawdę umie gotować. Jej *coq au vin* albo *sole normande!* Wie też doskonale, w czym tkwi istota angielskiego puddingu. Ten dżem truskawkowy był jej roboty. Cudowna gospodyni. Ma też całkiem spory posag — zaznaczył, patrząc w zamyśleniu na statek wpływający właśnie do portu.

— Mój Boże! — Jack zawołał niespodziewanie i Christy-Palliere rozejrzał się dookoła, wyraźnie zaniepokojony. — Prawie zapomniałem. Czy powiedzieć panu, po co jeździłem do Bath?

— Bardzo proszę.

— Rozumiem, że mogę liczyć na pańską dyskrecję? — Christy-Palliere w odpowiedzi skinął głową. — Boże, tak bardzo to przeżywam. Tylko dzięki temu wspaniałemu obiadowi zapomniałem na kilka godzin o swoich problemach. To pańska zasługa. Od chwili wyjazdu z Anglii dręczą mnie ponure myśli. Widzi pan... spotkałem w Sussex dziewczynę. Córkę sąsiadki... Gdy miałem kłopoty w sądzie Admiralicji w związku z zatrzymanymi przeze mnie neutralnymi pryzami, matka zabrała ją do Bath, nie godząc się na to, byśmy się nadal widywali. Byliśmy już wtedy prawie po słowie, lecz jakoś nie potrafiłem się zdobyć na oświadczyny. Jakiż ja byłem głupi... Spotkałem moją sympatię w Bath, lecz nie udało nam się porozmawiać na osobności. Wydaje mi się, że miała mi za złe pewne niewinne oznaki mego zainteresowania osobą jej kuzynki.

— Niewinne?

— Cóż... Właśnie. Choć przyznaję, że mogło tu zajść drobne nieporozumienie. Ta kuzynka to wspaniała dziewczyna, a raczej kobieta. Była już raz mężatką, jej mąż oberwał w głowę w Indiach. Jest wyjątkowo energiczna i odważna... Gdy ja próbowałem walczyć z bezdusznością Admiralicji i

bankierów z City, jakiś człowiek zaproponował tej pierwszej dziewczynie małżeństwo. Mówiono o tym tak, jakby wszystko zostało już ustalone. Wdowa, o której wspomniałem, nadal mieszkała w Sussex... Była taka czuła, uprzejma... piękna... i ja... rozumie pan chyba? Gdy już wydawało mi się, że wszystko jest na jak najlepszej drodze, że jesteśmy już bardzo bliskimi przyjaciółmi, odepchnęła mnie nagle. Powiedziała, bym zbyt wiele sobie nie wyobrażał. Czułem się tak, jakby znienacka uderzył mnie bom. Do tego czasu zdążyłem już stracić wszystkie pieniądze, o czym pan wie, i nie bardzo wiedziałem, jak się w takiej sytuacji zachować. Nie miałem pojęcia, co jej odpowiedzieć. Jakby tego było mało, zacząłem podejrzewać, że była związana z moim najlepszym przyjacielem. Nie wiem, jak daleko posunęła się ta ich zażyłość. Wie pan, o co mi chodzi? Wszystko wskazywało jednak na to, że łączy ich coś bardzo poważnego. Nie miałem absolutnej pewności, lecz tak to wyglądało, zwłaszcza wtedy, gdy się rozstali. Byłem zupełnie przybity. Nie mogłem spać, jeść... A ona, jakby nic się nie stało, bywała dla mnie czasem taka miła... W końcu bardzo się zaangażowałem, trochę dla zaspokojenia swej urażonej ambicji. Wyobraża pan sobie? Niech to diabli! Gdybym tylko... I nagle, w kulminacyjnym momencie, przychodzi list od tej pierwszej dziewczyny, z Bath.

— List do pana? — zawołał Christy-Palliere. — Z tego, co zrozumiałem, nie byliście kochankami?

— Ależ nie. Nic między nami nie było. Nic więcej niż pocałunek. Zaskakujące, czyż nie? Cała ta historia miała jednak miejsce w Anglii, nie we Francji i te sprawy wyglądają tam zupełnie inaczej niż tutaj. I tak to dziwne, prawda? Chodzi tylko o zwyczajny, uprzejmy list, w którym zawiadomiła mnie, że cała ta historia z małżeństwem była zmyśloną bzdurą. Dowiedziałem się o tym w dniu, w którym opuściłem kraj.

— Wobec tego wszystko układa się wspaniale, czyż nie? To naprawdę rozsądna i odpowiedzialna dziewczyna! Czy może pan pragnąć czegoś więcej?

— Tak... — Jack powiedział bez przekonania, z tak nieszczęśliwą miną, że Christy-Palliere, który z początku uznał, że głupotą jest wzbranianie się przed równoczesnym romansem z dwiema kobietami, zaczął teraz głęboko współczuć swemu rozmówcy i po przyjacielsku poklepał go po ramieniu. — Widzi pan... Jest jeszcze ta druga... — Aubrey odezwał się znowu. — Na honor, na niej też bardzo mi zależy, choć to zupełnie inne uczucie, nie wspominając nawet o tym, że w grę wchodzi tutaj też mój najlepszy przyjaciel...

Stephen i doktor Ramis siedzieli zamknięci w gabinecie, otoczeni półkami pełnymi książek. Na stole leżał otwarty wielki zielnik, który przez cały ostatni rok był tematem korespondencji obu lekarzy. Między jego kartami znajdowała się szczegółowa mapa nowych hiszpańskich umocnień w Port Mahon. Doktor Ramis wrócił właśnie ze swej rodzinnej wyspy, Minorki, i przywiózł dla Stephena pewne istotne informacje — był jego głównym łącznikiem z katalońskimi separatystami. Zapiski zostały już przeczytane, ich treść zapamiętana i ostatnie kartki zamieniały się właśnie w popiół na kominku. Obaj panowie przeszli teraz do ogólniejszych kwestii. Dyskutowali na temat ludzkiej natury i o szeroko rozumianym nieprzystosowaniu poszczególnych jednostek do życia.

— Tak właśnie wygląda sprawa z marynarzami — zauważył Stephen. — Przez jakiś czas uważnie obserwowałem kilku i mogę z całym przekonaniem stwierdzić, że bardziej niż przedstawiciele innych zawodów nie są oni w stanie żyć w warunkach powszechnie uznawanych za normalne. Moim zdaniem można to wyjaśnić w następujący sposób, na morzu (a więc w swoim naturalnym

środowisku), marynarz żyje wyłącznie teraźniejszością. Nie ma najmniejszego wpływu na to, co było, nie potrafi też zapobiec temu, co będzie, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę wszechmoc oceanu oraz niemożliwe do przewidzenia kaprysy pogody. Stąd właśnie bierze się, według mnie, owa szczególna beztroska i rozrzutność zwykłych majtków. Oficerowie z kolei próbują walczyć z tymi cechami swoich podwładnych. Usiłują zmusić ich, by wybierając liny, zwijając żagle i tak dalej, stawiali czoło niezliczonym nieprzewidzianym okolicznościom. Oficerowie też znajdują się jednak na morzu, tak jak pozostali członkowie załogi, wykonują więc swoje, dotyczące przyszłości zadania, nie w pełni przekonani co do ich celowości. Stąd bierze się ten ich ciągły niepokój, podobne źródło mają też rozmaite kaprysy dowódców. Żeglarze gotowi są zabezpieczyć się przed sztormem, który ma nastąpić jutro lub nawet za dwa tygodnie. Wszelkie jednak dalsze perspektywy wydają się nierealne, czysto teoretyczne. Żyją teraźniejszością. Wychodząc z takiego właśnie założenia, pozwoliłem sobie na te, nie do końca oczywiście przemyślane, wnioski. Co pan o tym sądzi?

— Zgadzam się z panem, niezależnie od tego, czy ma pan całkowitą rację, czy nie — odpowiedział doktor Ramis, odchylając się do tyłu i spojrzał uważnie na Stephena swymi inteligentnymi, czarnymi oczami.

— Wie pan jednak, że jestem wrogiem podobnych spekulacji. — Pomyślmy, jak wiele różnorodnych nieprawidłowości ma swoje podłoże w ludzkim umyśle. Zwłaszcza przy jego bezczynności... Urojone ciąże, histerie, palpitacje, niestrawności, egzemy, niektóre przypadki impotencji i wiele innych dolegliwości. Moje ograniczone doświadczenie pozwala mi stwierdzić, iż na okrętach nie mamy do czynienia z podobnymi przypadkami. Czy zgadza się pan ze mną, drogi kolego?

Doktor Ramis przygryzł wargi.

— Z pewnymi zastrzeżeniami — odpowiedział. — W ogólności skłonny jednak jestem przyjąć pański punkt widzenia.

— Umieśćmy teraz naszego majtka na lądzie, gdzie będzie musiał żyć nie tylko dniem dzisiejszym, ale również i tym, co dopiero nastąpi. Szczególnego znaczenia nabiera nagle przyszłość, w której umieszczone zostają wszelkie przyjemności, spodziewane korzyści, rezultaty działań. Wiele rzeczy trzeba robić przecież z myślą o następnym miesiącu, roku, czasem pokoleniu. Nie ma ochmistrza, który zatroszczyłby się o ubranie. Nie ma posiłków regularnie serwowanych o ustalonych porach. I do czego to prowadzi?

— Do syfilisu, pijaństwa, utraty wszelkich zasad moralnych i oczywiście przejedzenia. Wątroba zniszczona po dziesięciu dniach...

— Z pewnością. Oczywiście. Znacznie jednak gorzej. Nie mamy może w tym przypadku urojonych ciąż, lecz natychmiast pojawiają się inne poważne problemy: nadmierna pobudliwość, hipochondria, melancholia, różne rodzaje niestrawności. Dziesięciokroć pomnożone choroby małomiasteczkowego kupca. Obserwowałem jeden taki interesujący przypadek. Na morzu okaz zdrowia, pomimo nadużyć dietetycznych i wielu innych bardzo nie sprzyjających okoliczności. Na lądzie pojawiła się konieczność prowadzenia domu, plany matrymonialne... Wszystko w odniesieniu do przyszłości, zwrócił pan uwagę? Na skutki nie trzeba było długo czekać: utrata jedenastu funtów wagi; zatrzymanie moczu; czarne, rzadkie i suche stolce; nieprzyjemna egzema...

— I pańskim zdaniem to wszystko było skutkiem tylko pobytu na stałym lądzie? Niczego więcej?

Stephen uniósł dłonie.

— To tylko przypuszczenie, lecz wydaje mi się ono bardzo prawdopodobne.

— Wspomniał pan o utracie wagi. Widzę jednak, że i pan jest bardzo szczupły, wręcz wychudzony. Jeśli mogę być szczery... Obaj jesteśmy przecież lekarzami... Ma pan bardzo nieświeży oddech, pańskie włosy, rzadkie dwa lata temu, wypadają garściami. Często się panu odbija, pańskie oczy są zapadnięte i szare. To nie tylko skutek nadużywania tytoniu, trującej substancji, która powinna zostać zakazana przez prawo... i laudanum. Bardzo chciałbym zobaczyć pański kał...

— Ależ oczywiście... Będzie pan na pewno miał okazję... Obiecuję. Muszę jednak teraz pana opuścić. Nie zapomni pan o moim leku? Mam zamiar zupełnie go odstawić po wyjeździe z Leridy, lecz na razie jest mi bardzo potrzebny.

— Będę o tym pamiętał — powiedział doktor Ramis, uśmiechając się tajemniczo. — Możliwe, że przekażę panu równocześnie pewną bardzo istotną wiadomość. Na razie nie mogę powiedzieć nic więcej. Będzie zapisana według trzeciego klucza. Proszę jednak pozwolić mi teraz sprawdzić pańskie tętno. Tak jak przypuszczałem, słabe, nieregularne... „O co mu chodziło?" — wychodząc, Maturin pytał sam siebie. Nie myślał teraz jednak o swoim pulsie, lecz o owej zapowiedzianej przed chwilą informacji. Po raz kolejny z przykrością uświadomił sobie, jak nieskomplikowane są związki ze zwykłymi, płatnymi agentami. Motywy ich postępowania zawsze wydają się takie oczywiste — są lojalni jedynie wobec samych siebie i własnego portfela. Zupełnie inaczej wyglądała sprawa z pozyskanymi do współpracy uczciwymi ludźmi. Zawsze należało spodziewać się nieoczekiwanej powściągliwości, będącej często rezultatem konfliktu sumienia. Do tego należało jeszcze wziąć pod uwagę cechy osobowości danego człowieka, jego poczucie humoru... Wszystko to było zbyt skomplikowane i Stephen poczuł się nagle stary i zmęczony.

— Och. Stephen... Nareszcie jesteś — powiedział Aubrey, budząc się wprost z głębokiego snu. — Rozmawiałem długo z kapitanem Christy-Palliere, chyba na mnie nie czekałeś? - Jack przypomniał sobie treść owej rozmowy i natychmiast stracił resztki dobrego humoru. Przez chwilę wpatrywał się w deski podłogi, potem podniósł jednak wzrok i powiedział: — Dziś rano zostałeś prawie uznany za szpiega. — Stephen zatrzymał się w pół kroku i stał teraz nieruchomo w nienaturalnej pozie. — Nieźle się ubawiłem, gdy Christy-Palliere ze śmiertelną powagą odczytał mi twój rysopis.

Zaręczyłem jednak słowem honoru, że szukałeś po prostu swoich dwugłowych orłów. Na szczęście to wystarczyło. Christy-Palliere powiedział mi też coś dziwnego. Stwierdził, że powinniśmy natychmiast wyruszyć do Hiszpanii, zapominając o Porquerolles.

— Naprawdę? To do niego podobne... —powiedział miękko Stephen. — Śpij. mój drogi. Nasz francuski przyjaciel z pewnością nie przeszedłby nawet na drugą stronę ulicy po to, by zobaczyć *euphorbia praestans,* nic dziwnego więc, że odradza nam przeprawę łodzią. Muszę jeszcze coś zanotować, lecz postaram się ci nie przeszkadzać. Śpij. Czeka nas długi dzień.

Kilka godzin później, o brzasku, obudziło Jacka ciche skrobanie do drzwi. W pierwszej chwili

wydawało mu się, że to szczury buszujące w pentrze, lecz jego podświadomość natychmiast odrzuciła podobną myśl. Nawet we śnie organizm doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, że nie znajduje się na morzu. Brakowało nieustannego kołysania, przemieszczania się w przestrzeni. Na lądzie wszystko było nienaturalnie stabilne. Aubrey otworzył oczy. Stephen wstał właśnie od gasnącej już świecy, uchylił drzwi i odebrał od kogoś butelkę oraz poskładaną kartkę papieru. Wrócił do stołu, rozpieczętował list, potem powoli rozszyfrował wiadomość. Spalił oba kawałki papieru w płomieniu świecy i nie odwracając się, zapytał:

— Jack, nie śpisz chyba, prawda?

— Nie śpię. Od pięciu minut. Dzień dobry, Stephen. Jak myślisz, czy dzisiaj też będzie tak gorąco?

— Na pewno. Dzień dobry, mój drogi. Posłuchaj... — Maturin zniżył głos do ledwie słyszalnego szeptu. —Nie krzycz i nie podniecaj się... Czy słyszysz mnie?

— Tak.

— Jutro zostanie wypowiedziana wojna. Bonaparte kazał aresztować wszystkich obywateli brytyjskich.

Litościwy żandarm zatrzymał prowadzoną przez siebie kolumnę angielskich jeńców w wąskim pasie cienia tuż pod murami Carcassonne. Wśród aresztowanych większość stanowili marynarze z internowanych i zdobytych statków, było tam też kilku wojskowych, głównie oficerów, którzy w chwili wypowiedzenia wojny znaleźli się we Francji. Towarzyszyła im spora grupa cywilów — przeważnie przypadkowi podróżni: panie, panowie, służący, robotnicy rolni i odwiedzający akurat Francję w interesach kupcy. Po raz pierwszy w historii wojen cywilizowanego świata Bonaparte polecił, by zatrzymano wszystkich obywateli brytyjskich. Więźniowie byli zmęczeni upałem i strwożeni. Ich zawiniątka przemoczyła burza, w pierwszej chwili nie mieli nawet siły rozłożyć na słońcu wilgotnej odzieży, nie wspominając nawet o podziwianiu piękna starożytnych murów i baszt lub wspaniałego widoku na nowe miasto oraz rzekę. Wieść o nadejściu kolumny jeńców szybko rozeszła się po okolicy i do tłumu gapiów dołączyły przekupki zza rzeki, oferując owoce, wino, chleb, miód, kiełbasę, *p a t e* oraz kozie sery, zawinięte w świeże zielone liście. Wielu z internowanych miało jeszcze pieniądze (dopiero rozpoczęli swój marsz daleko, na północny wschód) — gdy nieco odpoczęli i posilili się trochę, próbowali wysuszyć przemoczone rzeczy. Biegnącą równolegle do murów drogą przejechał rozklekotany wóz, załadowany beczkami. Woźnica niechętnie zatrzymał się przy posterunku kontrolnym na moście. Spocony żołnierz bez słowa wyciągnął rękę po dokumenty.

— Hiszpan? — zdziwił się nieco. — Strasznie zatłuszczony ten twój paszport, człowieku. Śpisz z nim, czy co? Joan Margali, urodzony... co to za miejscowość?

— Lerida, *monsieur le sergent* — zapytany odpowiedział z pokorą właściwą biedakom. — Pracuję po francuskiej stronie granicy, u pana Poire. Wiozę właśnie jego beczki...

Żołnierz lekceważąco wydął wargi, zdjął czapkę i otarł spocone czoło.

— Umiem czytać... Nie zostało czasem w którejś z nich trochę wina?

— Niestety, sir. Są puste. Jadę wymienić je na pełne, nasz odbiorca znów złożył zamówienie. Jest tak gorąco i wino dobrze się sprzedaje.

Żołnierz skrzywił się, oddał dokumenty i machnął ręką. Wychudzone konie leniwie ruszyły z miejsca. Ustawione jedna za drugą olbrzymie beczki zagrzechotały na wybojach. Woźnica odwrócił się na koźle i zerknął szybko w stronę odpoczywających angielskich jeńców.

— Kolejny raz się udało — powiedział, gdy droga opustoszała za miastem.

— Jak na razie nie trafiliśmy na uczciwą kontrolę. Upał wszystkich rozleniwia — odpowiedziała głucho jedna z beczek. — Już ledwo żyję. Zaraz się tu uduszę. Zatrzymaj się w jakichś zaroślach, muszę rozprostować kości. Cały jestem poobijany. Siedzę w kałuży potu...

— Na razie musisz wytrzymać. Nie odjechaliśmy jeszcze dość daleko. Wkrótce się zatrzymamy. Przenocujemy w domu pewnego zaufanego człowieka, koło Couizy.

Biała droga wspinała się serpentynami coraz wyżej, po francuskiej stronie Pirenejów. Tumany kurzu wirowały w popołudniowym słońcu. Załadowany beczkami wóz jechał powoli, daleko z tyłu za długą kolumną podobnych pojazdów. Jak dotąd bez większych problemów udawało się przekraczać kolejne posterunki. Wojna trwała dopiero kilka dni, lecz kontrole na drogach były coraz bardziej dokładne. Na szczęście nigdzie jeszcze nie przyszło nikomu do głowy dokładnie sprawdzić beczki. Przebyli już ponad trzysta mil, zatrzymując się w lasach lub u przyjaciół. Z początku wydawało się, że ta szalona wyprawa nie ma najmniejszych szans powodzenia, lecz jak na razie wszystko przebiegało wyjątkowo szczęśliwie. Jedynym problemem były niewygody, jakie Aubrey musiał znosić w swej ciasnej kryjówce. Codziennie przez wiele godzin przebywał w specjalnie przygotowanej beczce — wszędzie tam, gdzie mogli napotkać wojskowe posterunki, w miastach oraz na ruchliwych szlakach. W mniej zaludnionych okolicach siadał czasem obok Stephena i udawał, że śpi, gdy ktokolwiek znalazł się w zasięgu wzroku. Bardzo rzadko jednak podejmowali podobne ryzyko. Wybrali drogę tak, by w miarę możliwości prowadziła przez pustkowia, lecz i tak co kilkaset jardów mijali samotne domy, a wsie przeważnie oddalone były od siebie zaledwie o kilka mil. Jack dusił się więc w swej kryjówce, posiniaczony i obolały. Nogi oraz ręce drętwiały mu od długiego przebywania w niewygodnej pozycji. Beczka była co prawda rozeschnięta, a w kilku miejscach w przemyślny sposób wywiercono otwory, lecz pomimo to w środku wciąż brakowało powietrza. Sytuację poprawiało tutaj jedynie uchylenie pokrywy, przygotowanej tak, by w razie potrzeby można ją było włożyć na miejsce i umocować w ciągu kilku sekund. To udogodnienie bardzo też ułatwiało rozmowę na spokojnych odcinkach drogi.

— Już niedługo oddamy beczki i wóz — powiedział Stephen, gdy wjechali w dolinę, odłączając się wreszcie od karawany wozów. — Daleko za drzewami widać zakręt głównego traktu do Le Perthus. Ty zostaniesz w lesie, a ja pojadę do wioski, zobaczyć, jaka jest sytuacja. Muszę też poprosić Carlosa, by zwrócił beczki panu Poire. Znajdziemy ci na noc jakieś chłodne miejsce, gdzie nareszcie będziesz mógł rozprostować kości.

— Och, jestem tak obolały, że po prostu nic już nie czuję. Wszystko mi jedno. A może po prostu się

przyzwyczaiłem? — Jack spróbował zażartować. Sycząc z bólu, poruszył się ostrożnie. — Ile to jeszcze potrwa?

— Najwyżej godzinę. Zaraz wjedziemy w las. Rosną tam głównie buki i, z tego, co pamiętam, wiele niezwykle rzadkich ziół...

Aubrey po raz ostatni wygramolił się z beczki, Stephen pomógł mu wejść głęboko w zarośla i położyć się w gęstej kępie paproci. Po chwili wóz odjechał w kierunku wsi. Jack leżał nieruchomo, nie zwracając najmniejszej uwagi na ściekające po piersi strumyczki potu i wchodzące za koszulę mrówki. Nie przeszkadzał mu leż nieprzyjemny zapach własnego, nie mytego od dawna ciała. Nie był po prostu w stanie się poruszyć. Przecierpiał jakoś najgorsze. Do pokonania pozostała teraz ostatnia trudność — musieli jakoś przekroczyć granicę. Pomysł z beczką okazał się bardzo dobry. Nie istniał inny sposób przemycenia wysokiego na sześć stóp jasnowłosego Anglika przez południową część Francji. Zostałby zatrzymany już po kilku minutach — wszędzie pełno było ludzi polujących na wszelkiej maści uchodźców i zbiegów. Jack nie przypuszczał jednak, iż jego kryjówka okaże się aż tak niewygodna. Kilkudniowa podróż była prawdziwą udręką — zaduch, ciasnota, wstrząsy, brak światła, zdrętwiałe kończyny, potłuczenia, niezliczone zadrapania i drobne rany. Najbardziej skomplikowana i przykra okazała się jednak sprawa załatwiania naturalnych potrzeb... Już kilka razy bliski był rezygnacji, gotów prawie oddać się dobrowolnie w ręce Francuzów. Zwyciężyła jednak silna wola i przekonanie, iż pomimo trudów i przeciwności, ta szaleńcza eskapada musi się udać. Od początku przecież w to nie wątpił. Tylko tak mogli uniknąć internowania. W przeciwnym razie resztę wojny spędziliby jako jeńcy, bez możliwości służby dla dobra kraju, awansu, odrobienia finansowych strat, odcięci od Sophie i... od Diany. Tym razem zbrojny konflikt na pewno potrwa bardzo długo, Jack był o tym przekonany. Widział przecież, jak silny jest teraz Bonaparte. We Francji wszystko znajdowało się w stanie najwyższej gotowości. Przykładem tego mogła być sytuacja w Tulonie — trzy liniowce prawie gotowe do zwodowania, olbrzymia ilość zgromadzonych zapasów, zaskakująco gorliwi i zaangażowani ludzie. Każdy obyty z morzem człowiek już po godzinie od wejścia na pokład okrętu był w stanie powiedzieć, jaką wartość bojową przedstawia sobą dana jednostka i jej załoga. Podobnie wyglądała sprawa z portami. Jack bez trudu dostrzegł, że w Tulonie wszystkie koła olbrzymiej maszyny obracają się szybko, nadzwyczaj sprawnie i bez zgrzytów. Francja była naprawdę bardzo silna. Do niej należała wspaniała duńska marynarka wojenna, a Francja kontrolowała olbrzymie obszary zachodniej Europy. Anglia wydawała się słaba i samotna. Jak dotąd nie miała żadnych sojuszników — wskazywały na to zasłyszane po drodze wiadomości — a jej Royal Navy nie była podobno tym razem tak potężna jak dawniej. W to Jack nie wątpił. St Vincent bardziej interesował się reformowaniem stoczni niż budową nowych okrętów. Anglia miała teraz mniej liniowców niż w roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym trzecim, pomimo nowych wodowań i wojennych zdobyczy. Był to jeden z wielu powodów, dla których związana traktatem z Francją Hiszpania mogła być zainteresowana przystąpieniem do wojny po stronie Bonapartego. Oznaczałoby to, że granica będzie zamknięta i nie uda im się przedostać do posiadłości Stephena. Całą tę brawurową wyprawę odbyliby wówczas nadaremnie. Czy Hiszpania wypowiedziała wojnę Anglii? Od chwili gdy znaleźli się w Roussillon, we francuskiej Katalonii, Jack nie był w stanie zrozumieć ani słowa z tego, o czym jego dziwnie małomówny ostatnio przyjaciel rozmawiał ze spotykanymi na drodze i we wsiach ludźmi. Stephen nagle bardzo się zmienił... Jack był dotąd przekonany, że doskonale go zna, lecz teraz miał okazję przyjrzeć się doktorowi z zupełnie innej strony. Nigdy nie przypuszczał, że Maturin potrafi być aż tak przebiegły, opanowany, czasem

pozbawiony skrupułów. Okazał się też doskonałym aktorem.

Poszedł teraz do wsi, zostawiwszy w lesie swego towarzysza — miał hiszpański paszport i bez trudu mógł przekroczyć granicę, nawet podczas wojny. W umyśle Jacka kłębiły się coraz czarniejsze myśli i ponure przypuszczenia, których nie ośmielił się jednak jaśniej sformułować.

— Mój Boże — powiedział w końcu cicho do siebie. — Czyżbym wypocił już całą odwagę? Czy razem z odwagą utraciłem resztki rozsądku? — Aubrey wiele razy widział ludzi, którym zabrakło odwagi, marynarzy uciekających pod pokład, oficerów chowających się za kabestanem. Rozmawiał o tym kilka razy ze Stephenem. Czy odwaga to niezmienna, przypisana danej jednostce cecha? A może raczej nabyta umiejętność przezwyciężania strachu? Zdaniem doktora nic nie było tutaj raz na zawsze ustalone i w grę wchodziło bardzo wiele rozmaitych czynników: dieta, okoliczności, funkcjonowanie układu pokarmowego (ludzie cierpiący na obstrukcję często są bojaźliwi), stan psychiki, osobowość (skomplikowane relacje między odwagą i brutalnością), wiek (ludzie starsi z reguły bywają ostrożniejsi) oraz płeć (pojawiał się tu ciekawy problem kastratów). Oddzielną kwestię stanowiły różne postacie odwagi: bezmyślna, szalona, pełna rozwagi i opanowania — płynąca ze stoickiego spokoju lub obojętności wobec grożącego niebezpieczeństwa *(satietas vitae)* — bohaterstwo powodowane rutyną (gdy zagrożenie spowszednieje) lub po prostu nieświadomością ryzyka. Jack przypomniał sobie dokładnie słowa Stephena, poparte cytatami z dzieł Plutarcha, Mikołaja z Kuzy i Boecjusza. Wszystko to nagle zaczęło wirować, wymieszane z muzyką, przeplatane fragmentami trio, które ostatnio grali... Ostatnim wysiłkiem woli próbował gonić rozpędzone myśli, lecz coraz trudniej było mu za nimi nadążyć. Zasnął.

Obudził go piskliwy głos małej dziewczynki w białym fartuszku. Razem z przyjacielem zbierała blisko w lesie grzyby i trafiła właśnie na jakiś szczególnie dorodny okaz.

— Ramón! — krzyczała. Odpowiadało jej odbite od drzew echo. — Ramón, Ramón! Chodź, zobacz, co znalazłam! Chodź, zobacz!

I tak w kółko. Z początku odwrócona była do Jacka tyłem. Jej towarzysz nie odzywał się jednak, zaczęła więc nawoływać na wszystkie strony.

Aubrey skurczył się, najbardziej jak tylko mógł, a gdy dziewczynka spojrzała w jego kierunku, zamknął oczy. Nie chciał, by zdradził go ich blask. Umysł Jacka pracował teraz na najwyższych obrotach. Znikło gdzieś nagle zmęczenie, najważniejsze było ratowanie przeprowadzonego z takim trudem przedsięwzięcia. Jeśli ta mała coś zauważy, za kilka minut las zostanie otoczony przez żołnierzy lub bandę uzbrojonych wieśniaków. Ewentualna ostrożna ucieczka groziła utratą kontaktu ze Stephenem, który miał przecież przy sobie zaszyte w płaszczu dokumenty. W głowie Jacka jeden po drugim pojawiały się kolejne możliwe warianty rozwoju sytuacji, nie był jednak w stanie znaleźć żadnego sensownego rozwiązania.

— Co się stało, kochanie? — z troską w głosie zapytał Maturin. — Dzień dobry. Ochrypniesz, jeśli dalej będziesz tak krzyczała. Co takiego znalazłaś? To szatan, kochanie. Widzisz, jak ogon twojego grzybka się zaczerwienił, gdy go przełamałem? To diabeł tak się rumieni. Tutaj mamy za to kanię. Mamusia ci ją usmaży. Ramón to chyba twój brat, prawda? Jest tam, między drzewami. Wybrałem się dzisiaj w odwiedziny do mojego przyjaciela En Jaume i właśnie tędy wracam...

— Tak. Ramón to mój brat, a En Jaume jest wujkiem mojego chrzestnego. Mój chrzestny nazywa się En Pere — z dumą wyjaśniła dziewczynka i pomachała Stephenowi rączką na pożegnanie.

— Do widzenia. — Doktor również pomachał ręką. — Niech cię Bóg prowadzi... Nareszcie mam pewne informacje — powiedział po dłuższej chwili, gdy biały fartuszek zniknął w zaroślach. — Hiszpania na razie nie przyłączyła się do wojny, lecz jej śródziemnomorskie porty zamknięte są dla brytyjskich okrętów i statków. Musimy przedostać się do Gibraltaru.

— A co z granicą? Stephen przygryzł wargi.

— We wsi jest pełno policjantów i żołnierzy. Dowodzi nimi dwóch oficerów. Przeszukują wszystko. Sprawdzili beczki. Bardzo dokładnie. Przechylali je i zaglądali do środka. Dobrze, że cię tutaj zostawiłem. Aresztowali jednego angielskiego szpiega.

— Mieliśmy niesamowite szczęście... Skąd wiesz o szpiegu?

— Powiedział mi o tym ksiądz, który go spowiadał. Tak czy inaczej, nie możemy tu dzisiaj zostać na noc. Musimy też zapomnieć o głównym trakcie wiodącym do granicy. Nigdy zresztą, tak naprawdę, nie zamierzałem z niego korzystać. Znam... A raczej znałem... inną drogę. Stań tutaj, o tak. Tylko nie wychodź z cienia. Widzisz czerwony dach i ten szczyt za nim? A górę dalej z prawej strony za lasem? Tamtędy właśnie przebiega granica. Zboczem można przedostać się do Recasens i Cantallops. Gdy się ściemni, przejdziemy na drugą stronę drogi, a o świcie powinniśmy być w Hiszpanii.

— Nie możemy gdzieś odpocząć i wyruszyć jutro?

— Nie. To zbyt niebezpieczne. Bardzo mi przykro, Jack. Wiem, że nie będzie ci łatwo. Musimy jednak się spieszyć. Nie wolno nam dać się złapać niemal u kresu drogi. I tak bardzo ryzykujemy. Po okolicy krążą patrole, możemy nadziać się na żołnierzy. Przez góry pójdziemy ścieżką przemytników. To bardzo niebezpieczne. Spotkanie z nimi może mieć przykry dla nas skutek... Nie lubią obcych. W przeciwieństwie do żołnierzy i policjantów są jednak na tyle rozsądni, że w razie czego uda nam się chyba z nimi dogadać.

Pół godziny przeleżeli w krzakach przy drodze, czekając, aż przejedzie długa kolumna artylerii: działa, wozy, oficerowie na koniach i kilka karet — jedna ciągnięta przez osiem mułów w szkarłatnej uprzęży. Teraz, gdy granica znajdowała się już w zasięgu wzroku, należało być podwójnie ostrożnym.

Minęło następne pół godziny. Wyruszyli wreszcie w drogę i już wkrótce dotarli do polnego traktu, prowadzącego w górę do Saint-Jean de l'Albere. Coraz wyżej i wyżej. W świetle księżyca ujrzeli majaczący przed nimi w oddali las, z zapadnięciem mroku nadeszły też pierwsze podmuchy sirocco, wiejącego znad hiszpańskich równin, gorące jak żar buchający z otwartego pieca.

Przez cały czas wspinali się coraz wyżej. Za ostatnią stodołą trakt zwęził się do ścieżki, obaj przyjaciele musieli teraz maszerować jeden za drugim. Doktor niósł olbrzymi pakunek z wszystkimi rzeczami, oszczędzając swego poobijanego towarzysza, i idący z tyłu Jack czuł lekką zazdrość. Był już bardzo zmęczony, chociaż dopiero co wyruszyli, a Maturin bez słowa skargi gnał dziarsko pod górę, obciążony niewygodnym ciężarem. Paczka była spora, ważyła pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt

funtów, a jej rzemienie musiały boleśnie kaleczyć ramiona. Połączona z podziwem zazdrość dziwnie szybko przerodziła się w zawiść i szczególną niechęć wobec ledwo widocznej w ciemnościach postaci, poruszającej się niestrudzenie do przodu, zawsze zbyt szybko, bez chwili odpoczynku. Jack poczuł, że już niedługo nogi odmówią mu posłuszeństwa, że nie zdoła przejść kolejnych stu jardów. Nie był jednak w stanie przyznać się do własnej słabości i poprosić, by zatrzymali się na kilka minut dla złapania oddechu. Zacisnął więc tylko zęby i maszerował dalej.

Ścieżka wiła się, rozgałęziała, miejscami ginęła wśród olbrzymich, starych buków, o pniach posrebrzonych blaskiem księżyca. Stephen zatrzymał się wreszcie i Jack wpadł na niego zdyszany. Doktor bez słowa chwycił go za ramię i poprowadził w cień zwalonego drzewa. Pomimo szelestu poruszanych wiatrem liści coraz wyraźniej słychać było metaliczny, powtarzający się stukot i odgłos kroków. Aubrey doskonale wiedział, co oznaczają te odgłosy i w jednej chwili zapomniał o zmęczeniu. Z przeciwka hałaśliwie zbliżał się wojskowy patrol — czyjś muszkiet rytmicznie uderzał o sprzączkę — słychać też było teraz kaszel i przyciszone rozmowy. Jack i Stephen wstrzymali oddechy, a schodzący z góry żołnierze przeszli o niecałe dwadzieścia jardów od ich kryjówki.

Maturin znów pociągnął swego przyjaciela za ramię i już po chwili ruszyli w dalszą drogę. Wciąż wchodzili coraz wyżej — czasem maszerowali pełnym liści korytem wyschniętego strumienia, czasem wspinali się po odkrytym zboczu, miejscami tak stromym, że musieli poruszać się na czworakach. Jakby tego było mało, wciąż wiał porywisty, gorący wiatr.

„Czy to niesamowite podejście nigdy się nie skończy?" — Jack pytał sam siebie, ocierając pot z czoła. „Może to tylko zły sen? Może to wszystko nie dzieje się naprawdę?"

Miejsce buków zajęły teraz sosny. Tysiące sosen w nie kończącym się lesie, nie mające końca strome zbocze i miliardy sosnowych igieł pod stopami. W pewnej chwili idący przodem Stephen zatrzymał się po raz drugi. Tym razem tylko na chwilę.

— To musi być gdzieś tutaj — mamrotał cicho. — Drugie rozwidlenie. .. Kiedyś wypalano w tym miejscu węgiel drzewny. Zaraz będzie przewrócony modrzew. I pszczoły we wnętrzu spróchniałego pnia...

Jack na dłuższą chwilę zamknął oczy, nie przestając iść naprzód. Gdy je otworzył, niebo wyraźnie już pojaśniało, a księżyc utonął gdzieś w spowijającej doliny mgle.

Sosny. I nagle otwarta przestrzeń. Kilka skarłowaciałych krzewów, wrzosowisko i łąka. Znaleźli się wreszcie na skraju lasu — stali teraz w milczeniu między drzewami, patrząc uważnie przed siebie. Dopiero po dwóch lub trzech minutach Jack zauważył, że wyżej na zboczu coś się porusza.

— Pies? — zapytał cicho, pochylając się w stronę Stephena. Czyżby żołnierze byli na tyle sprytni i przyprowadzili tu psa? Przegrana tak blisko celu?

— Wilk — Stephen wyszeptał mu wprost do ucha. — A dokładniej, to młoda wilczyca.

Czekali jeszcze przez chwilę, obserwując okoliczne zarośla i nagie skały, aż wreszcie Maturin wyszedł śmiało na łąkę. Szybkim krokiem wspiął się na szczyt, do leżącego w trawie kwadratowego

kamienia, z wyżłobionym u góry i pomalowanym czerwoną farbą krzyżem.

— Witam na mojej ziemi — powiedział do zasapanego Jacka, który dopiero po kilkunastu minutach zdołał wejść na górę. — Jesteśmy w Hiszpanii. Tam w dole widać mój dom. Niedaleko stąd są dwa źródła, odpoczniemy przy nich chwilę. Nareszcie będziesz mógł się umyć. Bardzo ucieszyła mnie ta wilczyca... Zobacz, leżą tu jej odchody, całkiem świeże. Widocznie przebiega tędy również granica wilczych terenów łowieckich. Wilki, jak wszystkie psy, zaznaczają swoje terytorium...

Jack usiadł ciężko na kamieniu, z trudem łapiąc powietrze. Dopiero po dłuższej chwili był w stanie myśleć, nadal jednak bolały go płuca. Zbocze opadało dalej stromo, tworząc niebezpieczne urwisko, a o dwa tysiące stóp poniżej, w świetle poranka, rozpościerała się hiszpańska Katalonia: szachownica pól, zielone winnice, połyskująca srebrem rzeka, płynąca zakolami w stronę odległego morza. Daleko na północy widać było Zatokę Rosas z przylądkiem Creus, a wiatr niósł teraz ze sobą znajomy zapach soli. Grzbiety Pirenejów jak gigantyczne palce sięgały daleko w równinę, a u podnóża góry, na samotnej skale, stał zamek z wysoką wieżą — wydawało się, że rzucony ze szczytu kamień upadłby na dziedziniec.

— Tak się cieszę, że miałeś okazję zobaczyć tego wilka — Aubrey odezwał się wreszcie z trudem. — To chyba wielka rzadkość w tych stronach, prawda?

— Wcale nie, mój drogi. Żyje ich tutaj dość sporo. Dlatego owce nie mogą zostawać na noc na pastwisku. Bardzo jednak się ucieszyłem. Obecność wilka oznacza, że jesteśmy tu sami, a to na pewno jest powód do radości. Mimo to lepiej chyba będzie, jeśli stąd jak najszybciej pójdziemy. Powinniśmy zejść z widoku. Ta wilczyca wciąż jest między jałowcami; skoro nie ucieka, może po prostu jest głupia. Nie chciałbym, żeby teraz nam się nie udało. Wystarczy jakiś przypadkowy patrol, celnicy lub żołnierze... Nawet tutaj, po hiszpańskiej stronie granicy, wciąż może nas spotkać nieszczęście. Wystarczy jeden złośliwy sierżant z karabinem...

— Czy możesz pomóc mi wstać? Sam nie dam rady. Mam już dosyć. Najchętniej siedziałbym tu do jutra.

Po kilkunastu minutach dotarli do ukrytego w lesie źródła i Jack mógł nareszcie zanurzyć obolałe stopy w lodowatej wodzie. Po chwili wykąpał się cały, a strumień na jakiś czas zamienił się w cuchnący ściek. Ze skały wciąż wypływała jednak świeża woda i wraz z nią do umęczonego ciała wracało życie.

— Schudłeś ładnych kilka funtów — zauważył Stephen, obserwując brzuch swego przyjaciela. — Te sińce i zadrapania wkrótce zginą bez śladu. Powinieneś też się ogolić.

— Na pewno — zgodził się Jack, a w jego oczach znów pojawiły się wesołe iskierki. — Jak daleko jest stąd do twojego domu?

— W prostej linii jakieś tysiąc stóp — odparł Stephen, wskazując ręką zamek. — Jest tam, na prawo od kamieniołomów. Kiedyś wydobywano tu marmur... Widzisz tę białą plamę? Niestety będziemy musieli pójść dłuższą drogą. Zajmie nam to przynajmniej godzinę. Za godzinę zjemy porządne śniadanie.

— Mówiłeś o domu, a to przecież potężne zamczysko. Czy naprawdę należy do ciebie, Stephen?

— Tak, a tam są moje pastwiska. Co ja widzę... — zawołał oburzony doktor. — Te francuskie psy z La Vaill najwyraźniej wypasają na moich łąkach swoje krowy!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Trzy dni po przekroczeniu zwrotnika, statek „Lord Nelson", powracający z Indii i dowodzony przez kapitana Spottiswooda, dostał się w wyjątkowo silny sztorm. Jednostka przetrwała huraganowy zachodni wiatr, lecz w jego wyniku straciła większą część grotmasztu i bramstengę stermasztu. Pozostałe maszty były mocno nadwerężone, bardzo ucierpiało też całe olinowanie, wszystkie łodzie zostały zmyte za burtę razem z żurawikami. Pogoda nie poprawiała się aż do Madery, pasażerowie wpadli więc w panikę, a strudzona długą i ciężką podróżą załoga bliska była buntu. Kapitan Spottiswood zdecydował się więc zawinąć do mijanego właśnie po zawietrznej Gibraltaru, choć jak wszyscy wracający do kraju kapitanowie, najchętniej omijałby z daleka porty, w których stacjonowały okręty wojenne. Tak jak się tego spodziewał, natychmiast stracił wielu urodzonych w Anglii marynarzy, siłą wcielonych do marynarki, lecz udało mu się przeprowadzić wszystkie potrzebne naprawy. Nikłą pociechę stanowił też fakt, iż na statek zaokrętowało kilku pasażerów.

Na pokładzie pierwsi pojawili się Stephen Maturin oraz Jack Aubrey — obaj zostali powitani przez kapitana i oficerów w dość eleganckim stylu. Kompania Wschodnioindyjska szczyciła się swym wysokim prestiżem, a przynajmniej starała się stwarzać takie pozory i na jej jednostkach przejęto wiele obyczajów z Royal Navy. Było zresztą ku temu również sporo innych, bardzo konkretnych powodów. Na przykład pomalowane w szachownicę furty działowe oraz ogólny wygląd statków, na pierwszy rzut oka bardzo przypominały okręty wojenne. Dzięki temu wielu morskich rozbójników rezygnowało z ewentualnej napaści. W grę wchodziło też jednak wiele innych, drobniejszych spraw i wygórowanych aspiracji, irytujących oficerów królewskiej floty, którzy przyglądali się wszystkiemu bardzo krytycznym okiem. Również i w tym konkretnym przypadku, pomimo białych rękawiczek na dłoniach stojących przy trapie chłopców okrętowych, natychmiast dało się zauważyć niedociągnięcia. Podobne powitanie — stłoczona gromadka stojących byle jak ludzi — nie mogłoby się zdarzyć na pokładzie okrętu „Superb", na którym Aubrey gościł niedawno na obiedzie. Do tej pory pamiętał to przyjęcie, choć wrócił wtedy całkiem trzeźwy. Jakby tego było mało, jeden z marynarzy „Lorda Nelsona" uśmiechał się bezczelnie, a pozostali poruszali głowami. Wyczuwało się tu pewną arogancję i niedbałość, połączoną z równoczesnym brakiem dyscypliny. Jack nie był przyzwyczajony do podobnego stanu rzeczy, zachowywał się więc trochę nienaturalnie. Zamienił jednak kilka uprzejmych słów z kapitanem Spottiswoodem, denerwując go swym nieco protekcjonalnym tonem, potem jeszcze raz uważnie rozejrzał się po pokładzie i zupełnie nieoczekiwanie napotkał znajome spojrzenie.

— Pullings! — zawołał radośnie, a jego zły humor, a raczej tylko ślad złego humoru, natychmiast gdzieś wyparował. Na posępnej przed chwilą twarzy pojawił się promienny uśmiech. —Tak się cieszę, że pana widzę! Co słychać? Skąd się pan tutaj wziął?

— A to nasz supercargo, pan Jennings — wyjaśnił kapitan Spottiswood, niezadowolony ze zmiany ustalonej kolejności prezentacji oficerów. — Panowie: Bates, Wand i pan Pullings, którego, jak widzę, pan zna...

— Służyliśmy na tym samym okręcie — powiedział Aubrey, ściskając dłoń Pullingsa z siłą równą sympatii, jaką darzył tego młodego człowieka, byłego oficera nawigacyjnego „Sophie", przez jakiś czas pełniącego obowiązki jej porucznika. Z nieoczekiwanego spotkania bardzo ucieszył się także stojący za plecami Jacka doktor Maturin.

„Lord Nelson" nigdy nie był szczęśliwą jednostką, lecz już po godzinie od przyjęcia na pokład pasażerów złapał w swe żagle rześki lewanter i pokonując przeciwne prądy, bez trudu wydostał się z cieśniny na pełny Atlantyk. Kapitan Spottiswood uznał w swej naiwności, że jest to wyjątkowo korzystny uśmiech losu, a już na pewno bardzo pomyślna wróżba na dalszą podróż. Statek nie był zbyt szybki i nie żeglował najlepiej — na pewno wygodny dla pasażerów, pojemny i ładowny — poruszał się jednak bardzo ociężale, słabo też pływał kursami na wiatr. Zbliżał się niestety do końca swych dni. Obecny rejs miał być zakończeniem jego służby na morzu —już w podróży z tysiąc osiemset pierwszego roku ubezpieczyciele zażądali stawki wyższej o trzydzieści procent.

Był to również pierwszy statek Kompanii Wschodnioindyjskiej, na którym dane było żeglować Jackowi. Towarzysząc pełniącemu wachtę Pullingsowi, Aubrey ze zdumieniem przyglądał się zaniedbanym pokładom i beczkom z wodą ustawionym pomiędzy działami. Armat było zadziwiająco dużo — dwadzieścia osiemnastofuntówek i sześć dwunastofuntówek — imponujące uzbrojenie jak na jednostkę handlową.

— Ilu macie ludzi w załodze? — zapytał zaciekawiony.

— Obecnie niewielu ponad stu. Stu dwóch, jeśli mam być dokładny.

— No cóż... — Aubrey pokręcił głową. W Royal Navy uważano, że do obsługi osiemnastofuntowego działa potrzeba dziewięciu mężczyzn i chłopca przynoszącego proch. Dwunastofuntówkę powinno obsługiwać siedmiu mężczyzn i chłopiec. Dawało to razem stu dwudziestu czterech ludzi do dział na jednej burcie. Stu dwudziestu czterech rosłych, silnych i dobrze odżywionych mężczyzn oraz dodatkowych stu do lin, żagli, prowadzenia statku, odpierania abordażu, strzelania z muszkietów, i w razie konieczności również do pozostałych armat. Jack z powątpiewaniem spojrzał na kucających dookoła kupy śmieci hinduskich marynarzy, pracujących pod nadzorem bosmana w turbanie. Może i byli oni na swój sposób dobrymi żeglarzami, lecz trudno było uwierzyć, że przy swoim wzroście i drobnej budowie ciała mogli w piątkę lub szóstkę przetaczać dwutonowe działo po kołyszącym się na atlantyckiej fali pokładzie. Wszyscy kulili się z zimna i przez to wydawali się jeszcze mniejsi. Nieliczni w załodze Europejczycy mieli na sobie tylko koszule, podczas gdy niektórzy Hindusi włożyli nawet ocieplane kurtki, a i tak trzęśli się na chłodzie.

— No cóż... — powtórzył Jack. Nie chciał mówić nic więcej. Miał już wyrobione zdanie o tym statku, wiedział jednak, że wypowiadając głośno swoje opinie, może sprawić przykrość Pullingsowi, który po tak długiej podróży na pewno czuł się częścią załogi. Ten bystry młody człowiek wiedział jednak na pewno, że kapitan Spottiswood już dawno utracił resztki autorytetu, że „Lord Nelson" pływał jak nasiąknięta wodą kłoda i przy Trafalgarze dwa razy nie był w stanie wykonać zwrotu przez sztag, zmieniając w końcu hals zwrotem przez rufę. Z całą pewnością nie warto było o tym mówić. Aubrey rozglądał się więc usilnie dookoła, szukając czegoś, co mógłby pochwalić, zachowując choćby najmniejsze pozory szczerości. Jego uwagę przykuło lśnienie mosiężnego działa na dziobie i natychmiast powiedział o tym swemu przewodnikowi:

— Ta armata lśni, jakby była ze złota — zauważył.

— Tak, to prawda. Polerują ją z własnej i nieprzymuszonej woli. Po pięciu dniach od opuszczenia wyspy, a także gdy dotarliśmy do Przylądka Dobrej Nadziei, przystroili wylot lufy wieńcem z kwiatów. Modlą się do niej, biedacy, gdyż ich zdaniem przypomina... Nie chcę powiedzieć głośno co. Ten statek nie jest jednak taki zły. W miarę dobrze chodzi na fali i jest tu wszędzie sporo miejsca. Jak na liniowcu pierwszej klasy. Mam bardzo wielką kabinę. Może uczyni mi pan ten zaszczyt i pozwoli zaprosić się po wachcie na szklaneczkę araku?

— Z najwyższą przyjemnością — odparł Jack. Gdy w końcu znaleźli się pod pokładem, u Pullingsa, wyciągnął się wygodnie na wyścielanym blacie szafki i zapytał:

— Jak to się stało, że trafił pan akurat tutaj?

— Jak tu trafiłem? Zwyczajnie, sir. Próbowałem znów zaokrętować jako podchorąży, lecz moi dawni kapitanowie sami szukali dla siebie okrętów. Ci, którym się poszczęściło, na przykład Berkley, nie mieli akurat wolnych etatów. Wybrałem się więc z listem od pana do kapitana Seymoura. Jego „Amethyst" był właśnie przebudowywany i wyposażany na nowo w Hamoaze. Stary Cozzens podwiózł mnie aż do Vizes. Kapitan Seymour przyjął mnie bardzo uprzejmie, gdy powołałem się na pana. Wydał mi się bardzo przyjacielski, bezpośredni i wcale się nie wywyższał. Złapał się jednak za głowę po przeczytaniu pańskiego listu. Powiedział, że byłby naprawdę szczęśliwy, mogąc wyświadczyć panu uprzejmość, przy okazji tak bardzo na tym zyskując. Naprawdę miło było mi to usłyszeć... Nic jednak nie mógł poradzić. Zaprowadził mnie do mesy oficerskiej i do kubryku podchorążych, aby udowodnić, że mówi prawdę. Po prostu nie byłby w stanie pomieścić na swoim okręcie kolejnego młodego dżentelmena. Poprosił mnie nawet, bym policzył kuferki, choć wierzyłem przecież w każde jego słowo. Podjął mnie potem wspaniałym obiadem w swojej kabinie. Sprawił mi tym wielką radość, bo ostatnie dwadzieścia mil przeszedłem piechotą. Byłem jego jedynym gościem i po puddingu kapitan zaczął rozmawiać ze mną o pańskiej akcji na „Sophie". Wiedział wszystko, pomylił mu się tylko trochę kierunek wiatru. Musiałem opowiedzieć dokładnie o wszystkim, co robiłem, od pierwszego do ostatniego wystrzału. „Do licha" — zawołał wtedy. „Nie mogę pozwolić, by jeden z oficerów kapitana Aubreya marnował się na lądzie. Mam przecież trochę znajomości!" Zaraz potem napisał dla mnie dwa listy: jeden do pana Adamsa w Admiralicji i drugi do pana Bowlesa, ważnego człowieka z East India House.

— Pan Bowles poślubił siostrę Seymoura— zauważył Aubrey.

— Tak, sir — potwierdził Pullings. — Z początku nie zawracałem sobie jednak głowy Kompanią Wschodnioindyjską. Pan Adams miał sprawić, że zostanę przyjęty przez Starego Jarviego. Łączyłem z tym wielkie nadzieje, słyszałem bowiem, że pierwszy lord szczególną życzliwością darzy młodych ludzi, którzy tak jak ja wywodzą się z prostych rodzin i do marynarki trafili bez protekcji, znikąd. Wybrałem się więc do stolicy, dla pewności ogoliłem się dwa razy i wylądowałem w słynnej poczekalni. Po jakichś dwóch godzinach poprosił mnie do siebie pan Adams, kazał mówić do jego lordowskiej wysokości głośno i wyraźnie, w żadnym wypadku nie wspominać też o tym, że już kiedyś wstawiał się pan za mną. W trakcie naszej rozmowy na korytarzu wybuchło wielkie zamieszanie, jakby ktoś dokonał abordażu. Mój protektor wyszedł na chwilę zobaczyć, co się stało i wrócił blady jak ściana. „Stary diabeł" — powiada. „W ramach przymusowego poboru wcielił siłą

do służby porucznika Salta. W siedzibie Admiralicji. Odesłał biedaka pod strażą na okręt pomocniczy". Nie słyszał pan o tym, sir?

— Nigdy.

— Pan Salt z wyjątkowym uporem domagał się przydziału na okręt. Codziennie wysyłał list do pierwszego lorda, w każdą środę i piątek zgłaszał się na rozmowę. I właśnie w piątek, gdy i ja tam byłem, Stary Jarvie przymrużył oko i powiedział: „Tak bardzo chce pan iść na morze? A więc wkrótce trafi pan na okręt, sir", i siłą wcielił go do służby.

— Oficera? Zrobił go zwykłym marynarzem? — zawołał Jack. — Nigdy w życiu nie słyszałem o podobnym zdarzeniu!

— Nie pan jeden. Biedny porucznik Salt leż był bardzo zdziwiony — spokojnie wyjaśnił Pullings. — Dokładnie tak się jednak stało, sir. Gdy się o tym wszystkim dowiedziałem, gdy zobaczyłem szepczących o tym ludzi i posłuchałem plotek, wystraszyłem się nie na żarty i z radością posłuchałem rady pana Adamsa. Zaproponował mi, bym najlepiej przyszedł innym razem. Wybiegłem więc na ulicę i zapytałem odźwiernego o najkrótszą drogę do East India House. Dobrze trafiłem. Pan Bowles okazał się bardzo, bardzo uprzejmy... Tak trafiłem na ten statek. Nie jest mi tu źle. Płacą dwa razy tyle co w marynarce, wolno też próbować dorobić sobie na boku. W rufowej ładowni mam skrzynkę z chińskimi wyszywankami. Co z tego jednak... Boże, tak chciałbym znaleźć się znowu na królewskim okręcie...!

— Kto wie, może teraz nie trzeba będzie długo na to czekać — z nadzieją w głosie powiedział Jack. — Wrócił Pitt i nie ma już Starego Jarviego. Odmówił przyjęcia dowództwa nad flotą kanału La Manche. Gdyby nie był pierwszej klasy żeglarzem, powiedziałbym: Pies z nim... W Admiralicji jest teraz Dundas... lord Melville. Wiem, że mogę liczyć na jego przychylność. Gdyby tylko udało się rozpiąć trochę więcej żagli, popchnąć jakoś nasz statek do przodu... Musimy zdążyć do Londynu, zanim wszystkie najlepsze miejsca zostaną zajęte! To prawie pewne, że znów będziemy mogli wyruszyć razem w rejs.

Więcej żagli. Z tym właśnie był największy problem. Od czasu nieprzyjemnej przygody na trzydziestym trzecim równoleżniku kapitan Spottiswood nie chciał stawiać nawet bramsli, dni mijały więc bardzo powoli. Jack większość czasu spędzał oparty o rufowy reling i wpatrzony w niemrawy kilwater. Nie interesowała go zupełnie powolna praca załogi, nie chciał też niepotrzebnie denerwować się na widok zdjętych i ułożonych na pokładzie bramsteng masztów. Towarzyszyły mu zwykle panny Lamb, pogodne, życzliwe, raczej korpulentne i niezbyt urodziwe dziewczęta. Jak same żartobliwie mówiły, wyjechały do Indii na połów — wracały teraz do kraju, niestety nadal niezamężne, pod opieką wuja, majora Hilla z Bengal Artillery.

Również i tym razem były na pokładzie. Jack siedział między nimi. Z boku, po lewej stronie, stało krzesło dla doktora Maturina. „Lord Nelson" żeglował obecnie po Zatoce Biskajskiej i wiał silny wiatr z południowego zachodu. Temperatura spadła, lecz dziewczęta dzielnie walczyły z chłodem, szczelnie owinięte szalami spod których widać było tylko zaróżowione z zimna nosy.

— Ludzie mówią, że Hiszpanki to bardzo piękne kobiety — zagadnęła najstarsza z panien. — Ponoć

są ładniejsze od Francuzek, choć nie dorównują im elegancją. Niech pan powie, kapitanie Aubrey, czy to rzeczywiście prawda?

— No cóż... — odpowiedział z wahaniem Jack. — Mówiąc szczerze, nie bardzo wiem, co pani odpowiedzieć. Nie miałem po prostu okazji im się przyjrzeć.

— Spędził pan przecież kilka miesięcy w Hiszpanii... — zdziwiła się panna Susan.

— Zgadza się, lecz prawie cały ten czas przeleżałem chory w majątku doktora Maturina koło Leridy. To urocze miejsce: wysokie łukowate sklepienia; zgodnie z miejscowym zwyczajem wszystko pomalowane na niebiesko; dziedziniec, pięknie kute kraty i drzewa pomarańczowe.

Niestety nie widziałem tam żadnych hiszpańskich dam. Była tylko kochana stara niania, która karmiła mnie kleikiem. W niedziele nosiła mantylkę i upinała wysoko włosy, lecz na pewno nie można nazwać jej pięknością.

— Bardzo był pan chory? — panna Lucy zapytała zatroskana.

— Tak mi się zdaje — wyjaśnił Jack. — Ogolili mi głowę, dwa razy dziennie przystawiano mi pijawki. Gdy tylko czułem się trochę lepiej, wypijałem olbrzymie ilości ciepłego koziego mleka. Po tym wszystkim byłem tak osłabiony, że z trudem mogłem utrzymać się na koniu. W pierwszym tygodniu przejeżdżaliśmy dziennie nie więcej niż piętnaście, dwadzieścia mil.

— Miał pan szczęście, że podróżował z panem doktor Maturin — stwierdziła panna Susan. — To wspaniały człowiek. Bardzo go podziwiam.

— Z całą pewnością tylko dzięki niemu udało mi się wyzdrowieć. Inaczej byłoby już po mnie — zgodził się Jack. — Nie odstępował mnie nawet na krok, czuwał przy mnie dniem i nocą. Zawsze był gotów puścić mi krew lub podać lekarstwo. Boże, ile tego było. Wystarczyłoby na zaopatrzenie małej apteki... Stephen, mówiłem właśnie paniom o tym, jak chciałeś mnie otruć swoimi doświadczalnymi miksturami.

— Niech pan tego nie słucha, doktorze. Kapitan Aubrey powiedział nam, że uratował mu pan życie. Nauczył nas też dzisiaj wiązać talrepy i pokazał nam kilka splotów.

— Naprawdę? — Stephen stanął przy swoim krześle. — Szukam dowódcy. Mam nowiny, które na pewno go zainteresują. Dotyczą zresztą nas wszystkich. Pan Parley myli się, twierdząc, że nasi marynarze cierpią na jakąś chorobę rodem z indyjskich błotnistych równin. Nic podobnego. To po prostu hiszpańska grypa! Zabawne, prawda? Tak się spieszymy i równocześnie sami możemy być przyczyną opóźnienia. Przy tylu chorych będziemy chyba musieli zrezygnować nawet z marsli. Zabraknie ludzi do obsługi żagli.

— Ja się nie spieszę. Ta podróż mogłaby trwać w nieskończoność — stwierdziła starsza panna Lamb. Przytaknęła jej tylko jej siostra, Susan.

— Czy ta choroba jest zaraźliwa? — zapytał ostrożnie Jack.

— Och, tak. Nawet bardzo... — stwierdził Stephen. — Ośmielam się przypuszczać, że w ciągu najbliższych kilku dni będziemy mieli na statku prawdziwą epidemię. Mam jednak na to specjalne lekarstwo. Przygotowałem już dla was, panie, odpowiednią dawkę. I nieco większą porcję dla majora Hilla. O! Wieloryb! Wieloryb!

— Gdzie? — zapytał nerwowo pan Johnstone, pierwszy oficer. W młodości pracował przy połowie ryb u wybrzeży Grenlandii i usłyszawszy słowo „wieloryb", bardzo się ożywił. Nikt mu jednak nie odpowiedział. Stephen Maturin przykucnął przy relingu i przez leżącą na poręczy lunetę uważnie obserwował teraz wzburzoną powierzchnię morza. Pan Johnstone spojrzał więc w tym samym kierunku, przysłaniając oczy dłonią i ujrzał w oddali strzelającą w górę fontannę. Po chwili tuż pod powierzchnią wody zamajaczył olbrzymi, czarny kształt.

— Nie ma się czym podniecać — powiedział wyraźnie uspokojony.

— To finwal.

— Z tak daleka potrafił pan to dostrzec! — zawołała zdumiona panna Susan. — Coraz bardziej podziwiam marynarzy. Dlaczego nie ma się czym podniecać? Czy finwal to nic szczególnego?

— Znów widać fontannę! — krzyknął Johnstone, teraz już bez emocji. — Czy zauważyła pani, panno Susan? Pojedynczy strumień. To właśnie dowód, że widzimy finwala. Wieloryb grenlandzki wypuszcza dwa strumienie... O, teraz znowu... To musi być spora sztuka. Pytała pani, dlaczego nie warto się podniecać? Z finwala nie ma żadnego pożytku. Serce mi się kraje, gdy pomyślę, ile tranu się tam marnuje...

— Dlaczego? Dlaczego nie ma pożytku z finwala? — zagadnęła Lucy Lamb.

— Finwal jest po prostu zbyt duży. Jeśli nawet ktoś odważyłby się na niego zapolować, gdyby jakiś nieroztropny śmiałek podpłynął ostrożnie łodzią i rzucił harpun, wieloryb natychmiast roztrzaskałby łódkę jak skorupkę jajka. Albo dałby głębokiego nura. Tak czy inaczej, w ciągu niecałej minuty wyciągnąłby za burtę dwustusążniową linę. Nie pomoże dowiązywanie następnych odcinków sznura. Wieloryb nie przestanie uciekać i albo zabierze ze sobą linę, albo wciągnie łódź w głębinę. Niefortunny wielorybnik straci harpun z liną lub nawet życie. A może i jedno, i drugie. Na pewno też naje się wstydu, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Nie można złapać lewiatana na haczyk... Łowić wolno tylko wieloryby grenlandzkie.

— Och, zapewniam pana, że nigdy nie spróbuję schwytać finwala — zawołała młodsza panna Lamb. — Obiecuję! Może mi pan wierzyć.

Jack z przyjemnością popatrzył na wieloryba — lubił te stworzenia — lecz znacznie szybciej niż Stephen czy obserwator na maszcie oderwał się od tego zajmującego widoku. Od pewnego czasu przyglądał się teraz białej plamce na horyzoncie, widocznej wyraźnie na tle ciemniejącego nieba. Żagle — zdecydował wreszcie; jakaś jednostka płynąca przeciwnym halsem.

Była to „Bellone", statek korsarski z Bordeaux, jeden z najpiękniejszych tamtejszych żaglowców — wysoka i lekka jak łabędź, równocześnie bardzo groźna, wyposażona i uzbrojona jak okręt wojenny.

Miała świeżo oczyszczone dno, nowe żagle, trzydzieści cztery działa i dwustu sześćdziesięciu ludzi na pokładzie. Na jej masztach znajdowała się odpowiednia liczba bystrookich obserwatorów i choć na razie nie byli oni w stanie dokładnie obejrzeć „Lorda Nelsona", to, co dostrzegali, wystarczyło, by kapitan Dumanoir zmienił nieco kurs. Pomimo zapadającego powoli zmroku chciał przyjrzeć się napotkanej jednostce.

Już wkrótce wiedział, że jest ona uzbrojona w dwadzieścia sześć dział — prawdopodobnie był to okręt wojenny, częściowo jednak niesprawny, skoro przy tak łagodnej bryzie zdjęto na pokład bramstengi. W miarę jednak jak Dumanoir i jego zastępca obserwowali potencjalną zdobycz z salingu grotmasztu, stopniowo słabło ich przekonanie, że mają przed sobą okręt marynarki wojennej. Byli doświadczonymi żeglarzami i w ciągu ostatnich dziesięciu lat wiele razy widzieli jednostki należące do Royal Navy. Ta, którą właśnie obserwowali, poruszała się w dziwny sposób, wyraźnie niezgodny z tym, co zdołali dotąd zapamiętać.

— To statek Kompanii Wschodnioindyjskiej — stwierdził w końcu francuski kapitan. Nie był jeszcze tego do końca pewny, jego serce zabiło jednak mocniej, a ręce zaczęły drżeć. Uczepił się więc ramieniem want bramstengi i powtórzył: — To statek Kompanii Wschodnioindyjskiej. — Cenniejszym pryzem mógłby być tylko hiszpański galeon lub statek wyładowany złotem.

Setki małych szczegółów potwierdzały słuszność opinii kapitana. Wciąż jednak mógł się mylić, ryzykując starcie z jednym z angielskich okrętów szóstej klasy, uzbrojonych zwykle w rozbijające burty dwudziesto-czterofuntowe karonady, obsługiwane przez liczną, doskonale wyszkoloną i żądną krwi załogę. Dumanoir nie miał z zasady nic przeciwko walce z dowolną jednostką o zbliżonej sile, niezależnie od tego, czy chodziło tu o okręt wojenny, czy też nie — zajmował się jednak przecież głównie zdobywaniem statków handlowych. Jego zadaniem nie było staczanie bohaterskich bitew i okrycie się chwałą. Miał zapewnić jak największy dochód właścicielom „Bellone".

Wrócił na pokład rufówki. Kilka razy przemaszerował tam i z powrotem, zerkając w niebo.

— Wygasić po kolei światła — polecił wreszcie. — Za piętnaście minut zrobimy zwrot. Zostawimy tylko główne żagle i fokmarsel. Matthieu, Jean-Paul, Petit-Andre wejdą na górę. Monsieur Vincent, proszę dopilnować, by zabrali ze sobą najlepsze lunety. — Dalsze polecenia dotyczyły przygotowania dział i muszkietów. „Bellone" była jedną z niewielu w owych czasach francuskich jednostek, na których podobne rozkazy wykonywane były dokładnie i bez komentarzy.

Wszystko poszło wyjątkowo sprawnie i tuż przed świtem obserwator na forkasztelu „Lorda Nelsona" wykrył obecność żaglowca na nawietrznej — obie jednostki płynęły równoległymi kursami, oddalone od siebie nie więcej niż o milę. Pełniący służbę „na oku" człowiek nie wiedział, że wynurzający się powoli z porannej mgły statek jest już gotowy do boju: odtoczono działa, przygotowano pociski i ładunki, rozdano broń, wypełniono hamakami siatki chroniące przed odłamkami, reje podwieszono na łańcuchach, a łodzie płynęły na holu za rufą. Wystarczająco podejrzane było jednak samo zbliżanie się i brak jakichkolwiek świateł. Marynarz patrzył więc przez chwilę w tę stronę, przecierając załzawione oczy, polem wywołał pokład rufówki. Kichając siarczyście, zdołał jakoś zameldować panu Pullingsowi, że na lewym trawersie znajduje się nie zidentyfikowana jednostka.

Umysł trzymającego poranną wachtę oficera, uśpiony powolnym kołysaniem, monotonnym szumem wiatru w takielunku oraz zdradliwym ciepłem grubej pilotowej kurtki i wełnianego kapelusza, w jednej chwili przeszedł w stan najwyższej gotowości. Kichanie nie ucichło jeszcze, gdy Pullings znalazł się już daleko od przytulnego kąta za kompasem, w połowie nawietrznych want. Przez trzy sekundy próbował przebić wzrokiem mgłę, potem poderwał wachtowych przeraźliwym okrzykiem, którego nauczył się podczas służby na HMS „Sophie". Hamaki wędrowały już do siatek, gdy wreszcie udało się obudzić kapitana. Wszystkie wydane dotąd rozkazy zostały potwierdzone: ogłosić alarm, uprzątnąć pokłady, odtoczyć działa, odesłać kobiety do ładowni.

Jack wybiegł na pokład w nocnej koszuli.

— Będzie gorąco — powiedział do Pullingsa, przekrzykując charakterystyczny odgłos bijącego na alarm indyjskiego bębna. Na statku korsarskim wychylono ster i przebrasowano reje. „Bellone" płynęła teraz łagodnym tukiem i za kwadrans powinna przeciąć kurs „Lorda Nelsona", pomimo że jej dolne żagle zostały wzięte na gejtawy. Widać było, że na razie zamierza żeglować tylko na marslach, nadal jednak poruszała się wystarczająco szybko. Przypominała charta ścigającego nieruchawego borsuka. — Zdążę chyba jeszcze się ubrać... — zawołał Aubrey, zbiegając pod pokład.

Na dole, w migotliwym blasku świecy, Stephen z namaszczeniem układał instrumenty chirurgiczne.

— Co to za okręt? — zapytał spokojnie.

— Korweta albo jakiś cholernie duży statek korsarski. Najwyraźniej chcą dobrać się nam do skóry — wyjaśnił Jack, wciągając spodnie i sięgając po pistolety.

Już po chwili był z powrotem na pokładzie. Rozwidniło się nieco, a dookoła panowało znacznie mniejsze zamieszanie, niż mógł przypuszczać. Sprawy nie wyglądały więc tak źle, jak myślał. Kapitan Spottiswood skierował swą jednostkę na kurs z wiatrem, chcąc zyskać kilka dodatkowych minut na niezbędne przygotowania i francuski statek znajdował się obecnie w odległości około pół mili. Najwyraźniej korsarze wciąż jeszcze nie zdecydowali się na atak. Woleli najpierw sprawdzić siły przeciwnika.

Dowódca „Lorda Nelsona" nie zaliczał się do osób szybko podejmujących decyzje. Nie można tego jednak było powiedzieć o jego oficerach i większej części załogi — przyzwyczajeni do walk z piratami na Morzu Południowochińskim, z okrutnymi Malajami koło Singapuru i Arabami w Zatoce Perskiej, zdążyli już przygotować siatki chroniące przed abordażem, otworzyć skrzynię z bronią, i odtoczyć ponad połowę dział.

— Jestem do pańskiej dyspozycji, sir — Aubrey zameldował kapitanowi. Na rufie tłoczyli się ludzie, padały rozkazy. Kapitan Spottiswood nie odpowiedział, spojrzał tylko na Jacka z wahaniem. Wydawał się bardzo stary i zmęczony. — Może obejmę komendę nad dziobową baterią? — zaproponował Jack.

— O, tak. Oczywiście...

— Proszę ze mną — Jack zawołał do majora Hilla, stojącego bezczynnie obok grupki oficerów.

Pobiegli razem na dziób, do czterech osiemnastofuntówek; dwie znajdowały się pod bakiem, a dwie stały na zewnątrz, mokre od deszczu — zaczęła właśnie padać drobna mżawka. Pullings zajął się armatami na śródokręciu, pierwszy oficer dowodził dwunastofuntowymi działami na pokładzie rufówki, a pan Wand rufowymi osiemnastofuntówkami na głównym pokładzie — wszystkie ulokowane były w zamkniętych pomieszczeniach, wewnątrz ciasnych kabin. Wysoki, chudy podchorąży, wyraźnie bardzo chory, krzyczał coś słabo nad głową Jacka do ludzi obsługujących działo na forkasztelu.

Przednią baterię na lewej burcie stanowiły działa numer jeden, trzy, pięć i siedem, nowoczesne armaty z zamkami skałkowymi. Dwie były już odtoczone, załadowane i gotowe do strzału. Furta działowa numer jeden nie dawała się otworzyć, pomimo rozpaczliwych wysiłków obsługi działa. Nie pomagało podważanie łomami, uderzanie armatnią kulą i szarpanie za talię. W ciasnym pomieszczeniu czuć było zapach spoconych Hindusów. Jack schylił się pod belkami, stanął okrakiem nad lufą i oparł się plecami o furtę. Chwycił oburącz lawetę, potem pchnął z całej siły. Z klapy poleciały drzazgi i odpryski farby. Nie drgnęła jednak. Wydawała się integralną częścią burty. Aubrey zrezygnował dopiero za trzecim razem. Stanął z boku i uważnie obejrzał uprząż.

— Podtoczyć ją — zawołał. Wylot lufy dotknął furty. — Uwaga! Uwaga! — Jack pociągnął za linkę spustową. Iskra, głuchy huk (do licha, mokry proch!) i armata gwałtownie odskoczyła do tyłu. Przez roztrzaskaną furtę uciekały na zewnątrz kłęby gryzącego dymu. Pod bakiem zrobiło się ciemno, lecz Jack zdołał zauważyć, że jeden z marynarzy zdążył już wsunąć wycior do lufy, a pozostali chwycili za talie. „Znają się na swojej robocie" — Aubrey pomyślał zadowolony, schylając się i zrywając z zawiasów pogruchotane kawałki drewna. „Niech szlag trafi artylerzystę, który tak to zaniedbał..." Nie było zresztą zbyt wiele czasu na podobne rozmyślania — należało teraz podtoczyć działo numer trzy. Jack i major Hill stanęli po obu stronach lawety. Na „raz-dwa-trzy" szarpnęli za boczne talie, podciągając armatę do burty. Laweta z trzaskiem uderzyła o obramowanie, wylot lufy maksymalnie wysunął się na zewnątrz.

Obsługę numeru piątego stanowiło tylko czterech Hindusów pod dowództwem podchorążego. Stojak na pociski był pusty, brakowało też przybitki. Wszystko musiało wylecieć za burtę, gdy zwolniono działo.

— Gdzie są pańscy ludzie? — Jack zapytał chłopca, przecinając jego kordzikiem jakiś zaciśnięty zbyt mocno węzeł.

— Chorzy, sir. Wszyscy chorzy. Kalim jest prawie martwy, nie może mówić...

— Proszę powiedzieć artylerzyście, że potrzeba nam pocisków i sporo przybitki. Mamy tu tylko trzy sztuki... Niech się pan pospieszy. O co chodzi? — Aubrey spojrzał w stronę drugiego podchorążego.

— Kapitan chciałby wiedzieć, po co strzelał pan z działa, sir — młody człowiek wyrzucił z siebie zdyszany.

— Musiałem otworzyć furtę — wyjaśnił z uśmiechem Jack, patrząc prosto w wystraszone, szeroko otwarte oczy chłopca. — Proszę mu przekazać, że na pokładzie brakuje osiemnastofuntowych pocisków. Ruszaj, przyjacielu. Biegiem! — Chłopak popędził na rufę.

Obsługa działa numer siedem nie miała żadnych problemów. Siedmiu ludzi i chłopak okrętowy, stojący z prawej strony z ładunkiem prochu w dłoniach, lufa wypoziomowana, wolne końce talii elegancko zbuchtowane, jak na okręcie wojennym. Dowódcą działonu był siwy Europejczyk. Na widok Jacka zakaszlał tylko i pochylił się nad armatą, odchylając głowę w bok. Bez wątpienia dezerter. Najprawdopodobniej służyli kiedyś razem na tym samym okręcie i ów człowiek bał się teraz, że zostanie rozpoznany. Sądząc z wzorowego porządku, musiał być w marynarce wojennej pomocnikiem artylerzysty. „Mam nadzieję, że tak samo dobrze potrafi celować..." — pomyślał Aubrey. Sprawdził mechanizm skałkowy oraz panewkę, wyprostował się i popatrzył na boki. Podawane z rąk do rąk hamaki wędrowały do siatek. Uzbrojeni w baty pomocnicy bosmana wypędzili na pokład kilku bardzo chorych ludzi, którzy zajęci teraz byli roznoszeniem pocisków. Sam bosman stał z tyłu, pilnując porządku i organizując pracę. Na pokładzie rufowym wciąż panowało lekkie zamieszanie, lecz na pewno nie było tu mowy o panice lub początkowym nerwowym pośpiechu — dodatkowe minuty pozwoliły na złapanie tchu. Mieli szczęście, że udało im się zyskać nieco na czasie. Statek przypominał teraz okręt wojenny — brakowało jednak ludzi, a pokłady nadal były zagracone. Aubrey popatrzył na nieprzyjacielską jednostkę. Było już prawie widno i z odległości pięciuset jardów bez trudu rozpoznał trójkolorową francuską banderę. Deszcz przestał padać. Wiał spokojny zachodni wiatr, chmury wisiały teraz wysoko i morze było nieprzyjemnie szare. Statkami kołysała długa martwa fala. „Bellone" nadal wyraźnie zwlekała. Czekała z boku, chcąc sprawdzić, jaką siłą ognia dysponowała napotkana jednostka, tak ociężale żeglująca z wiatrem. Jeśli kapitan Spottiswood nie zmieni kursu, Francuz będzie mógł po prostu wyostrzyć od wiatru, potem płynąc dwa razy szybciej, przejdzie tuż za rufą „Lorda Nelsona" i uderzy morderczą salwą. Jack nie przejmował się jednak tym zbytnio. Tym razem nie była to jego sprawa. Obchodziły go tylko dziobowe działa. Był podwładnym i korzystał z tej sytuacji: za nic nie odpowiadał, nie musiał też podejmować żadnych decyzji...

Armaty numer siedem, pięć i trzy były już przygotowane. Tylko przy numerze pierwszym nadal leżały jakieś niepotrzebne graty — wciąż nie mogła się tam sprawnie poruszać pełna obsada. Aubrey raz jeszcze uważnie spojrzał na pięknie rozcinający dziobem fale statek korsarski i zniknął pod bakiem.

Rzucił się w wir ciężkiej, szybkiej, męczącej pracy; wciąż trwało tam przenoszenie skrzyń, paczek, baryłek i beczek. W pewnej chwili zauważył, że nuci pod nosem fragment adagio Hummla - ten sam utwór, który Sophie wykonała tak nieudolnie, a Diana zagrała z takim zrozumieniem i brawurą. Poczuł nagły przypływ uczucia do Sophie — była taka opiekuńcza, czuła — ujrzał ją teraz w myślach, stojącą na schodach domu. Jakiś głupiec, najprawdopodobniej Stephen, powiedział kiedyś, że człowiek nie może być równocześnie bardzo czymś zajęty i nieszczęśliwy. To nieprawda...

Odgłos pierwszego armatniego wystrzału z „Bellone" przerwał te rozmyślania. Prawa dziobowa ośmiofuntówka Francuza posłała kulę wzdłuż lewej burty „Lorda Nelsona". Najwyraźniej dopiero taki impuls był w stanie pobudzić do działania kapitana Spottiswooda, który nagle wyrzucił z siebie długą serię rozkazów. Przebrasowano reje, horyzont obrócił się powoli i w jasnym prostokącie rozbitej furty działa numer jeden pojawiła się korsarska jednostka. „Lord Nelson" znów zmienił kurs, odpadając nieco i „Bellone" znalazła się tuż za lewym trawersem. Jack widział teraz spod baku tylko jej przednie żagle, oddalone o jakieś czterysta jardów — była więc już w zasięgu muszkietowego strzału. W tym momencie zagrzmiały działa rufowej baterii „Lorda Nelsona": sześć wystrzałów i słaby okrzyk radości. Na dziób dotarł rozkaz kapitana: „Otworzyć ogień!"

„Nareszcie się zaczęło" — pomyślał Aubrey, wychodząc na pokład. Najtrudniejsze były zawsze chwile tuż przed bitwą. Zaraz znikną wszystkie zmartwienia i kłopoty. Najważniejsza będzie bieżąca chwila, zabraknie miejsca na rozterki, smutek czy strach... Rozejrzał się dookoła. Działo numer siedem było w dobrych rękach: zostało już skierowane maksymalnie do tyłu, a dowódca działonu patrzył spokojnie wzdłuż lufy, czekając, aż statek podniesie się na fali. Armaty na śródokręciu wypaliły salwą, unoszony z wiatrem gryzący dym dusił, wypełniał płuca. Jack i major Hill obracali długimi łomami działo numer pięć, kaszląc, zmagali się z opornym ciężarem. Pomagający im Hindusi wybierali przednią talię, tak by lufa skierowana była na rufę „Bellone". Działo numer siedem wypaliło cicho i dziwnie powoli, z mnóstwem dymu. „Jeśli taki jest nasz cały proch... — pomyślał Aubrey, wsuwając klin pod lufę i podnosząc ją na odpowiednią wysokość - ...możemy już szykować się do odparcia abordażu. Wydaje mi się jednak, że to nasz artylerzysta najzwyczajniej w świecie nie wymieniał ładunków. Cholerny łajdak!" Jack czekał teraz, aż dym uleci z wiatrem i statek powędruje w górę na fali. Wylot lufy powoli unosił się coraz wyżej. Działa „Bellone" zagrzmiały — jej kadłub znikł w białym obłoku salwy burtowej. Dokładnie w tym momencie Aubrey szarpnął za linkę, armata odskoczyła pod nim gwałtownie do tyłu, odrzucona wystrzałem. Nie widział, gdzie upadła kula — dym przesłonił wszystko. Donośny trzask pozwalał jednak przypuszczać, że dotarła do celu. Pociski korsarskiej salwy z przeraźliwym wyciem i świstem przeleciały wysoko, przebijając w kilku miejscach fokmarsel, i zrywając bulinę. Odezwała się armata na forkasztelu, a Jack znów zniknął pod bakiem, przeskakując nad naprężoną talią czyszczonego i nabijanego pospiesznie piątego działa. Wycelował armaty numer jeden i trzy, wystrzelił z nich, i natychmiast wrócił, by znów pomóc odtoczyć działo numer pięć.

Wystrzały grzmiały teraz jeden po drugim. Działa na lewej burcie „Lorda Nelsona" odzywały się mniej więcej w półminutowych odstępach, pojedynczo lub parami. Odpowiadało im siedemnaście armat „Bellone"; z początku wszystkie strzelały razem — trzy salwy w ciągu pięciu minut, wspaniały wynik, mogący być powodem do dumy nawet dla załogi okrętu wojennego — z czasem jednak ich ogień również stał się nieregularny. Burty obu statków przesłonięte były unoszonymi z wiatrem kłębami dymu, które w oddali łączyły się w wielką, wiszącą nisko nad wodą chmurę. Pomarańczowe strugi ognia raz za razem przebijały gryzące obłoki. Huk wystrzałów zlewał się w ogłuszający grzmot. Tylko dwukrotnie Jack miał okazję zobaczyć, że kule z dowodzonych przez niego dział dosięgły celu. Nagły podmuch wiatru odsłonił kadłub „Bellone" akurat w chwili, gdy pocisk z działa numer siedem trafił w jej śródokręcie, tuż poniżej ławy wantowej, za drugim razem kula z armaty numer pięć uderzyła blisko dziobnicy. Żagle korsarskiego statku nie były już tak piękne jak przed chwilą, dzieląca obie jednostki odległość zmalała wyraźnie. Przeciwnik znajdował się teraz dokładnie na trawersie „Lorda Nelsona" i raził angielski statek morderczym ogniem. Czy ruszy do przodu i przejdzie przed dziobem?

Jack biegał od działa do działa i nie miał zbyt wiele czasu na rozmyślania. Wiedział jednak, że „Bellone" nie miała armat cięższych niż ośmiofuntówki, a jej załoga zamierzała najwyraźniej zniszczyć ożaglowanie oraz takielunek „Lorda Nelsona", oszczędzając kadłub i cenny ładunek. Korsarze na pewno nie lekceważyli uderzających ich raz za razem osiemnastofuntowych pocisków. Trzy lub cztery takie trafienia w okolicy linii wodnej mogły przecież okazać się bardzo groźne, a nawet pojedyncza kula bez trudu ścinała nadwerężoną stengę masztu. Jeśli nie uda się w najbliższym czasie skutecznie przyłożyć Francuzom, na pewno wkrótce zmniejszą dystans. Zapomną o swej dotychczasowej eleganckiej taktyce i podejdą bliżej. Byli groźnymi przeciwnikami. Wspaniale

strzelali z dział i już kilkakrotnie próbowali przejść przed dziobem „Lorda Nelsona". Z bliska będą na pewno jeszcze bardziej niebezpieczni. „Będziemy się tym martwić, jak przyjdzie na to pora" — pomyślał Jack, wybierając talię.

Nagle coś pękło w jego głowie z ogłuszającym hukiem. Dokładnie w tej samej chwili wybuchło wszystko dookoła. Aubrey upadł na pokład i podświadomie poturlał się na bok, uciekając spod cofanej odrzutem lawety działa numer pięć. Próbował teraz określić, czy jest ranny. Długo nie był w stanie zrozumieć, co się właściwie stało — na szczęście nie odniósł chyba żadnych poważniejszych obrażeń. Armata numer siedem eksplodowała, zabijając trzech obsługujących ją ludzi i rozrywając na kawałki głowę dowódcy działonu. To właśnie szczęka tego człowieka rozorała ramię Jacka. Rozrzucone we wszystkich kierunkach kawałki metalu poraniły nawet ludzi stojących przy grotmaszcie. Jeden z takich odłamków uderzył Jacka w głowę, przewracając go na pokład. Twarz, w którą Aubrey od dłuższego czasu wpatrywał się bezmyślnie, należała do Pullingsa.

— Musi pan zejść na dół. — Młody oficer powtarzał w kółko. — Pomogę panu zejść na dół...

Jack oprzytomniał nareszcie.

— Zabezpieczcie to działo — zawołał. Nie rozpoznawał własnego głosu. Dzięki Bogu, to, co zostało z lufy oraz lawety nie zerwało się z uprzęży i mocujących pierścieni. Rozbitą armatę starannie umocowano, uprzątnięto rumowisko i wyrzucono za burtę ciała zabitych. Nie uszkodzone elementy wyposażenia przeniesiono do numeru piątego.

Trzy kolejne wystrzały, trzy kolejne eksplozje tuż przy uchu, rozerwane przed chwilą działo, martwi ludzie, rana — wszystko zlało się w głowie Jacka w ogłuszający łoskot i utonęło w wirze bitwy. Dym gęstniał coraz bardziej. Błyski dział „Bellone" wyraźnie się zbliżały. Ocalałe armaty dziobowej baterii „Lorda Nelsona" strzelały coraz szybciej — do pomocy stanęli teraz dwaj marynarze z obsługi przewróconej sześciofuntówki na forkasztelu i ludzie z załogi działa numer siedem, którym udało się przeżyć eksplozję. Wszyscy pracowali bez wytchnienia, uwijając się jak w ukropie. Lufy armat parzyły, a szarpana odrzutem uprząż trzeszczała przeraźliwie. Działa korsarskiego statku wystrzeliły nagle salwę drobnych kulek, zaraz potem odezwały się muszkiety. Dym odpłynął na bok i żagle „Bellonę" pojawiły się tuż nad pokładem „Lorda Nelsona". Francuzi wystawili na wiatr grotmarsel — wyraźnie chcieli podejść burta w burtę. Z marsów ich statku posypały się w dół muszkietowe i pistoletowe strzały. Na masztach czekali już marynarze gotowi natychmiast sczepić ze sobą reje obu jednostek, na dziobie oraz śródokręciu przygotowano abordażowe kotwiczki i haki. Na forkasztelu i wantach fokmasztu tłoczyli się uzbrojeni ludzie.

— Wszyscy do odparcia abordażu! — padł rozkaz z rufówki „Lorda Nelsona". Oba statki zderzyły się z trzaskiem. Francuzi krzyknęli radośnie, zamigotały topory i szable przecinające ochronne siatki. Jack wypalił z pistoletu prosto w twarz napastnika gramolącego się na pokład przez rozbitą furtę działa numer siedem. W nagłym przypływie sił chwycił ciężki łom i z wściekłą determinacją rzucił się na zaplątanych w siatkę ludzi, usiłujących wedrzeć się na dziób. Tą właśnie drogą Francuzi skierowali swój główny atak. Aubrey stał oparty nogą o reling i wściekle wywijając trzymanym w połowie długości łomem, uderzał, miażdżył, spychał, łamał kości. Po bokach walczyli wrzeszczący przeraźliwie Hindusi, uzbrojeni w piki, topory i pistolety. Inna grupa marynarzy Kompanii Wschodnioindyjskiej ruszyła im na odsiecz z rufy i śródokręcia, oczyszczając z napastników

zejściówki — wdarło się tam na statek kilkunastu Francuzów.

Pokład „Lorda Nelsona" znajdował się o dobry skok wyżej niż pokład „Bellonę", a jej burty wyraźnie pochylały się do wewnątrz, co bardzo utrudniało atak. Francuzi napierali jednak uparcie, parując ciosy i z desperacją próbując przedostać się na pokład zaatakowanego statku. Odpierani wracali znowu, dziesiątkami, cierpliwie, aż wreszcie kolejna fala rozdzieliła obie jednostki. Niektórzy z napastników chwycili się kotwicznego łańcucha, wszyscy pospadali jednak do wody, gdy pan Johnstone wypalił w ich kierunku z garłacza. Hinduski bosman wyszedł na nok rei i przeciął liny, którymi korsarze połączyli oba statki. Abordażowe kotwiczki ześliznęły się z nadburcia, a armaty rufowej baterii wystrzeliły trzy salwy grubego śrutu, raniąc francuskiego kapitana, przecinając fał bezanu i zrywając z osi koło sterowe „Bellonę". Korsarska jednostka wyostrzyła do wiatru i gdyby na pokładzie „Lorda Nelsona" było wystarczająco dużo ludzi do równoczesnej walki wręcz oraz obsługi dział. „Bellone" stałaby się teraz łatwą zdobyczą. Działa angielskiego statku mogłyby roztrzaskać ją na kawałki, strzelając z odległości zaledwie dziesięciu jardów. Nie padł jednak ani jeden armatni strzał. „Lord Nelson" zmienił kurs i obie jednostki zaczęły w zupełnej ciszy powoli oddalać się od siebie.

Jack zaniósł do kokpitu rannego chłopca. Malec miał obie ręce przecięte do kości, zasłaniał nimi twarz.

— Przyciśnij w tym miejscu kciukiem i czekaj, aż będę mógł przyjść — powiedział Stephen. — Jak wygląda w tej chwili sytuacja?

— Odparliśmy atak. Ich łodzie zbierają teraz pływających w wodzie ludzi. Muszą mieć od dwustu do trzystu osób załogi. Zaraz wszystko zacznie się od nowa. Pospiesz się, Stephen. Nie mogę czekać. Musimy wiązać i splatać pozrywane liny. Ilu masz tutaj rannych?

— Trzydziestu lub czterdziestu — wyjaśnił Maturin, zakładając opaskę uciskową. — Wszystko będzie dobrze, mój mały. Na pewno wyzdrowiejesz. Leż teraz spokojnie... Jack, pozwól mi, proszę obejrzeć twoją głowę i ramię.

— Innym razem. Jeszcze tylko kilka celnych strzałów i mamy ich z głowy.

Celny strzał. Aubrey tak modlił się o to, za każdym razem gdy celował ze swego działa: „W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego..." Wiatr osłabł jednak i między statkami wisiała olbrzymia chmura gęstego dymu. Nic nie było widać. Jack miał zresztą teraz do dyspozycji tylko dwie armaty: uprząż działa numer jeden zerwała się przy pierwszym strzale, raniąc dwóch Hindusów i podchorążego. Działo leżało teraz przewrócone — lufa zaklinowała się między beczkami. Przy armatach pracowało coraz mniej marynarzy, opustoszały też pokłady. Działa „Lorda Nelsona" strzelały coraz rzadziej — co minutę rozlegał się pojedynczy wystrzał. „Bellone" z odległości pięćdziesięciu jardów odpowiadała nieprzerwanym ogniem. Na angielskim statku wciąż ubywało ludzi, coraz mniej osób poruszało się przy działach. Część załogi odniosła rany, część uciekła pod pokład — nie zamknięto zejściówek. Ci, którzy zostali, byli już bardzo wyczerpani. Niektórzy coraz wyraźniej opadali z sił i wszyscy walczyli bez przekonania. Na moment zniknął gdzieś major Hill — po chwili wrócił i zajął się celowaniem z działa numer trzy. Jack wepchnął wyciorem przybitkę i sięgnął za siebie po kulę. Kuli nie było. Przynoszący pociski i proch chłopak okrętowy uciekł pod pokład. Aubrey zaklął

szpetnie.

— Kula! Kula! — zawołał rozwścieczony.

Z głównej zejściówki, potykając się, wybiegł chłopiec, inny — Jack nigdy dotąd go nie widział. Ściskał w ramionach dwie kule, był raczej korpulentny i absurdalnie jak na tę okazję ubrany — w najlepszym, odświętnym ubraniu, nowych spodniach, niebieskiej kurtce, z warkoczykiem przewiązanym wstążką.

— Przynoś pociski z dziobu, ty cholerny bałwanie! — Jack krzyknął prosto w bladą, przerażoną twarz. Chwycił kulę i włożył ją w lufę. — Z dziobu. Koło pierwszego działa leży ich z tuzin. Bierz po dwie... — dodał spokojniej. Do rozpalonej lufy powędrowała kolejna przybitka. — Podtaczać! Podtaczać!

Nadludzkim wysiłkiem przetaczali działo po pochylonym na fali pokładzie. Jeden z Hindusów, poszarzały na twarzy, wymiotował, wybierając linę. Zagrzmiała kolejna salwa „Bellone" — wszystkie działa korsarskiego statku wypaliły jednocześnie. Sądząc po przeraźliwym wyciu wysoko nad głowami, zostały załadowane kulkami i kawałkami łańcucha. Jack i jego ludzie wybierali talie, zupełnie nie zwracając na to uwagi. Aubrey wystrzelił, szarpiąc za linkę i pobiegł przez dym do armaty numer trzy. Kątem oka zauważył, że major Hill dosłownie w ostatniej chwili odciągnął na bok chłopca, stojącego na drodze pchniętej odrzutem lawety. Ten cholerny chłopak wciąż plątał się między nogami. Jack chwycił go za ramiona.

— Nie podchodź blisko do dział. I tak jesteś bardzo odważny... Przynoś po jednej kuli. To wystarczy — powiedział, wskazując palcem pod bak. — Tylko ruszaj się żwawo. Potem ładunek. Musisz nam pomóc. Bardzo potrzebny jest proch.

Ładunek prochu nie pojawił się jednak. Jack wypalił z działa numer pięć i kątem oka ujrzał nad głową marsle korsarskiego statku. Reje fokmasztu „Bellone" wbiły się w wanty „Lorda Nelsona", a z tyłu, za plecami pracujących przy działach ludzi, rozległ się przeraźliwy okrzyk Francuzów z oddziału abordażowego. Łodzie korsarzy opłynęły angielski statek, skryte w gęstym dymie i stu napastników wspinało się teraz po zupełnie nie bronionej prawej burcie.

Wypełnili śródokręcie, odcinając rufówkę od forkasztelu. Równocześnie od strony dziobu ruszył do ataku tak gęsty tłum ludzi, że obrońcy po prostu nie byli w stanie walczyć. Ściśnięte ciała, twarze i ramiona atakujących były zbyt blisko — Aubrey nie mógł uwolnić z tej ciżby swego łomu. Jakiś mały człowieczek o diabolicznej twarzy chwycił Jacka wpół. Jack zrzucił go, nadepnął i kopnął wściekle. Wyprostował się, znów stanął twarzą w twarz z napastnikami, zdołał wyprowadzić kilka krótkich ciosów i jedno potężne pchnięcie. Krok za krokiem cofał się jednak, spychany przez tłoczących się ludzi. Przygniatał go ten tłum. Potykając się o leżące na pokładzie ciała, powoli ustępował pola. Nagle z tyłu otworzyła się pustka. Upadek. Jack usłyszał jeszcze tylko słaby odgłos uderzenia, pochodzący jakby z jakiegoś innego, odległego świata.

Pod sufitem kołysała się latarnia. Aubrey obserwował ją chyba od kilku godzin. Przynajmniej tak mu się zdawało. Stopniowo wszystko zaczęło wracać do normy. Powoli, etapami, pojawiała się pamięć. Był coraz bliżej teraźniejszości. Bardzo blisko. Nie mógł przypomnieć sobie wydarzeń, jakie

rozegrały się po eksplozji działa biednego Haynesa. Haynes — oczywiście. Tak nazywał się ten człowiek. Z lewoburtowej wachty forkasztelu na „Resolution". Awansowany na pomocnika artylerzysty po opłynięciu przylądka. Jack pamiętał tylko tyle. Reszta była wciąż ciemnością. Takie rzeczy często zdarzały się ciężko rannym. Czy był ranny? Z całą pewnością znajdował się w kokpicie i to Stephen chodził dookoła między stłoczonymi, jęczącymi ludźmi.

— Stephen... — Aubrey zawołał po cichu.

— Jak się czujesz, mój drogi? — zapytał Maturin. — Czy z głową wszystko w porządku?

— Całkiem dobrze, dziękuję. Chyba jestem cały.

— Tak mi się zdaje. Tułów i kończyny w porządku. Przez ostatnie dni najbardziej obawiałem się śpiączki. Wpadłeś do dziobowej zejściówki. Powinieneś teraz wypić trochę tej mikstury. Tym psom na szczęście nie udało się wszystkiego znaleźć...

— Pokonali nas?

— Tak. Przegraliśmy. Mieliśmy trzydziestu sześciu zabitych i rannych. Korsarze zwyciężyli. Splądrowali bezlitośnie nasz statek, ogołocili nas ze wszystkiego. Przez pierwsze dni trzymali jeńców w ładowniach. Proszę, to twoje lekarstwo... Wypij. Wyjąłem jednak kulkę z ramienia kapitana Dumanoira i zająłem się rannymi Francuzami. W zamian za to możemy teraz zażywać świeżego powietrza na pokładzie. Drugi kapitan, Azema, to całkiem przyjemny człowiek, były oficer królewskiej floty. Zapobiegł poważniejszym ekscesom, jeśli nie liczyć rabunku...

— Korsarze — powiedział Jack, próbując wzruszyć ramionami. — A co z dziewczętami? Co z pannami Lamb?

— Są przebrane za mężczyzn. Za chłopców. Nie wiem, czy są tak naprawdę zadowolone z tego, że nie zostały rozpoznane...

— Jak duży jest oddział pryzowy — zapytał Jack. W jego umyśle natychmiast zaświtał pomysł odbicia statku.

— Bardzo liczny. Czterdziestu jeden ludzi — wyjaśnił Stephen. — Oficerowie kompanii dali słowo honoru, a niektórzy Hindusi przeszli na służbę korsarzy za podwójnym wynagrodzeniem. Pozostali leżą chorzy na hiszpańską grypę. Płyniemy do La Coruny.

— Ci dranie nie myślą chyba, że uda im się tam dotrzeć — zdziwił się Jack. — W okolicach podejścia do kanału La Manche aż roi się od okrętów wojennych.

Mówił te słowa z wielkim przekonaniem. Wiedział, że to prawda, lecz we wtorek, gdy pozwolono mu wreszcie wstać, kuśtykając po pokładzie rufówki, z desperacją i zatroskaniem patrzył na pusty horyzont. Nic tylko bezmiar oceanu i elegancka „Bellone" blisko na nawietrznej. Na widnokręgu nie było widać nawet najmniejszego żagielka, przez cały dzień nie pojawiła się w oddali nawet rybacka łódź. Po kilku godzinach obserwacji można było zupełnie stracić nadzieję. Czemuż właściwie mieliby napotkać cokolwiek na swej drodze? Pozostawała tylko pustka i gdzieś przed nimi na

zawietrznej hiszpański, port. Jack pamiętał, jak wracał z Indii Zachodnich na pokładzie okrętu „Alert". Żeglowali wówczas najruchliwszym transatlantyckim szlakiem i nie spotkali na oceanie żywej duszy aż do chwili, gdy sonda dotknęła dna koło Lizard.

Po południu na pokładzie pojawił się Pullings. Był blady, z obu stron podtrzymywały go panny Lamb. Jack widział go już wcześniej (młody oficer miał przestrzelone śrutem udo, ramię rozcięte szablą oraz dwa wgniecione żebra), odwiedził też chorego na grypę majora Hilla i innych rannych, którymi zajmował się Stephen. Po raz pierwszy jednak po bitwie ujrzał teraz dziewczęta.

— Moje drogie panny Lamb! — zawołał, chwytając wolną rękę najstarszej z nich. — Mam nadzieję, że nie przydarzyło się wam nic złego? Jak się panie czują? — zapytał z troską w głosie. Tak naprawdę pytanie powinno brzmieć: „Czy nie zostałyście przypadkiem zgwałcone?"

— Dziękujemy, sir — dziewczyna odpowiedziała wyniośle i dziwnie obco, jakby była zupełnie inną osobą. — Obie z siostrą czujemy się bardzo dobrze. Nic nam nie dolega.

— Panny Lamb! Jestem waszym uniżonym sługą... —powitał je kapitan Azema. Widząc damy, podszedł bliżej i ukłonił się nisko. Był wysokim, potężnym i silnym mężczyzną, prawdziwym żeglarzem, twardym człowiekiem morza. Tacy właśnie ludzie jak on bliscy byli sercu Jacka. — Panie są pod moją specjalną opieką — wyjaśnił Francuz. — Przekonałem je, by włożyły suknie i znów były piękne. — Ucałował palce własnej dłoni. — Nikt nie ośmieli się już teraz być niegrzecznym. Cóż... niektórzy z moich ludzi to prawdziwi łajdacy, można powiedzieć, że czasem bywają trochę popędliwi... Nikomu jednak, powtarzam, nikomu, niezależnie od mojej ochrony, nie powinno zabraknąć szacunku dla takich bohaterek.

Jack popatrzył zdziwiony.

— Zgadza się, sir — zawołał Pullings, ściskając swoje opiekunki.

— Były naprawdę dzielne. Przynosiły kule, biegały jak szalone z prochem, przybitką i lontem, gdy zepsuł się mechanizm skałkowy mojej armaty. Walczyły jak Joanna d'Arc!

— Przynosiły proch? — Jack krzyknął zdziwiony. — Doktor Maturin wspominał coś o spodniach... Nie myślałem jednak...

— Jest pan naprawdę podły — zawołała panna Susan. — Widział ją pan przecież! Powiedział pan do Lucy coś tak strasznego... coś, czego nigdy dotąd w życiu nie słyszałam! Ordynarnie zwymyślał pan moją siostrę! Dobrze pan o tym wie. Wstyd, kapitanie Aubrey!

— Kapitanie Aubrey? — zainteresował się Azema, natychmiast dodając do swej części łupu okup za angielskiego oficera, całkiem sporą przecież sumę.

„Wpadłem jak śliwka w kompot" — pomyślał Jack. „Dziewczęta pomagały nosić proch. To naprawdę dowód niezwykłej odwagi".

— Drogie panny Lamb — powiedział głośno, bardzo zawstydzony.

— Proszę o wybaczenie. Zupełnie nie pamiętam wydarzeń, jakie miały miejsce w ostatniej godzinie bitwy. Wiem tylko, że było wtedy naprawdę gorąco... Upadając, uderzyłem się w głowę i straciłem pamięć. Jeśli jednak rzeczywiście pomagały panie przynosić ładunki, dowodzi to waszej naprawdę niezwykłej odwagi. Jestem pełen najszczerszego podziwu i jeszcze raz proszę o przebaczenie. Było pełno dymu... spodnie... Cóż ja takiego powiedziałem? Może uda mi się teraz w jakiś sposób to sprostować lub odwołać?

— Powiedział pan... — panna Susan urwała w pół zdania. — Cóż... Zapomniałam. Było to jednak coś tak obrzydliwego...

Armatni wystrzał sprawił, że wszyscy obecni na pokładzie podskoczyli w miejscu — z boku wyglądało to naprawdę zabawnie. Rozmawiali bardzo głośno, wciąż na pół ogłuszeni bitewnym hukiem, odgłos wystrzału usłyszeli jednak wszyscy i, jak mechaniczne zabawki, równocześnie obrócili się w stronę „Bellonę".

Korsarska jednostka płynęła dotąd pod podwójnie zrefowanymi marslami, tak by mógł za nią nadążyć „Lord Nelson", w tej chwili jednak na jej rejach pojawili się ludzie, zrzucający refy. Kapitan Dumanoir wywołał przez tubę swego zastępcę i polecił, by zdobyty statek pod wszystkimi żaglami kierował się do La Coruny. Dodał coś jeszcze, lecz Jack i Pullings nie byli tego w stanie zrozumieć. Sytuacja wydawała się jednak raczej jasna. Obserwator na maszcie „Bellone" wypatrzył żagiel na nawietrznej. Prowadząc tak cenny pryz, korsarze nie zamierzali podejmować zbędnego ryzyka. Wybierał się na rekonesans, by, zależnie od okoliczności, oddać salut sprzymierzeńcowi lub neutralnej jednostce, walczyć z wrogiem bądź też odciągnąć ów żagiel na bok.

„Lord Nelson" ciągnął za sobą warkocz wodorostów, kadłub statku przeciekał (pompy pracowały bez przerwy od chwili zakończenia bitwy), wciąż brakowało części osprzętu i żagli. Nawet z postawionymi bramslami zdobyta jednostka mogła rozwijać prędkość najwyżej czterech węzłów. Na „Bellone", doskonale żeglującej na wiatr, pojawiła się już jednak potrójna piramida białych płócien i po dziesięciu minutach obie jednostki dzieliła odległość ponad dwóch mil. Jackowi pozwolono wejść na marsa. Kapitan Azema nie tylko nie miał nic przeciwko temu, lecz nawet pożyczył swemu jeńcowi lunetę, należącą jeszcze nie tak dawno do Stephena Maturina.

— Dzień dobry. — Obserwator pełniący służbę na maszcie powitał Jacka uprzejmie. Podczas bitwy otrzymał od swego gościa potężne uderzenie łomem, nie żywił jednak z tego powodu urazy. — To chyba jedna z waszych fregat, tam na horyzoncie.

— Naprawdę? — zapytał Aubrey, opierając się plecami o maszt. Widoczna w oddali jednostka nagle znalazła się bardzo blisko, gdy Jack skierował w jej stronę obiektyw lunety. Trzydzieści sześć dział. Nie... Trzydzieści osiem. Czerwony proporzec. „Naiad"? „Minerve"? Obserwowany okręt płynął z początku spokojnie, pod zredukowanymi żaglami. Gdy jego załoga zauważyła „Bellone", na masztach natychmiast pojawiły się żagle boczne — ostatni z nich właśnie wybierano. Okręt zmienił też kurs, chcąc obejrzeć dokładniej wykrytą właśnie jednostkę. Po chwili dostrzeżono też jednak „Lorda Nelsona" i fregata znów zmieniła kierunek. Widząc to, „Bellone" zaczęła zmieniać hals. Niezdarnie wykonała zwrot, obracając się wręcz niewiarygodnie powoli. Trwało to całe wieki — Jack wiedział, że korsarska jednostka była w stanie wykonać taki manewr w ciągu zaledwie pięciu minut. Słyszał teraz w dole na pokładzie śmiejących się i żartujących głośno ludzi. Po zwrocie „Bellone"

przez jakiś czas żeglowała nie zmienionym kursem, walcząc z zalewającymi jej forkasztel falami i wkrótce znalazła się o milę od fregaty. Przed dziobem okrętu wojennego wykwitł obłoczek białego dymu, a na szczycie stermasztu pojawiła się czerwona brytyjska bandera. Aubrey zmarszczył brwi. W podobnej sytuacji spróbowałby przynajmniej francuskich trzech kolorów lub choćby amerykańskich gwiazdek i pasków: w tych stronach pojawiały się często duże fregaty Stanów Zjednoczonych. Możliwe, że nic by z tego nie wyszło, zawsze warto było jednak zaryzykować. W przypadku „Bellone" najrozsądniejszym rozwiązaniem wydawała się bandera Francji. Udając okręt wojenny, łatwo będzie odciągnąć na bok angielską jednostkę.

Korsarze doskonale zdawali sobie z tego sprawę i tak właśnie postąpili. Pełniący służbę na marsie marynarz zachichotał cicho — pożyczył właśnie od Jacka lunetę. Aubrey wiedział doskonale, o czym myślał teraz dowódca fregaty: Jakaś jednostka daleko na zawietrznej, prawdopodobnie statek handlowy, ewentualny pryz, nie wiadomo jednak nic bliższego. Trzy czwarte mili przed dziobem francuska korweta, raczej nieporadnie prowadzona i powolna, strzelająca na chybił trafił. Niezbyt rozgarnięty umysł nie miałby w podobnych okolicznościach większych problemów z podjęciem decyzji — po krótkiej chwili fregata wyostrzyła i ruszyła w pogoń za „Bellone". Znikły żagle boczne, w ich miejsce postawiono chmurę sztaksli. Kapitan okrętu wojennego postanowił najpierw rozprawić się z Francuzem i dopiero później zająć się hipotetycznym pryzem.

„Przecież widzisz, człowieku, że ci dranie celowo tracą wiatr" — Jack wołał w duchu. „Nie dasz się chyba nabrać na taką starą sztuczkę!" Obie jednostki oddalały się jednak szybko — spod dziobu fregaty uciekały w tył spienione fale, a „Bellone" trzymała się wciąż tuż poza zasięgiem dział pościgowych okrętu wojennego. Już wkrótce nad widnokręgiem widać było tylko maleńkie strzępki bieli i Jack powoli zaczął schodzić z masztu. Marynarz na pożegnanie skinął ze zrozumieniem głową. I jemu przydarzyło się kiedyś coś podobnego — teraz spotkało to Jacka. Takie jest życie.

Po zmroku kapitan Azema zgodnie z otrzymanymi instrukcjami zmienił kurs. „Lord Nelson" skierował się na nie uczęszczany akwen. W ciągu doby przebyli sto mil i zniknęli fregacie z pola widzenia. U kresu drogi leżała La Coruna, Jack wiedział, że Azema bez trudu trafi do tego portu. Francuski kapitan był doskonałym żeglarzem, od kilku dni utrzymywała się też doskonała pogoda — wprost wymarzona do astronomicznych obserwacji i określania pozycji. La Coruna: Hiszpania. Teraz jednak, gdy korsarze wiedzieli już, że Jack jest angielskim oficerem, w żadnym wypadku nie pozwolą mu zejść na brzeg. Jeśli nie zobowiąże się słowem honoru, na polecenie Azemy zostanie zakuty w łańcuchy i zatrzymany na statku do chwili, gdy „Bellone" lub jakaś inna jednostka, zabierze go do Francji. Był zbyt cenny.

Poranek nie przyniósł niczego nowego — zupełnie puste morze dookoła i błękitna kopuła bezchmurnego prawie nieba. Również następny dzień był dokładnie taki sam, jeśli nie liczyć pierwszych objawów grypy — tak się przynajmniej Jackowi zdawało — oraz szczególnej kokieterii panien Lamb, adorowanych przez francuskiego porucznika i pewnego szesnastoletniego ochotnika o błyszczących oczach.

Dopiero w piątek morze wręcz zaroiło się od żagli — powierzchnia oceanu upstrzona była statkami rybackimi, wracającymi do domu z ładunkiem nowofundlandzkiego dorsza. O milę od nich czuć było niesiony z wiatrem zapach ryb. Wyróżniał się zwłaszcza jeden stateczek — dwumasztowiec z łacińskimi żaglami, wyraźnie pochodzącymi z kilku różnych kompletów i archaiczną dziobnicą. Był

to jednoznaczny dowód na to, że brzeg znajdował się coraz bliżej; podobna łajba nie mogła zapuszczać się zbyt daleko na otwarte morze. Z pewnością jej niezwykły wygląd mógł zainteresować każdego żeglarza. Uwagę obecnych na pokładzie odwróciła jednak od niej inna jednostka, zwykły kuter, daleko na zawietrznej.

— Widzi pan ten kuter, sir? — zagadnął Pullings.

Jack skinął głową. Podobny typ osprzętu bardziej odpowiadał Anglikom niż Francuzom. Takich jednostek używała marynarka wojenna, korzystali też z nich korsarze, przemytnicy i ścigający ich ludzie — były szybkie, zwrotne i dobrze żeglowały na wiatr. Prawic nie miały zastosowania w żegludze handlowej. Ten kuter na pewno nie był statkiem handlowym. Po co jednostka handlowa płynęłaby tak skomplikowanym kursem, lawirując między rybakami? Nie był to też okręt wojenny — gdy załoga stateczku zauważyła „Lorda Nelsona", nad ich grotżaglem pojawił się gaflowy topsel, nowoczesny żagiel, nie używany w Royal Navy. Musiał to więc być statek korsarski.

Dokładnie to samo pomyślał kapitan Azema. Kazał załadować świeżym prochem i odtoczyć działa na obu burtach. Nie musiał specjalnie się spieszyć, gdyż kuter żeglował teraz, uparcie halsując, dokładnie pod wiatr. W miarę mozolnego zbliżania się stateczku można było dostrzec, że musiał on zupełnie niedawno być w niezłych opałach — grotżagiel został podwójnie zrefowany, prawdopodobnie na skutek uszkodzeń, płótno żagla było dziwnie połatane, jeszcze więcej łat znajdowało się na foku i kliwrze. Cały takielunek wydawał się dziwnie poskręcany, a jedna z siedmiu malutkich furt działowych na prawej burcie nosiła wyraźne ślady pospiesznej naprawy. Nie powinno być raczej powodów do obaw — francuski kapitan nie zamierzał jednak niepotrzebnie ryzykować. Założono nowe siatki chroniące przed abordażem, przygotowano ładunki i przyniesiono na pokład kule. Marynarz pełniący obowiązki bosmana zabezpieczył reje, wspierany przez wszystkich zdolnych do pracy Hindusów.

„Lord Nelson" był gotowy do boju na długo przedtem, zanim kuter po raz pierwszy wystrzelił z działa i podniósł angielską banderę. Francuzi nie odpowiedzieli jednak od razu ogniem. Azema spojrzał na Jacka i Pullingsa.

— Nie będę panów prosił o zejście pod pokład — oświadczył. — Uprzedzam jednak, iż zastrzelę natychmiast każdego człowieka, który spróbuje coś wołać lub sygnalizować... —Francuz powiedział to z uśmiechem, za pasem miał jednak dwa nabite pistolety i na pewno nie żartował.

— Oczywiście — odparł z ukłonem Jack. Pullings uśmiechnął się nieśmiało.

Kuter dryfował przed dziobem „Lorda Nelsona" z łopoczącym grotżaglem. Azema kiwnął głową w stronę człowieka stojącego za sterem. Statek obrócił się powoli, a francuski kapitan zawołał:

— Ognia!

Zagrzmiała salwa burtowa — strzelały tylko osiemnastofuntówki. Pociski rozdzieliły się nieco, gdy statek zaczął opadać na fali, lecz i tak wszystkie upadły bardzo blisko siebie, tuż przed dziobem i lewym trawersem kutra, rykoszetując ponad stateczkiem, wyrywając nowe dziury w żaglach i ścinając jedną trzecią bukszprytu. Zaskoczony takim powitaniem kuter próbował wyostrzyć i

wykonać zwrot. Miał jednak zbyt małą prędkość — z łopoczącym kliwrem nie zdołał przejść linii wiatru. Odpadł więc, posyłając w stronę „Lorda Nelsona" salwę swoich sześciofuntówek i zmienił hals, wykonując zwrot przez rufę.

Dowódca kutra wiedział na pewno, że trafił mu się bardzo trudny i niebezpieczny przeciwnik. Pół takiej salwy burtowej mogło przecież zatopić stateczek. Nabierając prędkości, kuter przeszedł jednak za rufą „Lorda Nelsona", znów wystrzelił salwę burtową, obrócił się jak tancerz i dryfował teraz z prawej strony przed dziobem. Z odległości dwustu jardów jego armaty nie były w stanie uszkodzić grubych burt ostrzeliwanego statku, zrywały jednak takielunek i angielscy korsarze mieli najwyraźniej zamiar kontynuować ogień.

Azema odpowiadał im bez powodzenia. Zmieniał wciąż kurs. tak by pływający to tu, to tam stateczek znalazł się w polu rażenia dział. „Lord Nelson" wykonał w końcu zwrot o dziewięćdziesiąt stopni i żeglował teraz półwiatrem, a francuski kapitan biegał wzdłuż linii armat, rozmawiając z obsługującymi je ludźmi. Posłał w końcu starannie wymierzoną salwę burtową dokładnie w miejsce, w którym kuter znajdował się przed dwiema sekundami. Jakby za sprawą jakiejś magii, niewiarygodnej intuicji lub telepatii, dowódca kutra wychylał ster na burtę dokładnie w chwili, gdy baterie otrzymywały rozkaz do strzału. Po każdym takim błyskawicznym zwrocie zwinny stateczek kierował się w stronę „Lorda Nelsona". Po dwóch minutach od ostatniej salwy znów zmienił hals, tym razem raczej nie za sprawą magii, lecz zwykłego obliczenia czasu, jakiego artylerzyści potrzebowali, by wycelować działa. Angielscy korsarze zamierzali dokonać abordażu. Pozostał im jeszcze tylko jeden krótki hals i powinni znaleźć się przy dziobie zaatakowanego statku. Jack widział ludzi na pokładzie kutra — było ich dwudziestu pięciu lub trzydziestu, w ich dłoniach błyszczały marynarskie szable i topory abordażowe. Dowódca sterował, jedną ręką trzymając rumpel, w drugiej ręce dzierżył długą szpadę. Pozostała jeszcze tylko chwila i napastnicy wzniosą swój okrzyk bojowy.

— Ognia! — po raz kolejny polecił Azema. Gdy dym opadł, okazało się, że kuter stracił topsel — żagiel wlókł się w wodzie za burtą — za sterem nie było już kapitana, a ludzie kręcili się bezradnie po pokładzie wśród nieruchomych ciał. Rozpędzony stateczek znalazł się przed dziobem nieprzyjacielskiej jednostki, poza zasięgiem jej armat i umykał teraz, chcąc zyskać chociaż ze sto jardów, zanim z dział prawej burty obracającego się powoli „Lorda Nelsona" padnie kolejna salwa.

Jakimś cudem angielskim korsarzom udało się ją przetrwać, choć wpadające do morza kule wzbiły dookoła nich białe fontanny wody. Azemie nie zależało specjalnie na zdobyciu lub zatopieniu uciekającej jednostki, posłał więc jeszcze w jej stronę kilka pocisków i wrócił na swój kurs. Załoga kutra po dziesięciu minutach postawiła nowy kliwer i fokżagiel. Stateczek zaczął maleć szybko — odpływał, lawirując w oddali między rybakami. Jack odruchowo sięgnął po zegarek — miał zwyczaj zapisywania czasu rozpoczęcia i zakończenia wszelkich starć. Niestety, nie miał już zegarka.

— Cóż za niepojęta zuchwałość! — zawołał Azema. — Mogli przecież zabić kilku moich ludzi! Dowódca tego kutra zasłużył sobie na łamanie kołem. Mogłem zatopić tych drani. Jestem zbyt wspaniałomyślny i litościwy. Ich postępowanie nie miało nic wspólnego z odwagą. To najzwyklejsza głupota.

— W innych okolicznościach może zgodziłbym się z panem — stwierdził ostrożnie Jack. — Dowódca slupa, który nie poddaje się okrętowi liniowemu, rzeczywiście jest głupcem.

— Obaj mamy teraz po prostu różne punkty widzenia — powiedział Azema, wyraźnie poirytowany uszkodzeniami w takielunku. — Widzimy sprawy inaczej. Mam jednak nadzieję, że pańscy rodacy dadzą nam jutro spokój... — Francuzowi powoli wracał dobry humor.

Rzeczywiście. Następny dzień był spokojny, podobnie jak kolejny poranek. Tuż jednak po tym, jak kapitan określił w południe pozycję (45°23' N, 10°30' W) i obiecał swym jeńcom hiszpańskie pieczywo oraz prawdziwą kawę na śniadanie, obserwator na maszcie zameldował żagiel na nawietrznej.

Biała chmura płócien powoli zamieniła się w bryg, wyraźnie rozpoczynający pościg. Mijały godziny. Azema siedział przy obiedzie posępny i zamyślony, przebierał widelcem w jedzeniu, i co kilka chwil wychodził na pokład. „Lord Nelson" z postawionymi bramslami oraz dolnymi i górnymi żaglami bocznymi poruszał się w kierunku La Coruny z prędkością pięciu lub nawet sześciu węzłów, gdyż bryza wyraźnie przybrała na sile. Tuż po czwartej francuski kapitan kazał postawić bombramsle, z niepokojem patrząc, jak uszkodzone maszty zniosą dodatkowe naprężenia. Przez chwilę wydawało się, że bryg zostaje z tyłu.

— Sir — Pullings zagadnął cicho, konspiracyjnym tonem. Wrócił właśnie z masztu, skąd długo przyglądał się płynącej za rufą jednostce. — Jestem prawie pewny, że to jest „Seagull". Mój wuj był tam pierwszym nawigatorem w dziewięćdziesiątym dziewiątym, odwiedzałem go wiele razy...

— „Seagull" — zdziwił się Jack, marszcząc brwi. — Czy nie zmieniono ostatnio uzbrojenia tego brygu na karonady?

— Zgadza się, sir. Szesnaście dwudziestoczterofuntowych karonad, bardzo ciasno ustawionych. I dwie długie szóstki. Może zdrowo przyłożyć, jeśli tylko znajdzie się dostatecznie blisko. Problem jednak w tym, że żegluje bardzo powoli.

— Wolniej od nas?

— Obawiam się, że tak, sir. Właśnie postawili topsle, może to coś zmieni...

Wiatr nie zmieniał się, a różnica prędkości była bardzo nieznaczna. Wystarczyła jednak, by po około pięciu godzinach bryg znalazł się w zasięgu ostatniej rufowej osiemnastofuntówki „Lorda Nelsona" i długiej ósemki, którą kapitan Azema polecił przenieść do reprezentacyjnego salonu, tak by mogła strzelać z galeryjki.

Przez następne dziesięć mil bryg — byli już teraz pewni, że to rzeczywiście „Seagull" — mógł odpowiadać jedynie kulami z dziobowej sześciofuntówki, nie czyniąc ściganej jednostce najmniejszej szkody. Wystrzały dodawały tylko animuszu załodze brygu. „Lord Nelson" powoli zbliżał się jednak do miejsca, w którym wiatr odbity od hiszpańskiego wybrzeża oraz prąd pływowy tworzyły na powierzchni morza wyraźną granicę, za którą rozciągał się szary obszar spokojniejszej wody. Żerowały tam stadami mewy i inne wodne ptaki.

Już po pięciu minutach ścigany statek zwolnił wyraźnie, wiatr coraz ciszej śpiewał w takielunku. Bryg znalazł się tuż za rufą, z prawej burty i zanim sam wszedł w strefę ciszy, jego krótkolufowe

karonady wystrzeliły po raz pierwszy. Kule nie doleciały do celu, podobnie jak pociski następnej salwy — rykoszetująca kula przebiła jednak ułożone w siatce hamaki i uderzyła słabo o grotmaszt. Kapitan Azema spojrzał w zadumie na ciężki pocisk i na zbliżający się wytrwale bryg; do bezwietrznego obszaru angielskiej jednostce pozostało jeszcze ćwierć mili. Pięćdziesiąt jardów wystarczy, by dwudziestoczterofuntowe kule zaświstały nad pokładem, przebijając burty wypełnionego cennym ładunkiem statku i zagrażając uszkodzonym już masztom. Francuski kapitan był przede wszystkim poirytowany, nie obawiał się o ostateczny rezultat ewentualnego starcia. Szybkostrzelność i celność dział „Seagull" pozostawiała wiele do życzenia, podczas gdy on miał w załodze ośmiu wyborowych artylerzystów. Bryg nie był w stanie manewrować szybciej niż „Lord Nelson" — wystarczyło też tylko strącić reję lub dwie i angielski okręt pozostanie z tyłu, a cenny pryz dotrze wreszcie do upragnionego brzegu. Tak czy inaczej, trzeba jednak będzie dać z siebie wszystko.

— Ten wasz bryg może być trudnym przeciwnikiem — Azema zwrócił się do Jacka. — Możemy mieć kłopoty. Muszę odesłać was na dół. *Messiers les prisonniers,* proszę zejść do ładowni. Zapraszam wszystkich jeńców pod pokład.

Nie było sensu przeciwstawiać się podobnemu rozkazowi, wydanemu bardzo kategorycznym tonem. Ociężale zeszli na dół, raz za razem oglądając się za siebie. W oddali słońce chyliło się już ku zachodowi. Wędrowali coraz niżej, zejściówka za zejściówką, aż w końcu nad ich głowami z łoskotem zatrzasnął się greting i zabrzęczał łańcuch. Tutaj, głęboko, w wypełnionych ładunkiem wnętrznościach statku, pachnących cynamonem, herbatą i wodą z zęz, przyszło im nasłuchiwać odgłosów bitwy. W ładowni zamknięto Jacka, Pullingsa, Europejczyków z Kompanii Wschodnioindyjskiej i wszystkich pasażerów. Znajdowali się poniżej linii wodnej, w pomieszczeniu oświetlonym słabym światłem latarni kołyszącej się pod sufitem, wśród ledwie widocznych paczek i skrzyń — musieli więc całkowicie zdać się na swój słuch. Nie trzeba było specjalnie nadstawiać uszu, drewniany kadłub statku rezonował jak pudło gitary. Wyraźnie słyszeli wystrzały osiemnastofuntówek „Lorda Nelsona", transponowane o oktawę niżej i salwy brygu — głuche dudnienie przenoszone przez wodę. Zupełnie jakby w oddali uderzał owinięty watą młot, którego dźwięk został całkowicie pozbawiony wysokich tonów. To szczególne brzmienie było tak wyraziste, że chwilami udawało się nawet rozróżnić poszczególne karonady, których wystrzały w powietrzu na pewno zlałyby się w nieprzerwany huk. Nasłuchiwali, próbując określić kierunek wystrzałów i oszacować siłę ognia obu jednostek. Pociski armat „Lorda Nelsona" ważyły łącznie czterysta trzydzieści dwa funty, a działa brygu wyrzucały trzysta dziewięćdziesiąt dwa funty metalu. W ładowni dyskutowano też ewentualne możliwości wykorzystania uzbrojenia i różne warianty rozwoju sytuacji.

— Azema strzela tylko z najcięższych dział — zauważył Jack. — Na pewno celuje w maszty... Na pewno.

Co jakiś czas pociski „Seagull" uderzały w ich statek, jeńcy wznosili wówczas radosny okrzyk, próbując określić miejsce trafienia. W pewnej chwili odezwała się pracująca pospiesznie pompa, co oznaczało, że kadłub „Lorda Nelsona" został przebity w pobliżu linii wodnej. Innym znów razem głośny metaliczny dźwięk pozwalał przypuszczać, że kula uderzyła w któreś z dział — najprawdopodobniej zostało ono uszkodzone.

Około trzeciej nad ranem zgasła świeca. Wszyscy leżeli teraz w ciemnościach, wciąż nasłuchując i chwilami tęskniąc do płaszczy, kocy, poduszek oraz ciepłej strawy. Czasem udawało im się nawet zasnąć. Działa wciąż grzmiały: armaty „Seagull" nie strzelały już salwami, odzywały się jedna po drugiej — „Lord Nelson" prowadził podobny ogień od samego początku starcia, godzina po godzinie wybijając spokojny, miarowy rytm.

Panna Lamb przebudziła się nad ranem z głośnym okrzykiem:

— To był szczur! Olbrzymi wilgotny szczur! Och, tak żałuję, że nie mam na sobie spodni!

Napięcie powoli opadało, mijały kolejne godziny. Raz lub dwa razy Jack zagadnął majora Hilla i Pullingsa, nie uzyskał jednak od nich żadnej odpowiedzi. W pewnym momencie zauważył, że myli się, licząc kolejne wystrzały. Cyfry pomieszały mu się z liczbą pozostających pod opieką Stephena rannych, z uwagami, jakie wymieniał z Sophie, z myślami o jedzeniu, mocnej kawie i trio d-moll; Diana tak szorstko zagrała *glissando,* a wiolonczela brzmiała tak płaczliwie, gdy ostatni raz koncertowali we trójkę...

W ciemność wdarł się nagle jaskrawy strumień światła, zagrzechotał łańcuch i podniesiono greting. Jack był pogrążony w głębokim półśnie. Wiedział co prawda, że działa umilkły ponad godzinę temu, lecz czuł się winny i zawstydzony.

Na zewnątrz padał deszcz, drobna mżawka z wiszących wysoko chmur, wiał bardzo słaby wiatr — tym razem już lądowa bryza. Kapitan Azema był śmiertelnie blady i bardzo zmęczony, podobnie jak jego ludzie. Nie wydawał się jednak zdenerwowany. Nie okazywał też otwarcie radości, wyraźnie jednak nie miał powodów do zmartwień. „Lord Nelson" żeglował pod marslami na grot i fokmaszcie, ostro na wiatr, oddalając się od nieruchomego brygu, widocznego daleko za rufą z prawej burty. Nawet z tej odległości Jack mógł zauważyć, że angielska jednostka bardzo mocno ucierpiała w walce. Brakowało fokrei, stenga grotmasztu była wyraźnie pochylona, rumowisko na pokładzie i za burtą. Cztery furty działowe wgniecione do środka, kadłub dziwnie nisko w wodzie, gorączkowo pracujące pompy. Bryg odpłynął, aby usunąć uszkodzenia i niebezpieczne przecieki. Prawdopodobieństwo iż znów podejmie walkę, że będzie w stanie zaatakować, wydawało się...

Kapitan Azema pochylał się nad działem, celując bardzo starannie. Odczekał, aż przyjdzie fala i wystrzelił, posyłając kulę na śródokręcie „Seagull", prosto między pracujących ludzi. Przez chwilę stał, obserwując lot pocisku.

— Strzelajcie tak dalej, Partre — polecił, odchodząc na bok i sięgając po stojący na obrzeżu kompasu kubek parującej kawy.

Podobne postępowanie wydawało się całkiem do przyjęcia, Jack może zrobiłby to samo, lecz w zachowaniu Francuza było tyle bezwzględnego okrucieństwa... Aubrey odmówił wypicia łyku z kapitańskiego kubka i odwrócił się, aby obejrzeć wybrzeże oraz uszkodzenia, jakich doznał „Lord Nelson". Azema nie znalazł się jednak idealnie w miejscu, do którego zmierzał — przed dziobem widać było przylądek Prior. Przed południem powinni jednak znaleźć się na redzie La Coruny. Jack zignorował kolejny armatni wystrzał. Na pokładzie „Seagull" nic miał nikogo znajomego, trudno było mu więc zrozumieć, dlaczego aż tak bardzo cierpi z tego powodu. Nie potrafił zebrać myśli, wiedział

jednak na pewno, że z całego serca wściekle nienawidzi francuskiego kapitana. Dlatego też, na widok pierwszego z okrętów opływających właśnie hiszpański przylądek, poczuł znacznie więcej niż zwykłą radość człowieka, który odzyskał nagle utracone bezpowrotnie nadzieje. Zza skalistego urwiska wyłonił się zmierzający na północ, do domu, okręt liniowy HMS „Colossus", a za nim „Tonnant", uzbrojony w osiemdziesiąt dział.

— Dwa liniowce — zameldował obserwator na maszcie. Już jednak wkrótce pojawiły się następne dwie jednostki: bardzo silna eskadra, jej okręty płynęły pod pełnymi żaglami i miały przewagę względem wiatru. Nie było nawet najmniejszej szansy ucieczki. Na pokładzie „Lorda Nelsona" wszyscy nagle umilkli, zapanowała pełna niepokoju konsternacja. Jack podszedł do wycelowanej osiemnastofuntówki i położył dłoń na zamku.

— Nie może pan wystrzelić z tego działa, sir. Musi pan poddać się brygowi. Proszę opuścić banderę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Za pięć ósma, w strugach ulewnego deszczu, Jack Aubrey przemierzał szybkim krokiem brukowany dziedziniec gmachu Admiralicji. Z tyłu, za plecami, wciąż słyszał głos pomstującego dorożkarza:

— Cztery pensy! I to ma być dżentelmen? Zwyczajny dziad. Wstyd marynarce przynosi, żebrak!

Jack wzruszył tylko ramionami. Schylając się, przeszedł szybko przez strugi wody ściekające z przepełnionej rynny i znalazł się w holu. Minął główną poczekalnię, skierował się wprost do niewielkiego biura, nazywanego Bosun's Chair — był przecież umówiony z samym pierwszym lordem... Ogień na kominku rozpalał się właśnie na dobre i kłęby gęstego żółtego dymu łączyły się z żółtawą mgłą na zewnątrz. Przez dym tu i tam przebijały się czerwone języki płomieni. Aubrey stanął plecami do paleniska i wpatrzony w deszcz za oknem próbował osuszyć chusteczką swój najlepszy mundur. Kilka rozmazanych postaci przeszło pod łukiem Whitehall — cywile pod parasolami, moknący oficerowie; wydawało mu się, że rozpoznaje dwie lub trzy osoby. Z całą pewnością był wśród nich Brand z „Implacable". Jack nie zainteresował się tym jednak bliżej, jego uwagę całkowicie zajęło w tej chwili czyszczenie oblepionych błotem sprzączek butów.

Znajdował się oczywiście w stanie najwyższego podniecenia - jak każdy marynarz oczekujący na spotkanie z pierwszym lordem Admiralicji miał prawo być podekscytowany — lecz jego umysł bardziej niż ową rozmową zaprzątnięty był jak najefektywniejszym wykorzystaniem jedynej chusteczki i rozmyślaniami o ubóstwie. Bieda była przecież starą dobrą znajomą Jacka — prawie jego przyjaciółką. Borykanie się z rozmaitymi problemami związanymi z brakiem pieniędzy to dla większości oficerów marynarki bardziej naturalny stan rzeczy niż beztroskie życie bogacza, które okazało się jednak bardzo przyjemne... Oczywiście chciałby znowu być bogatym, choć na pewno brakowałoby mu wówczas pewnych małych radości — triumfalnej satysfakcji, jaką dawała znaleziona w kieszeni kamizelki zapomniana gwinea, emocji towarzyszących odwracaniu rozdanych kart. Nie miał dzisiaj innego wyjścia, musiał skorzystać z dorożki; wszędzie było błoto po kostki, a wyjściowe mundury i jedwabne pończochy nie spadają przecież z nieba.

— Kapitanie Aubrey — powiedział urzędnik — jego lordowska wysokość przyjmie teraz pana.

— Aubrey! Tak się cieszę, że pana widzę — zawołał lord Melville. — Jak się czuje pański ojciec?

— Dziękuję, sir, bardzo dobrze. Tak samo jak i my wszyscy cieszy się z wyników wyborów. Przepraszam, jednak, wasza wysokość. Proszę mi wybaczyć... Powinienem przecież przede wszystkim pogratulować panu lordowskiego tytułu.

— To bardzo uprzejme z pańskiej strony, dziękuję — odparł lord Melville. Odpowiedział również na grzecznościowe pytania Jacka o zdrowie pani Melville i Roberta. — Słyszałem, że nie nudził się pan, wracając do domu? — zagadnął.

— To prawda — Jack zawołał zdumiony. — Nie przypuszczałem, że będzie pan o tym wiedział...

— Wszystko jest w gazecie. List pasażerki do jej krewnych, opisujący szczegółowo wszystkie okoliczności związane z utratą i odzyskaniem statku. Wymienia pana nazwisko i naprawdę bardzo pochlebnie wyraża się o panu... Sibbald zwrócił mi na to uwagę.

To ta przeklęta dziewczyna, panna Lamb. Musiała wysłać swój list przez kogoś z załogi kutra urzędu skarbowego. Jack ładnie teraz wyglądał — za pożyczone pieniądze przyjechał z Plymouth do Londynu, pełnego egzekutorów czekających na zapowiedziany w prasie powrót poszukiwanego dłużnika. Zapewne marzyli teraz tylko o tym, by go aresztować i czym prędzej wtrącić do więzienia Fleet lub Marshalsea. Będzie tam gnił aż do końca wojny, a wszystkie szansę ratowania sytuacji przejdą mu koło nosa. Znał wielu oficerów, których kariery przerwała ingerencja komornika: stary Baines, Serocold... Sam tymczasem paraduje sobie po mieście, wystrojony tak, jakby wybierał się na królewskie urodziny. Zatrzyma go pierwszy lepszy urzędnik... Na samą myśl o podobnej ewentualności poczuł chłód i zebrało mu się na wymioty. Powiedział coś o tym, że jest bardzo zaskoczony. Ruszył w drogę prosto z Plymouth, zatrzymując się tylko na kilka godzin w domu ojca i myślał, że wyprzedzi te nowiny. Wypadło to chyba całkiem rozsądnie — powiedział tylko lord Melville.

— Jestem pewien, że dał pan z siebie wszystko... — I mówił dalej, ze swym charakterystycznym szkockim akcentem. — Szkoda jednak, że nie przybył pan do Londynu o kilka tygodni, a raczej o kilka miesięcy wcześniej, zanim wszystkie najlepsze miejsca zostały zajęte. Chętnie coś bym wtedy dla pana zrobił; na początku wojny wiele okrętów nie miało dowódców. Oczywiście zajmę się sprawą pańskiego awansu, o który wszyscy tak się upominają, nie mogę jednak obiecać okrętu. Możliwe jednak, że znajdzie się jakieś zajęcie dla pana w Sea-Fencibles lub Impress Service. Rozszerzamy działalność obu tych służb i poszukujemy aktywnych, odpowiedzialnych ludzi.

Aktywnych, odpowiedzialnych i wypłacalnych — podobne posady oznaczały pracę na lądzie, bez perspektywy ewentualnych zysków. Coś w sam raz dla oficerów lubiących spokój i wygodę, pozbawionych ambicji. Dla kogoś, kto chciałby nadzorować rybackie oddziały samoobrony lub pracę grupy prowadzącej przymusowy zaciąg do służby w marynarce. Teraz albo nigdy — nadeszła decydująca chwila. Gdy ten siedzący po drugiej stronie biurka człowiek o surowej twarzy przedstawi konkretną propozycję, nie będzie odwrotu.

— Wasza lordowska wysokość — powiedział Jack z całą siłą i energią, jaką był w stanie z siebie wykrzesać. — Bardzo chciałbym awansować i objąć dowództwo okrętu przysługującego pełnemu

kapitanowi. Wystarczą mi jednak nawet sklecone razem cztery kawałki drewna. Byle tylko jakoś unosiły się na wodzie... Będę bardziej niż szczęśliwy, mogąc pożeglować nawet na tratwie i jestem gotów wykonać dowolne zadanie w dowolnym punkcie świata. Nawet jeśli tak jak dotychczas będę tylko pełnił obowiązki dowódcy. Od czternastego roku życia służę na morzu, sir i nigdy dotąd nie odmówiłem przyjęcia żadnego przydziału, jaki lordowie Admiralicji byli uprzejmi mi wyznaczyć. Zapewniam, że nie pożałuje pan swojej decyzji. Wszystko czego obecnie pragnę, to znów znaleźć się na morzu...

— Hm... — mruknął zamyślony lord Melville i przez długą chwilę wpatrywał się w Jacka swymi szarymi oczami. — Czy mam przez to rozumieć, że nie oczekuje pan nic więcej? Sporo mówiło się o tym, że pańskim przyjaciołom bardzo zależało na tym, by został pan awansowany po zwycięstwie nad „Cacafuego".

— To wszystko, czego chcę, sir — powiedział Jack i umilkł, przypomniawszy sobie, jak ostatnim razem usiłował w tym samym pokoju wyjaśnić, dlaczego pozwolił sobie użyć słowa „muszę". Wolał nie mówić nic więcej, patrzył tylko na swego rozmówcę z pełną szacunku uwagą. Tym razem udawało mu się to znacznie lepiej niż przed rokiem, choć przecież cenił St Vincenta znacznie bardziej niż jakiegokolwiek cywila.

— No cóż... — pierwszy lord odezwał się wreszcie, przerywając milczenie. — Nie mogę panu nic obiecać. Nie ma pan pojęcia, ile otrzymuję podań, ile sprzecznych interesów muszę jakoś ze sobą pogodzić. Istnieje jednak może pewna niewielka szansa... Proszę przyjść do mnie w przyszłym tygodniu. W tym czasie zajmę się sprawą pańskiego awansu, chociaż lista kapitanów jest już i tak bardzo przepełniona... Rozważę też wszystkie inne możliwości. Czekam na pana w środę. Proszę jednak pamiętać o tym, że jeśli nawet coś znajdę, na pewno nie będzie to nic specjalnie atrakcyjnego. Nie przyrzekam jednak...

Jack wstał i podziękował za to, że lord Melville był tak łaskawy i zechciał go przyjąć.

— Myślę, że spotkamy się dziś wieczorem na przyjęciu u lady Keith. — Głos pierwszego lorda zabrzmiał teraz znacznie mniej oficjalnie. — Przyjdę, jeśli uda mi się wygospodarować chwilę wolnego czasu.

— Byłbym bardzo zaszczycony, mogąc spotkać się tam z panem, wasza lordowska wysokość — powiedział Aubrey z ukłonem.

— Do widzenia. — Lord Melville pożegnał Jacka, sięgnął po dzwonek i z wyraźnym wyczekiwaniem spojrzał na drzwi swego gabinetu.

— Bardzo pan uradowany, kapitanie — zagadnął stary portier. Miał zmęczone, zaczerwienione oczy i przyglądał się Jackowi uważnie. Słowo „uradowany" było tutaj jednak raczej nie na miejscu. W grę wchodziło bardziej zadowolenie niż radość. W każdym razie nie był to na pewno wyraz twarzy nie docenianego oficera, nękanego niepowodzeniami i wciąż odsuwanego na bok.

— Cóż, Tom, chyba masz rację — zgodził się Jack. — Szedłem dziś rano piechotą z Hampstead aż do Seven Dials. Nic tak nie poprawia człowiekowi nastroju jak poranny spacer.

— Coś z dnem obitym miedzianą blachą, sir? — dopytywał się portier. Nie były go w stanie zwieść podobne bajeczki o porannych spacerach. Był starym i doświadczonym człowiekiem, znał Jacka już wtedy, gdy ten jeszcze się nie golił. Tak samo jak znał prawie wszystkich oficerów z „Navy List" poniżej rangi admirała. Tom miał prawo do napiwku, jeśli podczas jego służby przydzielono komuś okręt.

— Tak właściwie, to na razie nie... — wyjaśnił Jack, patrząc uważnie na przemoczonych przechodniów na Whitehall, po drugiej stronie dziedzińca. Ulica przypominała zatłoczone wody kanału La Manche, pełne okrętów i statków. Czy nie było tam też patrolowców lub korsarzy szukających potencjalnych pryzów? A podwodne skały? Egzekutorzy? — Dzisiaj nie, Tom. Może następnym razem... Mam do ciebie jednak wielką prośbę... Wyszedłem dziś bez płaszcza i bez grosza przy duszy. Czy mógłbyś pożyczyć mi pół gwinei?

Tom miał już wyrobioną opinię o tym, jak oficerowie marynarki radzą sobie na lądzie. Nie zdziwił go wcale fakt, że Aubrey wyszedł z domu, nie zatroszczywszy się o najprostsze rzeczy. Wyraz twarzy Jacka był jednak niezbitym dowodem na to, że już wkrótce miało nastąpić coś pozytywnego. Tylko w Fencibles szykowało się kilkanaście wolnych etatów, nawet jeśli ów młody człowiek nie zostanie awansowany do stopnia kapitana. Portier uśmiechnął się więc pobłażliwie, wyjął z kieszeni małą monetę i wezwał dorożkę.

Jack siedział skulony, z naciągniętym na nos kapeluszem i zerkał ukradkiem na zewnątrz przez zabłocone szyby. Wyglądał bardzo dziwnie i raczej podejrzanie, wzbudzając uszczypliwe komentarze przechodniów za każdym razem, gdy koń zwalniał kroku. „Banda łajdaków" — Aubrey stwierdził w duchu. W każdym dorosłym mężczyźnie widział teraz ścigającego niewypłacalnych dłużników egzekutora. „Boże, co to jednak za życie. Całe dnie ślęczeć nad rachunkowymi księgami..." Tuż obok jedna za drugą przesuwały się posępne twarze. Nie kończący się szary strumień podenerwowanych, zmokniętych ludzi, którzy wpadali na siebie, popychali się i rozpychali łokciami, zdążając do swych ponurych, ogłupiających zajęć. Jak w złym śnie. Co jakiś czas w tłumie

mignęła ładna sprzedawczyni lub służąca — wszystko wydawało się wtedy jeszcze bardziej patetyczne i przygnębiające.

Po Hampstead Road ciągnęła długa kolumna wozów załadowanych przemoczonym sianem, prowadzili je wieśniacy z długimi biczami. Baty, koszule woźniców i grzywy oraz ogony koni przystrojone były wstążkami, a na szerokich, rumianych twarzach mężczyzn lśniły krople deszczu. Jack przypomniał sobie łaciński wers ze swych, tak odległych i po części zmarnowanych, szkolnych dni: *O fortunatos nimium, sua si bona norint, agricolas*. „To naprawdę świetne" — pomyślał. „Szkoda, że nie ma tu ze mną Stephena. Tak chciałbym, żeby mnie teraz słyszał. Muszę kiedyś powiedzieć to przy nim znienacka". Powinno być zresztą ku temu mnóstwo sposobności — wieczorem mieli przecież podróżować razem tą samą drogą na przyjęcie do Queenie i przy odrobinie szczęścia powinni zobaczyć w owym żałosnym tłumie kilku rolników — *agricolas*...

— I jak udała się rozmowa? — zapytał Stephen, odkładając na bok swój raport i wpatrując się w twarz Jacka z nie mniejszym zainteresowaniem niż stary portier Tom.

— Nie było tak źle. Miałem trochę czasu, żeby sobie to przemyśleć i wydaje mi się, że wszystko

wypadło nieźle. Myślę, że zostanę awansowany lub dostanę okręt. Albo jedno, albo drugie. Jeśli otrzymam awans, zawsze będzie nadzieja, że prędzej czy później trafi mi się okręt należny pełnemu kapitanowi. Są też przecież zastępstwa. Jeśli nadal będę tylko pełnił obowiązki dowódcy na jakimś słupie, też dobrze...

— Co to za zastępstwa?

— Kiedy oficer w randze pełnego kapitana zachoruje lub chce przez jakiś czas przebywać na lądzie... to się często zdarza, gdy dowódcy okrętów mają tytuły szlacheckie lub są członkami parlamentu... jakiś inny kapitan przejmuje tymczasowo okręt za połowę wynagrodzenia. Czy mam ci opowiedzieć dokładniej, jak przebiegało dzisiejsze spotkanie?

— Oczywiście.

— Zaczęło się czarująco. Pierwszy lord oznajmił, że cieszy się na mój widok. Jeszcze nigdy żaden pierwszy lord nie cieszył się ze spotkania ze mną, a przynajmniej wszystkim zawsze udawało się to ukryć. Czy w tym dzbanku zostało trochę kawy?

— Nie. Możesz za to napić się piwa. Jest już prawie druga.

— Trudno. Początek był w każdym razie bardzo przyjemny. Potem jednak nastrój gwałtownie się zmienił, gdyż lord Melville zrobił smutną minę i oświadczył, że zjawiłem się za późno. Jest mu przykro, gdyż, jak powiedział: „Chętniej coś by wtedy (czyli wcześniej) dla mnie zrobił". Potem serce mi zamarło, gdyż zaczął mówić o Fencibles i Impress Service. Wiedziałem, że muszę koniecznie odwieść go jakoś od tego tematu, zanim otrzymam konkretną propozycję.

— Dlaczego?

— Och... Nie mógłbym odmówić. Jeśli jakiś oficer zrezygnuje z okrętu, gdyż dana jednostka mu nie odpowiada, ponieważ jest w Indiach Zachodnich, przechodzi kwarantannę lub coś w tym rodzaju... Ktoś taki od razu trafia na czarną listę... Już nigdy może nie zostać zatrudniony. Nam nie wolno przebierać. Na pierwszym miejscu musi znaleźć się dobro służby, tak nam mówią. I mają absolutną rację... Dlatego nie mógłbym oznajmić, że nie chcę służyć w Fencibles lub Impress Service i do takiej pracy trzeba by mnie chyba zmusić siłą.

— Dlatego starałeś się uniknąć podobnej propozycji?

— Dokładnie. Rezygnując z oczekiwań dotyczących awansu na stopień kapitana, powiedziałem, że zadowoliłaby mnie jakakolwiek utrzymująca się na wodzie jednostka. Nie tłumaczyłem wszystkiego zbyt szczegółowo, lecz mój rozmówca doskonale zrozumiał, o co mi chodzi. Trochę się kwasił i wreszcie wspomniał coś o pewnej niewielkiej szansie. W przyszłym tygodniu. Zastanowi się też nad sprawą mojego awansu. Nie mam tego traktować jako obietnicy, prosił jednak, bym przyszedł do niego w środę. W przypadku kogoś takiego jak lord Melville, podobne słowa to prawie przyrzeczenie...

— Ja też tak uważam, mój drogi — zgodził się Stephen, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej

przekonująco. Naprawdę przekonująco, gdyż doktor miał w swoim czasie do czynienia z człowiekiem, o którym mówił Jack (obecny dowódca floty zajmował się wówczas wydatkowaniem sekretnych funduszy). — Jedzmy więc, pijmy i radujmy się. W garnku są parówki, piwo stoi w zielonym dzbanku. Dla mnie wystarczy kawałek zapiekanego sera.

Francuscy korsarze zabrali doktorowi zegarek Brequeta, a także większość ubrań, instrumentów naukowych i książek. Żołądek Stephena doskonale jednak odmierzał czas — gdy usiedli do małego stolika stojącego przy kominku, zegar na wieży kościoła uderzył dwa razy. Załoga szybkiej i zwinnej jak jaskółka „Bellone" zabrała również pieniądze przywiezione z Hiszpanii — właśnie brak gotówki stał się teraz najistotniejszym problemem. Od momentu zejścia na ląd w Plymouth obaj z Jackiem utrzymywali się dzięki niewielkiej sumie uzyskanej po żmudnych negocjacjach od generała Aubreya — dotycząca tej sprawy rozmowa ojca z synem przeciągała się w nieskończoność, a konie przez cały czas czekały na dworze. Mieli też nadzieję, iż uda im się spieniężyć list bankowy wystawiony przez pewnego kupca z Barcelony. Ów pan Mendoza nie był jednak zbyt dobrze znany londyńskim bankierom.

Jack i Stephen mieszkali obecnie koło Heath, w idyllicznym wiejskim domu z zielonymi okiennicami i kapryfolium nad wejściowymi drzwiami. Zwłaszcza latem musiało to być naprawdę piękne miejsce. Dawali sobie jakoś radę — żyli tu bardzo oszczędnie. Trudno byłoby znaleźć lepszy dowód ich przyjaźni niż sposób, w jaki tolerowali tak wielkie różnice w swym zachowaniu i sposobie bycia. W opinii Jacka Stephen był niepoprawnym bałaganiarzem: na stole wciąż leżały jakieś papierzyska, wyschnięte kawałki natartego czosnkiem chleba, chirurgiczne noże i części odzieży. Sądząc po wymiętej peruce doktora, służącej teraz za podstawkę do miseczki z mlekiem, Stephen na pewno jadł dziś rano marmoladę.

Jack zdjął mundurową kurtkę, włożył fartuch i odniósł naczynia do kuchni.

— Mój talerz i spodek mogą być użyte jeszcze raz... — zawołał Maturin. — Zdmuchnąłem z nich okruchy. Zostaw też moją miskę po mleku! Jest czysta. Cóż może być dla nas zdrowsze niż przegotowane mleko? Czy mam pomóc ci wycierać? — Zajrzał w otwarte drzwi.

— Nie, nie — krzyknął Jack. Widział już kiedyś swego przyjaciela przy tej pracy. — Nie ma tutaj miejsca... Prawie już skończyłem. Zajmij się kominkiem, dobrze?

— Może trochę sobie pomuzykujemy? — zaproponował Stephen. — Pianino twojego przyjaciela jest całkiem znośnie nastrojone, znalazłem też niemiecki flet. Co teraz robisz?

— Myję podłogę. Daj mi jeszcze pięć minut.

— Sądząc po odgłosach, to raczej potop. Drażni mnie trochę to twoje upodobanie do czystości. Tyle czasu spędzasz, walcząc z brudem... — Klęczący przy kominku Stephen pokręcił głową. — Jesteś w tej kwestii przesądny jak indyjski bramin. Trudno znieść coś podobnego. To wręcz natręctwo, obsesja...

— Natręctwo? Zaniepokoiłeś mnie — stwierdził Jack. — Czy to bardzo zaraźliwe? — dodał z dobrotliwą ironią. Po chwili stanął w drzwiach ze zwiniętym fartuchem pod pachą, — Gdzie jest

pański flet, doktorze? Co zagramy? — Usiadł do pianina, dotknął palcami klawiszy i zaczął śpiewać:

Te hiszpańskie psy, posiadać bardzo chcą Gibraltar i Port Mahon...

— Na pewno chcieliby mieć też Gibraltar... — zauważył. Przechodził szybko od jednej melodii do drugiej, rzępoląc niemiłosiernie. Stephen powoli skręcał flet. Przypadkowe dźwięki przeistoczyły się w końcu w adagio sonaty Hummla.

„Czy to jakaś niepojęta skromność sprawia, że on gra w ten sposób ?" — zastanawiał się Maturin. Gwint w jednej z części instrumentu był uszkodzony i doktor nie mógł na razie przyłączyć się do gry. „Wiem przecież, że Jack naprawdę zna się na muzyce. Więcej, ceni sobie muzykę ponad wszystko. Gra jednak to adagio tak słodko jak małe dziecko. Wiem, że jest zdolny do wewnętrznych odczuć i przeżyć, ma też sporo wyobraźni, nie słychać tego jednak w wykonywanych przez niego utworach. Ze swoich skrzypiec potrafi wydobyć tylko proste, banalne dźwięki, bardzo rzadko zdarza mu się zagrać coś więcej, przeważnie przez pomyłkę. W przypadku pianina, sprawa wygląda jeszcze gorzej — tutaj każdy ton ma ustaloną wysokość. Tak. Małe dziecko, dziewczynka, a nie ważący dwieście dwadzieścia funtów mężczyzna. Gra teraz tak naiwnie i sentymentalnie, lecz patrząc na jego twarz, można przecież dostrzec, że cierpi. Bardzo cierpi. Jestem o tym przekonany. Jego styl bardzo przypomina sposób, w jaki gra Sophie. Czy Jack zdaje sobie z tego sprawę? Czy świadomie ją naśladuje? Nie mam pojęcia... W jego i jej wykonaniu ten utwór brzmi tak podobnie: po prostu nie ma tu jakiegokolwiek indywidualnego stylu. Może wynika to z jakiejś szczególnej nieśmiałości, z przekonania, że nie powinno się wychodzić poza pewne ustalone granice. Obydwoje w identyczny sposób uderzają w klawisze... Skoro taki znawca muzyki jak Jack potrafi grać jak prostak, nie można mieć za złe Sophie, że jej wykonanie nieodparcie kojarzy się z pozytywką. Może jestem zresztą zbyt surowy. Może oboje mają wrażliwe dusze, zdolne do najwyższych uniesień i wzruszeń, lecz nie potrafią tego okazać. Może z nieodgadnionych przyczyn nie są w stanie spontanicznie reagować. Mój przyjaciel jest przecież teraz tak bardzo wzruszony... Oby tylko nie zaczął płakać. Nie chcę patrzeć na jego łzy. Za bardzo go lubię. Jest w końcu bardzo porządnym człowiekiem, choć jako Anglik ma na pewno skłonności do rozczulania się. To przecież typowe... Oni wszyscy są zbyt sentymentalni i płaczliwi..."

— Jack, Jack — doktor zawołał głośno — pomyliłeś się w drugiej wariacji!

— Co takiego? — z oburzeniem wykrzyknął Aubrey. - Jak możesz...

— Posłuchaj. To powinno brzmieć tak... — Stephen stanął z tyłu za Jackiem, sięgnął do klawiatury i zaczął grać.

— Nieprawda! — zawołał Jack. — Dobrze zagrałem! — Wstał od pianina i zaczął chodzić w kółko po pokoju, wypełniając ciasne pomieszczenie swą masywną postacią. Zdenerwowany wydawał się jeszcze większy niż zwykle. Po chwili uśmiechnął się jednak i zaproponował:

— Może poimprowizujemy trochę? Tak jak wtedy koło Krety? Od czego zaczniemy?

— Znasz może *St Patrick 's Day?*

— Jak to leci? — Stephen w odpowiedzi zagrał kawałek. — Och, to? Oczywiście, że znam. W Anglii nazywamy to *Bacon and Greens*.

— Nie będę improwizował na temat *Bacon and Greens*. Zagrajmy może *Hosier's Ghost*. Zobaczymy, dokąd nas to doprowadzi.

Zabrzmiała muzyka, ballada i wariacje na jej temat, prowadzące do następnych utworów. Pianino co jakiś czas przekazywało główny temat fleciście, potem oba instrumenty zamieniały się miejscami, czasami odzywał się śpiew: marynarskie piosenki z forkasztelu, których tak często słuchali na morzu.

Słuchajcie teraz, o dzielni żeglarze

Ciekawej historii, którą waru przekażę,

O okręcie „Lichtfield" przez los pokrzywdzonym,

Na brzeg barbarzyński rankiem wyrzuconym...

— Ściemnia się już — zauważył Stephen, odkładając flet.

— *Na brzeg barbarzyński rankiem wyrzuconym...* — Jack zaśpiewał raz jeszcze. — Strasznie posępna ta jesień. Na szczęście deszcz przestał padać — zauważył, wyglądając przez okno. — Wiatr skręcił na wschód... Nie... Na północny wschód. Nie zmokniemy po drodze.

— Dokąd się wybieramy?

— Na przyjęcie do Queenie, oczywiście... Do lady Keith. — Stephen spojrzał z powątpiewaniem na swój rękaw.

— W świetle świec to ubranie będzie wyglądało całkiem przyzwoicie — stwierdził Jack. — Zwłaszcza jeśli przyszyje się oderwany środkowy guzik. Zdejmij je, proszę, i powieś tutaj. Zaraz przyniosę igłę i nitkę, a ty tymczasem zmień kołnierzyk. Włóż też pończochy. Jedwabne, oczywiście. Zawiąż ten krawat. Dostałem go od Queenie, gdy szedłem na morze — wyjaśnił, owijając nitkę dookoła stopki guzika i odrywając koniec zębami. — Teraz musimy jeszcze doprowadzić do ładu twoją perukę. Wystarczy odrobina mąki z kuchni... O, teraz będziesz wyglądał bardzo modnie. Pozwól jeszcze, że wyszczotkuję ci kurtkę. Wspaniale. Możesz iść na najbardziej eleganckie przyjęcie.

— Dlaczego zawijasz się tak w ten płaszcz?

— Ach, zapomniałem powiedzieć... — zawołał Jack. — Jedna z panien Lamb napisała list do krewnych i ów list został w całości wydrukowany w gazecie. Zostałem wymieniony z nazwiska i prawnicy moich wierzycieli na pewno rozesłali już za mną swoich ludzi. Muszę się trochę zamaskować i zdjąć kapelusz. Powinniśmy też może wziąć w mieście dorożkę.

— Czy musisz wychodzić dziś wieczorem? Czy warto ryzykować aresztowanie i sąd? To przecież tylko przyjęcie...

— Nie szkodzi. Będzie tam lord Melville. Chcę też zobaczyć się z Queenie. Nawet gdyby mi tak nie zależało na spotkaniu z nią, muszę dbać o swoje interesy. Wśród zaproszonych gości ma być admirał i z tuzin innych bardzo wpływowych osób. Chodźmy. Wyjaśnię ci wszystko po drodze. Podają tam też wspaniałe ciasto...

— Słyszę głos świergotka! Coś podobnego! Nie hałasuj przez chwilę. O, teraz znowu! O tej porze roku! To cud!

— Czy to aby dobra wróżba? — zainteresował się Jack. Stał, nasłuchując odległego śpiewu ptaka. — Na pewno. Chodźmy już. Nie możemy się spóźnić.

Do Upper Brook Street dotarli w najgorszym momencie: karety, dorożki i powozy kolejno wysadzały swoich pasażerów przed drzwiami domu numer trzy, podczas gdy z przeciwnej strony podobny sznur pojazdów zmierzał pod numer siódmy, gdzie pani Damer podejmowała dziś swoich przyjaciół. Na chodnikach kłębił się gęsty tłum gapiów, którzy przybyli, aby obejrzeć gości i skomentować ich stroje. Wszędzie dookoła kręcili się natrętni, bosonodzy chłopcy, otwierający drzwi, czasem z krzykiem przebiegający między zaprzęgami. Mogli wydawać się w szczególny sposób irytujący, zwłaszcza dla kogoś, kto był zdenerwowany lub zmęczony. Aubrey zamierzał wprost z dorożki wbiec po schodach prowadzących do wejścia. Drogę zatarasowała jednak skutecznie gromada ślamazarnych głupców, którzy przyszli tu na piechotę bądź też wysiedli ze swoich powozów na rogu Grosvenor Square, a teraz tłoczyli się w przejściu jak rój niesfornych pszczół.

Jack przycupnął na krawędzi siedzenia, czekając aż w tłumie pojawi się luka. Aresztowania za długi nie były niczym niezwykłym — kilku jego przyjaciół trafiło w ten sposób do więzień, skąd pisali potem żałosne listy i apelacje — sam jednak po raz pierwszy znalazł się w podobnej sytuacji. Bardzo niewiele wiedział o obowiązujących w takich okolicznościach zasadach i przepisach. Na pewno nic mu nie groziło w niedziele i prawdopodobnie również w dniu urodzin króla. Z tego co pamiętał, nie aresztowano arystokratów, istniały też bezpieczne miejsca, takie jak Savoy czy „Whitefriars" — miał więc nadzieję, że podobny przywilej dotyczy również domu lorda Keitha. Dlatego właśnie Jack z takim napięciem wpatrywał się w jasno oświetlone, otwarte drzwi.

— Dalej, wielmożny panie — ponaglał dorożkarz.

— Ostrożnie, wasza łaskawość, stopień — powiedział chłopiec, przytrzymując drzwiczki.

— No dalej, ruszaj się, bałwanie — krzyknął z tyłu woźnica. — Znosisz jajko, czy co?

Nie było rady. Aubrey wyszedł na chodnik, stanął obok Stephena w skłębionym tłumie i zasłonił płaszczem twarz.

— To cesarz Maroka — stwierdziła jaskrawo umalowana prostytutka.

— Raczej polski siłacz od Astleya.

— Pokaż nam buźkę, kochaniutki.

— Główka wyżej, kogucie!

Część gawiedzi widziała w Jacku cudzoziemca, sprzymierzonego z Francuzami tureckiego psa, pozostali gapie uznali, że to Old Moore lub przebrana Matka Shipton. Powoli przepychał się do otwartych drzwi i gdy poczuł na swym ramieniu czyjąś dłoń, obrócił się gwałtownie. Bardzo ucieszył tym tłum, prawie tak jak panna Rankin, która przed chwilą zaplątała się w poły płaszcza i upadła jak długa.

— Aubrey! Jack Aubrey! — zawołał Dundas. Heneage Dundas. Służyli kiedyś razem na tym samym okręcie. — Od razu poznałem twoje plecy. Wszędzie bym cię poznał. Jak się czujesz? Wyglądasz, jakbyś miał gorączkę. O, doktor Maturin. Witam serdecznie. Wchodzicie do środka? Ja też, cha, cha, cha. Nadal tak się ze sobą zgadzacie? — Dundas został ostatnio awansowany na stopień kapitana i dowodził uzbrojoną w trzydzieści sześć dział fregatą „Franchise". Był w doskonałym nastroju, kochał wszystkich i jego wesołe gadanie towarzyszyło Jackowi i Stephenowi aż do holu.

Przyjęcie miało wyraźnie morski charakter, lecz lady Keith była przecież również żoną polityka i przyjaciółką wielu ciekawych ludzi. Aubrey zostawił więc Stephena w towarzystwie dżentelmena, który odkrył podobno jakiś szczególnie twardy związek boru. Rozstawszy się z doktorem, przeszedł przez wielki salon i nieco mniej zatłoczoną galerię, aż do zwieńczonego kopułą pomieszczenia, w którym znajdował się bufet: wino z Konstancy, tort, placek, znowu odrobina wina. Tutaj właśnie znalazła Jacka lady Keith, prowadziła ze sobą wysokiego mężczyznę w niebieskim ubraniu ze srebrnymi guzikami.

— Jack, mój drogi, pozwól, że ci przedstawię: pan Canning. Kapitan Aubrey z Royal Navy,

Jack od razu polubił tego człowieka. W miarę jak wymieniali pierwsze zdawkowe uprzejmości, czuł do niego coraz większą sympatię. Canning byt barczystym mężczyzną i choć nie dorównywał wzrostem Jackowi, w pewien szczególny sposób unosił brodę, odchylając do tyłu swą małą, okrągłą głowę, przez co wydawał się znacznie wyższy niż w rzeczywistości. Widać było, iż wie, czego chce i umie wydawać rozkazy. Nie nosił peruki, lśniącą łysinę otaczały przycięte krótko czarne kręcone włosy, miał niewiele ponad trzydzieści lat i na swój sposób przypominał jowialnego rzymskiego cesarza. Jego twarz zdradzała poczucie humoru i życzliwość, kryła się w niej jednak wielka siła. „Źle byłoby mieć za przeciwnika kogoś takiego" — pomyślał Jack i gorliwie zaproponował swemu rozmówcy kawałek ciasta oraz lampkę wina.

Pan Canning okazał się kupcem z Bristolu. Całkiem zaskoczył tym Jacka, który nie spotkał się nigdy prywatnie z kimś takim. Widywał dotąd tylko bankierów z City, agentów oraz lichwiarzy, zawsze w interesach, którzy wydawali mu się pozbawionymi skrupułów istotami niższej kategorii. Trudno jednak było wywyższać się w obecności tego akurat człowieka.

— Bardzo się cieszę ze spotkania z panem — oświadczył Canning, pochłaniając kolejne dwa ciastka. — Wiele słyszałem o panu, a nie dalej jak wczoraj ujrzałem pańskie nazwisko w gazecie. Napisałem do pana list, chcąc wyrazić moje uznanie w związku ze zwycięstwem nad „Cacafuego" w osiemset pierwszym... Miałem naprawdę szczery zamiar go panu przekazać, czekałem tylko na okazję; szukałem wspólnego znajomego, kogoś, kto mógłby pośredniczyć. Wiem jednak, że jako zupełnie obca panu osoba, pozwoliłbym sobie chyba na zbyt wielką poufałość. Z drugiej jednak strony... Mój podziw niewiele chyba dla pana znaczy. Jestem przecież laikiem.

Jack podziękował za okazane mu uznanie:

— Jest pan naprawdę zbyt uprzejmy. Hiszpanie mieli po prostu pecha, nie byli dysponowani...

— W istocie, to nie aż taki ze mnie laik. — Canning mówił dalej. — Podczas ostatniej wojny wyposażyłem kilka statków korsarskich i pożeglowałem na jednym z nich aż do Goree, a na drugim wybrałem się na Bermudy. Znam więc trochę życie na morzu. Nie ma tu oczywiście żadnego porównania, wiem jednak, co oznacza takie zwycięstwo.

— Czy kiedykolwiek służył pan w marynarce, sir? — zainteresował się Jack.

— Ja? Ależ nie. Jestem Żydem — odpowiedział wyraźnie rozbawiony Canning.

— Och... — Jack odwrócił się, wydmuchując nos i ujrzał stojącego w drzwiach lorda Melville'a. Ukłonił się nisko. — Dobry wieczór! — zawołał z szacunkiem.

— W obecnej wojnie wystawiłem siedem statków, ósmy jest właśnie wyposażany. Myślę, że teraz powinienem wspomnieć o „Bellone" z Bordeaux. Ta francuska jednostka przechwyciła w chwili wybuchu wojny dwa moje statki handlowe i zdobyła „Nereid", mój największy statek korsarski, uzbrojony w osiemnaście dwunastofuntowych dział. Rejs wcześniej przed zdobyciem „Lorda Nelsona". „Bellone" wspaniale żegluje, prawda?

— Wspaniale, sir. Idąc ostro na wiatr, przy słabej bryzie, bez najmniejszego problemu zostawiła z tyłu „Blanche". Nawet celowo gubiąc wiatr, robiła sześć węzłów, a ścigająca ją „Blanche" cztery, chociaż jest to przecież najszybszy kurs tej fregaty. „Bellone" ma też doskonałą załogę: kapitan jest byłym oficerem francuskiej królewskiej marynarki wojennej.

— Tak, wiem. Dumanoir. Dumanoir de Plessy. Mam plany konstrukcyjne tego statku — powiedział Canning, pochylając się nad bufetem. Z całej postaci tego człowieka emanowała pewność siebie, pogoda ducha i radość życia. — Właśnie na ich podstawie buduję moją ósmą jednostkę.

— Naprawdę? — zawołał zdumiony Jack.

Korsarskie fregaty zdarzały się we Francji, podobnych jednostek nie znano jednak dotąd po tej stronie kanału La Manche.

— Inne będzie tylko uzbrojenie: dwudziestoczterofuntowe karonady w miejsce długich armat i osiemnastofuntowe działa pościgowe. Jak pan myśli, czy kadłub to wytrzyma?

— Musiałbym obejrzeć te rysunki — zastanawiając się, odpowiedział Jack. — Wydaje mi się, że tak, nawet z zapasem. Wolałbym jednak zobaczyć plany.

— To są jednak tylko szczegóły — oświadczył Canning, machając ręką. — Prawdziwy kłopot to znalezienie odpowiedniego dowódcy. Oczywiście wszystko zależy głównie od niego i tutaj właśnie bardzo ceniłbym sobie pańską pomoc oraz ewentualne uwagi. Zależy mi na znalezieniu odważnego, przedsiębiorczego kapitana. Musi to być też doświadczony żeglarz, rzecz jasna. Przyznaję, że statek działający na podstawie listu kaperskiego to nie okręt wojenny, staram się jednak, by moje jednostki

prowadzone były w sposób, który na pewno spodobałby

się każdemu królewskiemu oficerowi: surowa dyscyplina, porządek, czystość. Nie uznaję jednak czarnych list, szykan, w grę wchodzi też tylko bardzo umiarkowane użycie bata. Z tego, co mi wiadomo, nie wierzy pan chyba zbytnio w skuteczność chłosty, sir?

— To prawda — zgodził się Jack. — Moim zdaniem nadmierne okładanie batem nie ma sensu w przypadku ludzi, którzy mają walczyć.

— Właśnie. Tu dochodzimy do kolejnej rzeczy, jaką mogę zaoferować. Obiecuję naprawdę dzielną załogę złożoną z doskonałych żeglarzy. W większości są to marynarze ze statków przemytniczych, z zachodniego wybrzeża. Urodzeni do służby na morzu i niczego więcej. Mam więcej ochotników niż wolnych miejsc, mogę więc przebierać. Ci, których wybiorę, pójdą wszędzie za właściwym człowiekiem i dobrowolnie podporządkują się surowej dyscyplinie. Będą zachowywać się jak owieczki. Prawdziwy korsarz nie jest złoczyńcą, pod warunkiem, że dowodzi nim odpowiedni kapitan. Takie jest moje zdanie, a pan, co o tym sądzi?

— Myślę, że ma pan rację — odpowiedział powoli Jack.

— Szukając takiego dowódcy, oferuję pensję oficera w stopniu pełnego kapitana i wszystkie dodatki przysługujące na okręcie liniowym o siedemdziesięciu czterech działach. Zapewniam też tysiąc funtów rocznego zysku z pryzów. Żaden z moich kapitanów nie zarobił dotąd mniej, a ta nowa jednostka będzie przecież ponad dwa razy większa niż pozostałe. Jej załoga liczyć będzie od dwustu do trzystu ludzi. Należy też wziąć pod uwagę fakt, iż statek korsarski nie zajmuje się blokowaniem portów, przewożeniem wiadomości lub oddziałów wojsk. Atakuje tylko nieprzyjacielskie jednostki handlowe. Moja nowa fregata będzie mogła wypływać w sześciomiesięczne rejsy, możliwości będą więc wręcz nieograniczone... Naprawdę. — Jack pokiwał głową. — Jest tylko jedno pytanie. Gdzie mógłbym znaleźć odpowiedniego kapitana? — zagadnął Canning.

— Skąd pochodzą pozostali pańscy dowódcy?

— Są przeważnie miejscowi... Świetni, na swój sposób, lecz kierują niewielkimi załogami, złożonymi głównie z krewnych i znajomych. Dowodzą ludźmi, z którymi już wcześniej pływali. Tym razem chodzi o coś zupełnie innego. Ten problem wymaga innego człowieka, kogoś o znacznie szerszym spojrzeniu i horyzontach. Czy mogę prosić pana o radę w tej kwestii, kapitanie Aubrey? Czy zna pan kogoś? Czy jest może jakiś człowiek, z którym pan kiedyś służył... a może...? Zapewniam, że dam wolną rękę i udzielę całkowitego poparcia...

— Będę musiał o tym pomyśleć — ostrożnie powiedział Jack.

— Och tak, bardzo pana o to proszę — zawołał Canning. Do bufetu weszło naraz kilkanaście osób i kontynuowanie prywatnej rozmowy stało się niemożliwe. Canning dał więc Jackowi wizytówkę, na której ołówkiem napisał swój londyński adres. — Będę tam mieszkał przez tydzień — wyjaśnił. — Proszę o wiadomość. Z góry też dziękuję za ewentualne spotkanie.

Rozstali się, a właściwie zostali rozdzieleni przez tłum — i Jack ostrożnie wycofał się pod okno.

Jako oficer marynarki wojennej nie mógł spodziewać się bardziej bezpośredniej propozycji. Bardzo też polubił Canninga, a rzadko zdarzało mu się przecież poczuć do kogoś tak wiele sympatii już na samym początku znajomości. Ten człowiek musiał być naprawdę bardzo bogaty, skoro stać go było na tak poważną inwestycję: sześćset lub siedemsettonowy list kaperski... Aubrey pokręcił głową. W tym jego geście był jednak tylko szczery podziw — nie miał bowiem nawet najmniejszego cienia wątpliwości co do uczciwości swego nowego znajomego.

— Chodź, Jack — zawołała lady Keith. — Gdzie są twoje maniery? Zachowujesz się jak niedźwiedź...

— Wybacz mi, Queenie — powiedział Aubrey, uśmiechając się przepraszająco. — Jestem trochę ogłupiały. Twój przyjaciel Canning chce zrobić ze mnie bogacza... Czy to rzeczywiście twój znajomy?

— Tak. Jego ojciec uczył mnie hebrajskiego... Dobry wieczór, panno Sibyl... Canning to bogaty i przedsiębiorczy młody człowiek. Bardzo cię podziwia.

— Wydaje mi się, że na pewno jest szczery. Czy mówi po hebrajsku?

— Och, tylko tyle, by móc brać udział w nabożeństwach w synagodze. Wiesz... Taki sam z niego uczony człowiek jak z ciebie, Jack. Ma wielu przyjaciół podobnych do księcia Walii, nie daj się jednak zwieść pozorom. Nie jest takim lekkoduchem jak oni. Chodźmy do galerii...

— W synagodze... — Jack powtórzył grobowym głosem, idąc w ślad za Queenie. Wszedł do zatłoczonego pomieszczenia i niemal natychmiast dostrzegł tam — za plecami czterech mężczyzn w czarnych ubraniach — znajomą, rumianą twarz pani Williams. Dostojna matrona siedziała przy kominku i wyraźnie było jej za gorąco, wydawała się też chyba zbyt ciepło ubrana. U boku matki przycupnęła Cecylia; przez moment Aubrey nie widział miejsca dla tych obu kobiet w tym towarzystwie. Należały do innego świata, innego czasu i innej rzeczywistości.

Obok nich nie dostrzegł żadnego wolnego fotela, wszystkie krzesła w pobliżu były zajęte. Prowadząca go za rękę lady Keith szeptała coś dyskretnie o Sophie, mówiła jednak zbyt cicho i Jack nie mógł jej zrozumieć.

— A więc wrócił pan do Anglii, kapitanie Aubrey — powiedziała pani Williams na widok kłaniającego jej się Jacka. — No cóż... Daję słowo...

— A gdzie pozostałe pani dziewczęta? — zagadnęła lady Keith, rozglądając się dookoła.

— Musiałam zostawić je w domu, wasza wysokość. Frankie bardzo się przeziębiła, gorączkuje i jest teraz po opieką Sophie.

— Sophie nie wiedziała, że pan tutaj przyjdzie — wyszeptała Cecylia.

— Jack... — odezwała się lady Keith. — Wydaje mi się, że lord Melville chciałby z tobą porozmawiać... Wciąż spogląda w naszą stronę.

— Pierwszy lord? — zawołała pani Williams, unosząc się z fotela i wyciągając szyję. — Gdzie? Gdzie? Który?

— To ten dżentelmen z orderem — wyjaśniła lady Keith.

— Tylko słówko, kapitanie Aubrey — oświadczył lord Melville. — Muszę już iść... Czy może pan zamiast w przyszłym tygodniu przyjść do mnie już jutro? Chyba nie skomplikuje to zbytnio pańskich planów? Dobranoc, do zobaczenia... Lady Keith, dziękuję za zaproszenie. — Dowódca floty ucałował dłoń gospodyni. — Jestem pani uniżonym sługą... Do widzenia.

Jack z rozpromienioną twarzą odwrócił się w stronę pań, jego oczy płonęły, jakby wschodziło w nich słońce. W jakiś nie wyjaśniony sposób zdołał przejąć część dostojeństwa pierwszego lorda i właściwej bogaczom beztroski Canninga. Czuł, że jest teraz w stanie zapanować nad każdą sytuacją, pomimo wilków czyhających za drzwiami. Był zadziwiająco spokojny, sam nie mógł się nadziwić jak bardzo. Czy oprócz tej wszechogarniającej radości czuł coś jeszcze? Nie umiał odpowiedzieć na to pytonie. W ciągu ostatnich kilku dni tyle się wydarzyło — jego stary płaszcz wciąż pachniał prochem — nadal też następowały kolejne zdarzenia. Nie był w stanie objąć tego wszystkiego umysłem. Podobne sytuacje zdarzają się czasem podczas bitwy: następuje uderzenie, które równie dobrze może oznaczać śmiertelną ranę lub tylko niegroźne zadrapanie — często nie wiadomo tego od razu. Jack nie chciał tracić czasu na bezowocne rozmyślania i całą jego uwagę zajęła teraz pani Williams. Natychmiast dostrzegł, że tu w londyńskim salonie nie jest to ta sama dostojna i pewna siebie dama, którą pamiętał z Sussex, czy nawet z Bath. Siedziała speszona, w niemodnej sukni, i już na pierwszy rzut oka można było dostrzec, że przyjechała z prowincji. Podobnie wyglądała Cecylia. Jack musiał przyznać to w duchu; te niepotrzebne ozdoby i dziwacznie ułożone włosy... Pani Williams dokładnie zdawała sobie z tego sprawę, była zawstydzona, niepewna, czuła się bardzo nieswojo. Patrzyła na niego wręcz z szacunkiem, choć zapewne wystarczyłaby byle błahostka, by poczuła się urażona. Widziała, jak uprzejmy był lord Melville, prawdziwy dżentelmen, wspomniała więc, że czytała o ucieczce Jacka w gazecie. Jego powrót oznacza zapewne, że wszystko jest już w porządku. Jak jednak znalazł się w Indiach? Myślała, że udał się na kontynent, aby uniknąć... Na kontynent, nie aż do Indii!

— Tak właśnie było, droga pani. Razem z doktorem Maturinem wyjechaliśmy do Francji, mało brakowało, a wpadlibyśmy tam w łapy tego łajdaka Bonapartego.

— Wrócił pan jednak na statku Kompanii Wschodnioindyjskiej. Pisał o tym przecież „The Times"...

— Tak, ten statek po prostu zawinął po drodze do Gibraltaru.

— Ach, tak... Rozumiem. To wyjaśnia wszystko. O to mi właśnie chodziło. Nie lubię niejasności.

— Jak się czuje doktor Maturin? — zapytała Cecylia. — Tak chciałabym się z nim zobaczyć...

— Właśnie? Co z pańskim przyjacielem, doktorem? — zainteresowała się jej matka.

— Wszystko u niego w porządku. Przed chwilą mignął mi w sąsiednim pokoju, rozmawiał z naczelnym lekarzem floty. Stephen to naprawdę wspaniały człowiek. Opiekował się mną podczas

choroby, którą złapałem w górach. Podawał mi też dwa razy dziennie lekarstwa aż do chwili, gdy dotarliśmy do Gibraltaru. Bez tej kuracji nie wróciłbym do domu.

— Góry! Hiszpania! — pani Williams wykrzyknęła z niesmakiem.

— Nikt nigdy nie zmusi mnie, bym się tam wybrała. Zapewniam.

— Czy to znaczy, że przejechaliście panowie przez całą Hiszpanię? — dopytywała się Cecylia. — Tam musi być tak romantycznie... Starożytne ruiny, mnisi... prawda?

— Widzieliśmy po drodze trochę ruin i paru mnichów — powiedział z uśmiechem Jack. — Byli też i pustelnicy... Najbardziej jednak romantyczną rzeczą, jaką tam zobaczyłem, była gibraltarska skała u kresu naszej drogi. Przypomina uśpionego, groźnego lwa. Nie zapomnę też drzewa pomarańczowego w zamku Stephena.

— Zamek? W Hiszpanii! — zawołała Cecylia, klaszcząc w dłonie.

— Zamek! — oburzyła się pani Williams. — Nonsens. Kapitan Aubrey mówi o jakimś wiejskim domku, moja droga. Niektórzy ludzie gustują w takich wyszukanych, cudacznych określeniach.

— Ależ skąd, droga pani. To najprawdziwszy zamek, z basztami, strzelnicami i blankami. Jest tam wszystko, co trzeba. Naprawdę niespotykaną i dziwaczną rzeczą wydała mi się tylko wanna. Znajduje się tuż obok spiralnych schodów i ma naprawdę nietypowy kształt. Wykuto ją z olbrzymiego marmurowego bloku... Drzewo pomarańczowe, o którym wspomniałem, znajduje się na dziedzińcu otoczonym krużgankami. Na jednym pniu rosną równocześnie pomarańcze, mandarynki i cytryny! Na gałęziach widać obok siebie dojrzałe owoce, zielone owoce i kwiaty. A jaki piękny zapach... To naprawdę romantyczne miejsce; chyba właśnie o coś takiego chodziło pannie Cecylii! W czasie mojego pobytu nie było zbyt wiele pomarańczy, lecz za to codziennie mieliśmy świeże cytryny. Zjadłem ich chyba...

— Czy mam przez to rozumieć, że doktor Maturin jest właścicielem olbrzymiego majątku? — zawołała pani Williams.

— Oczywiście, droga pani. Posiada rozległe tereny w górach, tam, gdzie przekraczaliśmy granice. Ma też owce, merynosy...

— Merynosy! — powtórzyła pani Williams, kiwając głową. Wiedziała, że takie zwierzęta istnieją. Gdyby nie istniały, skąd brałaby się wełna z merynosów?

— Zamek leży jednak niżej, w okolicach Leridy. Tak przy okazji... Nie zapytałem o panią Villiers. To naprawdę niegrzeczne z mojej strony. Jak ona się miewa?

— Jest tutaj... — Pani Williams nie interesowała w tej chwili Diana. — Myślałam, że pański przyjaciel jest zwykłym okrętowym lekarzem...

— Naprawdę? Stephen to zamożny człowiek. Ma też uniwersyteckie wykształcenie. Jest bardzo poważany w...

— Jak to się więc stało, że został lekarzem na pańskim okręcie? — zacna dama zapytała poirytowana, wciąż nieufna i pełna podejrzeń.

— Czyż jest lepszy sposób na zobaczenie świata? Jako okrętowy medyk podróżuje sobie wygodnie, zażywa świeżego morskiego powietrza i na dodatek otrzymuje za to wynagrodzenie od króla! — Trudno

było wyobrazić sobie bardziej przekonujący argument. Pani Williams umilkła na dłuższą chwilę. Słyszała kiedyś o tym, że w Hiszpanii jest sporo zamków. Nie wiedziała jednak, czy posiadanie takiej budowli to dowód bogactwa. Chyba tak, skoro lord Melville był taki uprzejmy...

Na pewno tak...

— Może doktor Maturin odwiedzi nas kiedyś? Przyjdźcie do nas obaj, panowie — zaproponowała wreszcie. — Mieszkamy u mojej siostry Pratt, na George Street, pod jedenastką.

Jack podziękował za zaproszenie, niestety, sprawy służbowe pochłaniały tak wiele czasu... Był jednak pewien, że Stephen z przyjemnością odwiedzi panie. Poprosił też o przekazanie wyrazów uszanowania najstarszej pannie Williams i pannie Frances.

— Słyszał pan chyba o tym, że moja Sophie jest... — Dostojna dama chciała skłamać, zrezygnowała jednak z tego zamiaru i nie bardzo wiedziała teraz, jak sensownie dokończyć zdanie. — Moja Sophie jest... W każdym razie to jeszcze nic oficjalnego...

— Tam jest Diana — wyszeptała Cecylia, szturchając łokciem Jacka. Pani Villiers towarzyszyli dwaj wysocy mężczyźni; weszła wolno do galerii, ubrana w ciemnoniebieską suknię. Na szyi miała czarną aksamitną wstążkę, piękny dekolt lśnił bielą. Jack zapomniał, że Diana ma kruczoczarne włosy. Jej szyja przypominała alabastrową kolumnę, a oczy z oddali wydawały się dwoma czarnymi węglami. Tym razem nie musiał analizować swych uczuć. Jego serce, które stanęło na moment, gdy siadał na wolnym miejscu obok pani Williams, biło teraz na alarm. Umysł wypełniły tysiące erotycznych skojarzeń, a oczy wpatrywały się w Dianę. Wyglądała dostojnie i wspaniale. Najwyraźniej nie była jednak zadowolona. Odwróciła głowę od mężczyzny ze swej lewej strony, w charakterystyczny sposób unosząc podbródek. Jack wiedział aż nazbyt dobrze, co to oznacza.

— Ten dżentelmen, który jej towarzyszy, to pułkownik Colpoys. szwagier admirała Haddocka, z Indii. Diana mieszka u pułkownika na Bruton Street. W małym, ciasnym i niewygodnym domu...

— Jaki on przystojny — wyszeptała Cecylia.

— Kto? Pułkownik Colpoys? — oburzyła się pani Williams.

— Nie, mamo. Ten drugi, w niebieskim ubraniu.

— Och, nie, moja droga. — Matka dziewczyny ściszyła głos i mówiła, zasłaniając dłonią usta, wpatrzona w towarzyszącego Dianie Canninga. — To przecież Żyd...

— I dlatego nie jest przystojny, mamo?

— Oczywiście, moja droga. — Pani Williams wyjaśniła to tak, jakby rozmawiała z idiotką. — Powiedziałam ci już przecież. — Znów ściszyła głos. — To Żyd! — Przygryzła wargi i z satysfakcją pokiwała głową.

— Och... — Cecylia westchnęła rozczarowana. — Mogę tylko powiedzieć: Trudno... — mruknęła do siebie. — Chciałabym, by kręcili się koło mnie tacy przystojniacy. Ten przez cały dzisiejszy wieczór chodzi za Dianą. Mężczyźni zawsze za nią chodzą. O, jest jeszcze jeden...

Nowy adorator Diany był wojskowym, oficerem. Przeciskał się teraz pospiesznie przez tłum w jej kierunku, z kieliszkiem szampana. Trzymał smukły kieliszek w obu dłoniach, tak jakby chodziło o jakiś święty przedmiot. Zanim jednak zdołał wyminąć ostatnią przeszkodę — brzydką i grubą kobietę z wytrzeszczonymi oczami — pojawił się Stephen Maturin. Twarz pani Villiers zmieniła się natychmiast; w miejsce chłodnej obojętności pojawiła się szczera, niemal dziecięca radość. Diana podała Stephenowi obie ręce i zawołała:

— Och! Doktorze Maturin, tak się cieszę, że pana widzę! Witamy w kraju.

Żołnierz, Canning i Jack bardzo uważnie przyglądali się tej scenie, nie dostrzegli jednak nic, co mogłoby ich zaniepokoić. Delikatny, rumieniec na policzkach Diany, sięgający aż do uszu, wywołany był zapewne tylko jej szczerą i spontaniczną radością — Maturin był jak zwykle niezdrowo blady, wydawał się też trochę nieobecny myślami. W pewien sposób tłumaczyło to tak bezpośrednie zachowanie jego przyjaciółki. Wyglądał zresztą wyjątkowo pospolicie — zaniedbany, wymięty, w zniszczonym ubraniu.

Jack usiadł wygodniej w fotelu. Pomylił się, lecz ta pomyłka sprawiła mu prawdziwą przyjemność. Często się tak zdarzało. Szukał czegoś głębszego, lecz okazywało się, że nie było takiej potrzeby. Niebezpieczeństwo nie istniało.

— Nie słucha pan — skarciła go Cecylia. — Tak się pan przygląda temu dżentelmenowi w niebieskim ubraniu, że przestał pan zwracać na nas uwagę. Mama mówi, że oni zamierzają obejrzeć *Magdalenę*. Doktor Maturin pokazuje właśnie ręką w tamtym kierunku.,

— Tak? Ach, rzeczywiście. To chyba Guido, prawda?

— Nie, drogi panie — wyjaśniła pani Williams, która i na tym znała się lepiej niż wszyscy. — To stary olejny obraz, bardzo drogi, choć nie jest raczej we współczesnym stylu.

— Mamo, czy mogę przywitać się z doktorem Maturinem i pobyć z nimi? — zapytała Cecylia.

— Oczywiście, moja droga. Poproś też doktora, by przyszedł tutaj na chwilę. Nie, kapitanie Aubrey, proszę mnie nie zostawiać. Musi mi pan opowiedzieć o waszej podróży po Hiszpanii. Nic nie interesuje mnie tak bardzo jak podróże, zapewniam pana. Gdyby nie moje słabe zdrowie, zostałabym wielkim podróżnikiem, jak... jak...

— Święty Paweł?

— Nie, nie... Jak lady Mary Wortley Montagu. Proszę teraz opowiedzieć mi o posiadłości doktora

Maturina.

Jack nie był w stanie w pełni zaspokoić ciekawości swej rozmówczyni. Większą część czasu przeleżał przecież chory, czasem nawet majacząc, nie miał więc sposobności bliżej zainteresować się obowiązującymi w tamtych stronach umowami dzierżawnymi czy też rocznym dochodem — pani Williams westchnęła głośno — nie widział też niestety żadnych rachunków. Sama posiadłość była jednak naprawdę rozległa, tak się przynajmniej Jackowi zdawało, sięgała daleko w głąb Katalonii i Aragonii. Miała oczywiście i pewne minusy, jeśli można było tak powiedzieć — wszędzie aż roiło się od jeżozwierzy. Polowano na nie ze stadem specjalnie tresowanych psów — często nocą, przy świetle księżyca. Myśliwi używali specjalnych skórzanych parasoli, zabezpieczając się w ten sposób przed wyrzucanymi w górę kolcami..

— Ach, wy mężczyźni... Zawsze bardziej interesują was polowania niż grunty, liczby i rachunki. O, jest nasz kochany doktor!

Twarz Stephena rzadko zdradzała jakiekolwiek emocje, podobne powitanie sprawiło jednak, że otworzył bardzo szeroko oczy. Już jednak pierwsze pytanie wszystko mu wyjaśniło.

— Słyszałam, że ma pan marmurową wannę, czy to prawda? W ciepłym klimacie musi to być prawdziwa przyjemność.

— Oczywiście, droga pani. Moim zdaniem wykuli ją Wizygoci.

— Tak w Hiszpanii nazywa się kamieniarzy?

— Niekoniecznie. To zapewne część wizygockiego baptysterium, zniszczonego przez Maurów.

— I rzeczywiście jest pan właścicielem zamku?

— Och, to nic wielkiego... Utrzymuję w stanie używalności jedno skrzydło, tak bym mógł się tam zatrzymać od czasu do czasu.

— Zapewne przyjeżdża pan zapolować na jeżozwierze? Stephen ukłonił się nisko.

— I po pieniądze, droga pani. W Hiszpanii dzierżawcy też płacą za korzystanie z cudzej ziemi...

Jack znalazł Dianę koło bufetu, dokładnie tam, gdzie rozmawiał z Canningiem: Canning już jej nie towarzyszył, jego miejsce zajęło kolejnych dwóch oficerów. Nie podała Jackowi obu dłoni, tak jak przed chwilą Stephenowi — w jednej ręce trzymała bowiem kieliszek, a w drugiej kawałek ciasta. Powitała go jednak tak samo radośnie i szczerze jak doktora. Może nawet cieplej — zostawiła bowiem swoich adoratorów i odeszła na bok, by chwilę porozmawiać. Zasypała Jacka pytaniami.

— Tak nam pana brakowało w Mapes, kapitanie Aubrey... Bardzo mi pana brakowało... — powiedziała wreszcie. — Siedzimy tam jak na wygnaniu, same baby, i zaprawiamy agrest... Okropność. Widzę, że zbliża się ten okropny pan Dawkins. Chodźmy może lepiej obejrzeć *Magdalenę,* nowy obraz lady Keith. Jest tutaj. Co pan o tym myśli?

Magdalena nie wydawała się wcale osobą pełną skruchy. Stała na portowym nabrzeżu, a w tle widać było ciemnoniebieskie ruiny. Różne odcienie tego koloru zdominowały tu wszystko; szaty dziewczyny były błękitne, a morze granatowe. Obok Magdaleny, na szkarłatnym obrusie, leżała sterta naczyń: złote talerze, półmiski i puchary. Młoda kobieta była wyraźnie zadowolona z siebie, a jej rozwiana wiatrem suknia — od morza wiała świeża bryza, w sam raz na podwójnie zrefowane marsle — odsłaniała półprzeźroczystą, błękitną halkę, zgrabne uda i nieco zbyt pełne łono. Jack spędził wiele dni na morzu, bardzo więc zainteresował się tym ciekawym szczegółem. Zdołał jednak w końcu oderwać wzrok od ponętnych okrągłości i szybko obejrzał resztę malowidła, szukając czegoś, co mógłby dowcipnie skomentować. Bardzo chciał popisać się jakąś błyskotliwą uwagą, na próżno jednak wytężał szare komórki — dzisiejszy dzień przyniósł chyba zbyt wiele wrażeń. Jedyne, na co się zdobył, to bezsensowne: „Tyle tu niebieskiego..." W pewnym momencie zainteresował go jednak mały statek w lewym dolnym rogu obrazu, pinasa, z którą działo się coś ciekawego; żaglowiec wyraźnie zmierzał do portu, lecz kierunek, w jakim rozwiana była odzież kobiety, pozwalał przypuszczać, że tuż za przylądkiem wiatr natychmiast zepchnie pechową jednostkę na ląd.

— Gdy tylko złapią lądową bryzę, będą mieli spore kłopoty — Aubrey powiedział z przekonaniem. — Z tymi nieporęcznymi łacińskimi żaglami nie uda im się wykonać tam zwrotu przez sztag, nie mają też wystarczająco dużo miejsca do zwrotu przez rufę. Wylądują na zawietrznym brzegu... Biedacy, nie ma już chyba dla nich nadziei...

— Doktor Maturin powiedział, że dokładnie taki będzie pański komentarz — zawołała Diana, ściskając ramię Jacka. — Naprawdę dobrze pana zna, kapitanie!

— Cóż... Nie trzeba być Nostradamusem, żeby przewidzieć, co prawdziwy żeglarz powie na widok statku znajdującego się w poważnych opałach — wyjaśnił spokojnie Jack. — Oczywiście nie zmienia to faktu, ze Stephen jest niezłym spryciarzem... — dodał, czując, że odzyskuje dobry humor. — I oczywiście prawdziwy z niego koneser. Naprawdę zna się na malarstwie. W przeciwieństwie do mnie...

— Ja też nie jestem w tym mocna — powiedziała Diana, wpatrując się w obraz. — Ta niewiasta nieźle sobie radzi — dodała, chichocząc.

— Ma na pewno wielu adoratorów... Chodźmy, zobaczymy, czy uda nam się zdobyć trochę lodu. Jest tak gorąco...

Przeszli oboje przez galerię, zmierzając do wielkiego salonu.

— Popatrz, moja droga, jak wyzywająco Diana upięła swoje włosy — zauważyła pani Williams. — Za wszelką cenę chce zwrócić na siebie uwagę. Sophie powinna ją teraz widzieć; spaceruje sobie, dumna jak paw, w towarzystwie biednego kapitana Aubreya. Wyraźnie ściska jego ramię. To oburzające!

— Proszę mi powiedzieć — Diana zapytała Jacka —jakie ma pan teraz plany? Czy wrócił pan do kraju na stałe? Może znów zobaczymy pana w Sussex?

— Raczej w to wątpię. Czy widzi pani tego mężczyznę żegnającego się z lady Keith? Zna go pani,

rozmawialiście przed chwilą. To Canning.

— Tak?

— Zaproponował mi dowództwo na... na statku działającym na podstawie listu kaperskiego. To coś jak prywatny okręt wojenny. Fregata uzbrojona w trzydzieści dwa działa...

— Och! To wspaniale, kapitanie. Dowodzenie statkiem korsarskim to zajęcie w sam raz dla pana... Czy powiedziałam może coś złego?

— Nie... Dobry wieczór. To był admirał Bridges... Razi mnie tylko trochę słowo „korsarski". Stephen powtarza mi jednak stale, że nie można zbytnio przejmować się znaczeniem niektórych słów.

— Oczywiście, że tak. Cóż ono właściwie znaczy? Można to porównać ze służbą dla lokalnych książąt w Indiach: właściwie wcale nie traci się prestiżu, można za to szybko dorobić się fortuny. Taki statek idealnie by panu odpowiadał; sam decydowałby pan o wszystkim, bez chodzenia do Whitehall, bez admirałów, którzy wymyślają coraz to nowe uciążliwe zadania i czekają tylko na pieniądze z pryzów. To wprost wymarzona okazja dla kogoś takiego jak pan: ambitnego, przedsiębiorczego i odważnego. Samodzielne dowództwo! Fregata z trzydziestoma dwoma działami!

— To rzeczywiście bardzo interesująca propozycja. Jestem w rozterce...

— Do tego jeszcze współpraca z Canningiem! Przy nim można tylko się wzbogacić i zdobyć sławę. Mój kuzyn Jersey go zna. Canningowie to wręcz niewiarygodnie bogata rodzina. Młody Canning bardzo przypomina indyjskiego księcia, z tą tylko różnicą, że w przeciwieństwie do większości książąt jest uczciwy, szczery i odważny, — Twarz Diany zmieniła się nagle. Jack obejrzał się i tuż obok siebie zobaczył siwego mężczyznę.

— Moja droga — powiedział nieznajomy — Charlotte chce już wracać do domu. Przysłała mnie, abym ci o tym powiedział. Przed północą musimy wysadzić Charlesa koło Tower.

— Już idę — zawołała Diana.

— Ależ nie, nie spiesz się, proszę. Zdążysz jeszcze dokończyć rozmowę...

— Naprawdę? Czy mogę przedstawić? Kapitan Aubrey z Royal Navy, sąsiad admirała Haddocka, pułkownik Colpoys... Pułkownik był tak uprzejmy, że udzielił mi gościny.

Przez chwilę obaj panowie rozmawiali o niczym, potem pułkownik wyszedł na dwór po powóz — Kiedy się znowu zobaczymy ? Czy odwiedzi mnie pan jutro rano? Będę sama. Mógłby pan zabrać mnie do parku... i na zakupy.

— Diano — Jack ściszył głos. — Wydano nakaz sądowy. Nie mogę spacerować po Londynie.

— Nie może pan? Obawia się pan aresztowania? — Jack skinął głową. — Pan? Nie wierzę. Nie spodziewałam się tego po panu. Jak pan myśli, po co przedstawiłam pana pułkownikowi? Tylko po to, by mógł mnie pan odwiedzić.

— To nie wszystko. Jutro mam zgłosić się w Admiralicji.

— Taka szkoda — westchnęła Diana.

— Może przyjdę w niedzielę?

— Wykluczone. Nie zapraszam tak często mężczyzn w odwiedziny. Musi pan też dbać o swoje bezpieczeństwo. Tak... Nie może pan niepotrzebnie ryzykować. Zresztą... Nie będzie mnie już w Londynie.

— Powóz pana Wellsa, powóz sir Johna Bridgesa, powóz państwa Colpoys — zaanonsował lokaj.

— Majorze Lennox... — Diana zwróciła się do jednego ze swoich żołnierzy. — Czy mógłby pan przynieść mi płaszcz? Muszę jeszcze pożegnać się z lady Keith i ciotką — dodała, składając wachlarz i zdejmując rękawiczki.

Aubrey ruszył w ślad za małą procesją: pani Villiers, pułkownik, jego żona, tajemniczy Charles, major Lennox i Stephen Maturin. Stał teraz z odkrytą głową, na jaskrawo oświetlonym chodniku, a powozy zajeżdżały powoli. Diana nie odezwała się już więcej, posłała tylko w kierunku Jacka przelotne spojrzenie. Damy usiadły wreszcie wygodnie, zaprzęg odjechał, a Aubrey i Maturin wrócili do wnętrza budynku. Weszli po szerokich stopniach, z trudem torując sobie drogę w tłumie opuszczających przyjęcie gości. Po drodze wymienili tylko kilka zdawkowych i nieistotnych uwag, u szczytu schodów obaj wiedzieli już jednak doskonale, że ich wzajemne stosunki nie będą teraz tak harmonijne jak dotąd.

— Muszę się pożegnać z kilkoma osobami — oświadczył Stephen. — Pójdę potem do Stowarzyszenia Lekarzy. Na pewno zostaniesz tu trochę dłużej z przyjaciółmi? Błagam cię, wsiądź do dorożki zaraz po wyjściu na ulicę i jedź aż do samego domu. Proszę, oto wspólna sakiewka. Skoro już jutro rano masz się spotkać z pierwszym lordem, powinieneś być wypoczęty i odprężony. Nic tak nie uspokaja jak ciepłe mleko. Stoi w tym małym dzbanku... Musisz tylko je podgrzać.

Jack zagrzał mleko, dodał odrobinę rumu ze swej podręcznej buteleczki i wypił wszystko duszkiem. Pomimo szczerej wiary w skuteczność tego lekarstwa, nie odczuł pożądanego efektu. Mięśnie były wciąż napięte, a w głowie nadal kłębiły się niespokojne myśli. Zostawił więc Stephenowi kartkę z informacją, że zaraz wróci, nie zgasił też świecy. Wyszedł na dwór i ruszył w stronę wrzosowiska. Przez chmury przedostawało się akurat tyle księżycowego światła, że był w stanie pomimo mżawki wypatrzeć ścieżkę: pasmo jaśniejszej ziemi pomiędzy rozrzuconymi tu i tam drzewami. Maszerował energicznym, miarowym krokiem — spocił się, było mu zbyt gorąco w płaszczu. Zdjął go więc, zwinął i włożył pod pachę. Nie zatrzymując się, kroczył dziarsko dalej. Wspiął się na szczyt wzgórza, zeszedł do uśpionych stawów, po chwili znów wchodził pod górę. Prawie potknął się o roznamiętnioną parę. Musiało ich nieźle przycisnąć, skoro kochali się o tej porze roku na ziemi, w takim błocie. Jack skręcił teraz w prawo, zostawiając za plecami Londyn i bijącą w niebo łunę.

Po raz pierwszy w życiu nie odważył się podjąć rzuconego prosto w twarz wyzwania. Wciąż słyszał swoje słowa: „Wydano nakaz sądowy. Nie mogę spacerować po Londynie...” — choć rozsądne, brzmiały tak niedorzecznie, że zarumienił się w ciemności. Takie to żałosne... Jak ona mogła zażądać

od niego czegoś podobnego? Jak mogła chcieć aż tyle? Myślał teraz o niej z wyraźną niechęcią, wręcz z narastającą wrogością. Prawdziwy przyjaciel nie postępuje w taki sposób. Diana nie była przecież głupia, nie była niedoświadczonym, naiwnym podlotkiem. Doskonale wiedziała, jak bardzo musiałby zaryzykować.

Bardzo trudno było mu znieść jej pogardę. Wiedział, że gdyby sama znalazła się na jego miejscu, przyszłaby na pewno. Niezależnie od czyhających za każdym rogiem egzekutorów — był o tym absolutnie przekonany... Spotkanie w Admiralicji to z jego strony bardzo kiepska, wręcz żałosna wymówka. O tym również doskonale wiedział.

A co będzie, jeśli zaryzykuje i zjawi się rano w domu pułkownika na Bruton Street? Gdyby zdecydował się jednak przyjąć ofertę Canninga, rozmowa z pierwszym lordem nie będzie miała żadnego znaczenia. Jack nienawidził przecież Whitehall. Traktowano go tam zawsze gorzej niż kogokolwiek innego. Nie słyszał, by kimś pomiatano tak jak nim. Nie należało też chyba liczyć na to, że jutrzejsze spotkanie zmieni tu cokolwiek na lepsze. W najkorzystniejszym przypadku zaproponują mu jakiś niemożliwy do przyjęcia etat na lądzie — dzięki temu pierwszy lord uspokoi swe sumienie i będzie mógł powiedzieć: „Zaproponowałem mu zajęcie, lecz on uznał, że się do tego nie nadaje..." Ewentualnie w grę wchodził jakiś portowy hulk lub okręt-magazyn. W żadnym jednak przypadku Aubrey nie mógł mieć nadziei na awans i fregatę, a przecież tylko taka decyzja przełożonych oznaczałaby wyrównanie poniesionych krzywd. Tylko coś takiego pozwoliłoby mu stwierdzić, że nareszcie został doceniony, znalazł się na właściwym miejscu i jest w stanie w pełni wykorzystać swoje umiejętności. Był tym wszystkim coraz bardziej poirytowany. Coraz dokładniej przypominał sobie podły sposób, w jaki był dotąd traktowany: lekceważenie, ironia, bezsensowne wykręty. W tym czasie awansowano kilkunastu ludzi, którzy nie mogli się poszczycić nawet jedną dziesiątą jego zasług, zignorowano też jego rekomendacje — wspaniali podchorążowie zostali dosłownie wyrzuceni na brzeg.

Jakże inaczej wyglądałoby wszystko, gdyby to miejsce pierwszego lorda, sekretarza i Rady Admiralicji zajął Canning: dobrze wyposażony statek z pełną załogą, wolna ręka, wszystkie morza i oceany świata stojące otworem — Indie Zachodnie i perspektywy szybkiego zysku, kanał La Manche, cały obszar działania brytyjskiej floty. Jeśli Hiszpania przystąpi do wojny po stronie Francji (co było prawie pewne), w grę wejdą też tak dobrze znane Jackowi szlaki żeglugowe Morza Śródziemnego. Więcej nawet: mógłby zapuścić się daleko poza zasięg patrolowców i zwykłych statków korsarskich — Kanał Mozambicki, podejścia do Isle de France, Ocean Indyjski i dalej na wschód, aż do Wysp Korzennych i hiszpańskich Filipin. Można było również pożeglować na południe od równika, w okolice przylądka i dalej. Wracały przecież tamtędy z Indii francuskie i holenderskie statki. Na skrzydłach monsunu mógłby pomknąć aż do Manili — pomyślał o hiszpańskich galeonach wyładowanych złotem. Nie musiał zresztą mierzyć aż tak wysoko. Pierwszy zdobyty tam pryz spłaciłby na pewno wszystkie długi, a następny pozwoliłby mu znów stanąć na nogi. Dwa pryzy były prawie pewne — musiałby mieć naprawdę wyjątkowego pecha na tamtejszych dziewiczych przecież wodach...

Nagle w jego umyśle pojawiło się imię Sophie. Zakiełkowało niespodziewanie tam, gdzie tworzą się słowa. Od chwili wyjazdu do Francji ze wszystkich sił starał się o niej zapomnieć. Nie był teraz mężczyzną, którego mogłaby poślubić — Sophie znalazła się poza jego zasięgiem, tak samo daleko

jak admiralska flaga. Sophie na pewno nigdy nie zachowałaby się wobec niego w taki sposób, nie stawiałaby niemożliwych do spełnienia żądań. Jack spróbował wyobrazić sobie, jak wyglądałby dzisiejszy wieczór, gdyby ona tam była. Oczami duszy widział jej eleganckie, spokojne ruchy, tak różne od gwałtowności Diany, słodką łagodność, z jaką spoglądałaby na niego. Tak rozczulała go zawsze jej opiekuńczość... Jak zachowałby się, gdyby to Sophie siedziała obok swej matki? Czy skryłby się w jakimś kącie aż do chwili, w której udałoby mu się stamtąd uciec? Jak by właściwie postąpił?

— Boże — powiedział głośno, wstrząśnięty nową myślą. — Co bym zrobił, widząc je obie jednocześnie? — Przez chwilę rozważał taką ewentualność. Wyobraził sobie wpatrzone w niego, łagodne, pytające oczy Sophie: „Czy ten pętak to naprawdę kapitan Aubrey?..." Chciał się czym prędzej pozbyć tych myśli i skręcił nagle w lewo, potem jeszcze raz w lewo. Szedł szybko przez wrzosowisko i już po chwili wrócił na swą starą ścieżkę. Po jej obu stronach majaczyły jak zjawy białe pnie brzóz. Postanowił uporządkować jakoś to wszystko, znaleźć w swym umyśle i sercu właściwe miejsce dla każdej z nich, dla Sophie, i Diany. Nie udawało mu się jednak. Wszelkie porównania wydawały się przecież tak niedorzeczne i nie na miejscu — nie potrafiłby postawić tych dwu kobiet obok siebie, nie był w stanie ich oceniać... Stephen wiele razy zarzucał mu, że ma w głowie zamęt, że nie potrafi doprowadzić swego rozumowania do logicznej konkluzji — „Masz wszystkie narodowe wady Anglików, mój drogi, łącznie z poplątaniem myśli, sentymentalizmem i hipokryzją". Nonsensem wydawało się tu jednak jakiekolwiek logiczne rozumowanie. W tym konkretnym przypadku prawa logiki nie miały absolutnie żadnego zastosowania. Nie warto było myśleć rozsądnie: w tych sprawach logika prowadzi tylko do wyrachowanego, świadomego uwodzenia i małżeństwa z rozsądku.

Zupełnie inną rzeczą było teraz jednak ustalenie zasad dalszego postępowania. Nie próbował tego jeszcze, nie był też na pewno w stanie dokładnie określić swoich uczuć. Był bardzo nieufny wobec wszelkich tego typu działań. Tym razem wydawało się to jednak wyjątkowo ważne...

— Pieniądze albo życie — ktoś zawołał bardzo blisko.

— Co takiego? Co pan powiedział?

Zza drzewa wyszedł mężczyzna z lśniącą od deszczu pałką.

— Powiedziałem: „Pieniądze albo życie" — napastnik wyjaśnił i zakaszlał.

Dokładnie w tej chwili Jack rzucił mu w twarz swój płaszcz. Błyskawicznym ruchem chwycił ogłupiałego rozbójnika za koszulę, potrząsnął nim wściekle i podniósł wysoko. Płótno nie wytrzymało ciężaru, pękając z trzaskiem, nieznajomy spadł na ziemię — stał teraz na chwiejnych nogach, z trudem łapiąc równowagę i rozpaczliwie wymachiwał rękami. Jack uderzył mocno lewym sierpowym, trafiając nieszczęśnika w ucho i kopnięciem odrzucił w bok nogi upadającego.

Szybko podniósł pałkę i stanął nad swym przeciwnikiem. Zdyszany, raz za razem potrząsał lewą dłonią — miał rozbite knykcie — ten cios okazał się bardzo nieprzyjemny, jak uderzenie w pień drzewa. Było już po wszystkim, Jack czuł teraz przede wszystkim wstręt i oburzenie.

— Ty cholerny psie... — powiedział, czekając, aż tamten się poruszy. Leżący na ziemi człowiek nie dawał jednak znaku życia i Jack poruszył ostrożnie nogą bezwładne ciało. Napięcie minęło, nie był już tak zdenerwowany. — Dalej, szanowny panie. Proszę wstać. Ruszaj się pan... Po całej serii podobnych, wypowiedzianych dość głośno rozkazów, Aubrey chwycił nieznajomego za ramiona i uniósł do pozycji siedzącej. Głowa rozbójnika opadła bezwładnie, skóra była wilgotna i zimna, Jack nie był w stanie wyczuć tętna ani oddechu. Tak jakby dotykał zwłok. — Niech go trafi szlag — mruknął do siebie. — Przeklęty samobójca. Po co szukał guza?

Padało coraz bardziej i Aubrey przypomniał sobie o swoim płaszczu. Znalazł palto, zarzucił je na ramiona, potem znów stanął nad ciałem. Pechowy rozbójnik wyglądał raczej żałośnie; ważył najwyżej jakieś sto funtów i trudno było wyobrazić sobie mniej kompetentnego bandytę. Niewiele przecież brakowało, a domagając się pieniędzy, dodałby na końcu zdania „jeśli pan pozwoli...” Najwyraźniej nie miał też wcale zamiaru zaatakować. Czy był martwy? Nie. Jedna dłoń poruszyła się nieporadnie.

Jack zadrżał z zimna. Zdążył już ostygnąć po męczącym spacerze i emocjach krótkiej walki, owinął się więc mocniej płaszczem — było coraz chłodniej, wyraźnie zanosiło się na poranny przymrozek. Znów spróbował ocucić leżącego. Bez rezultatu. Nie pomagało potrząsanie i uderzanie w policzki otwartą dłonią.

— Co za bezsens — Jack jęknął znudzony. Na morzu nie byłoby najmniejszego problemu, tu na lądzie wszystko wyglądało jednak inaczej, inaczej pojmował tutaj ład i porządek. Po chwili namysłu owinął bezwładne ciało w swój płaszcz (nie uczynił tego z litości; nie chciał po prostu pobrudzić swego ubrania błotem, krwią lub może jeszcze czymś gorszym), zarzucił je sobie na plecy i ruszył w drogę.

Przez pierwsze sto i dwieście jardów nie czuł prawie stufuntowego ciężaru, wkrótce jednak zapach rozgrzewającego się pakunku stał się wręcz nie do zniesienia. Jack ucieszył się więc, widząc, że jest już bardzo blisko miejsca, w którym wszedł na wrzosowisko, niedaleko oświetlonego okna domu, który zajmowali razem z Maturinem.

„Stephen szybko postawi na nogi tego delikwenta" — pomyślał). Doktor był przecież w stanie ożywić nawet umarłego, jeśli tylko chciał. Jack widział to kilka razy na własne oczy.

Nikt nie odpowiedział jednak na głośne wołanie. Świeca wypaliła się już prawie zupełnie, knot skwierczał nie obcinany, ogień na kominku wygasł prawie. Kartka dla Stephena wciąż stała oparta o dzbanek z mlekiem. Aubrey położył owiniętego płaszczem człowieka na podłodze, wziął ze stołu świecę i obejrzał twarz nieznajomego: szara, wymizerowana, oczy półprzymknięte, podkrążone, kilkudniowy zarost. z jednej strony sporo krwi. Blady, wychudzony słabeusz, tak na oko do niczego. „Zostawię go, Stephen zajmie się nim, jak przyjdzie" — pomyślał. „Ciekawe, czy zostały jeszcze parówki?"

Mijały godziny, odmierzane tykaniem zegara. Co kwadrans odzywał się kurant z kościelnej wieży. Jack co jakiś czas leniwie poprawiał ogień — siedział przy kominku wpatrzony w płomienie. Nareszcie był odprężony, pogodny i nawet w pewien sposób szczęśliwy.

Maturin pojawił się o brzasku. Stanął jak wryty w progu — przez dłuższą chwilę przyglądał się

uważnie śpiącemu Jackowi i przerażonym oczom przywiązanego do krzesła rozbójnika.

— Dzień dobry panu — powiedział wreszcie.

— Dzień dobry. Och, jeśli pan pozwoli...

— O, Stephen, jesteś — zawołał Jack. — Martwiłem się o ciebie.

— Naprawdę? — zapytał doktor, kładąc na stole główkę kapusty i wyjmując z kieszeni jajko. Położył je ostrożnie na oderwanym liściu. — Przyniosłem ci befsztyk, żebyś posilił się trochę przed dzisiejszą rozmową, mam też to, co w tych stronach nazywają chlebem. Radzę ci zdjąć ubranie i wziąć kąpiel. Trzeba zagrzać wody w dużym kotle. Powinieneś potem położyć się przynajmniej na godzinę do łóżka. Ogolony, wykąpany, po steku i mocnej kawie — będziesz innym człowiekiem. Radzę ci, posłuchaj mnie. Na twoim kołnierzu widzę piękną wesz... *pediculus vestimenti*. Najwyraźniej chce przeistoczyć się w *pediculus capitis*... Jeśli widzimy jedną, możemy zwykle zakładać, że ma ona sporo ukrytych towarzyszek.

— A niech to... — zawołał Jack, nerwowo zdejmując kurtkę. — To skutek zajmowania się tym zawszawionym łapserdakiem. Niech pana szlag trafi, sir.

— Przepraszam. Z całego serca przepraszam. Jest mi naprawdę bardzo przykro — powiedział rozbójnik, zwieszając głowę.

— Myślę, że powinieneś zbadać tego człowieka — wyjaśnił Jack. — Uderzyłem go w głowę. Pójdę nastawić kocioł, a potem trochę się zdrzemnę. Obudzisz mnie, Stephen?

— Nieźle panu przyłożył — powiedział Stephen, przemywając i sondując ranę. — Naprawdę nieźle. Czy to boli?

— Nie bardziej niż reszta, sir. To bardzo łaskawe z pańskiej strony, że zechciał pan się mną zająć... jednak... Och, czy mógłbym pana prosić o rozwiązanie mi rąk? Zupełnie mi zdrętwiały.

— Chyba tak... — odpowiedział Maturin. Przeciął więzy kuchennym nożem. — Jest pan dziwnie pokiereszowany. Co to za ślady? Wyglądają na starsze niż z wczorajszej nocy.

— Och, to tylko zwykłe siniaki. Podskórne wylewy krwi... tak pewnie pan to nazywa. W zeszłym tygodniu próbowałem w okolicach Highgate odebrać pewnemu mężczyźnie sakiewkę. Był właśnie z prostytutką i myślałem, że da mi to pewną przewagę... Pobił mnie jednak bardzo okrutnie i wrzucił do stawu.

— Wydaje mi się, że nie ma pan specjalnych uzdolnień do odbierania ludziom pieniędzy. Pańska dieta też na pewno temu nie służy.

— To właśnie moja dieta, a raczej jej brak. zaprowadziła mnie na to wrzosowisko. Od pięciu dni nic nie jadłem.

— Czy poszczęściło się panu kiedykolwiek? — zapytał Stephen, rozbijając jajko. Wlał zawartość do mleka, ubił z cukrem oraz resztką rumu, wziął łyżkę i zaczął karmić nią poobijanego rozbójnika.

— Nigdy, sir. Och, nie wiem, jak panu dziękować. To nektar... Nigdy mi się nie udało. Moja najcenniejsza zdobycz to kawałek puddingu odebrany pewnemu chłopcu na Flask Lane. Naprawdę nektar... Gdyby ktoś postraszył mnie w ciemnościach pałką i zażądał mojej sakiewki, oddałbym mu wszystko bez wahania. Moje niedoszłe ofiary nie okazywały się jednak aż tak uległe. Wiele razy mnie pobito, czasem napadnięty przeze mnie człowiek oświadczał, że nie ma sakiewki lub po prostu spokojnie szedł sobie dalej, zupełnie nie zważając na moje wołanie. Niektórzy nawet zaczynali mi ubliżać. Dlaczego nie pracuję? Jak mi nie wstyd? Tak... Może mam nieodpowiedni wygląd, może nie jestem wystarczająco groźny... Powinienem chyba kupić sobie pistolet. .. Czy mogę być tak zuchwały i poprosić o kawałek chleba? Malutki kawałeczek chleba? Kiszki mi marsza grają...

— Proszę tylko gryźć dokładnie. Co pan odpowiadał wymyślającym panu ludziom?

— O pracy? Cóż, bardzo byłbym szczęśliwy, mogąc znaleźć jakieś uczciwe zajęcie, sir. Jestem gotów robić cokolwiek. Zawsze byłem bardzo zaradny. Czy mogę prosić o jeszcze jedną kromkę? Powinienem tutaj dodać, że to właśnie wykonywana przeze mnie praca stała się przyczyną obecnych moich kłopotów.

— Naprawdę?

— Czy mam panu opowiedzieć o wszystkim?

— Chyba tak, w skrócie, jeśli pan pozwoli.

— Mieszkałem na Holywell Street, sir. Byłem literatem. Jednym z tych ludzi bez konkretnego zawodu bądź powołania, wykształconych jednak na tyle, by kupić pióra i ryzę papieru. Zaskakujący jest fakt, że bardzo wielu z nas to podrzutki... Mój ojciec podobno był sędzią... Może to i prawda. Ktoś posłał mnie na jakiś czas do pewnej szkoły koło Slough. Tylko nieliczni z nas czymś się wyróżniali. Ja na przykład miałem chyba talent do poezji, zajmowałem się jednak bardziej przyziemnymi sprawami, takimi z niższych partii Helikonu... Wie pan na pewno, jakie dzieła piszą autorzy tej klasy: *Uniwersalny podręcznik szczurołapa, Nieszczęśliwe narodziny, podłe życie i żałosna śmierć apostoła Judasza Iszkariota.* No i oczywiście pamflety: *Myśli o obecnym kryzysie* czy też *Nowy sposób spłaty długu narodowego.* Ja akurat zajmowałem się tłumaczeniami...

— Z jakiego języka?

— Och, ze wszystkich języków, sir. Jeśli było to coś orientalnego lub klasycznego, na pewno przetłumaczył to już przede mną jakiś Francuz. W przypadku włoskiego i hiszpańskiego udawało mi się zwykle odgadnąć, o co chodzi. Podobnie z holenderskim... Przełożyłem z powodzeniem *Eleganckie rozrywki* Fleischhackera i *Najkrótszą drogę do nieba* Strumpffa. W sumie całkiem dobrze mi się wiodło. Rzadko chodziłem głodny lub nie miałem dachu nad głową; byłem pracowity, punktualny i —jak powiedziałem — zaradny. Nie zaglądałem do kieliszka, zawsze dotrzymywałem umówionego terminu, drukarze bez trudu czytali moje pismo, szybko i bez ociągania się przeprowadzałem autorską korektę. Pewnego razu wezwał mnie wydawca, pan... Wolałbym nie

wymieniać nazwisk... Powiedzmy pan G. i zaproponował, bym przełożył *Morza Południowe* Boursicota. Bardzo ucieszyłem się z tej oferty, gdyż rynek był już wyraźnie nasycony i od miesiąca żyłem z pieniędzy zarobionych za *Bezstronne rozważania o druidach.* To taki niewielki artykuł dla kobiecego pisma „Ladies' Repository"; nieszczęśni druidzi zapewnili mi więc tylko chleb i mleko. Tym jednak razem zaproponowano mi pół gwinei za arkusz. Nie ośmieliłem się zażądać więcej, choć druk był bardzo drobny. Wszystkie przypisy wykonano mikroskopijną czcionką.

— Jaki dawało to panu tygodniowy zarobek?

— Cóż, sir, pracując ciężko, przez dwanaście godzin dziennie i biorąc pod uwagę fakt, że w każdej książce są zarówno łatwiejsze, jak i trudniejsze fragmenty, byłem w stanie zarobić przez tydzień aż dwadzieścia pięć szylingów! Wydawało mi się, że to naprawdę wspaniała okazja. Obok Abbe Prevosta właśnie ów Boursicot jest autorem najdłuższego znanego mi, wydanego po francusku zbioru opowieści podróżniczych. Nigdy przedtem nie podjąłem się przekładu tak obszernego dzieła. Wydawało mi się, że na długie miesiące zapewniłem sobie utrzymanie. Stałem się w pełni wypłacalny, przeniosłem się więc niżej, do eleganckiego, jasnego pokoju — chciałem mieć więcej światła. Kupiłem trochę mebli i kilka książek, które mogły okazać się potrzebne. Niektóre to bardzo drogie słowniki...

— Czy potrzebny był panu słownik francusko-angielski?

— Nie, sir. Miałem już całkiem przyzwoite wydanie. Postarałem się o słownik morski Blanckleya, a także o dzieła takich autorów, jak: Du Hamet, Aubin i Saverien. Chciałem zrozumieć skomplikowane terminy dotyczące manewrów i katastrof, wolałem też wiedzieć, co dokładnie działo się z podróżnikami, bohaterami książki. Moim zdaniem to bardzo ułatwia tłumaczenie. Przeważnie dokładniej można rozumieć tekst. Ja przynajmniej zawsze byłem tego zdania... Pracowałem więc w moim pięknym pokoju, odrzuciłem też w tym czasie dwie lub trzy propozycje innych wydawców. Dwa razy w tygodniu pozwalałem sobie nawet na obiad w taniej jadłodajni. Trwało to aż do dnia, w którym pan G. przysłał do mnie gońca, by mi przekazać, że przemyślał dokładniej moją propozycję wydania przekładu dzieła Boursicota. Współwłaściciele firmy uznali, że koszt całego przedsięwzięcia będzie zbyt wysoki, a w obecnej chwili na rynku nie ma zapotrzebowania na podobną książkę.

— Czy miał pan oficjalny kontrakt?

— Nie, sir. Wydawcy nazywają podobny układ dżentelmeńską umową.

— Nie było więc żadnej nadziei?

— Niestety, sir. Próbowałem oczywiście dochodzić swoich praw, lecz najzwyczajniej w świecie zostałem wyrzucony za drzwi. Nieuczciwy zleceniodawca, oburzony mym zachowaniem, zaczął rozgłaszać w środowisku, że stałem się grymaśny. Żaden wydawca nie zniesie czegoś podobnego u pismaka. Ten łajdak doprowadził nawet do opublikowania w „Literary Reviev" bardzo krytycznej recenzji jednego z moich nieszkodliwych tłumaczeń. Nie zdołałem znaleźć kolejnego zajęcia, moje rzeczy zostały skonfiskowane, a wierzyciele na pewno wsadziliby mnie do więzienia, gdybym nie był tak wprawiony w najprzeróżniejszych unikach.

— Jest pan więc obeznany z wszelkimi sprawami dotyczącymi wierzycieli, komorników i aresztowania za długi? Zna pan dobrze obowiązujące prawo?

— Niewiele rzeczy wiem lepiej, sir. Urodziłem się w więzieniu dla dłużników, wiele lat spędziłem we Fleet i Marshalsea. Moje *Uwagi o rolnictwie* oraz *Plan wykształcenia młodych arystokratów i ziemian* napisałem za kratami w King's Bench.

— Niech więc będzie pan tak uprzejmy i przedstawi mi w skrócie obecnie obowiązujące w tej kwestii przepisy...

— Jack! — zawołał Stephen. — Wstawaj na wachtę!

— Co takiego? Jak? — Aubrey, jak wszyscy ludzie morza, potrafił natychmiast zasnąć, korzystając z każdej chwili wypoczynku, a obudzony przytomniał od razu. Teraz jednak był bardzo daleko, na pokładzie uzbrojonego w siedemdziesiąt cztery działa okrętu, żeglującego po fosforyzującym, ciepłym jak mleko morzu niedaleko Przylądka Dobrej Nadziei. Usiadł ogłupiały na brzegu łóżka, przytomniejąc powoli. Lord Melville, Queenie, Canning, Diana. Nareszcie wszystko wróciło na swoje miejsce.

— Co zamierzasz zrobić ze swoim pryzem? — zagadnął Maturin.

— Z czym? Ach, z nim? Chyba powinniśmy go oddać konstablowi.

— Powieszą go.

— Oczywiście. W tym cały problem. Nie można dopuścić do tego, by taki rzezimieszek odbierał ludziom sakiewki, z drugiej jednak strony szkoda byłoby, gdyby miał za to zapłacić głową. Może po prostu zostanie zesłany?

— Dam ci za niego dwanaście szylingów i sześć pensów.

— Chcesz od razu go pokroić? — Stephen często kupował ciała skazańców, jeszcze ciepłe, wprost z szubienicy. — Naprawdę masz przy sobie tyle pieniędzy? Nie... Nic nie chcę od ciebie. Możesz go sobie zatrzymać jako prezent ode mnie. Daję ci go na własność. Czuję kawę i grzanki!

Jack siedział przy stole, jadł stek i wytężając wzrok, patrzył gdzieś daleko swymi szeroko otwartymi błękitnymi oczami. Widać było, że jest skupiony i zamyślony; próbował po prostu spojrzeć w przyszłość. Nie udało mu się to jednak i po dłuższej chwili zorientował się, że bardzo uważnie obserwuje schwytanego wczoraj człowieka. Nieszczęśnik wciąż siedział na krześle, przerażony i milczący, co jakiś czas drapiąc się dyskretnie bądź próbując łapać pchły. Jeden z takich gwałtownych ruchów zirytował Jacka.

— Co to ma znaczyć? — Aubrey zawołał donośnym, władczym głosem, na dźwięk którego ręka nieznajomego znieruchomiała i serce skoczyło mu do gardła. — Co to jest? Lepiej zjedz pan to i weź się pan za siebie jak należy. — Jack odciął tłusty kawałek mięsa. — Oddałem pana doktorowi i musi pan teraz wypełniać jego rozkazy, w przeciwnym razie znajdzie się pan w beczce i poleci za burtę. Zrozumiano?

— Tak, sir.

— Muszę już iść, Stephen. Spotkamy się po południu?

— Nie wiem jeszcze dokładnie, co będę dzisiaj robił. Zajrzę może na Seething Lane, choć nie mam tam chyba czego szukać aż do przyszłego tygodnia.

Aubrey przebiegł przez dziedziniec Admiralicji i na moment zatrzymał się w poczekalni, w której przebywało dzisiaj może sześć osób. Poplotkował przez chwilę, nic jednak z tego nie zapamiętując — podobnie jak jego rozmówcy myślał teraz o czymś zupełnie innym. Ruszył na górę schodami prowadzącymi do gabinetu pierwszego lorda, mijając po drodze grubego oficera, opartego o poręcz i szlochającego cicho. Policzki łkającego mężczyzny lśniły od łez. Z podestu patrzył na to w milczeniu pełniący wartę żołnierz piechoty morskiej, a zdumieni portierzy stali u stóp schodów z zadartymi w górę głowami.

Lord Melville był wyraźnie bardzo poruszony ostatnią rozmową. Przez chwilę próbował zebrać myśli i zająć się bieżącymi sprawami. Poirytowany szukał czegoś w papierach leżących na biurku.

— Miałem właśnie okazję być świadkiem sceny, która dowiodła, iż pewien oficer utracił resztki godności — powiedział wreszcie. — Ten człowiek naprawdę bardzo wiele stracił w moich oczach. Wiem, że pan ceni sobie hart ducha, kapitanie Aubrey. Nie przerażają pana chyba złe wiadomości?

— Mam nadzieję, wasza lordowska wysokość.

— Muszę bowiem niestety panu powiedzieć, iż nie mogę awansować pana na stopień kapitana, nawet jeśli weźmie się pod uwagę zwycięstwo nad „Cacafuego". Obowiązuje w tym przypadku decyzja mojego poprzednika. Nie mogę jej zmienić, gdyż nie chcę stwarzać niepotrzebnego precedensu. W związku z tym nie wchodzi też w pańskim przypadku w grę żaden większy okręt. Jeśli zaś chodzi o slup dla pana, to powinien pan wiedzieć, iż we flocie jest ich obecnie tylko osiemdziesiąt dziewięć, podczas gdy lista dowódców liczy ponad czterysta nazwisk. — Melville poczekał, aż do Jacka dotrze w pełni sens tych słów. Aubrey znał te cyfry, nie były więc one dla niego niczym nowym. Wiedział też, że jego rozmówca nie jest tak do końca szczery, gdyż w budowie znajdowały się obecnie trzydzieści cztery takie jednostki, a około tuzina pełniło służbę portową i pomocniczą. Owe dane, powtórzone głośno, miały jednak druzgoczący efekt. — Jednakże — pierwszy lord mówił dalej — poprzednia administracja zostawiła nam również projekt pewnej eksperymentalnej jednostki, którą z pewnych względów skłonny jestem zaklasyfikować jako slup, choć jest ona uzbrojona aż w dwadzieścia cztery trzydziestodwufuntowe karonady. Jej zadaniem było przenoszenie pewnej szczególnej, tajnej broni, z której jednak zrezygnowaliśmy po przeprowadzeniu prób. W chwili obecnej ów slup został adaptowany do normalnych zadań. Otrzymał nazwę „Polychrest". Czy chce pan zobaczyć rysunki?

— Bardzo, wasza wysokość.

— To ciekawy eksperyment — wyjaśnił lord Melville, otwierając teczkę. — Zakładano, że ta jednostka będzie mogła żeglować pod prąd i pod wiatr. Jej konstruktor, pan Eldon, był bardzo

pomysłowym człowiekiem. Wydał fortunę na sporządzenie planów konstrukcyjnych i modeli.

Rzeczywiście bardzo interesujący eksperyment. Jack słyszał o tym. Ta jednostka znana była też jako „Carpenter's Mistake" — „Ciesielska Pomyłka". Nikt nie przypuszczał, że kiedykolwiek zostanie zwodowana. Jak przetrwała reformy St Vincenta? Na skutek jakiej niepojętej gry interesów i wpływów znalazła się na morzu? Dlaczego w ogóle podjęto jej budowę? Miała identyczny dziób i rufę, dwie grotmarsreje, podwójne dno, kadłub bez ładowni, przesuwne stępki oraz stery. Z rysunków wynikało, iż jej wykonanie zostało zlecone prywatnej stoczni Hickmana w Portsmouth, nie szczycącej się najlepszą reputacją.

— To prawda, że ten okręt z początku miał służyć do przenoszenia konkretnej broni. Prace nad nim były już jednak bardzo zaawansowane i przerwanie budowy byłoby nieuzasadnionym marnotrawstwem. Po wprowadzeniu zmian, które zostały tu naniesione zielonym atramentem, rada uznała, iż może on wejść do służby na wodach terytorialnych. Jego konstrukcja nie pozwala co prawda na zabranie zapasów wystarczających na dłuższy rejs, lecz jednostki o podobnym tonażu są zawsze potrzebne na kanale. Postanowiłem więc, że „Polychrest" wejdzie w skład eskadry admirała Harte'a, stacjonującej w Downs. Pewne powody, których nie chcę teraz wyjaśniać, zmuszają nas do pośpiechu. Kapitan okrętu powinien natychmiast wyruszyć do Portsmouth, aby dopilnować jak najszybszego zakończenia prac wyposażeniowych. Po oficjalnym przekazaniu jednostki marynarce wojennej natychmiast wypłynie w morze. Bez chwili zwłoki. Czy chce pan objąć to dowództwo, kapitanie Aubrey?

„Polychrest" to żaglowiec opracowany przez teoretyka, który nigdy nie miał do czynienia z morzem, na dodatek zbudowany przez bandę partaczy i nierobów. Jack miałby też teraz służyć pod rozkazami człowieka, któremu uwiódł kiedyś żonę i który z pewnością byłby szczęśliwy, mogąc odpłacić mu pięknym za nadobne. Należało też przypuszczać, że Canning nie powtórzy już nigdy więcej swojej oferty. Lord Melville nie był głupcem. Doskonale zdawał sobie sprawę z większości tych rzeczy. Czekał na odpowiedź Jacka z pochyloną głową, przypatrując się mu uważnie i stukając palcami o blat stołu. Trudno było nazwać to wszystko uczciwą grą: odmówiono już przecież przyjęcia tego okrętu. Pomimo manewru z zaklasyfikowaniem „Polychrest" jako slupa i tak niełatwo będzie wyjaśnić lady Keith powody takiej akurat propozycji. Pomimo wielu lat spędzonych za urzędniczym biurkiem, pierwszy lord sam miał przecież wyrzuty sumienia w związku z tą sprawą.

— Wasza wysokość, jestem bardzo zaszczycony.

— Bardzo dobrze. Niech więc tak będzie. Nie, proszę mi nie dziękować — powiedział Melville, unosząc dłoń i spojrzał Jackowi prosto w oczy. — To naprawdę nie jest nic szczególnego. Chciałbym móc uczynić dla pana coś więcej. Będzie pan jednak dysponował potężniejszą salwą burtową niż niejedna fregata. Jeśli nadarzy się sposobność, na pewno odznaczy się pan chwalebnie w boju i Rada Admiralicji przy pierwszej sposobności awansuje pana na stopień kapitana. Jestem o tym przekonany. Jeśli zaś chodzi o oficerów i załogę, będę szczęśliwy, mogąc w miarę możliwości zrealizować pańskie żądania. Ma pan już pierwszego porucznika. To pan Parker, rekomendowany przez księcia Clarence'a.

— Byłbym szczęśliwy, mogąc mieć na pokładzie mojego lekarza i pana Thomasa Pullingsa, oficera nawigacyjnego „Sophie". To obiecujący młody człowiek: w tysiąc osiemset pierwszym roku zdał

egzamin na porucznika...

— Chciałby pan, by został awansowany?

— Jeśli pan pozwoli, wasza wysokość... — Była to bardzo odważna prośba i Jack ryzykował, iż straci w ten sposób resztę okazywanych mu względów. Oceniając jednak dotychczasowy przebieg spotkania, uznał, że może sobie na coś takiego pozwolić.

— Bardzo dobrze, co jeszcze?

— Czy mógłbym również prosić o dwóch podchorążych?

— Dwóch? Tak... Wydaje mi się, że nie będzie z tym problemu. Wspomniał pan o swoim lekarzu. Kto to taki?

— Doktor Maturin.

— Maturin? — zapytał lord Melville, podnosząc wzrok.

— Tak, wasza wysokość, zapewne widział go pan na przyjęciu u lady Keith. To mój oddany przyjaciel.

— Tak... — Pierwszy lord spojrzał na trzymaną w ręku kartkę. — Będę o nim pamiętał. Tak. Na pewno. Sir Evan wyśle do pana posłańca z rozkazami. A może woli pan poczekać, aż zostaną one napisane?

O kilkaset jardów od budynku Admiralicji, w St James's Park, doktor Maturin spacerował w towarzystwie panny Williams po żwirowanych alejkach nad brzegiem stawu.

— Nigdy nie przestanę się dziwić — powiedział Stephen — widząc tutaj te kaczki. Te zwykłe, domowe, to żadna atrakcja, jadamy je przecież co jakiś czas, podobnie jak półoswojone krzyżówki. Co innego jednak cyraneczki, cyranki, podgorzałki i wszystkie inne... Czołgałem się kiedyś w marznącym błocie tylko po to, by z odległości około dwustu jardów ujrzeć, jak odlatują, zanim zdążyłem skierować w ich stronę lunetę. A tu proszę, pływają sobie po stawie w samym sercu hałaśliwego, nowoczesnego miasta. Niczym się nie przejmują, jedzą rzucany do wody chleb. Nie zostały schwytane, nikt ich tutaj nie przywiózł, przyleciały same. Jestem naprawdę zdumiony.

Sophie spojrzała zaciekawiona na ptaki i przyznała, że ją również bardzo to zastanawia.

— Biedne te kaczki — dodała. — Mimo wszystko wydają się niezadowolone, A więc to jest siedziba Admiralicji?

— Tak. Wydaje mi się, że Jack poznał już swój los. Powinien być za jednym z tych wysokich okien z lewej strony.

— To bardzo monumentalna budowla — zauważyła dziewczyna. — Może podejdziemy trochę bliżej? Chciałabym ją obejrzeć dokładniej... Diana mówiła mi, że Jack bardzo schudł i raczej nie

wygląda dobrze. „Skurczył się" — powiedziała.

— Chyba trochę się postarzał — zgodził się Stephen. — Nadal jednak je za sześciu i choć nie mogę nazwać go grubasem, wciąż ma nadwagę. Moim zdaniem dobrze by było, gdyby i pani odrobinkę przytyła... — Sophie rzeczywiście bardzo wyszczuplała. Wyglądała teraz znacznie lepiej, gdyż dzięki temu nie wydawała się już dużym dzieckiem. Miała też bardziej wyrazistą twarz, z której znikło gdzieś senne rozmarzenie. Była energiczną młodą kobietą. Dorosła. — Gdyby widziała go pani ostatniej nocy u lady Keith, na pewno nie martwiłaby się pani aż tak bardzo. Stracił co prawda w walce resztę ucha, ale to przecież drobiazg.

— Stracił ucho? — Sophie pobladła i zatrzymała się w pół kroku, pośrodku promenady.

— Stoi pani w kałuży, moja droga. Proszę pozwolić mi zaprowadzić się na suchy ląd. Tak, stracił prawe ucho, a raczej to, co z niego zostało. Na szczęście nie było to jednak nic strasznego. Przyszyłem wszystko jak należy. Tak jak powiedziałem: Gdyby go pani widziała, przekonałaby się pani, że nie ma najmniejszych powodów do niepokoju.

— Jest pan jego prawdziwym przyjacielem, doktorze. W imieniu pozostałych bliskich mu osób bardzo panu dziękuję.

— Od czasu do czasu przyszywam mu uszy, to prawda.

— To naprawdę szczęśliwe zrządzenie losu, że on ma pana przy sobie. Wydaje mi się, że chwilami bezmyślnie się naraża.

— To prawda.

— Nie wydaje mi się jednak, bym mogła się z nim zobaczyć. Ostatnim razem byłam wobec niego bardzo nieuprzejma... — Oczy Sophie napełniły się łzami. — Nieuprzejmość nie popłaca. Ludzie zapamiętują sobie coś takiego — westchnęła, a Stephen spojrzał na nią z czułością. Była taka nieszczęśliwa i wzruszająca... Nic jednak nie powiedział. — Och, jesteśmy już spóźnieni — zawołała nagle Sophie, przerażona, gdyż zegary w całym Westminster zaczęły wybijać godzinę. — Obiecałam mamie... Będzie się denerwować... Może pobiegniemy...

Doktor podał jej ramię i ruszyli szybko przez park. Stephen prowadził Sophie, wymijając kałuże — dziewczyna wciąż miała załzawione oczy i co kilka kroków odwracała głowę, spoglądając przez ramię na okna gmachu Admiralicji.

W większości były to okna urzędowych pomieszczeń należących do lordów komisarzy, Jack znajdował się gdzie indziej, po przeciwległej stronie budynku, w miejscu, z którego mógł obserwować dziedziniec. Przebywał w słynnej poczekalni. Od momentu rozpoczęcia służby w marynarce spędził tu wiele pełnych niepewności i napięcia godzin, a dziś czekał tutaj od momentu zakończenia porannej rozmowy — na tyle długo, by naliczyć aż sto dwadzieścia trzy osoby przechodzące pod łukiem Whitehall. Czas mijał powoli, przez pomieszczenie przewijali się kolejni oficerowie, żaden z nich nie czekał jednak tak jak on: z rozkazami w kieszeni. Portierzy nigdy dotąd nie widzieli czegoś podobnego, przyglądali się więc teraz Jackowi coraz bardziej zaciekawieni.

Aubrey znajdował się w absurdalnej wręcz sytuacji. W jednej kieszeni szeleścił ów wspaniały dokument, mianujący go dowódcą slupa jego królewskiej mości „Polychrest" — w drugiej miał zmiętą sakiewkę z kilkoma miedziakami. Resztę pieniędzy wydał na zwyczajowe prezenty. „Polychrest" oznaczał bezpieczeństwo, tak przynajmniej się Jackowi wydawało, a kareta pocztowa do Portsmouth wyjeżdżała o jedenastej w nocy. Musiał jednak jakoś przedostać się z Whitehall na Lombard Street, nie dając się aresztować po drodze. Wątpił w to, czy uda mu się przejść w paradnym mundurze przez centrum miasta. Koniecznie powinien porozumieć się ze Stephenem, który czekał na niego w domu. Jack nie ośmielił się jednak wyjść z budynku Admiralicji; gdyby aresztowano go akurat w takim momencie, powiesiłby się chyba z wściekłości. Miał zresztą konkretne powody do niepokoju. Gdy z rozkazami w kieszeni opuszczał sekretariat, podszedł do niego jeden z portierów i powiedział, że jakiś ubrany na czarno cywil w zniszczonej peruce pytał o kapitana Aubreya.

— Poślijcie go do diabła, dobrze? Czy jest gdzieś tutaj Tom?

— Och, nie, sir. Tom będzie miał służbę dopiero w niedzielę w nocy. Ten gość, który dopytywał się o pana, wygląda raczej podejrzanie...

Przez ostatnie czterdzieści minut Jack obserwował człowieka w czarnym ubraniu, z wyglądu urzędnika lub prawnika, przechodzącego tam i z powrotem przez łukowato sklepioną bramę. Mężczyzna zaglądał do zatrzymujących się powozów i dorożek — czasem wspinał się nawet na schodki, przez chwilę rozmawiał też z dwoma ponurymi osiłkami: irlandzcy tragarze lub przebrani za irlandzkich tragarzy pomocnicy Komornika... Stara sztuczka.

Aubrey nie był dziś w najlepszych stosunkach z odźwiernymi, gdyż wbrew zwyczajowi pomimo objęcia dowództwa, nie obsypał ich złotem. Portierzy wiedzieli jednak co nieco o sytuacji, w jakiej się znalazł i oczywiście stanęli po jego stronie. Jeden z nich wyszedł po węgiel i wracając, zagadnął cicho:

— Ten z rozkwaszonym uchem ciągle czeka za bramą, sir...

— Rozkwaszone ucho! — Gdyby Jack wiedział o tym wcześniej, nie denerwowałby się niepotrzebnie. — Proszę wyświadczyć mi przysługę i poprosić tu tego człowieka. Porozmawiam z nim w holu.

Pan Scriven szybkim krokiem przeszedł przez dziedziniec. Nieszczęsny literat wydawał się stary i zmęczony, a jego ucho naprawdę bardzo spuchło.

— Sir— powiedział drżącym z przejęcia głosem. — Doktor Maturin przysyła mnie. abym przekazał panu, że na Seething Lane wszystko poszło jak najlepiej. Ma nadzieję, że spotka się z panem na obiedzie w oberży „Grapes". To bezpieczne miejsce, Savoy... Oczywiście, o ile nie ma pan innych planów. Mam też zabrać pana dorożką prosto z dziedzińca. Starałem się jak najsumienniej wykonać wszystkie polecenia doktora, sir. Chyba...

— Świetnie. Bardzo dobrze. Proszę zrobić tak, jak powiedział doktor. Panie... Niech pan powie woźnicy, żeby wjechał na dziedziniec. Zaraz zejdę do pana.

Savoy był błogosławionym azylem dłużników, potwierdziły się więc podejrzenia portiera. Odźwierny uśmiechnął się tylko porozumiewawczo i wyszedł z panem Scrivenem. Pomógł mu znaleźć dorożkę i wprowadził ją przez zwieńczoną łukiem bramę na podwórze (nigdy czegoś takiego nie praktykowano). Dorożka zatrzymała się bardzo blisko schodów, więc Jack mógł wsiąść do niej niepostrzeżenie.

— Może lepiej będzie, jeśli usiądzie pan na podłodze, na tym płaszczu — zauważył Scriven. — Został wysterylizowany w gorącym piecu — dodał, widząc wyraźną niechęć w oczach Jacka. — Doktor Maturin był tak dobry i wygolił mnie wszędzie... Wykąpał mnie też w kotle, i dał mi czyste ubranie.

— Przykro mi, że tak panu wczoraj przyłożyłem — Jack odezwał się spod ławki. — Czy bardzo to pana boli?

— Nie, dziękuję. Prawie nie czuję bólu. Doktor Maturin nasmarował moje ucho specjalną maścią z orientalnej apteki na rogu Bruton Street. Bardzo mi to pomogło... Może pan teraz usiąść wygodnie, jeśli ma pan ochotę, sir. Jesteśmy w księstwie.

— W jakim księstwie?

— W księstwie Lancaster, sir. Obszar od Cecil Street do przeciwległej strony Exeter Change jest częścią księstwa. Nie należy do Londynu ani Westminsteru. Obowiązuje tu też zupełnie inne prawo i przepisy nie są tutaj takie same jak w Londynie. Nawet kościół działa na odrębnych zasadach.

— Inne przepisy? Wspaniale — powiedział uradowany Jack. — Bardzo mi to odpowiada. Oby więcej było takich szczególnych miejsc. Jak się pan właściwie nazywa?

— Scriven, sir, do usług. Adam Scriven.

— Uczciwy człowiek z pana. panie Scriven. Jesteśmy na miejscu, to „Grapes". Czy może pan zapłacić woźnicy? Tak? Świetnie.

— Stephen! — Jack zawołał radośnie. — Nie masz pojęcia, jak się cieszę. Nareszcie mamy szansę... Możemy spokojniej odetchnąć... Znów jest nadzieja na lepszą przyszłość! Dostałem okręt. Jeśli tylko uda mi się dotrzeć do Portsmouth i wypłynąć w morze, znów pewnie będziemy bogaci. Cha, cha, cha... A jak tobie się poszczęściło? Chyba nie wydarzyło się nic złego? Jesteś dziwnie posępny...

— Nie, wszystko w porządku... — wyjaśnił Stephen z wymuszonym uśmiechem. — Udało mi się wynegocjować wypłatę na podstawie tego listu bankowego wystawionego przez Mendozę. Potrącono tylko dwanaście i pół procent, co bardzo mnie zdziwiło. Dostałem jednak gotówkę. Proszę, oto osiemdziesiąt pięć gwinei — powiedział, przesuwając po blacie stołu wypchany skórzany woreczek.

— Bardzo ci dziękuję — zawołał Jack, podając mu dłoń. — Co za przyjemny dźwięk! Te monety brzęczą tak radośnie... Pieniądze czasem oznaczają wolność... Cha, cha. Jestem głodny jak wilk, od śniadania nic nie jadłem. — Aubrey zawołał właścicielkę lokalu. Gospodyni zaproponowała mu pieczoną kaczkę lub zimnego jesiotra z ogórkami. Ryba była świeża, złapana dziś rano w

Billingsgate.

— Zacznijmy może od jesiotra. Jeśli natychmiast postawi pani na ogniu dwie kaczki, będą gotowe za chwilę, akurat gdy skończymy z rybą. Co pijesz, Stephen?

— Gin z wodą. Zimny.

— Co to? Udajesz melancholika? Zamówmy szampana! Nie co dzień zostaje się dowódcą okrętu. Zwłaszcza takiego okrętu... Opowiem ci, co to za szczególna jednostka. — Zrelacjonował szczegółowo Stephenowi przebieg rozmowy z pierwszym lordem, rysując niespotykany kształt kadłuba „Polychrest" w rozlanym na stole ginie. — To naprawdę dziwaczna łajba. Nie wiem, jak takie cudo przetrwało reformy St Vincenta. Gdy spojrzałem na stoczniowe rysunki i pomyślałem o fregacie Canninga, budowanej pod jego nadzorem według planów „Bellone", zrobiło mi się trochę nieswojo. Nie miałem chyba jednak okazji opowiedzieć ci o propozycji, jaką otrzymałem od tego człowieka... Przeproszę cię chyba na chwilę i napiszę zaraz do niego. Wyjaśnię po prostu, że bardzo mi przykro, lecz obowiązki służbowe uniemożliwiają mi przyjęcie nawet tak atrakcyjnej oferty. Postaram się, by wszystko zabrzmiało jak najlepiej i naprawdę grzecznie. Wyślę ten list dziś wieczorem. Pocztą. Ta sprawa wciąż nie daje mi spokoju, a Canning wyjątkowo przypadł mi do serca. Chciałbym znów się z nim spotkać. Na pewno go polubisz, Stephen. Jest pełen życia, inteligentny, bystry... Od razu trafia w sedno sprawy, ma szerokie horyzonty, potrafi być naprawdę uprzejmy, skromny i taktowny. Zachowuje się jak prawdziwy dżentelmen. Przysiągłbyś, że to rodowity Anglik. Musicie się spotkać.

— To rzeczywiście interesująca rekomendacja, miałem już jednak okazję poznać pana Canninga.

— Znasz go?

— Spotkaliśmy się dzisiaj rano na Bruton Street. —Jack uświadomił sobie nagle, dlaczego ta nazwa zabrzmiała tak nieprzyjemnie. Doktor mówił dalej: — Odwiedziłem Dianę po spacerze z Sophie w parku.

Na twarzy Jacka pojawiło się cierpienie.

— Co słychać u panny Williams? — zapytał, spuszczając wzrok.

— Nie wygląda dobrze. Wyszczuplała i wydaje się bardzo nieszczęśliwa. Wydoroślała jednak i jest chyba jeszcze piękniejsza niż w Sussex.

Jack odchylił się do tyłu na swym krześle, nic jednak nie powiedział. Na stole pojawił się obrus i serwetki, zagrzechotały talerze, podano jesiotra i butelkę szampana. Jedli powoli, wymieniając zdawkowe uwagi na temat królewskiej ryby. Jack jadł ją po raz pierwszy i był raczej rozczarowany.

— A co nowego u Diany? — zagadnął w pewnej chwili.

— Była na przemian to podniecona, to przygnębiona... Wyglądała jednak wspaniale... Wydawała się też jak zwykle pełna życia — wyjaśnił Maturin. Równie dobrze mógłby wspomnieć jeszcze o zalotnej kokieterii i bezdusznej, wyrachowanej złośliwości.

— Nie wiedziałem, że będziesz na Bruton Street — powiedział Jack z wymówką w głosie. Stephen skinął tylko głową. — Czy było tam wielu gości?

— Trzech żołnierzy, pewien hinduski sędzia i Canning.

— Tak, Diana mówiła mi, że się znają. O, są kaczki. Wyglądają wspaniale, prawda? — zawołał z animuszem. — Proszę, pokrój je, Stephen. Masz przecież wprawę. Może powinniśmy też posłać kawałek Scrivenowi? Co myślisz o tym człowieku?

— Jest taki jak wszyscy. Niczym się nie wyróżnia. Poczułem jednak do niego sympatię.

— Chcesz go przy sobie zatrzymać?

— Możliwe. Czy mogę oddać ci trochę farszu?

— Ile chcesz. Ciekawe, kiedy znów będziemy jedli takie frykasy. Czy nie sądzisz, że po posiłku Scriven mógłby pójść i zarezerwować dla nas miejsca w karecie pocztowej? My tymczasem spokojnie spakujemy się w Hampstead... Może uda mu się zająć coś wewnątrz?

— Będzie znacznie bezpieczniej, jeśli pojedziesz wynajętym powozem, Jack. W gazetach opublikowano relację z przyjęcia u lady Keith i w „Chronicle" widziałem twoje nazwisko. Wierzyciele też na pewno je zauważyli. Ich przedstawiciele w Portsmouth bez problemu mogą zaczekać na karetę. Nasz pan Scriven trochę mi opowiedział o diabelskiej przebiegłości egzekutorów. Twierdzi, że są tak samo sprytni i gorliwi jak ludzie ścigający złodziei. Musisz pojechać prosto do stoczni i natychmiast wejść na pokład okrętu. Dopilnuję bagaży i wyślę je za tobą wozem.

— Czy to znaczy, że nie jedziesz ze mną? — krzyknął zdumiony Jack, odsuwając talerz. Patrzył teraz na Maturina zupełnie zdezorientowany.

— Nie myślałem ostatnio o powrocie na morze — spokojnie wyjaśnił Stephen. — Lord Keith zaproponował mi etat lekarza na swoim okręcie flagowym, odmówiłem jednak grzecznie. Muszę dopilnować paru spraw tutaj na lądzie. Dawno też nie byłem w Irlandii.

— Byłem absolutnie przekonany, że pożeglujemy razem — zawołał Jack. — Tak się cieszyłem, przynosząc ci te rozkazy... Jak mogę... — Aubrey opanował się w końcu i mówił już teraz znacznie ciszej. — Rozumiem cię jednak... Nie miałem przecież prawa tak myśleć. Wybacz mi, proszę. Wyjaśnię też zaraz całą tę sprawę w Admiralicji. To tylko i wyłącznie moja wina. Okręt flagowy... Kto by pomyślał? Wspaniale! W pełni zasługujesz na takie wyróżnienie. Jak mogłem być tak zarozumiały... pewny siebie...

— Ależ nie, mój drogi. Źle mnie zrozumiałeś. — Stephen był wyraźnie poruszony słowami Jacka. — Admiralski flagowiec nie ma z tym nic wspólnego. Nie zależy mi na tej posadzie. Zapomnij o tym raz na zawsze. Tysiąc razy wolę slup lub fregatę. Przecież nie o to zresztą tutaj chodzi... Nie planowałem po prostu tak nagłego powrotu na morze. Nie warto już jednak teraz zmieniać biegu spraw, nie chcę

też, by Rada Admiralicji uznała, że jestem kapryśny i bez wyraźnego powodu zmieniam zdanie — dodał z uśmiechem. — Nie przejmuj się tym jednak aż tak bardzo. Wszystko nastąpiło po prostu zbyt nagle. Jestem innym człowiekiem niż ty, brakuje mi twojej gwałtowności i pewne decyzje podejmuję powoli. Do końca tygodnia będę zajęty, lecz jeśli cię nie uprzedzę listownie, w poniedziałek zjawię się na pokładzie z moim kuferkiem. Dalej, wypij swój kieliszek. Jak na tak mały lokal mają tu wyśmienite wino. Zamówimy chyba jeszcze jedną butelkę. Zanim wsadzę cię do wynajętego powozu, powiem ci, co mi wiadomo o przepisach prawnych dotyczących wierzycieli i dłużników...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Mój Drogi,

Niniejszym zawiadamiam, że dotarłem do Portsmouth o dzień wcześniej, niż planowałem. Sądzę, że wybaczysz mi, jeśli zgłoszę się na okręcie dopiero dzisiaj wieczorem. Proszę również, byś zechciał zjeść obiad w moim towarzystwie.

Łączę wyrazy uszanowania

i pozostaję Twoim uniżonym sługą

Stephen Maturin

Doktor poskładał kartkę, napisał adres: „Kapitan Aubrey, Royal Navy, Slup Jego Królewskiej Mości «Polychrest»", zapieczętował list i pociągnął za sznur dzwonka.

— Czy wie pan, gdzie znajduje się w tej chwili slup „Polychrest"? — zapytał.

— Och, tak, sir— mężczyzna odpowiedział, uśmiechając się domyślnie. — Przyjmuje działa przy nabrzeżu artyleryjskim. To już najwyższy czas, kończy się wysoka woda.

— Niech pan będzie wobec tego tak uprzejmy i zaniesie tam ten list. Pozostałe przesyłki proszę wysłać pocztą.

Stephen znów pochylił się nad stołem, otworzył swój dziennik i wziął do ręki pióro:

Napisałem w podpisie, że przesyłam wyrazy uszanowania i jestem uniżonym sługą. Trochę to może dziwne w liście do przyjaciela, a przecież to tylko i wyłącznie przyjaźń sprowadza mnie tutaj. Nawet najbardziej oziębli uczuciowo, samolubni ludzie, czasem się angażują. Wszyscy potrzebujemy w życiu czegoś naprawdę ważnego. Ja również. Nie wystarczają mi zainteresowania naukowe, muzyka i rozmowy o niczym. Chciałbym wierzyć, że i Jack czuje wobec mnie coś podobnego — na tyle oczywiście, na ile pozwala jego jowialna, raczej nieskomplikowana natura... Jest mi w szczególny sposób bliski, dlatego bardzo poruszyło mnie to, co go spotkało. Czy nasza wzajemna sympatia będzie jednak w stanie skompensować codzienne drobne konflikty? Jack może mnie bardzo lubić, nie przeszkodzi mu to jednak w próbach zdobycia serca Diany. Ma bardzo selektywne sumienie: dostrzega tylko to, co chce widzieć. Nie zarzucam mu tutaj świadomej hipokryzji, lecz do jego mentalności naprawdę bardzo pasuje pewna łacińska sentencja: quod volunt credere... Jeśli zaś chodzi o Dianę, jestem całkiem zdezorientowany. Potrafi być taka czuła

i uprzejma, a po chwili odwraca się ode mnie plecami, jakbym był jej śmiertelnym wrogiem. Wydaje mi się jednak, że igrając z Jackiem, zaplątała się we własne sidła. (Może nie umie po prostu przyznać się do błędu...? Mój przyjaciel jest przecież obecnie znacznie mniej atrakcyjnym kandydatem na męża niż ja — stał się dla niej w tej chwili zupełnie bezwartościową zdobyczą. A może w grę wchodzi tu tylko przewrotność i wyrachowane okrucieństwo Diany? Muszę też oczywiście przyznać, że Jack jest znacznie bardziej przystojny ode mnie, choć raczej nie nazwałbym go Adonisem). Jednym z powodów zaistniałej sytuacji może być także fakt, że pani Williams uwierzyła tak przekonującym słowom tego durnia i uważa mnie teraz za właściciela sporego majątku. Może wiec Jack widzi we mnie w tej chwili nie sprzymierzeńca i przyjaciela, lecz potencjalnego konkurenta? Są też przecież i inne prawdopodobne powody obecnego stanu rzeczy — mógłbym wyjaśniać to wszystko na wiele różnych sposobów. Tak czy inaczej jestem zagubiony i wstrząśnięty. Wydaje mi się jednak, że istnieje tu odpowiednia kuracja: wzburzoną krew na pewno uspokoi laudanum i rozłąka. Im więcej nastąpi teraz różnych gwałtownych wydarzeń, tym lepiej. Obawiam się jedynie ślepej zazdrości, gdyż na pewno miałaby tutaj przeciwne działanie. Nigdy dotąd jej nie doświadczyłem. Choć wiem, jak potrafi być silna — czytałem i słyszałem o tym wiele razy — nie wiem jednak, jak tak naprawdę smakuje, nie mam pojęcia, na czym właściwie polega jej natura. Gnosce teipsum *— boję się swoich myśli i marzeń. Dziś rano, gdy szedłem obok wjeżdżającego z trudem na Ports Down Hill powozu, w pewnym momencie ujrzałem nagle w dole cały port w Portsmouth, Gosport, Spithead i chyba połowę floty kanału La Manche — potężna eskadra przepływała pod pełnymi żaglami koło Haslar. Naprawdę wspaniały widok. I wtedy nagle zatęskniłem za morzem. Jest takie czyste... Są chwile, gdy wszystko na lądzie wydaje mi się podłe, mroczne, brudne i plugawe, choć oczywiście na pokładzie okrętu wojennego nie brakuje szeroko pojmowanego łajdactwa czy brudu.*

Nie wiem, w jaki sposób Jack zdołał aż tak omotać chciwą i łatwowierną panią Williams. Naprawdę dobrze mu poszło, sądząc po uniżoności, z jaką mnie przyjęła. Ta cała sytuacja ma też ważny dodatkowy efekt: akcje Jacka wzrosły u niej niemal tak samo jak moje. Nie miałaby chyba obecnie nic przeciwko niemu, gdyby nie jego niejasna sytuacja majątkowa. Podobnie Sophie — mogę dać za to głowę. Z drugiej jednak strony ta biedna dziewczyna jest tak nieugięta w swoim postępowaniu i tak wychowana, że prędzej zwiędnie jako stara panna, niż poślubi kogoś wbrew woli swej matki. To nie Gretna Green. Oczywiście muszę tu też zaznaczyć, że Sophie jest naprawdę słodka i wydaje mi się jedną z tak niewielu osób, u których surowe zasady moralne nie kłócą się z poczuciem humoru. Nie czas teraz oczywiście na żarty i figle, lecz już w Mapes wielokrotnie zauważyłem, że Sophie pełna jest skrywanej, cichej radości oraz pogody ducha. To naprawdę wielka rzadkość u kobiet (wliczając w to również Dianę, choć potrafi ona przecież, co jakiś czas błysnąć dowcipem i ma poczucie humoru). Nasze panie są zwykle posępne jak sowy, pomimo iż przejawiają wielką skłonność do nieuzasadnionych wybuchów głośnego śmiechu. Byłoby mi naprawdę bardzo przykro, gdyby zamiast tej szczególnej wesołości i pogody ducha, u Sophie na stałe pojawiło się zgorzknienie. Najgorsze jest to, że ów proces już się zaczął. Wystarczy przyjrzeć się uważnie jej twarzy...

Doktor popatrzył w okno. Na zewnątrz był mroźny, słoneczny poranek — wstrętne miasto prezentowało się więc ze swej najlepszej strony. Oficerowie pojawiali się i znikali w drzwiach rezydencji admirała, naprzeciwko gospody; po chodnikach paradowali ludzie w czerwonych i niebieskich mundurach; elegancko wystrojone żony wojskowych szły do kościoła, towarzyszyły im

dzieci w odświętnych ubrankach.

— Jakiś człowiek do pana — powiedział kelner, wchodząc do pokoju. — Porucznik...

— Porucznik? — zdziwił się Stephen. — Proszę poprosić go tu na górę... — dodał po dłuższej chwili.

Na schodach zadudniły kroki, jakby ktoś wpuścił na nie rozpędzonego byka. Drzwi otworzyły się z trzaskiem i pojawił się w nich Pullings, rozjaśniając izbę swym uśmiechem i nową niebieską kurtką.

— Awansowałem, sir! — zawołał, ściskając dłoń doktora. — Nareszcie! Rozkaz przyszedł pocztą. Może mi pan pogratulować!

— Czemu nie — zgodził się Stephen. —Za chwilę zgniecie mi pan rękę. Czy nie przesadził pan z radością? Nie jest pan czasem pijany, poruczniku Pullings? Proszę, niech pan usiądzie na krześle jak człowiek i przestanie biegać po moim pokoju.

— Och, nie wypiłem ani kropli. — Młody człowiek usiadł wreszcie i patrzył na Stephena uradowany, z rozpromienioną twarzą.

— W takim razie upił się pan swoim szczęściem... Chyba szybko pan nie wytrzeźwieje.

— Cha, cha... Powtórzył pan dokładnie słowa starego Parkera. Powiedział, że długo będę trzeźwiał. Zazdrości, wie pan... Stary pryk. Zresztą... kto wie? Może i ja w jego wieku będę taki sam? Po trzydziestu pięciu latach bez samodzielnego dowództwa każdy ma prawo stać się zgorzkniałym dziwakiem. W sumie to dobry i porządny człowiek, choć przed przyjazdem kapitana nieźle nam wszystkim zalazł za skórę.

— Poruczniku, czy napije się pan ze mną wina? Z wiśni?

— Poruczniku! Już drugi raz mnie pan tak nazwał! — Twarz Pullingsa pojaśniała jeszcze bardziej i doktor byłby gotów przysiąc, że widzi bijące od niej światło. — Będzie mi bardzo przyjemnie. Tylko odrobinkę, jeśli pan pozwoli. Nie mogę się upić. Dopiero jutro planuję małą uroczystość z okazji awansu. Czy mogę zaproponować toast? Wypijmy więc za naszego kapitana. Niech mu się wiedzie. To naprawdę wspaniały człowiek, poszedłbym za nim w ogień. Do dna, doktorze. Gdyby nie on, dalej byłbym podchorążym. Ach... Skoro o kapitanie mowa... Mam przekazać panu następującą wiadomość: Nasz dowódca przesyła pozdrowienia, bardzo cieszy się z pańskiego przyjazdu i z najwyższą przyjemnością zaprasza pana na obiad do „George'a". Dzisiaj o trzeciej. Na okręt nie dostarczono jeszcze papieru i piór, dlatego przekazuje odpowiedź na pański list ustnie, za moim pośrednictwem...

— Byłoby mi bardzo miło, gdyby i pan dotrzymał nam towarzystwa przy obiedzie.

— Jest pan bardzo uprzejmy, doktorze. Dziękuję. Niestety, już za pół godziny wypływam łodzią w okolice Wight. Statek Kompanii Wschodnioindyjskiej „Lord Mornington" minął w czwartek Start Point, mam więc zamiar o świcie wcielić z jego załogi do służby w marynarce z pół tuzina wyborowych marynarzy...

— Czy myśli pan, że patrolujące fregaty i okręty zaopatrzeniowe koło Plymouth zostawiły kogokolwiek?

— Oczywiście, sir. Odbyłem na tym statku dwie podróże. Pod międzypokładem ma specjalne skrytki. Nigdy nie domyśliłby się pan ich istnienia, chyba że sam by pan tam coś chował. Będę miał pół tuzina doskonałych żeglarzy, gwarantuję, w przeciwnym razie nie nazywam się Tom Pullings... Porucznik Tom Pullings... —Młody człowiek dodał ciszej, uśmiechając się do siebie.

— Na naszym okręcie brakuje ludzi?

— Cóż, nie jest najlepiej. Nie mamy pełnej obsady i potrzebujemy jeszcze trzydziestu dwóch... Oczywiście mogło być też znacznie gorzej. Z okrętu pomocniczego przysłano nam osiemnastu, dostaliśmy też ponad dwudziestu nowych z zaciągów w Huntingdonshire i Rutland. Wie pan. złapani na ulicy, powyciągani z domów lub więzień. Nigdy w życiu nie widzieli morza. Brakuje nam doświadczonych marynarzy, choć mamy w załodze kilku prawdziwych mistrzów morskiego rzemiosła, wśród nich dwóch z „Sophie": stary Allen z forkasztelu i John Lakey, z marsa grotmasztu. Pamięta pan tego ostatniego? Pozszywał go pan bardzo elegancko podczas swojego pierwszego rejsu z nami, po walce z algierską galerą. Biedaczyna twierdzi, że uratował mu pan wtedy jego... prywatne części ciała. Jest panu za to dozgonnie wdzięczny, bez nich czułby się na pewno nieswojo. Tak czy inaczej, kapitan Aubrey na pewno szybko doprowadzi ich wszystkich do porządku, jestem pewny. Nasz stary pan Parker wydaje się bardzo wymagający, jestem przecież też ja... i Babbington... Na pewno zauważymy każdego, kto będzie próbował wymigiwać się od pracy. Kapitan nie będzie miał powodów do obaw.

— A jak pozostali oficerowie?

— Nie miałem okazji lepiej ich poznać. Ostatnio było na okręcie zbyt duże zamieszanie... Wie pan, końcowe prace stoczniowe, dostawy... Diabelski młyn. Ochmistrz całe dnie spędza w kwatermistrzostwie, artylerzysta siedzi w portowej prochowni, a pierwszy nawigator w ładowni, lub raczej tam. gdzie zwykle jest ładownia.

— Z tego co wiem, ten okręt został zbudowany według jakiejś nowej koncepcji.

— Cóż, sir, mam nadzieję, że będzie jakoś utrzymywał się na wodzie. Ponieważ pływaliśmy już razem, coś panu powiem: Nie widziałem jeszcze w życiu czegoś tak dziwacznego... Nawet na Pearl River, na Hugli czy na wybrzeżu Gwinei... Patrząc z boku, nie można przewidzieć, w którym kierunku popłynie. Choć trzeba przyznać, że mało która jednostka jest tak zadbana — Pullings dodał szybko, jakby karcąc samego siebie za poprzednie krytyczne uwagi. — Zadbał o to Parker: złote liście, wszystko elegancko wymalowane, w specjalny sposób poczernione reje, bloki osłonięte czerwoną skórą, i tak dalej. Czy był pan kiedyś na wyposażanym pod koniec budowy okręcie?

— Nie.

— To istne piekło — powiedział porucznik, śmiejąc się i kręcąc głową. — Stoczniowcy plączą się między nogami, pokład zastawiony kolejnymi dostawami, nowi członkowie załogi chodzą jak

zbłąkane dusze. Nikt nie wie, kto jest kto, co i gdzie należy robić. Piekło. Naprawdę. Do tego admirał przysyła co pięć minut posłańca z zapytaniem, dlaczego nie jesteśmy jeszcze gotowi do wyjścia w morze i co ma znaczyć to całe zamieszanie. Cha, cha, cha... — Pullings był wciąż w bardzo dobrym nastroju i zupełnie niespodziewanie zaczął śpiewać:

Powiemy ci coś, admirale, stary psie:

O jednym marzymy — niech szlag trafi cię...

— Od momentu, gdy marynarka wojenna przejęła „Polychrest", nie zdjąłem ubrania — wyjaśnił. — Kapitan Aubrey przyjechał na okręt o świcie, po całonocnej podróży, i natychmiast odczytał nam swój przydział. .. Na okręcie byłem wtedy ja, Parker, żołnierze piechoty morskiej i sześciu marynarzy... Kapitański proporzec dopiero co powędrował na maszt, nie przebrzmiały też jeszcze ostatnie słowa rozkazu, a nasz dowódca już zawołał: „Panie Pullings, ten blok szotu grotmarsla musi mieć krętlik! Proszę dopilnować wymiany". Szkoda, że nie słyszał pan, jak wydzierał się na ludzi pracujących przy takielunku, gdy zorientował się. że próbują nam wcisnąć używane liny. Musieli wezwać samego dyrektora stoczni... Dopiero wtedy kapitan trochę się uspokoił. Powinien pan też nas wszystkich widzieć, jak poganiani przez niego biegaliśmy bezradnie tam i z powrotem, myląc dziób z rufą. Ale się z nas wtedy śmiał... Na pewno cieszy się z perspektywy obiadu z panem. Nie widziałem, by jadł na okręcie coś więcej niż chleb i kawałek zimnej wołowiny. Muszę teraz niestety pana pożegnać. Kapitan Aubrey będzie bardziej niż szczęśliwy, gdy wrócę z łodzią pełną doborowych marynarzy...

Stephen znów zajął miejsce przy oknie. Patrzył, jak Pullings sprawnie lawiruje wśród przechodniów, przechodzi na drugą stronę ulicy. a potem rusza szybkim krokiem w kierunku Point i nocy w otwartej łodzi, daleko na wodach kanału. „Podobne poświęcenie i oddanie naprawdę bardzo chwyta za serce" — doktor zauważył w duchu. „Któż jednak zapłaci temu młodemu człowiekowi za tę jego gorliwość? Jakie spotkają go przykrości, zdradzieckie ciosy, zniewagi, moralne cierpienia?"

Widok za oknem zdążył już tymczasem ulec zmianie; ludzie wyszli już z kościoła i znaczna część obywateli miasta znikła za zamkniętymi drzwiami domów. W powietrzu na pewno unosił się zapach pieczonej baraniny. Po ulicach paradowały teraz grupki marynarzy — spacerowali tam i z powrotem, szeroko rozstawiając nogi, demonstracyjnie pewni siebie. Przypominali przyjeżdżających do Londynu wieśniaków. Pomiędzy nimi przewijali się niepozorni sklepikarze w wymiętych ubraniach, pijacy, drobni rzemieślnicy, pulchne wiejskie dziewczęta i kobiety lekkich obyczajów. Co chwilę słychać było okrzyki, raz za razem wybuchało małe zamieszanie. Obok gospody przeszli właśnie wolni od zajęć członkowie załogi „Impregnable": w odświętnych ubraniach, z brzęczącymi w kieszeniach pieniędzmi z pryzów. Towarzyszyło im kilka prostytutek, rzępolący na skrzypcach uliczny grajek, idący tyłem na czele grupy i paru małych chłopców — maszerując w pewnej odległości po obu stronach wesołego towarzystwa, przypominali pilnujące owiec pasterskie psy. Niektóre z kobiet były stare i zaniedbane, spod podartych sukien miejscami wyglądało gołe ciało. Wszystkie miały za to ufarbowane i zakręcone włosy, wszystkie też wyraźnie trzęsły się z zimna.

Radość, jaką wniósł ze sobą do pokoju Pullings, szybko gdzieś wyparowała. „Wszystkie porty, jakie dotąd widziałem, są do siebie podobne" — zauważył Maturin. „Wszystkie miejsca, w których gromadzą się marynarze, wyglądają zupełnie tak samo. Nie wydaje mi się, by było to

odzwierciedleniem natury ludzi morza. To raczej przejaskrawiony obraz tego, co tak naprawdę dzieje się na lądzie". Doktor dał się porwać strumieniowi myśli: „Czy można w ogóle określić jakoś naturę człowieka? Czy w naszej osobowości są jakieś ustalone, niezmienne elementy? Co pozwala nam powiedzieć: «ja to ja»?"

Te rozważania przerwał widok Jacka, maszerującego dziarsko i swobodnie, z beztroską miną. Była niedziela, nie musiał więc zasłaniać twarzy i oglądać się za siebie. Na ulicy znajdowało się też wielu innych ludzi, lecz uwagę doktora natychmiast zwróciło dwóch mężczyzn o podejrzanym wyglądzie. Szli krok w krok za Jackiem, w odległości około pięćdziesięciu jardów i tak na oko, obaj nie mieli żadnego konkretnego zawodu czy zajęcia. Było w nich coś dziwnego; zbyt uporczywie wpatrywali się w plecy idącego przed nimi oficera. Doktor obserwował ich więc bardzo uważnie aż do chwili, gdy znaleźli się przed wejściem do „George'a".

— Jack — powiedział zaraz po powitaniu — przyszli tutaj za tobą dwaj bardzo podejrzani panowie... Podejdź do okna i wyjrzyj ostrożnie na ulicę. Są tam, stoją na schodach rezydencji admirała.

— Tak... — Aubrey przyglądał się nieznajomym przez chwilę. — Pamiętam tego ze złamanym nosem. Próbował wejść na pokład następnego dnia po moim przyjeździe. Oczywiście nic mu z tego nie wyszło. Kazałem go przegonić. Wydaje mi się, że chce mnie po prostu pokazać temu drugiemu łajdakowi. Spryciarz! Niech ich obu szlag trafi! — zawołał, podchodząc do kominka. — Może napijemy się czegoś mocniejszego? Cały poranek spędziłem na marsie fokmasztu i przemarzłem do szpiku kości.

— Najlepiej zrobi ci chyba w tym przypadku odrobina brandy. Proponuję kieliszeczek Nantes. Rzeczywiście, nie wyglądasz najlepiej. Wypij to i chodźmy prosto do jadalni. Zamówiłem halibuta w sosie z sardeli, baraninę i pasztet z dziczyzny. Prosty wyspiarski posiłek.

Dania kolejno pojawiały się na stole: szara, zmęczona twarz Jacka wyraźnie pojaśniała, a z jego czoła znikły zmarszczki. Wydawało się. że urósł i znów wypełnił sobą swój mundur.

— Człowiek czuje się jednak znacznie lepiej po halibucie, baraninie i pasztecie z sarny — oświadczył, bawiąc się kawałkiem sera ze Stilton.

— Jesteś znacznie lepszym gospodarzem niż ja — zauważył. — Lepiej ode mnie wiedziałeś, czego mi potrzeba. Pamiętam obiad, na jaki zaprosiłem cię w Port Mahon. Pierwszy, który zjedliśmy razem. Oberżysta wszystko wtedy pomieszał, nie rozumiał po hiszpańsku... A właściwie, nie rozumiał hiszpańskiego w moim wydaniu...

— Bardzo mi wtedy smakował ten posiłek — Stephen powiedział *z* uśmiechem. — Dokładnie wszystko pamiętam. Może wypijemy herbatę na górze? Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o „Polychrest" — wyjaśnił.

W wielkiej sali gospody pełno było ludzi w niebieskich mundurach i jakakolwiek rozmowa tutaj natychmiast stałaby się publiczną tajemnicą — jak sygnały flagowe podniesione na maszcie okrętu.

— Na pewno w końcu poradzimy sobie z tą dziwaczną łajbą, musimy tylko jakoś się do niej przyzwyczaić — wyjaśnił Jack. — Wygląda raczej zaskakująco, zwłaszcza gdy ktoś chce być złośliwy, lecz przecież utrzymuje się jakoś na wodzie, a to jest najważniejsze. To prawdziwa pływająca bateria. Naprawdę rzadko można spotkać tak uzbrojony slup. Gdy już podejdzie się do przeciwnika dostatecznie blisko, można użyć dwudziestu czterech dział. Co prawda są to krótkolufowe karonady, lecz za to strzelają trzydziestodwufuntowymi kulami! Możemy zdobyć każdy mniejszy francuski okręt, moglibyśmy nawet zaatakować uzbrojona w trzydzieści sześć dział fregatę. Oczywiście z bliska...

— Rozumując w ten sposób, możesz stwierdzić, że jesteś w stanie zwyciężyć trójpokładowy liniowiec, jeśli tylko uda ci się podejść na odległość sześciu cali. Najlepiej byłoby znaleźć się we wnętrzu jego kadłuba i strzelać salwami z obu burt... To nierealne, mój drogi, nie jest to więc dla mnie żaden argument. Jaki jest zasięg tych twoich cudownych karonad?

— Jeśli chcesz trafić w miejsce, w które wycelowałeś, musisz znaleźć się w odległości pistoletowego strzału. Za to przy walce reja w reję bez trudu przebijają nawet najgrubsze dębowe belki.

— A co w tym czasie robi twój przeciwnik? Czy jego normalne, dalekosiężne armaty czekają spokojnie, aż się zbliżysz? Nie będę jednak cię uczył twojego rzemiosła...

— Zbliżyć się... W tym właśnie jest cały problem. Muszę mieć ludzi do obsługi lin i żagli. Potrzebujemy jeszcze trzydziestu dwóch marynarzy i nie możemy już liczyć na kolejnych rekrutów. Myślę też, że nie spodobają ci się niektórzy członkowie obecnej załogi, przysłani nam z okrętu pomocniczego. Część z nich po prostu do niczego się nie nadaje. To kalecy i nieudacznicy. Potrzebuję silnych i zdrowych mężczyzn, a czas nieubłaganie ucieka... Powiedz mi, czy Scriven przyjechał tu z tobą?

— Tak, pomyślałem, że może znajdzie się dla niego jakieś drobne zajęcie.

— Ponoć jest niezły w pisaniu, czy to prawda? Pamflety i takie rzeczy...? Spróbowałem rozwiesić w mieście ogłoszenia: nawet pięciu ewentualnych ochotników to dla nas prawdziwy skarb. Nie miałem jednak wystarczająco dużo czasu i nic mi z tego nie wyszło. Zobacz. — Aubrey wyjął z kieszeni kilka kartek.

— No cóż — mruknął Stephen, czytając. — Nic dziwnego. — Pociągnął za sznur dzwonka i poprosił, by przysłano na górę pana Scrivena. — Mój drogi — powiedział, zwracając się do zdyszanego literata — niech pan będzie tak dobry i rzuci na to okiem. Widzi pan, o co chodzi? Proszę więc napisać nowe, porządne ogłoszenie. Pióro i papier znajdzie pan na stoliku pod oknem.

Scriven odszedł na bok i z wyraźnym zapałem wziął się do pracy; przewracał kartki, czytał, robił notatki. Od czasu do czasu pochrząkiwał cicho. Jack siedział w skórzanym fotelu, przy kominku i w pewnej chwili poczuł, że ogarnia go błoga senność. Mięśnie rozluźniły się zupełnie, myśli poszybowały gdzieś daleko. Chwilami nie był już w stanie nadążyć za słowami Stephena — co jakiś czas wzdychał więc tylko głośno i w nic nie znaczący sposób poruszał głową. Rozpaczliwym wysiłkiem woli próbował z początku wyrwać się z tego błogostanu, lecz po każdej takiej próbie czuł

się jeszcze bardziej senny niż przedtem.

— Pytałem, czy pamiętasz o tym, by zachować najwyższą ostrożność... — To Maturin, zniecierpliwiony brakiem odpowiedzi, chwycił Jacka za kolano.

— Och... Tak... — Aubrey natychmiast oprzytomniał. — Na ląd schodzę wyłącznie w niedziele, a każda łódź pojawiająca się pod burtą jest dokładnie sprawdzana. Na szczęście płyniemy jutro do Spithead, co zapobiegnie ewentualnym niespodziankom. Nie przyjmuję żadnych zaproszeń, nie zgodziłem się nawet na wizytę u dyrektora stoczni. Wybiorę się tylko na przyjęcie z okazji awansu Pullingsa. Niczym nie ryzykuję, wszystko odbędzie się w małej oberży w Gosport, na uboczu, bardzo blisko nabrzeża i pomostu. Nie mogę odmówić... Nasz młody porucznik zaprosił nawet swoich rodziców i narzeczoną.

— Sir... — Scriven zaczął ostrożnie. — Czy mógłby pan rzucić okiem na moje wypociny?

Chcesz zarobić ponad 5000 funtów?

BOGACTWO ZASZCZYTY CHWAŁA OSTATNIA SZANSA NA ZDOBYCIE FORTUNY!

HMS „Polychrest" już wkrótce wypłynie w morze, aby walczyć z WROGAMI KRÓLA JERZEGO. Ta naprawdę wspaniała jednostka została zaprojektowana tak, by mogła żeglować na przekór nie sprzyjającym wiatrom oraz prądom. Będzie bez litości ZDOBYWAĆ I ZATAPIAĆ bezradne okręty wojenne TYRANA, zetrze z powierzchni morzu NIEPRZYJACIELSKIE STATKI HANDLOWE. Nie ma ani chwili do stracenia! Gdy „Polychrest" rozpocznie swą zaszczytną służbę, znikną z mórz NAJCENNIEJSZE PRYZY: statki tłustych Francuzów i tchórzliwych Holendrów wyładowane po brzegi ZŁOTEM, SKARBAMI, SZLACHETNYMI KAMIENIAMI, JEDWABIEM, DROGOCENNYMI TKANINAMI oraz PRZYSMAKAMI przeznaczonymi na rozpustny i pławiący się w luksusie dwór Uzurpatora. HMS „ Polychrest" to wspaniała nowoczesna jednostka, zbudowana na podstawie najnowszych osiągnięć naukowych, a jej dowódcą jest sławny KAPITAN AUBREY!

Jego bryg „Sophie" , dysponujący salwą burtową o wadze 28 funtów, podczas ostatniej wojny zdobył nieprzyjacielskie statki i okręty o łącznej wartości 100 000 funtów. „Polychrest" jest w stanie wystrzelić salwę o wadze 384 funtów z każdej burty! Ile więcej jest więc w stanie zdziałać? Ponad DWANAŚCIE razy tyle co „Sophie"! Wróg już wkrótce zbankrutuje, a jego koniec jest bliski. Przyłącz się do zabawy, zanim będzie za późno, a potem będziesz mógł sobie pozwolić nawet na własny POWÓZ!

Kapitan Aubrey dał się przekonać i w drodze wyjątku jest skłonny przyjąć do swej załogi kilku dodatkowych ludzi. Pod uwagę brani będą tylko wyjątkowo bystrzy i inteligentni kandydaci, zdolni unieść WOREK PEŁEN ZŁOTA. Kto wie, MOŻE TO WŁAŚNIE TY JESTEŚ WYBRAŃCEM LOSU?! Pospiesz się, nie zwlekaj, nie trać czasu. Zgłoś się na spotkanie w... MOŻE TO WŁAŚNIE DO CIEBIE UŚMIECHNIE SIĘ SZCZĘŚCIE I ZOSTANIESZ PRZYJĘTY! Nie będzie żadnych kłopotliwych formalności. Otrzymasz wspaniałe wyżywienie i 4 funty tytoniu miesięcznie. Darmowe piwo, wino i grog! Tańce i muzyka na pokładzie. Ciekawe rejsy, zdrowe morskie powietrze. Chcesz się wzbogacić i ciekawie spędzić czas? Bądź mądry, nie zwlekaj: zostań członkiem załogi slupa „Polychrest"!

— Oczywiście pozwoliłem sobie podać tylko przykładowe liczby... — wyjaśnił Scriven, patrząc uważnie w twarz czytającego ogłoszenie Jacka.

— Rzeczywiście, trochę pan przesadził... —Aubrey wpisał sumy, w które ewentualnie można byłoby uwierzyć. — Całość mi się jednak podoba. Jestem panu bardzo zobowiązany, panie Scriven. Czy przejdzie się pan do redakcji „Kuriera"? Wyjaśni pan tam, jak powinno to zostać wydrukowane, zna się pan na tym przecież doskonale. Niech odbiją sto ogłoszeń na afiszach i dwieście ulotek, do rozdawania w miejscach, gdzie zatrzymują się przyjeżdżające ze wsi wozy. Oto kilka gwinei... Stephen, musimy już ruszać. Będzie chyba jeszcze na tyle widno, by można było sprawdzić nowe patentowe suwaki. Musisz też obejrzeć rekrutów z dwóch poborów. Proszę, nie odrzucaj nikogo, kto jest w stanie pociągnąć za linę.

— Na pewno zechcesz poznać pozostałych oficerów — zagadnął Jack, gdy obaj z doktorem czekali na łódź. — W pierwszej chwili mogą ci się wydać trochę nieokrzesani. Przeszli przez prawdziwe piekło podczas prac wyposażeniowych. Zwłaszcza Parker. Kapitan, któremu przede mną zaoferowano „Polychrest", zaczął grać w kotka i myszkę. Nie można było go znaleźć, dziwnie długo nie potrafił się zdecydować. Pullings, mój najcenniejszy skarb, przybył na okręt tuż przede mną, wszystko spoczywało więc na barkach biednego Parkera.

Aubrey zszedł do łodzi i w milczeniu usiadł na ławce. Wciąż myślał o swym pierwszym poruczniku. Parker był mężczyzną po pięćdziesiątce, siwym, dokładnym i surowym. Przykładał wielką wagę do czystości, porządku oraz wyglądu zewnętrznego — dlatego właśnie zyskał sobie poparcie księcia Williama — na pewno nie brakowało mu też odwagi i rozsądku. Z drugiej jednak strony potrafił być męczący, nie wydawał się też specjalnie inteligentny i miał kłopoty ze słuchem. Co gorsza, nie umiał postępować z ludźmi — choć jego czarna lista była na łokieć długa, doświadczeni marynarze zupełnie nie zwracali na niego uwagi. Jack podejrzewał, że Parker tak naprawdę niewiele wie o służbie na morzu. Wszystko wskazywało też na to, że pozbawiony nadzoru miałby poważne kłopoty z utrzymaniem dyscypliny; umie na pewno zadbać o to, by wszystko było idealnie czyste i z zewnątrz pięknie wymalowane, lecz na okręcie tak naprawdę nie byłoby porządku. Oznaczało to szykany, codzienne używanie bata, a co za tym idzie — posępną i brutalną załogę, niechętnie wykonującą polecenia. Pod rządami kogoś takiego na pewno nie uda się stworzyć zgranego zespołu zadowolonych ludzi, którzy naprawdę potrafią walczyć. Nie będzie to łatwy orzech do zgryzienia: nie wolno dopuścić do tego, by na pokładzie rufówki pojawiły się rozdźwięki lub nieporozumienia. Parker nadal powinien zajmować się organizacją codziennej pracy na okręcie i nie może być mowy o sytuacji, w której pobłażliwy kapitan podważa autorytet pierwszego porucznika. Nie oznaczało to oczywiście, że Jack jest takim właśnie dowódcą — zawsze był sumiennym i wymagającym oficerem, pragnął więc, by tacy byli też jego podwładni. Służył jednak w marynarce wojennej dostatecznie długo i doskonale wiedział, czym pachną podobne konflikty. Nie chciał więc, by nastąpiło teraz coś podobnego.

— Tu stoimy — powiedział, wskazując głową „Polychrest", a w jego głosie zabrzmiała dziwna nuta, tak jakby przygotowywał się do odparcia ewentualnej krytyki.

— Więc to jest to cudo? — upewnił się Stephen. Zobaczył przed sobą trzymasztową jednostkę — w

pierwszej chwili nie potrafił użyć słowa „okręt". Miała wysoki kadłub i lśniące czarne burty z jaskrawym cytrynowym pasem, poprzecinanym czarnymi prostokątami dwunastu furt działowych. Powyżej biegła szeroka niebieska linia, obramowana u góry białą kreską i z obu stron zakończona złoceniami. — Wcale nie wygląda aż tak dziwacznie. Tyle tylko, że boki schodzą się ostro z obu końców i nie ma nigdzie wystającego dziobu, do jakiego jesteśmy przyzwyczajeni. Nie rozumiem, po co tutaj to całe zamieszanie. Przecież na podobnej... łodzi odbył swoją podróż święty Brendan.

— I ta jego łódź dobrze żeglowała bajdewindem? Była w stanie poruszać się pod prąd i pod wiatr?

— Z pewnością. Czyż nie dopłynął do swych Wysp Błogosławionych?

W piątek Jack był w naprawdę dobrym nastroju — w podobnym stanie ducha znajdował się dziś po raz pierwszy od czasu, gdy jako świeżo awansowany dowódca poprowadził swój okręt w morze długim kanałem portowym w Port Mahon. Pullings wrócił przecież z „Lorda Morningtona" z siedmioma wystraszonymi, lecz na pewno doświadczonymi marynarzami, a ogłoszenie przygotowane przez Scrivena sprawiło, że pięciu młodzieńców z Salisbury przyszło na pokład, aby „zapytać o szczegóły". Radosne wydarzenia nie kończyły się zresztą tylko na tym: Jack i Stephen byli właśnie na pokładzie — wybierali się na uroczystość Pullingsa, i czekali, w gęstej mgle, aż nie wprawionym ludziom, poganianym przez bosmana oraz Parkera, uda się wreszcie zwodować szalupę — gdy tuż przy burcie pojawiła się niespodziewanie niewielka łódź. Siedziało w niej dwóch mężczyzn w krótkich niebieskich kurtkach z mosiężnymi guzikami, w białych spodniach i brezentowych kapeluszach. Mieli długie warkoczyki, złote kolczyki i czarne jedwabne chusty — wyglądali więc jak typowi członkowie załogi okrętu wojennego. Wszystko było tutaj jednak aż za bardzo na miejscu i Jack przez dłuższą chwilę przyglądał im się bardzo uważnie, przechylony przez reling. Z najwyższym zdumieniem rozpoznał Barreta Bondena, byłego sternika swojej łodzi i innego członka załogi „Sophie", którego nazwiska nie potrafił sobie na razie przypomnieć.

— Ci dwaj mogą wejść na pokład — powiedział. — Bonden, chodź na górę! Cieszę się, że cię widzę. — Obaj marynarze sprawnie wspięli się na burtę. — Jak tu dotarliście? Co was sprowadza? Przywieźliście dla mnie jakąś wiadomość? — Było to jedyne racjonalne wytłumaczenie obecności tych ludzi. Przepłynęli przecież po zatłoczonych wodach Spithead; najwyraźniej nie obchodził ich więc zupełnie przymusowy zaciąg ludzi do służby w marynarce. Na wstążkach kapeluszy nie było jednak nazwy okrętu, a z całej postaci Bondena promieniowała dziwna radość. W sercu Jacka zapaliła się iskierka nadziei.

— Nie, sir... — wyjaśnił Bonden i wskazał palcem na swego towarzysza. — Mój Joe dowiedział się skądś, że wrócił pan na morze...

— Jack przypomniał sobie teraz: Joseph Plaice. kuzyn Bondena, z wachty prawej burty, na „Sophie" zajmował się kotwicą zapasową. Podstarzały, głupi, można było jednak na nim polegać, oczywiście jeśli się nie upił. Nawet i po pijanemu prawdziwy mistrz w wiązaniu najbardziej skomplikowanych gałek na linach. — Wyruszyliśmy więc z Priddy's Hard, aby zaciągnąć się dobrowolnie, oczywiście, jeśli znajdzie pan dla nas miejsce... — W głosie mówiącego wyraźnie słychać było skrywaną wesołość.

— Dla ciebie, Bonden, chyba coś się znajdzie, ścieśnimy się trochę — z powagą oświadczył Jack.

— A Plaice musi obiecać, że nauczy naszych malców wiązać gałki, wtedy i jego przyjmiemy... — Kuzyn Bondena bez słowa dotknął kciukiem czoła, wyraźnie ucieszony żartobliwymi słowami kapitana. —Panie Parker, proszę wciągnąć tych ludzi na listę załogi. Plaice na forkasztelu, a Bonden będzie odtąd moim sternikiem.

W pięć minut później Jack i Stephen siedzieli w szalupie. Bonden sterował, tak jak podczas wielu niebezpiecznych wypraw na hiszpański brzeg. Ciekawe, w jaki sposób obaj z kuzynem zdołali uchować się na lądzie, jak przedarli się przez olbrzymi port, nie dając się wcielić do służby na jakiejś innej jednostce? Nie warto było o to pytać. Na pewno odpowiedzieliby wymyślonymi na poczekaniu kłamstwami.

— Co słychać u twojego siostrzeńca, Bonden? — zagadnął Aubrey, gdy zbliżyli się do portowych główek. Chodziło mu o George'a Lucocka, bardzo obiecującego młodego człowieka, którego mianował na „Sophie" podchorążym.

— Nasz George, sir? — Sternik mówił dziwnie przyciszonym głosem. — Był na „Yorku"... — „York" zatonął na Morzu Północnym z całą załogą. — Jako zwykły marynarz, w wachcie fokmasztu. Został wcielony siłą koło Domingoman.

— Tak dobrze się zapowiadał — Jack westchnął, potrząsając głową. Doskonale pamiętał tego sympatycznego chłopca, uradowanego awansem i stojącego na zalanym słońcem pokładzie rufówki, z lśniącym mosiężnym sekstansem w dłoni. Szczególne znaczenie miało tutaj coś jeszcze. „York" został zbudowany w stoczni Hickmana. Mówiono, że pod pokładem tego okrętu niepotrzebne były latarnie: wystarczająco jasno świeciły spróchniałe belki. W żadnym wypadku nie nadawał się do żeglugi w silnym sztormie. Zwłaszcza na Morzu Północnym, którego zimne wody pochłonęły już przecież tak wielu marynarzy.

Gdy podobne myśli zajmowały umysł Jacka, łódź lawirowała pomiędzy znajdującymi się w porcie jednostkami. Przepływali tuż pod burtami potężnych trójpokładowców, wymijali śmigające tam i z powrotem łodzie. Co jakiś czas goniły ich żartobliwe lub wściekłe okrzyki licencjonowanych portowych przewoźników. W pewnej chwili ktoś schowany za boją nazwał „Polychrest" „Ciesielską pomyłką", śmiejąc się przy tym szyderczo i psując pogodny nastrój.

Stephen milczał przez cały czas, zajęty jakimiś własnymi ponurymi myślami, a Aubrey poweselał dopiero na widok stojącego na pomoście Pullingsa. Młody porucznik czekał w towarzystwie swych rodziców i narzeczonej — słodkiej panny o różowej buzi. Dziewczyna miała koronkowe rękawiczki, olbrzymie błękitne oczy i wydawała się śmiertelnie przerażona. „Chętnie zabrałbym ją do domu i trzymał jako pokojowe zwierzątko" — pomyślał Jack, przyglądając się jej życzliwie.

Stary pan Pullings był rolnikiem z okolic New Forest, przywiózł ze sobą kilka prosiąt, trochę należącej do króla dziczyzny i faszerowane bażanty w galarecie — olbrzymi półmisek, który z trudem zmieścił się na oddzielnym stole. Oberżysta przygotował zupę żółwiową, wino i ryby. Pozostałymi gośćmi byli znacznie młodsi od Jacka porucznicy i oficerowie nawigacyjni, przyjęcie rozpoczęło się więc w raczej pogrzebowym nastroju. Wszyscy siedzieli w milczeniu, bardzo sztywni i oficjalni. Pan Pullings okazał się wyjątkowo nieśmiałym człowiekiem i tylko raz wspomniał coś o swojej wdzięczności dla kapitana Aubreya. Mówił jednak tak monotonnie i cicho, że Jack nie był w stanie

zrozumieć nawet połowy tej wypowiedzi. Podziwiał za to wprawę, z jaką starszy pan bez słowa opróżnia kolejne kieliszki. Młodzi ludzie dawali tymczasem upust swym wilczym apetytom (było już przecież dawno po obiedzie) i prawdopodobnie dlatego na sali wciąż było tak cicho. Już jednak wkrótce odezwały się przytłumione rozmowy, wybuchy śmiechu, wszyscy stawali się coraz bardziej weseli. Jack musiał jednak na razie zainteresować się słowami pani Pullings. opowiadającej poufnym tonem o tym, jak to jej Tom uciekł na morze: „Bez świeżej bielizny i zapasowych ubrań, biedak, nie miał nawet porządnych wełnianych pończoch..."

— Trufle! — zawołał Stephen w pewnej chwili, zajęty gigantyczną potrawą. Było to popisowe danie pani Pullings (młode bażanty, pozbawione kości, nafaszerowane truflami i zalane galaretką z własnej krwi. wymieszanej z maderą oraz wywarem z cielęcych nóżek). — Trufle! Kochana pani, gdzie udało się pani je znaleźć? — Doktor triumfalnym gestem uniósł w górę widelec z kawałkiem grzyba.

— Chodzi panu o farsz? Mamy starą świnię, która dziesiątkami wygrzebuje je na skraju lasu...

Uwagę doktora i starszej pani zajęły teraz trufle, podgrzybki, opieńki i olszówki (całkiem jadalne, oczywiście nie w nadmiarze: zdarzyło się już kilka przypadków konwulsji lub trwającej dwa do trzech dni sztywności karku — naprawdę nic groźnego). Rozmowa o grzybach trwała aż do chwili, gdy zwinięto obrus. Panie udały się do swoich pokoi i na stołach pojawiły się butelki porto. Przestały być teraz ważne stopnie oraz rangi. Pewien młody człowiek siedział rozparty na krześle i zachowywał się jak dostojny, dowodzący flotą admirał. W rozjaśnionym migotliwym światłem świec wnętrzu gospody zapanował wesoły, pogodny nastrój — Jack przestał wreszcie martwić się o to, jak .„Polychrest" zachowa się przy silniejszym wietrze. Zapomniał o stateczności, balaście, trymie. konstrukcji, załodze, zapasach na rejs. Znów był beztroskim porucznikiem — awansował przecież nie tak dawno...

Wypili zdrowie króla, pierwszego lorda Admiralicji (najgłośniej domagał się tego Pullings), lorda Nelsona (trzy razy), wznieśli toasty za żony, narzeczone, pannę Chubb (różowa buzia) i inne młode damy. Odnieśli starego pana Pullingsa do łóżka i zaczęli śpiewać.

Krzykniemy pełną piersią jak prawdziwi marynarze.

Pożeglujemy daleko przez słone morza.

Aż sięgniemy sondą dna u angielskich brzegów.

Od Ushant do Scilly to tylko sto mil.

Żeglowaliśmy, chłopcy, aż wiatr uderzył z south westu.

Żeglowaliśmy, aż sonda porządnie sięgnęła dna.

Wtedy po zwrocie wypełniły się żagle

I ruszyliśmy kursem wprost w górę przez Kanał.

Krzykniemy pełną piersią...

Jedna za drugą rozbrzmiewały marynarskie piosenki. W izbie panował nieopisany hałas i tylko Stephen zauważył, iż drzwi powoli uchyliły się na tyle, by Scriven mógł ostrożnie zajrzeć do środka. Doktor w ostrzegawczym geście położył dłoń na ramieniu Jacka — podochoceni żeglarze śpiewali nadal, gdy drzwi rozwarły się z trzaskiem na całą szerokość, a do środka wbiegli egzekutorzy.

— Pullings, załatw tego łajdaka z laską! — zawołał Stephen, rzucając im krzesło pod nogi i chwytając wpół mężczyznę ze złamanym nosem.

Jack rzucił się do okna, otworzył je błyskawicznym ruchem i wskoczył na parapet. Stał tam teraz, balansując, a za jego plecami egzekutorzy przepychali się przez tłum. Z pełną desperacji nadzieją na twarzach wyciągali w stronę okna swe laski, za wszelką cenę próbując dotknąć uciekającego człowieka. Silni, uparci, nie zwracali uwagi na obejmujące ich ramiona i zagradzających drogę młodych ludzi. Nagroda była wysoka, a nawet jedno dotknięcie równało się prawomocnemu aresztowaniu. Skłębiona gromada powoli przesuwała się więc coraz bliżej Jacka, który w ostatniej chwili zdołał jakoś złapać równowagę i jednym susem znalazł się wreszcie na szerokim gzymsie. Przełożony egzekutorów był jednak bardzo sprytnym człowiekiem — zostawił kilku ludzi na zewnątrz. Wszyscy oni stali teraz pod oknem, z zadartymi w górę głowami.

— Niech pan skacze, sir. Złapiemy pana, to tylko jedno piętro —-wołali szyderczo. Przylepiony do ściany Jack spojrzał w stronę pomostu i lśniącej w ciemnościach wody. Gdzieś tam, w łodzi, powinni czekać marynarze, zajęci wysłanym im piwem i pieczonym prosięciem. Na Bondenie można było chyba polegać? Aubrey nabrał powietrza w płuca.

— „Polychrest"! — ryknął donośnym głosem. Okrzyk wrócił odbity echem od strony Portsmouth, beztroskie rozmowy w szalupie ucichły jak ucięte nożem. — „Polychrest"!

— Sir? — z mroku doleciał głos Bondena.

— Natychmiast zameldujcie się koło gospody, słyszysz mnie? Migiem! Weźcie ze sobą rozpórki z łodzi!

— Tak jest, sir!

Już po chwili w szalupie nie było nikogo. Skoro potrzebne były rozpórki — długie kawałki drewna, na których wioślarze opierali nogi — na pewno szykowała się niezła zabawa. Kapitan najprawdopodobniej wcielał jakichś pechowców do służby. Wszyscy marynarze z szalupy trafili na morze właśnie w ten sposób i nie zamierzali teraz stracić ani sekundy zabawy.

Na ścieżce zadudniły kroki, z tyłu, w izbie, słychać było przekleństwa i trzask łamanych krzeseł.

— Tutaj, tutaj, pod okno! — zawołał Jack, a jego ludzie stanęli tam posłusznie. Spoceni i zdyszani ze zdumieniem spoglądali w górę. — Dobrze! Zróbcie teraz koło! Bliżej ściany! — Skoczył, wstał szybko i polecił: — Do łodzi, prędko...

Stojący obok ludzie komornika cofnęli się w pierwszej chwili, lecz z gospody wybiegł właśnie ich przełożony, a za nim pozostali egzekutorzy.

— Z drogi, z drogi, w imię prawa! — wołał komornik, wymachując laską. Jego podwładni zwarli szeregi i na ścieżce słychać było teraz ciężkie oddechy walczących ludzi, głuche ciosy, szamotaninę i uderzenia drewna o drewno. Otaczający Jacka ciasnym pierścieniem marynarze powoli posuwali się w stronę morza.

— W imię prawa! —zawołał znowu komornik, kolejny raz z wielką desperacją próbując dosięgnąć Jacka.

— Lewa i prawa! — uderzając, zawołał któryś z marynarzy, a odpychający komornika Bonden zdołał wyrwać swemu przeciwnikowi laskę z dłoni i natychmiast wyrzucił ją daleko do wody.

— Ostrożnie, bracie, straciłeś swą władzę! — powiedział głośno. — Mogę ci teraz przyłożyć! Uważaj, ostrzegam! A może chcesz wrócić do domu z płaczem?

Komornik warknął coś cicho, wyjął spod płaszcza krótką pałkę i rozwścieczony znów rzucił się w stronę Jacka.

— Myślisz, że jesteś sprytny, co? — zapytał Bonden, uderzając trzymaną w ręce rozpórką. Mężczyzna upadł w błoto, prosto pod nogi Pullingsa i jego przyjaciół wybiegających z gospody. Widząc to, pozostali egzekutorzy rozpierzchli się w popłochu, grożąc wezwaniem na pomoc kolegów, warty portowej i wojska. Na ziemi pozostały dwa bezwładne ciała.

— Panie Pullings, proszę wcielić tych ludzi do służby. Tego tutaj, w błocie, również. Macie jeszcze dwóch? Bardzo dobrze. Jesteśmy wszyscy? Zawołajcie doktora. Ach, jesteś tutaj? Zepchnąć łódź! Razem. Z życiem! Zwłaszcza z tego jednego będzie doskonały marynarz — mruknął do siebie. — Musi się tylko przyzwyczaić. To naprawdę kawał chłopa!

Gdy zabrzmiały dwie szklanki porannej wachty, „Polychrest" żeglował bezgłośnie po zimnym, szarym morzu. O północy wiatr zmienił kierunek na południowo-wschodni i Jack pomimo niekorzystnego pływu natychmiast polecił odcumować okręt — nie wolno było stracić ani minuty, gdyż o tej porze roku nie sprzyjające wiatry potrafiły unieruchomić stojące w porcie jednostki nawet na kilka tygodni. Na szczęście na razie wiała tylko lekka bryza, której podmuchy nie zdołały nawet rozpędzić mgły lub mocniej zmarszczyć powierzchni długich martwych fal, przychodzących od strony oceanu. Pogoda pozwalała na postawienie wszystkich żagli, lecz „Polychrest" płynął jedynie pod marslami — sunął majestatycznie i powoli, jak biała zjawa, a woda z ledwo słyszalnym sykiem przelewała się wzdłuż burt.

Kapitan stał na pokładzie rufówki, na nawietrznej — w sztormowym ubraniu wydawał się wyższy i potężniejszy niż zwykle. Słysząc odgłos wyrzucanego za burtę logu oraz okrzyki oznajmiające początek i koniec odmierzania czasu, odwrócił głowę.

— Panie Babbington, ile wyszło? — zapytał głośno.

— Dwa węzły i trzy sążnie, sir.

Jack skinął głową. Gdzieś we mgle, z lewej strony przed dziobem, powinny być skały Selsey Bill i

może okazać się, że już wkrótce trzeba będzie wykonać zwrot. Na razie wciąż zostawało jednak jeszcze sporo wolnego miejsca na ewentualny manewr — na zawietrznej stale słychać było nawoływania z łowiących przy brzegu rybackich łodzi, a od strony morza co kilka minut rozlegał się armatni wystrzał — na pewno jakiś okręt wojenny zmierzał w kierunku Portsmouth, przeciwnym kursem. Dziobowa karonada „Polychrest" odpowiadała w regularnych odstępach, odpalając zmniejszone do jednej czwartej ładunki.

„Jedyna korzyść z tego, że do rana czterech ludzi nauczy się obsługiwać działo" — pomyślał Aubrey.

Raczej niedobrze się złożyło, że przyszło mu wypróbować okręt akurat teraz, gdy mgła przesłoniła horyzont. Nie przejmował się jednak tym zbytnio; ważne, że daleko z tyłu została ta nieprzyjemna awantura w Gos-port oraz ewentualne związane z nią komplikacje. Zyskiwał w ten sposób na pewno na czasie, a przecież od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał „Polychrest", tak bardzo chciał sprawdzić, jak ta niezwykła jednostka zachowuje się na wodzie. Pierwsze obserwacje nie były zbyt pocieszające. Slup poruszał się naprawdę dziwnie — jak nerwowy koń, który za chwilę ma zamiar zrzucić jeźdźca. Pokład drżał niepokojąco, a kadłub podnosił się i opadał na fali w naprawdę niespotykany sposób, z podejrzanym obrotem.

Pierwszy nawigator, pan Goodridge, stał przy sterniku wpatrzony w podświetloną tarczę kompasu — był bardzo zrównoważonym starszym mężczyzną i naprawdę doświadczonym żeglarzem. W swoim czasie pełnił funkcję pierwszego nawigatora na okręcie liniowym, został jednak zdegradowany za bójkę z kapelanem. Zupełnie niedawno odzyskał swą dawną rangę. Podobnie jak kapitan bardzo interesował się teraz zachowaniem „Polychrest".

— I co pan powie, panie Goodridge? — zagadnął Jack, stając za sterem.

— Cóż, sir. Na razie trudno powiedzieć, nigdy jednak z czymś podobnym się nie spotkałem...

Aubrey położył dłonie na kole. Rzeczywiście. Nawet przy tak spokojnej żegludze poczuł silny opór: okręt za wszelką cenę chciał ustawić się dziobem do wiatru. Jack pozwolił na to — gdy żagle miały już załopotać, parcie na ster ustąpiło nagle, zmienił się również rytm owego szczególnego, obrotowego kołysania. W pierwszej chwili trudno było zrozumieć, co się dzieje i dowódca przez chwilę stał nieruchomo, próbując rozwiązać tę zagadkę. Powoli wychylając ster, skierował „Polychrest" na poprzedni kurs. Wszystko wskazywało na to, że jednostka ma nie jedną, lecz kilka osi obrotu: dwie, może nawet trzy... Z pewnością po postawieniu foka, kliwra i zrefowaniu stermarsla nie będzie aż tak nawietrzna. Jak jednak wytłumaczyć tak ociężałą reakcję na wychylenia steru? Czasami wręcz brak reakcji?

— Trzy cale wody w zęzach, sir — zameldował pomocnik cieśli, wracający z rutynowego obchodu.

— Trzy cale wody w zęzach, jeśli pan pozwoli, sir — pan Goodridge zameldował kapitanowi.

— W porządku — odpowiedział Jack. Nie było więc na razie powodów do niepokoju, choć oczywiście okręt jak dotąd nie żeglował jeszcze po wzburzonym morzu. Tak czy inaczej, pomimo zainstalowania niezwykłych przesuwnych stępek oraz niedbalstwa i pośpiechu stoczniowców, woda nie przedostawała się na razie strumieniami do kadłuba. — Na pewno uda nam się w końcu jakoś

znaleźć najkorzystniejszy trym... — powiedział kapitan do pierwszego nawigatora i wrócił na swoje miejsce przy relingu. Po chwili zaczął spacerować tam i z powrotem, tak jak to robił na swojej małej „Sophie". Jego umysł, zmęczony wczorajszą awanturą i niesamowitym zamieszaniem podczas odcumowywania, zajął się teraz problemem sił działających na żeglujący okręt.

Z komina kuchennego pieca poleciał w stronę rufy biały obłoczek dymu (kucharz rozpalił właśnie ogień), zapachniało śniadaniem, a na dziobie odezwały się pompy zęzowe. Aubrey chodził w kółko, z założonymi z tyłu rękami, chowając brodę w ciepłym szaliku. Wyobraził sobie kadłub „Polychrest" — widział teraz wszystko w myślach bardzo wyraźnie, jak na trzymanym w dłoni modelu. Zaczął zastanawiać się nad możliwymi przyczynami takiej a nie innej reakcji jednostki na wiatr, prąd i falę, nad wpływem skomplikowanych zawirowań tworzących się przy tak dziwnie umieszczonych płetwach sterowych...

Marynarze z wachty rufowej polewali pokład wodą, starając się nie przeszkadzać kapitanowi, zaraz potem pojawili się ludzie z piaskiem do szorowania. Od samego rana ich pracą osobiście kierował bosman Malloch, niski, krępy mężczyzna o byczym karku, kiedyś pomocnik bosmana na wspaniale utrzymanej fregacie „Ixion". Z forkasztelu słychać było jego okrzyki i uderzenia trzciną. Na pewno przywoływał kogoś do porządku. Przez cały czas monotonnie odzywała się kanonada, w oddali coraz ciszej rozbrzmiewały armatnie wystrzały mijanego okrętu wojennego i portowe sygnały mgłowe. Na dziobie człowiek z sondą charakterystycznym zaśpiewem podawał głębokość:

— Dziewięć... hojo, hojo... dziewięć i pół...

Szczególne znaczenie ma na pewno pochylenie masztów. To jasne... W tych sprawach Jack kierował się bardziej intuicją niż wiedzą. Paduny wyimaginowanego modelu „Polychrest" naprężyły się, maszty zostały ustawione pod właściwym kątem i jakiś wewnętrzny głos powiedział. „Tak trzymać!" Marynarze rozpoczęli cegiełkowanie: pokłady bardzo tego potrzebowały, po bałaganie, jaki panował na okręcie przez kilka ostatnich dni. Jack poczuł nagle, że nareszcie znalazł się w swoim naturalnym środowisku. Te czynności, odgłosy, zapachy i niezliczone drobne problemy znał przecież od dzieciństwa. Nie znaczyło to oczywiście, iż nie odpowiada mu pobyt na lądzie — rozrywki, przyjemności — zbyt wiele jednak było tam różnorodnych, niepotrzebnych komplikacji i trudności: chwilami nie umiał się w tym wszystkim połapać. Życie na morzu pod pewnymi względami mogło wydawać się znacznie trudniejsze, lecz zawsze przecież wiedział dokładnie, jak należy radzić sobie w różnych sytuacjach. Największa różnica polegała chyba na tym, że... Coś było nie tak. Aubrey nie był z początku w stanie powiedzieć, co go zaniepokoiło. Spojrzał szybko w kierunku dziobu, potem w stronę rufy. Rybackie łodzie, żeglujące dotąd równoległymi kursami, zostały z tyłu. Nawoływania słychać było teraz za rufą, blisko kilwateru. Selsey Bill znajdowały się już chyba niedaleko przed dziobem, nadszedł więc moment, w którym należało wykonać zwrot. Niedobrze — ludzie pracowali i lepiej byłoby poczekać, aż na pokładzie pojawi się nowa wachta. Kto wie jednak, czy „Polychrest" nie miał większego dryfu, niż można było się spodziewać — tylko głupiec ryzykowałby bezpieczeństwem okrętu wyłącznie po to, by załoga dokończyła sprzątanie.

— Zrobimy teraz zwrot, panie Goodridge — Jack polecił zdecydowanym tonem.

Odezwał się bosmański gwizdek. Miotły, szczotki, wiadra, mopy, cegiełki i mosiężne wióry natychmiast powędrowały na bok.

— Do zwrotu! Wszyscy na pokład! — Pomocnicy bosmana krzyknęli w głąb zejściówek, a potem popędzili na dół budzić śpiochów (kilku wyczerpanych pracą, morską chorobą oraz rozłąką z rodziną ludzi, którzy nie wstali jeszcze pomimo łoskotu strzelającej bez przerwy karonady i dudniących echem odgłosów cegiełkowania pokładu). Doświadczeni żeglarze znaleźli się na swych miejscach już po dziesięciu minutach: Pullings i bosman na forkasztelu; artylerzysta z pomocnikami przy brasach grotrei; cieśla przy szotach foka; żołnierze piechoty morskiej przy szotach grota; marynarze z wachty marsa grotmasztu i wachty rufowej przy brasach żagli stermasztu. Byli gotowi na długo przedtem, zanim ostatni na wpół ubrany szczur lądowy został przekleństwami i uderzeniami bata zapędzony na swoje miejsce.

— Sternik odpadać... Dość! — Kapitan zawołał do człowieka stojącego za kołem sterowym i czekał teraz, aż skończy się przedstawienie na śródokręciu. Pomocnik bosmana okładał swym „przekonywaczem" byłego egzekutora długów, pomagając biedakowi zrozumieć różnicę między sztagiem i buliną. Okręt rozpędzał się powoli, na pokładach zapanował jaki taki prządek i Jack uznał, że nadeszła już odpowiednia chwila;

— Do zwrotu przez sztag — zawołał głośno.

— Jest do zwrotu przez sztag, sir — padła odpowiedź.

— Z wyczuciem teraz — kapitan powiedział cicho do sternika i zawołał: — Ster na nawietrzną! Szoty fokmarsla, fokmarsabulina, szoty sztaksli... luz! — Wydęte wiatrem przednie żagle skurczyły się i obwisły. Okręt łagodnym łukiem zbliżał się do linii wiatru.

— Wyluzować halsy i szoty!

Załoga czekała teraz na najważniejszy rozkaz, po którym obrócą się reje. Na pokładach zapanowała absolutna cisza. Ludzie nie spieszyli się zbytnio, gdyż kurs zmieniał się bardzo powoli. „Na szczęście" — pomyślał Jack, obserwując niezdarne ruchy kilku poborowych, niemrawo przenoszących szoty na drugą stronę sztagów.

Martwa fala przychodziła teraz coraz bardziej od strony dziobu, z lewej strony, wyraźnie powstrzymując bieg płynącej i tak bardzo wolno jednostki. Do linii wiatru zostały już tylko dwa rumby, rumb i pół... Aubrey miał już w ustach następną komendę, gdy uświadomił sobie, że ów charakterystyczny odgłos z lewej strony tuż za trawersem, tak dobrze słyszalny w pełnej wyczekiwania ciszy, to fale łamiące się na skałach Selsey Bill. Dryf był więc dwa, a nawet trzy razy większy, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. W tej samej chwili w ruchu okrętu nastąpiła gwałtowana zmiana — pojawiła się jakaś dziwna ociężałość — i już w następnej sekundzie Jack zrozumiał, że „Polychrest" nie przejdzie linii wiatru. Nie było mowy o tym, by żagle po przebrasowaniu wypełniły się wiatrem i pozwoliły pożeglować na otwarte wody.

Okręt, który nie jest w stanie wykonać zwrotu przez sztag, powinien zmienić hals zwrotem przez rufę. Należy wtedy odpaść od wiatru i zatoczyć szerokie koło z powrotem, czekając, aż wiatr znajdzie się za rufą, i przejdzie wreszcie w stronę dziobu. Potrwa to na pewno bardzo długo, będzie też z pewnością wymagało sporo wolnego miejsca. W tym akurat przypadku, przy takim prądzie oraz fali, „Polychrest" zdryfuje prawie milę z wiatrem, zanim zdoła skierować się na otwarte wody kanału.

Slup szybko tracił prędkość. Żagle łopotały bezładnie w głuchej ciszy, fale powoli spychały jednostkę w stronę niewidocznego we mgle brzegu. Jack rozważał szybko kolejne ewentualności: mógł postawić dodatkowy żagiel, odpaść, rozpędzić się i jeszcze raz spróbować przejść przez linię wiatru; mógł zaryzykować zwrot przez rufę, stając ewentualnie na kotwicy, gdyby brzeg znalazł się niebezpiecznie blisko — oznaczałoby to jednak niepotrzebną stratę czasu. Trzecia możliwość to manewr wycofania się, wykonywany z żaglami pracującymi na wiatr. „Czy tak niedoświadczona załoga zdoła wykonać podobną operację?" — Myślał bardzo szybko, a równocześnie pewna część jego świadomości buntowała się przeciwko temu, co się stało. To przecież bardziej niż irytujące i naprawdę niesprawiedliwe. Okręt nie może wykonać zwrotu przez sztag przy takim wietrze! Nieprawdopodobne! Wręcz trudno w coś podobnego uwierzyć — los potrafi jednak czasem być aż tak złośliwy. Najwyraźniej „Polychrest" ma dołączyć do eskadry z nieuzasadnionym opóźnieniem, co pozwoli admirałowi Harte nazwać Jacka nieudolnym dowódcą, złym żeglarzem, sybarytą i awanturnikiem. Najgorsze, że te nikczemne zarzuty, stawiane przez znienawidzonego człowieka, trzeba będzie przyjąć z pełnym pokory milczeniem. Stanowiło to jedyne w tej chwili realne zagrożenie — morze jak na razie nie było groźne.

Przez krótką chwilę Jack pogrążony był w podobnych rozmyślaniach, przerwał je jednak odgłos wrzucanej do wody sondy i monotonne wołanie podającego głębokość człowieka:

— Dokładnie osiem... Siedem i pół... — Aubrey podjął już decyzję. Zaryzykuje i spróbuje obrócić się z pracującymi do tyłu żaglami. Donośnym głosem wydawał kolejne komendy:

— Grotmarsel i stermarsel na gejtawy... Wybierać nawietrzny szot fokmarsla... Fokmarsel prawo na wiatr! Żwawiej tam, przy tym brasie. Ruszać się na forkasztelu!

Okręt zatrzymał się w miejscu, tak jakby uderzył w olbrzymią niewidzialną poduszkę i powoli zaczął posuwać się do tyłu — kapitan czuł to pod stopami. Za sprawą odpowiednio ustawionych przednich żagli i wychylonego na zawietrzną steru dziób powoli zbliżał się do linii wiatru.

— Brasować na trawers grot i fokreję! Biegiem do brasów! Ostrzenie do linii wiatru raczej się „Polychrest" nie udawało, lecz dzięki dziwacznej, identycznej jak dziób rufie, doskonale wychodziła teraz żegluga do tyłu. Jack po raz pierwszy w życiu widział coś podobnego.

— Osiem i pół...

Okręt wciąż się cofał i obracał. Dziób dawno już przeszedł linię wiatru, wiejącego teraz wzdłuż ustawionych prostopadle do osi statku rej. Marsle łopotały, wiatr stopniowo przesuwał się za trawers, w stronę rufy i według wszelkich reguł żeglujący tyłem slup powinien zacząć wytracać prędkość. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Na polecenie kapitana marsle wypełniły się wiatrem, ster został wychylony na nawietrzną — jednostka nadal sunęła tyłem, na przekór naukowym zasadom, logice i zdrowemu rozsądkowi. Jack poczuł, że chwieją się fundamenty całego jego świata. Kątem oka schwycił ogłupiałe, wręcz przerażone spojrzenie pierwszego nawigatora. Na szczęście ów sprzeczny z naturą stan rzeczy nie trwał długo: maszty zaskrzypiały cicho, jęknęły napinające się liny. Okręt znieruchomiał na moment i bardzo wolno ruszył naprzód, ociężale obracając się od kursu idealnie z wiatrem do pełnego baksztagu. Po chwili rozwinięto podniesione na gejtawach żagle, potem podał sternikowi nowy kurs, zwolnił odpoczywającą wachtę pod pokład i z ulgą zszedł do

swojej kabiny. Znów obowiązywał naturalny porządek wszechświata i slup spokojnie żeglował ostro na wiatr, zmierzając w kierunku otwartego morza. Załoga nie spisała się w sumie aż tak źle: właściwie nie można było mówić o jakiejś niepotrzebnej stracie czasu. Istniała też przecież poważna nadzieja na to, że steward zdołał w tym czasie zaparzyć porządną kawę... Jack usiadł na wyścielanym blacie szafki i oparł się mocno o gródź, tak by nie przeszkadzało mu kołysanie. Nad głową słychać było bieganie buchtujących liny ludzi, potem na nowo rozpoczęło się szorowanie pokładu. Dudniący łoskot przesuwanego po deskach olbrzymiego bloku piaskowca, obciążonego dodatkowo armatnimi kulami, rozległ się w odległości zaledwie osiemnastu cali od uszu Jacka, który słysząc to, mrugnął tylko dwa lub trzy razy i zasnął z błogim uśmiechem.

Spał nadal, gdy gwizdki wezwały ludzi na obiad. Oficerowie „Polychrest" zasiedli w mesie do wieprzowej szynki ze szpinakiem i Stephen po raz pierwszy miał okazję zobaczyć ich wszystkich razem. Wszystkich, z wyjątkiem Pullingsa, który pełnił teraz wachtę i spacerował po pokładzie rufówki z założonymi na plecach rękami — za wszelką cenę starał się naśladować kapitana. Młody porucznik był w tej chwili bardziej niż szczęśliwy, nawet na moment nie zapominał jednak o srogiej i nieprzystępnej minie.

Honorowe miejsce zajął przy stole pan Parker. Stephen widział go wiele razy w ciągu kilku ostatnich dni: wysoki, szczupły, wiecznie niezadowolony. Raczej przystojny, jeśli pominęło się skrzywioną stale twarz. Obok, ubrany w czerwony mundur, siedział porucznik piechoty morskiej — ciemnowłosy Szkot z Hebrydów. Miał tak poznaczone przez ospę czoło i policzki, że trudno było w pierwszej chwili odgadnąć, w jakim zwykle znajdował się nastroju. Sądząc z zachowania, pochodził jednak na pewno z bardzo dobrego domu. Nazywał się Macdonald. Siedzący przy nim z drugiej strony pan Jones, ochmistrz, również miał ciemne włosy, na tym jednak kończyły się wszelkie podobieństwa. Był małym, przygarbionym człowieczkiem, o obwisłych policzkach i szerokich ustach. Jego twarz miała kolor białego sera — tak samo białe było również wysokie czoło, łączące się z rozległą, sięgającą aż do uszu łysiną. Dookoła niej rosły długie, rzadkie, spadające aż na kark włosy. Gładkie jak wosk policzki wydawały się nienaturalnie sine — najwidoczniej pan Jones miał bardzo silny zarost. Całym swym wyglądem przypominał drobnego sklepikarza. Trudno byłoby zresztą powiedzieć o nim coś więcej, gdyż na widok szpinaku gwałtownie wstał (odbiło mu się przy tym głośno), chwiejąc się, wybiegł na rufową galeryjkę i już więcej się nie pokazał. Dalej siedział pierwszy nawigator, wciąż ziewający po porannej wachcie: drobny, siwy mężczyzna o jasnoniebieskich oczach. Od początku posiłku prawie się nie odzywał. Stephen również, zgodnie ze swoim zwyczajem, jadł w milczeniu. Pozostali siedzący przy stole ludzie próbowali bardzo ostrożnie wysondować swych nowych kolegów, lecz wszyscy wiedzieli przecież, że doktor jest bliskim przyjacielem kapitana i prawdopodobnie dlatego rozmowy z początku raczej się nie kleiły.

Zaspokoiwszy swój apetyt, Maturin zapragnął jednak dowiedzieć się czegoś ciekawego, odłożył więc na bok sztućce i ostrożnie zagadnął pierwszego nawigatora:

— Przepraszam pana bardzo... Czy mógłby pan wyjaśnić mi, do czego służy taka dziwna, pochylona i wyłożona metalem tuba tuż przed drzwiami mojego magazynku?

— No cóż, doktorze... — pan Goodridge odpowiedział z wahaniem. — Nie wiem, jak można by nazwać coś aż tak szkaradnego, tym bardziej nie mam też pojęcia, czemu dokładnie miało to służyć. Stoczniowcy mówili, że to jakaś komora spalania, podejrzewam więc, że właśnie tam

przechowywano ową sekretną broń. Wylot tej tuby znajdował się na pokładzie, dokładnie w miejscu, gdzie teraz jest forkasztel.

— Sekretna broń? Jaka? — zainteresował się Macdonald.

— Coś w rodzaju rakiety, jak mi się zdaje.

— Zgadza się — powiedział pierwszy porucznik. — Olbrzymia raca, tylko bez pręta pełniącego normalnie rolę wyrzutni. Wyrzutnia miała być umieszczona w kadłubie okrętu... Te podnoszone pochylnie, na których teraz leżą kule, pozwalały przesuwać ją w stronę dziobu lub rufy, w ten sposób umożliwiając celowanie. W zamierzeniach taka rakieta byłaby w stanie zniszczyć z odległości mili okręt liniowy pierwszej klasy. Wyrzutnia musiała jednak być umieszczona na śródokręciu, aby zminimalizować wpływ kołysania. Dlatego dodatkowo przewidziano cały ten system wysuwanych stępek i sterów.

— Jeśli kaliber tego rakietowego pocisku miał odpowiadać średnicy metalowej tuby, o której wspomniał doktor, po wystrzale musiałby nastąpić wręcz niewyobrażalnie silny odrzut — zauważył Macdonald.

— To prawda — zgodził się pan Parker. — Właśnie dlatego zaprojektowano ostrą, podobną do dziobu rufę. Przy tak potężnym odrzucie okręt cofnąłby się bardzo gwałtownie, a opór wody zmiażdżyłby belki typowego, tępo zakończonego z tyłu kadłuba. I tak budowniczowie „Polychrest" musieli wykonać z tyłu dodatkowe wzmocnienia, mające przyjąć na siebie pierwsze uderzenie. Poszły na to olbrzymie ilości drewna... — Pierwszy porucznik wyjaśnił, że w próbach z sekretną bronią uczestniczył pewien zaprzyjaźniony z nim wysoki urzędnik państwowy. Według relacji owego dostojnika po pierwszym odpaleniu rakiety, które zresztą zakończyło się śmiercią jej konstruktora, okręt z potężną siłą odskoczył do tyłu, cofając się o całą długość, a kadłub zanurzył się aż do międzypokładu. Wysoko postawiony przyjaciel pana Parkera od początku był przeciwny podobnym próbom, tak samo zresztą jak obecny na owym tragicznym pokazie pan Congreve, który już wcześniej stwierdził, że nic z tego wszystkiego nie wyjdzie... Tak się też stało. Tego rodzaju innowacje zwykle do niczego nie prowadzą. Pan Parker przeciwny był jakimkolwiek zmianom w uświęconym wiekową tradycją porządku rzeczy. Wszelkie niepotrzebne reformy szkodzą tylko królewskiej marynarce. Nie ufał nawet tym nowoczesnym zamkom skałkowym, choć musiał przyznać, że wypolerowane całkiem nieźle prezentowały się podczas inspekcji.

— Jak zginął ów nieszczęsny wynalazca? — zainteresował się pierwszy nawigator.

— Wygląda na to, że osobiście odpalał lont. Gdy wystrzał nie nastąpił, biedak wsadził głowę do komory, chcąc sprawdzić, co się stało. I wtedy nastąpiła eksplozja.

— To przykre... — westchnął pan Goodridge. — Jeśli już jednak tak właśnie miało się stać, szkoda, że przy okazji nie wysadził w powietrze całego okrętu. Nigdy jeszcze nie widziałem tak nieruchawej łajby, choć jako dziecko pływałem nawet w balii. Między St Helen a Bill zdryfowaliśmy więcej niż jakaś sklecona byle jak tratwa; nie pomogły tu wysuwane miecze, specjalny kształt dna i te dodatkowe przesuwne stępki. Nasza wspaniała jednostka ledwo porusza się do przodu, wlekliśmy się przecież jak na pogrzebie... Jakby tego wszystkiego było mało, przy słabiutkim wietrze i morzu

spokojnym jak staw koło wiejskiego młyna nie mogliśmy wykonać zwrotu przez sztag. Co ciekawe, właściwie nie ma też żadnej rady na te kaprysy. Przychodzi mi tu od razu na myśl moja pani Goodridge — cokolwiek byś robił, zawsze jest niezadowolona i coś jej przeszkadza. Gdybyśmy się w porę nie cofnęli, koniec mógł być naprawdę żałosny. Muszę przyznać, że nasz kapitan poradził sobie naprawdę po mistrzowsku. Ja nie odważyłbym się na podobny manewr, zwłaszcza z tak niedoświadczoną załogą. Nie myślałem, że jakakolwiek jednostka może równie sprawnie żeglować do tyłu. Tak jak pan powiedział, sir, ten okręt zbudowano chyba tylko po to, by się dobrze cofał... Myślałem, że zatrzyma się dopiero na francuskim brzegu. Moim zdaniem jest zupełnie do niczego, powinniśmy dziękować Bogu, że dowodzi nami naprawdę doświadczony żeglarz. Co jednak będzie, gdy trafimy na silniejszy sztorm? Na co mamy wtedy liczyć? Na pomoc archanioła Gabriela? Kanał nie jest dla nas wystarczająco szeroki, nasz wspaniały okręt mógłby bezpiecznie żeglować dopiero na Oceanie Indyjskim i to w najszerszym miejscu.

Jakby na poparcie słów pierwszego nawigatora, okręt zaczął kołysać się coraz bardziej — pojemnik z pieczywem zleciał na podłogę, a młody podchorąży wpadł do kabiny Jacka, przynosząc wiadomość, że wiatr zmienia kierunek na wschodni. Chłopiec był mały, z mysią twarzą i w paradnym mundurze. U boku miał kordzik — na pewno spał z nim nawet.

— Dziękuję panu, panie... —Jack zawiesił głos. — Nie przypominam sobie pańskiego nazwiska.

— Parslow, sir, jeśli pan pozwoli...

Oczywiście. Protegowany samego komisarza, syn wdowy po oficerze marynarki.

— Co pan zrobił ze swoją twarzą, panie Parslow? — zapytał kapitan, patrząc na podłużną, głęboką ranę, biegnącą w poprzek gładkiego

policzka od ucha aż do podbródka.

— Goliłem się, sir — oświadczył młody pan Parslow z nie skrywaną dumą. — Goliłem się, gdy nadeszła taka ogromna fala...

— Proszę to pokazać doktorowi i powiedzieć mu, że byłoby mi bardzo przyjemnie, gdyby zechciał wypić ze mną herbatę. Dlaczego ma pan na sobie wyjściowy mundur?

— Powiedziano mi, że powinienem dać przykład załodze, sir. To przecież mój pierwszy dzień na morzu...

— Bardzo dobrze. Na pańskim miejscu włożyłbym teraz jednak coś nieprzemakalnego. Proszę mi powiedzieć, czy wysłano już pana po klucz do kilsona?

— Tak, sir, szukałem wszędzie. Bonden powiedział mi, że taki klucz może mieć córka artylerzysty. Pan Rolfe bardzo się jednak zdziwił, gdy o to zapytałem i odpowiedział mi, że niestety nie ma dzieci. Nie jest żonaty.

— No cóż, trudno... Ma pan jakieś ubranie na złą pogodę?

— W moim kuferku jest całe mnóstwo przydatnych na morzu rzeczy, nie tylko ubrań. Wszystko, co tylko może być mi potrzebne: tak powiedział mamie sprzedawca w sklepie. Mam też sztormiak mojego taty...

— Pan Babbington pokaże panu, co powinien pan włożyć. Proszę mu powiedzieć, że to moje polecenie — kapitan podkreślił, przypomniawszy sobie, do jakich złośliwości zdolny jest starszy kolega pana Parslowa. — Proszę nie wycierać nosa rękawem. Dżentelmen tak się nie zachowuje.

— Przepraszam, sir.

— Niech pan już idzie... — Jack był wyraźnie poirytowany. „Kim ja jestem, do licha? Niańką?" — spytał w duchu sam siebie.

Na pokładzie powitał go deszcz ze śniegiem i bryzgi fal. Wiatr był teraz znacznie silniejszy niż rano, zmiótł z powierzchni morza mgłę i przyniósł ze sobą rozciągnięte pasma nisko zawieszonych, szarych chmur. Niebo na wschodzie pociemniało wyraźnie, a na powierzchni morza pojawiły się skierowane pod prąd, nieprzyjemne, krótkie fale. Okręt na razie trzymał kurs, lecz brał już na pokład sporo wody, pochylił się też bardzo, pomimo zredukowanych żagli, tak jakby płynął z postawionymi bombramslami. Potwierdziły się więc najgorsze obawy Jacka: dowodzona przez niego jednostka żeglowała wręcz fatalnie i na dodatek mokro. Za kołem sterowym stało dwóch ludzi. Sądząc z ich ruchów, musieli naprawdę ciężko walczyć o to, by dziób nie obrócił się w stronę wiatru.

Kapitan obejrzał tabliczkę nawigacyjną, oszacował z grubsza pozycję, uwzględniając potrójną poprawkę na dryf i postanowił wykonać zwrot dopiero za pół godziny, gdy obie wachty będą na pokładzie. Znajdowali się przecież na szerokich wodach, nie warto było więc niepotrzebnie niepokoić tych kilku dobrych ludzi, jakich miał w załodze. Niebo wyglądało zresztą raczej podejrzanie, możliwe więc, że będą mieli dzisiaj wszyscy bardzo ciężką noc. Poza tym, już niedługo trzeba będzie zdjąć na pokład bramstengi...

— Panie Parker, proszę założyć jeszcze jeden ref na fokmarslu — polecił Jack, przerywając swe rozmyślania.

Odezwał się gwizdek bosmana, stopy marynarzy zatupały po pokładzie, pierwszy oficer przez tubę wykrzykiwał rozkazy:

— Wyluzować fały! Z życiem tam, przy brasie! Panie Malloch, proszę pogonić tych ludzi! — Reje obróciły się powoli, wiatr wiał teraz równolegle do żagla i okręt wyprostował się z gwałtownym szarpnięciem. Stojący przy kompasie człowiek musiał rzucić się na pomoc sternikom, gdyż niewiele brakowało, a slup stanąłby w linii wiatru. — Na rejȩ! Dalej, z życiem! Śpicie tam? Co z tym nokbenclem? Czy ten człowiek na noku weźmie się do roboty? Proszę zapisać nazwisko tego lenia, panie Rossall. Z rei!

Jack obserwował pracujących wysoko na maszcie ludzi. Na noku rei był młody Haines, z „Lorda Morningtona": doświadczony marynarz, znał się na swojej robocie, mógłby być dobrym dowódcą podwachty żaglowej fokmasztu. Gdy powoli schodził z rei, w pewnej chwili jego stopa ześliznęła się z perty. Trzeba koniecznie poprawić tę linę, jest źle podwiązana...

— Ostatniego, który zejdzie z rei, proszę przysłać na rufę — zawołał Parker. — Niech go pan nauczy porządku, panie Malloch.

Niepotrzebne szykany. Ostatni schodzący z rei marynarz był równocześnie pierwszym, który na nią wszedł, wychodząc aż do samego noku. Służba w marynarce jest bardzo ciężka, musi taka być, czy trzeba ją jednak

dodatkowo utrudniać? Po co zniechęcać naprawdę gorliwych ludzi? Jest przecież tyle do roboty, czy warto więc, by członkowie załogi tracili siły na okładanie batem swoich towarzyszy? Łatwo byłoby zapewnić sobie teraz

tanią popularność, karcąc oficera przy tylu świadkach... Podobne postępowanie mogłoby jednak przecież przynieść katastrofalne wręcz skutki...

— Żagiel na horyzoncie — zawołał obserwator z masztu.

— Gdzie?

— Dokładnie za rufą, sir.

Już po chwili z marznącego deszczu wyłoniła się sylwetka żaglowca: fregata, żeglująca tym samym halsem co „Polychrest" i zbliżająca się bardzo szybko. Angielska? Francuska? Znajdowali się przecież całkiem niedaleko od Cherbourga.

— Proszę podnieść nasz sekretny sygnał — polecił Aubrey. — Panie Parker, czy mogę prosić o pańską lunetę?

Szybko ustawił ostrość i obserwował teraz zbliżającą się prędko jednostkę. Balansował przy tym całym ciałem, tak by skompensować kołysanie. Jedna z karonad na nawietrznej burcie „Polychrest" wystrzeliła za jego plecami i na maszcie fregaty pojawiły się kolorowe flagi: błękitna, biała, błękitna — flaglinka wygięła się z wiatrem łagodnym łukiem, wypaliło też działo.

— Proszę podać nasz numer — polecił uspokojony Jack. Wydał rozkazy w sprawie perty, polecił panu Parkerowi obserwować fregatę, odesłał Hainesa na dziób i czekał teraz spokojnie na dalszy rozwój sytuacji.

— To nie jeden, a trzy okręty — oświadczył Parker. — Myślę, że pierwszy z nich to „Amethyst".

Rzeczywiście. Trzy jednostki płynęły w szyku liniowym, idealnie jedna za drugą.

— To rzeczywiście „Amethyst", sir — powiedział podchorąży, zamykając książkę kodową i chowając ją za pazuchę. Eskadra płynęła dokładnie śladem „Polychrest", identycznym kursem. Slup dryfował jednak tak bardzo, że już wkrótce okręty przesunęły się wyraźnie na nawietrzną. Jack przyglądał się im bardzo uważnie. Bramstengi ich masztów były już na pokładzie, wszystkie trzy jednostki płynęły jednak pod pełnymi marslami — wyszkolone i sprawne załogi zrefują te żagle w mgnieniu oka. Pierwszy w szyku żeglował rzeczywiście „Amethyst", drugiego okrętu Aubrey nie potrafił rozpoznać — najprawdopodobniej była to fregata „Minerve" — trzecią jednostką okazała się

„Franchise": piękna, zbudowana we Francji i uzbrojona w trzydzieści sześć dział. Dowodził nią jego stary przyjaciel, Heneage Dundas — o pięć lat wcześniej awansowany na porucznika, trzynaście miesięcy wcześniej mianowany dowódcą okrętu, a teraz już pełny kapitan. Stale obrywał kiedyś od Jacka po głowie — mieszkali wtedy razem w kubryku podchorążych... Aubrey i teraz chętnie by mu po przyjacielsku przyłożył. Dowódca „Franchise" stał na lawecie karonady na kwarterdeku, wyraźnie uradowany i wesoło wymachiwał kapeluszem. Wiatr targał długimi jasnymi włosami Jacka, odpowiadającego przyjacielowi identycznym gestem, a na maszcie fregaty pojawił się kolorowy sygnał.

— Literowy, sir — powiedział podchorąży, szybko odczytując znaczenie kolejnych flag: —Ps... Ach, tak! Psalm. Psalm 147, 10.

— Tylko potwierdzić — polecił Jack. Nie był znawcą Biblii.

Z pokładu „Amethystu" rozległy się dwa armatnie wystrzały i fregaty jedna po drugiej wykonały zwrot, wszystkie dokładnie w tym samym miejscu, tak jakby były w jakiś niewidzialny sposób połączone ze sobą. Przypominały miniaturowe modele, przesuwane po szklanym blacie stołu. Był to naprawdę wspaniale wykonany manewr, zwłaszcza jeśli wzięło się pod uwagę stan morza i coraz silniejszy wiatr. Coś podobnego wymagało wieloletnich ćwiczeń: załogi musiały być naprawdę zgrane, a oficerowie na pewno doskonale znali swoje okręty i morskie rzemiosło.

Aubrey pokręcił głową, wciąż patrząc za znikającymi w oddali żaglowcami. Okrętowy dzwon uderzył osiem razy.

— Panie Parker... —Kapitan odwrócił się wreszcie. —Zdejmiemy na pokład bramstengi, a potem zrobimy zwrot. Przez rufę. — Zanim zdjęte drzewce znajdą się na pokładzie, ewentualni prześmiewcy zdążą już odpłynąć wystarczająco daleko...

— Przepraszam, sir, czy coś pan mówił? — zapytał z niepokojem pierwszy porucznik, potrząsając głową.

Jack spokojnie powtórzył rozkaz i stanął przy rufowym relingu, zdając się na swego zastępcę. Zerkając na kilwater, spostrzegł niewielkiego szarego ptaka, lecącego niemrawo bardzo nisko nad wodą, ze zwisającymi bezwładnie nogami. Ptak zniknął tuż przy lewej burcie i Jack ruszył w tę stronę, chcąc lepiej się przyjrzeć. Po drodze potknął się o coś miękkiego, sięgającego mu mniej więcej do kolan. Ten dziwny obiekt trochę przypominał ślimaka —jak się okazało, był to owinięty w sztywny sztormiak pan Parslow.

— Widzę, że teraz jest pan odpowiednio ubrany — zauważył kapitan, podnosząc chłopca. — Nie będzie pan na pewno tego żałował. Proszę pobiec na dół do doktora i powiedzieć, że jeśli natychmiast przyjdzie na pokład, będzie miał okazję zobaczyć z bliska petrela...

Okazało się, iż nie jest to jednak petrel, tylko jakiś jego daleki kuzyn

— tak rzadki, że Stephen długo nie był w stanie go rozpoznać. Udało mu się to dopiero w chwili, gdy dostrzegł charakterystyczne żółte nogi — ptak przelatywał wtedy ponad grzbietem wysokiej fali, tuż

przy burcie.

„To naprawdę niezwykły widok" — pomyślał doktor. „Gdyby siła czekającego nas sztormu w jakiś sposób powiązana była z ornitologiczną doniosłością podobnego spotkania, czeka nas prawdziwy huragan.

Nie będę jednak o tym głośno mówił, marynarze są przecież bardzo przesądni..."

Na dziobie rozległ się przeraźliwy trzask: fokbramstenga znalazła się na pokładzie znacznie szybciej niż na najlepszej fregacie. Pan Parker zupełnie stracił głowę, a kapitan został zmuszony do zawiłych manewrów, bardziej kojarzących się z lotem petrela niż żeglugą. Przez całą noc wiatr powoli zmieniał kierunek, przybierając na sile i nad ranem wiał już dokładnie z północy. W ciągu następnych dziewięciu dni zmieniło się bardzo niewiele. Porywisty wicher co jakiś czas obracał się to na północny wschód, to na północny zachód, pozwalając czasem na żeglugę pod mocno zrefowanymi marslami. Dziewięć dni deszczu, śniegu, bardzo wzburzonego i niebezpiecznego morza, dziewięć dni nieustannej walki z żywiołem. Na śmierć i życie. Przez cały ten czas Jack nie schodził z pokładu, a młody pan Parslow nie zdejmował ubrania. Kolejne dni przynosiły coraz bardziej ryzykowne sztormowanie na rozmaitych kursach, dryfowanie z wiatrem pod gołymi rejami, zwroty przez rufę. Słońce nie pokazało się nawet na chwilę, pozycję można więc było określić z dokładnością do co najwyżej pięćdziesięciu mil. Gdy wreszcie silny południowo-zachodni wiatr pozwolił nadrobić niewiarygodny wręcz dryf, pierwsze po tylu dniach astronomiczne obserwacje w południe pozwoliły stwierdzić, że znaleźli się dokładnie w punkcie wyjścia.

Zaraz na początku sztormu jakiś silniejszy podmuch sprawił, że okręt wyjątkowo głęboko pochylił się na zawietrzną. Ławy wantowe zanurzyły się w wodzie, a zaskoczony niespodziewanym przechyłem pan Parker spadł po stopniach w głąb głównej zejściówki, uszkadzając sobie ramię. Przez pozostałe dni złej pogody zwijał się więc z bólu w swojej koi, zalewanej co jakiś czas strumieniami morskiej wody. Kapitan co prawda współczuł swemu zastępcy, z drugiej strony uważał jednak, iż ktoś, kto tak często zadaje ból innym, może i sam trochę pocierpieć — wydawało się to w sumie całkiem uczciwe. Nieobecność Parkera wręcz Jacka ucieszyła. Pierwszy porucznik okazał się przecież zupełnie niekompetentnym oficerem, a w każdym razie na pewno nie radził sobie w tej akurat konkretnej sytuacji. Był sumienny, obowiązkowy, starał się jak umiał i próbował jak najlepiej robić wszystko, co do niego należało. Nie zasługiwał jednak na to, by Jack mógł nazwać go prawdziwym marynarzem.

Zupełnie inaczej należało ocenić pierwszego nawigatora, Pullingsa, Rossalla (drugi nawigator), bosmana i artylerzystę: ci akurat byli rzeczywiście ludźmi morza, podobnie jak kilkunastu członków szeregowej załogi. Nieźle zapowiadał się Babbington, całkiem dobrze radził sobie Allen — także podchorąży. Jeśli chodzi o pozostałych, to wiedzieli już przynajmniej, co powinni robić, słysząc podstawowe komendy. Podczas sztormu po kilka razy dziennie znajdowali się przecież o włos od śmierci w morskich głębinach. Wszyscy o tym doskonale wiedzieli, trudno więc było wyobrazić sobie lepszy i skuteczniejszy trening. Kilka dni to w sumie mało, należało jednak wziąć pod uwagę nieustanny stan zagrożenia oraz wielokrotne powtarzanie najprzeróżniejszych manewrów. Do perfekcji wyćwiczono jednak przede wszystkim użycie pomp, które od drugiego dnia wichury nie zatrzymywały się nawet na moment.

Żeglowali teraz spokojnie wzdłuż kanału, mijając właśnie Selsey Bill. Z pełnego baksztagu wiała spokojna, lekka bryza i kapitan polecił postawić bramsle. Po raz pierwszy od ponad tygodnia na kuchennym palenisku udało się rozpalić ogień i ludzie zjedli wreszcie ciepły posiłek. Zdaniem Jacka wszystko nie wyglądało aż tak źle. Jeśli nawet „Polychrest" spóźni się na miejsce zbiórki, nie będzie chyba powodów do wstydu. Nic nie powinno im już teraz przeszkodzić w dotarciu do celu — w najgorszym razie pozostałą część drogi pokonają, dryfując ze sprzyjającymi pływami (wydawało się to całkiem prawdopodobne, gdyż wiatr wyraźnie słabł coraz bardziej). Na pewno nie było się czego wstydzić. Na okręcie wciąż brakowało ludzi, poza tym w okrętowym szpitaliku leżało aż siedemnastu chorych: dwie przepukliny, pięć skomplikowanych złamań po groźnych upadkach, pozostałe przypadki to zwykłe w takich okolicznościach rany zadane przez spadające drzewce i bloki oraz obrażenia spowodowane przez zerwane lub zaciskające się dookoła kończyn liny. Jeden z poborowych, bezrobotny rękawicznik z Shepton Mallet, wypadł za burtę, a inny, złodziej z aresztu w Winchester, zwariował koło Ushant — szczekał teraz i wył po nocach. Z drugiej jednak strony skończyły się kłopoty z morską chorobą i nawet ludzie powyciągani z więzień gdzieś w głębi lądu, umieli już w miarę bezpiecznie dla siebie i innych poruszać się po okręcie. Załoga jako całość nie prezentowała się jeszcze najlepiej, lecz gdy wszyscy zostaną należycie przeszkoleni w obsłudze dział — kapitan miał zamiar znaleźć wkrótce na to czas — z „Polychrest" uda się chyba jeszcze zrobić całkiem przyzwoity okręt wojenny. Aubrey poznał już w miarę dobrze swoją jednostkę. Razem z pierwszym nawigatorem (naprawdę bardzo cenił sobie tego człowieka), opracowali nowy plan ożaglowania, pozwalający maksymalnie poprawić właściwości żeglugowe okrętu. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby udało się przegłębić kadłub na dziób i zmienić pochylenie masztów. Jack zrozumiał też, że nigdy nie będzie w stanie pokochać tej łajby. Była wyjątkowo narowista, niezgrabna, uciążliwa w obsłudze, chwilami wręcz złośliwa. Nie wzbudzała zaufania i Jackowi, mimo najszczerszych chęci, nie udało się jej nawet polubić. Zawiodła go zbyt wiele razy — chętnie zamieniłby ją nawet na jakieś większe czółno. Z początku, jako dowódca, darzył ją całkiem naturalną sympatią, która zniknęła już jednak bez śladu. W swej dotychczasowej karierze miał okazję pływać na kilku rozsypujących się starych wrakach, już na pozór do niczego, i za każdym razem umiał jakoś usprawiedliwić ich wady. Zawsze były to dla niego jednostki z jakiegoś szczególnego powodu wyjątkowe w historii marynarki — po raz pierwszy znalazł się jednak w podobnej sytuacji. To dziwne uczucie było bardzo nieprzyjemne. Nielojalność dowódcy wobec okrętu wydawała się tutaj czymś wyjątkowo nieuczciwym i Jack dopiero po dłuższym czasie zdołał w pełni zrozumieć, co czuje. Gdy to w końcu nastąpiło, zjadł w samotności obiad, wyszedł na pokład i zaczął spacerować. Cała ta sprawa wciąż nie dawała mu jednak spokoju.

W pewnym momencie zauważył stojącego nieruchomo przy wsporniku podchorążego z wachty. Zawołał więc:

— Panie Parslow, znajdzie pan doktora w izbie chorych. Proszę go tutaj zawołać...

— Sam go sobie zawołaj... — chłopiec przerwał kapitanowi. Czy to możliwe, by rzeczywiście padły tu podobne słowa? Jack znieruchomiał nagle w pół kroku. Chyba tak. Świadczyła o tym nieruchoma i dziwnie pozbawiona wyrazu twarz sternika oraz nagła gorliwość pomocników artylerzysty, pracujących przy ostatniej od rufy karonadzie. Tak. Dodatkowym dowodem były bardzo podejrzane miny pozostałych podchorążych, przestępujących w milczeniu z nogi na nogę przy głównej zejściówce.

— Coś ci powiem, mój drogi... — Pan Parslow zamknął jedno oko i odważnie mówił dalej. — Tylko nie próbuj się na mnie wyżywać.

Jestem naprawdę twardy i nigdy nie uda ci się mnie złamać. Szukasz doktora? Idź sobie po niego sam!

— Proszę wezwać tutaj pomocnika bosmana — Jack powiedział spokojnie. — Dowódca wachty kwarterdeku, proszę przynieść hamak pana Parslowa. — Pomocnik bosmana przybiegł z kawałkiem liny w dłoni. — Proszę przywiązać tego młodego dżentelmena do działa w mojej kabinie...

Młody dżentelmen przestał trzymać się wspornika — leżał teraz na pokładzie, protestując głośno. Oświadczył z przekonaniem, iż nie zgadza się na karę cielesną. Jest przecież oficerem i przebije swoim kordzikiem każdego, kto tylko się zbliży. Pomocnik bosmana chwycił malca jedną ręką za kark, wartownik otworzył i zamknął drzwi kapitańskiej kabiny. Rozległ się przeraźliwy krzyk, posypały się też przekleństwa — tak wulgarne, że przysłuchujący się temu rozbawieni ludzie szeroko otworzyli zdziwione oczy. Dzikie wrzaski malca przerywane były rytmicznymi uderzeniami i już po chwili szlochający głośno pan Parslow wrócił na pokład, prowadzony za rękę i potulny jak baranek.

— Zwiążcie go w hamaku, Rogers — polecił Jack. — Panie Pullings... Panie Pullings, przydział grogu dla kubryku podchorążych zostaje wstrzymany aż do odwołania.

Wieczorem, w swojej kabinie, Aubrey zagadnął Stephena:

— Czy wiesz, co ci dranie podchorążowie zrobili młodemu Parslowowi?

— Nawet jeśli tego nie wiem i tak zaraz mi o wszystkim opowiesz — powiedział Stephen, nalewając sobie rumu.

— Upili go prawie do nieprzytomności i wysłali biedaka na pokład. Akurat dzisiaj, gdy po raz pierwszy od tylu dni mogli spokojnie odpocząć po wachcie! Nareszcie nie musieli brodzić po kolana w wodzie i proszę, o czym myślą? Upili tego nieboraka. Więcej już się to nie powtórzy, zakazałem wydawania im grogu.

— Powinno się natychmiast przerwać wydawanie grogu całej załodze. To naprawdę bardzo zgubny zwyczaj, wręcz jakieś zwyrodniałe odchylenie... Ćwierć kwarty rumu dziennie na głowę! Niesłychane! Miałbym o trzy czwarte mniej pacjentów, gdyby nie grog: przewracają się, łamią sobie kończyny, żebra, obojczyki, po pijanemu spadają z want i masztów... Pracowici, rozsądni i uważni ludzie, którzy na trzeźwo na pewno nie ulegaliby tylu wypadkom. Najlepiej wylejmy czym prędzej za burtę cały zapas tej przeklętej trucizny.

— Chcesz doprowadzić do buntu załogi? Ja nie. Wolę, by moi marynarze od czasu do czasu upijali się do nieprzytomności, o ile tylko będą zawsze posłuszni i chętni do pracy. Bunt załogi... Sama myśl o czymś takim mrozi mi krew w żyłach. Wiesz, jak to jest. Ludzie, których znasz od dawna, których zdążyłeś polubić, nagle stają się obcy i zamknięci w sobie; na okręcie nie ma już żartów i śpiewów, znika gdzieś dobra wola oraz zwykła życzliwość. Załoga dzieli się na dwa obozy, pomiędzy którymi pozostaje kilku niezdecydowanych, zdezorientowanych biedaków. I wtedy w nocy zaczynają się

toczyć armatnie kule.

— Kule? O co tu chodzi?

— W nocy buntownicy puszczają po pokładzie armatnie pociski. W ten sposób dają znać, że są niezadowoleni. Liczą też może i na to, że uda im się zmiażdżyć nogę któregoś z oficerów.

— Jeśli chodzi o bunty wszelkiego rodzaju, z założenia jestem za... — wyjaśnił doktor. — Popieram wszelkie formy protestu w słusznej sprawie. Ci ludzie są przecież siłą zabierani z domów, od rodzin i wyuczonych zajęć. Zostają wbrew swej woli zmuszeni do przebywania w urągających wszelkiej przyzwoitości warunkach, otrzymują bardziej niż podłe wyżywienie, znęcają się nad nimi pomocnicy bosmana. Każecie biedakom narażać życie i wystawiać się na najprzeróżniejsze niebezpieczeństwa, a równocześnie przy każdej sposobności w oszukańczy sposób pozbawia się ich nawet tak lichego prowiantu, żołdu i dodatkowych przydziałów — okrada się ich z wszystkiego, poza tym twoim świętym rumem... Pamiętasz Spithead? Gdybym był tam obecny, z pewnością przeszedłbym na stronę buntowników. Dziwi mnie zresztą ich łagodność...

— Nie mów tak, Stephen. Proszę... Twoja ocena służby w marynarce wprawia mnie w przygnębienie. Wiem, że nie wszystko jest tutaj w idealnym porządku, nie mogę jednak zmieniać istniejącego stanu rzeczy. Dowodzę przecież okrętem wojennym... Rozchmurz się lepiej i pomyśl o załodze „Sophie"; marynarze niekoniecznie muszą być nieszczęśliwi.

— Zdarzają się takie przypadki, to prawda, jest to jednak głównie zasługą szczególnych cech określonych ludzi. Nie podoba mi się obowiązujący na morzu system zależności, prawie nieograniczona władza, prowadząca do okrucieństw i nadużyć. Przeraża mnie zgubny wpływ owej władzy na sprawujących ją ludzi.

— No cóż... — westchnął Jack. — Zapewne masz tutaj i mnie na myśli. Ciekawy dzień dzisiaj: po południu zostałem zwymyślany przez podchorążego, a teraz dokucza mi mój okrętowy lekarz. Dalej, Stephen, wypij, potem trochę pogramy. — Aubrey nie zaczął jednak stroić swych skrzypiec. Sięgnął trochę głębiej, do szafki i powiedział: — Mam tutaj coś, co cię na pewno zainteresuje. Czy słyszałeś kiedyś o złodziejskich śrubach?

— Nie.

— Oto taka śruba. — Jack pokazał doktorowi krótki nagwintowany walec z miedzi, z jednej strony zakończony wielką nakrętką. — Jak zapewne wiesz, belki kadłuba skręcane są ze sobą długimi śrubami. Najlepiej miedzianymi, z uwagi na korozję. Te śruby są bardzo drogie, każda z nich to tak na oko jakieś dwa funty miedzi. Wartość jednej, nawet krótkiej, odpowiada dziennemu zarobkowi szkutnika. Zdarzają się jednak przeklęci złodzieje, którzy wycinają środkową część, wbijają potem oba obcięte końce w drewno, po obu stronach otworu i sprzedają resztę. Nikt nie jest w stanie wykryć podobnej kradzieży, dopóki kadłub nie zacznie się rozpadać, co może przecież nastąpić gdzieś na drugim końcu świata. Zresztą nawet i w takim przypadku istnieje nadzieja, że okręt zatonie, i nie będzie niewygodnych świadków.

— Kiedy to odkryłeś?

— Podejrzewałem coś takiego od samego początku. Wiedziałem, że ten okręt na pewno nie będzie w porządku, skoro został zwodowany w stoczni Hickmana. Ci budowniczowie byli zbyt usłużni, a wszyscy robotnicy chodzili po okręcie z zamykanymi pokrywką wiklinowymi koszami... Dopiero wczoraj zdobyłem dowód: kadłub popracował trochę w sztormie i łatwiej jest teraz to sprawdzić. Tę śrubę bez trudu wyciągnąłem palcami.

— Czy nie powinieneś oficjalnie zgłosić komuś swoich obaw?

— Mógłbym. Powinienem poprosić o przeprowadzenie inspekcji. Czekałbym na jej zakończenie miesiąc, może nawet sześć tygodni. Czy warto? To przecież sprawa stoczni. Słyszałeś na pewno o statkach dopuszczanych do żeglugi niezależnie od ich stanu technicznego i o drobnych urzędnikach kupujących sobie eleganckie powozy. Nie chciałem niepotrzebnie tracić czasu. Wolałem wyjść w morze. Przetrwaliśmy przecież jakoś ten sztorm... Przy okazji każę przechylić kadłub i sprawdzić dno. Może kiedyś nadarzy się sposobny moment. Chyba, że bez tego nie będziemy w stanie dalej pływać...

Przez dłuższą chwilę obaj przyjaciele siedzieli w milczeniu, zza ścian kabiny dobiegały rytmiczne odgłosy nieprzerwanej pracy pomp i monotonne szczekanie obłąkanego marynarza.

— Muszę dać temu biedakowi trochę więcej laudanum — Stephen powiedział półgłosem, prawie do siebie.

Umysł Jacka zajęty był wciąż śrubami, wręgami i innymi elementami wiążącymi ze sobą belki kadłuba.

— Co z Parkerem? — kapitan zapytał nagle. — Jak jego ramię? Pewnie biedak nie będzie mógł na razie wrócić do służby? Czy nic powinien zejść na ląd i pojechać do wód?

— Ależ skąd — oburzył się Stephen. — Nadzwyczaj szybko wraca do zdrowia. Bardzo pomogła mu mikstura doktora Ramisa i dieta. Już jutro może wrócić na pokład, tyle że z ręką na temblaku.

— Och... — Jack jęknął głośno. — Nie dostanie wolnego? Nie pójdzie na zdrowotny urlop? Może pobyt w uzdrowisku poprawiłby mu słuch? — Z nadzieją spojrzał w twarz doktora, nie miał jednak w tej sprawie żadnych złudzeń; w kwestiach medycznych Maturin był nieugięty. Kierował się wyłącznie poczuciem specyficznie pojmowanego lekarskiego obowiązku, nie liczyły się tutaj żadne inne względy, nawet takie jak zdrowy rozsądek czy przyjaźń. Nigdy nic rozmawiali o oficerach, z którymi Stephen wspólnie jadał, lecz każdy, kto wystarczająco dobrze znał Jacka, bez trudu mógł zauważyć, jak bardzo kapitanowi zależy na pozbyciu się pierwszego porucznika. Doktor najwyraźniej nie przejął się jednak tym wszystkim zbytnio, sięgnął po skrzypce i zagrał kilka dźwięków.

— Gdzie zdobyłeś ten instrument? — zapytał.

— Kupiłem w lombardzie, koło Sally-Port. Zapłaciłem dwanaście gwinei i sześć szylingów...

— Zrobiłeś wspaniały interes. Te skrzypce mają naprawdę wspaniałe brzmienie. Jesteś rzeczywiście znawcą. Dalej, grajmy, nie ma zbyt wiele czasu. Przed końcem wachty muszę iść na obchód. Raz,

dwa, trzy... — zawołał Stephen, uderzając nogą o podłogę i wnętrze kabiny wypełniło się dźwiękami sonaty Boccheriniego: soczyste, wspaniałe brzmienie; błyskotliwe skrzypcowe wariacje połączone z ciekawą, bardzo skomplikowaną partią wiolonczeli. Muzyka porwała obu przyjaciół daleko od zgrzytających pomp i ujadania szaleńca, z dala od niezliczonych zmartwień i problemów. Instrumenty rozmawiały ze sobą, ich głosy rozdzielały się i łączyły w kolejnych frazach, a dusze grających uleciały gdzieś bardzo wysoko.

Był chłodny i wietrzny poranek w Downs. Załoga jadła właśnie śniadanie, a kapitan „Polychrest" spacerował tam i z powrotem po i pokładzie.

— Na okręcie admirała wywieszono nasz numer, sir— zameldował podchorąży pełniący służbę sygnałową.

— Bardzo dobrze. Proszę obsadzić gig — polecił Jack. Czekał na to od chwili, gdy niedługo przed świtem zameldował swoje przybycie. Gig kołysał się już przy burcie, a wyjściowy mundur leżał przygotowany na koi. Już po chwili Aubrey pojawił się na pokładzie w paradnym stroju i przy akompaniamencie świdrującego uszy świstu bosmańskich gwizdków zszedł do łodzi.

Morze było wyjątkowo spokojne — szare i nieruchome pod zamarzniętym niebem — trwał właśnie przypływ, powierzchni wody nie marszczyły nawet najdrobniejsze fale. Wszystko zdawało się na coś lub na kogoś czekać. Z tyłu za plecami Jacka, za kołyszącymi się ociężale masztami „Polychrest", leżało miasto Deal, a w oddali North Foreland. Z przodu czekało potężne cielsko uzbrojonego w siedemdziesiąt cztery działa liniowca „Cumberland", z błękitnym proporcem na stermaszcie. W odległości dwóch kabli od flagowca stała na kotwicy piękna fregata „Melpomene", a za nią dwa slupy i kuter. Dalej, między eskadrą a piaskami Goodwin, zgromadziły się statki handlowe: sto czterdzieści jednostek, czekających na redzie na eskortę i sprzyjający wiatr. Cały brytyjski eksport do Indii Zachodnich, Turcji, Gwinei i Indii — las masztów i rej; w przejrzystym mroźnym powietrzu dostrzec można było każde pojedyncze drzewce.

Jack zdążył już się oswoić z tym widokiem — przyglądał się temu wszystkiemu od momentu, w którym blada słoneczna tarcza pojawiła się nad horyzontem. W drodze do admiralskiego okrętu myślał więc o zupełnie innych sprawach. Na pokład flagowca wszedł z poważną i skupioną miną. Zasalutował w stronę rufy, przywitał się z kapitanem „Cumberland", potem został odprowadzony do salonu.

Admirał Harte jadł wędzone śledzie i pił herbatę, a po drugiej stronie stołu siedział sekretarz obłożony stertami papierów. Dowódca eskadry bardzo postarzał się od czasu, gdy Jack widział go po raz ostatni, pozbawione wyrazu oczy jakby zbliżyły się do siebie, cała postać tego człowieka jeszcze wyraźniej niż kiedyś wydawała się przesycona podłą przewrotnością.

— Nareszcie pan się zjawił — admirał zawołał z przekąsem. Uśmiechnął się przy tym jednak i wyciągnął na powitanie oblepioną rybim tłuszczem dłoń. — Chyba celowo się pan tak guzdrał, płynąc przez kanał. Na honor, spodziewałem się tutaj pana przynajmniej o trzy pływy wcześniej... — Harte miał tyle samo wspólnego z honorem, co Jack z celowym ociąganiem się. Kapitan „Polychrest" ukłonił się więc tylko bez słowa. Dowódca eskadry nie oczekiwał zresztą jakiejkolwiek odpowiedzi na tę uwagę. Była to właściwa jego zachowaniu, niepotrzebna złośliwość. Mówił dalej, w bardzo

dziwaczny sposób, siląc się na zachowanie pozorów zażyłości, wręcz przyjaźni: — Proszę siadać. Co pan ze sobą zrobił? Wygląda pan tak, jakby się pan postarzał o co najmniej dziesięć lat. Coś mi się zdaje, że to chyba sprawka dziewcząt z okolic Portsmouth Point. Ma pan może ochotę na filiżankę herbaty?

Powodem dobrego humoru oraz tej niezwykłej życzliwości admirała mogły być tylko i wyłącznie pieniądze —jego jedyna życiowa pasja. Gdy służyli razem na Morzu Śródziemnym, Jack Aubrey miał wyjątkowe szczęście do pryzów. Raz za razem wypływał na patrole, zapewniając swojemu admirałowi ponad tysiąc funtów dochodu. Kapitan Harte, wówczas komendant portu wojennego w Port Mahon, nie miał oczywiście w tych zyskach żadnego udziału i żadne sukcesy nie były w stanie zmienić jego nieprzychylnego stosunku do Jacka. Teraz jednak sprawy wyglądały zupełnie inaczej; wszelkie ewentualne zdobycze wojenne slupa „Polychrest" oznaczały całkiem wymierne korzyści i dowódca eskadry za wszelką cenę starał się udowodnić swą życzliwość.

Aubrey wyruszył w drogę powrotną, łódź sunęła szybko, morze nadal było spokojne, nieruchome. Tym razem nie miał tak śmiertelnie poważnej miny, choć przecież nie potrafił zrozumieć, do czego tak naprawdę zmierzał Harte. Niepokojące były zwłaszcza te niedopowiedzenia i aluzje — Jack poczuł się po rozmowie trochę nieswojo, poza tym najwyraźniej zaszkodziła mu wystudzona herbata... Ważne jednak, że nie spotkał się z otwartą wrogością i poznał swą najbliższą przyszłość. Jego jednostka nie wejdzie w skład ochrony konwoju, pozostanie jakiś czas tu w Downs, zajmując się załogami pozostałych okrętów eskadry oraz ewentualnym nękaniem flotylli inwazyjnej.

Na „Polychrest" oficerowie stali na pokładzie, czekając na swego kapitana. Hamaki leżały w siatkach, poukładane tak elegancko, jak to tylko możliwe, slup wprost lśnił czystością, a wszystkie liny zostały starannie zbuchtowane. Żołnierze piechoty morskiej ustawieni w idealny czworobok prezentowali broń, oficerowie zasalutowali, coś jednak było wyraźnie nie tak: dziwny rumieniec na policzkach Parkera, ponura, zawzięta mina Stephena, zatroskane twarze Pullingsa, pana Goodridge' a i Macdonalda... Aubrey szybko domyślił się, co się stało. Jego przypuszczenia potwierdziły się już po pięciu minutach — pierwszy porucznik zapukał do drzwi kapitańskiej kabiny i oświadczył:

— Muszę z przykrością zameldować panu o poważnym naruszeniu dyscypliny, sir...

Cała sprawa wyglądała tak. Tuż po śniadaniu, gdy Jack gościł u admirała, doktor Maturin wyszedł na pokład. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzał na kwarterdeku, był człowiek biegnący w kierunku rufy i okładany z tyłu liną przez pomocnika bosmana. Nie był to wcale niecodzienny widok na okręcie wojennym, problem polegał tu na tym, iż uciekający przed razami mężczyzna miał w zębach ciężki żelazny marszpikiel, przywiązany do głowy sznurkiem z rozkręconych pokrętek liny. Nieszczęsny marynarz krzyczał przeraźliwie, a z kącików jego ust strużkami ciekła krew. Gdy zatrzymał się przed uskokiem rufówki, tuż obok Stephena, doktor niewiele myśląc, wyjął z kieszeni lancet, przeciął juzing i wyrzucił marszpikiel do morza.

— Zaprotestowałem natychmiast. Powiedziałem doktorowi, że ta kara została nałożona na moje polecenie. W odpowiedzi zostałem gwałtownie zaatakowany...

— Czynnie? Doktor rzucił się na pana?

— Nie. Słownie. Pozwolił sobie na uwagi pod moim adresem, dotyczące odwagi i zdolności dowodzenia. Oczywiście w takiej sytuacji powinienem natychmiast podjąć zdecydowane kroki, postanowiłem jednak zaczekać aż do pańskiego powrotu. Wiem, że jesteście panowie przyjaciółmi... Zasugerowałem doktorowi, by udał się do swojej kabiny. Nie posłuchał mnie jednak i nadal spacerował po pokładzie, z prawej burty, wiedząc, iż podczas pańskiej nieobecności wyłącznie ja miałem prawo tam przebywać.

— Moja przyjaźń z doktorem Maturinem nie ma tutaj żadnego znaczenia, panie Parker. Jestem zaskoczony, że wspomniał pan o tym. Musi pan jednak zrozumieć, iż nasz doktor jest irlandzkim dżentelmenem i naprawdę wybitnym lekarzem. Wie bardzo niewiele o służbie na morzu i reaguje bardzo gwałtownie w sytuacjach, gdy uważa, iż ktoś stroi sobie z niego żarty. Nie potrafi odgadnąć, kiedy kpimy sobie z niego, a kiedy mówimy poważnie. Moim zdaniem, na pewno zaszło tu dzisiaj jakieś nieporozumienie. Pamiętam, jak strasznie uniósł się pewnego razu, gdyż podejrzewał, że pierwszy nawigator „Sophie" złośliwie zażartował w sprawie dodatkowego masztu...

— Pierwszy nawigator to nie pierwszy porucznik.

— Co to ma znaczyć, sir? Próbuje mi pan wyjaśniać różnicę pomiędzy stopniami i rangami? Czyżby chciał pan pouczać mnie w kwestii oczywistej nawet dla najmłodszego stażem podchorążego? — Kapitan nie podnosił głosu, pobladł jednak wyraźnie. Rozgniewała go nie tylko głupota i impertynencja Parkera, lecz również cała ta absurdalna sytuacja oraz świadomość tego, co nieuchronnie musiało nadejść. — Coś panu powiem, sir. Nie podobają mi się pańskie sposoby utrzymywania dyscypliny. Chciałem uniknąć tej rozmowy. Wydawało mi się, że zrozumie pan aluzję po tym, jak zwróciłem panu uwagę w związku z ukaraniem Isaaca Barrowa. Było też zresztą kilka innych okazji... Niestety, najwyraźniej nic do pana nie dotarło. Proszę posłuchać... Nie jestem kapitanem, który utrzymuje porządek na okręcie wyłącznie za pomocą umoralniających pogadanek. Zależy mi na rygorze: akceptuję chłostę i kary cielesne, jeśli jest taka potrzeba. Nie toleruję jednak niepotrzebnego okrucieństwa. Proszę to sobie raz na zawsze zapamiętać. Jak nazywa się ten zakneblowany przez pana człowiek?

— Przykro mi, sir, lecz nie pamiętam w tej chwili nazwiska... Poborowy, sir, ze śródokręcia, wachta lewej burty.

— Pierwszy porucznik powinien znać nazwiska wszystkich członków załogi. Tak to przynajmniej zwykle wygląda. Proszę natychmiast ustalić, kogo kazał pan ukarać.

— To był William Edwards, sir — wyjaśnił po chwili Parker.

— William Edwards. No właśnie. Zamiatacz ulic z Rutland. Skusiła go premia; nigdy w życiu nie widział morza ani okrętu, nie ma najmniejszego pojęcia o zwyczajach i dyscyplinie. Rozumiem, że niegrzecznie panu odpowiedział?

— Tak jest, sir. Powiedział: „Przyszedłem przecież tak szybko, jak mogłem. O co panu chodzi?" po tym jak został przeze mnie skarcony za ociąganie się.

— Dlaczego pan go wezwał? Czy zrobił coś złego?

— Opuścił bez zezwolenia swoje stanowisko i poszedł do ustępu na dziobie.

— To chyba przesada, panie Parker. Gdy ten człowiek pobędzie na okręcie wystarczająco długo, pozna swoje obowiązki oraz swoich przełożonych. I oni go też poznają... Powtarzam jeszcze raz, że obowiązkiem oficera jest znać swoich podwładnych... Dopiero wtedy można będzie stosować knebel jako karę za niegrzeczne odpowiedzi. O ile w ogóle będzie taka potrzeba. Doświadczeni marynarze nigdy nie pozwalają sobie na aroganckie zachowanie, nawet na najgorszym okręcie. Podobnie wygląda sprawa ze wszystkimi poborowymi. Okładanie ich batem jest bezcelowe i wręcz szkodliwe dla służby. Najpierw muszą dokładnie wiedzieć, czego się od nich wymaga. Jest pan doświadczonym oficerem, lecz najwyraźniej źle ocenił pan zachowanie Edwardsa. Na pewno nie zamierzał pana obrazić i niepotrzebnie poczuł się pan urażony. Najprawdopodobniej również doktor Maturin, tak przecież nieobeznany ze służbą na morzu, źle pana zrozumiał. Proszę pokazać mi pańską czarną listę. To niedopuszczalne, panie Parker: Glave, Brown. Stindall, Burnet... Sami poborowi, lądowe szczury. Następni też. Ta lista jest stanowczo za długa. Nie jesteśmy na okręcie pierwszej klasy... I to źle prowadzonym... Zajmiemy się tym później. Proszę poprosić tutaj doktora Maturina.

Pierwszy porucznik ze zdziwieniem i lękiem przyglądał się swemu dowódcy. Widział go takim po raz pierwszy. Kapitan był teraz potężny, twardy, zdecydowany, przekonany o absolutnej słuszności swoich słów — potwierdzały to przecież setki lat morskiej tradycji.

— Dzień dobry, doktorze Maturin. — Głos Jacka zabrzmiał sztywno i nienaturalnie. — Doszło dziś do przykrego nieporozumienia między panem i porucznikiem Parkerem. Nie wiedział pan na pewno, że kneblowanie to zwyczajowa kara w marynarce... Chyba pomyślał pan, że to jakieś niewybredne żarty? Czy tak?

— Moim zdaniem było to bezmyślne okrucieństwo. Edwards ma bardzo zaawansowaną próchnicę, jego uzębienie jest w strasznym stanie... leczyłem go przecież... ten metalowy pręt złamał dwa zęby trzonowe. Natychmiast wyrzuciłem to żelastwo do wody i...

— Rozumiem, że usunął pan ten marszpikiel z powodów czysto medycznych. Nie wiedział pan, że to zwyczajowa kara, nałożona przez oficera? Nie wiedział pan, dlaczego Edwards został ukarany?

— Nie, sir.

— Postąpił pan niewłaściwie i bardzo pochopnie. Wzburzony, pod wpływem emocji, użył pan wobec porucznika Parkera bardzo ostrych słów. Moim zdaniem, powinien go pan teraz przeprosić za to przykre, zupełnie niepotrzebne nieporozumienie.

— Oczywiście... — bez wahania powiedział Stephen. — Panie Parker, proszę mi wybaczyć, bardzo mi przykro z powodu uwag, jakie w gniewie wypowiedziałem pod pańskim adresem. Jeszcze raz proszę pana o wybaczenie i oświadczam, iż jestem gotów przeprosić pana na pokładzie w obecności wszystkich osób, które były świadkami tego nieprzyjemnego zdarzenia. Proszę nie mieć mi tego za złe i nie żywić do mnie urazy...

Parker poczerwieniał, zesztywniał, widać było, że czuje się bardzo niezręcznie. Prawą rękę miał na temblaku, nie mógł więc podać dłoni doktorowi, w zwykłym w podobnych sytuacjach geście. Ukłonił

się jednak nisko i powiedział coś o tym, iż jest „zupełnie usatysfakcjonowany słowami doktora, przyjmuje przeprosiny i ze swej strony również prosi o wybaczenie, jeśli przypadkiem powiedział coś, co mogłoby wydać się obraźliwe".

W kabinie zapanowała martwa cisza.

— Nie będę was zatrzymywał, panowie — Jack oświadczył chłodno. — Panie Parker, niech wachta prawej burty uczy się teraz obsługi dział, a wachta lewej burty poćwiczy w tym czasie refowanie marsli. Pan Pullings zajmie się szkoleniem strzelców wyborowych. Co to za zamieszanie, Hallows? — kapitan zapytał żołnierza piechoty morskiej pełniącego wartę przy drzwiach. — Skąd ten hałas?

— Przepraszam, wasza łaskawość... — ostrożnie odpowiedział wartownik. — To pański steward bije się ze stewardem z mesy oficerskiej. Posprzeczali się o dzbanek do kawy.

— Niech ich szlag trafi! — wykrzyknął Jack. — Chyba dawno nie czuli bata. Oduczę ich bijatyk! Panie Parker, musimy koniecznie zaprowadzić na okręcie porządek!

— Jack, Jack... — odezwał się Stephen, gdy zapalono lampę. — Coś mi się zdaje, że masz z mojego powodu same kłopoty. Spakuję najlepiej mój kuferek i wrócę na ląd.

— Nie gadaj tak... — Jack mówił znużonym głosem. — Musiałem prędzej czy później porozmawiać z Parkerem. Miałem nadzieję, że uda mi się tego uniknąć, lecz on nie chwytał moich aluzji. Cieszę się nawet, że mam to już za sobą.

— Tak czy inaczej uważam, że powinienem zejść na ląd.

— Chcesz zostawić swoich pacjentów bez opieki?

— W Anglii nie brakuje okrętowych lekarzy.

— A co z przyjaciółmi? Opuścisz nas?

— Uwierz mi, Jack... Jestem przekonany, że lepiej ci będzie beze mnie. Nie nadaję się do życia na morzu. Jak sam powtarzasz, na okręcie nie ma miejsca na nieporozumienia pomiędzy oficerami, a ja nie mam zamiaru spokojnie przyglądać się podobnym jak dzisiejsze barbarzyństwom. Nie chcę brać udziału w czymś takim.

— Służba w marynarce jest bardzo ciężka, to prawda. Na lądzie znajdziesz jednak tyle samo brutalności i okrucieństw...

— Na lądzie nie muszę w tym uczestniczyć.

— Przecież na „Sophie" nie miałeś nic przeciwko chłoście.

— Nie. Świat akceptuje chłostę, ja też. Przeszkadza mi coś innego: nieuzasadnione znęcanie się, szykany, bicie po twarzy, okładanie liną, przywiązywanie do gretingu, kneblowanie, przeciąganie pod stępką. Ciągła atmosfera zagrożenia, nadużywanie fizycznej przemocy. Szkoda, że nie

porozmawialiśmy o tym wcześniej. To zresztą bardzo delikatna sprawa, tylko między tobą i mną.

— Wiem. W tym właśnie jest cały problem. Na początku służby świeża, niedoświadczona załoga musi być doprowadzona do porządku i nauczona dyscypliny. Wiesz przecież, że wśród naszych poborowych są zwolnieni z więzień przestępcy. Potrzeba na nich silnej ręki, w przeciwnym razie nie będą słuchali rozkazów. Muszą być posłuszni. Tym razem jednak to wszystko poszło za daleko. Parker i bosman nie są źli. To tylko mój błąd, powinienem lepiej nimi pokierować. Z początku trochę zaniedbałem tę sprawę... Podobna sytuacja już się jednak nie powtórzy. W przyszłości wszystko będzie wyglądało tak jak należy.

— Moim zdaniem ta nieograniczona władza w szczególny sposób deprawuje ludzi. To chyba nieodwracalny proces. Powinienem odejść...

— Nie możesz... — Jack uśmiechnął się szeroko.

— Odejdę.

— Niestety nie. Czy wiesz, przyjacielu, że nie wolno ci przychodzić i odchodzić, kiedy zechcesz? — oświadczył Jack, odchylając się do tylu w swoim fotelu i spojrzał na Stephena triumfalnie. — Zapomniałeś, że obowiązują cię przepisy prawa wojennego? Jeśli zejdziesz na ląd bez mojej zgody, będę zmuszony uznać cię za dezertera oraz doprowadzić do tego, byś został schwytany, przywieziony w kajdanach na okręt i przykładnie ukarany. Co powiesz na bicie po piętach? Nie wyobrażasz sobie, jak wielką władzą dysponuje kapitan okrętu wojennego. Jest nią do cna zdeprawowany, jeśli tak chcesz to nazywać.

— Czy to znaczy, że nie wolno mi zejść na ląd?

— Oczywiście. Skończmy już tę rozmowę. Jak sobie pościeliłeś, tak się wyśpisz i tyle... —Jack urwał, zdał sobie bowiem sprawę, iż nie tego przysłowia chciał tutaj użyć. — Opowiem ci teraz o mojej rozmowie z tym pętakiem, admirałem...

— Z tego co powiedziałeś wynika, że spędzimy tu jakiś czas — odezwał się Stephen, gdy Jack zakończył swoją relację z pobytu na flagowcu. — Nie będziesz więc chyba miał nic przeciwko temu, jeśli poproszę cię o kilka dni... przepustki? Mam parę spraw do załatwienia: między innymi muszę odwieźć na ląd naszego wariata i człowieka ze skomplikowanym złamaniem kości udowej. Na szczęście blisko stąd do szpitala w Dover...

— Oczywiście — zawołał Aubrey. — Możesz jechać, jeśli tylko dasz mi słowo, że wrócisz. Nie chcę ścigać cię po całym kraju na czele uzbrojonego oddziału... Jedź, kiedy tylko zechcesz.

— Gdy już tam dotrę — powiedział powoli Stephen — wybiorę się też przy okazji do Mapes...

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jakiś dżentelmen do panny Sophie — oznajmiła pokojówka. — Kto to taki, Peggy? — zawołała Cecylia.

— To chyba doktor Maturin, panienko...

— Już idę — powiedziała Sophie, rzucając w kąt swą robótkę odruchowo spoglądając w stronę lustra.

— Doktor na pewno przyszedł do mnie — stwierdziła Cecylia — jest przecież moim adoratorem.

— Och, Cissy, co ty wygadujesz... — Sophie powiedziała oburzona i zbiegła po schodach.

— Ty masz już jednego. Nie, co ja mówię, dwóch... — Cecylia dogoniła siostrę w korytarzu na dole i mówiła do niej teraz głośnym szeptem. — Po co ci trzeci? To takie niesprawiedliwe... — syknęła, gdy drzwi zamknęły się jej tuż przed nosem. Sophie weszła do porannego salonu.

— Tak się cieszę, że panią widzę...

— Tak się cieszę, że pana widzę. — Wypowiedziane równocześnie słowa zlały się w jedno. Na twarzy obojga malowała się ogromna radość i każdy postronny obserwator przysiągłby, że są kochankami lub przynajmniej łączy ich coś więcej niż przyjaźń.

— Mama bardzo się zmartwi, na pewno chciałaby spotkać się z panem — zawołała Sophie. — Niestety, zabrała Frankie do miasta, do dentysty...

— Mam nadzieję, że u pań wszystko w porządku? Jak mama się czuje? Co słychać u panny Cecylii i pani Villiers?

— Wszystko dobrze, dziękuję. Diany nie ma... A co u pana? Jak tam kapitan Aubrey?

— Świetnie, świetnie, moja droga... To znaczy, świetnie u mnie, bo biedny Jack ma trochę problemów związanych ze swoim nowym okrętem... No i z załogą, złożoną w większości z powypuszczanych z więzień bandytów, wszelkiej maści łajdaków i opryszków spod ciemnej gwiazdy.

— Och! — Sophie wykrzyknęła przerażona. — Jestem pewna, że kapitan za dużo pracuje. Proszę go poprosić, by się nie przemęczał. Na pewno pana posłucha, doktorze. Czasem wydaje mi się, że jest pan jedynym człowiekiem, którego słowa cokolwiek dla niego znaczą. Czyż jednak marynarze go nie uwielbiają? Pamiętam, jak ci z Melbury chętnie i z uśmiechem na twarzach wypełniali wszelkie jego polecenia. On był też dla nich taki dobry. Nigdy nie krzyczał, nie zachowywał się wobec nich grubiańsko, na pewno nie traktował ich tak lekceważąco, jak niektórzy ludzie swoich służących.

— Wydaje mi się, że już wkrótce wszyscy członkowie załogi naprawdę pokochają Jacka. Muszą tylko lepiej go poznać — wyjaśnił Stephen. — Na razie jednak sytuacja nie wygląda zbyt różowo. Na szczęście mamy jednak na pokładzie czterech ludzi ze starej załogi „Sophie" (kapitański sternik dobrowolnie zgłosił się do służby) i na pewno jest to teraz wielka korzyść...

— Widzę, że chętnie poszliby za swoim dowódcą nawet na koniec świata — zauważyła Sophie. — Byli tacy mili. Podobały mi się te ich buty ze sprzączkami i warkoczyki. Proszę mi jeszcze powiedzieć... Czy to prawda, że „Polychrest" jest bardzo... Admirał Haddock twierdzi, że taka

jednostka nie będzie w stanie utrzymać się na wodzie. Na szczęście wiem, że on bardzo lubi nas straszyć... Jest czasem taki złośliwy... Mówi, że ów dziwaczny okręt ma dwie grotmarsreje, umieszczone w śmieszny i pokraczny sposób. Nie mogę tego słuchać, chwilami tracę cierpliwość. Wiem, że admirał nie dokucza mi celowo, jak jednak może w tak beztroski sposób mówić o naprawdę poważnych sprawach? Dlaczego twierdzi, że ta jednostka zatonie? Nigdy nie uwierzę w coś podobnego. Myślę też, że to chyba lepiej, jeśli okręt ma dwie grotmarsreje zamiast jednej, czy tak, doktorze? Co pan o tym sądzi?

— Nie jestem żeglarzem, moja droga, i trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Moim zdaniem ma pani rację, choć trzeba przyznać, że „Polychrest" wygląda bardzo dziwacznie. Ma też dziwną skłonność do żeglowania tyłem i to akurat wtedy, gdy według wszelkich reguł ruch powinien odbywać się do przodu. Bardzo bawi to załogi innych okrętów, lecz nasi oficerowie i marynarze wcale nie są zadowoleni z tego powodu. Jedno jest za to wiadome: ten okręt na pewno nie zatonie. Nie musi się pani martwić. Przeszliśmy dziewięciodniowy sztorm, w wyniku którego znaleźliśmy się aż na oceanie, na podejściu do kanału: morze było wyjątkowo wzburzone, fale zalewały kadłub, spadały zerwane drzewce, liny i bloki. Wyszliśmy z tej próby zwycięsko, więc raczej nie ma się czego obawiać. Z tego co widziałem, Jack przez cały ten czas nie odpoczywał dłużej niż przez trzy godziny dziennie. Pamiętam, jak przywiązany do kołkownicy i zanurzony po pas w zalewającej pokład wodzie, wydawał polecenia walczącemu z falami sternikowi. Kiedy mnie wtedy zauważył, powiedział: „Nie zginiemy!" Może więc pani być zupełnie spokojna...

— O mój Boże... — Sophie westchnęła cicho. —Mam nadzieję, że przynajmniej dobrze się odżywia... Oby tylko wystarczyło mu sił...

— Z całą satysfakcją muszę stwierdzić, że Jack je ostatnio znacznie mniej niż zwykle. Nareszcie przestał się tak objadać. Powtarzałem mu wiele razy, że obżarstwo zaprowadzi go kiedyś do grobu. Miał przecież własnego kucharza, Francuza o nazwisku Louis Durand i trzy razy dziennie pochłaniał olbrzymie ilości jedzenia. Teraz nikt dla niego specjalnie nie gotuje, musi więc zadowolić się tym, co jemy wszyscy. Bardzo mu to służy: schudł o jakieś trzydzieści funtów. Zna pani przecież jego sytuację finansową... Jest obecnie zbyt biedny na to, by mógł rujnować swe zdrowie wyszukanymi potrawami. Nie stać go również na narażanie zdrowia gości: nie zaprasza więc ostatnio nikogo na posiłki i bardzo go to martwi... Tak... A co u pani? Coś mi się wydaje, moja droga, że powinienem chyba bardziej niepokoić się o panią niż o naszego dzielnego żeglarza... — Stephen przyglądał się Sophie przez cały czas i natychmiast zauważył, iż pomimo swej niewiarygodnie pięknej cery panna Williams nie wygląda najlepiej. Gdy znikły rumieńce, wywołane radością z niespodziewanego spotkania, na jej pięknej twarzy dostrzec można było zmęczenie i pełen rezygnacji smutek. Oczy dziewczyny dziwnie pobladły i wyraźnie brakowało w nich blasku. Stała przygarbiona, jakby przytłoczona jakimś niewidocznym ciężarem. — Proszę pokazać mi język — polecił doktor, chwytając ją za nadgarstek.

— Podoba mi się zapach w tym pokoju — zauważył, sprawdzając puls. — To chyba kłącze kosaćca, prawda? Tak samo pachniało wnętrze domu mojego dzieciństwa. Wchodząc do środka, już za drzwiami czuło się woń irysów... Tak... Tego właśnie się obawiałem. Je pani stanowczo za mało. Ile pani waży?

— Sto siedem funtów — odpowiedziała zawstydzona Sophie, spuszczając wzrok.

— Ma pani drobne kości, to prawda, lecz przy swoim wzroście powinna pani ważyć znacznie więcej. Muszę porozmawiać z pani mamą. Dobrze pani zrobi, jeśli codziennie wypije pani kufel mocnego piwa. To powinno wystarczyć...

— Gość do panny Williams — zaanonsowała pokojówka. — Pan Bowles... — dodała służąca z porozumiewawczym spojrzeniem.

— Nie ma mnie w domu, Peggy — Sophie powiedziała szybko. — Może Cecylia mnie zastąpi? Poproś ją, niech przyjmie pana Bowlesa w salonie... Skłamałam... — westchnęła, przygryzając dolną wargę. — To takie podłe z mojej strony. Doktorze, czy nie wybrałby się pan ze mną na spacer do parku? Tylko w ten sposób możemy sprawić, by to, co kazałam powiedzieć, okazało się prawdą.

— Oczywiście, moja droga. Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności.

Sophie chwyciła Stephena za ramię i poprowadziła go przez zarośla.

— Jestem taka nieszczęśliwa... — powiedziała cicho, gdy znaleźli się przy parkowej furtce. Doktor ze zrozumieniem pokiwał głową, nie odezwał się jednak. — Ten Bowles... Chcą, żebym wyszła za niego...

— Nie chce go pani?

— Nienawidzę tego człowieka. Nie znaczy to oczywiście, że nie okazuje mi szacunku lub jest wobec mnie nieuprzejmy... To bardzo porządny i kulturalny młodzieniec. Tyle tylko, że bardzo nudny... Ma takie wilgotne ręce... Siedzi przy mnie i wzdycha, może myśli, że w mojej obecności powinien tak wzdychać? Przesiaduje u nas godzinami i czasem wydaje mi się, że po kolejnym westchnięciu, przebiję go nożyczkami. — Dziewczyna mówiła bardzo szybko, była wyraźnie wzburzona i jej policzki znów się zaróżowiły. — Nigdy nie udaje mi się zatrzymać Cissy w pokoju, zawsze wymyka się przy pierwszej sposobności i zostawia nas samych. Zwykle mama pilnie czegoś od niej potrzebuje... Mój adorator próbuje wtedy złapać mnie za rękę, a ja odsuwam się od niego i w ten sposób przemieszczamy się powoli dookoła stołu. Z boku musi to wyglądać naprawdę zabawnie. Mama jest taka dobra i czuła... Bardzo zależy jej na tym, żebyśmy się widywali. Na pewno nie będzie zadowolona, gdy dowie się, że dziś z nim nie rozmawiałam... Do tego muszę uczyć w szkółce niedzielnej, a te teksty są takie dziwaczne... Nie szkoda mi aż tak bardzo dzieci, choć biedactwa mają przecież zmarnowany cały dzień, muszą zostawać po długiej mszy... Najbardziej nie lubię odwiedzin w domach rolników: tłumaczę starszym ode mnie dwa razy kobietom, doświadczonym żonom i matkom, sto razy lepiej znającym życie niż ja, jak powinny gospodarzyć, i utrzymywać czystość. Wmawiam im, że źle robią, kupując swoim mężom najlepsze kawałki mięsa, gdyż jest to niepotrzebny zbytek — Bóg chce przecież, by żyły w biedzie. A one słuchają mnie uprzejmie, przytakują nawet, choć wiem, że ich zdaniem jestem po prostu zarozumiała i głupia. Tak się wtedy wstydzę... Czuję się tak podle... Umiem trochę szyć, potrafię przygotować mus czekoladowy, na pewno nie zdołałabym jednak poprowadzić domu, wyżywić męża i dzieci, mając do dyspozycji tylko dziesięć szylingów tygodniowo. Prędzej nauczyłabym się chyba dowodzić okrętem liniowym pierwszej klasy. Te kobiety doskonale o tym wiedzą i chwilami tak na mnie patrzą... Kto pisze dla nich podobne bzdury?

— Ja też często się nad tym zastanawiam — Stephen odpowiedział łagodnie. — Z tego, co wiem, ów dżentelmen jest pastorem, czy tak?

— Zgadza się. Jego ojciec to anglikański biskup. Nie poślubię pana Bowlesa, nawet gdybym miała z tego powodu smażyć się w piekle. Jest tylko jeden mężczyzna, któremu byłabym gotowa oddać rękę... O ile oczywiście i on by mnie chciał... Miałam go i odtrąciłam...

Zbierające się w kącikach oczu łzy popłynęły teraz po policzkach i Stephen bez słowa podał Sophie chusteczkę. Spacerowali dalej w milczeniu, pod ich stopami szeleściły zeschnięte liście i zmarznięta trawa. Mijali posępne drzewa z gołymi, powykręcanymi gałęziami, po raz drugi i trzeci przechodzili koło tego samego żywopłotu.

— Czy nie mogłaby pani w jakiś sposób okazać mu swoich uczuć? — Maturin zagadnął ostrożnie. — On ma przecież teraz związane ręce. Wie pani doskonale, co ludzie pomyśleliby o mężczyźnie, oświadczającym się bogatej pannie i nie mającym grosza przy duszy. Jego sytuacja finansowa jest wręcz tragiczna, ścigają go wierzyciele i nie ma na razie nadziei na szybką zmianę takiego stanu rzeczy. Wiadomo też, co na ewentualną propozycję małżeństwa powiedziałaby pani matka... On nie zniósłby jakichkolwiek przykrych słów, jest naprawdę bardzo wrażliwy na punkcie swojego honoru.

— Napisałam do niego o wszystkim, na co pozwalało mi poczucie przyzwoitości. Ten list był bardziej niż bezpośredni i chyba zbyt śmiały...

— Przyszedł za późno.

— Za późno. Tyle razy sobie to z żalem powtarzałam. Gdybyśmy natychmiast po tym spotkali się w Bath, na pewno nie byłoby między nami tych wszystkich niedomówień... Jestem tego pewna.

— Doszłoby do potajemnych zaręczyn?

— Nie. Nigdy nie posunęłabym się do czegoś podobnego. Chodzi mi o szczególne porozumienie, nic specjalnie zobowiązującego... Po prostu powiedziałabym mu, że zawsze będę czekać. Tak zresztą sobie postanowiłam, lecz nigdy już więcej nie dane było nam się spotkać. Podtrzymuję jednak nadal to swoje postanowienie: jest tak, jakbym związała się słowem honoru. Nie zmienię zdania, niezależnie od tego, co się wydarzy, chyba że on poślubi inną... Będę czekała, nawet jeśli oznaczałoby to rezygnację z macierzyństwa. A tak chciałabym mieć dzieci... Nie jestem romantyczką, mam już prawie trzydzieści lat i doskonale wiem, o czym mówię.

— Przecież teraz nic nie stoi chyba na przeszkodzie, by w jakiś sposób dała mu to pani do zrozumienia.

— Nie przyszedł do nas w Londynie, a ja nie mogę się przecież narzucać. Nie chcę przeszkadzać lub niepotrzebnie wprawiać go w zakłopotanie. Może związał się z kimś innym? Nie miałabym mu tego za złe, wiem, że w przypadku mężczyzn te sprawy wyglądają zupełnie inaczej.

— Były też te wstrętne pogłoski o pani zaręczynach i planowanym małżeństwie z panem Allenem...

— Wiem o tym. — Sophie umilkła na chwilę. — Właśnie dlatego jest mi tak przykro i czuję się tak

nieprzyjemnie... — Zawiesiła głos. - Byłam taka głupia, taka zazdrosna... Gdy pomyślę, że mogłam... Niech oni wszyscy nie liczą jednak na to, że poślubię pana Bowlesa. Nigdy!

— Czy mogłaby pani wyjść za mąż bez zgody matki?

— Nie. Na pewno nie. To byłoby coś okropnego. Pomijając zresztą kwestie posłuszeństwa i uczciwości, gdybym uciekła z domu, czego oczywiście nigdy nie zrobię, nie dostanę ani grosza, a nie chciałabym przecież być dla mojego męża ciężarem. Z drugiej strony na pewno nic zaakceptuję też małżeństwa na rozkaz, z rozsądku. Nie stanę na ślubnym kobiercu u boku obcego mi człowieka tylko dlatego, że to z tego czy innego powodu korzystne i wyjątkowo opłacalne. O czymś takim na pewno nie ma mowy... Szybko, tędy. Zauważyłam za drzewkami laurowymi admirała Haddocka. Dobrze, że nas nie widział. Pójdziemy ścieżką koło jeziora. Nikt tamtędy nie przechodzi. Czy pan wie, że admirał wraca na morze? — Sophie zapytała zupełnie innym tonem.

— Będzie dowodził okrętem? — Stephen zawołał zdumiony.

— Nie. Ma coś robić w Plymouth: Fencibles albo Impress Service. Nie słuchałam dokładnie. Popłynie tam jednak na okręcie. Stary przyjaciel zaprosił go na pokład „Genereux".

— To jednostka, którą Jack przyprowadził do Port Mahon, po tym jak została zdobyta przez eskadrę lorda Nelsona.

— Wiem o tym. Był wtedy drugim porucznikiem na „Fourdroyant"... Nasz admirał jest taki podekscytowany, wyjmuje z kufrów swoje stare mundury, płaszcze i obszywane złotem kapelusze. Zaprosił mnie i Cissy na lato. Będzie tam miał służbową rezydencję. Cecylia wprost nie może się doczekać. O, tutaj przychodzę posiedzieć, gdy nie mogę wytrzymać w domu — powiedziała Sophie, wskazując ręką niewielką parkową altankę w kształcie greckiej świątyni. Z omszałych kolumn miejscami odpadał tynk i płatami łuszczyła się farba. — Tu właśnie pokłóciłam się z Dianą.

— Nic nie wiem o waszej sprzeczce.

— Było nas chyba obie słychać w całym hrabstwie. To moja wina, miałam taki zły dzień. Przez całe popołudnie musiałam dzielnie stawiać czoło panu Bowlesowi: czułam się jak torturowany przez wiele godzin skazaniec. Pojechałam więc na konną przejażdżkę aż do Gatacre i w końcu wróciłam tutaj. Diana sprowokowała mnie tym swoim złośliwym gadaniem. Twierdziła, że mogłaby spotykać się z... nim, gdyby tylko chciała, i że on wcale nie pojechał wtedy następnego dnia do Portsmouth. Była bardziej niż nieuprzejma, nawet jeśli rzeczywiście sobie na to zasłużyłam. Powiedziałam jej więc, że jest złą i okrutną kobietą, a ona w odpowiedzi nazwała mnie tak wstrętnie... Nagle zaczęłyśmy wrzeszczeć na siebie, obrzucając się wyzwiskami jak przekupki na targu. Och! To było naprawdę obrzydliwe, bardzo chciałabym zapomnieć o tej absurdalnej awanturze... Potem Diana rzuciła mi w twarz coś strasznego o listach i o tym, że mogłaby poślubić go, gdyby tylko zechciała, nie obchodzi jej jednak zbankrutowany kapitan, do tego wzgardzony przez inną kobietę. Straciłam wtedy zupełnie panowanie nad sobą i gdyby powiedziała jeszcze choć jedno słowo, byłam gotowa smagnąć ją po policzkach moim batem. Szkoda, że tego nie zrobiłam. Akurat wtedy przyszła mama. Była mocno przestraszona i za wszelką cenę starała się nas pogodzić. Poprosiła, byśmy się pocałowały i nadal były przyjaciółkami. Nie mogłam się na to zgodzić. Nawet następnego dnia.

Diana wyjechała w końcu. Jest teraz u swojego kuzyna, pana Lowndesa, w Dover...

— Sophie... — Stephen powiedział miękko. — Zaskoczyła mnie pani swoją szczerością i tymi zwierzeniami...

— Nie ma pan pojęcia, jaką przyniosło mi to ulgę. Tak bardzo chciałam o tym z kimś porozmawiać.

— ...dlatego i ja również będę z panią szczery. Diana jest mi bardzo bliska.

— Och! — Sophie zawołała zdumiona. — Mam nadzieję, że nie wyrządziłam panu przykrości? Sądziłam, że to Jack i ona... Mogłam tego panu nie mówić...

— Niech się pani tym nie przejmuje. Znam Dianę lepiej niż ktokolwiek inny i doskonale zdaję sobie sprawę z jej wad.

— No tak... Nie dziwię się panu. Ona jest przecież taka piękna — dziewczyna spojrzała ukradkiem na doktora. Widać było, że jest jej przykro.

— To prawda. Proszę mi powiedzieć... czy Diana bardzo kocha Jacka?

— Mogę się mylić... — Sophie odpowiedziała po namyśle. — Moim zdaniem... Diana nie wie w ogóle, co to jest miłość.

— Ten pan pyta, czy pani Villiers jest w domu — powiedział lokaj kuzyna Imbryka. W wyciągniętej ręce trzymał srebrną tackę z wizytówką doktora Maturina.

— Poproś go do salonu! — zawołała Diana. Pobiegła do swej sypialni, zmieniła suknię, szybko poprawiła fryzurę i przez dłuższą chwilę uważnie przyglądała się swemu lustrzanemu odbiciu. — Dzień dobry, doktorze — powiedziała, wchodząc do bawialni.

— Dzień dobry, Diano. Długo kazała mi pani na siebie czekać... — Doktor wstał, by się z nią przywitać. — Zdążyłem dwa razy przeczytać całą gazetę. Wiem wszystko: o flotylli inwazyjnej, wydarzeniach na dworze, cenach papierów wartościowych i ostatnich bankructwach. Proszę, oto butelka perfum.

— Och, dziękuję, dziękuję, Stephen — zawołała pani Villiers, całując go w policzek. — To przecież prawdziwy Marcillac! Gdzie udało się panu znaleźć coś podobnego?

— W domu pewnego przemytnika, w Deal.

— Jest pan taki dobry dla mnie, doktorze... Taki pobłażliwy... Proszę powąchać, to zapach indyjskiego haremu. Myślałam, że już nigdy pana nie zobaczę. Tak mi przykro z powodu mojego zachowania w Londynie. Jak wyglądam? Co dzieje się z panem? Co pan porabia? Do twarzy panu w tej niebieskiej kurtce.

— Przyjechałem z Mapes. Powiedziano mi tam, że tutaj panią zastanę.

— Czy opowiedziano panu także o mojej potyczce z Sophie?

— Z tego, co zrozumiałem, doszło między paniami do jakiejś różnicy zdań.

— Zdenerwowała mnie swoim romantycznym gadaniem o jeziorze i jakichś tragicznych duchowych rozterkach. Jeśli go chciała, dlaczego go odtrąciła? Nienawidzę braku zdecydowania, kręcenia nosem, narzekania. Do tego trafił jej się przecież teraz naprawdę godny pozazdroszczenia adorator: ewangelicki duchowny, kulturalny, wykształcony, ustosunkowany i bardzo bogaty. Jestem przekonana, że to przyszły biskup. Może mi pan jednak wierzyć, doktorze, nigdy nie przypuszczałam, że Sophie ma aż taki temperament! Rzuciła się na mnie jak rozwścieczona tygrysica... Nie spodobał jej się kpiący ton, z jakim mówiłam o niej i pańskim przyjacielu,

Jacku. Niepotrzebnie ją tak rozdrażniłam. Co to była za awantura...

Wrzeszczałyśmy na siebie koło tego kamiennego mostu w parku, a jej klacz stała obok przywiązana do drzewa. Biedne zwierzę prychało i rzucało głową, wystraszone hałasem. Nie wiem, jak długo to trwało. Chyba kilkanaście minut. Szkoda, że nas pan nie widział, na pewno nieźle by się pan ubawił. Byłyśmy obie tak zaperzone i oburzone, tak śmiertelnie poważne... Przez cały następny tydzień miałam chrypkę. Sophie okazała się jednak lepsza ode mnie. Krzyczała, jakby ją ktoś obdzierał ze skóry, z wściekłą pasją wyrzucała z siebie nieprzerwany potok słów. Powiem panu coś, doktorze... Jeśli chce się naprawdę wystraszyć kobietę, wystarczy zagrozić jej, że za chwilę zostanie uderzona w twarz batem i zrobić przy tym taką minę, jakby naprawdę zamierzało się to uczynić. Podobna groźba na pewno poskutkuje, może mi pan wierzyć. Dobrze, że w tym akurat momencie przyszła ciotka, oponowała głośno i była naprawdę przerażona. Dopiero na jej widok ochłonęłyśmy nieco. Mój wyjazd bardzo ucieszył panią Williams. Obawiała się, że odbiję jej córeczce pastora. Niepotrzebnie... Zupełnie nie interesował mnie ten niemrawy głupiec... I tak znalazłam się znów tutaj, jako ochmistrzyni, a może raczej przełożona służby w domu mojego kuzyna Imbryka. Napije się pan jego sherry? Ma pan taką ponurą minę, doktorze. Niech pan nie siedzi taki osowiały. Nie byłam jeszcze dzisiaj nieuprzejma wobec pana, powinien więc pan okazywać wesołość i starać się mnie zabawiać. Wracając do tego, o czym mówiłam, cieszę się, że wyszłam z tej awantury z nietkniętą twarzą. To cały mój majątek, wie pan o tym. Nie powiedział mi pan dziś żadnego komplementu, choć wcale panu nie dokuczam. Proszę mnie podtrzymać na duchu... Zbliżam się już do trzydziestki i nie wierzę w to. co widzę w lustrze.

— Dlaczego? Jest pani naprawdę bardzo piękna — powiedział Stephen, przyglądając się Dianie uważnie. Siedziała z uniesioną wysoko głową, we wpadających przez okno jaskrawych promieniach zimowego słońca i po raz pierwszy zobaczył nie dziewczynę, a starzejącą się kobietę w średnim wieku. Pobyt w Indiach nie posłużył jej cerze. Pani Villiers nie miała się co prawda czego wstydzić, lecz równocześnie w żadnym wypadku nie mogła konkurować z Sophie. Te drobniutkie zmarszczki w kącikach oczu już wkrótce pogłębią się znacznie, twarz będzie coraz bardziej wyrazista i zniszczona. Po kilku latach wszyscy zobaczą, że bat Sophie zostawił na policzkach Diany trwały ślad... Doktor zachował jednak dla siebie to odkrycie; był przecież mistrzem taktu i panowania nad sobą. Uśmiechnął się tylko i mówił dalej: — Wygląda pani naprawdę wspaniale. Inne kobiety na pewno zazdroszczą pani urody. Ma pani głowę antycznej bogini, wprost wymarzoną na figurę dziobową żaglowca. Na galion lub aflaston: tak to nazywamy w marynarce...

— Antyczna bogini, wymarzona figura dziobowa... — Diana powtórzyła z goryczą głosie.

„Wygląda teraz, jakby miała zamiar za chwilę odlecieć na miotle" — pomyślał Maturin.

— Tak w ogóle... — Diana mówiła, nalewając wino — ...to nie rozumiem, dlaczego pan wciąż mi się narzuca. Nie dawałam przecież panu żadnych nadziei. Nigdy. W Londynie, na Bruton Street powiedziałam przecież panu wprost, że mogłabym polubić pana jako przyjaciela, lecz na pewno nigdy nic zostanie pan moim kochankiem. Do tego zupełnie się

pan nie nadaje. Dlaczego wciąż mnie pan prześladuje? Czego pan ode mnie chce? Pomylił się pan, sądząc, że uda się panu wywalczyć cokolwiek dzięki swej wytrwałości. Nawet gdyby miał pan w ten sposób coś uzyskać, gorzko pan tego pożałuje, zapewniam pana. Nie zna mnie pan zupełnie, najlepszym tego dowodem jest pańskie postępowanie.

— Muszę już iść — powiedział doktor, wstając.

Pani Villiers chodziła nerwowo tam i z powrotem po pokoju.

— Niech więc pan już idzie — zawołała. — Proszę przy okazji powiedzieć swojemu panu i władcy, kapitanowi, że jego również nie chcę więcej widzieć. Jest zwykłym tchórzem.

Do salonu wszedł pan Lowndes — wysoki, postawny i pogodny mężczyzna w wieku około sześćdziesięciu lat, ubrany w kwiecisty szlafrok oraz rozpięte pod kolanami spodnie. Zamiast peruki czy czapki miał na głowie pikowany, zatrzymujący ciepło pokrowiec do czajnika z herbatą; w drzwiach uchylił tego niezwykłego nakrycia głowy i ukłonił się nisko.

— Doktor Maturin... Pan Lowndes. — Diana przedstawiła szybko obu panów, rzucając błagalne spojrzenie w kierunku Stephena. W jej oczach widać było lekceważenie, wymieszane z niepokojem i troską, dopalały się tam też ostatnie iskierki gniewu.

— Bardzo się cieszę, że mogę pana poznać. To dla mnie prawdziwy zaszczyt — powiedział pan Lowndes, wpatrując się uporczywie w twarz doktora. — Sądząc po pańskiej kurtce, nie zajmuje się pan leczeniem wariatów... Tak mi się przynajmniej zdaje. Chyba że to tylko sprytne przebranie...?

— Ależ skąd, sir. Jestem lekarzem okrętowym.

— Bardzo dobrze. Pływa pan po powierzchni wody, nie w wodzie... Nie będzie więc pan na pewno zalecał mi zimnych kąpieli. Morze! Morze! Co stałoby się z nami bez morza? Wszystko wyschłoby na wiór. Skwierczelibyśmy w upale jak boczek smażony na patelni. Aby nie wyschnąć, pan Maturin z pewnością bardzo chętnie napije się herbaty, moja droga. Poczęstuję pana naprawdę doskonałą herbatą, sir...

— Doktor pije już sherry, Edwardzie...

— Herbata na pewno dobrze mu zrobi... — Pan Lowndes był wyraźnie bardzo rozczarowany. — Oczywiście nie mam zwyczaju zmuszać swoich gości do czegokolwiek — dodał ze smutkiem, zwieszając głowę.

— Z najwyższą przyjemnością spróbuję pańskiej herbaty, sir — Stephen powiedział z ukłonem. — Jak tylko wypiję wino...

— Tak! Tak! — Pan Lowndes rozchmurzył się natychmiast. — Powinien pan też zabrać ze sobą imbryk. Przyda się panu w pańskich podróżach. Molly, Sue, Diano, przynieście proszę ten mały okrągły dzbanek, który moja babcia dostała od królowej Anny. Herbata z niego najbardziej mi smakuje. Zanim wszystko będzie gotowe, powiem panu krótki wiersz. Jest pan przecież bardzo wykształconym i kulturalnym człowiekiem, wiem o tym... — Starszy pan wykonał kilka tanecznych kroków, kłaniając się na lewo i prawo.

Lokaj przyniósł tacę, spojrzał szybko na pana Lowndesa i potem na Dianę. Pani Villiers w porozumiewawczym geście poruszyła głową i posadziła swego kuzyna na kanapie. Zawiązała biedakowi serwetkę pod brodą, poprawiła mu szlafrok i zajęła się przygotowywaniem herbaty, gdyż w stojącym na spirytusowej kuchence czajniku zagotowała się już woda.

— A teraz mój wiersz — zawołał pan Lowndes. — Uwaga! Uwaga! *Anna virumque cano,* i tak dalej. Czy to nie doskonałe?

— Rzeczywiście, sir. Dziękuję panu bardzo.

— Cha, cha, cha! — krzyknął pan Lowndes, wpychając sobie do ust ciastko. Wyraźnie poczerwieniał z zadowolenia. — Wiedziałem, że zna się pan na poezji. Może ciasteczko? Proszę się poczęstować. — Rzucił w stronę doktora małym okrągłym herbatnikiem. — Mam prawdziwy talent do pisania wierszy... Czasami posługuję się strofą saficką, czasem bawią mnie katalektyki, zajmuję się też priapeiami. Czy jest pan może Grekiem? Nie zechciałby pan posłuchać moich od fallicznych?

— Po grecku, sir?

— Nie, po angielsku.

— Może innym razem, gdy będziemy sami, bez pań... Z prawdziwą przyjemnością posłucham wtedy pańskich utworów.

— Zauważył pan tę młodą damę, czy tak? Jest pan naprawdę spostrzegawczy. To przywilej młodego wieku. Ja też byłem kiedyś młodzieńcem. Więc jako lekarz uważa pan, że kazirodztwo jest naprawdę aż tak bardzo niewskazane?

— Edwardzie, czas na kąpiel — odezwała się Diana. Widać było, że jej kuzyn jest teraz wyraźnie zaniepokojony i nieszczęśliwy; bał się pozostawić swój drogocenny imbryk pod opieką nieznajomego. Z drugiej jednak strony był zbyt uprzejmy i dobrze wychowany, by dać bezpośredni wyraz tym obawom. Wspomniał więc tylko kilka razy o swoim „największym skarbie", lecz obecni w pokoju ludzie najwyraźniej nie zrozumieli

szytej grubymi nićmi aluzji. Po dobrych pięciu minutach Dianie udało się wreszcie przekonać pana Lowndesa, by poszedł do łazienki.

— I co tam słychać w Mapes, przyjacielu? — zagadnął Jack.

— Co mówisz? Nic nie słyszę, taki tutaj hałas...

— Jesteś gorszym marudą niż Parker — mruknął do siebie Aubrey i wyjrzawszy na pokład, zawołał: — Proszę przerwać przetaczanie karonad na rufie. Panie Pullings, niech ci ludzie poćwiczą teraz refowanie marsli. Pytałem, co nowego w Mapes?

— Różności. Rozmawiałem na osobności z Sophie. Pokłóciła się z Dianą, rozstały się w wielkiej nieprzyjaźni. Pani Villiers zajmuje się teraz swoim kuzynem w Dover. Byłem u niej. Zaprosiła nas obu na obiad. W piątek. Będą dorsze. Powiedziałem, że przyjdę. Jeśli chodzi o ciebie, nie mogłem jednak nic obiecać. Nie wiedziałem, czy będziesz mógł zejść na ląd.

— Zaprosiła mnie? Na pewno? — Jack zawołał zdumiony. — Co się stało, panie Babbington?

— Przepraszam, sir... Na okręcie flagowym podniesiono sygnał wzywający wszystkich kapitanów.

— Bardzo dobrze. Proszę zameldować, gdy łódź z „Melpomene" znajdzie się na wodzie. Stephen, podaj moje spodnie... — Aubrey miał na sobie robocze ubranie z żaglowego płótna, wełniany surdut i ciepłą kurtkę. Przebierał się teraz szybko, a Maturin patrzył na jego poznaczony bliznami tors: kule, odłamki, cięcia szablą, toporem i ostatni, świeży ślad po pchnięciu piką, wciąż czerwony na krawędziach.

— Pół cala w lewo. Gdyby ta pika uderzyła o pół cala w lewo, już byś nie żył — doktor zauważył z niedowierzaniem.

— Cóż, chwilami wydaje mi się, że mam więcej szczęścia niż rozumu. — Jack włożył czystą białą koszulę. — Jak tam Sophie?

— Markotna i przygnębiona. Zaleca się do niej pewien bardzo bogaty pastor. — Aubrey nie zareagował, nie drgnął nawet. Stephen mówił więc dalej: — Zajrzałem po drodze do Melbury; wszystko tam w porządku, ale po okolicy kręcą się stale ludzie komornika. Preserved Killick pytał, czy może przyjechać na okręt? Powiedziałem, że najlepiej będzie, jeśli sam zada ci tu na miejscu to pytanie. Myślę, że może się przydać; jest przecież wyjątkowo zaradny. Będziesz na pewno z niego

zadowolony. W szpitalu poskładałem jakoś to skomplikowane złamanie kości udowej i prawdopodobnie uda się jednak uratować nogę... Zostawiłem im też naszego wariata. Po moich kroplach biedak trochę się uspokoił. Przywiozłem ci nowy smyczek, papier nutowy i struny. Kupiłem wszystko w sklepie w Folkstone.

— Dziękuję. Widzę, że o mnie pamiętałeś. Przejechałeś szmat drogi, wyglądasz na bardzo zmęczonego. Zwiąż mi jeszcze, proszę, włosy i idź spać... Muszę przydzielić ci pomocnika, sanitariusza. Zbyt ciężko pracujesz.

— Siwiejesz powoli... — Stephen zauważył, spełniając prośbę przyjaciela.

— Dziwisz się? — Jack zapytał, przypinając szpadę. Usiadł na wyścielanym blacie szafki i nagle coś sobie przypomniał: — Nie powiedziałem ci o najważniejszym; miałem dziś przyjemną niespodziankę. Wiesz, kto odwiedził mnie tu na okręcie? Canning, bogaty kupiec, którego tak polubiłem po tym balu w Londynie... Chciał, bym objął dowództwo na statku korsarskim. Pamiętasz? Jest właścicielem kilku jednostek handlowych stojących tu na redzie i przyjechał specjalnie z Nore, by dopilnować ich wyjścia w morze. Zaprosiłem go na jutrzejszy obiad... To właśnie przypomniało mi o czymś... — Jack dopiero teraz uświadomił sobie, że nie ma przecież pieniędzy i powinien zdobyć skądś trochę gotówki. Mustrując na okręt, pobrał co prawda z góry trzymiesięczne wynagrodzenie, lecz wydatki w Portsmouth (zwyczajowe prezenty, napiwki, drobne zakupy) pochłonęły aż dwadzieścia pięć gwinei, nie licząc sumy pożyczonej od Stephena. Nic więc dziwnego, że w kapitańskiej spiżarni brakowało zapasów i na razie nie było za co ich kupić. Podobna sytuacja bardzo utrudniała efektywne dowodzenie okrętem — kapitan właściwie nie miał teraz żadnych pozasłużbowych kontaktów ze swoimi oficerami. Podczas długiej ciszy na kanale zjadł obiad w ich towarzystwie, raz zaprosił też do siebie Parkera, lecz na przykład z Allenem i Macdonaldem udało mu się jak dotąd zamienić tylko kilka słów, jeśli oczywiście nie liczyć komend lub oficjalnych poleceń. Od tych ludzi wiele mogło przecież zależeć: bezpieczeństwo jednostki, życie załogi oraz... jego reputacja. Parker i Macdonald byli zamożni; już kilka razy gościli Jacka u siebie, a on prawie wcale ich nie zapraszał. Postępował w sposób niegodny dowódcy okrętu i trudno było w takiej sytuacji oczekiwać ze strony podwładnych pełnego szacunku. Kapitan w żadnym wypadku nie powinien zachowywać się jak żebrak. Aubrey wiedział o tym doskonale i dlatego tak irytowało go gadanie głupiego stewarda, który przy każdej okazji przypominał, że w spiżarni jest tylko cetnar pomarańczowej marmolady, prezent od pani Babbington: ,,Gdzie będziemy przechowywać wino, sir? Czy mam przygotować miejsce na żywy inwentarz? Kiedy dostarczą panu owce? Co zrobić z klatkami na kury?" Podobne pytania doprowadzały Jacka do pasji. Co gorsza, wypadało mu przecież zaprosić wkrótce na obiad admirała i dowódców pozostałych jednostek eskadry, a już jutro miał gościć u siebie Canninga. W normalnych okolicznościach po prostu zwróciłby się natychmiast do Stephena. choć doktor był w tych sprawach wyjątkowo nieżyciowy; nigdy nie cenił sobie dóbr doczesnych i pieniądze znaczyły dla niego bardzo niewiele. Nie orientował się też zupełnie w zawiłościach hierarchii obowiązujących we flocie, zwyczajów oraz zasad ceremoniału. Zawsze jednak ustępował, gdy jednym z argumentów była konieczność zachowania tradycji. Wyciągał wtedy złote monety z zakurzonych szuflad, dzbanków i innych dziwnych miejsc. Pieniądze leżały tam porzucone, zapomniane i niepotrzebne. Wyglądało to zwykle tak, jakby Jack robił swemu przyjacielowi zaszczyt, przyjmując pożyczkę. Ktoś podobnie beztroski w sprawach finansowych byłby wprost wymarzoną ofiarą nieuczciwego naciągacza...

Aubrey myślał o tym wszystkim w milczeniu i gładził bezwiednie lwią głowę na rękojeści szpady. Coś nie pozwalało mu jednak tym razem dokończyć zdania i po raz kolejny poprosić Stephena o pomoc. Wszystko uległo zmianie, pojawiła się dziwna niechęć i niezrozumiałe skrupuły — nie odezwał się aż do chwili, w której łódź z „Melpomene" zakołysała się na wodzie.

Na redzie panował dziś spokój. Załogi okrętów eskadry zajęte były pracą przy takielunku i ćwiczeniami w obsłudze dział. W pobliżu .‚Polychrest" przepłynęła tylko barka portowego handlarza i rybacki kuter, lecz już na długo przed powrotem kapitana po pokładzie rozeszła się plotka, że okręt wkrótce wyrusza w morze. Nikt nie umiał jednak na razie powiedzieć dokąd, choć wielu członków załogi próbowało to odgadnąć: na zachód, do Botany Bay lub na Morze Śródziemne, z prezentami dla władcy Algieru i okupem za chrześcijańskich niewolników... Podobne pogłoski powtarzano coraz głośniej i uwierzył w nie w końcu nawet pan Parker. Polecił podebrać kotwicę i rozesłał ludzi na stanowiska. Pamiętał ostatnie niefortunne manewry w Spithead, dopilnował więc, by nawet najbardziej tępi rekruci umieli znaleźć kabestan i swoje miejsca przy handszpakach.

— Nie, nie... — powiedział Jack, widząc pytającą twarz pierwszego porucznika i podjęte już przygotowania. — Może pan poluzować łańcuch. Nie ruszamy dzisiaj. Proszę poprosić do mnie pana Babbingtona.

— Panie Babbington... — Kapitan czekał na podchorążego w swojej kabinie. — Dlaczego jest pan taki brudny?

— Przepraszam, sir. — Młody człowiek był wyraźnie zawstydzony. Pierwszą psią wachtę spędził na marsie grotmasztu. Pokazywał pewnemu tkaczowi, dwóm wikliniarzom (bracia, z zamiłowania kłusownicy) oraz nie mówiącemu po angielsku Finowi, jak używając kuchennych odpadków, smaruje się maszty, szoty i ogólnie cały ruchomy takielunek. Był teraz od stóp do głów umazany zjełczałym masłem i szumowinami z kotłów, w których gotowano soloną wieprzowinę.

— Niech pan będzie taki łaskawy i wyszoruje się dokładnie. Proszę też się starannie ogolić, radzę pożyczyć brzytwę od pana Parslowa... Przyjdzie pan tu do mnie za chwilę w paradnym mundurze. Po drodze przekaże pan panu Parkerowi, że z mojego rozkazu zabiera pan do Dover błękitny kuter, Bondena oraz sześciu godnych zaufania ludzi, którzy zasłużyli sobie na przepustkę. I niech przyjdzie też doktor Maturin...

— Tak jest, sir. Bardzo panu dziękuję.

Jack odwrócił się w stronę biurka i zaczął pisać:

„Polychrest"

w Downs

Kapitan Aubrey przesyła pani Villiers wyrazy uszanowania i prosi o wybaczenie, gdyż pilne obowiązki służbowe nie pozwalają mu przyjąć zaproszenia na piątkowy obiad. Ma jednak nadzieję, że po powrocie pani Villiers zaszczyci go swoją obecnością na okręcie.

— Stephen... — powiedział, podnosząc wzrok. — Właśnie zrezygnowałem z obiadu u Diany. Jutro wieczorem wypływamy w morze. Czy chcesz dopisać coś od siebie lub przesłać jej jakąś wiadomość? Wysyłam Babbingtona do Dover.

— Niech po prostu przeprosi Dianę w moim imieniu. To wystarczy. Tak się cieszę, że nie schodzisz na ląd. Trudno wyobrazić sobie coś głupszego, zwłaszcza teraz, gdy wszyscy wiedzą, że „Polychrest" stoi na redzie.

Po chwili w kapitańskiej kabinie zameldował się lśniący czystością podchorąży Babbington, ubrany w koszulę z żabotem i eleganckie, śnieżnobiałe spodnie.

— Czy pamięta pan panią Villiers? — zapytał Jack.

— Och, tak, sir. Przywiozłem ją przecież na przyjęcie...

— Jest teraz w Dover, w domu, do którego pan po nią przyjechał: New Place. Proszę oddać jej ten liścik i przekazać kilka słów od doktora...

— Pozdrowienia i wyrazy uszanowania, niestety nie będę mógł przyjść... — doktor wyrecytował szybko.

— A teraz niech pan opróżni kieszenie — kapitan polecił surowym tonem.

Twarz młodego człowieka pobladła nagle. Na blacie biurka pojawiły się rozmaite przedmioty, niektóre częściowo zjedzone lub ponadgryzane. a wśród nich zaskakująco dużo monet: srebrne, jedna złota. Aubrey zwrócił podchorążemu tylko czteropensówkę, zauważając, że podobna suma w zupełności wystarczy na serowe ciasteczka. Pan Babbington miał dopilnować, by wszyscy ludzie powrócili na okręt (odpowiadał za to głową) i, jak to powiedział kapitan, „powinien trzymać swój bom sklarowany".

— Tylko tak można sprawić, by ten drań zachowywał się jak należy — Jack wyjaśnił doktorowi. — W Dover jest przecież sporo niedopieszczonych kobiet...

— Przepraszam, sir—powiedział Parker, stając w drzwiach kabiny — Jakiś człowiek prosi, by mu pozwolono wejść na pokład. Mówi, że nazywa się Killick...

— Proszę go przepuścić — Jack zawołał uradowany. — To mój steward. Jesteś, Killick! — krzyknął, wychodząc na pokład. — Cieszę się, że przyjechałeś. Co tam masz?

— Smakołyki, sir. — Steward wyraźnie ucieszył się na widok kapitana, wciąż jednak z niedowierzaniem spoglądał dookoła, na dziwaczny kadłub i osprzęt okrętu. — Jeden kosz od admirała Haddocka. z dziczyzną, drugi od pań z Mapes, a dokładniej od panny Sophie: prosię, sery, masło, śmietana, drób i tak dalej. Admirał chce przed wyjazdem oczyścić swoje tereny łowieckie, przesyła więc panu pięknego jelenia, upolowanego w zeszłym tygodniu, kilka zajęcy...

— Panie Malloch, proszę przygotować linoblok na grotrei... Najlepiej podwójny... Ostrożnie z tymi koszami. Co jest w trzecim pakunku?

— Jeszcze jeden jeleń, sir.

— Skąd?

— Wpadł pod wóz, którym tu przyjechałem, i złamał nogę... — Killick wyjaśnił z niewinną miną, spoglądając ostrożnie w stronę stojącego dalej na redzie admiralskiego flagowca. — Pół mili za mostem w Provender. Nie... Kłamię... Dwie staje bliżej do Newton Priors. Skróciłem tylko cierpienia biednemu zwierzakowi...

— Ach... — Jack ze zrozumieniem pokiwał głową. — Widzę, że kosz z Mapes jest przeznaczony dla doktora?

— Dla obu panów. Panienka kazała mi powiedzieć, że świnia waży dwadzieścia siedem i pół funta. Natychmiast po przybyciu na okręt mam zapeklować szynki. Dostałem też wielki słój z gotową marynatą, panna Sophie wie, co pan lubi... Ciasta są dla doktora, na śniadanie.

— Bardzo dobrze, Killick. Naprawdę ładnie... — Aubrey był wyraźnie ucieszony. — Ulokuj to wszystko zgrabnie. Ostrożnie tam z tym jeleniem, nie wolno go posiniaczyć!

„Nie przypuszczałem, że aż tak ucieszy mnie myśl o peklowanej wieprzowinie" — pomyślał Jack, pochylając się nad koszem z dziczyzną: kuropatwy, bażanty, bekasy, słonki, dzikie kaczki, króliki i zające.

— Czy przywiozłeś też resztę wina, Killick?

— Butelki się potłukły, sir, zostało tylko chyba sześć... Sam burgund. Kapitan przymrużył jedno oko i westchnął głośno, nic jednak nie powiedział. Sześć butelek powinno wystarczyć, razem z tym, czym próbowano go przekupić w stoczni.

— Panie Parker, panie Macdonald, czy zechcą panowie towarzyszyć mi jutro przy obiedzie? Oczekuję gościa...

Obaj oficerowie ukłonili się nisko i oświadczyli, że z wielką przyjemnością przyjmują zaproszenie. Naprawdę się ucieszyli, gdyż dowódca nie chciał ostatnio być gościem w oficerskiej mesie. Podobna sytuacja bardzo ich zaniepokoiła — wspólna służba na okręcie nie rozpoczynała się najlepiej...

Również Stephen powiedział w końcu to samo, co oni. Jack musiał jednak dwa razy tłumaczyć, o co chodzi.

— Ach... Obiad... Oczywiście, jestem ci bardzo zobowiązany. — Doktor wydawał się nieobecny myślami. — Na początku, nie bardzo zrozumiałem, o czym mówisz.

— Jesteś niemożliwy. Zapytałem: „Czy nie zjadłbyś ze mną jutro obiadu? Odwiedzi mnie Canning, zaprosiłem też Parkera, Macdonalda i Pullingsa". Co w tym niezrozumiałego?

— Zamyśliłem się, przepraszam. Zastanawia mnie coś. Chciałbym Wiedzieć, co powie zacna pani Williams, gdy okaże się, że ogołocono jej chlew, kurnik i spiżarnię. Czy jej serce nie pęknie? Czy nie

przestanie bić? A może skurczy się jak zeschnięty orzech... czyli tylko odrobinkę... ? Jak wpłynie to na humor tej jędzy? Jak Sophie się wytłumaczy? Czy spróbuje wymijających odpowiedzi i wykrętów? Kłamie tak samo umiejętnie jak Preserved Killick: ma wtedy takie przerażone spojrzenie i rumieniec na twarzy, purpurowy jak róża z Damaszku. Bardzo mnie ciekawi, co z tego wszystkiego wyniknie. Nie znam domowego życia typowej angielskiej rodziny... Zwłaszcza takiej, złożonej z samych kobiet. To dla mnie zupełnie coś nowego, nic o tym nie wiem...

Jack nie chciał zajmować się tym problemem. Wolał nie myśleć o podobnych sprawach, mogłyby okazać się zbyt bolesne. „Ja przecież tak kocham Sophie..." — westchnął w duchu. Obrócił się na pięcie i ruszył prosto w stronę dziobu, by pogładzić jarzmo bukszprytu — przynoszący udręczonej duszy ulgę rytuał, jeszcze z czasów, gdy jako chłopiec zaczynał służbę na morzu.

— Do diabła! — Aubrey zawołał, wracając na rufę. — Przecież Canning jest Żydem i nie może jeść wieprzowiny! A co z jeleniem? Czy to mięso też jest nieczyste? Zając też nie jest koszerny, tak mi się przynajmniej zdaje, podobnie jak królik.

— Nie mam pojęcia, może sprawdzisz w Biblii? Masz chyba Biblię?

— Tak, mam. Sprawdzałem przecież znaczenie sygnału od Dundasa: „Nie kocha się w sile rumaka; nie ma też upodobania w goleniach męża". O co mu chodziło? Jak ci się zdaje? Moim zdaniem Heneage nie popisał się dowcipem. Wszyscy wiedzą, że Boga nie interesują ludzkie nogi i konie... Ostatnio zaglądałem kilka razy do psalmów i Ewangelii.

— Tak?

— W przyszłą niedzielę wygłoszę kazanie na zbiórce załogi.

— Ty? Kazanie?

— Oczywiście. Kapitanowie często to robią, gdy na okręcie nie ma kapelana. Na „Sophie" poprzestawałem na odczytaniu ludziom przepisów prawa wojennego. Myślę jednak, że jasne i dobrze uzasadnione kazanie... Co z tobą? Co się dzieje? Czy to, że mam zamiar wygłosić pouczającą przemowę, jest takie zabawne? Niech cię szlag trafi, Stephen... — Doktor nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Siedział teraz skulony, trzymając się za brzuch i wydawał dziwne odgłosy, podobne do rechotania żaby. Po twarzy pociekły mu łzy. Jack przez chwilę przyglądał się przyjacielowi, oburzony i zaskoczony. — Zabawnie wyglądasz, naprawdę... Wiesz, chyba po raz pierwszy widzę cię aż tak rozbawionego. Nigdy przedtem nie słyszałem, jak się śmiejesz. Zupełnie to do ciebie nic pasuje. Śmiej się, śmiej, bardzo dobrze, uważaj tylko, żebyś się nie udusił... — Aubrey odwrócił się. dodając coś o „złośliwych szydercach, którzy kpią sobie ze wszystkiego" i sięgnął po Biblię. Otworzył książkę na chybił trafił, potem przez chwilę udawał, że coś czyta. Niewielu jednak ludzi potrafi obojętnie znieść fakt, iż ktoś się z nich głośno i serdecznie śmieje. Jack nie był tutaj wyjątkiem. Siedział więc teraz jak na szpilkach. Na szczęście Stephen uspokoił się po chwili. Z trudem złapał oddech, zatrząsł się jeszcze kilka razy i nareszcie było już po wszystkim. Wstał i wycierając twarz chusteczką, chwycił przyjaciela za rękę.

— Przepraszam. Wybacz mi. Nie chciałem wprawić cię w zakłopotanie. To wszystko wydało mi się

jednak takie zabawne. Naprawdę wyjątkowo komiczny splot myśli i skojarzeń... Oczywiście nie bierz tego do siebie... Moim zdaniem powinieneś wygłosić to kazanie, na pewno będzie miało piorunujący efekt.

— No cóż... — Jack spojrzał na doktora podejrzliwie. — Cieszę się. że udało mi się ciebie trochę rozbawić. Co jednak wydało ci się aż takie...

— Powiedz mi, proszę, jaki biblijny tekst zamierzasz rozwinąć?

— Stephen... Na pewno nie żartujesz sobie ze mnie?

— Ależ skąd. Daję słowo honoru.

- Wierzę ci. Masz szczęście. Wybrałem to... „Powiedziałem przyjdź, a on przyszedł, bo ja jestem centurionem". Chcę, żeby ludzie rozumieli. że taka właśnie jest wola Boga. Na okręcie musi panować dyscyplina, mówi nam o tym nawet Pismo Święte, a każdy, kto ją narusza, staje się równocześnie bluźniercą i grzesznikiem. Taki łajdak z całą pewnością powędruje prosto do piekła. Nie opłaca się być niepokornym; przypomnę im, że to też można znaleźć w Biblii.

— Myślisz, że ludziom łatwiej będzie znieść trudy służby, gdy zrozumieją, że taka właśnie jest wola Boża?

— Właśnie. To wszystko jest tutaj — wyjaśnił Jack, dotykając dłonią oprawionej w skórę książki. — W Starym i Nowym Testamencie można znaleźć wiele bardzo pożytecznych rzeczy. — Szybko przewracał kartki. — Jestem tym naprawdę zaskoczony. Tak przy okazji... Wydaje mi się, że jeleń nie jest nieczysty. Nie masz pojęcia, jak mnie to ucieszyło. Chciałbym, żeby jutrzejszy obiad wypadł jak najlepiej...

Następny dzień był wypełniony pracą i niezliczonymi obowiązkami: zmiana pochylenia masztów, przemieszczenie dostępnej części balastu, naprawa pompy łańcuchowej. Jack wciąż jednak z niepokojem myślał o nadchodzącym wieczorze i na kwadrans przed przybyciem gości emocje sięgnęły zenitu — nerwowo krzątał się po swojej kabinie, poprawiając obrus i dokładając węgla do rozpalonego już i tak do czerwoności piecyka. Co chwilę zawracał głowę Killickowi i pomagającym mu chłopcom, w pewnym momencie zaczął nawet zastanawiać się nad tym, czy stół nie powinien stanąć w poprzek kabiny; naprawdę niewiele brakowało, a wszystko trzeba byłoby w ostatniej chwili przestawiać. Chyba zmieszczą się tutaj wygodnie w szóstkę? Salon kapitański był na tym okręcie znacznie większy niż na „Sophie", jednak z racji szczególnej konstrukcji „Polychrest" brakowało tu rufowej galeryjki oraz rzędu okien, dodających światła, przestrzeni i uroku nawet najmniejszej kabinie. Na pozór nie brakowało miejsca — Jack mógł stanąć swobodnie, lekko tylko pochylając głowę — ściany schodziły się jednak ostro w kierunku rufy i trudno było w pełni wykorzystać tak nieustawne pomieszczenie. Dzienne światło wpadało do środka tylko przez świetlik i kilka małych iluminatorów, a w kierunku dziobu wychodził z tej trójkątnej kabiny krótki korytarzyk, po którego jednej stronie znajdowała się kapitańska sypialnia, a po drugiej mała galeryjka, oczywiście inna niż na wszystkich okrętach — bardziej przypominała wąski taras niż wystający poza płaszczyznę burty balkonik. Miejsce to spełniało jednak doskonale swą rolę, służąc między innymi jako ustęp. Oprócz pewnego niezbędnego naczynia znajdowało się tam też jedno z dział i mała wisząca latarnia.

Umieszczono ją tam, na wypadek gdyby światło padające z iluminatora okazało się za słabe dla kogoś nieświadomego niebezpieczeństwa, jakie groziło przy nieostrożnym kroku. Kapitan sprawdził, czy lampa pali się wystarczająco jasno i wrócił na korytarzyk akurat w chwili, gdy wartownik stojący przy drzwiach wpuścił do środka podchorążego z meldunkiem.

— Łódź pańskiego gościa jest przy burcie, sir.

Już w chwili, gdy Canning wszedł na pokład, Jack zrozumiał, że przyjęcie na pewno będzie udane. Kupiec miał na sobie zwykłe ubranie i w żaden sposób nie starał się wyglądem przypominać marynarza, wspiął się jednak po burcie jak doświadczony żeglarz, odpowiednio balansując ciałem, gdy okręt kołysał się na fali. Już po chwili w otwartym przejściu w nadburciu pojawiła się uśmiechnięta twarz, potem cała sylwetka i wreszcie Canning stanął na pokładzie, wypełniając sobą wąską furtę. Zdjął wcześniej kapelusz i na otoczonej koroną włosów łysinie lśniły krople deszczu.

Pierwszy porucznik powitał gościa i poprowadził go trzy kroki w stronę kapitana. Jack mocno uścisnął dłoń przybysza, dokonał niezbędnych prezentacji i natychmiast poprosił wszystkich do swojej kabiny. Nie chciał stać dłużej na marznącej mżawce, wolał poza tym, by doświadczone oko gościa nie przyglądało się „Polychrest" zbyt długo: załoga nie zakończyła jeszcze wszystkich niezbędnych prac.

Obiad rozpoczął się spokojnie, od dorszy złapanych przy burcie dziś rano i banalnych rozmów o pogodzie oraz o wspólnych znajomych: Jak tam lady Keith? Kiedy widzieliście się ostatnio? Co nowego u pani Villiers? Czy podoba jej się w Dover? A kapitan Dundas? Czy jest zadowolony z nowego okrętu? Czy miał pan może ostatnio okazję posłuchać dobrej muzyki? Och, tak! *Wesele Figara,* w operze. Wspaniałe przedstawienie, kapitanie. Byłem na nim aż trzy razy... Parker, Macdonald i Pullings przysłuchiwali się temu w milczeniu, świadomi zwyczaju, który nadawał dowódcy siedzącemu przy swoim stole iście królewskie prawa, a im pozwalał jedynie odpowiadać na pytania. Stephen nie przejmował się tym jednak wcale. Opowiedział wszystkim o gazie rozweselającym — jakimś związku tlenu i azotu, który można było przechowywać w butelce jako źródło wymuszonej wesołości. Również Canning nie wydawał się w żaden sposób skrępowany. Jack ze swej strony starał się za wszelką cenę podtrzymywać rozmowę i wciągnąć w nią milczących oficerów, którzy z czasem zaczęli wreszcie nieśmiało zabierać głos. Canning nie interesował się wcale okrętem (Jack przyjął to z rozczarowaniem, ale i wdzięcznością), przy stole padło tylko stwierdzenie, że „Polychrest" to bardzo ciekawa jednostka, na pewno o niezwykłych możliwościach. Gość zwrócił uwagę na wyjątkowo staranne pomalowanie: dobór kolorów, elegancja i smak — czegoś podobnego nie zobaczy się nawet na królewskim jachcie. Ze znawstwem i podziwem wypowiadał się też o służbie w marynarce, co sprawiło, że wszystkim obecnym w salonie bardzo poprawiły się nastroje — mało którego żeglarza nie ucieszyłyby tak szczere pochwały pod adresem Royal Navy.

Po dorszach na stole pojawiły się kuropatwy, które Jack podzielił w bardzo prosty sposób, kładąc po prostu po jednej przed każdym z biesiadników. Kolejny raz napełniono winem kieliszki, robiło się coraz weselej i teraz już wszyscy uczestniczyli w rozmowie. Pełniący wachtę na pokładzie ludzie raz za razem słyszeli dobiegające z kabiny salwy gromkiego śmiechu.

Po kuropatwach jeszcze cztery razy podano dziczyznę: koronnym daniem okazał się jednak comber

jelenia, wniesiony przez Killicka i stewarda z oficerskiej mesy, na wyszorowanej do białości pokrywie bulaja. Ściekający z pachnącego mięsa tłuszcz zbierał się w specjalnie wyżłobionym rowku.

— Teraz burgund... — Jack mruknął cicho do Killicka, wstał i z namaszczeniem zaczął kroić pieczeń. Wszyscy przyglądali się temu uważnie, rozmowy ucichły i głowy siedzących dookoła stołu ludzi pochyliły się nad talerzami.

— Powiem wam jedno, panowie... — oświadczył Canning, odkładając sztućce. — Nie przypuszczałem, że na okrętach jada się takie smakołyki. Nie spodziewałem się też aż tak wystawnego przyjęcia. Mansion House nie może się równać z pańskim okrętem, kapitanie. Nigdy jeszcze w życiu nie jadłem tak wspaniale przyrządzonej dziczyzny. I cóż za wyśmienite wino! Ten burgund to chyba Musigny, czy tak?

— Chambolles-Musigny, sir, z 1785 roku. Zostało mi jeszcze tylko kilka butelek. Na szczęście burgund nie smakuje mojemu stewardowi. Panie Pullings, może małą dokładkę?

Pieczeń była rzeczywiście wspaniała: miękka, soczysta i naprawdę smaczna. Jack zajął się wreszcie swoją olbrzymią porcją, nie musiał już zabawiać gości, wszyscy rozmawiali z wyraźnym ożywieniem. Pullings i Parker wyjaśniali Canningowi plany Bonapartego (dyskutowali o nowych kanonierkach i ożaglowanych jak okręty barkach flotylli inwazyjnej), a Stephen i Macdonald pochyleni nad talerzami, tak by się nawzajem lepiej słyszeć, sprzeczali się o coś zawzięcie. Ich spór nie byt na razie zbyt gorący, nie wiadomo jednak było, czy już za chwilę nie dojdzie do kłótni. Kapitan postanowił interweniować zawczasu.

— Ossian? — zapytał w chwili, gdy obaj adwersarze zajęci byli jedzeniem. — Czy to nie ten człowiek, którego tak wyśmiewał doktor Johnson?

— Ależ skąd! — krzyknął Macdonald szybciej, niż Stephen zdołał przełknąć swój kęs. — Doktor Johnson był bez wątpienia godnym szacunku człowiekiem, choć nic nie łączyło go z rodziną Johnstone'ów z Ballintubber... Z jakichś jednak nie wyjaśnionych powodów żywił ogromne uprzedzenie do Szkocji. Nie był w stanie zrozumieć pewnych bardzo istotnych rzeczy i prawdopodobnie dlatego nie umiał docenić Ossiana.

— Nie wiem, o czym i jak pisał ów Ossian. Po prostu nie interesuję się poezją— wyjaśnił Jack. — Pamiętam jednak, jak lady Keith mówiła o tym, że doktor Johnson miał wobec jego utworów wiele bardzo przekonujących zarzutów.

— Niech pan pokaże mi rękopis tego swojego dzieła o Ossianie! — Maturin zawołał, uporawszy się wreszcie z jedzeniem.

— Czy myśli pan, że prawdziwy Szkot pokaże panu swoje rękopisy tak na zawołanie? — Macdonald spokojnie odpowiedział Stephenowi i dalej rozmawiał z kapitanem. — Doktor Johnson wielokrotnie pozwalał sobie na bardzo nieścisłe stwierdzenia. Podróżując po Szkocji, nie widział na przykład żadnych drzew! Ja sam wielokrotnie przemierzałem tę samą trasę i znam dziesięć, a może nawet więcej gatunków drzew rosnących nie dalej jak sto jardów od drogi. Pan Johnson nie jest dla mnie

żadnym autorytetem. Niech pan to zresztą sam osądzi: co można myśleć o człowieku, który twierdzi, że grotaszot to największy żagiel na okręcie, obkładanie to rodzaj splotu, a buchta to poskręcana lina? Takie właśnie bzdury znajdzie pan w książce, która ma ponoć być słownikiem języka angielskiego!

— Czy to rzeczywiście prawda? — Jack zawołał wzburzony. — Jeśli tak, doktor Johnson bardzo wiele stracił w moich oczach. Wierzę teraz, że pański Ossian godny jest najwyższego podziwu i szacunku.

— Ręczę słowem honoru, sir! — Macdonald uderzył otwartą dłonią w blat stołu. — Na pewno zna pan to łacińskie powiedzenie: *falsum in uno, falsum in omnibus*.

— Och. znam... — Aubrey oświadczył z przekonaniem. Słowo „omnibus'" kojarzyło mu się wyłącznie z konnym tramwajem. — *Falsum in omnibus,* co na to powiesz, Stephen?

— Poddaję się — Maturin odparł z uśmiechem. — Ten omnibus mnie przekonał...

— Wobec tego piję pańskie zdrowie, doktorze — Macdonald oświadczył, podnosząc kieliszek.

— Może jeszcze kawałeczek pieczeni? — zapytał Jack. — Killick. podaj mi talerz doktora.

— I co, znów im coś niesiesz, Joe? — Stojący przy drzwiach wartownik zagadnął, zaglądając do koszyka.

— Nieźle wsuwają, to prawda. — Joe przytaknął z uśmiechem. — Ten duży, cywil, zajada aż miło popatrzeć. Dostaną jeszcze *figgy-dowdy,* bekasy na grzance i poncz.

— Nie zapomniałeś o mnie, Joe? — upewnił się wartownik.

— Butelka z żółtym korkiem. Za chwilę zaczną śpiewać. Wartownik przystawił butelkę do ust i pociągnął potężny łyk.

— Byle co piją ci nasi oficerowie — zauważył, wycierając dłonią usta. — To jakieś paskudztwo. W smaku przypomina rozwodnioną melasę. Jak tam mój przełożony?

— Będziesz go musiał zanieść do koi. Jest już prawie gotowy. Podobnie jak cywil. Trzeba będzie przygotować ławkę bosmańską, inaczej nie zejdzie do łodzi.

— A teraz, sir — Jack zwrócił się do Canninga — chciałbym zaprezentować panu pewne szczególne danie. To marynarska potrawa, której może zechce pan spróbować. Nazywamy ją *figgy-dowdy*. Oczywiście nie musi pan tego jeść, jeśli nie ma pan ochoty... Moim jednak zdaniem będzie to naprawdę doskonale zakończenie posiłku, choć niewątpliwie coś takiego na pewno nie wszystkim smakuje...

Canning z uwagą przyjrzał się szarej, bezkształtnej i lśniącej masie, potem ostrożnie zapytał, jak się ją przyrządza. Nigdy dotąd czegoś podobnego nie widział.

— Bierzemy okrętowe suchary i wkładamy je do mocnego brezentowego worka — wyjaśnił kapitan.

— Przez pół godziny ugniatamy je marszpiklem —dodał Pullings.

— Dodajemy kawałki wieprzowego smalcu, śliwki, figi, rum i rodzynki — dopowiedział Parker.

— Oddajemy to do kuchni i podajemy z bosmańskim grogiem — zakończył Macdonald.

Canning oświadczył, że będzie zaszczycony, mogąc spróbować podobnej potrawy. To dla niego naprawdę coś nowego. Nigdy dotąd nie miał okazji spożywać posiłku na okręcie wojennym i z przyjemnością dowie się, co jedzą marynarze.

— Muszę powiedzieć, że to naprawdę doskonałe — przyznał po chwili. —Podobnie jak grog. Chyba poproszę o dolewkę. Wyśmienite! Mówiłem panu, sir — pochylił się w stronę Jacka i zniżył głos — że w operze grają *Wesele Figara*. Musi pan koniecznie zobaczyć to przedstawienie. Występuje w nim nowa śpiewaczka, La Colonna... Wykonuje partię Zuzanny naprawdę bezbłędnie i z taką gracją; nigdy w życiu nie słyszałem czegoś podobnego. To rewelacja. W połowie nuty głos zaczyna wibrować i tak dźwięczy... Ottoboni występuje jako Contessa i słuchając ich razem, w duecie, miałby pan na pewno łzy w oczach. Zapomniałem słów, ale pan na pewno je pamięta... — Zanucił tak głębokim basem, że zabrzęczały stojące na stole kieliszki.

Jack zaczął wybijać rytm łyżeczką i wpadając w pół taktu, zaśpiewał:

— *Sotto i pini...*

Śpiewali teraz razem, powtarzając kilkakrotnie wszystko od początku, a pozostali biesiadnicy przyglądali im się z wyraźnym zadowoleniem. W obecnej chwili zupełnie naturalny wydawał im się fakt, że ich kapitan wcielił się w rolę służącej hiszpańskiej damy, a nieco później nawet w trzy ślepe myszy.

Przed myszami nastąpiło jednak wydarzenie, które ostatecznie potwierdziło ogólny szacunek dla pana Canninga. Gdy podano porto i ogłoszono toast za zdrowie króla, ich gość podniósł się gwałtownie, uderzył głową o belkę i natychmiast ciężko opadł z powrotem na fotel. Wszyscy wiedzieli, że coś takiego może przydarzyć się nieobeznanemu z morzem żołnierzowi lub cywilowi, nigdy jednak dotąd nie byli świadkami podobnego wypadku. Na szczęście obeszło się bez poważniejszych obrażeń i całe to zdarzenie wprawiło oficerów „Polychrest" w trudny do opisania zachwyt. Stali teraz dookoła fotela, pocieszając poszkodowanego i przemywając rumem potężnego guza. Gorliwie zapewniali Canninga, że to nic poważnego: sami też często rozbijali sobie głowy. Na szczęście nie było żadnych złamanych kości, więc wszystko powinno szybko się zagoić. Jack poprosił o poncz i półgłosem polecił stewardowi, by przygotowano ławkę bosmańską. Gdy waza stanęła na stole, kapitan nalał gościowi odrobinę (w celach leczniczych) i wyjaśnił:

— W Royal Navy możemy pić zdrowie króla na siedząco, to nasz przywilej i takie postępowanie w żadnym wypadku nie oznacza braku szacunku. Niewielu jednak ludzi o tym wie, to nowy zwyczaj... Może wydawać się trochę dziwny.

— Tak, tak — powiedział Canning, wpatrując się nieruchomym wzrokiem w twarz Pullingsa. — Tak, teraz chyba sobie przypominam... — Gdy poncz zaczął wreszcie działać, kupiec rozejrzał się z

uśmiechem dookoła

stołu i oświadczył z rozpaczą.: — Przy panach jestem takim nowicjuszem... Wszyscy pocieszali go przez dłuższą chwilę i już za moment donośny bas Canninga przyłączył się do wspomnianej wcześniej piosenki o trzech myszach. Śpiewali teraz o Zatoce Biskajskiej, o kobiecie poruczniku i niewinnych chłopcach — w tym ostatnim kuplecie gość zagłuszył ich wszystkich:

Trzej, trzej, trzej rywale,

Dwaj chłopcy niewinni, śnieżnobiali,

Lecz jest też jeden, mówię wam,

Na zawsze już zostanie sam...

— Ten fragment ma dla mnie jakieś ukryte znaczenie, którego nie potrafię w tej chwili zdefiniować. — Stephen zagadnął Canninga, gdy ucichły donośne brawa i wiwaty.

— Czy nie chodzi tu może... — Kupiec próbował coś powiedzieć, lecz pozostali biesiadnicy powrócili właśnie do trzech myszy, śpiewając głosami, które nawet w najsilniejszym atlantyckim sztormie słychać byłoby aż na marsie fokmasztu. Śpiewali wszyscy oprócz Parkera, który nie był w stanie odróżnić jednej melodii od drugiej. Siedział więc śmiertelnie znudzony i tylko od czasu do czasu otwierał usta, nieudolnie udając, że doskonale się bawi. Canning urwał w pół zdania i też przyłączył się do chóru.

Śpiewał o myszkach nawet wtedy, gdy został posadzony na ławce bosmańskiej i ostrożnie opuszczony do łodzi. Jego donośny głos długo odzywał się z oddali, przesuwając się powoli w stronę zgromadzonych na redzie statków handlowych — ich kadłuby i maszty rysowały się ciemną plamą na tle białych piasków Goodwin. Jack, przechylony przez reling, nasłuchiwał cichnącego w oddali śpiewu. W pewnej chwili miejsce myszy znów zajęli trzej rywale.

— Nigdy jeszcze dotąd nie uczestniczyłem na okręcie w tak udanym obiedzie. — Stephen odezwał się z boku. — Dziękuję, że mnie zaprosiłeś.

— Naprawdę ci się podobało? Bardzo się cieszę. Szczególnie zależało mi na tym, by Canning był zadowolony; to bardzo bogaty człowiek, nie chciałem też wstydzić się z powodu „Polychrest"... Przykro mi, że musieliśmy skończyć tak wcześnie, wolę jednak stąd ruszyć, zanim zrobi się zupełnie ciemno. Panie Goodridge, panie Goodridge... Jak tam pływ?

— Została jeszcze godzina, sir.

— Czy ludzie z odbijaczami i tyczkami są gotowi?

— Tak jest, sir.

Wiatr był korzystny, lecz po podniesieniu kotwicy okręt będzie musiał przejść pomiędzy jednostkami eskadry i statkami konwoju. Aubrey obawiał się, że jego narowisty slup może otrzeć się o któryś ze

stojących na redzie żaglowców — polecił więc, by na „Polychrest" zorganizowano grupę uzbrojonych w długie tyczki ludzi, których zadaniem będzie niedopuszczenie do ewentualnego zderzenia.

— W takim razie pójdziemy teraz do pańskiej kabiny. — Gdy już znaleźli się pod pokładem, Jack zauważył: — Widzę, że rozłożył pan mapy. Jak mi się zdaje, dobrze zna pan kanał?

— Tak, sir.

— To wspaniale. Ja znacznie pewniej niż tutaj czuję się w Indiach Zachodnich i na Morzu Śródziemnym. Chcę, by o trzeciej rano nasz slup znalazł się o pół mili od Gris Nez, dokładnie w tym namiarze...

Kapitan wyszedł na pokład tuż przed czterema szklankami środkowej wachty. Okręt dryfował pod marslami na fok i stermaszcie, na swój dziwaczny sposób kołysząc się na fali, noc była pogodna i mroźna. Na niebie jasno świecił księżyc, a nad ciemnym masywem przylądka Gris Nez, z tyłu za prawym trawersem, lśniły oślepione srebrnym blaskiem gwiazdy — Jack zauważył wśród nich Altair. Wiatr nie zmienił się i z północnego zachodu wiała ta sama, przeszywająca zimnem bryza. Daleko z lewej strony przed dziobem szykowały się jednak kłopoty; nie było gwiazd powyżej Kastora i Polluksa, a tarcza księżyca dotykała ciemnego pasma chmur ciągnących się wzdłuż horyzontu. Mogło to oznaczać nagły powiew z lewego baksztagu — byłaby to bardzo niekorzystna sytuacja, gdyż brzeg znalazłby się wówczas bardzo blisko na zawietrznej.

— Chciałbym, żeby było już po wszystkim — Jack mruknął do siebie i zaczął swój rytualny spacer po pokładzie rufówki. Zgodnie z otrzymanymi rozkazami slup miał o trzeciej nad ranem zająć wyznaczoną pozycję w pobliżu przylądka, wystrzelić niebieską racę i przyjąć pasażera z łodzi, która na wywołanie odpowie hasłem „Burbon". Po wykonaniu tego zadania okręt miał jak najszybciej zgłosić się w Dover. Jeśli łódź się nie pojawi lub pogoda uniemożliwi punktualne stawienie się na umówione spotkanie, podobną operację należało powtarzać przez trzy kolejne noce, w dzień pozostając poza zasięgiem wzroku.

Wachtę trzymał teraz Pullings, pierwszy nawigator był jednak na pokładzie; stał przy uskoku rufówki i sprawdzał wzrokowo pozycję, a życie okrętu toczyło się normalnym, spokojnym trybem. Pullings od czasu do czasu zmieniał ustawienie żagli; pomocnik cieśli meldował poziom wody w zęzach — osiemnaście cali — stanowczo za dużo; po pokładzie krążył pełniący służbę porządkową podoficer; obrócono klepsydrę, zadzwonił okrętowy dzwon, wachtowi kolejno zgłaszali się ze swych stanowisk, dając znać. że „wszystko w porządku". Zmienili się obserwatorzy i marynarze przy sterze, regularnie zmieniała się też obsada pomp. Przez cały czas w takielunku cicho jęczał wiatr. Dźwięk to podnosił się, to opadał — maszty zataczały szerokie koła, gdy okręt

kołysał się na fali, naprężając wanty i brasy na przemian to z lewej, to z prawej burty.

— Tylko patrzeć mi tam dobrze, na fokmaszcie —zawołał Pullings.

— Tak jeszt, szir. — Głos zaseplenił z oddali: Bolton, jeden z ludzi wziętych siłą ze statku Kompanii Wschodnioindyjskiej. Ponury, wiecznie niezadowolony, prymitywny brutal bez przednich zębów — z

gołych dziąseł wystawały tylko po bokach ułamane korzenie. Był jednak dobrym marynarzem.

Kapitan spojrzał na zegarek, ustawiając tarczę tak, by światło księżyca padało na wskazówki. Do trzeciej było jeszcze sporo czasu, a na północy ciemne pasmo chmur zasłoniło już Kapellę. Myślał o tym, czy nie byłoby warto posłać na maszt dodatkowych ludzi, gdy sepleniący obserwator zawołał:

— Na pokładzie, łódź sz prawej burty, szir...

Aubrey chwycił się ręką wanty i stanął na nadburciu. Przez chwilę uważnie obserwował ciemną powierzchnię morza, nic jednak nie zauważył.

— Gdzie ta łódź? — zapytał głośno.

— Sz tyłu za trawerszem. Bardzo szybko płynie.

Teraz ją widział. Przecięła właśnie jasną smugę odbitego w wodzie księżycowego światła. Może o milę od okrętu. Bardzo długa i cienka linia na powierzchni wody — zmierzała szybko w kierunku lądu. Na pewno nie na tę łódź czekali: nie ten kształt, nie ten czas i nie ten kierunek.

— Co pan o niej myśli, panie Goodridge? — Jack zapytał pierwszego nawigatora.

— Cóż, sir, to na pewno jedna z tych łodzi z Deal. Wie pan, jak je nazywają? Pieniądze-albo-życie. Inni mówią, że to złote łodzie. Ta jak widać jest mocno załadowana. Musieli zauważyć jakiś patrolowiec albo kuter kontroli skarbowej; wiosłują bardzo ostro pod prąd, wyjątkowo silny tulaj, koło przylądka. Czy chce pan ich zatrzymać, sir? Jeśli tak. musimy się spieszyć, bo ląd jest blisko. Mamy na szczęście dobrą pozycję.

Jack nigdy dotąd nie widział żadnej *z* tych łodzi. Sporo jednak o nich słyszał. Były przeznaczone bardziej do wyścigów po spokojnej wodzie niż do żeglugi po wzburzonym morzu. Wszystkie względy bezpieczeństwa zostały odłożone na bok, liczyło się tylko uzyskanie maksymalnej szybkości. Przemyt złota był jednak na tyle opłacalny, że ludzie z Deal decydowali się przeprawiać w takich jednostkach na drugą stronę kanału. Byli w stanie uciec przed każdym pościgiem, wiosłując dokładnie pod wiatr: niektórym z nich zdarzało się utonąć, bardzo jednak rzadko zostawali schwytani. Chyba że, tak jak w tym przypadku, znaleźli się na zawietrznej potencjalnego przeciwnika, zmęczeni długim wiosłowaniem pod prąd i pod wiatr. Czasem też trafiali wprost na czekający w ciszy okręt wojenny.

Złoto zajmowało bardzo mało miejsca. W tej łupinie mogło znajdować się pięćset lub sześćset funtów, do tego dochodziło jeszcze siedmiu ludzi, najlepszych marynarzy na całym wybrzeżu. Wszystko to byłoby jak najbardziej zasłużonym pryzem — nic w tej chwili nie było w stanie pomóc przemytnikom. Jack wiedział o tym doskonale; jego okręt miał przecież przewagę względem wiatru. Wystarczyłoby tylko wypełnić wiatrem fokmarsel, zatoczyć koło, stawiając wszystkie żagle i ruszyć z wiatrem. Chcąc uciec, wioślarze musieliby zmagać się z przeciwnym prądem, a byli już na to teraz zbyt zmęczeni. Wystarczyłoby im sił na dwadzieścia minut, może na pół godziny... Tak, potem jednak trzeba będzie halsować z powrotem na wyznaczoną pozycję, a żegluga na wiatr nie była najmocniejszą stroną „Polychrest".

— Mamy jeszcze ponad godzinę do trzeciej — odezwał się stojący z boku pierwszy nawigator. Jack sięgnął po zegarek, podoficer podniósł w górę latarnię. Wszyscy obecni na rufowym pokładzie ludzie zamarli w oczekiwaniu. Służbę pełnili tu tylko doświadczeni marynarze, lecz do tej chwili nawet niedoświadczony tkacz ze śródokręcia zdołał zrozumieć, co się dzieje.

— Jest dopiero siedem po drugiej, sir — powiedział pan Goodridge. Nic z tego nie wyjdzie.

— Co tam, śpicie przy sterze? — Aubrey krzyknął gniewnie, gdyż dziób okrętu odszedł o rumb w prawo od linii wiatru. — Panie Pullings, proszę sprawdzić niebieskie rakiety — dodał i podjął na nowo swój przerwany spacer. Najgorsze było pierwsze pięć minut, gdyż podchodząc do rufowego relingu, Jack za każdym razem widział tę łódź, powoli zbliżającą się do brzegu; wciąż jednak można byłoby ją zatrzymać. Dopiero po dwudziestym okrążeniu pokładu przemytnicy przekroczyli niewidzialną linię, za którą slup nie mógł już im zagrozić. Sytuacja wyjaśniła się sama, było już za późno, by dowódca „Polychrest" mógł zmienić zdanie.

Pięć szklanek. Kapitan sprawdził pozycję, upewniając się, czy namiary na dwie wieże na brzegu zgadzają się z podanymi w rozkazie. Ciemne chmury na północnym zachodzie przesłoniły już Wielką Niedźwiedzicę. Sześć szklanek i w niebo wystrzeliła niebieska raca. Błękitny płomień poszybował na zawietrzną, oświetlając zwrócone w górę twarze stojących na pokładzie ludzi — otwarte usta, tu i tam bezmyślne, tępe zadowolenie.

— Panie Pullings, niech pan będzie tak uprzejmy i pośle na maszt rozsądnego człowieka z nocną lunetą. Na grotmaszcie... — zawołał po pięciu minutach. — Co widać? Czy od strony brzegu zbliża się jakaś łódź?

Chwila ciszy.

— Nie, sir. Przez cały czas obserwuję wybrzeże. Jak na razie nic się nie pojawiło.

Siedem szklanek. Daleko od strony morza przepłynęły trzy jasno oświetlone żaglowce; na pewno żeglujące wzdłuż kanału jednostki neutralnych państw. Osiem szklanek, zmiana wachty i okręt wciąż znajdował się na wyznaczonej w rozkazie pozycji.

— Płyniemy na pełne morze, panie Pullings — Jack polecił wreszcie. — Proszę oddalić się od lądu, tak by nie było nas widać, i jak najmniej iść na południe. Musimy wrócić tu jutro, dokładnie w to samo miejsce.

Następną noc spędzili jednak zupełnie gdzie indziej, walcząc koło Dungeness z tak silnym sztormem, że Jack zamierzał już schronić się za Isle of Wight. Oznaczałoby to powrót z podkulonym ogonem do admirała i niewykonanie zadania. Na szczęście wiatr skręcił o świcie na zachód i slup pod mocno zrefowanymi marslami powoli pożeglował z powrotem. Pompy pracowały bez przerwy, morze było bardzo wzburzone i fale wściekle uderzały o kadłub. Okręt zderzał się z wyjątkowo stromymi grzywaczami, to stając w miejscu, to gwałtownie skacząc do przodu. Pomimo wszelkich wysiłków, w mesie oficerskiej nie udawało się utrzymać jedzenia na stole.

Miejsce ochmistrza było puste, jak zwykle, gdy tylko założono pierwsze refy, a Pullings, zmęczony

po wachcie, usiadł do obiadu, ziewając.

— Nie cierpi pan na morską chorobę? — Stephen zapytał Macdonalda.

— Nie, sir. Nic w tym jednak dziwnego. Pochodzę z Western Isles. Już od najmłodszych lat żeglujemy tam po morzu.

— Western Isles... Wyspy Zachodnie... Czy w pańskiej rodzinie nie było czasem Władcy Wysp...? Lord of the Isles... To takie romantyczne. — Macdonald ukłonił się nisko. —My w Irlandii mamy Białego Rycerza i Rycerza z Glen. Jest też O'Connor Don, McCarthy Mor, ale Lord of the Isles: Władca Wysp... To naprawdę jest coś. W tej nazwie kryje się wielka siła i dostojeństwo. Tak. O czymś mi to przypomniało. Podsłuchałem wczoraj rozmowę dwóch pańskich współziomków. Obaj nazywają się chyba Macrea, tak mi się przynajmniej zdaje. Czyścili swoje wyposażenie i o coś się posprzeczali, a ja stałem z boku. Nie mówili o niczym szczególnym. Jeden poprosił drugiego, by ten pocałował go gdzieś; w odpowiedzi został odesłany do diabła. Nic wielkiego. Rozumiałem jednak dokładnie, o czym mówili, nie sprawiało mi to najmniejszej trudności.

— Zna pan celtycki? — Macdonald zawołał zdumiony.

— Nie, sir — wyjaśnił doktor. — Dlatego tak mnie to zdziwiło. Dawno nie używałem tej mowy, sądziłem, że jej nie rozumiem. Okazało się jednak, że tak nie jest. Żadne ze słów nie wydało mi się obce. Nie miałem pojęcia, że języki celtycki i irlandzki są aż tak do siebie podobne. Myślałem, że pomiędzy tymi dialektami jest olbrzymia różnica. Proszę mi powiedzieć, czy mieszkańcy różnych części Szkocji i Irlandczycy wzajemnie się rozumieją? Czy mieszkaniec Hebrydów dogada się z człowiekiem z Hebrydów i Ulsterczykiem?

— Oczywiście, sir. Mogą całkiem swobodnie dyskutować o połowie ryb, łodziach i kobietach. Istnieją oczywiście pewne trudne słowa, inna jest też czasem wymowa, jednak przy dużym samozaparciu i wytrwałości (czasem potrzeba kilku powtórzeń), mieszkańcy Szkocji i Irlandii rozmawiają ze sobą bez większego trudu. Wśród rekrutów mamy kilku Irlandczyków, słyszałem, jak rozmawiali z moimi ludźmi.

— Gdybym to ja usłyszał coś podobnego, znaleźliby się na czarnej liście — wtrącił pierwszy porucznik. Wrócił właśnie z pokładu i ociekał wodą jak zmoczony pies.

— Dlaczego? — zaciekawił się doktor.

— Na okrętach nie wolno mówić po irlandzku — wyjaśnił Parker. -To groźne dla dyscypliny. Używanie sekretnego języka może ułatwić podburzanie ludzi do buntu.

Jeszcze jedna taka fala i stracimy maszty — zauważył Pullings, gdy nagły przechył rzucił resztki naczyń, potłuczone szkło i zgromadzonych w mesie ludzi na zawietrzną. — Najpierw stracimy stermaszt — powiedział porucznik, podnosząc z podłogi doktora — i „Polychrest" będzie brygiem. Potem przyjdzie kolej na fokmaszt: nasz biedny okręt naprawdę stanie się wtedy slupem. Później za burtę wyleci grotmaszt i dalej pożeglujemy na tratwie. Tak właściwie powinna od początku nazywać się ta nasza kochana jednostka.

Jakimś nadludzkim wysiłkiem Macdonaldowi udało się uratować z pogromu karafkę. Podniósł ją wysoko i oświadczył:

— Jeśli uda się panu znaleźć jakiś cały kieliszek, doktorze, chętnie się z panem napiję. Może znów podyskutujemy o Ossianie? Z wielkim szacunkiem wyrażał się pan o jednym z moich przodków. Sądzę więc. że wie pan, na czym polega nasza szkocka narodowa duma. Myślę, iż zrozumie pan też. co dowodzi autentyczności dzieł Ossiana. Czy mogę zarecytować panu fragment opisu poranka?

Po raz kolejny w niebo wzleciała niebieska rakieta, oświetlając pokład „Polychrest" i twarze pełniących służbę marynarzy. Tym razem jednak raca poszybowała na północny wschód, gdyż wiatr zmienił zupełnie kierunek, przynosząc mżawkę i nadzieję na porządną ulewę. Natychmiast też na sygnał odpowiedziały z brzegu muszkietowe wystrzały.

— Łódź odbiła od brzegu, sir — zameldował obserwator. W dwie minuty później krzyknął: — Na pokładzie! Na pokładzie! Jest jeszcze jedna łódź. Strzelają z niej w stronę tej pierwszej...

— Wszyscy na pokład do stawiania żagli — zawołał Jack. Na okręcie wszystko gwałtownie ożyło. — Na forkasztelu! Przygotować działa numer dwa i cztery. Panie Rolfe, proszę strzelać do tej drugiej łodzi, gdy tylko zbliżymy się do brzegu. Próbujcie trafić już z maksymalnej odległości. Panie Parker, postawić marsie i główne żagle.

Znajdowali się o pół mili od ścigających się łodzi, daleko poza zasięgiem krótkolufowych karonad. Gdy tylko okręt ruszy z miejsca, na pewno uda się skrócić dystans. Och, tak przydałoby się długie działo. Pościgówka...

Posypały się dodatkowe rozkazy, na pokładzie zapanowało zamieszanie.

— Na reje... Z życiem. Dlaczego tak guzdrzecie się przy tym grocie? Luzować gejtawy i gordingi... Niech was szlag trafi! Luzować gejtawy i gordingi stermarsla! Wybierać szoty. Szybciej...

To było istne pandemonium. Pokład obsadzonego przez niepełną załogę statku handlowego, tuż przed nadchodzącym nieuchronnie końcem świata. Jack założył ręce za plecami i stanął przy rufowym relingu, obracając się tyłem do tego wszystkiego. Tylko w ten sposób mógł się opanować; przed chwilą chciał już pobiec na dziób i uporządkować jakoś zamęt panujący na forkasztelu. Łodzie zbliżały się szybko — na drugiej z nich odzywały się dwa muszkiety i kilka pistoletów. W końcu bosman zdołał jakoś opanować bałagan, żagle wypełniły się wiatrem i okręt powoli ruszył z miejsca. Jack nawet na moment nie przestawał obserwować nadpływających łodzi.

— Panie Goodridge, proszę zmienić kurs tak, żeby artylerzysta mógł swobodnie celować. Panie Macdonald, proszę posłać na maszty strzelców wyborowych. Niech zajmą się tą drugą łodzią.

Slup poruszał się już wyraźnie, obracając się dziobem w stronę ścigających się jednostek. W tym samym jednak momencie pierwsza z nich zmieniła kurs, zasłaniając sobą drugą.

— Hej tam, na łodzi — Aubrey krzyknął głośno. — Płyńcie za rufę. Dajcie ster w prawo.

Nie wiadomo, czy to polecenie zostało należycie zrozumiane, pomiędzy łodziami pojawił się jednak

teraz wyraźny odstęp. Odezwały się dziobowe karonady; rozległ się głośny huk i z luf wytrysnęły pomarańczowe języki ognia. Jack nie widział, gdzie upadły kule, najwyraźniej jednak nie uczyniły one żadnej szkody płynącej z tyłu łodzi. Przy kolejnym wystrzale udało mu się dostrzec, jak pocisk uderza w ciemną powierzchnię morza. Kula poleciała stanowczo za blisko, ale na pewno w dobrym kierunku. Wysoko na masztach odezwały się muszkiety: najpierw jeden, potem cztery lub pięć, salwą. Znów wypaliła karonada, tym razem trafiając bardzo blisko celu, jako że odległość od łodzi znacznie się zmniejszyła. Pocisk musiał przelecieć rykoszetem ponad głowami strzelających z łodzi ludzi, gdyż ich zapał ostygł wyraźnie. Nadal kontynuowali pościg, lecz po następnym armatnim wystrzale zawrócili w miejscu. Raz jeszcze na ślepo wypalili z muszkietów i szybko powiosłowali w bezpieczne miejsce.

— Niech ta łódź podejdzie do burty, panie Goodridge — polecił kapitan. — Stermarsel na wiatr! Hej tam na łodzi! — W odległości pięćdziesięciu jardów odezwały się szybko wypowiadane, niezrozumiałe słowa. — Kto na łodzi? — Jack powtórzył pytanie, przechylając się przez reling, by lepiej usłyszeć odpowiedź. W jego twarz zacinały strugi drobnego deszczu.

— Burbon. — Z łodzi doleciał słaby głos. — Burbon! — Ktoś powtórzył głośniej.

— Podejdźcie od zawietrznej — zdecydował Aubrey. Okręt znieruchomiał i stał teraz w miejscu, kiwając się ciężko z burty na burtę. Łódź uderzyła o kadłub, ktoś z jej załogi zahaczył bosak o ławę wantową grotmasztu. W świetle latarni Jack ujrzał na dnie łódki jakąś skuloną postać.

— *Le monsieur est touche* — wyjaśnił człowiek z bosakiem.

— Czy jest ciężko ranny... *mauvaisement blessayl*

— *Sais pas, commandant. Il parle plus: je crois bien que c'est macchabee a present. Y a du sang partout. Vous voulez pas me faire passer une elingue, commandant?*

— Co? *Parlez...* Nie... Poproście tu szybko doktora.

Stephen ujrzał twarz swojego pacjenta dopiero w kapitańskiej kabinie, dokąd natychmiast przeniesiono rannego: Jean Anquetil, nerwowy, niespecjalnie odważny i do ostatniej chwili niezdecydowany młody mężczyzna, wykrwawiający się teraz na śmierć. Kula przeszyła aortę i doktor nie był w stanie nic zrobić. Krew wypływała na zewnątrz pulsującym strumieniem.

— Za kilka minut będzie po wszystkim — powiedział Stephen, obracając się w stronę Jacka.

— Ten nieszczęśnik zmarł, gdy tylko wniesiono go na pokład... — Aubrey zakończył swoją relację.

Admirał Harte chrząknął głośno i zapytał:

— Czy ten młody człowiek nie miał nic więcej przy sobie?

— To wszystko, sir. Płaszcz, buty, bielizna i te papiery. Wszystko niestety bardzo zakrwawione.

— No cóż... To sprawa Admiralicji. Może wyjaśni mi pan teraz, dlaczego pozwolił pan uciec

przemytnikom?

Jack wiedział już teraz, co było powodem złego humoru admirała.

— Gdy zauważyłem ich łódź, znajdowałem się już na wyznaczonej pozycji, sir. Do umówionego terminu spotkania zostały mi wtedy tylko pięćdziesiąt trzy minuty, gdybym wyruszył w pościg, musiałbym się spóźnić. Wie pan przecież, że „Polychrest" fatalnie żegluje na wiatr.

— A pan zna na pewno powiedzenie o baletnicy i jej spódnicy, kapitanie Aubrey... Za bardzo przejął się pan swoimi obowiązkami. Ten człowiek nie odpowiedział wtedy na pański sygnał: tak to zawsze wygląda z tymi cudzoziemcami. Nigdy nie zgłaszają się na czas. W każdym razie, nawet gdyby doszło do półgodzinnego opóźnienia... Tak, tylko pół godziny, nie więcej, nawet gdyby miał pan w załodze same stare baby... Czy wie pan, że łodzie z fregaty „Amethyst" schwytały tych łajdaków, zanim udało im się dotrzeć do Ambleteuse? Wieźli aż tysiąc sto gwinei! Na samą myśl o tym dostaję... Jak mógł pan zmarnować taką okazję? — Harte zabębnił palcami w stół. „Amethyst" był jednym z okrętów działających na bezpośredni rozkaz Admiralicji; dowódca eskadry nie brał udziału w podziale zdobyczy. Harte stracił więc około stu pięćdziesięciu funtów. — Tak czy inaczej — admirał mówił dalej — co się stało, już się nie odstanie. Gdy tylko ucichnie ten południowy wiatr, wyruszam w drogę z konwojem. Pan poczeka tutaj na statki zmierzające do Gwinei i jednostki z listy, którą dostanie pan od Spaldinga. Ma je pan wszystkie odprowadzić aż do Lizbony. Mam nadzieję, że w drodze powrotnej jakoś się pan wykaże... Spalding przekaże panu szczegółowe rozkazy. Tym razem nie będzie żadnych spotkań o ściśle umówionej porze...

Rano wiatr zawiał z północnego zachodu i na stu fokmasztach załopotały brytyjskie bandery. Dziesiątki łodzi dowoziły kapitanów statków handlowych, oficerów, pasażerów i ich krewnych z Sandwich, Walmer, Deal, a nawet z Dover. Zawarto też wiele pospiesznych. opartych na szantażu transakcji, gdy sygnały z admiralskiego okrętu obwieściły wszem wobec, iż czas już nareszcie wyruszyć w drogę. Około godziny jedenastej wszystkie jednostki zdołały podnieść kotwicę. Na miejscu pozostały tylko te, które w ogólnym zamieszaniu pozderzały się ze sobą. Żaglowce płynęły grupami, raczej bezładnie, pomimo to wyglądały jednak bardzo majestatycznie: olbrzymia połać szarego morza upstrzona białymi plamami żagli i niebo, z wiszącymi wysoko, postrzępionymi chmurami. Pouczający przykład tego, jak ważną dla wyspy rzeczą jest żegluga handlowa, a zarazem wspaniała lekcja ekonomii politycznej dla podchorążych z „Polychrest" i dowód na to, iż nawet szeregowy majtek bez trudu może uniknąć wcielenia do służby w marynarce — na tych statkach pracowało przecież kilka tysięcy ludzi. Wszyscy oni uciekali teraz beztrosko spod samego nosa Impress Service. Podchorążowie, podobnie jak cała załoga, zajęci byli jednak czymś innym: na pokładzie slupa wymierzano właśnie kary. Przygotowano greting, pełniący rolę pręgierza, z boku stanęli pomocnicy bosmana, a odpowiedzialny za porządek podoficer przyprowadził marynarzy, którzy popełnili wykroczenia. Lista winowajców była niestety bardzo długa: oskarżenia obejmowały pijaństwo (alkohol zawsze jakoś przedostawał się na pokład z łodzi portowych handlarzy), lekceważenie obowiązków, nieposłuszeństwo, palenie tytoniu poza kuchnią, grę w kości i kradzież. Przy podobnych okazjach Jack był zawsze ponury i przygnębiony. Irytowali go wszyscy obecni na pokładzie ludzie, czuł się nieswojo, dręczyło go dziwne poczucie winy, połączone z przykrymi wyrzutami sumienia. Wydawał się wyjątkowo wysoki, wyniosły, zimny i obojętny. Wiedział, że podwładni na pewno widzieli w nim bezwzględnego, pozbawionego litości absolutnego władcę i

okrutnika. Wspólna służba na okręcie dopiero się zaczynała i obowiązkiem dowódcy było utrzymanie surowej dyscypliny, podtrzymywanie autorytetu oficerów. Musiał więc teraz znaleźć równowagę pomiędzy nieuzasadnionym znęcaniem się a fatalną w skutkach łagodnością (pomimo rozmowy z Parkerem. niektóre oskarżenia były przecież bardzo trywialne i dotyczyły wyjątkowo błahych przewinień). Bardzo trudno było poradzić sobie z podobnym zadaniem, nie znając prawie trzech czwartych załogi. W miarę wykonywania tego nieprzyjemnego zadania twarz kapitana posępniała coraz bardziej. Nałożył na kilku ludzi dodatkowe obowiązki, zakazał wydawania grogu przez trzy dni, tydzień i dwa tygodnie. Czterem ludziom kazał wydzielić po sześć batów, jednemu dziewięć, a złodziejowi dwanaście. To nie było dużo, lecz na „Sophie" bywało i tak, że czasami przez dwa tygodnie nie wyjmowano dziewięciorzemiennego bicza z czerwonego płóciennego pokrowca. Nawet tak umiarkowane kary wymierzono z należnym ceremoniałem: odczytano odpowiednie artykuły prawa wojennego, zagrzechotał bęben, wszystkiemu przyglądało się z powagą stu zgromadzonych na pokładzie ludzi. Gdy było już po wszystkim, szybko zmyto z desek krew i Stephen zszedł na dół, by zająć się wychłostanymi, a dokładniej tymi z nich, którym przyszło na myśl, by się do niego zgłosić. Doświadczeni marynarze po prostu włożyli koszule i wrócili do swoich zajęć, rezygnując z maści oraz okładów. Wierzyli, że zakrapiany grogiem obiad szybko postawi ich na nogi. Nieco inaczej wyglądała sprawa z rekrutami, którzy po raz pierwszy w życiu doświadczyli chłosty w stylu Royal Navy; ci akurat bardzo to wszystko przeżyli. Bat najbardziej pokaleczył plecy złodzieja, Carlowa, gdyż wymierzający karę pomocnik bosmana był kuzynem okradzionego.

Doktor wrócił na górę akurat w chwili, gdy gwizdki wezwały ludzi na posiłek. Na pokładzie spotkał wyraźnie zadowolonego z siebie, spacerującego wesoło tam i z powrotem pierwszego porucznika.

— Panie Parker, czy pozwoli mi pan skorzystać z małej łodzi? — zapytał. — Wezmę ją, powiedzmy, na godzinę. Chciałbym pochodzić trochę podczas odpływu po piaskach Goodwin. Morze jest dzisiaj wyjątkowo spokojne i mamy naprawdę piękny dzień.

— Proszę bardzo, doktorze — Parker odpowiedział z uśmiechem. Zawsze miał dobry humor, gdy wymierzano kary. — Może pan tam popłynąć niebieskim kutrem. Nie będzie jednak wtedy pana na obiedzie...

— Nic nie szkodzi. Wezmę ze sobą chleb i kawałek pieczonego mięsa.

Już wkrótce Stephen znalazł się na rozległej połaci twardego, wilgotnego piasku, poznaczonego tu i ówdzie strumykami płynącymi leniwie w stronę szemrzącego nieśmiało morza. Doktor trzymał w dłoni skibkę chleba, w drugiej ręce miał spory kawałek zimnej wołowiny. Znajdował się teraz bardzo nisko, prawie na poziomie morza, z tej wysokości nie widział wybrzeża i domów Deal. Otaczała go szara, nieruchoma połać wody i nawet wyciągnięta w oddali na piach łódź zdawała się należeć do jakiegoś innego świata. Piasek był lekko pofałdowany, tu i tam widać było na wpół zasypane cielska wraków — niektóre wydawały się pękate i masywne, inne przypominały nagie szkielety. Wszystkie leżały w jakimś dziwnym logicznym porządku, którego Stephen nie był w stanie ustalić, wiedział jednak, że rządzi tym jakaś bardzo nieskomplikowana zasada. Na pewno umiałby ją uchwycić, gdyby udało mu się zmusić własny umysł do intelektualnego wysiłku.

Było to na pewno coś tak oczywistego, jak rozpoczęcie wyliczania liter alfabetu od X; w grę wchodziło na pewno jakieś proste i bardzo oczywiste rozwiązanie, jednak pod warunkiem, że miało

się choć jedną wskazówkę. Powietrze pachniało tu inaczej, światło miało odmienny blask, a całe to miejsce należało do innej rzeczywistości. Znacznie wolniej płynął tutaj czas — podobnie jak po zażyciu określonej ilości laudanum. Na piasku krzyżowały się splątane ślady fal, tu i tam leżały muszelki, w płytkich kałużach kłębiło się mnóstwo rozmaitych morskich żyjątek. Stephen zauważył też wysoko w górze stadko brodźców piskliwych: ptaki leciały szybko, jeden przy drugim i zataczały szerokie koła, nerwowo machając skrzydłami.

Jego włości poszerzały się stopniowo; nadal trwał odpływ i w wielu miejscach pojawiły się nowe piaszczyste łachy. Mielizna wyciągnęła się daleko na północ, wyspy łączyły się ze sobą. niepostrzeżenie znikała gdzieś połyskująca w słonecznym świetle woda. Dookoła panowała absolutna cisza, dźwięki urywały się daleko, na krawędzi tego niezwykłego, nieruchomego świata, w którym ginął nawet delikatny szum fal i odległy krzyk mew.

Po jakimś czasie wszystko uległo odwróceniu. Rozległa plaża zaczęła kurczyć się nieubłaganie — zmiany przebiegały jednak na razie powoli, w sekrecie, i tylko w najszerszych strumykach widać było, że woda płynie teraz odważnie od strony morza.

Wioślarze z łodzi przez cały ten czas zajęci byli połowem zimnie; do tej pory udało im się zapełnić aż dwa kosze.

— Doktor jest tam — powiedział Nehemiah Lee. — Wymachuje rękami. Ciekawe, czy chce nas zawołać, czy tylko mówi coś do siebie?

— Rozmawia sam ze sobą — z przekonaniem oświadczył John Lakes, jeden z członków starej załogi „Sophie'". — Często tak robi. Jest bardzo wykształconym człowiekiem.

— Woda już wkrótce odetnie mu drogę. Ciekawe, czy to zauważył — stwierdził Art Simmons, starszy wiekiem i trochę gderliwy marynarz z forkasztelu. — Zachowuje się chwilami jak wariat... Albo cudzoziemiec.

— Nie pozwalaj sobie na takie gadanie, Simmons— zawołał Plaice. — Chyba że chcesz, żebym wepchnął ci te słowa z powrotem do gardła.

— Ty? A kto ci w tym pomoże? — Simmons zapytał gniewnie, patrząc prosto w oczy kolegi.

— Nie szanujesz wykształconych i mądrych ludzi? — zdziwił się Plaice. — Widziałem kiedyś, jak nasz doktor czytał cztery książki naraz... To zresztą nic... Oglądałem też coś znacznie ciekawszego. Na własne oczy — dodał, chcąc przydać swym słowom powagi. — Patrzyłem z boku, jak rozcina człowiekowi czaszkę, wyjmuje z niej mózg i przywraca go do porządku. Włożył potem to wszystko na miejsce, dodał srebrną blaszkę i przyszył z powrotem czubek głowy, wiszący sobie przez cały ten czas nad uchem. Używał szydła i igły tak sprawnie jak żaglomistrz z królewskiego jachtu.

— I kiedy pochowaliście tego biedaka z rozwaloną głową? — zapytał Simmons, z przekąsem.

— Nigdy. Spaceruje sobie teraz po pokładzie uzbrojonego w siedemdziesiąt cztery działa okrętu, ty głupi grubasie — zawołał wzburzony Plaice. — To pan Day, obecnie artylerzysta liniowca

„Elephant", jest zdrowszy niż kiedyś. Dostał ostatnio promocję. Możesz wsadzić sobie w tyłek to swoje złośliwe gadanie, Simmons. Uwierz mi. że doktor to prawdziwy uczony. Widziałem też kiedyś, jak przyszywał ramię wiszące tylko na włosku. Mówił przy tym coś po grecku.

— Uratował też moje wstydliwe części — wtrącił Lakey, spuszczając wzrok.

— Pamiętam, jak naskoczył na Parkera, gdy ten kazał zakneblować tego biedaka z wachty lewej burty — odezwał się milczący dotąd Abraham Bates. — To były naprawdę uczone słowa. Nawet ja nie zrozumiałem z tego więcej niż połowę.

— I co z tego. — Simmons był wyraźnie poirytowany ich entuzjazmem i oddaniem. — Tak czy inaczej wasz doktor stracił właśnie buty.

Rzeczywiście. Stephen wrócił po własnych śladach do złamanego kawałka masztu, przy którym zostawił swoje obuwie i pończochy. Z przerażeniem stwierdził, że ślady urywały się w wodzie. Nigdzie nie było widać butów, a w odległości stu jardów od brzegu pływała jedna pończocha. Doktor przez chwilę zastanawiał się nad fenomenem pływów, aż w końcu zaczął myśleć racjonalnie; szybko zdjął perukę, płaszcz, szalik i kamizelkę.

— To straszne! — zawołał Plaice. — Zdejmuje teraz ubranie. Nie wolno nam było zostawić go samego na tym... piachu. Pan Babbington powiedział przecież: „Nie pozwólcie mu spacerować w pojedynkę po tej... mieliźnie, Plaice, w przeciwnym razie długo mnie popamiętasz". Ahoj, doktorze. Ahoj, sir. Dalej, chłopcy pomóżcie mi, szybko!

Stephen zdjął koszulę, majtki i przeciwreumatyczny pas z kociego futra. Wszedł odważnie do wody, zaciskając zęby i wpatrując się nieruchomo w miejsce, gdzie powinien znajdować się złamany maszt. Zostały tam przecież bardzo wartościowe buty, podkute ołowianą blachą — doktor był do nich naprawdę bardzo przywiązany. Gdzieś z tyłu za sobą usłyszał rozpaczliwe nawoływanie, nie zwracał jednak na nie uwagi. Dotarł właśnie we właściwe miejsce, zatkał więc nos palcami i zanurkował.

Bosak zahaczył o kostkę, wiosło uderzyło Stephena w plecy, prawie go ogłuszając i wpychając mu twarz głęboko w piasek. Noga wynurzyła się z wody, chwyciły ją silne ręce i już po chwili doktor znalazł się w łodzi. W kurczowo zaciśniętych dłoniach trzymał swoje drogocenne buty. Marynarze byli bardzo zdenerwowani.

Czy doktor nie pomyślał o tym, że może się przeziębić? Dlaczego nie odpowiadał na ich wołanie? Niech nie próbuje im wmawiać, że nic nie słyszał. Ma przecież uszy. Dlaczego na nich nie zaczekał? Po co jest łódź? Kto kąpie się w morzu o tej porze roku? Czy to środek lata? Powinien teraz na siebie spojrzeć: jest cały siny i trzęsie się jak jakaś cholerna galareta. Czy jakiś świeżo zaokrętowany chłopiec pozwoliłby sobie na coś równie głupiego? Nigdy. Co powie kapitan, co powie pan Pullings, a co pan Babbington? Jak wszyscy zareagują na wieść o takim wybryku? Dawno nikt nie zrobił czegoś tak nierozsądnego. Gdzie doktor podział swój rozum? Czy zostawił głowę na okręcie?

Osuszyli go swymi chustkami, ubrali siłą i prędko powiosłowali z powrotem. Miał teraz szybko wejść na pokład, jak gdyby nigdy nic, i natychmiast położyć się do łóżka. Wcześniej powinien na rozgrzewkę wypić kubek grogu. Najlepiej też będzie, jak dobrze się wypoci. Plaice i Lakey byli

chyba najsilniejszymi ludźmi w załodze. Bezceremonialnie wepchnęli Stephena na pokład i zaciągnęli do kabiny. Zostawili go tam pod opieką służącego, któremu wydali bardzo szczegółowe instrukcje w sprawie dalszego postępowania i ewentualnego leczenia.

— Czy wszystko w porządku, doktorze? — zapytał Pullings, zaglądając do kabiny.

— Oczywiście, dziękuję. Dlaczego pan pyta, poruczniku?

— Miał pan włożoną odwrotnie perukę, a na wierzchu, na plecach pas z kociego futra. Pomyślałem, że może przydarzyło się panu coś złego.

— Och, nie. Nic się nie stało. To miłe, że tak się pan o mnie martwi. Odzyskałem buty, a to najważniejsze. Moim zdaniem nie ma takiej drugiej pary w całym królestwie. Są zrobione z najlepszej hiszpańskiej oślej skóry i myślę, że nie zaszkodziła im ta niepotrzebna, godzinna kąpiel. Proszę mi powiedzieć, co to była za ceremonia, gdy wróciłem na okręt?

— Czekaliśmy na naszego kapitana. Wszedł na pokład tuż po panu. Jakieś pięć minut temu.

— Ach tak? Nie wiedziałem, że wybiera się na ląd.

Jack był wyraźnie w bardzo dobrym nastroju.

— Masz teraz chyba wolną chwilkę? — zapytał, nie oczekując odpowiedzi. — Powiedziałem Killickowi: „W żadnym wypadku nie przeszkadzaj doktorowi, jeśli jest zajęty..." Pomyślałem jednak, że na dworze jest tak nieprzyjemnie, a tu u mnie tak ciepło i przytulnie. Może byśmy dziś sobie trochę pograli? Spróbuj jednak najpierw tej madery i powiedz, co o niej myślisz. Canning przysłał mi całą beczkę. Jest naprawdę bardzo uprzejmy. Moim zdaniem to doskonałe wino. Rozkosz dla podniebienia...

Stephen rozpoznał wreszcie zapach unoszący się dookoła nalewającego wino Jacka; tak samo pachniały francuskie perfumy, które nie tak dawno kupił dla Diany w Deal. Odsunął spokojnie na bok kieliszek

i powiedział:

— Musisz mi wybaczyć, mój drogi, lecz nie czuję się dzisiaj najlepiej. Powinienem chyba się położyć.

— Tak mi przykro... Chyba to nic poważnego? — Jack zawołał zmartwiony. — Mam nadzieję, że się nie przeziębiłeś. Czy mam uwierzyć w te wierutne bzdury, które wszyscy mi powtarzają? Czy naprawdę kąpałeś się dzisiaj? Jeśli tak, rzeczywiście jak najszybciej trzeba cię wysłać do łóżka. Czy potrzebujesz jakiegoś lekarstwa? Pozwól, że przygotuję specjalnie dla ciebie mocny...

Stephen pisał szybko, zamknięty na cztery spusty w swojej kabinie:

To bardzo dziecinne, zdenerwować się z powodu zapachu. Muszę jednak przyznać, że jestem naprawdę wzburzony. Zwiększę chyba sobie dawkę do pięciuset kropli.

Napełnił kieliszek laudanum, zamknął jedno oko i wypił wszystko.

Powonienie to chyba najbardziej nieokreślony ze zmysłów, nie znamy bowiem słów pozwalających opisywać zapachy. Jest tylko kilka ubogich i prymitywnych określeń, którymi próbujemy przekazać całe bogactwo rozmaitych woni. Dlatego właśnie każda z nich jest tylko i wyłącznie skojarzeniem — nie można go przywołać na każde żądanie, i opisać ściśle określonymi słowami. Za każdym razem uderza nas na nowo, przynosząc ze sobą te wszystkie tak trudne do uchwycenia treści; zwłaszcza wspomnienia związane z sytuacją, gdy dany zapach poczuło się po raz pierwszy. Powyższe stwierdzenie nabiera też szczególnej mocy w miarę upływu czasu. W moim konkretnym przypadku ulotny zapach perfum sprawił, iż przypomniałem sobie Dianę z owego balu, wydanego przez Jacka z okazji zwycięstwa pod St Vincent: czarująca, pełna życia. Nie dostrzegałem wtedy najmniejszych oznak bezlitosnego okrucieństwa i pierwszych dowodów na to, iż jej uroda zaczyna już przygasać. Te niekorzystne zmiany w wyglądzie są na razie prawie niezauważalne, sądzę jednak, że z czasem staną się coraz bardziej widoczne. Bardzo na to liczę. Zawsze będzie przecież tak samo odważna, błyskotliwa i zdecydowana, nigdy nie utraci swego szczególnego, wrodzonego wdzięku, lecz, jak sama mówi, piękna twarz jest całym jej majątkiem. Kto wie, może już wkrótce, jeszcze zanim pani Villiers skończy trzydzieści lat, ów nieuchronny proces posunie się na tyle, że nareszcie przestanę być wyłącznie obiektem ironicznej pogardy? To moja jedyna nadzieja i poza nią nie pozostaje mi nic więcej. Nie wiedziałem też dotąd, że Diana potrafi być aż tak prostacka: dostrzegałem co prawda chwilami coś podobnego (nawet na owym balu), wtedy przeważnie jednak udawała, bądź po prostu reagowała w wymuszony okolicznościami i czyimś zachowaniem sposób. Teraz wszystko wygląda zupełnie inaczej. Może to wynik jej nienawiści do Sophie? A może są jakieś inne, głębsze powody? Czy na skutek tego Diana nie utraci swego wdzięku ? Może któregoś dnia zacznie przybierać wydumane pozy i chodzić jak kaczka? Nie zniósłbym czegoś podobnego — nienawidzę prymitywnych prostaków. Pojawia się też teraz kolejne pytanie: W jakim stopniu ja za to odpowiadam? Ludzie wywierają przecież, na siebie wpływ, kształtują nawzajem swoje osobowości. Żaden inny mężczyzna nie mógłby dać jej lepszej niż ja okazji do zaprezentowania się z jak najgorszej strony. Myślę jednak, że na razie jesteśmy jeszcze bardzo daleko od wzajemnej samozagłady... Przypomina mi się w tym momencie nasz ochmistrz i pewien jego kłopot (choć trudno jest zdefiniować tutaj jakiś bardzo ścisły związek z moimi wywodami). Jeszcze zanim dotarliśmy do Downs, pan Jones przyszedł do mnie w wielkim sekrecie i poprosił o jakiś antyafrodyzjak.

„ Ochmistrz: Jestem żonaty, doktorze.

Ja: Tak?

Ochmistrz: Pani Jones jest jednak bardzo religijną kobietą, kieruje się surowymi moralnymi zasadami i... po prostu nie lubi tych rzeczy.

Ja: To naprawdę bardzo przykre.

Ochmistrz: Niech pan nie myśli, że ona mnie nie kocha, że się o mnie nie troszczy, czy też, że brakuje jej urody. Nie. Jest wspaniałą żoną. Co z tego jednak, doktorze. Jestem przecież pełnym wigoru mężczyzną; mam tylko trzydzieści pięć lat, choć na pewno wyglądam znacznie starzej. Wyłysiałem, dorobiłem się pokaźnego brzucha i tak dalej... Czy wie pan, że czasem przez całą noc

przewracam się w łóżku? Płonę z pożądania, jak powiedziałby to poeta. Na próżno. Boję się, że sprawię jej przykrość, Że poczuje się... Tylko dlatego poszedłem na morze, choć zupełnie się do tego nie nadaję. Doskonale pan zresztą o tym wie.

Ja: To naprawdę przykre. Czy nie próbował pan porozmawiać z małżonką ?

Ochmistrz: Och, rozmawiałem... Wielokrotnie. Za każdym razem płakała i przysięgała, że postara się być lepszą żoną; nie chce, żebym myślał, iż jestem jej obojętny. Sytuacja zwykle poprawiała się wtedy na dzień lub dwa... Co z tego jednak, skoro wszystko odbywa się z przymusu? Zawsze też prędzej czy później moja pani znów odwraca się ode mnie. Nie mogę jej tak za każdym razem prosić... To przecież smakuje zupełnie inaczej, gdy druga strona też ma na to ochotę. Różnica jest tutaj mniej więcej taka, jak między kredą i serem. Niestety, nie można zmusić własnej żony, by stała się dziwką... "

Był blady, spocony i w żałosny sposób przejęty całą tą sprawą. Powiedział, że zawsze z prawdziwą ulgą mustrował na kolejne okręty, choć tak nienawidzi morza. Tym razem jednak pani Jones wybrała się w ślad za mężem do Deal i coś trzeba będzie teraz na to poradzić. Skoro są leki pobudzające potencję i pożądanie, musi też z pewnością istnieć jakiś środek o przeciwnym działaniu? Taki, by mogli tylko później patrzeć sobie w oczy i trzymać się za ręce? Ochmistrz był naprawdę przejęty. Oświadczył nawet, że chyba rozwiąże swój problem, odcinając ostrym nożem to, co trzeba. „Nie można zmusić własnej żony, by stała się dziwką... " — powtórzył raz jeszcze.

W kilka dni później w dzienniku pojawił się kolejny zapis:

Od środy Jack jest panem własnego losu i moim zdaniem nadużywa tej swobody. Z tego, co zrozumiałem, konwój był gotowy do wyruszenia w morze już wczoraj, a może i nawet wcześniej. Kapitanowie statków przypłynęli po instrukcje, wiatr był pomyślny, sprzyjał nam też prąd. Wszystko zostało jednak odroczone. Schodząc na ląd, mój przyjaciel podejmuje niepotrzebne ryzyko, sądzę jednak, że nie zareagowałby na ewentualne moje uwagi w tej sprawie; mógłby je uznać za nieuzasadnioną złośliwość... Dziś rano diabeł podpowiadał mi, że jestem w stanie od razu, bez najmniejszego trudu, wpakować Jacka w niezłe tarapaty — jest wiele rozmaitych powodów, dla których powinienem wręcz to zrobić, zaczynając od altruizmu, a kończąc na honorze i poczuciu obywatelskiego obowiązku. Tylko krok stąd do patriotyzmu i innych bardzo wzniosłych rzeczy, prawda? Jack zdaje sobie chyba sprawę z mych uczuć i gdy przekazywał mi kolejne zaproszenie na obiad, oświadczył, że „spotkał się z Dianą przypadkiem". Opowiadał o okolicznościach tego spotkania, kłamiąc tak rozczulająco naiwnie, że pomimo kierującej mną ślepej zazdrości, musiałem w duszy przyznać, że naprawdę bardzo go lubię. Jest najbardziej nieudolnym łgarzem, jakiego w życiu spotkałem: za bardzo angażuje się w to, o czym mówi i bez najmniejszego trudu można przejrzeć jego intencje.

Obiad byt całkiem przyjemny. Jak się okazuje, jeśli jestem psychicznie przygotowany, potrafię znieść znacznie więcej, niż mógłbym przypuszczać. Pogwarzyliśmy sobie miło, najedliśmy się do syta, mieliśmy też okazję pomuzykować trochę; kuzyn Imbryk okazał się naprawdę doskonałym i dojrzałym artystycznie flecistą. Nie znam Diany aż tak dobrze, wydaje mi się jednak, że tym razem naprawdę przejęła się rolą gospodyni i gościnnością (jest wspaniałą panią domu), dlatego nie pozwalała dzisiaj sobie wobec mnie na żadne złośliwości. Myślę też, że w jakiś sposób lubi nas

o b u — jak jednak może w takim przypadku żądać tyle od Jacka? Nigdy chyba tego nie zrozumiem... W każdym razie pokazała się dziś ze swej najlepszej strony. To był naprawdę miły wieczór. Z wielką niecierpliwością czekam teraz na jutrzejszy poranek i na sprzyjający wiatr... Jeśli powieje z południa i będziemy z tego powodu musieli pozostać przez tydzień na redzie, Jack nie ma szans: tym razem na pewno zostanie aresztowany.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Slup Jego Królewskiej Mości „Polychrest" rozstał się ze swoim konwojem dokładnie w pozycji 38° 30'N, 11° W. Wiatr wiał z południowego zachodu, skała Rock of Lisbon znajdowała się dokładnie w namiarze S87E i odległości 141 mil morskich. Na pożegnanie okręt wojenny wypalił z działa, wymienił flagowe sygnały ze statkami handlowymi i z trudem obracał się aż do chwili, w której wiatr powiał z lewego baksztagu, a dziób skierował się dokładnie na północ.

Sygnały były uprzejme, lecz bardzo krótkie. Jednostki życzyły sobie nawzajem szczęśliwej drogi — tylko tyle. Nie było tym razem tasiemcowych i często zawierających błędy zestawów flag, jakie wdzięczne statki zwykły nieść na masztach tak długo, aż okręty osłony znikły za horyzontem. Pomimo wspaniałej pogody (niewielka martwa fala i ciepły, lekki wiatr z południowego zachodu), kapitanowie jednostek handlowych nie zaprosili poprzedniego dnia na obiad oficerów „Polychrest"; nie mieli za co dziękować, wręcz przeciwnie. Okręt wojenny opóźnił przecież moment wyjścia w morze — stracili na skutek tego wysoką wodę oraz kilka godzin korzystnej bryzy. Jakby tego było mało, slup przez cały czas utrudniał żeglugę konwoju. Nie tylko wlókł się niemiłosiernie, lecz do tego jeszcze dryfował uparcie na zawietrzną, zmuszając pozostałe żaglowce do nieustannego odpadania w ślad za nim. Była to niepotrzebna strata czasu, gdyż wszystkie jednostki tego akurat konwoju bardzo dobrze żeglowały na wiatr. W nocy, gdy stali w dryfie koło Lizard, „Polychrest" wpadł na statek „Trade's Increase", łamiąc mu bukszpryt, a podczas silnego południowo-zachodniego wiatru w Zatoce Biskajskiej stermaszt slupa wyleciał za burtę, pociągając za sobą stengę grotmasztu. Cały konwój musiał się wtedy niestety zatrzymać i czekać, aż niewprawna załoga przygotuje zastępcze drzewce. Na horyzoncie nie pojawiło się przez cały ten czas nic, co byłoby w stanie zagrozić bezpieczeństwu eskortowanych jednostek i przewożonych towarów (najwyżej jakiś mały rybacki lugier), nie było więc żadnej okazji, by okręt wojenny mógł wypełnić przypisaną mu rolę i ewentualnie pokazać zęby. Nic więc dziwnego, że kapitanowie statków pożegnali swego opiekuna przekleństwami i natychmiast ruszyli w dalszą drogę. Poruszali się teraz znacznie szybciej niż dotąd — nareszcie mogli postawić wszystkie żagle.

Na okręcie nie zwracano jednak zbytniej uwagi na oddalający się prędko konwój. Był przecież czwartek i na „Polychrest" miała odbyć się zbiórka załogi. Slup nie zdążył jeszcze znieruchomieć na nowym kursie, gdy zabrzmiało pięć szklanek przedpołudniowej wachty i zagrzechotał bęben. Członkowie załogi wybiegli pospiesznie na pokład, gromadząc się za grotmasztem, na lewej burcie. Przebywali już dość długo na okręcie i wielokrotnie przechodzili całą tę procedurę, lecz niektórych głupców na właściwe miejsce wciąż jeszcze musieli kierować koledzy. Teraz jednak wszyscy byli nareszcie w miarę porządnie ubrani w dostarczone im przez ochmistrza niebieskie kurtki i białe spodnie. W tłumie rekrutów nie można było też już zauważyć śmiertelnie bladych twarzy ludzi, którzy długo siedzieli w więzieniu lub cierpieli na chorobę morską. Przymus utrzymania czystości, świeże powietrze i słońce — wszystko to razem sprawiło, że wpatrzone w kapitana oblicza wręcz tryskały

zdrowiem. Pomogło tu też zapewne okrętowe wyżywienie: wielu z tych ludzi nigdy wcześniej nie jadło tak dobrze i tak dużo.

Przypadek sprawił, że nazwiska prawie wszystkich doświadczonych marynarzy zaczynały się na początkowe litery alfabetu. W tej grupie było kilku bardzo niebezpiecznych brutali, takich jak bezzębny Bolton, lecz większość stanowili tutaj prawdziwi żeglarze: mężczyźni o surowych twarzach, długich ramionach, krzywych nogach — każdy z obowiązkowym warkoczykiem. Wyczytani zgłaszali się kolejno, dotykali czoła i radośnie przechodzili przed kapitanem w stronę zejściówki na prawej burcie. Ich obecność przypomniała Jackowi „Sophie" — sprawny, dobrze prowadzony i obsługiwany okręt z zadowoloną załogą, na którym nawet ludzie ze śródokręcia umieli sterować i refować żagle. Aubrey z rozrzewnieniem pomyślał też o swoim ówczesnym poruczniku... Boże, jak niewielu miał teraz w załodze doświadczonych i obytych z morzem marynarzy. Od litery G rozpoczęła się procesja wymizerowanych nieudaczników: niektórzy z nich wyglądem przypominali kilkunastoletnich chłopców. Wszyscy byli ponurzy, nieufni i wystraszeni. Nikt się nie uśmiechał, gdy wyczytywano jego nazwisko, jeśli nie liczyć kolejnych dwóch prawdziwych żeglarzy, którzy jakimś cudem się tutaj zaplątali. Zbyt wiele było wciąż szykan, chłosty, kar, znęcania się. Jak jednak można inaczej utrzymać dyscyplinę? Oldfield, Parsons, Pond, Quayle... Posępni, drobni, skuleni — ostatni z nich okazał się urodzonym donosicielem i już dwa razy wyrzucono go z mesy. Ci czterej nie byli zresztą akurat najgorsi...

Osiemdziesięciu siedmiu mężczyzn i chłopców — do pełnej obsady wciąż brakowało więc trzydziestu trzech ludzi. Co ważne, tylko trzydziestu członków załogi dokładnie znało swoje obowiązki, a pozostali dopiero się uczyli. Prawie wszyscy wiedzieli już jednak wystarczająco dużo. by na pokładzie skończyły się wreszcie przerażające sceny, które wcześniej tak zatruwały życie Jackowi.

Od momentu opuszczenia stoczni zdołał zapamiętać twarze większości swoich podwładnych: niektóre wyglądały teraz wyraźnie lepiej, inne przygasły w udręce. Nienawykłe do myślenia umysły zostały nagle zmuszone do nauki trudnego zawodu i to w przyspieszonym tempie. Całą załogę można było w tej chwili podzielić na trzy grupy. Pierwsza z nich to doświadczeni marynarze, czyli zaledwie jedna czwarta obecnej obsady, a następne dwie czwarte to przeciętni, nie wyróżniający się niczym szczególnym rekruci, o których nikt nie był na razie w stanie nic konkretnego powiedzieć. Wszystko zależało od tego, jaka będzie atmosfera na okręcie i jak będą prowadzeni. Ostatnia grupa, również mniej więcej jedna czwarta, to beznadziejne przypadki — szaleńcy, prymitywni brutale, idioci i przestępcy. Zwłaszcza przy ostatnich nazwiskach coś ścisnęło Jacka za serce: Wright, Wilson i Young. Ci trzej byli najgorsi. Na każdym okręcie zdarzały się podobne typy (zwłaszcza podczas nasilonego przymusowego zaciągu do służby w marynarce), lecz w normalnych warunkach, przy zgranej załodze, nawet tak zdegenerowani ludzie nie stanowiliby specjalnego zagrożenia. Na „Polychrest" nie panowały jednak normalne warunki i obecność tylu podejrzanych nie wróżyła niczego dobrego.

Wyczytano wszystkich, a pierwszy porucznik zameldował, że zakończono apel. Kapitan jeszcze raz przyjrzał się uważnie zgromadzonym na pokładzie marynarzom i polecił, by wszyscy udali się do swoich zajęć. Miał teraz powód do rozmyślań... Kto wie, czy już jutro nie trzeba będzie poprowadzić tych ludzi do ataku na pokład jakiegoś francuskiego okrętu? Ilu odważnych pójdzie za swoim

dowódcą?

„Nie wszystko naraz" — pomyślał. „Wszystko po kolei..." — Nieco tym uspokojony zajął się teraz najpilniejszym bieżącym problemem: zmianami w takielunku. Było to bardzo skomplikowane zadanie, zwłaszcza jeśli wzięło się pod uwagę nietypowy kształt kadłuba „Polychrest". Obliczenie sił działających na okręt wydawało się jednak niczym w porównaniu z trudnościami, jakie mogły wyniknąć przy próbie zrobienia z ludzi o nazwiskach zaczynających się na litery od G do Y pełnowartościowych członków załogi okrętu wojennego. Przy planowanych zmianach w osprzęcie kapitan mógł liczyć na pomoc swych naprawdę doświadczonych oficerów: pan Gray, cieśla, dowiódł już, że jest mistrzem w swoim fachu; kompetentny i chętny do współpracy wydawał się również bosman, który jednak wciąż zbyt często nadużywał swojej trzciny; bardzo cennymi radami mógł także służyć pierwszy nawigator. Teoretycznie, przepisy Admiralicji zabraniały dowódcy okrętu przesuwać coś więcej niż paduny —fale w Zatoce Biskajskiej pomogły jednak Jackowi i spora część osprzętu znalazła się za burtą. Miał więc teraz wolną rękę. Co ważne, morze było rano wyjątkowo spokojne i zapowiadał się długi pogodny dzień — wprost wymarzona okazja do przeprowadzenia większości niezbędnych prac.

Dla formalności kapitan zaprosił do udziału w burzliwej dyskusji również pana Parkera. Pierwszego porucznika bardziej interesowało jednak malowanie burt niż to, by okręt nieco szybciej poruszał się po wodzie. Najprawdopodobniej nie rozumiał do końca, o co w tym wszystkim chodzi i już po kilku minutach wszyscy znajdujący się w kabinie zapomnieli zupełnie o jego obecności. Wysłuchano jednak uprzejmie przedstawionej przezeń w pewnej chwili prośby — chciał, żeby przy okazji został również wykonany wyższy wieloramiennik, taki, by można było powiększyć tent.

— Na „Andromedzie" książę William mawiał, że pod tentem czuje się jak w sali balowej... — Parker oświadczył z dumą, a kapitan spojrzał na niego zdziwiony. Nie zrażony tym pierwszy porucznik opowiedział też szczegółowo o wymiarach używanej na tamtym okręcie łaty z otworami na linki wieloramiennika i ilości płótna, zużytego do uszycia namiotu. Coś podobnego nie mieściło się Jackowi w głowie; ten człowiek walczył przecież w bitwie pod Saintes, brał też udział we wspanialej akcji Howe'a, a wciąż bardziej interesuje się malowaniem rej niż żeglowaniem o rumb bliżej wiatru. „Tyle razy mu powtarzałem, że nie ma sensu urządzanie wyścigów między masztami w refowaniu marsli. Najpierw wszyscy muszą nauczyć się przynajmniej wychodzić na reje. Niepotrzebnie zdzierałem sobie gardło" — Aubrey pomyślał zirytowany, po czym westchnął głośno i powiedział:

— Bardzo dobrze, panowie... Wszystko już ustaliliśmy. Bierzmy się teraz do roboty. Nie ma ani chwili do stracenia. Trudno wymarzyć sobie lepszą pogodę.

Ponieważ okręt całkiem niedawno opuścił stocznię, na pokładzie nie brakowało zapasowych drzewc i elementów takielunku. Jack zamierzał jednak więcej odcinać niż dodawać. Jego slup był przecież wyjątkowo niestabilny — miał zbyt wysokie maszty i przechylał się nawet przy najlżejszym podmuchu wiatru. Stermaszt umieszczono zbyt blisko rufy (zapewne miało to związek z pierwotnym przeznaczeniem tej nietypowej jednostki) i z tego powodu nawet po zwinięciu sterżagla okręt uparcie ostrzył do wiatru (oprócz tego pozwalał sobie jeszcze na wiele innych, bardzo nieprzyjemnych rzeczy). Mimo swoich najszczerszych chęci Aubrey nie był w stanie zmienić położenia masztu bez oficjalnej zgody przełożonych i pomocy stoczni. Mógł jednak poprawić trochę sytuację, pochylając

ów maszt do przodu i zmieniając system sztagów oraz układ przednich żagli. Aby okręt stał się stabilny, należało skrócić stengi masztów, całkowicie zrezygnować z bramsteng i przygotować specjalne trójkątne żagle, które nie będą tak przechylały kadłuba — środek powierzchni ożaglowania przesunie się wtedy znacznie niżej.

To zajęcie było czymś, co Jack umiał i co naprawdę lubił. Nareszcie nigdzie się nie spieszył. Spacerował po pokładach, nadzorując realizację swego planu, a podzieleni na grupy ludzie zajmowali się przygotowywaniem nowych drzewc, olinowania i płócien. Na śródokręciu urzędował cieśla z pomocnikami: pracowały siekiery, młotki i piły, a pomiędzy lawetami dział rosły sterty trocin i wiórów. Nie było dziś ćwiczeń i armaty stały od rana w bezruchu — podobna sytuacja miała miejsce po raz pierwszy od chwili, w której na maszcie podniesiono kapitański proporzec. Praca wrzała również w wielu innych miejscach: forkasztel oraz większą część kwarterdeku zajął żaglomistrz, kierujący dwoma niezależnymi zespołami. Wszędzie porozkładane były olbrzymie płachty żaglowego płótna, a pod pokładem bosman przygotowywał liny oraz bloki — biegał spocony do swojego magazynku, ze sporządzoną przez kapitana listą w dłoni. Był tym naprawdę bardzo zaaferowany i jak dotąd nikt nie został dziś uderzony trzciną. Nie pamiętał nawet o tym, by zgodnie ze swoim zwyczajem porządnie naubliżać marynarzom. Jeśli nawet zdarzyło mu się dzisiaj na kogoś nawrzeszczeć, czynił to zupełnie bezwiednie i odruchowo.

Wszyscy pracowali spokojnie, lepiej niż można byłoby się tego spodziewać. Trzej wcieleni siłą do marynarki ludzie siedzieli na głównym pokładzie i widać było, że to zajęcie bardzo im odpowiada. Igły migały w ich dłoniach z wprost niewiarygodną szybkością i wprawą — pracowali przecież przez wiele lat w szwalni. Z kolei pewien bezrobotny kowal z Birmingham okazał się prawdziwym mistrzem w sporządzaniu okuć. Stał w rozkroku przy palenisku kuźni zbrojmistrza, chwytał rozżarzony kawałek metalu w szczypce, obracając nimi, uderzał kilka razy umiejętnie młotkiem i po krótkiej chwili gotowy pierścień z sykiem lądował w wiadrze z wodą.

Okrętowy dzwon wybił wreszcie osiem szklanek popołudniowej wachty. Słońce od rana świeciło jasno i na pokładzie przez cały czas uwijali się ludzie.

— Czy mam wysłać wszystkich na kolację, sir? — zapytał Pullings.

— Niestety nie — odparł kapitan. — Musimy najpierw postawić nową stengę grotmasztu. Ładnie byśmy wyglądali, gdyby teraz w pobliżu pojawili się Francuzi — dodał z troską, spoglądając w górę. Na fokmaszcie przygotowano już nowe żagle, nie mogły one jednak na razie zostać w pełni wykorzystane, gdyż wciąż brakowało sztagów. Do prowizorycznego stermasztu przymocowany był wciąż łaciński bezan, którego powierzchnia ledwo wystarczała, by okręt nie tracił sterowności. Wszędzie walały się kawałki drewna oraz części takielunku, a w poprzek głównego pokładu leżała masywna stenga. Jej końce wystawały z obu stron daleko za burtę. Nie było na razie mowy o tym, by w razie konieczności ludzie mogli poruszać się tutaj wystarczająco szybko i sprawnie. Wcześniej usunięto co prawda wszystkie niepotrzebne rzeczy, a łodzie płynęły na holu za rufą, pomimo to wciąż brakowało miejsca. Okręt żeglował z prędkością zaledwie trzech węzłów i w razie ewentualnego ataku byłby po prostu bezbronny.

— Panie Malloch! Czy lina jest już na kabestanie?

— Tak jest, sir.

— W takim razie proszę obsadzić kabestan. Czy jesteście gotowi, tam na dziobie?

— Wszystko gotowe, sir.

— Cisza na pokładzie! Wybierać... ostrożnie...

Kabestan obrócił się kilka razy i lina naprężyła się powoli: biegła przez blok umocowany na pokładzie, do bloku na topie kolumny grotmasztu i dalej do kwadratowego otworu w pięcie nowej stengi. Na całej długości podnoszonego drzewca linę przywiązano co kawałek cienkimi sznurkami i po kilku kolejnych obrotach kabestanu cieńszy koniec potężnej belki powoli uniósł się nad pokładem. Stenga miała długość około czterdziestu stóp i sięgała daleko za burtę. Uzbrojeni w łomy ludzie starali się teraz przesunąć ją na pokład. Jack kierował ich pracą, szybko wykrzykując rozkazy, tak by maksymalnie udało się wykorzystać kołysanie.

— Teraz z lewej, ostrożnie. Stop. Trzymać... teraz prawa. Dobrze... Drzewce podnosiło się powoli coraz wyżej, stopniowo zbliżając się

do pionu i po chwili zawisło nad pokładem. Pomimo wysiłków trzymających je ludzi przelatywało teraz niebezpiecznie z burty na burtę jak gigantyczne wahadło, rozkołysane przez fale. Mijały kolejne minuty. Top stengi powoli wsuwał się w dyby na szczycie kolumny grotmasztu, prowadzony przez czekających na marsie marynarzy. Po paru minutach kabestan znieruchomiał na moment i belka zawisła o kilka stóp nad pokładem. Na jej top szybko wbito jabłko i znów ruszyła w górę — raz za razem przecinano zbliżające się kolejno do bloku sznurki. Po chwili na marsie znów rozległy się głośne uderzenia młota.

— Ach! Niedługo będzie już po wszystkim — zawołał w okrętowym szpitaliku jeden z pacjentów Stephena, młody marynarz z podwachty żaglowej. — Tak chciałbym tam teraz być... Kapitan na pewno każe wytoczyć beczułkę...

— Zaraz będziesz mógł tam pójść, mój drogi... Niestety musisz na razie zapomnieć o grogu. Przynajmniej do czasu, kiedy nauczysz się unikać panienek z Portsmouth Point. Tak. Ani kropli alkoholu, dopóki nie wyzdrowiejesz. Potem też na pewno lepiej ci zrobi kakao niż rum...

— A tak przysięgała, że jest dziewicą. — Młody żeglarz westchnął żałośnie.

Do stengi umocowano już w tym czasie wanty, paduny oraz sztagi. Jej powolny ruch w górę trwał nadal — do końca pozostało tylko kilkanaście cali, była to więc najbardziej ryzykowna faza całej operacji. Jakikolwiek problem w tym momencie — pęknięta lina, uszkodzony blok — mógł skończyć się naprawdę tragicznie. Jeszcze sześć cali i nad dybami pojawił się wreszcie kwadratowy otwór. Dowódca podwachty pomachał ręką.

— Wbijać! — zawołał Jack.

Młot uderzył kilka razy, w otwór wbito klucz masztowy — długą żelazną zatyczkę. Było po wszystkim. Belka nie mogła już runąć w dół, jak rozpędzony pocisk, przebijając pokłady oraz kadłub,

posyłając przy tej okazji całą załogę na tamten świat. Ostrożnie poluzowano linę i stenga z delikatnym skrzypnięciem osiadła w dybach, podparta teraz mocno ze wszystkich stron.

Jack odetchnął głośno, potem z uśmiechem wysłuchał składanego przez Pullingsa meldunku:

— Grotstenga na miejscu, sir.

— Bardzo dobrze, panie Pullings. Proszę jeszcze porządnie nasmarować talrepy. I wybierzcie je mocno. Potem bosman może gwizdać na kolację. Ludzie napracowali się dzisiaj i zasłużyli sobie chyba na coś mocniejszego...

— Nie masz pojęcia, jak bardzo tęskniłem za słońcem — zawołał Jack, przechylając się przez reling.

— Co mówiłeś? — Stephen odłożył na bok tubę, przez którą, siedząc w holowanej za rufą łodzi, obserwował morskie głębiny.

— Powiedziałem, że cieszy mnie dzisiejsze słońce — wyjaśnił Aubrey, uśmiechając się do przyjaciela. Po tylu miesiącach angielskiej zimy nareszcie mógł się wygrzać. Wiał lekki wiatr i kapitan miał na sobie tylko rozpiętą na piersi koszulę oraz stare płócienne spodnie.

Na okręcie wszystko biegło normalnym trybem; dalsze prace przy takielunku musieli teraz wykonać specjaliści — bosman ze swoimi pomocnikami i doświadczeni marynarze z forkasztelu. Ludzie zapomnieli już o wczorajszym zamieszaniu i odpoczęli trochę. Z dziobu co jakiś czas dolatywały na rufę wesołe okrzyki. Załoga miała teraz konkretne zajęcie, skończyło się wreszcie bezsensowne sprzątanie i nastrój na pokładzie wyraźnie się poprawił. Nie bez znaczenia była tu też na pewno piękna pogoda oraz dodatkowy przydział rumu.

— Tak... — zgodził się Stephen. — Naprawdę ładnie dzisiaj. Takie słońce... Na głębokości dwóch stóp termometr pokazuje nie mniej niż sześćdziesiąt osiem stopni Fahrenheita... Trafiliśmy chyba na jakiś morski prąd z południa i płynie za nami duży rekin. Błękitny. Ten gatunek żyje przecież tylko w ciepłych wodach.

— Gdzie on teraz jest? Widzisz go? Panie Parslow, proszę przynieść tu kilka muszkietów...

— Płynie w tej chwili schowany gdzieś pod dnem i na pewno wkrótce się pokaże. Nęcę go kawałkami zepsutego mięsa.

Gdzieś wysoko w górze rozległ się nagle przeraźliwy krzyk; jeden z pracujących na fokmaszcie marynarzy oderwał się od rei. Na krótką chwilę zawisł prawie nieruchomo, rozpaczliwie zamachał rękami i runął w dół. Uderzył plecami o paduny, odbił się od naprężonych lin, krzyknął znowu i z głośnym pluskiem wylądował w wodzie.

— Człowiek za burtą! — zawołało naraz kilkanaście głosów. Zgromadzeni na pokładzie rekruci podbiegli do relingu i zaczęli wyrzucać do morza różne pływające przedmioty.

— Panie Goodridge, proszę stanąć w linii wiatru — polecił Aubrey, zrzucając buty i skoczył z relingu do wody.

„Wymarzony dzień na kąpiel. Tak ciepło..." — pomyślał, wypływając na powierzchnię. Odgarnął ręką zmoczone jasne włosy i rozejrzał się uważnie. Od tonącego marynarza dzieliło go w tej chwili około pięćdziesięciu jardów. Jack nie pływał zbyt elegancko, lecz dzięki swej sile poruszał się bardzo szybko — jego plecy do połowy wynurzały się z wody. Przez cały czas patrzył nieruchomo przed siebie, w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się głowa topielca. Nieszczęśnik szybko poszedł pod wodę i pomoc nadeszła dosłownie w ostatniej chwili. Niedoszły topielec miał śmiertelnie przerażoną twarz, wytrzeszczone oczy i krztusząc się, rozpaczliwie łapał powietrze. Jak prawie wszyscy członkowie załogi nie umiał pływać. Jack musiał trzymać go mocno za warkoczyk.

— Spokojnie, Bolton... — powiedział głośno. — Spokojnie, nic ci nie grozi... — W odpowiedzi Bolton rozpaczliwie zamachał rękami, za wszelką cenę próbując uczepić się swego wybawcy. Aubrey szybko odepchnął od siebie oszalałego ze strachu marynarza i zawołał:

— Uspokój się, bałwanie i trzymaj ręce przy sobie. Ręce przy sobie, powiedziałem... W pobliżu pływa duży rekin. Jeśli będziesz tak chlapał, na pewno się nami zainteresuje...

Słowo „rekin" dotarło jakoś do zamroczonego strachem i alkoholem umysłu. Bolton przycisnął mocno łokcie do boków, tak jakby od siły tego uścisku miały zależeć losy świata. Zesztywniał wyprostowany i Aubrey bez trudu utrzymywał go na wodzie. Pływali tak razem, kołysani falami, spokojnie czekając na zmierzającą w ich kierunku łódź.

Bolton siedział na dnie szalupy, zawstydzony i ogłupiały. Co jakiś czas kaszlał gwałtownie, wypluwając wodę. Najwyraźniej chciał chyba jakoś ukryć swoje zażenowanie i gdy łódź dobiła do burty, zaczął udawać dziwną niemoc — koledzy musieli wnieść go na pokład.

— Idźcie od razu na dół — polecił kapitan. — Stephen, mój drogi, masz kolejnego pacjenta. Myślę, że na wszelki wypadek powinieneś go zbadać.

— Nasz topielec jest tylko trochę potłuczony — wyjaśnił doktor, wracając na rufę. Jack stał oparty o reling i suszył na sobie ubranie; widać było, że jest zadowolony z postępu prac przy takielunku. — Żebra nie są połamane. Czy mogę ci pogratulować? Uratowałeś temu biedakowi życie. Łódź z pewnością nie zdążyłaby na czas. Byłeś naprawdę wspaniały, mogę cię tylko podziwiać...

— Udało mi się, prawda? Świetnie nam idzie... — Jack wskazał ręką grotmaszt. —Jak tak dalej pójdzie, jutro będziemy mieli nowe żagle.

— Czy nie bałeś się rekina? — Stephen zapytał zaciekawiony. — Groziło ci przecież śmiertelne niebezpieczeństwo...

— Rekin? Och, przeważnie nie ma się czego obawiać. Te wszystkie opowieści o pożeraniu ludzi są mocno przesadzone. Człowiek jest naprawdę zagrożony dopiero wtedy, gdy krwawi. Rekiny interesują się głównie resztkami z kuchni. W Indiach Zachodnich skoczyłem kiedyś do wody i uderzyłem w grzbiet prawdziwego olbrzyma, a ten wcale nie zwrócił na mnie uwagi.

— Powiedz mi, czy takie wydarzenie jak dzisiejsze ma dla ciebie jakiekolwiek znaczenie? Czy przywiązujesz wagę do podobnych rzeczy?

— Raczej nie. Tak mi się przynajmniej zdaje. Bolton jest chyba dwudziestym drugim uratowanym przeze mnie człowiekiem. A może dwudziestym trzecim? Dostałem nawet kiedyś za to złoty medal i pochwalny list. Medal zastawiłem w lombardzie... w Gibraltarze.

— Nigdy mi o tym nie opowiadałeś.

— Nie pytałeś mnie o to. Zresztą... nie ma w tym przecież nic wielkiego. Trzeba tylko umieć odpowiednio złapać topielca i nie dać się wciągnąć pod wodę. Po uratowaniu czyjegoś życia człowiek staje się kimś lepszym, bardziej wartościowym. Teraz też czuję coś takiego. To prawda. W ogólnym jednak rozrachunku podobne sprawy nie mają dla mnie większego znaczenia. Skoczyłbym za burtę ratować nawet psa, nie tylko doświadczonego marynarza. Gdyby było ciepło, skoczyłbym może nawet na pomoc lekarzowi... Cha, cha, cha... Panie Parker, wydaje mi się, że możemy dziś w nocy zacząć przygotowywać szoty, a pierwszą rzeczą, jaką zrobimy rano, będzie pozbycie się kikuta po stermaszcie. Nareszcie wszystko zacznie wyglądać jak należy.

— Miejmy nadzieję, sir — powiedział pierwszy porucznik. — Myślę, że wybaczy mi pan brak należnego powitania przed chwilą... Proszę przyjąć moje gratulacje; zaskoczył pan nas wszystkich swoją sprawnością i odwagą.

— Dziękuję. Nie mogłem pozwolić, byśmy stracili tak doświadczonego marynarza. Bolton to jeden z naszych najlepszych ludzi.

— Był pijany, sir. Mam go na swojej liście...

— Myślę, że tym razem możemy mu darować, panie Parker... Te nowe bloki umocujemy tutaj, a gaje proszę poprowadzić od trzeciego pierścienia na kolumnie grotmasztu.

Wieczorem, gdy było już zbyt ciemno, by ludzie mogli pracować i zbyt przyjemnie, by chciało się zejść na dół, doktor przypomniał sobie o wyczynie Jacka.

— Czy nie wydaje ci się, że twoje wysiłki dla ratowania życia innych nie są doceniane? Że nie spotykasz się z prawdziwą, szczerą wdzięcznością?

— Skoro już o tym wspomniałeś... Rzeczywiście, myślę, że czasami należy mi się podziękowanie — zgodził się Jack. — Chociaż... Różnie to bywa. Są ludzie, którzy przywiązują wielką wagę do podobnych spraw. Weźmy na przykład Bondena. Jak zapewne pamiętasz, uratowałem mu życie na Morzu Śródziemnym. Udowodnił już kilka razy, że o tym pamięta... Pozostali nie przejmują się zbytnio. Jeśli mam być szczery, nie wiem, jak sam zachowałbym się w podobnej sytuacji. Chyba że zostałbym uratowany przez przyjaciela... Przez kogoś, kto wiedziałby, że ratuje właśnie mnie i tylko dlatego podjąłby trud oraz ryzyko. Nie... — Kapitan urwał i zrobił mądrą minę. — Moim zdaniem, przy wyciąganiu ludzi z morza jedyną nagrodą jest samozadowolenie i poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

Umilkli obaj, zajęci własnymi myślami. Za rufą okrętu srebrzył się kilwater, wysoko nad Portugalią migotały gwiazdy.

— Zdecydowałem się wreszcie — oświadczył Stephen, uderzając dłonią o kolano. — Powziąłem w tej chwili bardzo konkretne postanowienie: muszę nauczyć się pływać!

— Wydaje mi się, że już jutro uda nam się postawić nowe żagle — zauważył Jack.

— Nowe żagle całkiem dobrze pracują — wesoło oznajmił Macdonald.

— Czy kapitan jest zadowolony? — zainteresował się Maturin.

— Jest w siódmym niebie. Nie ma co prawda wystarczająco silnego wiatru, by można je było do końca wypróbować, lecz nasz dowódca ma teraz wyraźnie lepszy humor. Czy nie zauważył pan, doktorze, że okręt jakby lżej porusza się po wodzie? Ochmistrz nareszcie będzie mógł znów towarzyszyć nam przy stole. Powiem panu jedno: jeśli ten człowiek jeszcze raz zacznie dłubać w zębach przy stole, jeśli jeszcze raz odbije mu się głośno... Zniszczę go...

— Teraz wiem, dlaczego zajął się pan dzisiaj czyszczeniem swoich pistoletów... Cieszy mnie to, co pan powiedział o naszym nowym ożaglowaniu. Może nareszcie skończą się te zupełnie dla mnie niezrozumiałe rozmowy o fokach, kliwrach, bomach, bezanach i lataczach. Liczę na to. Żeglarze to na ogół bardzo poczciwi ludzie, zbyt często jednak posługują się żargonem. Ma pan bardzo eleganckie pistolety. Naprawdę zgrabne... Czy mogę obejrzeć?

— Ładne, prawda? — powiedział Macdonald, podając otwarty futerał doktorowi. — Zrobił je dla mnie Joe Manton. Nie wiedziałem, że interesują pana podobne rzeczy.

— Już od dawna nie miałem w ręce broni — wyjaśnił Maturin. — Kiedyś jednak, gdy byłem młodszy, nieźle posługiwałem się pistoletem i szpadą. Pistolety zawsze mi się podobały. Mają w sobie coś... pięknego. Są też czasem naprawdę użyteczne. Wie pan zapewne o tym, że w Irlandii pojedynkujemy się znacznie częściej niż na przykład Anglicy. Myślę, że i w Szkocji jest podobnie?

Macdonald zgodził się z tym stwierdzeniem, zaznaczył jednak, że istnieją tu na pewno istotne różnice między Szkocją a resztą królestwa. Co doktor miał na myśli, mówiąc: „często"? Stephen wyjaśnił, iż chodziło mu o dwadzieścia do trzydziestu pojedynków rocznie. Podczas pierwszego roku studiów na uniwersytecie miał okazję poznać pewnego dżentelmena, który znacznie przekroczył tę liczbę.

— Najprawdopodobniej niepotrzebnie bardzo ceniłem sobie wówczas własne życie i udało mi się dojść do pewnej wprawy we władaniu pistoletem oraz szpadą. Czasem mam dziecięcą ochotę postrzelać sobie lub powalczyć trochę...

— Może wobec tego zmierzymy się na pokładzie?

— Czy to wypada? Nie chcę, by po raz kolejny wszyscy uznali mnie za ekscentryka.

— Nie ma najmniejszego powodu do obaw. Gdy służyłem na okręcie „Boreas", dawałem podchorążym lekcje, zaraz po zakończeniu ćwiczeń z moimi żołnierzami. Wśród poruczników było dwóch doskonałych szermierzy... Weźmy też może pistolety.

Na kwarterdeku natarli na siebie z furią, wymieniając mordercze pchnięcia. Ostrza ze świstem

przecinały powietrze, brzęczała stal, przyglądający się walce podchorążowie z wachty zapomnieli o swoich obowiązkach i za karę zostali wysłani na maszt. Mogli tylko pozazdrościć wolnym od służby kolegom, którzy z zachwytem przyglądali się szermierczym popisom.

— Stop! Stop! Dosyć! — Stephen zawołał, cofając się wreszcie. — Zabrakło mi oddechu i bardzo się spociłem.

— No cóż... — powiedział Macdonald. — Już dziesięć minut temu padłbym martwy. Walczyłem tylko dla wprawy.

— Obaj zginęlibyśmy zaraz na samym początku...

— To niesłychane — zawołał Jack. — Nie przypuszczałem, że nasz doktor ma tyle wigoru.

— Jest pan bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem, nawet pomimo braku wprawy — oświadczył Macdonald. — W walce na śmierć i życie nie dałbym panu rady. Nigdy nie zaryzykuję pojedynku z panem. Może mi pan teraz bezkarnie ubliżać, zniosę wszystko. Czy chce pan wypróbować pistolety?

Przyglądający się temu wszystkiemu Aubrey był bardziej niż zaskoczony. Nigdy nie myślał, że Stephen potrafi trzymać szpadę, nie mówiąc już o nabiciu pistoletu. Znali się przecież tak dobrze i tym trudniej było mu uwierzyć, że doktor z odległości dwudziestu kroków niechybnie trafia w sam środek kierowego asa. Odnoszone przez przyjaciela sukcesy sprawiały Jackowi sporo satysfakcji, cieszyło też pełne podziwu milczenie, jakie panowało teraz na pokładzie. Z drugiej jednak strony poczuł się nieswojo i było mu wręcz przykro: musiał niestety stać z boku, nie mogąc wziąć bezpośredniego udziału w zabawie. Kapitanowi w żadnym wypadku nie wypadało przecież współzawodniczyć z oficerami. Zaskoczył go sposób, w jaki Maturin trzymał pistolet — było w tym coś złowrogiego, nieprzyjemnego i na pewno bardzo groźnego. Doktor po raz kolejny wycelował spokojnie, padł strzał i kula przeszyła głowę króla kier. Jack musiał teraz pospiesznie skorygować swe zdanie na temat przyjaciela— okazało się, że nie wszystko jest tutaj tak oczywiste, jak można było przypuszczać. Pokręcił z niedowierzaniem głową i odwrócił się zmieszany, by jeszcze raz spojrzeć na nowe żagle. Wypełnione wiatrem pracowały wręcz idealnie. Gdzieś na zawietrznej, w odległości stu osiemdziesięciu mil, powinien znajdować się Finisterre —już niedługo, po północy, trzeba będzie zmienić kurs i pożeglować na wschód, w stronę przylądka Ortegal i zatoki,..

Tuż przed ośmioma dzwonkami pierwszej wachty na pokładzie pojawił się Pullings. Popychał przed sobą półprzytomnego, ziewającego raz za razem Parslowa.

— Dobrze, że pan przyszedł, panie Pullings — powiedział pan Goodridge. — Sen strasznie mnie morzy... — Pierwszy nawigator spojrzał na otwarte szeroko usta podchorążego i sam ziewnął głośno, przymykając oczy. — Jesteśmy dokładnie tutaj... Postawione mamy główne żagle, marsle na grot i fokmaszcie, kliwer oraz latacz. Kurs na północny wschód, a dokładnie za godzinę popłynie pan idealnie na wschód. Jeśli uda się wam wypatrzeć jakiś żagiel, proszę niezwłocznie obudzić kapitana. Och... Tak marzę o ciepłej koi. Dobranoc... Temu dzieciakowi dobrze zrobi wiadro zimnej wody... — dodał, zmierzając szybkim krokiem w stronę zejściówki.

Jack spał mocno, lecz pomimo to zdawał sobie doskonale sprawę, że właśnie nastąpiła zmiana

wachty — na długim na sto trzydzieści stóp okręcie trudno jest nie usłyszeć poruszających się szybko sześćdziesięciu ludzi. Całe to zamieszanie nie wyrwało jednak kapitana ze snu, podobnie jak zmiana kursu godzinę później. Dowódca i tak wiedział, że okręt porusza się w innym niż poprzednio kierunku: nerwowe podnoszenie się i opadanie na fali ustało wreszcie, zaczęło się miękkie, powolne kołysanie. Na pokładzie panowała absolutna cisza, nie było słychać żadnych okrzyków bądź nawoływań. Pullings wykonał zwrot przez rufę, wydając tylko kilka cichych komend. „Dobrze, że ktoś taki znalazł się w załodze" — Jack pomyślał na wpół świadomy. W pierwszej chwili nie wiedział, co go obudziło. Coś jednak na pewno było nie w porządku. Żagle dawno zostały przebrasowane, na górze zadudniły jednak nerwowe kroki, a przez otwarty świetlik wpadły do kabiny czyjeś szybkie i pełne napięcia słowa. Aubrey oprzytomniał natychmiast. Czekał przez chwilę, aż drzwi się otworzą i stanie w nich podchorąży.

— Pan Pullings prosił, bym zameldował panu żagiel przed dziobem na zawietrznej, sir.

— Dziękuję, panie Parslow. Zaraz przyjdę na górę.

Pullings zjechał po padunie na pokład dokładnie w chwili, gdy Jack znalazł się koło słabo oświetlonego kompasu.

— Żagiel, sir — powiedział porucznik, podając kapitanowi swoją lunetę. — Trzy rumby z lewej, kilka mil stąd...

Noc była bardzo ciemna, świeciły słabo tylko najjaśniejsze gwiazdy, a księżyc zaszedł kilka godzin temu. Oczy Jacka powoli przyzwyczajały się do ciemności i po chwili udało mu się dostrzec horyzont — ciemną linię, za którą właśnie znikał Saturn. Wiatr zmienił kierunek i przybrał na sile. Wiało teraz bardziej z północy, a na grzbietach fal w wielu miejscach pojawiały się białe pasma piany. Kilka razy Jackowi wydawało się, że widzi w swej lunecie marsle żaglowca, zawsze jednak rozpływały się one po chwili, by już więcej się nie pokazać.

— Musi pan mieć naprawdę dobre oczy — powiedział z podziwem.

— Zauważyłem błysk armatniego wystrzału, sir. Nie chciałem jednak pana budzić, zanim się nie upewniłem. Ten żaglowiec jest tam, na lewo od kursu... Płynie ostro na wiatr, tak mi się przynajmniej zdaje. Widać w tej chwili marsle i chyba sterbramsel...

„Chyba się starzeję" — pomyślał Jack, spoglądając we wskazanym przez porucznika kierunku. Rzeczywiście, dostrzegł białą plamę, która co prawda znikła na moment, lecz po chwili pojawiła się znowu, dokładnie w tym samym miejscu. Pasmo bieli, czyli marsle zbrasowane tak, że zachodziły na siebie i nieco wyżej biały prostokąt — sterbramsel. Pullings miał więc rację. Zauważona jednostka płynęła ostro na wiatr, prawym halsem, korzystając z silnej północno-zachodniej bryzy i kierując się prawdopodobnie na południowy zachód. Jeśli strzelano z pojedynczego działa, to należało przypuszczać, że gdzieś muszą być jeszcze inne, płynące w grupie żaglowce. Armatni wystrzał był dla nich zapewne sygnałem do zwrotu. Kapitan skierował lunetę bardziej na wschód. Są. Zauważył w ciemnościach jeden, a może dwa niewyraźne białe cienie. Jeśli dalej popłyną tym kursem, zbliżą się do „Polychrest". Jak długo jednak mogą pozostać na tym halsie? Raczej krótko; na zawietrznej był przecież przylądek Ortegal i niebezpieczne, najeżone skałami wybrzeże.

— Wyostrzymy, panie Pullings — Aubrey powiedział do porucznika. — Ostro na wiatr — polecił sternikowi.

Okręt zaczął obracać się powoli, gwiazdy zatoczyły na niebie szeroki łuk. Jack stał, nasłuchując. Czekał, aż załopocze pierwszy żagiel — będzie to oznaczało, że „Polychrest" porusza się maksymalnie ostro względem wiatru, który wiał teraz od dziobu z lewej burty. Fala uderzyła o kadłub i kapitan poczuł na policzku krople wody. W tej samej chwili cicho zatrzepotał lik fokmarsla.

Jack stanął za sterem.

— Wybrać tam lepiej bulinę — zawołał. — Panie Pullings, chyba uda się nam jeszcze odrobinę wyostrzyć. Proszę zająć się bulinami i tarasami.

Porucznik pobiegł w stronę fokmasztu, niknąc w mroku. Marynarze na forkasztelu poruszyli się i na „raz-dwa-trzy" zaczęli wybierać liny. Reje kolejno obracały się o dodatkowych kilka cali. Nie można było już uzyskać nic więcej i Jack naparł na szprychy steru, walcząc z coraz silniejszym oporem, tak jakby zmagał się z jakąś żywą istotą. Dziób zaczął powoli zbliżać się do linii wiatru, Gwiazda Polarna znikła za bocznym likiem grotmarsla. Nie dało się bardziej wyostrzyć, żagle prawie łopotały. Jack jeszcze przed chwilą nie wierzył, że uda się osiągnąć aż tyle. Slup żeglował pięć rumbów od wiatru, a do tej pory, przed zmianami, udawało się uzyskać najwyżej sześć i pół rumba... Tak... Nawet jeśli nadal należało brać poprawkę na niewyobrażalny wręcz dryf, zauważone jednostki już wkrótce znajdą się bardzo blisko, na niekorzystnej pozycji. Oczywiście pod warunkiem, że sternik naprawdę się postara i żagle będą pracowały właściwie. Wszystko wskazywało też zresztą na to, że ów nieszczęsny dryf wyraźnie się zmniejszył.

— Tak trzymać — powiedział Jack do marynarza stojącego za kołem sterowym. W słabym świetle padającym z kompasu zobaczył znajomą twarz. — Ach, to ty, Haines... Dobrze. Na sterze potrzeba teraz prawdziwego mistrza. Nie wolno nam odpaść nawet o włos...

— Tak jest, sir. Nie odpadać.

— Proszę tego dopilnować, panie Pullings. Niech pan też sprawdzi uprzęże dział i stojaki na kule. Gdyby bryza osłabła, może pan rozrefować grotmarsel. Gdyby coś się zmieniło, proszę mnie natychmiast zawołać.

Jack zszedł pod pokład, zdjął koszulę oraz spodnie, potem położył się na koi i zaczął przeglądać ostatnie wydanie „Navy List" Steela. Nie mógł jednak się skupić — po chwili wrócił więc na pokład i zaczął spacerować na zawietrznej z założonymi na plecach rękami. Po każdym obrocie patrzył uważnie w mrok.

Dwa żaglowce, może trzy, wykonujące zwrot na umówiony sygnał. Trudno było na razie powiedzieć coś więcej; mogły to być zarówno brytyjskie fregaty, jak i francuskie liniowce lub jednostki któregoś z neutralnych państw. Wszystkie możliwości wydawały się jednakowo prawdopodobne, podobnie jak ta, że to nieprzyjacielskie statki handlowe próbują przemknąć się pod osłoną nocy. Gdy jeden z majaczących w oddali żagli zakołysał się na fali, tuż pod nim nieostrożnie błysnęło światło, co rzeczywiście mogło świadczyć o tym, że nie są to raczej okręty wojenne. Po cóż zresztą miałyby one

zapuszczać się aż tak daleko na otwarte morze? Wszystko wyjaśni się z nadejściem świtu. Tak czy inaczej, niezależnie od tego, czy owe jednostki wykonają zwrot czy nie, nad ranem na pewno znajdą się znacznie niżej względem wiatru niż „Polychrest".

Jack z niepokojem spoglądał za burtę i co jakiś czas oglądał kilwater. Slup dryfował, to jasne. Ów dryf był jednak wyraźnie mniejszy niż kiedyś. Z logu za każdym razem odczytywano stałą prędkość — tylko trzy i pół węzła, lecz kapitan nie oczekiwał w tej chwili niczego więcej. Przy większej szybkości należałoby wręcz zredukować żagle, tak by do rana okręt nie znalazł się przypadkiem zbyt daleko od ewentualnej zdobyczy.

Daleko z tyłu, za trawersem, rozjaśnił niebo armatni wystrzał i w chwilę później do uszu Jacka doleciał stłumiony huk. Żaglowce kolejno zmieniały hals i już po chwili wszystkie znalazły się na równoległym kursie. Trudno było wyobrazić sobie lepszą sytuację: slup miał teraz wręcz wymarzoną pozycję względem wiatru i znajdował się idealnie na nawietrznej pierwszej z trzech nie zidentyfikowanych jednostek. Trzech. Aubrey był tego pewny prawie od godziny.

Osiem szklanek — już niedługo powinno się rozwidniać.

— Panie Pullings... Stara wachta zostaje na pokładzie. Popłyniemy pod marslami na grot i stermaszcie. Dzień dobry, panie Parker. Proszę polecić, by natychmiast rozpalono ogień w kuchni. Niech ludzie jak najszybciej zjedzą śniadanie. Porządne... Wszyscy bez wyjątku mają wziąć się do roboty, nawet lenie. Trzeba przygotować okręt do walki. Może pan zaczynać natychmiast. Gdy wybiją dwie szklanki, ogłosimy alarm bojowy. Gdzie są podchorążowie z nowej wachty? Sternik, proszę natychmiast odciąć ich hamaki i zawołać tutaj artylerzystę. Co to ma znaczyć? —-zawołał kapitan, gdy na pokładzie pojawili się przerażeni Babbington i Rossall. — Co to za zachowanie? Dlaczego nie zgłosili się panowie na wachtę? Gdzie wasze mundury? Jak wy wyglądacie? Kiedy myliście się ostatni raz? To niewiarygodne... Dwóch rozczochranych próżniaków! Och, jest pan, panie Rolfe. Ile ma pan przygotowanych ładunków?

Prace szybko posuwały się naprzód, wachty kolejno schodziły pod pokład na śniadanie.

— Teraz dopiero zobaczycie... — powiedział William Screech (kiedyś członek załogi „Sophie"), jedząc szybko ser i gęstą zupę. Nasz kapitan na pewno dzisiaj pokaże, co potrafi. Raz-dwa rozprawi się z tymi spryciarzami.

— Najwyższy na to czas — oświadczył jeden z rekrutów. — Gdzie te złote monety, które nam obiecywano? Jak dotąd zamiast pieniędzy są tylko kopniaki i baty.

— Popatrz na zawietrzną, bracie. Wystarczy szybko i sprawnie uwijać się przy działach. To wszystko. Już jutro możesz być bogaty.

— Tak chciałbym znaleźć się z powrotem w domu, przy moim krośnie — westchnął były tkacz. — Mam dość. Nie chcę żadnego złota...

Ogień w kuchni został wygaszony natychmiast po zakończeniu wydawania posiłku. Przy zejściówkach pojawiły się pokrywy, a w kabinie kapitańskiej przygotowano miejsce dla obsługi dział — Killick

zniósł wszystkie rzeczy na dół, a cieśla z pomocnikami usunął grodzie. Pod pokład powędrowały też klatki z kurami. Przez cały ten czas Jack patrzył w morze. Gdy na wschodnim horyzoncie pojawiły się pierwsze oznaki brzasku, bosman zameldował drobne problemy z podwieszaniem rej. Po ostatnich zmianach w osprzęcie nie bardzo wiedział, jak mają być mocowane łańcuchy zabezpieczające drzewce podczas walki. Odpowiedź na to pytanie nie wymagała długiego namysłu, lecz gdy Aubrey znów spojrzał za burtę, obce jednostki rysowały się już zupełnie wyraźnie na tle coraz jaśniejszego nieba. W odległości niecałej mili za prawym trawersem kołysał się na fali pierwszy żaglowiec, a za nim, dalej na zawietrznej, widać było kolejne dwa. Nie wydawały się zbyt szybkie, pomimo dużej powierzchni postawionych płócien z trudem nadążały za przewodnikiem, który celowo zwolnił i płynął teraz z podebranymi na gejtawach dolnymi żaglami. Dzięki temu zmalała nieco odległość między chyżym opiekunem i dwójką ślamazarnych podopiecznych —jak się okazało, jeden z nich miał prowizoryczny osprzęt. Jack wsunął lunetę za pazuchę i szybko wspiął się na marsa grotmasztu. Gdy wreszcie zdołał ustawić ostrość, przygryzł wargi i gwizdnął cicho.

— Fregata. Uzbrojona w trzydzieści dwa, nie... trzydzieści cztery działa... — Już w następnej chwili uśmiechnął się do siebie i nie odejmując od oka lunety, zawołał: — Panie Pullings, proszę przyjść tu do mnie. Niech pan weźmie mój teleskop. Co pan myśli o tej jednostce?

— Fregata. Ma trzydzieści dwa... nie... trzydzieści cztery działa. Francuska, sądząc po kształcie kliwra. Nie. Nie! Sir! To „Bellone"!

Była to rzeczywiście „Bellone", żeglująca po tak dobrze sobie znanych wodach. Jej zadanie polegało tym razem na eskortowaniu dwóch statków handlowych aż do dwudziestego stopnia długości zachodniej i czterdziestego piątego północnego równoleżnika. Poradziła sobie z tym jakoś, nie bez kłopotów przemierzając Zatokę Biskajską. Konwojowane jednostki były wyjątkowo powolne, a jedna z nich straciła stengi dwóch masztów. „Bellone" oczywiście starała się trzymać w miarę blisko swych podopiecznych, z drugiej jednak strony korsarze nigdy nie słynęli z solidności i obowiązkowości, a bardzo przecież zainteresowały ich teraz te dziwne trójkątne żagle na nawietrznej. Kontrakt ze statkami konwoju nie zabraniał eskorcie brania pryzów i od chwili, w której zauważono „Polychrest", francuska fregata wyostrzyła o rumb do wiatru, wyraźnie chcąc podejść bliżej. Jej kapitan, podobnie jak Jack, stał teraz na marsie grotmasztu z lunetą przy oku.

„Bellone"... Aubrey wiedział, że żaden żaglowiec nic byłby w stanie jej dogonić. Na szczęście przez następne dziesięć do dwudziestu minut inicjatywa będzie należała do „Polychrest" — angielski slup miał też teraz o wiele korzystniejszą pozycję. Podobna sytuacja na pewno nie potrwa długo; już wkrótce potrzebne będą przemyślane i szybkie decyzje, w przeciwnym razie korsarski statek najzwyczajniej w świecie ucieknie z wiatrem... Francuzi mieli co prawda aż trzydzieści cztery armaty (okręt Jacka dysponował tylko dwudziestoma czterema lufami), lecz na szczęście były to wyłącznie ośmio- i sześciofuntówki — wystrzeliwane podczas salwy burtowej pociski ważyły sto dwadzieścia sześć funtów. Karonady „Polychrest" mogły wyrzucić w sumie aż trzysta osiemdziesiąt cztery funty metalu i przy sprzyjających okolicznościach jedna taka salwa była w stanie zmieść z powierzchni morza nieprzyjacielski okręt. Z drugiej jednak strony owe ośmiofuntówki miały długie mosiężne lufy i obsługiwali je bardzo dobrze wyszkoleni ludzie. W razie starcia pierwsze ich kule mogły dosięgnąć celu już z odległości ponad mili, podczas gdy krótkolufowe i obsługiwane przez rekrutów karonady miały zasięg najwyżej pistoletowego strzału. Dopiero przy dystansie około stu

jardów stawały się naprawdę bardzo groźne. Należało więc koniecznie podejść wystarczająco blisko... Oby nie za blisko. W żadnym przypadku nie mogło przecież być mowy o abordażu — na pokładzie korsarskiego statku znajdowało się dwustu lub trzystu ludzi, doskonale znających swoje rzemiosło i na pewno nie uda się pokonać ich w walce wręcz. Nie z taką załogą. Nie wolno też dopuścić do tego, by korsarze zdołali jakoś wedrzeć się na pokład „Polychrest"...

— Panie Pullings... —Jack podjął już niezbędne decyzje. — Proszę powiedzieć panu Macdonaldowi, by jego ludzie zdjęli swoje czerwone kurtki. Niech pan też dopilnuje, aby przykryto żaglowym płótnem armaty na śródokręciu: wszystkie mają być dokładnie zasłonięte. Oczywiście tak, żeby można było ich w razie potrzeby natychmiast użyć. Na forkasztelu proszę postawić dwie lub trzy puste beczki. Mamy wyglądać jak jakaś zaniedbana łajba.

Tym razem role się odwróciły. To „Bellone" będzie nie przygotowana, to jej pokłady nie zostały uprzątnięte przed walką. Francuzi wciąż pełni są wątpliwości i dzisiaj to oni zostaną zaskoczeni. Tak. Zaskoczeni — to było teraz najważniejsze. Kapitan zbiegł na kwarterdek.

— Panie Parker, czy mogę zapytać, co pan robi?

— Te maty mają zasłonić moje złocenia na burcie — wyjaśnił pierwszy porucznik.

— Niech pan nie układa tych mat zbyt równo. Już teraz wyglądają doskonale — powiedział Jack. Rzeczywiście, wszystko bardzo przypominało przeciętny statek handlowy. — Proszę ogłosić zbiórkę załogi. Na rufie...

Stali teraz przed nim w szarym świetle poranka: niektórzy uradowani, inni zdziwieni, poirytowani lub wyraźnie wystraszeni. Niespokojne oczy co chwilę spoglądały daleko za burtę, na ciemną sylwetkę francuskiej fregaty.

— Słuchajcie! — Jack powiedział czystym, donośnym głosem, uśmiechając się do swoich podwładnych. — Ten żaglowiec, na który patrzycie, to tylko statek korsarski. Znam go dobrze. Ma długą linię furt działowych, lecz za nimi znajdują się tylko ośmio- i sześciofuntowe działa; my mamy dwudziestoczterofuntówki, o czym nasz przeciwnik nie wie. Mam zamiar zbliżyć się teraz do niego. Prawdopodobnie postrzela do nas trochę, lecz jego kule nie będą w stanie wyrządzić nam większej szkody. Gdy znajdziemy się w odpowiedniej odległości, tak blisko, że nie będziemy mogli spudłować, poślemy korsarzom salwę, którą na długo zapamiętają. Wszystkie armaty mają być wycelowane nisko na ich stermaszt i niech żaden z was nie strzela, zanim nie zabrzmi

bęben. Potem uwijajcie się jak najszybciej przy swoich działach, przyłóżcie zdrowo tym francuskim psom. Wystarczy zaledwie pięć minut i opuszczą banderę. Zobaczycie. Rozejdźcie się teraz na stanowiska i pamiętajcie: macie czekać na sygnał. Nie strzelajcie wcześniej. Gdy już weźmiecie się do roboty, dajcie z siebie wszystko. Mierzcie nisko w stermaszt i nie marnujcie kul. — Obracając się, Aubrey zobaczył Stephena wychodzącego z zejściówki. — Dzień dobry, mój drogi — zawołał radośnie. — Na zawietrznej jest nasza stara znajoma: „Bellone".

— Pullings już mi o tym powiedział. Czy chcesz podjąć walkę?

— Oczywiście. Zamierzam zatopić, spalić lub zniszczyć ten statek. — Na twarzy Jacka pojawił się radosny uśmiech.

— Oby ci się udało. Pamiętaj proszę o zegarku, który mi zabrano... Breguet, numer trzysta sześćdziesiąt pięć, z centralnym sekundnikiem. I trzy pary kalesonów. Poznam je wszędzie. Najlepiej zresztą będzie, jeśli sam rozejrzę się pod pokładem...

Rozwidniało się coraz bardziej. Niebo na wschodzie było teraz złote, na czystym dotąd niebie wykwitły białe, rozciągnięte pasma chmur. Eskortowane przez „Bellone" statki handlowe stawiały dodatkowe żagle.

— Panie Parker, proszę zamknąć zejściówki i luki. Panie Macdonald, w ostatniej chwili pośle pan na marsy swoich najlepszych strzelców. Niech zajmą się wyłącznie kwarterdekiem fregaty.

Jack nie miał zbyt skomplikowanego planu. Chciał po prostu zbliżyć się do nieprzyjaciela, nie dopuszczając jednak do bezpośredniego kontaktu i nie tracąc równocześnie korzystnej pozycji względem wiatru. Należało więc teraz jak najdłużej wodzić korsarzy za nos, w odpowiedniej chwili uderzając z bliska druzgoczącymi salwami. Fregata nie będzie wtedy w stanie zwiększyć dystansu, gdyż żagle slupa zasłonią jej bryzę. Aubrey nie odważyłby się ryzykować czegoś bardziej skomplikowanego: nie na tym okręcie i nie z taką załogą. Wolał nawet nie myśleć o błyskawicznych manewrach, takich jak przejście tuż za rufą korsarskiego statku. Nie mógł nawet schować pod pokładem swoich ludzi. Wielu z nich nigdy nie uczestniczyło w bitwie i trudno było przewidzieć, jak zachowają się na widok strzelających do nich dział.

— Proszę odpaść o rumb, panie Goodridge.

Kursy fregaty i slupa nadal zbiegały się w jednym punkcie. Jak blisko „Bellone" pozwoli do siebie podejść? Każde sto jardów oznaczało, że jej dalekosiężne działa będą strzelały o minutę krócej. Na razie odległość dzieląca oba żaglowce wciąż powoli malała.

Gdyby tak udało się pozbawić korsarską jednostkę masztów lub uszkodzić jej koło sterowe, umieszczone tuż za kolumną stermasztu... Jack widział już teraz blade twarze zgromadzonych na kwarterdeku fregaty Francuzów. Kiedy zaczną strzelać?

— Jeszcze ćwierć rumba, panie Goodridge. Panie Rossall, czy mamy flagę Watykanu?

Na dziobie „Bellone" pojawił się obłoczek dymu i armatnia kula przeleciała wzdłuż burty „Polychrest", kilka razy odbijając się od wody. Na maszcie korsarskiego statku pojawia się brytyjska bandera.

— To Anglik! — z ulgą zawołał na śródokręciu jakiś naiwny rekrut. Od strony fregaty doleciały wypowiadane czysto po angielsku słowa:

— Skrócić żagle i wyostrzyć do wiatru!

Jack uśmiechnął się do siebie i powiedział cicho:

— Powoli, panie Rossall. Zawahamy się trochę. Pół rumba na wiatr, pół rumba z wiatrem i znów na wiatr...

Flaga Watykanu powoli wędrowała na maszt i rozwinęła się dopiero po dłuższej chwili.

— To da im trochę do myślenia — mruknął Jack. Korsarze rzeczywiście zastanawiali się przez chwilę i oba żaglowce zbliżyły się jeszcze bardziej. Odezwał się kolejny wystrzał: tym razem kula uderzyła w burtę na śródokręciu. Ultimatum.

— Wyluzować szoty fokmarsla — zawołał Aubrey. Mógł pozwolić, by „Bellone" znalazła się nieco wyżej; przez swe pozorowane manewry zyskał kolejne pół minuty.

Korsarze mieli już jednak tego dosyć. Na stermaszcie ich statku pojawiła się teraz trójkolorowa francuska bandera, burta zniknęła w kłębach dymu i z odległości pięciuset jardów pomknęły w kierunku „Polychrest" armatnie kule. Trzy z nich uderzyły w kadłub, pozostałe przeleciały ze świstem wysoko nad pokładem.

— Wybrać te szoty na dziobie! — krzyknął Jack. — Z życiem! — Po chwili fokmarsel znów wypełnił się wiatrem. — Bardzo dobrze, panie Goodridge. Proszę teraz podejść do tej fregaty na odległość pistoletowego strzału. Brytyjska bandera na maszt, panie Rossall. Panie Pullings... Puste beczki za burtę!

Działa fregaty odzywały się pojedynczo, niezdecydowanie. Aubrey przez chwilę obawiał się, że korsarze wykonają teraz błyskawiczny zwrot, przejdą za rufą „Polychrest" i spróbują nabrać wysokości względem wiatru, cały czas strzelając z daleka.

— Boże, niech wystrzelą salwę... — mruknął do siebie cicho. Jego życzenie spełniło się niemal natychmiast; kule co prawda z trzaskiem uderzyły o burtę, lecz francuscy artylerzyści tym razem wyraźnie się nie popisali. Na pewno stać ich było na coś więcej — najprawdopodobniej liczyli po prostu na bardzo szybkie zakończenie starcia. Jackowi nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać — prowadzeniem okrętu zajmował się teraz pierwszy nawigator i radził sobie naprawdę doskonale. Nie pozwalał nieprzyjacielskiej jednostce wyjść na korzystniejszą pozycję, równocześnie nieustannie zmniejszając odległość dzielącą oba żaglowce.

— Panie Macdonald, proszę wyprowadzić na pokład swoich ludzi — polecił Aubrey. — Jak tam dobosz? Gotowy?

Na fregacie znów załadowano i wycelowano działa.

— Padnij! — zawołał Jack, gdy lufy francuskich armat znieruchomiały. — Niech wszyscy natychmiast się położą! — Tym razem korsarze strzelili głównie drobnymi kulkami, które zagrzechotały w takielunku i zasypały pokłady. Z góry spadały zerwane bloki oraz kawałki lin; stojący tuż obok Jacka Macdonald zachwiał się i przykrył dłonią ramię. Jakiś mały człowieczek rzucił się na czworakach w stronę przedniej zejściówki, a jego równie przerażeni koledzy patrzyli w ślad za nim, ciekawi, czy mu się powiedzie. Bosman dogonił jednak uciekającego tchórza, podniósł go wysoko i rzucił z powrotem w stronę dział. Dym uleciał powoli z wiatrem i Jack widział teraz

jufersy want „Bellone".

— Zostać przy działach! — zawołał. — Czekać na sygnał! Wszystkie lufy mają być wycelowane w stermaszt!

Oficerowie i dowódcy działonów obracali karonady, kierując je w stronę rufy korsarskiego statku. Szeroko otwarte oczy dobosza utkwione były nieruchomo w twarzy Jacka. Jeszcze bliżej... Jeszcze... Aubrey ocenił kołysanie i poczekał, aż okręt znieruchomieje na dłuższą chwilę w najwyższym, martwym punkcie.

— Ognia! — zawołał głośno i dał głową znak doboszowi, akurat w chwili, gdy pokład zaczął powoli opadać na fali.

Grzechot bębna utonął w ogłuszającym huku salwy wszystkich prawoburtowych karonad. Zaskoczyła ona chyba również i wiatr, gdyż w powietrzu zawisły nieruchomo kłęby gęstego dymu. Jack spróbował ręką rozgonić piekący w oczy obłok i zniecierpliwiony wychylił się daleko za reling. Bryza obudziła się wreszcie; szara chmura odpłynęła na zawietrzną, powoli odsłaniając „Bellone". Niespodziewana salwa miała wprost morderczy efekt. W kadłubie fregaty ziała ogromna czarna dziura, zniszczona została ława wantowa stermasztu. Sam maszt również był uszkodzony, trzy furty działowe zostały wbite w burtę, a na pokładzie rufowym leżały nieruchome ciała.

Na „Polychrest" odezwały się radosne okrzyki i wiwaty.

— Jeszcze raz! Jeszcze raz i będą musieli zrzucić banderę — zawołał Aubrey.

Na korsarskim statku wciąż powiewały jednak francuskie kolory — dowódca „Bellone", kapitan Dumanoir, pomachał Jackowi kapeluszem i zaczął szybko wydawać rozkazy. Jack z przerażeniem uświadomił sobie nagle, że za sprawą swego przeklętego dryfu „Polychrest" niebezpiecznie szybko zbliża się do fregaty; na dziobie korsarskiego statku kłębił się już tłum gotowych do abordażu ludzi. Było ich około dwustu — na miejscach zostali tylko artylerzyści obsługujący działa.

— Musimy wyostrzyć, panie Goodridge... —Aubrey zawołał szybko, jego słowa zostały jednak zagłuszone podwójną salwą: działa „Bellone" i „Polychrest" wystrzeliły równocześnie, reje obu jednostek prawie się już stykały.

— Wszyscy do odparcia abordażu. Bierzcie piki! Piki! — krzyknął Jack, dobywając szpady i pobiegł w kierunku forkasztelu. Właśnie tam należało spodziewać się ewentualnego ataku. Przeskoczył przewrócone działo oraz kilka trupów i dotarł na miejsce, jeszcze zanim wiatr rozwiał kłęby dymu. Oprócz kapitana na dziobie slupa było może trzydziestu ludzi. Wszyscy czekali teraz, aż kadłuby obu jednostek zderzą się z łoskotem. Zza prochowej chmury słychać było wydawane po francusku rozkazy i głośne wiwaty. W pewnej chwili coś głośno trzasnęło daleko z tyłu i gdy dym uleciał z wiatrem, okazało się, że „Bellone" gwałtownie zmienia kurs, szybko odpadając od linii wiatru; odległość między walczącymi żaglowcami wzrosła już do dwudziestu jardów. Stermaszt fregaty przewrócił się za burtę i korsarze nie byli teraz w stanie utrzymać poprzedniego kursu. Złamane drzewce było częściowo zanurzone w wodzie — wisiało z prawej strony za rufą na wantach i działało jako dodatkowy, olbrzymi ster, odrzucający dziób od linii wiatru.

— Do dział! — polecił Aubrey. Korsarski statek obracał się teraz powoli rufą w stronę „Polychrest" i dobrze wymierzona salwa mogłaby zakończyć bitwę.

— Poddali się! Poddali się! — zawołał jakiś głupiec. O wszystkim zadecydował w tym momencie brak wyszkolenia. Ludzie miotali się bezradnie przy karonadach, dookoła leżały porozrzucane kule, ładunki i przybitka. Niektórzy z marynarzy wiwatowali, inni podskakiwali w miejscu, jakby byli umysłowo chorzy. Tylko nieliczni próbowali przetaczać działa. Horror.

— Pullings, Babbington, Parker! Czy te armaty zaczną wreszcie strzelać? Zróbcie coś! Natychmiast! Niech was wszystkich szlag trafi! Uważać na sterze! Panie Goodridge, proszę sterować tak, by ci dranie byli w stałym namiarze... — Jack jednym ciosem powalił na pokład oszalałego z radości tkacza, chwycił głowy dwóch rekrutów, zderzył je ze sobą i odesłał obu z powrotem na stanowiska. Niewiele myśląc, skoczył do najbliższej karonady, pomógł podtoczyć ją do burty, wycelował i wystrzelił prosto w odsłoniętą rufę „Bellonę". — Za nimi, panie Goodridge... Odpadać! — zawołał, wracając na pokład rufówki.

Niestety. Nie udało się wykonać tego rozkazu. Po ostatniej salwie korsarzy prawie wszystkie szoty przednich żagli zostały zerwane i slup, zgodnie ze swoim dawnym zwyczajem, ostrzył uparcie. Pomimo wychylonego na burtę steru dziób nie obracał się na zawietrzną.

Mijały cenne sekundy; ludzie bosmana zajęci byli pospiesznym wiązaniem porwanych lin, tu i tam co jakiś czas odzywało się działo — jedna dwudziestoczterofuntowa kula uderzyła idealnie w tylną stewę „Bellone". Korsarze przebrasowali już jednak reje i umykali z wiatrem. W każdej minucie odległość dzieląca obie jednostki powiększała się o kolejne sto jardów. Gdy wreszcie udało się wybrać szoty przednich żagli i slup mógł ruszyć w pogoń, Francuzi mieli ponad ćwierć mili przewagi. Ich rufowe działo odzywało się regularnie.

— Panie Parker, proszę przenieść dwa działa na dziób — polecił Aubrey. Okręt rozpędzał się powoli, hamowana przez złamany maszt ..Bellone" płynęła zygzakiem i dystans zmalał teraz wyraźnie. — Panie Parslow, proszę przynieść mi lunetę... — Kapitański teleskop leżał roztrzaskany koło relingu.

— Lunetę? Jaką lunetę, sir? — Twarz podchorążego była blada, zdezorientowana i przerażona.

— Jakąkolwiek, chłopcze... — dowódca odpowiedział spokojnie. — Z mesy oficerskiej. Poszukaj dobrze...

Parslow pobiegł pod pokład, a Jack obrzucił swój okręt szybkim spojrzeniem. Nowe żagle były dziurawe jak sito, dwa sztaksle wisiały bezwładnie, z fokmarsla zostały tylko strzępy, korsarskie kule zerwały też z pół tuzina want. Na szczęście kliwry i sterżagiel pracowały poprawnie. Można było też powiedzieć, że na pokładach znów zapanował jaki taki porządek. Dwa działa zostały przewrócone, lecz jedno z nich ustawiono już z powrotem na miejscu i wymieniono uszkodzoną uprząż. Wszystkie pozostałe karonady odtoczono i przygotowano. Obsady były kompletne, ludzie wydawali się spokojni i zdecydowani. Na śródokręciu wciąż leżała na pokładzie sterta hamaków, wyrzuconych z siatek przez ostatnią salwę „Bellone", krzątała się tam jednak gromadka marynarzy, a ostatni ranni zostali przed chwilą zniesieni pod pokład.

— Luneta, sir.

— Dziękuję, panie Parslow. Proszę powiedzieć artylerzyście, by zaczął strzelać, gdy tylko uda mu się przenieść na dziób choć jedno działo.

Na korsarskim statku pospiesznie rąbano siekierami wanty zwalonego masztu. Przecięta została ostatnia lina, złamane drzewce poleciało do wody, fregata przyspieszyła gwałtownie i zaczęła się teraz wyraźnie oddalać. Odległość dzieląca obie jednostki zwiększała się bardzo szybko i Jack z rozpaczą patrzył w ślad za uciekającą „Bellone". W pewnym jednak momencie, zupełnie nieoczekiwanie, stenga jej grotmasztu zakołysała się dziwnie i z trzaskiem poleciała do morza.

Na pokładach „Polychrest" odezwały się gromkie wiwaty; slup zaczął teraz powoli zbliżać się do ściganego statku. Odezwała się wreszcie karonada na dziobie — kula co prawda upadła zbyt blisko, lecz odbita od wody prawie doleciała do celu. Angielscy marynarze znów krzyknęli radośnie.

„Nie będzie wam tak wesoło, gdy Francuzi zmienią kurs i poślą nam salwę prosto w twarz" — pomyślał Jack. Odległość wynosiła teraz około pięciuset jardów i oba żaglowce płynęły idealnie z wiatrem. Slup znajdował się z lewej strony za rufą „Bellone" i wystarczyłaby tylko nie wielka zmiana kursu, by korsarskie działa mogły posłać morderczą salwę wzdłuż pokładów. Fregata straciła co prawda tylne żagle i nie była w stanie wyostrzyć do bajdewindu, na pewno jednak mogła odchylić się prawie do półwiatru, co aż zanadto wystarczyłoby jej artylerzystom. Ów manewr nie nastąpił jednak. Statek korsarski stracił stengę grotmasztu i nadal płynął prosto z wiatrem. Jack spojrzał uważnie przez swoją lunetę i nareszcie zrozumiał, co się dokładnie stało. Ostatni celny strzał „Polychrest" pozbawił fregatę steru, nie było więc na razie mowy o jakichkolwiek gwałtownych zmianach kursu.

Powoli zbliżali się teraz do statków handlowych — pękate, głęboko zanurzone jednostki, wciąż żeglujące lewym halsem. Czy przypadkiem nie spróbują czegoś głupiego? Czy staną po stronie swojego opiekuna? Miały z każdej strony po pięć furt działowych, a uciekająca „Bellone" przejdzie w odległości zaledwie jednego kabla...

— Panie Parker, proszę odtoczyć działa na lewej burcie.

Nie. Nie było się czego obawiać. Statki powoli zmieniły kurs, kierując się na północ —jeden z nich miał prowizorycznie naprawione stengi fok i grotmasztu... Kolejna kula z dziobowej karonady „Polychrest" zalała fontanną wody rufę korsarskiego żaglowca, dystans malał więc z każdą chwilą. Czy warto zatrzymać teraz statki handlowe, a potem ruszyć w dalszą pogoń za uciekającą fregatą? A może zadowolić się tylko tymi dwoma statkami? Na razie nie mają możliwości ucieczki, lecz już za pięć minut znajdą się na nawietrznej. Gdyby były to nawet najpowolniejsze jednostki na świecie, trudno będzie je wtedy dogonić. Za pół godziny stanie się to niemożliwe.

Dziobowa karonada odzywała się dwa razy na jeden wystrzał rufowego działa „Bellone" — korsarze dysponowali jednak długą ośmiofuntówką i mogli strzelać o wiele bardziej celnie. Tuż przed tym, gdy statki handlowe znalazły się dokładnie na trawersie, posłali kulę nisko nad pokładem „Polychrest", zabijając marynarza stojącego tuż koło steru. Rzucone potworną siłą ciało upadło na pana Parslowa, czekającego na rozkazy. Kapitan odrzucił zwłoki na bok i wyswobodził

przygniecionego, zakrwawionego chłopca.

— Wszystko w porządku, panie Parslow? — zapytał z troską w głosie. Pierwszy porucznik poinformował, że statki handlowe skapitulowały i opuściły bandery. — Tak, tak, wiem... — zawołał szybko Jack. - Proszę sprawdzić, czy uda się postawić bonnet. — Nawet najmniejszy przyrost prędkości pozwoliłby zyskać dodatkowe jardy, odchylić się w bok i znów uderzyć w „Bellone" miażdżącą salwą. Slup przepłynął niedaleko od statków handlowych, które poddając się, posłusznie wyluzowały wszystkie szoty. Nawet teraz, pomimo walki i pościgu, gdy dziobowe działa strzelały jak opętane, pokład spowijały kłęby dymu, szpigatami spływała krew, a od kul korsarzy ginęli ludzie, niejedne oczy z żalem spoglądały na zostające z tyłu pryzy. Były to przecież całkiem spore statki, warte, tak na oko, z dziesięć, dwadzieścia, a może nawet trzydzieści tysięcy gwinei. Wszyscy członkowie załogi „Polychrest" wiedzieli dokładnie, że z chwilą gdy slup znajdzie się o milę na zawietrznej, ewentualna zdobycz postawi wszystkie żagle, wyostrzy do wiatru i odpłynie w siną dal, a razem z nią marzenia o fortunie.

Walczące jednostki zmierzały teraz szybko na południowy wschód, ostrzeliwując się zawzięcie. Przyspieszały na zmianę, w miarę jak naprawiano takielunek, żadna z nich nie odważyła się jednak zwolnić na chwilę, by postawić nowe żagle. Nie próbowano też podnosić steng masztów lub rozwijać bombramsli — morze było na to zbyt wzburzone. Szanse obu żaglowców idealnie się wyrównały i najmniejsze uszkodzenie mogło mieć decydujące znaczenie. Pościg trwał nadal. Obracano klepsydrę, dzwon okrętowy wybijał kolejne szklanki przedpołudniowej wachty, napięcie nie opadało nawet na chwilę. Na pokładach panowała idealna cisza, z rzadka padały najniezbędniejsze rozkazy, odległość między ostrzeliwującymi się jednostkami wciąż wynosiła dokładnie ćwierć mili. Na obu spróbowano postawić boczne żagle i w obu przypadkach skończyło się to niepowodzeniem — wiatr był na to zbyt silny. Załogi obu żaglowców wypompowały za burtę zapasy wody, próbując wszystkich znanych żeglarzom sztuczek, by choć o odrobinę zwiększyć prędkość. W pewnej chwili Jack myślał nawet, że korsarze wyrzucają za burtę zapasy żywności, jak się jednak okazało, były to tylko ciała zabitych. Naliczył ich aż czterdzieści — kule „Polychrest" musiały siać prawdziwe spustoszenie na zatłoczonych pokładach.

W południe przed dziobem pojawiły się wysokie brzegi Hiszpanii. Dziób „Polychrest" upstrzony był licznymi przestrzelinami, kilka kul przeszyło stengę fokmasztu i fokmarsreję, do kadłuba przedostawało się coraz więcej wody. „Bellone" miała roztrzaskaną rufę, a jej wielki grotżagiel przypominał sito. Fregata znów jednak odzyskała sterowność; rolę prowizorycznego steru pełniła teraz długa lina wypuszczana z rufy przez furtę działową, co pozwalało zmieniać kurs o kilka rumbów. Nie było to rewelacyjne rozwiązanie, na pewno jednak okazało się w tym przypadku o wiele bardziej skuteczne niż manewrowanie tylko poprzez odpowiednie operowanie żaglami. Na widok przylądka Penas korsarze wykonali coś w rodzaju zwrotu i sporo ich to kosztowało. Wyrzucona do wody lina zadziałała jak dryfkotwa, hamując bieg statku. Stracili w ten sposób prawie sto jardów i pan Rolfe, artylerzysta „Polychrest", posłał celną kulę prosto w ich rufowe działo. Miał twarz czarną od prochu, błyskały w niej tylko czerwone oczy, znajdował się jednak w swoim żywiole. Angielscy marynarze krzyknęli radośnie, przerywając ciszę — uciekająca „Bellone" mogła teraz odpowiadać na armatnie kule jedynie ogniem muszkietów. Nadal jednak posuwała się wytrwale do przodu, wyraźnie zmierzając do Gijon. Był to hiszpański port, zamknięty dla okrętów brytyjskich, lecz otwarty dla Francuzów.

Do portu wciąż pozostawało jednak kilka mil i każde trafienie w grotreję lub szoty mogło unieruchomić korsarski statek. Jego załoga wyrzucała teraz działa za burtę, chcąc zyskać kilka dodatkowych jardów. Jack z powątpiewaniem pokręcił głową. Niewiele to pomoże przy takim wietrze wprost od rufy i przy postawionych jedynie przednich żaglach.

— Na pokładzie! — zawołał obserwator z masztu. — Żagiel z prawej strony przed dziobem.

Była to hiszpańska fregata, opływająca przylądek Penas i zmierzająca do Gijon; zostałaby zauważona już dawno temu, ale wszystkie oczy zwrócone były na „Bellone".

— Niech to szlag trafi — Jack zaklął siarczyście. Piramida nietkniętych, śnieżnobiałych żagli wydała mu się tutaj dziwnie nie na miejscu: przez kilka ostatnich godzin widział tylko powiewające na wietrze i porwane w strzępy płótna. Ten hiszpański okręt poruszał się dziwnie szybko!

Na dziobie nastąpiła nagle jakaś niespodziewana eksplozja. Nie był to w każdym razie odgłos strzelającej normalnie karonady. Tuż po tym odezwały się urwane okrzyki i przypominające wycie psa odgłosy agonii. Przegrzane działo wybuchło, zabijając na miejscu artylerzystę i raniąc trzech marynarzy. Jeden z nich wił się dziko: dwa razy wyrwał się z ramion znoszących go pod pokład towarzyszy. Ciało pana Rolfe wyrzucono za burtę razem ze szczątkami rozerwanego działa, na miejsce natychmiast podtoczono następną karonadę. Ludzie poruszali się w zawrotnym tempie, niestety wszystkie pierścienie i uchwyty do mocowania zostały wyrwane, czekało ich więc raczej niełatwe zadanie. Na dodatek, pracując na dziobie, znajdowali się przecież pod nieustannym ogniem francuskich muszkietów.

Obie jednostki płynęły teraz w pełnej zawziętości ciszy, a brzeg przybliżał się z każdą minutą — widać już było urwisty klif i pieniący się na skałach przybój. Z kokpitu, głęboko we wnętrzu kadłuba, dobiegało czyjeś zwierzęce wycie.

Na hiszpańskiej fregacie wystrzeliło działo i na maszt powędrowały kolorowe flagi.

— Niech ich szlag trafi! — Jack zaklął znowu. Z rufy korsarskiego statku po raz kolejny wypuszczono do wody linę. Chcąc dotrzeć do portu, kapitan Dumanoir musiał teraz wyostrzyć o dobre dwa rumby, w przeciwnym razie „Bellone" wejdzie na skały.

— Nie uda ci się... Niech cię szlag! — zawołał Aubrey. — Do dział! Wszystkie lufy maksymalnie do przodu! Elewacja trzy stopnie! Celować w grotmaszt! Panie Goodridge, proszę wyostrzyć...

Slup zatoczył ostry łuk w lewo, obracając się burtą w stronę Francuza. Działa wypaliły kolejno, w grotżaglu „Bellone" pojawiły się olbrzymie dziury, reja przechyliła się na bok — wisiała teraz tylko na zabezpieczającym łańcuchu. Korsarze uciekali jednak nadal.

— Hiszpan zaczął strzelać, sir — poinformował Parker. Rzeczywiście. Przed dziobem przeleciała armatnia kula. Hiszpańska fregata zmieniła kurs, kierując się pomiędzy „Polychrest" i „Bellone". Była już bardzo blisko.

Jack zaklął znowu i sam stanął za sterem. Odpadł znów na kurs z wiatrem, kierując się na rufę

korsarskiego statku. Jeśli się uda, wystarczy czasu na jeszcze jedną salwę, zanim Hiszpan przejdzie przed dziobem. To już ostatnia szansa; za chwilę „Bellone" minie rafy i dotrze do bezpiecznego kanału prowadzącego do portu. Na pokładach zapanowała głucha cisza, wszystkie twarze wpatrzone były w kapitana.

— Uwaga przy działach! Spokojnie... Trzy stopnie, celować w grotmaszt. Liczy się każda kula... — Aubrey spojrzał przez ramię i zobaczył hiszpańską fregatę. Naprawdę wspaniała piramida żagli. Usłyszał też wołanie. Trudno. Zacisnął zęby i naparł na szprychy. Jeśli Hiszpanie przy okazji oberwą, będzie to wyłącznie ich wina.

Slup zatoczył łuk, działa zagrzmiały przeciągle, grotmaszt „Bellone" przechylał się powoli i wreszcie runął za burtę, razem z wszystkimi żaglami. W następnej minucie korsarski statek znalazł się w przyboju i Jack zobaczył obite miedzianą blachą dno. Dwa potężne grzywacze wepchnęły francuską fregatę dalej na skały, o leżący na boku kadłub jedna po drugiej rozbijały się fale.

— Udało mi się zepchnąć ją na skały koło Gijon, sir. Chciałem wysłać łodzie, by podczas odpływu spaliły to, co zostało, lecz Hiszpanie oznajmili, że znajduję się na ich wodach terytorialnych i zagrozili, iż w zdecydowany sposób sprzeciwią się, jeśli podejmę podobne działania. Dodali jednak, że francuska jednostka została doszczętnie rozbita, a jej kil przełamał się na skałach.

Admirał Harte patrzył na Jacka z nie ukrywanym niesmakiem.

— Z tego, co zrozumiałem, zostawił pan te cenne statki handlowe i rzucił się pan w pogoń za jakimś wszawym korsarzem, którego też pan nie zdobył'?

— Zniszczyłem go, sir.

— Och, powiedzmy... Wszyscy słyszeliśmy o statkach wprowadzonych na rafy, rozbitych i tak dalej... Już po miesiącu niektóre z nich są jak nowe. Łatwo powiedzieć: „Zepchnąłem nieprzyjacielską jednostkę na skały".. . Co z tego, skoro nie przyniosło to nikomu ani grosza? Wszystkiemu winne są te pańskie cudaczne żagle. Gdyby postawił pan bombramsle, zdążyłby pan zająć statki handlowe i zdołałby pan potem porządnie przyłożyć temu łajdakowi, którego to rzekomo pan zniszczył. Te skośne żagle są dobre na sztormy. Pierwszy raz słyszę o podobnym pomyśle...

— Bez nich nigdy nie znalazłbym się na nawietrznej tego konwoju, sir. Zapewniam też pana, że w przypadku ‚Polychrest" dodatkowe płótna, wysoko na masztach, tylko wepchnęłyby kadłub głębiej w wodę...

— Czy mam rozumieć, że pańskim zdaniem okręt popłynie szybciej, gdy postawi pan mniej żagli'? — zapytał Harte, spoglądając na swego sekretarza, który zachichotał cicho. — Nie, nie... Admirał na pewno wie na ten temat znacznie więcej od oficera pełniącego obowiązki dowódcy okrętu. Niech pan nie wspomina więcej o tym zabawnym ożaglowaniu. Pański slup i bez tego wygląda wystarczająco dziwacznie, nie ma więc powodu, by wystawiał go pan na pośmiewisko, żeglując z maksymalną prędkością zaledwie pięciu węzłów tylko dlatego, gdyż nie chce pan postawić dodatkowych płócien. Tak przy okazji... Co stało się z tym holenderskim stateczkiem, który próbował pan ścigać?

— Niestety, uciekł, sir...

— I kto zatrzymał go w dzień później, kto zajął ładunek kości słoniowej oraz złotego piasku? Oczywiście „Amethyst". Znowu „Amethyst"... Kolejny już raz dał pan sobie sprzątnąć zdobycz prosto sprzed nosa. Nie zobaczyłem z tego... To znaczy, chciałem powiedzieć... Nie zarobił pan nawet złamanego szeląga. To Seymour jest prawdziwym szczęściarzem. Dziesięć tysięcy gwinei, a może więcej! Rozczarował mnie pan, kapitanie Aubrey. Dałem panu coś na kształt samodzielnego patrolu na świeżo zwodowanym slupie, a pan... Co pan zrobił? Wrócił pan z pustymi rękami, na okręcie wyglądającym jak wrak, bez połowy drzewiec oraz lin, z pracującymi dzień i noc pompami. Stracił pięciu ludzi i przywiózł pan siedmiu rannych oraz historyjkę o jakimś korsarskim statku, zepchniętym na wyimaginowane skały. Proszę nie opowiadać mi o oszukanych śrubach i sparciałych linach... — dodał admirał, podnosząc dłoń. — Słyszałem to już wcześniej. Proszę mi też pozwolić przypomnieć sobie, że kapitan nie może bez zezwolenia nocować poza swoim okrętem...

— Naprawdę, sir? — Jack zapytał, pochylając się do przodu. — Czy mógłby pan wyrażać się bardziej ściśle? Czy udziela mi pan upomnienia za to, że nie nocowałem na okręcie?

— Nie powiedziałem przecież, że spał pan gdzie indziej... — zauważył Harte.

— Może wobec tego wyjaśni mi pan, co miał pan na myśli?

— To nieistotne — odparł admirał, bawiąc się nożem do papieru i z nie ukrywaną złośliwością dodał: — Pańskie marsle przynoszą wstyd całej flocie. Dlaczego nie zwija ich pan ciaśniej?

Trudno było wyobrazić sobie coś bardziej przewrotnego. Na zwijanie marsli ciasno przy rejach pozwolić mogły sobie jedynie duże okręty z pełnymi i dobrze wyszkolonymi załogami. W podobne rzeczy bawiono się zresztą tylko podczas postoju w porcie lub z okazji parady. Harte doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

— Tak... — mówił dalej. — Jestem z pana niezadowolony, powtarzam to po raz drugi. Od tej pory będzie pan pływał z konwojami na Bałtyk, w pozostałym czasie pański slup zostanie przydzielony do patrolowania kanału. To coś bardziej odpowiedniego dla pana. Bałtycki konwój będzie gotowy za kilka dni. Przypomniałem sobie teraz o czymś... Otrzymałem z Admiralicji niezwykłą przesyłkę. Pański lekarz okrętowy, człowiek o nazwisku Maturin, ma otrzymać tę oto zalakowaną kopertę. Oprócz tego powinien dostać przepustkę. Przysłano też asystenta, który przejmie tymczasowo jego obowiązki i będzie mu pomagał po powrocie do służby. Oby tylko temu pańskiemu doktorkowi w głowie się od tego nie przewróciło. Zalakowana koperta, coś podobnego!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Stephen Maturin siedział naprzeciwko Diany Villiers w karecie jadącej szybko wśród wzgórz Sussex. Szyby w oknach były opuszczone, oboje w największej zgodzie jedli chleb z masłem.

— Widział pan więc ten swój staw — Diana zauważyła radośnie, — I jak się tam panu podobało?

— Bardzo. Bardziej niż myślałem. Od dawna o czymś takim marzyłem.

— A ja marzę o Brighton. Mam nadzieję, że będę tak zadowolona jak pan. Och, na pewno będę zadowolona, prawda? Cały tydzień wakacji, cały tydzień bez Imbryka... Nawet jeśli codziennie będzie padać, zostaje mi przecież Pavilion... Tak chcę zobaczyć to miejsce!

— Gdyby nie fakt, że szczerość jest najważniejszym elementem prawdziwej przyjaźni, powinienem teraz powiedzieć cokolwiek... coś obojętnego... udając, że nie wiem, iż była pani w Brighton w zeszłym tygodniu

— Kto panu o tym powiedział? — zapytała, a posmarowany masłem kawałek chleba znieruchomiał w jej dłoni.

— Pan Babbington. Był tam z rodzicami.

— Nie powiedziałam przecież, że mnie tam nie było... Wpadłam tylko przejazdem... Chodziło mi o Pavilion. Nigdy go nie widziałam. Dlaczego próbuje pan mi dokuczyć, doktorze? Przez całą drogę potrafiliśmy być wobec siebie tacy mili. Czy Babbington wspomniał o tym przy świadkach?

— Tak. Jack był tym bardzo poruszony. Jego zdaniem, Brighton to bardzo wstrętne miasto, pełne pokus i łajdaków obojga płci. Mój przyjaciel nie lubi też księcia Walii... Umazała się pani masłem.

— Biedny Jack — powiedziała Diana, wycierając policzek chusteczką. — Czy pamięta pan... och, to było tak dawno... jak powiedziałam, że pod wieloma względami nasz kapitan przypomina dużego chłopca? Osądziłam go wtedy bardzo surowo. Oczekiwałam prawdziwej dojrzałości, chciałam widzieć w nim w pełni dorosłego mężczyznę. Tak jednak brakuje mi teraz tego śmiechu i zabawy. Co się z nim stało? Ostatnio potrafi być wręcz nudny. Stale moralizuje i prawi kazania. Czy nie może pan powiedzieć mu, by nie był taki sztywny? Na pewno pana posłucha...

— Nie mogę. Przykro mi. Te sprawy nie wyglądają między mężczyznami tak, jak się pani wydaje. W każdym razie nasze wzajemne stosunki nie są ostatnio takie jak kiedyś. Nie pozwoliłbym sobie obecnie na coś podobnego... Nie wiem zresztą, czy i wcześniej bym się na to odważył. Oczywiście wciąż grywamy razem, lecz nasza muzyka nie brzmi już tak jak dawniej.

— Ostatni obiad u mnie nie wypadł najlepiej, choć tak się starałam, przygotowując pudding. Czy Jack coś powiedział?

— Pod moim adresem? Nie. Pozwolił sobie jednak na kilka zjadliwych uwag o Żydach.

— To dlatego był taki ponury. Teraz wiem...

— Oczywiście. Nie jest pani przecież głupia. Oboje wiemy, o kogo mu chodziło.

— Och, nie, Stephen. Nie wolno panu tak mówić. Z mojej strony była to tylko zwykła grzeczność, nic więcej. Canning był u mnie po raz pierwszy, a panowie jesteście przecież starymi przyjaciółmi. Najzwyczajniej w świecie musiałam posadzić gościa obok siebie, tak bym mogła się o niego zatroszczyć. Och, co to za ptak?

— Białorzytka. Widzieliśmy ich już dwieście, a może trzysta po drodze i pytała pani o to już dwa

albo i trzy razy.

Woźnica ściągnął lejce i zapytał, czy doktor nie zechciałby obejrzeć kolejnej sadzawki. Przejeżdżali właśnie obok niewielkiego stawu.

— Jednej rzeczy nie rozumiem — powiedział Stephen, wsiadając z powrotem do karety. — Skąd w takich bajorkach bierze się woda? Niektóre z nich są wciąż pełne, nawet gdy nie pada. Najlepiej wiedzą o tym żaby; nie składają skrzeku w byle kałuży, w której nie zdążyłyby rozwinąć się kijanki. I proszę bardzo... Pomimo trzech miesięcy suszy mamy setki pięknych małych żabek — dodał, pokazując malutki okaz wielkości paznokcia.

— Jaka ładna — zauważyła Diana. — Błagam, niech ją pan wypuści na trawę. Czy nie będzie mi pan znów dokuczał, jeśli zapytam, skąd taki przyjemny zapach?

— To tymianek — wyjaśnił Maturin. — Pachnie tak, zgniatany kołami...

— Rozumiem więc, że kapitan Aubrey żegluje teraz po Bałtyku? — pani Villiers zagadnęła po chwili. — Ominie go ta piękna pogoda. Szkoda. Nienawidzę zimna...

— Tak. Bałtyk i północny Atlantyk — odpowiedział wyrwany z rozmyślań Stephen. — Bardzo chciałbym tam być z Jackiem... Edredony, foki, morsy, narwale! Zawsze chciałem zobaczyć narwala.

— Kto zajmuje się teraz pańskimi pacjentami ?

— Och, przysłano mi asystenta, głupawego i hałaśliwego młodego człowieka ze skrofulozą. To taki przykry wybryk natury... Tak. Ci, którzy do tej pory nie umarli, jakoś chyba przeżyją. Liczę na to...

— Dokąd się więc pan teraz wybiera? Przepraszam, Stephen... Zadaję chyba za dużo pytań, zupełnie jak moja ciotka, pani Williams... Ten wyjazd nie jest chyba jakąś tajemnicą?

— Cóż... — niepewnie powiedział doktor. Zapragnął nagle opowiedzieć Dianie o tym, że zostanie wysadzony w nocy na hiszpańskim brzegu. Wiedział, że to tylko zwykła tęsknota tajnego agenta, pragnącego podzielić się z kimś swoimi sekretami; coś podobnego poczuł po raz pierwszy w życiu. — Tym razem chodzi tylko o nudne kwestie prawne — wyjaśnił obojętnie. — Muszę najpierw znaleźć się w Londynie, a potem w Plymouth. Może wybiorę się też na krótko do Irlandii.

— Londyn? Przecież do Brighton całkiem panu nie po drodze. Myślałam, że jedzie pan prosto do Portsmouth i dlatego mnie pan ze sobą zabrał. Dlaczego postanowił pan aż tak bardzo zboczyć z drogi?

— Wie pani... Sadzawki, białorzytki, przyjemna jazda przez łąki.

— Łajdak z pana, doktorze — westchnęła Diana. — Liczyłam na jakiś drobny komplement z pańskiej strony...

— Naprawdę? Więc zapewne wie pani, że jest jeszcze jeden powód — Stephen powiedział cicho. —Lubię pani towarzystwo, zwłaszcza gdy jest pani taka jak teraz. Chciałbym, by ta nasza podróż

nigdy nie dobiegła końca.

W karecie zapadło pełne oczekiwania milczenie. Maturin nie powiedział już jednak nic więcej. Dopiero po dłuższej chwili pani Villiers roześmiała się nienaturalnie głośno i powiedziała:

— Ładnie to panu wyszło. Prawdziwy bawidamek z pana... Obawiam się jednak, że już dojeżdżamy. Tam jest morze i gdzieś tutaj musi zaczynać się Devil's Punchbowl. Mam nadzieję, że podwiezie mnie pan z fasonem pod same drzwi? Bałam się, że będę musiała część drogi odbyć na piechotę. Zabrałam nawet wygodne buty. Są tam, w koszyku. Bardzo dziękuję za miłą przejażdżkę. Mam też nadzieję, że z pewnością zobaczy pan tego swojego narwala. To chyba coś, co można czasem kupić u rzeźnika, czy tak?

— Bardzo pani uprzejma... To miłe. Czy wolno mi wobec tego zapytać o adres, pod który mamy się tutaj udać?

— Zatrzymam się u lady Jersey, przy Parade.

— Lady Jersey? — spytał, gdyż pani Villiers wymieniła nazwisko kochanki księcia Walii. Do tego samego towarzystwa należał też Canning.

— Ona jest przyszywaną kuzynką mojego byłego męża — Diana wyjaśniła szybko. — Niech pan nie wierzy w te wulgarne historie z gazet. Oni oboje po prostu bardzo się lubią, tylko tyle. Pani Fitzherbert jest jej bardzo oddana...

— Tak? Na pewno... Niestety, przykro mi, lecz nic nie wiem o tej sprawie. Czy opowiedzieć pani o ramieniu biednego Macdonalda?

— Och, tak, proszę. Tak chciałam o to zapytać... jeszcze gdy wyjeżdżaliśmy z Dover.

Rozstali się przed drzwiami rezydencji lady Jersey, nie zamieniwszy już ani jednego słowa. Służący zajęli się bagażami, w powietrzu zawisło napięcie, na twarzach pojawiły się i zgasły wymuszone uśmiechy.

— Dżentelmen do panny Williams — zaanonsował lokaj admirała Haddocka.

— Powiedz, Rowley, kto to taki? — zapytała Sophie.

— Nie przedstawił się, proszę panienki. To marynarz. Oficer. Zapytał najpierw o admirała, a potem o pannę Williams. Czeka w bibliotece.

— Może to młody, wysoki i przystojny podchorąży? — zainteresowała się Cecylia. — Czy nie chodziło mu przypadkiem o mnie?

— Czy nie jest czasem dowódcą okrętu? — zapytała Sophie, upuszczając róże.

— Ten dżentelmen ma na mundurze płaszcz, nie widziałem więc stopnia. Może być dowódcą okrętu, ale to na pewno nie podchorąży.

O nie! Przyjechał elegancką karetą zaprzężoną w cztery konie...

Z okna biblioteki Stephen widział, jak Sophie biegnie przez trawnik i jak burza wpada na taras, przeskakując po trzy stopnie. „Porusza się tak zgrabnie jak sarna..." — pomyślał. Dziewczyna znieruchomiała na moment, gdy uświadomiła sobie, że mężczyzna w bibliotece to doktor Maturin. Otworzyła jednak śmiało drzwi i zawołała:

— Cóż za niespodzianka! Jak to miło, że pan nas odwiedził. Jest pan w Plymouth? Myślałam, że wysłano was na Bałtyk...

— „Polychrest" rzeczywiście jest w tej chwili na Bałtyku — Stephen wyjaśnił, całując ją serdecznie. — Świetnie pani wygląda. Taka różowiutka buzia...

— Ależ doktorze... — Sophie powiedziała radośnie. — Nie powinien pan tak zwracać się do młodej kobiety. Przynajmniej nie tutaj, w Anglii. Oczywiście, że jestem różowa na twarzy. Nawet purpurowa. Pocałował mnie pan przecież!

— Naprawdę, moja droga? Nic się chyba złego nie stało... Czy pije pani porter, jak kazałem?

— Oczywiście. Codziennie. Ze srebrnego kufla. Prawie już polubiłam piwo. Co mogę panu zaproponować? O tej porze admirał zwykle pija grog. Czy długo zostanie pan w Plymouth? Mam nadzieję, że tak.

— Jeśli wolno, proszę o filiżankę kawy. Będę pani bardzo wdzięczny... Nocowałem w Exeter i w oberży poczęstowano mnie wstrętną lurą. Niestety, muszę się i już dzisiaj ruszam w dalszą drogę. Mój okręt odpływa na wysokiej wodzie. Nie mogłem jednak was nie odwiedzić. Podróżuję już od piątku i z rozkoszą usiądę choćby na pół godzinki, zwłaszcza w tak miłym towarzystwie.

— Od piątku? W takim razie nie zna pan najświeższych wiadomości?

— O niczym nie wiem...

— Fundusz Patriotyczny nagrodził kapitana Aubreya szpadą o wartości stu gwinei, a kupcy, również w dowód wdzięczności za zniszczenie „Bellone", ufundowali pamiątkową paterę. Czyż nie cieszy pana tak wspaniała nowina? Choć oczywiście nie jest to to, na co pański przyjaciel już dawno sobie zasłużył. Jestem pewna. Jak pan sądzi, czy otrzyma wymarzony awans?

— Za zniszczenie statku korsarskiego? Na pewno nie. Jack nie myśli zresztą o tym... Wyższy stopień niewiele teraz znaczy, na razie brakuje okrętów. Stary Jarvie nie budował nowych, awansował za to bardzo wielu ludzi. Mamy więc teraz całe tabuny kapitanów, nie mogących znaleźć przydziału. Jeszcze więcej jest dowódców, tak jak Jack czekających na awans.

— Żaden z nich nie jest jednak równie zasłużony jak on — podsumowała Sophie. Najwyraźniej z całej „Navy List" istniało dla niej tylko jedno nazwisko. — Nie powiedział mi pan jeszcze, jak on się czuje...

— Nie zapytała o to pani. Czy nie chciałaby się też pani dowiedzieć, co słychać u waszej kuzynki,

Diany?

— Och, przepraszam. To niełądnie z mojej strony. Mam nadzieję, że wszystko u niej w porządku?

— Tak. Jest w doskonałym nastroju. Kilka dni temu jechaliśmy razem z Dover do Brighton. Diana spędzi tam tydzień u lady Jersey.

Sophie najwyraźniej nie słyszała nigdy o owej damie.

— Cieszę się — powiedziała. — Trudno o milszego kompana niż Diana, oczywiście pod warunkiem, że ona... — Szybko zmieniła „zachowuje się normalnie" na „nie grymasi".

— W przypadku Jacka sprawy wyglądają niestety zupełnie inaczej; biedak dawno już zapomniał, co znaczy dobry nastrój. Jest wręcz nieszczęśliwy. Jego okręt to paskudna łajba, dowodzący eskadrą admirał to szubrawiec... Nasz kapitan ma więc wystarczająco dużo zmartwień na morzu i na lądzie. Muszę też pani powiedzieć, moja droga, że jest o mnie najzwyczajniej w świecie zazdrosny... A ja o niego. Nadal oczywiście lubię go tak samo jak kiedyś, lecz ostatnio często zastanawiam się, jak długo uda nam się obu wytrzymać na tym samym okręcie. Nie jestem już teraz dla Jacka oparciem i pomocą, tak jak dawniej. Moja obecność wyraźnie go drażni. Nasza przyjaźń została ostatnio wystawiona na bardzo ciężką próbę... Niełatwo jest znieść podobną sytuację: razem na ciasnym pokładzie, dzień za dniem; nieustanne napięcie, nerwy, liczenie się z każdym słowem; ciągła obawa, by nie wynikło jakieś niepotrzebne nieporozumienie; konieczność zwracania uwagi nawet na to, co się śpiewa. Gdy jesteśmy na oceanie, sprawy nie wyglądają aż tak źle, jednak na kanale i w Downs... Wolę nie mówić. To na pewno nie potrwa długo...

— Czy on wie, co pan czuje do Diany? Wątpię... Nie zachowywałby się tak wobec najlepszego przyjaciela. Bardzo przecież pana lubi.

— Lubi? Sądzę, że tak. Na pewno... na swój sposób. Myślę, że całe to nieporozumienie jest po prostu skutkiem określonego zbiegu niekorzystnych okoliczności. Tylko tyle. Jack nigdy świadomie nie prowokowałby zadrażnień pomiędzy nami. Chyba więc ma pani rację, sądząc, że on nie zdaje sobie w pełni sprawy z moich uczuć. W każdym razie nie są one dla niego do końca jasne i oczywiste. Nigdy nie był przecież specjalnie bystry w podobnych sprawach. Myśli naprawdę szybko i klarownie tylko na okręcie podczas walki. Z drugiej jednak strony wydaje mi się, że coś tam na pewno świta w jego głowie... Przynajmniej od czasu do czasu...

Rozmowa została na moment przerwana, gdyż przyniesiono kawę. Przez chwilę siedzieli oboje w milczeniu, zamyśleni.

— Powinna pani wiedzieć, moja droga — powiedział Stephen, odkładając łyżeczkę — że mężczyźni są bardzo bezradni wobec bezpośrednich ataków, gdy w sprawę zamieszana jest kobieta. Nie chodzi mi tu o ewentualne wyzwanie; do jego podjęcia zmusza nas honor. Nie jesteśmy jednak w stanie otwarcie sformułować i wyrazić swoich uczuć.

— Nie wypada mi przecież napisać do niego po raz drugi.

— Nie. Gdyby jednak zdarzyło się tak, że „Polychrest" zawinie tu latem, co jest przecież bardzo prawdopodobne, może pani poprosić o odwiezienie was obu z siostrą do Downs. To przecież nic zdrożnego. W najgorszym razie skorzysta pani z pośrednictwa admirała. Trudno wyobrazić sobie lepszą okazję; podczas takiej podróży na pewno wszystko się wyjaśni.

— Och, nigdy się na to nie odważę. Niech pan pomyśli, doktorze, jakie to ryzykowne. Wręcz... nachalne. Nie chcę się narzucać. Co zrobię, jeśli on odmówi? Umarłabym chyba...

— Gdyby widziała pani, jak ucieszył go przysłany przez panią prowiant, nie wspominałaby pani o odmowie. Miał łzy w oczach.

— Tak, wiem, wspomniał pan o tym w swoim liście. Mimo wszystko nie umiałabym się jednak zdecydować na równie odważne posunięcie. Mężczyzna mógłby tak postąpić, lecz w przypadku kobiety to przecież niewyobrażalna śmiałość...

— W podobnych sprawach najwięcej można osiągnąć, zmierzając prosto do celu.

— Och, tak, tak. W tym właśnie cały problem. Wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej, gdyby ludzie mówili sobie otwarcie, co myślą. Czy mogę pana o coś zapytać? — Sophie zagadnęła ostrożnie po krótkiej pauzie. — Nie obrazi się pan?

— Spróbuję odpowiedzieć na każde pytanie. Jesteśmy przecież przyjaciółmi.

— Czy nie wydaje się panu, że i pan mógłby być bardziej bezpośredni wobec Diany? Czy nie powinien pan po prostu poprosić jej o rękę? Wydaje mi się, że niczego więcej tu nie trzeba...

— Mam się oświadczyć? Moja droga Sophie, to niemożliwe. Wie pani przecież, jaki ze mnie kawaler: brzydal bez majątku, urodzenia i koneksji. Diana ma bardzo wygórowane ambicje, jest też na to zbyt dumna...

— Jest pan zbyt surowy wobec swojej osoby, doktorze. Nie docenia pan siebie. Na swój sposób jest pan tak samo przystojnym mężczyzną jak kapitan Aubrey. Wszyscy to mówią. Do tego ma pan przecież ten swój zamek...

— Zamek w Hiszpanii to nie to samo co zamek w Kent. Moja posiadłość jest zrujnowana. W zadaszonej części chronią się owce, a duża część gruntów to skały i góry. Nawet podczas pokoju nie udaje mi się uzyskać więcej niż dwieście do trzystu angielskich funtów rocznego dochodu.

— To przecież sporo. Wystarczy na życie. Jeśli ona kocha pana choć trochę, a trudno mi uwierzyć, że tak nie jest, na pewno byłaby zachwycona oświadczynami.

— Jest pani tak rozbrajająco naiwna, moja droga... — Stephen pokręcił głową. — Sama przecież powiedziała mi pani kiedyś, że Diana po prostu nie wie, co to jest miłość. Niezależnie od tego, jak zdefiniujemy to słowo. Potrafi najwyżej być czasem czuła, przyjacielska, życzliwa... Tylko tyle i nic więcej. Nie... Muszę jeszcze poczekać. Wierzę, że prędzej czy później nadejdzie moja wielka chwila. Tak czy inaczej ucieszę się, nawet jeśli zostanę zaakceptowany jako *pis aller*. Nie chcę na razie ryzykować bezpośredniej odmowy. Boję się też ewentualnej pogardy.

— *Pis aller!* Co to takiego?

— Rzecz, którą akceptuje się, gdy nie ma innego wyboru. Tylko na to liczę.

— Nie może pan być dla siebie taki surowy. Jestem przecież kobietą. Wiem, na co pana stać i ile jest pan wart... Proszę mi wierzyć.

— Jest też inna przeszkoda; wie pani przecież, że jestem katolikiem, papistą.

— Czy to ma dla niej jakiekolwiek znaczenie? Przecież Howardowie to katolicy... i pani Fitzherbert.

— Pani Fitzherbert? Dziwne, że padło tu jej nazwisko. Muszę już iść, moja droga. Dziękuję za troskę o mnie. Mogę jeszcze raz napisać do pani? Nie miała pani chyba żadnych przykrości z powodu moich listów?

— Nie. Nikomu o nich nie wspominałam.

— To dobrze. I tak nie odezwę się wcześniej niż za miesiąc. Może będę przejeżdżał koło Mapes? Jak czuje się pani mama i siostry? Czy wolno mi też zapytać, co z panem Bowlesem?

— W domu wszyscy czują się bardzo dobrze, dziękuję. Co się zaś tyczy pana Bowlesa... — Sophie powiedziała z wściekłym błyskiem w oczach — ...posłałam go do wszystkich diabłów. Zaczął być bezczelny: „Czy to prawda, że pani serce należy do kogoś innego?" — zagadnął kiedyś. „Tak, sir, to prawda" — odpowiedziałam. ‚A pani matka? Przecież nie zgodziła się na to?" — zawołał, podnosząc głos, a ja zażądałam, by natychmiast wyszedł z pokoju. W tym stuleciu nikt nie postąpił w Mapes równie odważnie.

— Proszę mi wybaczyć, moja droga, naprawdę czas już na mnie — powiedział Stephen, wstając. — Niech pani nie zapomni o pozdrowieniach dla admirała.

— Na pewno nie zapomnę — zapewniła Sophie, nadstawiając policzek. — Więcej wiary w siebie, doktorze...

Zmieniające się prądy i pływy. Zatoka Cork. Oczekiwanie na księżyc, by można było wylądować na brzegu. Męcząca podróż przez góry na kroczącym żwawo mule: nagie, spalone słońcem skały, drżące rozgrzane powietrze, splątane, wyschnięte zarośla. Senor don Esteban Maturin y Domanova całujący stopy wielebnego opata Montserrat i proszący uniżenie o audiencję. Potem znów nie kończąca się kręta biała droga, nieprzyjazny człowiekowi krajobraz Aragonii, okrutne słońce, wszechogarniające zmęczenie, kurz... I nieustanne wątpliwości. Czy niepodległość to coś więcej niż tylko słowo? Jakie znaczenie ma taka czy inna forma rządów? Wolność? Co to właściwie znaczy? W pewnym momencie ogarnęło go tak silne zniechęcenie, że oparł głowę na siodle i dopiero najwyższym wysiłkiem woli zmusił się, by dosiąść muła. Na Maladetta dopadła go burza. Wszędzie pachniał tymianek. Wysoko pod ciężkimi od deszczu chmurami szybowały orły, wzbijały się coraz wyżej i wyżej...

— Zbyt dużo myśli kłębi się w mojej biednej głowie — Stephen mruknął do siebie. — Nadeszła chyba pora, bym zaczął działać. Przede wszystkim muszę jednak najpierw jakoś się stąd wydostać...

Nareszcie plaża, światła migające od strony morza, chybotliwy pokład, pusty horyzont dookoła i znów Irlandia, pełna wspomnień...

— Gdyby udało mi się jakoś pozbyć choć części tego, o czym pamiętam, byłbym prawie normalny — Stephen powiedział do drugiej szklanki pełnej laudanum. — Piję twoje zdrowie, Diano Villiers...

Znów podróż, tym razem karetą pocztową do Holyhead — dwieście siedemdziesiąt mil po wybojach. Niespokojny sen, przebudzenie już w innym kraju. Deszcz i mówiący po walijsku ludzie, w środku nocy. Potem Londyn i raport: analiza zagmatwanej plątaniny sprzecznych odczuć, dążeń oraz emocji, zabarwionych wszelkimi odcieniami altruizmu, głupoty i żywiołowego entuzjazmu. Próba udzielenia możliwie jasnej odpowiedzi na następujące pytanie: „Czy Hiszpania przystąpi do wojny po stronie Francji, a jeśli tak, to kiedy?"

Znalazł się wreszcie znowu w Deal, sam w mrocznym wnętrzu gospody „Pod Koroną i Różą". Siedział, obserwując żaglowce na redzie i pił herbatę, dziwnie obcy w tak dobrze sobie znanym świecie. Przechodzący ulicą ludzie w niebieskich mundurach należeli jakby do innej rzeczywistości — wydawali się nierealni, ulotni i zaskakująco nieprawdziwi. Ów dziwny stan mijał jednak powoli. Herbata była wyjątkowo smaczna, a fotel okazał się naprawdę wygodny. Stephen powoli zapominał o nieustannym napięciu, pośpiechu i strachu. Nareszcie mógł się zatrzymać, po tylu tygodniach nerwowej gonitwy po raz pierwszy nigdzie nic musiał się spieszyć. Wszystko stopniowo wracało na swoje miejsce; znów był w pełni świadomym uczestnikiem rozgrywających się dookoła wydarzeń.

W Admiralicji potraktowano go wyjątkowo uprzejmie, wręcz z honorami. Rozmowie przysłuchiwał się pewien starszy i bardzo inteligentny dżentelmen z Foreign Office, który pozwolił sobie później na kilka wyjątkowo pochlebnych uwag. Również lord Melville powtórzył kilka razy, że dowództwo floty chciałoby w jakiś sposób okazać doktorowi swą ogromną wdzięczność. W miarę możliwości spełnione zostanie każde życzenie i każda prośba... Stephen siedział, przypominając sobie tę scenę i pił malutkimi łykami kolejną filiżankę herbaty, gdy na chodniku przed gospodą pojawił się Heneage Dundas. Ubrany w swój kapitański mundur stanął przed oknem i zajrzał do środka, najwyraźniej szukając któregoś z przyjaciół — czubek nosa dotknął szkła i rozpłaszczył się na szybie.

„Trochę przypomina to z tej strony stopę ślimaka"—pomyślał Stephen. „Skóra bardzo zbladła w tym miejscu. To znaczy, że zatrzymane zostało krążenie krwi..." Dundas zauważył doktora i wszedł do środka.

— Od kilku miesięcy pana nie widziałem — powiedział bardzo przyjacielskim tonem. — Pytałem o pana za każdym razem, gdy wasz slup zawijał do portu. Podobno dostał pan urlop? Taki pan opalony... Gdzie pan był?

— W Irlandii. Musiałem załatwić pewne sprawy rodzinne...

— W Irlandii? Zadziwia mnie pan. Za każdym razem, gdy tam byłem, lało jak z cebra. Przysiągłbym, że wrócił pan raczej z rejsu po Morzu Śródziemnym. Cha, cha, cha... Tak jak powiedziałem, szukałem pana. Chciałem porozmawiać... Jaka wyśmienita herbata. Czy poczęstuje mnie pan jeszcze jedną filiżanką? — Stephen sięgnął po dzbanek, a Dundas umilkł na dłuższą chwilę. Widać było, że chodzi mu o coś naprawdę ważnego i nie wie, od czego ma zacząć. Czy chce pożyczyć pieniędzy? A

może niepokoi go jakaś choroba?

— Z tego, co wiem, doktorze, lubi pan Jacka Aubreya, prawda?

— Tak. To prawda. Lubię go.

— Ja również. Służyliśmy na tym samym okręcie, zanim jeszcze awansowano nas na podchorążych. W sumie aż sześć razy byliśmy razem. Problem w tym, że on nigdy mnie nie słuchał. Wie pan, zawsze byłem tym młodszym... Są zresztą rzeczy, których nie można prosto w oczy powiedzieć mężczyźnie. Dlatego postanowiłem porozmawiać z panem. Jest pan chyba jedynym człowiekiem, który mógłby mu jakoś dać do zrozumienia, iż postępując w ten sposób... Cóż... Nie powiem, że rujnuje swoją karierę, ale na pewno żegluje bardzo ostro na wiatr; nie dba o swoje konwoje (były w tej sprawie oficjalne skargi), chroni się w Downs, gdy pogoda wcale tego nie usprawiedliwia... Ludzie doskonale wiedzą, dlaczego. To nie może dłużej trwać. W Whitehall nie lubią podobnych rzeczy.

— Przecież to nic nowego, że okręt wojenny celowo przedłuża postój w porcie.

— Wiem, o co panu chodzi. Powinien pan jednak wiedzieć, że na podobne postępowanie mogą sobie pozwolić wyłącznie zasłużeni admirałowie, ludzie ze szlacheckimi tytułami, a Jack jest przecież tylko dowódcą slupa. To się źle skończy. Błagam pana, doktorze, proszę spróbować mu o tym powiedzieć...

— Uczynię wszystko, co w mojej mocy. Obiecuję. Nie wiem jednak, jaki będzie tego skutek... Tak czy inaczej, dziękuję panu za zaufanie...

— „Polychrest" walczy teraz z przeciwnym wiatrem koło South Foreland. Widziałem z „Goliatha", jak usiłuje wykonać zwrot przez sztag. Nic z tego nie wyszło; Jack musiał zmienić hals zwrotem przez rufę. Wraca z rejsu do Etaples, stacjonują tam francuskie kanonierki. Najprawdopodobniej okrąży przylądek dopiero wtedy, gdy zmieni się bryza. Boże, jak ten okręt dryfuje. Podobna jednostka nie ma w ogóle prawa pływać...

— Wybiorę się więc chyba do nich łodzią. Nie chcę tak długo czekać...

Powitano go dość ciepło i bardzo uprzejmie. Wszyscy byli jednak bardzo zajęci, zdenerwowani i zmęczeni. W cumowaniu slupa uczestniczyły obie wachty. Obserwując pracujących marynarzy, Stephen zrozumiał natychmiast, że atmosfera na okręcie wcale się nie poprawiła. Wszystko wyglądało teraz chyba nawet jeszcze gorzej niż przedtem. Doktor wiedział już wystarczająco dużo o służbie na morzu i bez trudu potrafił określić różnicę między zadowoloną załogą a grupą zastraszonych, ponurych, zmuszanych do posłuszeństwa ludzi. Kapitan pisał w kabinie raport z podróży, a na pokładzie, rządził w tym czasie pan Parker. Stephen z rosnącym niepokojem przyglądał się przez dłuższą chwilę poczynaniom pierwszego porucznika. Wszystko wskazywało na to, że ów człowiek nie jest całkiem normalny: rozkazy, groźby, obelgi, wszystko przeplatane brutalnymi kopniakami oraz rozdawanymi na lewo i prawo razami. Znacznie więcej okrucieństwa niż w chwili, gdy Stephen schodził na ląd. Może to początki jakiegoś szczególnego obłędu lub przynajmniej histerii? Nie lepszy okazał się następca Macdonalda — młody mężczyzna o rumianej twarzy i szerokich bladych ustach. Dowodził jedynie swoimi żołnierzami, lecz nadrabiał to szczególną

aktywnością. Biegał tu i tam jak opętany, co chwilę używając swej trzciny.

Podejrzenia doktora w pełni potwierdziły się pod pokładem, w okrętowym szpitaliku. Przysłany przez Admiralicję asystent, pan Thompson, nie wydawał się specjalnie bystry i doświadczony (zoperowana przezeń noga Cheseldona wyraźnie pachniała gangreną), lecz na pewno nie można było o nim powiedzieć, że jest brutalny czy choćby tylko nieuprzejmy. Trudno było więc zrozumieć, dlaczego nikt się nie uśmiechał, gdy obaj ze Stephenem podczas zaimprowizowanego lekarskiego obchodu po kolei odwiedzali pacjentów. Ludzie odpowiadali grzecznie, nie udawało się jednak nawiązać z nimi bliższego kontaktu. Wyjątkiem był Polak o nazwisku Jackowski, marynarz ze starej załogi „Sophie", któremu znów dokuczała przepuklina. Również jednak i jego słowa, wypowiadane dziwnym żargonem (Jackowski bardzo słabo mówił po angielsku), wydały się zaskakująco niespokojne, pełne troski oraz skrywanego napięcia. W sąsiedniej koi leżał człowiek z obandażowaną głową. Kilaki? Uszkodzenie czaszki? Symulant? Thompson próbował trochę zbyt gorliwie uzasadnić swoją diagnozę i nieostrożnie uderzył w bandaż wyciągniętym palcem. Chory natychmiast zasłonił się ramieniem.

Gdy Stephen zakończył obchód i wrócił do swojej kabiny, okręt był już zacumowany. Jack zszedł na ląd, by złożyć raport, i na pokładach zapanował prawie zupełny spokój. Słychać było teraz tylko monotonne skrzypienie pomp i okrzyki pierwszego porucznika, pilnującego, by żagle (rejowe — o skośnych dawno już zapomniano) zostały zwinięte równo i starannie jak na królewską wizytację.

Doktor wszedł do oficerskiej mesy i zastał tam tylko oficera piechoty morskiej, siedzącego wygodnie na dwóch krzesłach, z nogami na stole.

— Pewnie to pan jest naszym łapiduchem? — zawołał oficer na widok Stephena. — Wrócił pan? Cieszę się, że pana poznałem. Nazywam się Smithers. Proszę mi wybaczyć, nie mam na razie siły wstać. Okropnie zmęczyłem się podczas cumowania.

— Zauważyłem, że był pan wyjątkowo aktywny.

— Prawda? Lubię, by moi ludzie dokładnie wiedzieli, kto nimi rządzi. Mają robić to, co do nich należy, dokładnie tak, jak ja sobie tego życzę. Dostaną jeszcze ode mnie niezłą szkołę, zobaczy pan... Mówiono mi, że jest pan całkiem niezłym wiolonczelistą. Musimy kiedyś wieczorem pomuzykować razem. Ja gram na flecie.

— Po mistrzowsku, jak śmiem przypuszczać?

— Och, tak. To prawda. Nie chcę się chwalić, lecz w swoim czasie byłem najlepszym flecistą w Eton. Jako zawodowy muzyk z pewnością zarabiałbym dwa razy więcej, niż otrzymuję teraz, walcząc z wrogami jego królewskiej mości... Sprawy finansowe nie mają jednak oczywiście dla mnie większego znaczenia. Strasznie smętnie tutaj, na tym okręcie, prawda? Nie ma z kim pogadać, a jedyne zajęcie to nudna służba w konwojach i uganianie się za francuskimi barkami desantowymi. Może ma pan ochotę pograć w karty?

— Czy kapitan już wrócił? Nie wie pan?

— Nie ma go. Będzie dopiero za kilka godzin. Ma pan mnóstwo czasu. Na pewno zdążymy zagrać.

— Nie jestem najlepszym graczem...

— Proszę się nie obawiać. Dowódca na pewno popłynie swoją łodzią pod prąd do Dover. Ma tam całkiem niezłą damulkę, proszę mi wierzyć. To naprawdę smakowity kąsek. Sam chętnie bym się skusił, nie chcę jednak wchodzić w drogę przełożonemu... Trudno czasem uwierzyć, jak bardzo pomaga w tych sprawach czerwony mundur. Na nią też działa. Zaprosiła nas wszystkich w zeszłym tygodniu i tak na mnie przez cały czas patrzyła...

— Chyba nie chodzi panu o panią Villiers?

— Ładna młoda wdowa... Tak, to ona. Zna ją pan?

— Oczywiście. Nie życzę sobie, by w mojej obecności mówiono o niej w ten sposób.

— Och, nic wiedziałem, że to pana przyjaciółka — zawołał Smithers. — Sprawy wyglądają wobec tego zupełnie inaczej. Nic przecież nie powiedziałem. To tylko żarty. I co? Zagramy?

— Dobrze pan gra?

— Urodziłem się z talią kart w dłoni.

— Muszę pana uprzedzić, że nie interesują mnie małe stawki. Taka śmieszna gra mnie nudzi.

— Och, nie boję się pana. Kilka razy grałem z moim przyjacielem lordem Cravenem aż do białego rana! Co pan na to?

Grze przyglądali się schodzący kolejno do mesy pozostali oficerowie. Przy stole panowała martwa cisza, aż do końca szóstej partii, gdy Stephen wyłożył na blat swoje karty. Siedzący z tyłu Pullings przez cały czas ściskał mocno kciuki, wierząc w wygraną doktora i teraz zawołał głośno:

— Cha, cha, cha. Niepotrzebnie zaczynał pan z doktorem. Twarda z niego sztuka...

— Niech pan się z łaski swojej nie odzywa. Nie wypada przeszkadzać grającym w karty dżentelmenom! — wybuchnął Smithers. — Pali pan tę swoją cuchnącą fajkę i w mesie zrobiło się ciemno od dymu. Zupełnie jak w jakiejś podrzędnej knajpie. Jak człowiek może się skoncentrować w takich warunkach? Wygrał pan, doktorze. Ile to jest razem?

— Sto trzydzieści plus ostatnie rozdanie... Zabrakło panu dwóch punktów do setki... Zabieram pańską stawkę. Przykro mi.

— Czy przyjmie pan weksel?

— Gramy wyłącznie o gotówkę. Taka była na początku umowa.

— Wobec tego muszę iść po pieniądze. To nie potrwa długo. Musi mi pan jednak dać szansę się

odegrać.

— Kapitan zaraz wejdzie na okręt, panowie — powiedział oficer wachtowy, stając w drzwiach. Po chwili pojawił się znowu. — Lewa burta... — poinformował, a wszyscy obecni w mesie odetchnęli z ulgą: dowódca wracał dziś bez ceremonii.

- Muszę pana opuścić — oświadczył Stephen. — Dziękuję za grę.

— Nie może pan teraz odejść. Wygrał pan przecież wszystkie moje pieniądze — Smithers zawołał oburzony.

— Wprost przeciwnie. Moim zdaniem nadszedł właśnie najlepszy moment — spokojnie wyjaśnił Maturin.

— To nie jest w porządku. Naprawdę... Jak pan może...

— Tak pan uważa? Dobrze... Proszę postawić. Może pan podwoić swoją stawkę lub przegrać wszystko. Odpowiada panu taki rewanż?

Smithers wrócił z dwoma rulonami złotych gwinei i pełną garścią dodatkowych monet.

— Nie chodzi tutaj o pieniądze — wyjaśnił — tylko o zasadę... Karty zostały rozdane, Stephen spojrzał niecierpliwie na swój zegarek.

— Dwa asy — powiedział szybko. — Co u pana?

— Walet pik. Wszystko się wyjaśniło.

— Niestety... Będzie pan musiał jednak przyjąć mój weksel — ponuro oświadczył Smithers.

— Jack... — Doktor zapukał do drzwi kapitańskiej kabiny. — Mogę wejść?

— Ależ oczywiście, mój drogi. Proszę... — zawołał Aubrey, podbiegając do drzwi i poprowadził doktora do fotela. — Widziałem, że wróciłeś. Nie masz pojęcia, jak się cieszę. Bardzo tu było pusto bez ciebie. Jesteś taki opalony...

Pomimo zwierzęcej złości, wywołanej unoszącym się dookoła Jacka zapachem perfum (trudno było wyobrazić sobie coś bardziej nieprzyjemnego), takie powitanie bardzo Stephena ucieszyło. Nie dał jednak tego po sobie poznać. Przez chwilę przyglądał się swemu przyjacielowi uważnie i wreszcie zapytał:

— Co się z tobą stało, mój drogi? Jesteś chudy i wymizerowany. To do ciebie niepodobne. Straciłeś ładnych kilka funtów, skórę pod oczami masz niezdrowo żółtą. Czy nie dokucza ci ta rana postrzałowa? Dalej, zdejmij koszulę. Nie wiem, czy udało mi się wydobyć wszystkie kawałki ołowiu. Moja sonda wciąż uderzała o coś twardego...

— Nie, nie... Wszystko całkiem ładnie się znów zagoiło. Czuję się bardzo dobrze. Jedyny problem w

tym, że ostatnio źle sypiam. Godzinami przewracam się z boku na bok i nie mogę zmrużyć oka. Gdy wreszcie zasnę, dręczą mnie złe sny. Często też budzę się podczas środkowej wachty i nie śpię aż do rana. Jestem potem zupełnie ogłupiały. Często daję się wtedy ponieść złym nastrojom; awanturuję się z byle powodu i bardzo potem tego żałuję. Może to moja wątroba? Jak myślisz? Nie dalej jak przedwczoraj spotkała mnie przykra niespodzianka. Goliłem się, myśląc o czymś zupełnie innym, a Killick powiesił lustro za bulajem, zamiast na zwykłym miejscu. Zobaczyłem swoje odbicie i przez moment wydawało mi się, że do kabiny zagląda ktoś obcy. Gdy zrozumiałem wreszcie, że to ja, zapytałem sam siebie: „Skąd u mnie taka zawzięta twarz kaprala?" Postanowiłem wtedy, że nie mogę tak wyglądać.. . Przypomniał mi się nieszczęśliwy Pigot z „Hermione"... Niestety, dziś rano znów spojrzało na mnie z lustra to samo wstrętne oblicze. Dlatego właśnie tak bardzo cieszę się, że wróciłeś. Mam nadzieję, że któraś z twoich mikstur pozwoli mi wreszcie spokojnie zasnąć. W tym chyba cały problem: wszystkiemu winien jest po prostu brak snu. Stąd ten paskudny wygląd. Do tego jeszcze okropne sny... Czy ty śnisz czasem, Stephen?

— Nigdy.

— Tak myślałem. Ktoś tak mądry jak ty... Nieważne zresztą... Ostatnio miałem sen o twoim narwalu... i o Sophie. Ona też była w to jakoś zamieszana. Możesz mi nie wierzyć, lecz wszystko potoczyło się tak nieszczęśliwie, że obudziłem się zalany łzami. Naprawdę... Szlochałem jak dziecko! Tak przy okazji, to dla ciebie — dodał Jack, sięgając za siebie i wręczył doktorowi długi, zakrzywiony kieł.

Oczy Stephena zalśniły. Powoli obracał ów niezwykły przedmiot w rękach, oglądając go ze wszystkich stron.

— Dziękuję ci, Jack. Bardzo ci dziękuję... — zawołał po chwili. - To wspaniały okaz. Wręcz idealny...

— Były też i dłuższe, niektóre miały dobrze ponad sążeń, wszystkie miały jednak odłamane końce. Pomyślałem, że bardziej spodoba ci się coś takiego: niczego chyba tutaj nie brakuje... Uważaj, żebyś się nie ukłuł. — Aubrey zaśmiał się radośnie. Na chwilę wróciła jego dawna nieokiełznana i chwilami nieco głupawa wesołość. Chichotał przez moment, a w błękitnych oczach zapaliły się figlarne ogniki.

— Cudowny kieł. Prawdziwy fenomen natury... — Stephen pogładził czule trzymany w dłoniach przedmiot. — Ile jestem ci winien, Jack? — Wyjął z kieszeni chusteczkę, którą starannie rozłożył na stole. Jedna po drugiej wysypywał na blat garści złotych monet, potem przez chwilę szukał ostatnich, pojedynczych gwinei, zauważając, iż powinien chyba związać z chustki coś w rodzaju zaimprowizowanej sakiewki.

— Boże... — zawołał Jack, szeroko otwierając oczy. — Skąd masz to wszystko? Zdobyłeś okręt przewożący skarby? Nigdy w życiu nie widziałem naraz tyle pieniędzy.

— Dałem nauczkę pewnemu pyszałkowi, który bardzo mnie zdenerwował. Bezczelny młokos w czerwonej kurtce... Dureń...

— Smithers. — Aubrey odgadł bez trudu. — Obdarłeś go ze skóry. Jak mogłeś? Taka kwota? To hazard, a nie zwykła gra.

— Masz rację. Widziałem, że bardzo przejął się stratą. Był zlany potem. Wydał mi się jednak bardzo bogaty; jest taki pewny siebie i arogancki...

— Pochodzi z zamożnej rodziny, to prawda, lecz chyba zostawiłeś go bez grosza przy duszy. Zabrałeś mu przecież więcej niż całoroczny żołd.

— Tym lepiej. Taka lekcja dobrze mu zrobi.

— Stephen, proszę cię, nie rób takich rzeczy. To rzeczywiście irytujący, rozkapryszony szczeniak... Nie cierpię go i nie wiem, jak ktoś taki znalazł się w piechocie morskiej: oni zwykle przecież bardzo starannie dobierają ludzi. Trudno. Nie chcę, by atmosfera na okręcie pogorszyła się jeszcze bardziej. I bez tego jest już wystarczająco zła. Czy oddasz Smithersowi te pieniądze?

— Nie. Mogę ci za to obiecać, że nie będę już z nim grał. Ile jestem ci winien za ten kieł, mój drogi?

— Nic. To prezent ode mnie. Zarobiłem parę groszy...

— Zdobyłeś jakiś pryz?

— Tak. Tylko jeden... Nie ma nadziei na nic więcej. Wszyscy znają teraz „Polychrest", bardzo łatwo jest rozpoznać nasz nietypowy kadłub. Szkoda, że nie byłeś z nami, choć tak właściwie nie ma czego żałować. To była bardzo marna zdobycz. Sprzedałem mój udział Parkerowi za siedemdziesiąt pięć funtów (potrzebowałem wtedy pilnie gotówki), lecz nasz porucznik nie skorzystał na tym zbyt wiele... Zatrzymaliśmy mały holenderski stateczek, załadowany klepkami i wlokący się koło Dogger. Na szczęście nasz slup poruszał się odrobinę szybciej. Takim pryzem nie wypada się chwalić; na „Sophie" nie zwrócilibyśmy w ogóle na coś podobnego uwagi. Musiałem jednak dać ludziom w końcu trochę zarobić. Niewiele to niestety pomogło. Na okręcie sprawy nie układają się najlepiej, a Harte gnębi mnie przy każdej okazji.

— Czy mógłbyś pokazać mi swoją nową paradną szpadę i ufundowaną przez kupców paterę? Sophie opowiedziała mi o wszystkim. Zajrzałem do niej po drodze.

— Sophie? — Jack krzyknął, jakby go ktoś uderzył. - Ach, tak. Oczywiście. Odwiedziłeś ją... — Próba odwrócenia jego myśli ku przyjemniejszym sprawom nie powiodła się. — Przykro mi, szpadę i paterę zastawiłem w Dover. Znów potrzebowałem gotówki.

— W Dover? — Stephen zamyślił się na chwilę. Siedział, obracając w palcach kieł narwala. — Bardzo ryzykujesz, Jack. To szaleństwo. Niepotrzebnie schodzisz tak często na ląd, zwłaszcza w Dover.

— Dlaczego mi o tym mówisz?

— Ponieważ ostatnio wciąż się tam pokazujesz. Skoro wiedzą o tym twoi przyjaciele, zapewne nie jest to również tajemnicą dla twych wrogów. O tym, że regularnie bywasz w tym mieście, mówi się

w Admiralicji, o powtarzających się wizytach w Dover słyszeli też zapewne twoi wierzyciele z Mincing Lane. Nie patrz na mnie z taką obrażoną miną i pozwól, że powiem ci trzy rzeczy. Chyba się nie obrazisz, jestem przecież twoim przyjacielem. Po pierwsze, jeśli dalej będziesz pojawiał się na brzegu, na pewno prędzej czy później zostaniesz aresztowany za długi. Po drugie, we flocie wszyscy zdążyli już zauważyć, że dziwnie zależy ci na przedłużaniu postoju w tym konkretnym porcie. Wiesz na pewno znacznie lepiej niż ja, jak szkodliwe może się to dla ciebie okazać. Nie... Pozwól mi skończyć. Po trzecie... Czy pomyślałeś o tym, jak narażasz Dianę, okazując jej otwarcie swoje uczucia, pomimo że jesteś w tak oczywisty sposób zagrożony?

— Czy pani Villiers prosiła cię o opiekę? Czy upoważniła cię, byś mówił w jej imieniu?

— Nie.

— Jakim więc prawem odzywasz się do mnie w ten sposób?

— Jestem twoim przyjacielem, Jack. Mam więc chyba do tego prawo? Nie powiem, że to mój obowiązek, bo podobne stwierdzenie mogłoby wydać się nieszczere...

— Jesteś przyjacielem, który najzwyczajniej w świecie chciałby, żebym zszedł mu z drogi, czy nie tak? Nie jestem może specjalnie bystry, daleko mi do Machiavellego, lecz nie dam się tak łatwo nabrać na to twoje gadanie. Doskonale potrafię wyczuć, kiedy mam przed sobą potencjalnego przeciwnika. Przez długi czas nie wiedziałem, co właściwie powinienem myśleć o tobie i Dianie. Ciągle kręciłeś, lawirowałeś, zmieniałeś zdanie; muszę przyznać, że niezły z ciebie spryciarz. Nareszcie wszystko zrozumiałem. Wiem teraz, dlaczego czasem jest dla mnie taka oschła i niemiła, dlaczego często „nie było jej w domu". Wiem, co znaczyło to całe gadanie o mądrym i dowcipnym Stephenie Maturinie, który rozumie ludzi i nigdy nie prawi kazań, podczas gdy ja jestem prymitywnym głupcem, nie mającym pojęcia o najprostszych sprawach. Nadszedł czas, byśmy wyjaśnili sobie wszystko dokładnie, zwłaszcza jeśli chodzi o osobę Diany Villiers. Powinniśmy obaj dokładnie wiedzieć, na czym stoimy...

— Nie oczekuję żadnych wyjaśnień. Rzadko bywają przydatne w podobnych sytuacjach, gdy w grę wchodzą kwestie związane z różnicą płci. Moim zdaniem, przy tego typu okazjach nie ma co liczyć na czyjś zdrowy rozsądek, a tym bardziej na szczerość. Tak czy inaczej, nawet gdyby udało nam się w jakiś sposób pominąć emocje, język jest po prostu zbyt mało precyzyjny, by można było jednoznacznie przekazać...

— Każdy przemądrzały bękart może próbować wykręcić się od dyskusji, używając mnóstwa mądro brzmiących słów.

— Powiedziałeś stanowczo za dużo! — oświadczył Stephen, wstając. — Oczekuję przeprosin.

— Nie mam najmniejszego zamiaru cię przepraszać — zawołał Jack z pobladłą twarzą. — Dodam nawet coś jeszcze: człowiek, który wraca z urlopu opalony jak Żyd z Gibraltaru i twierdzi, że miał dobrą pogodę w Irlandii, po prostu łże jak pies. Jestem gotów to powtórzyć raz jeszcze i udzielę ci satysfakcji, jeśli tylko tego zażądasz.

— To dziwne... — cicho powiedział Stephen. — Nasza znajomość o mało co nie rozpoczęła się od pojedynku i prawdopodobnie właśnie pojedynek ją zakończy...

Stephen spotkał się z kapitanem Dundasem w małym pokoiku oberży „ Pod Koroną i Różą".

— Tak się cieszę, że pan przyszedł — zawołał. — Przykro mi, lecz jestem zmuszony prosić, by zechciał pan być moim sekundantem... Próbowałem postąpić zgodnie z pańską sugestią, lecz najwyraźniej popełniłem błąd. Źle to wszystko rozegrałem, powinienem był zorientować się, że Jack jest akurat rozdrażniony i nieszczęśliwy. Nieroztropnie kontynuowałem rozmowę o drażliwych sprawach... W rezultacie zostałem przez niego nazwany kłamcą i tchórzem.

Na twarzy Dundasa pojawiło się przerażenie.

— To straszne — krzyknął. — Boże... — Umilkł na chwilę. — Oczywiście nie ma najmniejszej nadziei na przeprosiny?

— Nie ma. Wycofał się tylko z jednego słowa: „Kapitan Aubrey przesyła doktorowi Maturinowi wyrazy uszanowania i pragnie wyrazić swoje ubolewanie, gdyż wczoraj wieczorem użył pewnego potocznego określenia, związanego z pochodzeniem, co mogło w danych okolicznościach wydać się obraźliwe i skierowane pod adresem konkretnej osoby. Wszelkie skojarzenia tego typu nie były zamierzone i kapitan Aubrey odwołuje wspomniane słowo, żałując równocześnie, iż w danej chwili tak niefortunnie się wyraził. Pozostałe uwagi pozostają w mocy”... Nadal jednak zarzuca mi kłamstwo, co nie tak łatwo przecież przełknąć.

— Oczywiście. To takie przykre... Będziemy musieli zorganizować wszystko w przerwie między kolejnymi rejsami... Czuję się moralnie odpowiedzialny za to, co się wydarzyło. Czy pojedynkował się pan kiedyś, doktorze? Nie wybaczyłbym sobie, gdyby przydarzyło się panu coś złego. Jack jest bardzo doświadczonym i niebezpiecznym przeciwnikiem.

— Poradzę sobie jakoś.

— No cóż. — Dundas spojrzał na Stephena z wyraźnym powątpiewaniem. — Pójdę do niego natychmiast. Tak pechowo to wypadło... Może upłynąć trochę czasu, zanim uda nam się doprowadzić wszystko do końca. Chyba że do pojedynku dojdzie już dziś wieczorem... Na tym właśnie polega cały problem. Żołnierze załatwiają takie rzeczy na poczekaniu, lecz w marynarce podobne historie potrafią ciągnąć się miesiącami...

Jak się okazało, ewentualne przygotowania trzeba było na razie odłożyć — zgodnie z rozkazami dowództwa slup wyszedł w morze na wieczornej wysokiej wodzie, kierując się na południowy wschód z małym zespołem okrętów zaopatrzeniowych. Atmosfera na pokładzie była jeszcze gorsza niż zwykle: wszyscy członkowie załogi wiedzieli już o nieporozumieniu pomiędzy kapitanem i doktorem. Tajemnicą pozostawały szczegóły konfliktu oraz jego planowane rozstrzygnięcie, lecz nagłe zerwanie tak bliskiej przyjaźni nie mogło zostać nie zauważone. Stephen ze szczególnym zaciekawieniem obserwował teraz reakcje poszczególnych osób. Doskonale wiedział o tym, że na niektórych okrętach kapitan odgrywał rolę monarchy, a oficerowie stawali się dworzanami. Często pojawiała się wówczas między nimi bezwzględna rywalizacja — wszyscy walczyli o względy

Cezara. Maturin nigdy nie czuł się cesarskim faworytem, lecz teraz zrozumiał, że część szacunku, jakim sam był obdarzany, w rzeczywistości należała się Jackowi. Wspaniałym przykładem tego był pan Parker — poszanowanie dla władzy zdecydowanie wzięło górę nad nie ukrywaną nienawiścią wobec dowódcy i pierwszy porucznik natychmiast odsunął się od doktora. Podobnie postąpił wiecznie niezdecydowany Jones, swojej otwartej wrogości nie

usiłował też skrywać Smithers. Pullings w mesie oficerskiej zachowywał się całkiem uprzejmie, zbyt wiele zawdzięczał jednak kapitanowi i na pokładzie w towarzystwie Stephena wyraźnie czuł się nieswojo. Na szczęście młody porucznik nie musiał zbyt często wystawiać się na tę próbę, gdyż zgodnie z kodeksem honorowym przeciwnicy mający stanąć do pojedynku, podobnie jak narzeczem przed ślubem, nie powinni widzieć się przed starciem. Marynarze z dawnej załogi „Sophie" zareagowali podobnie jak Pullings — patrzyli na doktora z troską, zawsze uprzejmie, wiadomo jednak było, iż niezależnie od okoliczności zawsze będą przede wszystkim lojalni wobec Jacka. Stephen rozumiał to doskonale i starał się nie stawiać ich w niezręcznej sytuacji.

Większość czasu spędzał ze swoimi pacjentami — zajmował się głównie powikłanym przypadkiem kamicy nerkowej, wymagającym natychmiastowych, zdecydowanych działań. Był to naprawdę fascynujący problem medyczny, połączony z koniecznością wielogodzinnej obserwacji i bardzo szczegółowych badań. Do tego dochodziły godziny spędzone w kabinie na studiowaniu książek, a resztę dnia wypełniała gra w szachy z pierwszym nawigatorem, który zaskoczył Stephena swą szczególną troską i szczerą sympatią. Pan Goodridge pływał jako podchorąży i oficer nawigacyjny u Cooka, był dobrym matematykiem i wspaniałym nawigatorem. Już dawno uzyskałby zawodowy stopień oficerski, gdyby nie owa niefortunna bójka z kapelanem na okręcie „Bellerophon".

— Nie, doktorze — powiedział Goodridge, podnosząc głowę znad szachownicy. — Może pan miotać się do woli, lecz i tak nic pan nie wskóra. Przygwoździłem pańskiego króla. Jeszcze trzy posunięcia i będzie mat.

— Na to wygląda— zgodził się Stephen. —Chyba powinienem się poddać?

— Raczej tak, choć jeśli mam być szczery, cenię sobie ludzi walczących do końca... Czy myślał pan kiedyś o tym, czym tak naprawdę jest feniks?

— Muszę przyznać, że nie. W każdym razie nie tak często, jak powinienem. Z tego, co pamiętam, ów ptak wije gniazda w Arabia Felix, używając do tego cynamonu. Ponieważ ta aromatyczna przyprawa naprawdę sporo kosztuje, podobne postępowanie wydaje się raczej bezsensowne.

— Widzę, że żarty się pana trzymają, doktorze. Moim jednak zdaniem, feniks naprawdę wart jest zainteresowania i chwili pańskiej uwagi. Nie chodzi mi tutaj oczywiście o szczegółową analizę antycznych mitów; wiem, że jako uczony nie wierzy pan w podobne opowieści. Interesuje mnie coś innego. Chciałbym odpowiedzieć na pytanie, czym tak naprawdę był ten niezwykły stwór. Jako nawigator nie zajmowałbym się tą kwestią, gdyby nie fakt, iż moim zdaniem ów mityczny feniks to po prostu kometa Halleya.

— Kometa Halleya? — Stephen zawołał zdumiony.

— Dokładnie, doktorze — odpowiedział pan Goodridge. Wyraźnie ucieszyło go zdziwienie doktora. — I inne komety. Powiedziałem, iż takie właśnie jest moje zdanie, lecz tak naprawdę nie ma tutaj nawet cienia wątpliwości. Wszystko można udowodnić za pomocą bardzo nieskomplikowanych obliczeń. Najbardziej godni zaufania autorzy podają liczby 500, 1416 i 7006 jako liczbę lat pomiędzy kolejnymi feniksami. Tacyt twierdzi, iż jeden z nich pojawił się za panowania Sesostrisa, kolejny za Amasisa, potem za trzeciego Ptolemeusza i w dwudziestym roku rządów Tyberiusza. Wiemy też o wielu innych. Weźmy teraz okresy pojawiania się komet Halleya, Biela, Lexella oraz Enckego i porównajmy je z tym, co nam wiadomo o feniksach: należy tu oczywiście wziąć poprawkę na lata księżycowe i niedokładne obliczenia starożytnych... Tak czy inaczej, wszystko natychmiast staje się jasne. Mogę pokazać panu uzyskane przeze mnie parametry orbit. Na pewno będzie pan zdumiony. Astronomowie w kilku przypadkach niestety żałośnie się mylą, gdyż w swoich równaniach nie uwzględniają właśnie owych feniksów. Nie wiedzą, że dla starożytnych taki ognisty ptak to tylko poetycka wizja komety, szczególny symbol... Przeważnie są zbyt zarozumiali, naburmuszeni i żądni sławy. Najzwyczajniej w świecie nie potrafią lub nie chcą w to wszystko uwierzyć. Kapelan z „Bellerophona" również uważał się za astronoma i za żadną cenę nie dawał się przekonać. Nie pomogła nawet pałka. Gdy mu wreszcie przyłożyłem, leżał jak długi na pokładzie...

— Ja oczywiście prawie całkowicie podzielam pańskie zdanie, panie Goodridge... — gorliwie zapewnił Stephen.

— Zmarnowałem przez to swoją karierę. — Nawigator zamyślił się na chwilę. — Zrobiłbym to jednak bez wahania jeszcze raz. Irytował mnie ten przemądrzały pyszałek... Nie wypada jednak tak mówić o kimkolwiek, a zwłaszcza o duchownym... Od tamtego czasu właściwie nie rozmawiałem z nikim o tej sprawie, lecz teraz mam zamiar ogłosić wreszcie moje odkrycie. Opublikuję książkę, dzieło naukowe o feniksach... Utrę w ten sposób nosa kilku zadufanym w sobie fircykom, których nazwisk nie będę tutaj wymieniał. Z moich badań niezbicie

wynika, że już w roku 1805 możemy spodziewać się komety. Nie jestem w stanie podać dokładnej daty, gdyż źródła nie informują zbyt precyzyjnie o tym, ile trwało panowanie Nabonidusa.

— Z najwyższą niecierpliwością będę oczekiwał na ukazanie się pańskiej rozprawy — z przekonaniem oświadczył Stephen i po chwili namysłu dodał cicho: — Chciałbym, by w podobny sposób można było przewidzieć, czym skończy się to nieznośne czekanie... Tak obawiam się tego, co ma wkrótce nastąpić... — mówił dalej, siadając koło swego pacjenta i licząc nierówne oddechy. — Z drugiej jednak strony, w pewien sposób marzę o tej chwili...

W odległym kącie okrętowego szpitalika znów odezwały się przyciszone głosy. Chorzy przywykli do towarzystwa doktora i do faktu, że często bywał on nieobecny myślami. Więcej niż raz kolegom z mesy udało się wnieść tutaj zakazany grog. Przechodzili czasem tuż obok Stephena, który w ogóle nie zwracał na nich uwagi. Nigdy nie wtrącał się też w rozmowy swoich podopiecznych. W tej akurat chwili dwóch Szkotów dyskutowało z leżącym na brzuchu Irlandczykiem — plecy tego biedaka rozorane były uderzeniami bata. Mówili powoli, po celtycku, wymawiając wszystkie zdania bardzo starannie i powtarzając niektóre wyrazy.

— Najlepiej rozumiem ich dopiero wtedy, gdy jestem zajęty czymś innym — zauważył Maturin. — Nie myślę wówczas o budowie zdań i nie staram się oddzielać od siebie poszczególnych słów. Znów jestem wtedy dzieciakiem, swobodnie posługującym się językiem galickim. Ci trzej tam w kącie uważają, że zakotwiczymy w Downs przed końcem wachty. Liczę na to, że się nie mylą. Może uda mi się jakoś znaleźć Dundasa...

Marynarze mieli rację. Zanim jeszcze rzucono kotwicę, wachtowy wywołał nadpływającą łódź. Odpowiedziano z niej okrzykiem „Franchise", co oznaczało, że na łodzi znajduje się dowódca tej właśnie jednostki. Odezwała się bosmańska piszczałka, tupot stóp na pokładzie nad głową Stephena świadczył o tym, iż okazano należny respekt wchodzącemu na okręt oficerowi. Już po chwili kapitan Heneage Dundas spotkał się z doktorem.

Dyskrecja miała w sprawach honorowych zasadnicze znaczenie—obaj panowie doskonale o tym wiedzieli. Ponieważ każde słowo wypowiedziane na zatłoczonym slupie natychmiast stawało się publiczną tajemnicą, Dundas napisał szybko kilka słów na kawałku papieru: *Czy odpowiada panu godzina osiemnasta trzydzieści w sobotę? Na wydmach. Przypłynę po pana.* Ze śmiertelnie poważną miną podał kartkę Stephenowi. Doktor szybko przeczytał wiadomość, skinął głową i powiedział:

— Wspaniale. Jestem panu zobowiązany. Czy nie zabrałby mnie pan już teraz na ląd? Chciałbym spędzić jutrzejszy dzień w Deal. Może wspomni pan o tym Jackowi?

— Oczywiście. Możemy zaraz ruszać.

— Będę gotowy za dwie minuty... — Kilku dokumentów nie mogły ujrzeć niepowołane oczy, niektóre manuskrypty i listy miały dla Stephena szczególną wartość. Wszystko było już jednak przygotowane, nawet podręczna torba i po dwóch minutach Maturin zszedł za Dundasem do łodzi, która natychmiast ruszyła w stronę Deal. Po drodze Dundas wyjaśnił Stephenowi, mówiąc w zrozumiały tylko dla nich obu sposób, że reprezentujący Jacka pułkownik Rankin będzie wolny dopiero jutro wieczorem. Obaj sekundanci wybrali już jednak wspaniałe miejsce w pobliżu zamku, często używane podczas pojedynków i wygodne pod każdym względem.

— Mam nadzieję, że jest pan przygotowany? — Heneage zapytał w chwili, gdy łódź przybijała do brzegu.

— Tak mi się zdaje — spokojnie odpowiedział Stephen. — Jeśli coś będzie nie tak, natychmiast o tym pana powiadomię.

— Żegnam w takim razie... —Dundas wyciągnął dłoń. — Gdybyśmy się wcześniej nie zobaczyli, przyjdę po pana, tak jak się umówiliśmy.

Stephen zajął pokój w gospodzie „Pod Koroną i Różą", poprosił o konia i ruszył wolno w stronę Dover. Po drodze rozmyślał o wydmach — od pewnego czasu zastanawiała go ich szczególna natura i owa niesamowita pustka, otaczająca przemierzających je wędrowców, niemożliwa do opisania słowami. Język po raz kolejny okazał się zbyt ubogi. Stephen chciał to podczas ostatniej rozmowy wyjaśnić Jackowi, niestety zabrakło wtedy (czasu... „Z drugiej jednak strony, pomimo tylu niedoskonałości, można przecież w tak usystematyzowany sposób mówić o materialnych i namacalnych sprawach" — pomyślał doktor, patrząc na zgromadzone na redzie statki, na niewiarygodnie skomplikowany gąszcz precyzyjnie i jednoznacznie nazwanych lin, żagli i bloków, dzięki którym spora grupa ludzi już wkrótce popłynie bardzo daleko. Jedni ruszą w stronę Bosforu, inni do Indii Zachodnich, Sumatry, pozostali na wielorybnicze łowiska mórz południowych. Powoli przesunął wzrok w stronę podobnego do kapelusza kadłuba „Polychrest"; przez chwilę patrzył, jak kapitański gig odbija od burty, stawia żagiel i kieruje się w stronę Dover. „Znając ich oboje tak dobrze, byłbym zdziwiony, gdyby w grę wchodziło tu jakiekolwiek uczucie" — zauważył w duchu Maturin. „To bardzo perwersyjny związek. Może właśnie stąd bierze się w nim aż tyle gwałtowności?"

Po przybyciu do Dover udał się wprost do szpitala i zbadał swoich pacjentów. Szaleniec czuł się wyraźnie gorzej; leżał nieruchomo, zwinięty w kłębek, niezdolny nawet do płaczu. Za to kikut Macdonalda wyglądał zaskakująco dobrze. Nie było powikłań i Stephen z satysfakcją zauważył, że włosy na zszytych płatach skóry rosną w tym samym kierunku co dawniej.

— Już wkrótce wszystko ładnie się zagoi — oświadczył radośnie doktor. — Gratuluję tak silnego organizmu. Za kilka tygodni będzie pan mógł skakać z okrętu na okręt jak admirał Nelson... Ma pan zresztą więcej szczęścia niż on; stracił pan lewą rękę, więc w prawej wciąż może pan trzymać szpadę...

— Uspokoił mnie pan, doktorze — ucieszył się Macdonald. — Śmiertelnie bałem się gangreny. Bardzo dużo panu zawdzięczam i naprawdę nigdy tego panu nie zapomnę, proszę mi wierzyć.

Stephen zaprotestował, twierdząc, że każdy rzeźnik, a nawet pomocnik rzeźnika, poradziłby sobie z tym prostym zabiegiem; to przecież prawdziwa przyjemność ciąć tak zdrowe ciało... Konwersację skierowano na temat prawdopodobieństwa francuskiej inwazji, wojny z Hiszpanią i pogłosek o oskarżeniach wysuwanych przez St Vincenta pod adresem lorda Melville'a. Były dowódca floty zarzucał podobno swemu następcy sprzeniewierzenie sekretnych funduszy. Po dłuższej chwili obaj panowie znów zainteresowali się osobą lorda Nelsona.

— Wydaje mi się, że naprawdę podziwia pan tego człowieka — zauważył Macdonald.

— Och, wcale go nie znam — wyjaśnił Stephen. — Nigdy go nie widziałem. Z tego jednak, co mi wiadomo, jest aktywnym, gorliwym i błyskotliwym oficerem. Podobno wszyscy go uwielbiają? Na przykład kapitan Aubrey...

— Możliwe — zgodził się Macdonald. — Ja akurat aż tak nie podziwiam Nelsona. Znacznie więcej znaczy dla mnie na przykład Caracciolo.

— Zaskakuje mnie pan. Byłem dotąd przekonany, że dla wszystkich ludzi morza Nelson jest prawdziwym ideałem, wzorem do naśladowania...

— Ostatnio sporo się nad tym zastanawiałem, nie miałem przecież nic lepszego do roboty w szpitalu. Rozmyślałem też o wielu innych bardzo poważnych kwestiach moralnych — filozoficznym tonem oświadczył Macdonald, a serce Stephena zamarło z przerażenia. Doktor wiedział o wrodzonym zamiłowaniu Szkotów do teologicznych dyskusji i obawiał się, że nastąpi teraz długi wykład o moralnych zasadach kalwinizmu, uzupełniony może o kilka stwierdzeń typowych dla żołnierzy Royal Marines — królewskiej piechoty morskiej. Niewiele można było jednak w tej chwili na to poradzić i Macdonald mówił dalej: — Ludzie, zwłaszcza ci spoza Szkocji, nigdy nie są zadowoleni z tego, co sami robią. Uparcie szukają wzorców narzucających taki, a nie inny sposób postępowania. Niejeden młody chłopak gotów jest zachować się jak łajdak, tylko dlatego, że Tom Jones dostał za coś takiego pieniądze. Ponieważ Tom Jones był bohaterem, wszystko, co robił, wydaje się całkiem usprawiedliwione, wręcz pożądane. Kto wie, czy nie byłoby lepiej dla marynarki, gdyby Nelson został już jako niemowlę utopiony w wiadrze z wodą? Skoro przykład postaci z teatralnej sztuki lub opowieści usprawiedliwia wszelkie łajdactwa, strach wręcz pomyśleć, do czego może skłonić ludzi żywy bohater. Jest przecież czego się od niego uczyć: zabawy z prostytutkami, przeciąganie postojów w portach, wieszanie oficerów, którzy poddali się z honorem. Tak... To naprawdę wspaniały wzorzec do naśladowania... — Stephen spojrzał uważnie na swego rozmówcę, szukając oznak gorączki. Na pewno były, lecz nie wydawały się na tyle wyraźne, by chory nie wiedział, co mówi. Macdonald popatrzył w okno i prawdopodobnie zobaczył tam coś więcej niż okalający szpital mur, gdyż nagle zmienił temat: —Nienawidzę kobiet — oświadczył z przekonaniem. — Niszczą wszystko. Wysysają z mężczyzn to, co najlepsze, robią z nich głupców... Są podłe i bezlitosne — dodał po chwili.

Stephen pokiwał głową.

— Chciałbym pana o coś prosić — zagadnął ostrożnie.

— Z prawdziwą rozkoszą spełnię każde pańskie życzenie.

— Czy mógłby pan wypożyczyć mi swoje pistolety?

— Oczywiście, jeśli tylko nie zamierza pan zastrzelić oficera piechoty morskiej. Są w moim kuferku, pod oknem...

— Znalazłem... Bardzo panu dziękuję. Zwrócę je lub sprawię, by je zwrócono, gdy tylko spełnią swoje zadanie.

Zapadał już mrok, gdy Stephen wyruszył z powrotem. O tej porze roku, wczesną jesienią, trudno było wyobrazić sobie przyjemniejszy wieczór: wilgotne, nieruchome powietrze, błękitne morze z prawej strony, białe wydmy po lewej i ciepło bijące od rozgrzanej ziemi. Koń doktora okazał się spokojnym i wyjątkowo łagodnym zwierzęciem. Doskonale znał drogę, lecz najwyraźniej nie spieszył się do stajni. Wprost przeciwnie — co jakiś czas zatrzymywał się, by poskubać liście z mijanych po drodze krzewów, których Stephen nie potrafił nazwać. Ta monotonna jazda wprawiała kołyszącego się w siodle człowieka w jakiś szczególny stan; dusza prawie oddzieliła się od ciała, tak jakby nad białą powierzchnią drogi poruszały się tylko zawieszone w próżni oczy.

— Bywają takie chwile... Dobry wieczór, sir... — Obok przeszedł miejscowy proboszcz, prowadzący na spacer kota i spowity gęstą chmurą fajkowego dymu. — Bywają chwile, w których wydaje nam się, że przez całą resztę życia byliśmy ślepi — rozmyślał na głos Maturin. — Wszystko staje się nagle takie namacalne, zaczynamy postrzegać świat tak wyraźnie... Nagle zaczynamy żyć bardzo intensywnie i żyjemy tylko bieżącą chwilą. Przestaje być ważne to, co powinniśmy zrobić, do rangi najwyższej wartości urasta samo istnienie. Chociaż... — Doktor zjechał z drogi i skierował konia na wydmy. — Zawsze jest coś, o czym należy pamiętać i co należy wykonać... — Zeskoczył z siodła i zaczął mówić do swego wierzchowca: — Nie wiem, mój drogi, czy mogę być pewny, że dotrzymasz mi towarzystwa. Tak, tak, na pewno uczciwy z ciebie konik. Wierzę... Nie wiem jednak, jak znosisz huk i czy przypadkiem nie znudzi ci się czekanie. Chyba muszę cię spętać tym kawałkiem sznurka. Tak... Prawie nic nie wiem o wydmach — dodał Stephen, odchodząc na bok i kładąc na stromym piaszczystym zboczu poskładaną chusteczkę. — To szczególne miejsce, z zupełnie odrębną florą i fauną...

— Rozłożył na ziemi swój płaszcz, by ochronić pistolety przed piaskiem i nabił je starannie. — Jeśli musimy coś zrobić, zwykle wykonujemy to automatycznie, bez zastanowienia. Przeważnie jest to tylko szczególny akt desperacji... — oświadczył i podniósł broń do strzału. W tym momencie jego twarz znieruchomiała, przybierając dziwnie groźny wyraz, a ruchy stały się płynne i dokładne. Przypominał teraz precyzyjnie wyregulowany mechanizm. Piasek wystrzelił w górę znad krawędzi chusteczki, nad ziemią zawisł nieruchomo obłok dymu. Koń stał spokojnie i obojętnie przyglądał się strzelającemu człowiekowi.

— To rzeczywiście wspaniała broń — Stephen oświadczył głośno.

— Ciekawe, czy uda mi się powtórzyć starą sztuczkę Dillona? — Wyjął z kieszeni miedziaka i rzucił go wysoko w górę. Wystrzelił, prawie nie celując. Kula uderzyła w monetę w najwyższym punkcie lotu, pomiędzy wznoszeniem się i opadaniem. — Wspaniale... Te pistolety strzelają naprawdę doskonale. Muszę je czym prędzej schować do futerału, żeby nie zawilgotniały... — Słońce zaszło już i zrobiło się ciemno. Przy każdym strzale zasnutą dymem kotlinkę rozjaśniał pomarańczowy płomień, a chusteczka już dawno została porwana na strzępy. — Boże, dzisiaj chyba zdrowo sobie pośpię. Jaka wspaniała rosa...

W ocienionym od zachodu Dover zmrok zapadł nieco wcześniej niż na wydmach. Jack Aubrey załatwił już wszystkie nieistotne w sumie sprawy i oczywiście odwiedził New Place. Na próżno. Pan Lowndes zachorował, a pani Villiers nie było w domu... Dowódca „Polychrest" siedział więc teraz w małej piwiarni koło zamku — w brudnej, cuchnącej spelunce, z pokojami do wynajęcia na górze, wykorzystywanymi przez szukających uciech żołnierzy. Miała ona jednak dwa wyjścia, co pozwalało

uniknąć ewentualnych niespodzianek; na wszelki wypadek w sąsiedniej izbie czekali też Bonden i Lakey. Aubrey nigdy w życiu nie czuł się aż tak podle. Nie pomogły nawet dwa duże kufle piwa, pozostawała tylko ucieczka w pełen żalu gniew i rozgoryczenie. Podobne uczucia były dotąd raczej obce Jackowi, jednak dziwnie szybko udało mu się ich nauczyć.

Do środka wszedł właśnie chorąży marynarki, prowadzący drobniutką dziewczynę. Na moment zawahał się na widok pijącego samotnie oficera, potem przytulona para zajęła miejsce w najdalszym kącie sali — rozpoczęły się tam wkrótce gorączkowe pieszczoty. Właścicielka lokalu przyniosła świece i zapytała, czy Jack życzy sobie coś jeszcze. Aubrey spojrzał w mrok za oknem, potem przecząco pokręcił głową. Powiedział, że chce zapłacić za siebie oraz dwóch swoich ludzi, pijących piwo w sąsiednim pomieszczeniu.

— Jeden szyling i dziewięć pensów — oznajmiła karczmarka. Gdy Jack szukał w kieszeni drobnych, przyglądała mu się z pełnym nie skrywanej podejrzliwości zaciekawieniem. Jej oczy zwęziły się, a górna warga odsłoniła trzy żółte zęby. Kobiecie nie podobał się płaszcz zakrywający paradny mundur, dwaj posępni i trzeźwi podwładni w izbie obok, a także to, że ów dziwny dżentelmen zamówił dla siebie piwo zamiast wina. Nie zareagował na zaloty Betty, nie chciał też odpocząć w pokoju na górze. Właścicielka piwiarni nie życzyła sobie tutaj takich skwaszonych ponuraków; wolała, by ów milczący jegomość czym prędzej się wyniósł i zwolnił miejsce dla innych gości.

Aubrey zajrzał do sąsiedniej sali, odesłał Bondena do łodzi i wyszedł tylnymi drzwiami, prosto w hałaśliwą gromadę dziwek oraz żołnierzy. Dwie prostytutki biły się w mrocznej przecznicy, rwąc sobie nawzajem włosy i ubranie. Reszta towarzystwa była jednak bardzo radosna: młode kobiety krzyczały za przeciskającym się przez tłum Jackiem, oferując mu swe wdzięki. Kolejno podchodziły bliżej, szeptem informując o swych umiejętnościach, cenie i aktualnym zaświadczeniu lekarskim, stwierdzającym dobry stan zdrowia. Jack zdecydowanym gestem odsunął dziewczęta na bok i ruszył w stronę New Place. Szczególny wyraz twarzy, z jakim służąca poinformowała go o nieobecności Diany, pozwalał przypuszczać, iż w pokoju pani Villiers będzie paliło się światło. Rzeczywiście, spomiędzy zasuniętych niedokładnie zasłon bił drżący blask. Jack upewnił się co do tego dwukrotnie, spacerując tam i z powrotem po ulicy, potem szerokim łukiem obszedł dom, kierując się w stronę alejki biegnącej z tyłu budynku. Zarośla nie były zbyt kłopotliwą przeszkodą, bez trudu poradził sobie również z otaczającym ogród murem; przykrył płaszczem kawałki potłuczonego szkła na szczycie ogrodzenia i jednym susem znalazł się po drugiej stronie. Stanął nieruchomo pośrodku grządki. Otaczała go absolutna cisza. Wszechobecny szum morza ucichł (utaj nagle, słychać było tylko spadającą na ziemię wielkimi kroplami rosę. Powoli pojawiały się też inne odgłosy: rozmowy, zamykanie drzwi, przesuwanie zasłon. Tuż obok, na ścieżce, rozległ się nagle ciężki tupot i sapanie psa. Był to Fred, olbrzymi mastyf, wypuszczany na noc do ogrodu i śpiący w altance. Na szczęście potężny pies dobrze znał Jacka — bezgłośnie dotknął wilgotnym nosem jego dłoni. Ta niespodziewana nocna wizyta była jednak czymś nienormalnym i wielkie psisko nawet na krok nie odstępowało idącego powoli ścieżką w stronę domu człowieka. Aubrey położył więc na ziemi swój zwinięty płaszcz i szpadę; pies natychmiast ułożył się obok, pozostając na straży.

Od kilku miesięcy w New Place prowadzono roboty budowlane — wymieniający dachówki robotnicy pozostawili po sobie zaimprowizowany dźwig z bloczkiem i zakończoną wiadrem liną. Jack szybko związał ze sobą jej końce i wprawnie ruszył w górę. Wspinał się coraz wyżej: minął

okno biblioteki, w której pan Lowndes pisał coś przy biurku, zajrzał w okno wychodzące na schody i dotarł do gzymsu, znajdującego się o kilka kroków od pokoju Diany. Już w połowie drogi, zanim jeszcze stanął na obmurowaniu, rozpoznał głośny, beztroski śmiech Canninga, ów szczególny głos, którego nie można było pomylić Z niczym innym. Pomimo to uparcie podciągał się coraz wyżej, aż wreszcie dotarł na miejsce. Usiadł na szerokim parapecie, w miejscu, Z którego pod ostrym kątem mógł obserwować całe pomieszczenie. Wszystko było bardzo oczywiste: jasno oświetlone twarze, mężczyzna i kobieta zajęci sobą, nieświadomi obecności trzeciej osoby. Świat zawirował mu przed oczami, nagle obudził się ślepy gniew, lecz już po trzech głębszych oddechach zwyciężył wszechogarniający smutek, wstyd i zmęczenie. Nie było już złości; ogień wygasł nieoczekiwanie, a razem z nim znikło wszystko, co mogłoby wypełnić niespodziewaną pustkę. Jack odsunął się dalej — nie chciał widzieć i słyszeć nic więcej. Po chwili sięgnął bezwiednie dłonią w stronę belki dźwigu, chwycił po marynarsku linę i osunął się w ciemność, uciekając przed tym śmiechem: beztroskim, wibrującym i tak pełnym życia...

Cały piątkowy poranek Stephen spędził z piórem w dłoni, szyfrując i rozszyfrowując sekretne notatki. Rzadko zdarzało mu się pracować tak efektywnie i szybko. Miał całkiem przyjemne uczucie, iż udało mu się w jasny i oczywisty sposób przedstawić bardzo skomplikowaną sytuację. Powodowany moralnymi skrupułami zrezygnował ze swej zwykłej porcji laudanum i większą część minionej nocy spędził na gorączkowych rozmyślaniach. Gdy wreszcie powiązał ze sobą wszystkie rozproszone wątki, zapieczętował najważniejsze papiery w podwójnej kopercie, zaadresował to wszystko do kapitana Dundasa i zaczął pisać dalej, tym razem w swoim osobistym dzienniku:

Kto wie, czy nie nadszedł już wreszcie czas ostatecznej próby. To chyba w tej chwili jedyna słuszna droga, tylko w ten sposób umiem dzisiaj żyć. Nareszcie czuję się wolny i zadowolony, jest mi tak lekko na duszy. Nieistotne drobiazgi przestały mieć dla mnie jakiekolwiek znaczenie, nie potrafię poświęcić jakiejkolwiek kwestii całej swej uwagi. Nagle przestałem umieć się poświęcać, jestem dziwnie swobodny i wyzwolony. Poznałem życie w jego najczystszej postaci — wspaniałe i kuszące — tyle tylko, że podobną formę istnienia trudno tak naprawdę nazwać życiem. Ja przynajmniej rozumiem to słowo zupełnie inaczej. Jakże zmieniła się też teraz dla mnie istota i sens czasu: godziny i minuty wydłużają się w nieskończoność, bez zbędnego pośpiechu można przyjrzeć się teraźniejszości. Wybiorę się chyba na spacer za zamek Walmer, na wydmy. W tym piaszczystym i dzikim świecie wszystko nabiera nowego, szczególnego wymiaru.

Jack również spędził sporo czasu przy biurku, zajęty pisaniem, lecz tuż przed południem został nagle wezwany na okręt flagowy.

„Dałem ci trochę popalić, mój złociutki" — admirał Harte pomyślał z zadowoleniem, spoglądając na zmęczoną twarz swego podwładnego.

— Kapitanie Aubrey, mam dla pana nowe rozkazy — rzekł ze złośliwym uśmiechem. —Ma pan zajrzeć do portu w Chaulieu. „Thetis" i „Andromeda" zapędziły tam nieprzyjacielską korwetę. Podobno ma to być „Fanciulla". Mówi się też, że w owym porcie znajduje się spora liczba kanonierek i barek desantowych, przygotowujących się do rejsu wzdłuż wybrzeża. Ma pan podjąć wszelkie możliwe kroki, mając oczywiście na uwadze bezpieczeństwo swego okrętu, w celu unieruchomienia wspomnianego żaglowca i zniszczenia pozostałych jednostek. Pośpiech ma tutaj decydujące znaczenie. Zrozumiał mnie pan?

— Tak, sir. Muszę jednak zauważyć, że konieczne jest jak najszybsze dokowanie „Polychrest", a do pełnej obsady wciąż brakuje mi dwudziestu trzech ludzi. Woda w zęzach przybiera w ciągu godziny o osiemnaście cali, nawet podczas martwej ciszy, a niewyobrażalny wręcz dryf sprawia, iż żegluga blisko brzegu staje się wyjątkowo niebezpieczna.

— Niech pan nie przesadza. Moi cieśle twierdzą, że z powodzeniem może pan pływać jeszcze przez następny miesiąc. Co się zaś tyczy dryfu, wszystkie żaglowce dryfują, francuskie również, lecz Francuzi jakoś nie boją się zawijać do Chaulieu. — Na wypadek gdyby Jack nie chwycił aluzji, Harte powtórzył ostatnie zdanie, kładąc szczególny nacisk na „boją się".

— Och, oczywiście, sir — stwierdził Jack zupełnie obojętnie. — Tak jak powiedziałem, to tylko taka uwaga z mojej strony.

— Czy chce pan może otrzymać rozkazy na piśmie?

— Nie, dziękuję, sir. Wydaje mi się, że zdołałem wszystko dokładnie zapamiętać.

Wracając na okręt, Jack zastanawiał się, czy admirał rozumiał, na czym tak właściwie ma polegać przydzielone „Polychrest" zadanie: podobne rozkazy oznaczały przecież prawie wyrok śmierci, a Harte na pewno nie był prawdziwym marynarzem. W jego dyspozycji znajdowały się przecież inne jednostki, znacznie bardziej odpowiednie do przeprowadzenia tego typu akcji i pokonania skomplikowanego przejścia przez Ras du Pont na wewnętrzną redę. Okręty „Aetna" i „Tartarus" na pewno znakomicie by sobie z tym poradziły. Dowódca eskadry wykazał więc tutaj tyle samo ignorancji co złośliwości. Z drugiej też strony mógł po prostu liczyć na to, że niepokorny kapitan Aubrey odmówi wykonania podobnego rozkazu, będzie domagał się przeprowadzenia na swym slupie oficjalnej inspekcji i w ten sposób wpakuje się w niezłą kabałę.

Jeśli tak akurat było, uderzenie zostało zadane wręcz po mistrzowsku, zwłaszcza gdy wzięło się pod uwagę obecny stan kadłuba „Polychrest". „Cóż to jednak w sumie znaczy" — pomyślał Jack, wspinając się z łodzi na pokład. Z pozorną beztroską wydał niezbędne rozkazy. Już po kilku minutach na szczycie fokmasztu pojawiła się niebieska flaga, a dla zwrócenia na nią uwagi, wypaliło działo. Stephen usłyszał ów wystrzał, zauważył flagę i czym prędzej wyruszył z powrotem do Deal.

Na lądzie przebywało również kilku innych członków załogi: pan Goodridge, odwiedzający narzeczoną Pullings, młody Babbington spędzający kilka dni z rodzicami i grupka wypuszczonych na przepustkę marynarzy. Stephen spotkał ich wszystkich na kamiennym nabrzeżu—byli właśnie w trakcie pertraktacji z przewoźnikiem. Już po dziesięciu minutach znalazł się w swej kabinie, pachnącej jękami, wilgotnymi książkami i wodą z zęz. Zanim zdążył zamknąć za sobą drzwi, pojawiły się setki drobnych, nieuchwytnych prawie zależności, sprawiających, iż znów stał się w pełni odpowiedzialnym okrętowym lekarzem, gotowym do skomplikowanego codziennego życia w towarzystwie stu innych ludzi.

Slup elegancko podniósł kotwicę i korzystając z wysokiej wody, natychmiast wyszedł w morze. Łagodna bryza tuż zza trawersu pozwoliła bez problemów opłynąć South Foreland i gdy gwizdki wezwały ludzi na kolację, za burtą widać już było Dover. Maturin wyszedł ze szpitalika na pokład przez zejściówkę i wybrał się na spacer w okolice jarzma bukszprytu. Gdy znalazł się na forkasztelu,

prowadzone tam ciche rozmowy umilkły nagle, na twarzach ludzi pojawił się niepokój i skrywana niechęć. Nawet Plaice i Lakey, starzy znajomi, spoglądali na intruza z wyraźną rezerwą. Stephen zdążył się w ciągu ostatnich kilku dni przyzwyczaić do tego, że przede wszystkim Bonden traktuje go teraz zupełnie inaczej niż kiedyś. Wydawało się to zupełnie zrozumiałe — Bonden był przecież kapitańskim sternikiem. Plaice mógł więc z jakichś powodów zachowywać się podobnie, zwłaszcza jeśli odgrywało tu rolę rodzinne pokrewieństwo, bardzo jednak dziwna była aż tak posępna mina Lakeya: hałaśliwego i dobrodusznego człowieka o wyjątkowo pogodnym usposobieniu. Zastanawiając się nad tym, doktor wrócił pod pokład, by znów zająć się panem Thompsonem, gdy na pokładzie padły komendy: „Wszyscy na pokład" i „Do zwrotu przez sztag" — slup był więc już na szerokich wodach. Wszyscy na okręcie wiedzieli, że tym razem popłyną wzdłuż kanału, kierując się do któregoś z francuskich portów: jedni mówili o Wimereux, drudzy o Boulogne, inni wspominali nawet o Dieppe. Dopiero podczas kolacji w mesie oficerskiej okazało się, iż „Polychrest" zmierza do Chaulieu.

Stephen nie słyszał nigdy dotąd takiej nazwy. Smithers (biedak zdołał już jakoś odzyskać pewność siebie i dobry humor) znał to miejsce bardzo dobrze.

— Mój serdeczny przyjaciel, markiz Dorset, często bywał tam swym jachtem... Oczywiście w czasie pokoju... Zawsze prosił mnie, bym zechciał mu towarzyszyć: „To tylko jednodniowy rejs moim kutrem" — mawiał. „Musisz z nami koniecznie jechać, George. Będzie nam brakowało ciebie i twojej gry na flecie".

Pan Goodridge siedział pogrążony w myślach, wyraźnie znużony i nie wtrącał się do rozmowy. Dyskutowano o jachtach, ich luksusowym wyposażeniu oraz wspaniałych osiągach i możliwościach. Po chwili tematem znów stały się sukcesy pana Smithersa: jego bogaci i bardzo mu oddani przyjaciele z prywatnymi jachtami, męczące życie towarzyskie w Londynie oraz problemy z nachalnie narzucającymi się młodziutkimi pannami. Stephen po raz kolejny zauważył, że podobne gadanie bardzo podobało się Parkerowi. Pierwszy porucznik pochodził z dobrej rodziny i na swój sposób był rozsądny oraz wymagający, lecz wyraźnie zachęcał Smithersa do dalszych opowieści, słuchając go z najwyższym zainteresowaniem. Tak jakby te historie rzeczywiście zasługiwały na uwagę. Maturin był tym spostrzeżeniem bardzo zdumiony, nie dał jednak tego po sobie poznać i pochylając się nad stołem, zagadnął cicho pierwszego nawigatora:

— Panie Goodridge, byłbym panu niezmiernie zobowiązany, gdyby zechciał pan powiedzieć mi kilka słów o porcie, do którego zmierzamy.

— Zapraszam do mojej kabiny, doktorze — odpowiedział nawigator, wstając. — Rozłożyłem na stole mapy, z ich pomocą będzie mi łatwiej pokazać panu wszystkie te płycizny...

— To są piaszczyste mielizny, tak przynajmniej mi się zdaje — zauważył Stephen.

— Dokładnie. A te malutkie cyferki to głębokość przy wysokiej i niskiej wodzie. Czerwonym kolorem oznaczono miejsca wynurzające się ponad powierzchnię.

— Prawdziwy labirynt. Nie wiedziałem, że w jednym miejscu może się znaleźć tyle piasku.

— Wszystko to wynik szczególnego układu prądów morskich i pływów. Widzi pan, jak silny jest tutaj prąd: okrąża Point Noir i Prelleys. Do tego jeszcze te starorzecza. W dawnych czasach owe rzeki musiały być znacznie szersze i głębsze skoro naniosły aż tyle mułu.

— Czy ma pan jakąś mniej szczegółową mapę? Taką, na której widać całą okolicę?

— Leży dokładnie za panem. Pod książką biskupa Usshera...

Tego typu mapa bardziej Stephenowi odpowiadała — trochę przypominała zwykłe mapy, do jakich był przyzwyczajony. Przedstawiała ona francuskie wybrzeże kanału La Manche — poniżej Etaples biegło ono prawie idealnie z północy na południe, aż do ujścia rzeki Risle. Linia brzegowa zaginała się tam na zachód, na odcinku trzech lub czterech mil, tworząc płytką zatokę, a raczej zaokrąglony występ, zakończony przypominającą gruszkę wyspą St Jacques. Była ona oddalona o jakieś pięćset jardów od brzegu, który od tego miejsca znów zmierzał na południe, w stronę portu w Abbeville, znajdującego się gdzieś poza krawędzią mapy. Na samym wierzchołku owego zaokrąglonego uskoku, w miejscu, gdzie wybrzeże zaczynało zaginać się w kierunku zachodnim, zaznaczono na lądzie jakąś widoczną z morza wieżę. Dalej, na odcinku około mili na zachód, nie było nic (nie naniesiono tam nawet najmniejszej wioski), aż do wysuniętego na dwieście jardów w morze przylądka, zakończonego gwiazdką opisaną jako Fort de la Convention. Miejsce to przypominało trochę swoim kształtem pobliską wyspę — w tym jednak przypadku gruszce nie udało się oderwać od lądu. Oba charakterystyczne punkty, St Jacques i Convention, oddalone były od siebie o nieco mniej niż dwie mile, a pomiędzy nimi, w ujściu leniwej rzeczki o nazwie Divonne, leżało Chaulieu. W średniowieczu była to dosyć ważna morska przystań, teraz jednak koryto rzeki wypełniło się mułem, a rozległe mielizny w zatoce skutecznie zniechęcały żeglarzy. Z drugiej jednak strony, ów port miał także swoje zalety; podczas sztormów wyspa osłaniała go od zachodu, mielizny od północy, a bardzo silne prądy oczyszczały z mułu wewnętrzną i zewnętrzną redę. W ostatnich latach francuski rząd rozpoczął więc pogłębianie kanałów i portowego basenu. Podjęto także ambitny projekt budowy falochronu, mającego stanowić osłonę podczas wiatrów z północnego wschodu. Prace kontynuowane były przez cały czas obowiązywania pokoju w Amiens — port w Chaulieu miał szczególne znaczenie strategiczne i mógł okazać się wyjątkowo przydatny dla flotylli inwazyjnej. Jej jednostki pełzały przecież wciąż wzdłuż wybrzeża, z każdego portu czy nawet rybackiej wioski, z każdej stoczni zdolnej wybudować choćby lugier. Niektóre płynęły aż spod Biarritz, zmierzając do punktów zbornych w Etaples, Boulogne, Wimereux i innych nadmorskich miastach. Zgromadzono już ponad dwa tysiące wszelkiego rodzaju barek inwazyjnych, kanonierek i jednostek transportowych — kilkanaście z nich zostało zbudowanych w Chaulieu.

— Tutaj są stoczniowe pochylnie — powiedział pan Goodridge, wskazując palcem ujście rzeki. — Sam port jest w tej chwili prawie bezużyteczny, gdyż dokładnie w połowie pirsu prowadzone są teraz bardzo intensywne prace: pogłębianie, budowa falochronu i umacnianie nabrzeży. Nie przeszkadza to jednak inwazyjnym barkom. Mogą spokojnie stać na wewnętrznej redzie pod osłoną Convention lub na zewnątrz, zasłonięte przez wyspę St Jacques. Jedyne, czego się muszą obawiać, to silny wiatr z północnego wschodu. Mam chyba gdzieś tutaj obrazek, tak mi się przynajmniej zdaje... Jest. Proszę... — Nawigator podał doktorowi książkę z podłużnymi rysunkami przedstawiającymi widziane z morza odcinki wybrzeża. Było ich sześć na każdej stronie. Nic szczególnego: ponury, niski brzeg, bez charakterystycznych punktów, jeśli nie liczyć dziwacznych kredowych zboczy z dwu

stron niepozornej wioski. Oba urwiska miały prawie identyczną wysokość. Stephen przyjrzał się im dokładnie i zauważył, że zostały zwieńczone fortyfikacjami; bez trudu rozpoznać można było tutaj rękę pomysłowego, wszechobecnego marszałka Vaubana.

— Vauban jest jak anyżek w cieście — oświadczył doktor. — Odrobina poprawia smak, lecz nadmiar przyprawia o mdłości. Jego dzieła spotkać można we Francji co krok, od Alzacji po Roussillon. — Odwrócił się z powrotem do mapy. Zrozumiał teraz, że wewnętrzna reda (rozpoczynająca się przy porcie i rozciągająca się na północny wschód, obok fortu Convention na wysokim przylądku) osłonięta była przez dwie mielizny. Znajdowały się one w odległości mniej więcej pół mili od brzegu i na mapie opisano je jako West Anvil oraz East Anvil. Reda zewnętrzna leżała równolegle do wewnętrznej, po drugiej stronie mielizn: od wschodu zasłaniała ją wyspa, a od północy kolejna mielizna — Old Paul Hill's Bank. Oba kotwicowiska biegły na ukos w poprzek arkusza, od lewego dolnego do prawego górnego rogu, rozdzielone płyciznami West i East Anvil. Reda wewnętrzna miała zaledwie pół mili szerokości oraz dwie mile długości, zewnętrzna była prawie dwukrotnie większa i obejmowała całkiem sporą połać wody. — Dziwne, że te mielizny mają angielskie nazwy — zauważył zdumiony. — Czy to normalne?

— Och, tak. Wydaje nam się przecież, że jesteśmy panami wszystkiego, co znajduje się na morzu i na jego brzegu. Dlatego Setubal to dla nas St Ubes, a La Coruna to The Groyne i tak dalej... Tę piaszczystą łachę, o tutaj, nazywamy Galloper, gdyż przypomina jedną z naszych, o podobnym kształcie. Wie pan, skąd wzięła się tutaj nazwa Anvil, czyli kowadło? Przy wietrze z północnego zachodu, na początku przypływu, gdy jest płytko, fale uderzają o te łachy z łoskotem, najpierw o jedną, potem o drugą, jak kowal w kuźni. Płynąłem tutaj kiedyś na kutrze, przez Goulet na wewnętrzną redę — Goodridge wskazał palcem na wąski przesmyk pomiędzy wyspą i stałym lądem — w roku tysiąc siedemset osiemdziesiątym ósmym lub osiemdziesiątym dziewiątym. Wiał silny północno-zachodni wiatr i od strony mielizn niósł tak dużo rozpylonej w powietrzu wody, że prawie nie można było oddychać.

— Te wszystkie płycizny i cyple ułożone są w dziwnie uporządkowany sposób. Zapewne rządzi tym wszystkim jakaś logiczna przyczyna. A te kanały... Mamy tu prawdziwy labirynt! Jak chce pan dostać się do portu? Chyba nie przez Goulet, gdyż zbyt blisko jest stamtąd do fortu na wyspie. Nie powinienem nazywać jej cyplem: to przecie wyspa, choć na rysunku, widziana od strony morza, wygląda tak samo jak ów sąsiedni przylądek.

— Wszystko oczywiście zależy od wiatru. Jeśli powieje z północy, zdołamy może jakoś przejść pomiędzy łachami Galloper i Morgan's Knock na zewnętrzną redę. Później powinniśmy popłynąć pomiędzy kowadła lub okrążyć West Anvil, kierując się w stronę wejścia do portu. Z powrotem musimy skorzystać z odpływu i z Bożą pomocą przejdziemy może przez Ras du Point, o tutaj, za East Anvil. A potem dalej na otwarte morze, zanim czterdziestodwufuntowe działa Convention pozbawią nas masztów. To potężne armaty i naprawdę jest się czego obawiać. Musimy wystartować podczas pierwszej połowy przypływu, widzi pan? Tak, by można było wejść do środka i wykonać zadanie na wysokiej wodzie. Płynąc z powrotem, musimy wykorzystać odpływ, dzięki temu przybierająca woda nie będzie wpychała nas do środka. Możemy być już wtedy nieźle pogruchotani, poza tym nie jesteśmy przecież w stanie do końca zapanować nad naszym wspaniałym okrętem... Tak czy inaczej, te ciężkie działa na pewno nieźle nam przyłożą — chyba że uda nam się ich zaskoczyć. Francuzi mają

przecież świetnie wyszkolonych artylerzystów... Tak się cieszę, że zostawiłem przepisany i przygotowany do druku rękopis mojej rozprawy o feniksach w domu, pod opieką żony.

— Rozumiem więc, że wszystko zależy od pływów? — Stephen zapytał po chwili.

— Tak. O powodzeniu naszej akcji zadecydują trzy czynniki: wiatr, przypływ i zaskoczenie, jeśli oczywiście uda nam się je wszystkie odpowiednio wykorzystać. Z pływami jakoś sobie poradzimy. Zamierzam znaleźć się tutaj: dokładnie na północ od wyspy i na północny zachód od wieży, na początku przypływu... Nie jutro wieczorem, lecz pojutrze w nocy. W niedzielę. Musimy teraz modlić się o łagodną, zachodnią lub północno-zachodnią bryzę, która poniesie nas między mieliznami do portu i może pozwoli nam też jakoś stamtąd wyjść...

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Stephen siedział obok chorego w łagodnie kołyszącym się szpitaliku. Pacjent z całą pewnością miał już najgorsze za sobą; słaby i nierówny puls w ciągu ostatniej godziny wyraźnie się poprawił, temperatura opadła, oddech był teraz głęboki i regularny. Ten niewątpliwy triumf zajmował jednak tylko niewielką część umysłu doktora. Resztę myśli wypełniło przerażenie, choć jako mimowolny słuchacz dowiedział się przed chwilą o sobie sporo dobrego. „Doktor jest w porządku... Nie pozwoli, by nas krzywdzono... Jest za wolnością... ma odpowiednie instrukcje i zna dobrze francuski... Tak jak my jest przecież Irlandczykiem"... Ucichł szmer prowadzonej w odległym kącie pomieszczenia rozmowy, zapanowała pełna wyczekiwania cisza. Ludzie patrzyli wyczekująco w stronę zamyślonego lekarza i trącali się łokciami. Wysoki Irlandczyk, odwiedzający chorego kolegę, wstał z miejsca i uważnie spojrzał prosto w twarz doktora — ten jednak nie czekał dłużej i wymknął się na pokład. Spotkał tam Parkera, rozmawiającego z porucznikiem piechoty morskiej — obaj oficerowie przyglądali się płynącemu pod pełnymi żaglami okrętowi liniowemu. Trójpokładowiec kierował się na północny zachód, po obu stronach rej miał postawione żagle boczne, przed jego dziobem i wzdłuż burt pieniły się białe fale. Przy głównej zejściówce „Polychrest" siedzieli dwaj wolni od służby podchorążowie, zajęci wyplataniem z liny jakiegoś skomplikowanego kształtu.

— Panie Parslow — Stephen zagadnął uprzejmie — proszę zapytać kapitana, czy ma teraz chwilę wolnego czasu...

— Na razie nie mogę. Muszę to skończyć — odburknął nieuprzejmie Parslow, nie podnosząc wzroku.

Babbington upuścił swój rożek, wściekłym kopniakiem zrzucił Parslowa w dół po schodkach i zawołał:

— Ja pójdę, sir... — Już po chwili był znów na pokładzie. — Kapitan rozmawia teraz z Chipsem, lecz z przyjemnością znajdzie czas dla pana za jakieś pięć minut.

Powtórzone przez podchorążego słowa okazały się tylko grzecznościową formułką. Jack na pewno nie miał powodów do zadowolenia akurat w tej chwili. Już na pierwszy rzut oka Stephen zdołał zauważyć, że rozmowa z cieślą nie mogła być zbyt miła. Na biurku leżał kawałek spróchniałego drewna i wydłubana ze zgniłej belki śruba. Aubrey miał ponurą, przygnębioną twarz. Na widok gościa wstał z miejsca, wyraźnie zmieszany, niezgrabnie pochylając głowę pod belkami.

— Przepraszam, lecz musiałem poprosić o tę rozmowę, sir — powiedział Maturin, wchodząc. — Wszystko wskazuje jednak na to, że dziś w nocy dojdzie do buntu załogi. Okręt będzie już blisko francuskiego brzegu i zostanie skierowany do Saint-Valery...

Jack skinął głową. Te słowa potwierdzały jego najgorsze obawy: dziwne, nieszczere spojrzenia ludzi z załogi „Sophie", wyraźnie zauważalne zmiany w zachowaniu pozostałych marynarzy, dwudziestoczterofuntowe kule toczące się w nocy z łoskotem po pokładzie. Wszystko zaczynało się rozpadać, sytuacja powoli wymykała się spod kontroli.

— Czy mógłby mi pan podać nazwiska prowodyrów buntu? — zapytał ostrożnie.

— Nie mogę, sir. Może mnie pan nazywać, jak się panu podoba, lecz na pewno nie jestem donosicielem. Powiedziałem wystarczająco dużo... Za dużo.

Trudno. Wielu okrętowych lekarzy żywiło sporo sympatii dla buntowników, niektórzy otwarcie opowiadali się po stronie niezadowolonej załogi: na przykład ten człowiek w Nore czy Davidson, którego powieszono za to w Bombaju. Kapitan nie mógł tutaj liczyć nawet na Killicka, swojego stewarda i na Bondena... Obaj musieli przecież wiedzieć, że szykuje się coś niedobrego, lecz pomimo niewątpliwej zażyłości, jaka łączyła ich z dowódcą, na pewno nie donieśliby na swych towarzyszy.

— Dziękuję. Dobrze, że pan do mnie przyszedł — Jack powiedział obojętnie.

Gdy za doktorem zamknęły się drzwi, usiadł za biurkiem, ukrył twarz w dłoniach i pogrążył się w rozmyślaniach. Był teraz taki nieszczęśliwy, naprawdę niewiele brakowało mu do totalnej rozpaczy. Tak wiele rzeczy zbiegło się jednocześnie, do tego pozwolił sobie teraz na to chłodne, nienawistne spojrzenie... Jack zbeształ w myślach surowo sam siebie. Nie wykorzystał przecież wspaniałej okazji do przeprosin. „Szkoda, że nie zdołałem tego jakoś z siebie wydusić. On mówił jednak tak szybko i był taki oficjalny... Z drugiej jednak strony, sam w jego sytuacji zachowywałbym się w identyczny sposób, gdybym został przez kogoś nazwany kłamcą lub łajdakiem. Trudno spokojnie znieść coś podobnego. Co mnie wtedy opętało? To wszystko jest przecież takie bezsensowne i trywialne... Zachowałem się jak dzieciak wykrzykujący wyzwiska, na pewno nie jak mężczyzna... Stephen doskonale strzela i jeśli zechce, bez większego trudu naszpikuje mnie ołowiem. Po co go sprowokowałem, wiedząc, jaki potrafi być niebezpieczny?"

W tym samym czasie inna część pogrążonego w rozpaczy umysłu zajmowała się wciąż najpilniejszym problemem i w pewnej chwili kapitan westchnął głośno, nagle zmieniając tok rozumowania.

— Tak chciałbym mieć teraz na pokładzie Macdonalda — mruknął cicho do siebie. Nie chodziło tutaj bynajmniej o pociechę lub radę (Jack wiedział doskonale, że Macdonald nie poważał go zbytnio), lecz o skuteczność działania. Ten Szkot był prawdziwym oficerem: o jego następcy nie można było tego powiedzieć. Wciąż jednak istniała szansa na to, że i jego uda się jakoś wykorzystać. Jack zadzwonił i poprosił, by natychmiast poproszono do kabiny pana Smithersa.

— Niech pan siada — powiedział, gdy dowódca oddziału piechoty morskiej wszedł do kapitańskiego salonu. — Proszę podać mi nazwiska pańskich żołnierzy... Bardzo dobrze, dziękuję.

Oczywiście jest też jeszcze sierżant, prawda? Niech pan teraz posłucha uważnie tego, co powiem. Musi pan pomyśleć o każdym z tych ludzi osobno, z wielką uwagą. Chcę wiedzieć, czy wszyscy oni są naprawdę godni zaufania i czy można na nich polegać?

— Ależ oczywiście, sir — zawołał Smithers.

— Nie, nie... Pomyśl, człowieku, pomyśl chwilę... —Jack musiał jakoś zmusić tego rumianego smarkacza do umysłowego wysiłku. — Proszę mi odpowiedzieć dopiero wtedy, gdy pan naprawdę dobrze się zastanowi. To sprawa najwyższej wagi.

Surowe, przenikliwe spojrzenie poskutkowało. Młody człowiek nagle stracił pewność siebie i zaczął przeklinać pod nosem. Najwyraźniej zdołał jakoś z wielkim trudem puścić w ruch szare komórki; bezwiednie poruszał teraz ustami, powtarzając w myślach nazwiska swoich podwładnych.

— Ręczę za wszystkich, z wyjątkiem człowieka, który nazywa się... No cóż... nazywa się tak samo jak ja, lecz nie ma między nami nawet najmniejszego pokrewieństwa. To Irlandczyk, papista...

— Na pewno? Dałby pan za nich głowę? Czy jest pan ich absolutnie pewny? Powtarzam, absolutnie...

— Tak, sir. — Smithers był bardzo zdenerwowany, patrzył na kapitana szeroko otwartymi oczami.

— Dziękuję panu. Proszę nikomu nie wspominać o tej naszej rozmowie. To oficjalny rozkaz i musi pan go bezwzględnie wykonać. Ma pan też zachowywać się tak, jakby nic się nie wydarzyło. Niech pan teraz poprosi tutaj do mnie pierwszego nawigatora...

— Panie Goodridge... — powiedział Jack, podchodząc do stołu z mapami. — Czy mógłby pan podać mi naszą aktualną pozycję?

— Dokładną, czy z dokładnością do kilku mil? — Nawigator pochylił na bok głowę i przymknął lewe oko.

— Dokładną.

— Muszę przynieść tabliczkę kursową, sir.

Jack skinął głową. Goodridge wrócił po chwili, sięgnął po linijkę oraz cyrkiel i nakłuciem oznaczył punkt na mapie.

— Jesteśmy tutaj — powiedział.

— Widzę. Mamy postawione główne żagle i marsle?

— Tak, sir. Uzgodniliśmy, że pożeglujemy powoli, tak byśmy nie musieli kręcić się w niedzielę w pobliżu portu, w oczekiwaniu na pływ. Zbyt łatwo nas rozpoznać.

— Zgadza się. Sądzę jednak... — Aubrey uważnie studiował mapę. — Sądzę, że udałoby nam się

jakoś zdążyć na wysoką wodę dziś w nocy. Jak pan myśli?

— Jeśli ten wiatr się utrzyma... Może damy radę, jeśli nie przydarzy się coś nieprzewidzianego. Nie wiem jednak, jak długo będzie tak wiać; ciśnienie się podnosi, a to nie wróży nam najlepiej.

— U mnie na razie nic się nie zmieniło — powiedział Jack, zerkając na barometr. — Chciałbym teraz porozmawiać z panem Parkerem. W tym czasie może pan polecić, by przygotowano do postawienia żagle boczne, bramsle, bombramsle i trumsle.

— Panie Parker... Grozi nam bunt załogi. Mam zamiar jak najprędzej przystąpić do wykonywania przydzielonego nam zadania. Tylko w ten sposób zdołamy opanować sytuację. Musimy podnieść wszystkie żagle, tak byśmy dotarli do Chaulieu dziś w nocy. Zanim jednak je rozwiniemy, chcę powiedzieć do ludzi kilka słów. Niech artylerzysta nabije kulkami ostatnie działa na rufie. Oficerowie mają zgromadzić się na kwarterdeku, gdy okrętowy dzwon uderzy sześć razy... za dziesięć minut... wszyscy pod bronią. Uzbrojeni w muszkiety żołnierze piechoty morskiej ustawią się na forkasztelu. Do tego czasu nie wolno okazywać niepotrzebnego pośpiechu lub zdenerwowania. Gdy załoga zostanie wezwana na pokład, obrócimy oba działa w stronę dziobu. Przy każdej armacie ma stanąć ktoś rozsądny i doświadczony. Po moim przemówieniu i postawieniu żagli nie wolno bić lub poganiać marynarzy. Aż do odwołania.

— Czy mogę coś zaproponować, sir?

— Nie. Dziękuję panu, panie Parker. Dokładnie takie są moje rozkazy. Proszę je wykonać. To wszystko.

— Tak jest, sir.

Ewentualne rady Parkera nie miały tutaj większego znaczenia. Jeśli dowódca miałby zapytać kogokolwiek o zdanie, zwróciłby się raczej do pierwszego nawigatora. Za sytuację na okręcie odpowiadał jednak tylko i wyłącznie kapitan, a wśród oficerów i tak nie było chyba nikogo, kto rozumiałby zbuntowanych marynarzy lepiej niż Jack. Jeszcze będąc podchorążym, został przecież w swoim czasie zdegradowany i służył jako szeregowy członek niezadowolonej załogi okrętu operującego koło Przylądka Dobrej Nadziei. Dowódca „Polychrest" wiedział więc dokładnie, jak podobna sytuacja wygląda z drugiej strony, zawsze też bardzo cenił i szanował zwykłych marynarzy. Jeśli nawet nie wiedział, do czego są oni w danej chwili gotowi, potrafił bez trudu przewidzieć, na co na pewno się nie odważą.

Spojrzał na zegarek, włożył swój najlepszy płaszcz i wyszedł na pokład. Zabrzmiało sześć szklanek popołudniowej wachty. Dookoła kapitana gromadzili się śmiertelnie poważni, milczący oficerowie.

— Wszyscy na pokład, panie Parker — rozkazał zdecydowanym głosem.

Zagwizdały piszczałki, pomocnicy bosmana krzyknęli w głąb zejściówek, zadudniły stopy biegnących ludzi. Ubrani w czerwone kurtki żołnierze przepychali się przez tłum w stronę dziobu. Po chwili na pokładzie zapanowała absolutna cisza. Wysoko nad głowami słychać było jedynie trzepotanie reflinek.

— Słuchajcie! — Jack powiedział głośno. — Wiem doskonale, co dzieje się na okręcie i bardzo mi się to nie podoba! Trudno mi uwierzyć, że okazaliście się naiwnymi głupcami i słuchacie gadania kilku przemądrzałych spryciarzy. Niektórzy z was najwyraźniej spieszą się na szubienicę. Tak. Czy pomyśleliście o tym? Popatrzcie tam, widzicie „Ville de Paris"? — Wszystkie głowy odwróciły się w stronę widocznego na horyzoncie liniowca. — Wystarczy jeden sygnał i zawiśniecie na rei, a orkiestra zagra wam żałobnego marsza. Jak możecie być tacy nierozsądni? Dlaczego wierzycie w głupie gadanie? Nie zamierzam jednak na razie wzywać „Ville de Paris" ani żadnego innego żaglowca. Powód jest jeden: „Polychrest" ma dzisiaj w nocy do wykonania zadanie. Nie chcę,

by we flocie mówiono, że stchórzyliśmy.

— Święte słowa — odezwał się czyjś głos. To Joe Plaice. Stał w pierwszym szeregu, z szeroko otwartymi ustami.

— Nie chodzi nam o pana, sir— zawołał ktoś z tyłu. — Wszystkiemu winien jest ten drań, Parker...

— Dzisiaj w nocy mam zamiar poprowadzić ten okręt do boju — Jack mówił dalej, a na pokładzie słychać było coraz głośniejszy szmer aprobaty. —Zamierzam przyłożyć zdrowo Francuzom w Chaulieu, ich własnym porcie. Słyszycie mnie? Jeśli któryś z was się boi, że dostanie po głowie, niech się przyzna. Czy jest tutaj ktoś taki?

Szmer przeistoczył się w głośny pomruk, nie było jednak w nim nic, czego należałoby się obawiać. Co jakiś czas odzywały się śmiechy i kolejne okrzyki o „tym złośliwym draniu Parkerze".

— Cisza na pokładzie. Dobrze... Cieszę się, że nie ma między nami tchórzy. Nie brakuje nam jednak niedorajdów. Popatrzcie, kto tak buchtuje linę? Niektórzy gadają też stanowczo za dużo. Na szczęście nie mamy chyba w załodze ludzi o zajęczym sercu. Możecie mi wierzyć, że zawsze tak o was myślałem. Złośliwi mogą mówić, że nasz slup nie najlepiej żegluje na wiatr i ma czasem niestarannie zwinięte żagle, lecz nikt nigdy nie powie, że się czegoś lub kogoś boimy. Gdy ścigaliśmy „Bellone", nie było wśród nas człowieka, który nie walczyłby jak lew. Dlatego popłyniemy do Chaulieu i przyłożymy Bonapartemu. Tylko tak uda się zakończyć tę wojnę. To jedyny sposób; nie słuchajcie przemądrzałych spryciarzy i kuchennych plotek. Im szybciej się ona skończy, tym prędzej wrócicie do domów, a nic nie sprawi mi większej radości. Wiem, że walka w służbie ojczyzny to nie zabawa, że wasze życie tu na okręcie nie jest usłane różami. Dlatego coś wam powiem. Nikt nie zostanie ukarany z powodu tego, co się stało. Całe to zajście nie będzie nawet odnotowane w okrętowym dzienniku. Daję wam moje słowo. Nikt nie poniesie kary, lecz musicie za to dać z siebie wszystko dziś w nocy. Chaulieu to naprawdę ciężki orzech do zgryzienia: same mielizny oraz wstrętny pływ. Potrzebna będzie każda para rąk, mogących chwycić linę i ciągnąć ją naprawdę z życiem. To tyle. Wystarczy gadania, pora działać. Wybiorę teraz kilku ludzi do załogi łodzi, a potem postawimy wszystkie możliwe żagle. — Aubrey wszedł w zbitą gromadę marynarzy, pomiędzy szepty i przyciszone rozmowy. Poprzedzało go milczenie, ze wszystkich stron spoglądały zaciekawione twarze. Niektóre były uśmiechnięte i zadowolone, inne zmartwione, śmiertelnie przerażone lub pozbawione jakiegokolwiek wyrazu. Tu i ówdzie pojawiało się pełne sympatii zrozumienie, gdzie indziej prymitywna wściekłość.

— Davis — powiedział Jack, wskazując palcem. — Do łodzi. — W oczach wywołanego człowieka

pojawił się zwierzęcy lęk. — Dalej, ruszaj się. Słyszałeś, co powiedziałem. — Marynarz przez chwilę rozglądał się szybko na lewo i prawo, aż wreszcie ruszył ociężale w kierunku rufy, nienaturalnie przygarbiony. Na okręcie zapanowała absolutna cisza, w powietrzu zawisło pełne grozy oczekiwanie. Kapitan nie mógł jednak pozwolić, by ci ludzie zjedli kolację razem ze wszystkimi i by w desperacji spróbowali zrobić coś bardzo głupiego. Był dziwnie spokojny i świadomy tego, co robi. Dokładnie wiedział, kogo powinien wybrać. Nie wahał się nawet przez chwilę. — Wilcocks, do łodzi... Anderson... — Zawędrował daleko w tłum, nie miał przy sobie broni. — Johnson... Dalej, z życiem... — Napięcie wzrastało z każdą sekundą. Nie można było ryzykować wybuchu. — Bonden, do łodzi... — powiedział Jack, patrząc wysoko ponad głową swojego sternika.

— Ja? — Bonden jęknął żałośnie.

— Tak. Biegiem... Bantock, Lakey, Screech... — Dowódca szedł dalej. Dookoła znów odezwały się gorączkowe rozmowy; wywoływani byli teraz również ludzie znajdujący się poza wszelkim podejrzeniem. Nie chodziło więc tutaj chyba o ewentualną karę. Wszyscy schodzili kolejno do holowanej za rufą szalupy. Nie było w tym nic podejrzanego. Aubrey poprawił źle zbuchtowaną linę, o której wspomniał marynarzom i wrócił na pokład rufówki.

— A teraz postawimy wszystko, co tylko nasz slup zdoła unieść — zawołał. — Żagle boczne, nawet na bombramrejach, bombramsle i trumsle. Im szybciej się z tym uporamy, tym wcześniej dotrzemy na miejsce. Wachty żaglowe, jak tam? Jesteście gotowi?

— Gotowi, sir! — zgodny, donośny okrzyk. Ulga? A może wdzięczność?

— W takim razie... Na górę i na reje!

Okręt zakwitł nagle jak śnieżnobiała róża. Na końcach rej pojawiły się rzadko używane boczne żagle, zalśniły w słońcu bielą zupełnie nowe bombramsle i również nigdy jeszcze dotąd nie używane trumsle. Maszty jęknęły ciężko, zatrzeszczały naprężające się liny. Dziób poszedł głęboko w wodę, wypełniona ludźmi łódź mknęła za rufą po spienionym kilwaterze, zanurzona aż po okrężnicę.

Jeśli istniał w ogóle taki kurs, którym slup „Polychrest" żeglował najlepiej, na pewno był to baksztag, gdy wiatr wiał trzy rumby od trawersu w stronę rufy. Z tego właśnie kierunku przez cały dzień dmuchała świeża bryza, na tyle silna, by wszystkie oczy co chwila Z niepokojem spoglądały w górę, na bombramsle i trumsle. Okręt pędził po wodach kanału, tak jakby od tego zależeć miało życie wszystkich członków załogi, nabierając tyle wody do kadłuba, że pan Gray, cieśla, po pomiarach zęz zgłosił oficjalny protest w tlej sprawie. Wiatr zerwał jeden trumsel, w pewnej chwili od dna oderwał się jakiś nie zidentyfikowany obiekt, lecz pomimo to kolejne mile kilwateru szybko zostawały za rufą i Jack, wciąż obecny na pokładzie, był prawie gotów polubić wreszcie swój okręt.

Marynarze z odpoczywającej wachty zostali zatrudnieni przy pracach bosmańskich na forkasztelu, a ludzie pełniący służbę mieli dziś wystarczająco dużo roboty z nieustannym trymowaniem żagli. Wszystkich najwyraźniej cieszyła uzyskiwana z tak wielkim trudem prędkość, wszyscy jednakowo przeżywali emocje towarzyszące temu szczególnemu wyścigowi z czasem. Rozkazy dotyczące zakazu bicia i poganiania były skrupulatnie przestrzegane. Jak dotąd jednak żaden z marynarzy lub chłopców okrętowych nie poruszał się z tego powodu wolniej. Ludzie z łodzi wrócili na pokład — przy tej

szybkości groziło jej zatonięcie — i zjedli posiłek w kuchni. Jack nie musiał już się ich obawiać; utracili swój wpływ na resztę załogi i koledzy wyraźnie ich unikali. Davis, niebezpieczny osiłek, śmiertelnie groźny w wypadku otwartej konfrontacji, wydawał się zupełnie ogłupiały, a elokwentny Wilcocks, kieszonkowiec, kiedyś urzędnik z biura adwokackiego, nie mógł jakoś znaleźć naiwnych słuchaczy. Marynarze, jak zwykle żyjący wyłącznie bieżącą chwilą, ze spokojem przystosowali się do nowej sytuacji. Jeden krytyczny moment minął, nadszedł czas oczekiwania na następny. Kapitan był więc na razie panem sytuacji.

Jedyną jego troską stał się w tej chwili wiatr. Pod koniec dnia podmuchy wyraźnie osłabły i stały się bardzo nieregularne, co mogło stanowić zapowiedź ciszy po zachodzie słońca. Na szczęście z nadejściem wilgotnego wieczoru bryza ożywiła się nieco, nadal wiejąc z upragnionego północnego zachodu, lecz nie można było niestety ślepo wierzyć w to, że podobny stan rzeczy potrwa wystarczająco długo. O szóstej dotarli na miejsce — przed dziobem pojawiła się charakterystyczna wieża, przylądek Point Noir i Camaret w odpowiednim namiarze. Teraz jednak, gdy żeglowali kursem na południowy wschód, zmierzając w kierunku brzegu nieco na północ od Chaulieu, mokra mgiełka gęstniała coraz bardziej, powoli zasnuwając wszystko szarym, nieprzezroczystym welonem. Widoczność pogarszała się coraz bardziej i w wejściu do zatoki z trudem można było dostrzec rozmazane plamy bombramsli wysoko ponad pokładem. Gęsta mgła wisiała tuż ponad powierzchnią lekko pofałdowanego morza, poukładana długimi pasmami i podświetlona z boku srebrnym blaskiem wschodzącego właśnie księżyca.

Jak się okazało, tylko odrobinę spóźnili się na pływ i teraz spokojnie żeglowali w stronę lądu. Pierwszy nawigator osobiście wydawał komendy na ster, dwaj marynarze bez chwili wytchnienia sondowali na dziobie:

— Ponad osiem... Osiem... Dokładnie dziesięć... Dziewięć i trzy czwarte... Prawie dziewięć... Siedem i pół... Dokładnie pięć... Cztery i trzy czwarte... Cztery i pół. — Dno podnosiło się wyraźnie.

— Jesteśmy na skraju zewnętrznej mielizny, sir — oznajmił pan Goodridge, spoglądając na pobraną z sondy próbkę dna. — Jak na razie wszystko w porządku. Zostawimy chyba tylko marsle, prawda?

— Zdaję się na pana. Może pan przejąć dowodzenie... — powiedział Jack, cofając się o krok. Okręt prawie bezgłośnie sunął naprzód, prowadzony teraz przez pierwszego nawigatora. Już wcześniej ogłoszono alarm bojowy, milczący i skupieni ludzie czekali na stanowiskach. Slup chętnie reagował na wychylenia steru, lawirując w przesmykach, szoty i brasy wybierane były bez chwili zwłoki.

— To będzie Galloper — oświadczył pan Goodridge, wskazując plamę jaśniejszej wody z prawej strony przed dziobem. — Rumb w prawo. Dwa rumby. Tak trzymać. W prawo nie chodzić... Ster lewo na burtę... — Cisza. Martwa cisza w gęstej mgle. — Morgan's Knock za lewą burtą, sir — pierwszy nawigator zameldował po chwili. Te spokojnie wypowiedziane słowa bardzo ucieszyły Jacka. Ostatni pewny namiar udało się wykonać bardzo dawno temu, od tego czasu okręt żeglował na ślepo po nieznanych wodach. Gdy Morgan's Knock zostanie za rufą, wystarczy skierować się na zachód, okrążając kraniec mielizny Old Paul Hill's Bank i potem ruszyć na południowy wschód, prosto na zewnętrzną redę, obok wyspy St Jacques.

— Trzy rumby w lewo — padła kolejna komenda i slup posłusznie obrócił się na zachód. Trudno

było pojąć, jak w podobnych warunkach Goodridge umiał odnaleźć właściwą drogę: na tych wodach doświadczeni piloci musieli kierować się chyba węchem lub po prostu intuicją. — Uwaga tam na dziobie na bulinę — pierwszy nawigator krzyknął cicho. Na moment znów wszystko umilkło. Pełna napięcia pauza ciągnęła się w nieskończoność. — Sternik, odpadać. Dość... Tak trzymać. Proszę spojrzeć, sir. Z lewej strony przed dziobem. To St Jacques. — Mgła przerzedziła się na moment, odsłaniając białe kredowe zbocze z fortyfikacjami na szczycie i w połowie urwiska.

— Dobra robota, panie Goodridge. Świetnie się pan spisał.

— Na pokładzie — zawołał obserwator z masztu. — Statek na prawym trawersie. Och, całe ich mnóstwo... — dodał zdziwiony. — Osiem, dziewięć... Straszny tam tłok...

— Na pewno stoją na skraju zewnętrznej redy — zauważył pan Goodridge. — Jesteśmy na miejscu.

Wiatr zdmuchiwał szerokie pasma mgły — patrząc za lewą burtę, Jack ujrzał nagle stojące jeden przy drugim dwu- i trzymasztowe żaglowce, wszystkie o dość sporym tonażu, wyraźnie widoczne w świetle księżyca. Były to transportowce i kanonierki flotylli inwazyjnej; one właśnie stanowiły cel," który za wszelką cenę należało zniszczyć.

— Czy jest pan pewny tego, że wszystkie stoją na zewnętrznej redzie? — kapitan zwrócił się do pierwszego nawigatora.

— Och, tak, sir. Przed chwilą mieliśmy na południowym zachodzie St Jacques. Od tych jednostek dzieli nas teraz tylko połać głębokiej wody.

— Sternik odpadać — polecił Aubrey. Slup płynął teraz lewym baksztagiem i niesiony przypływem zbliżał się szybko w stronę kanonierek. — Odczopować działa! Wszyscy na stanowiska... — Kapitan zamierzał teraz wpłynąć pomiędzy francuskie statki, strzelając z obu burt. Liczył na zaskoczenie i na to, że pierwsza salwa spowoduje jak najwięcej zniszczeń. Wiadomo bowiem było, że już za moment, gdy zagrzmią działa brzegowych baterii, ludzie na pewno nie będą tak spokojni i skupieni jak w tej chwili. Mgła zgęstniała znowu, lecz wkrótce znów zaczęło się przejaśniać; rozmazane maszty nieprzyjacielskich żaglowców przybliżały się z każdą sekundą.

— Nie strzelać póki... — Aubrey krzyknął głośno i zanim dokończył zdanie, powalony gwałtownym szarpnięciem upadł na pokład. Okręt pełnym rozpędem wszedł na mieliznę West Anvil.

Sytuacja wyjaśniła się niemal natychmiast. Z mgły wyłoniły się dwa bliźniacze forty, jeden dokładnie za rufą i drugi z prawej strony przed dziobem. Obie baterie natychmiast ożyły — zagrzmiały armatnie wystrzały, niebo rozświetliły pomarańczowe języki ognia. Jak się okazało, zauważone przed chwilą umocnienia to nie fort St Jacques, tylko Convention; slup przeszedł po prostu innym kanałem. Statki stały na redzie wewnętrznej, nie zewnętrznej, i od „Polychrest" oddzielała je w tej chwili szeroka piaszczysta łacha. Na szczęście maszty okrętu jakimś cudem przetrwały niespodziewane uderzenie. Okręt pochylił się nieco, przychodzące od strony morza fale raz za razem unosiły kadłub i wpychały unieruchomioną jednostkę coraz dalej na piach.

— Wyluzować szoty! — Jack zawołał głośno. Nie musiał już teraz zachowywać ciszy. — Szoty luz!

— Napór wiatru na maszty zelżał nagle. — Parker, Pullings, Babbington, Rossall, przenieść wszystkie działa na rufę.

Jeśli stępka opierała się o piasek tylko w swej przedniej części, po przemieszczeniu ciężaru powinna oderwać się od dna. Tymczasem po drugiej stronie mielizny statki w panice stawiały żagle i najwyraźniej zamierzały rozpierzchnąć się na wszystkie strony — w całym tym zamieszaniu wyróżniały się dwa prowadzone pewną ręką stateczki, ożaglowane jak brygi i wyraźnie kierujące się przed dziób angielskiego okrętu. Były to francuskie kanonierki: obie już po chwili wypaliły w stronę „Polychrest" podwójne strumienie ognia. Najwyraźniej zamierzały po zajęciu odpowiedniej pozycji zaatakować unieruchomioną jednostkę, posyłając wzdłuż jej pokładów pocisk za pociskiem.

— Zostawić działa na forkasztelu! Panowie Rossall i Adams, proszę ostrzeliwać te brygi.

Księżyc świecił zadziwiająco jasno i gdy wiatr rozwiał mgłę oraz kłęby dymu, wyraźnie widać było obie brzegowe baterie. Srebrzysty blask zalewał też całą wewnętrzną redę, stłoczone na niej statki i korwetę, zacumowaną tuż u stóp twierdzy Convention. Na pewno ten właśnie okręt został zapędzony tutaj przez „Thetis" oraz „Andromedę" i miał być zniszczony podczas dzisiejszej akcji. „Stoi w bardzo głupim miejscu" — pomyślał Jack, rozglądając się dookoła. Jak na razie na pokładach „Polychrest" panował wzorowy porządek. Ludzie byli zdyscyplinowani, uwijali się gorliwie przy działach i szybko przetaczali je po kolei na rufę, nie zwracając uwagi na odzywające się na brzegu działa. Armaty fortu St Jacques strzelały bardzo ostrożnie — artylerzyści wyraźnie nie chcieli trafić któregoś ze statków znajdujących się przed dziobem angielskiej jednostki — a załoga Convention wciąż miała spore kłopoty z ustaleniem właściwej odległości; pociski przelatywały z wyciem wysoko ponad masztami. Największe zagrożenie stanowiły więc, jak na razie, dwie natrętne kanonierki.

Aubrey chwycił za linę, pomógł przeciągnąć na nowe miejsce kolejną karonadę i polecił, by przemieszczone już działa zostały na razie prowizorycznie unieruchomione klinami.

— Wszyscy na rufę! — zawołał. — Spróbujemy rozkołysać okręt. Niech wszyscy równocześnie podskakują na mój sygnał. Raz, dwa, trzy... Raz, dwa, trzy... — Marynarze skakali posłusznie: stu ludzi... czy ich łączna waga i ciężar dział wystarczy, by kadłub zsunął się z piasku na głębszą wodę? — Raz, dwa, trzy... Raz, dwa, trzy... — Nic z tego. — Przerwać skakanie. — Jack pobiegł na dziób, uważnie rozejrzał się dookoła i zerknął na zegarek. Kwadrans po dziewiątej. Już wkrótce skończy się przypływ. — Wszystkie łodzie na wodę. Panie Parker, proszę na największej z nich ustawić małą karonadę...

Należało teraz znaleźć szybko jakiś sposób, pozwalający ściągnąć okręt z mielizny. Najskuteczniejszym rozwiązaniem wydawało się wywiezienie na głębszą wodę dziobowej kotwicy: po wybraniu łańcucha slup na pewno odzyskałby pływalność. Problem polegał tutaj jednak na tym, że nawet największa z okrętowych łodzi nie była w stanie unieść takiego ciężaru. Potrzebna była jakaś większa jednostka... Armatnia kula przeleciała o kilka stóp od głowy Jacka i podmuch o mało go nie przewrócił, a ludzie obsługujący karonadę na forkasztelu krzyknęli radośnie, gdyż udało im się trafić prosto w dziób francuskiej kanonierki... Tak. Koniecznie trzeba było znaleźć coś większego. Transportowce uciekały właśnie pod pełnymi żaglami w stronę Ras du Point i żadnego z tych statków nie uda się schwytać wystarczająco szybko. Koło wejścia do portu pozostało tylko kilka malutkich

lugrów, a u stóp fortu Convention stała samotna korweta. Była absurdalnie blisko brzegu, zacumowana z dziobu oraz rufy i obrócona w stronę twierdzy St Jacques. A może by tak... W pierwszej chwili Jack zlekceważył podobny pomysł. Tak właściwie jednak... Czemu nie? Ryzyko związane z ewentualną próbą zdobycia korwety było ogromne, nie większe jednak niż podczas postoju na mieliźnie pod coraz celniejszym ogniem brzegowych baterii. Ów pomysł wydawał się niedorzecznym szaleństwem, lecz tak naprawdę nie było w tej chwili innego wyjścia. Mając korwetę, nie będzie też trzeba wywozić kotwicy — w ten sposób uda się chyba zaoszczędzić sporo cennego czasu.

— Panie Rossall... — Jack podjął już decyzję. — Proszę wziąć największą łódź i ściągnąć na siebie ogień kanonierek. Weźcie ze sobą sporo prochu oraz z tuzin muszkietów i róbcie jak najwięcej hałasu; możecie nawet śpiewać. — Załoga łodzi natychmiast zniknęła za burtą. Kapitan wziął głęboki wdech i krzyknął głośno, próbując zagłuszyć działa: — Szukam ochotników... Potrzebuję odważnych ludzi, którzy wybiorą się ze mną po tamtą korwetę! Richards, proszę rozdać szable, pistolety i topory. Panie Parker, zostanie pan na okręcie. „Ludzie nie pójdą za Parkerem..." — Jack myślał szybko. „Ciekawe, ilu pójdzie za mną...?" — Panie Smithers, weźmie pan czerwony kuter. Razem ze swoimi żołnierzami zaatakuje pan od strony dziobu, z prawej burty. Panie Pullings, błękitny kuter. Wejdzie pan na pokład z lewej burty, od rufy. Gdy tylko będziecie na górze, proszę natychmiast przeciąć cumy. Weźcie topory. Potem od razu na reje, postawić marsle. Niech nic więcej

was nie obchodzi. Proszę szybko wybrać sobie ludzi. Reszta pójdzie za mną. Ruszamy natychmiast, nie mamy chwili do stracenia. — Kapitan wziął przyniesione przez Killicka pistolety i nie oglądając się za siebie, zszedł do łodzi. Marynarze tłoczyli się na burcie i kolejno zeskakiwali do szalup. Na ławkach robiło się coraz ciaśniej. Brzęczała broń, ktoś krzyknął w ciemnościach Jackowi wprost do ucha, by się posunął i zrobił miejsce dla innych. Ilu było tych ludzi? Sześćdziesięciu? Osiemdziesięciu ? Może więcej. Jack uśmiechnął się do siebie, wzruszenie ścisnęło go za gardło, wszystkie złe myśli uleciały nagle gdzieś daleko.

— Ruszamy — powiedział. — Od tej pory cisza w łodziach... Bonden, steruj prosto w poprzek mielizny. Najkrótszą drogą do korwety. — Z tyłu za plecami rozległ się nagle głośny trzask: salwa z Convention ścięła stengę fokmasztu.

— Niewielka strata — Aubrey mruknął do siebie, poprawiając szpadę trzymaną między kolanami. W pewnej chwili dno łodzi otarło się lekko o piasek, lecz po kilku minutach znaleźli się już jednak na wewnętrznej redzie, zmierzając prosto w stronę oddalonej o pół mili korwety. Ryzyko było naprawdę ogromne; na jej pokładzie mogło być nawet dwustu ludzi. Z drugiej jednak strony w grę wchodził też element zaskoczenia. Francuzi na pewno nie spodziewają się ataku ze stojącego na mieliźnie okrętu. Nie w tym miejscu, tak blisko fortu, tuż pod lufami potężnych dział. Zbyt blisko. Cumowanie akurat tutaj nie było mądrym pomysłem. Bateria Convention znajdowała się stosunkowo wysoko na cyplu, a jej armaty nie mogły strzelać w dół pod tak ostrym kątem. Do celu pozostało jeszcze około pięciuset jardów. Ludzie wiosłowali jak szaleni, stękając z wysiłku, łódź była jednak mocno obciążona i poruszała się powoli. Wioślarzom brakowało też miejsca i w tłoku raz za razem uderzali o plecy kolegów. Obok kapitana siedział Bonden, dalej młody Parslow — ten dzieciak powinien był zostać na okręcie. Jack dostrzegł też śmiertelnie bladą w świetle księżyca twarz ochmistrza i zakazaną gębę Davisa. Z przodu zajęli miejsca Lakey, Plaice oraz pozostali marynarze z

„Sophie"...

Czterysta jardów. Załoga korwety nareszcie dostrzegła niebezpieczeństwo. Rozległo się paniczne wołanie, zadudniły bezładnie działa, na okręcie i na brzegu zagrzechotały muszkiety. W niebo wzbiły się tuż obok łodzi fontanny wody — działa Convention nie strzelały już do „Polychrest" tylko do wypełnionych ludźmi szalup i ostatnia salwa chybiła o włos. Przez cały ten czas kanonierki uparcie ścigały hałasującą łódkę, uzbrojoną w muszkiety i sześciofuntową karonadę. Jak na razie nie zwróciły uwagi na oddział abordażowy, bezgłośnie poruszający się w poprzek wewnętrznej redy. Znów odezwały się działa Convention. Ich lufy skierowane były teraz maksymalnie w dół, lecz pociski przeleciały zbyt wysoko.

Dwieście jardów. Sto. Inne łodzie wysunęły się naprzód, Smithers ze swymi ludźmi skręcił na prawo, Pullings popłynął w stronę rufy.

— Wejdziemy po wantach stermasztu, Bonden — powiedział Jack, wysuwając szpadę z pochwy.

Wysoko na pokładzie rozległy się wystrzały i przeraźliwy okrzyk bojowy — żołnierze piechoty morskiej wdarli się na dziób.

— Wanty stermasztu, sir — odparł Bonden, wykładając ster na burtę. Wysoko nad głowami odezwała się ostatnia salwa burtowa, łódź miękko uderzyła o kadłub korwety.

Teraz na pokład. Jack wykorzystał moment, w którym łódka niosła się na fali, skoczył wysoko i uczepił się jufersów. Wykonał kilka szybkich ruchów i znalazł się na górze, na szczęście nie było tam siatek

abordażowych. Po bokach, sapiąc, wspinali się ludzie, ktoś podciągając się, chwycił go za włosy. Skok przez reling i krótka walka: piki, wyciory, kilka muszkietowych wystrzałów. Teraz biegiem na pokład rufówki, w stronę grupki oficerów. W prawej ręce szpada, pistolet w lewej,

dookoła okrzyki: „Polychrest"! „Polychrest"! Za plecami uzbrojeni, zdecydowani na wszystko ludzie. Skłębiony dum koło stermasztu, głu-

che uderzenia, prowadzona w milczeniu walka na śmierć i życie. Jack wystrzelił z pistoletu i z całej siły rzucił go w twarz następnemu przeciwnikowi. Z lewej strony wypalił muszkiet. Babbington wbiegł prosto w strugę ognia i dymu, zatoczył się i upadł. Dowódca „Polychrest" na chwilę zapomniał o bitewnym zgiełku, pochylił się nad leżącym podchorążym i w ostatniej chwili zdołał odparować potężne pchnięcie bagnetem. Ostrze wbiło się w deski pokładu, Aubrey chwycił leżącą tuż obok ciężką szablę i ciął nią z całej siły w górę, prawie odcinając głowę trzymającemu wciąż muszkiet żołnierzowi.

W wolnej przestrzeni, z przodu, pojawił się teraz drobny oficer, ze skierowaną prosto w pierś Jacka szpadą. W świetle księżyca zimno błysnęła stal, obaj przeciwnicy natarli na siebie i fechtując zawzięcie, powoli zaczęli przesuwać się w stronę relingu. W pewnej chwili Aubrey poczuł w ramieniu piekący ból i gwałtownie ruszył naprzód, jeszcze zanim Francuz zdołał cofnąć swą szpadę. Uderzenie rękojeścią szabli i potężne kopnięcie powaliło zaskoczonego oficera na pokład.

— *Rendez-vous* — zawołał Jack.

— *Je me rendre* — powiedział leżący na deskach Francuz i wypuścił z ręki broń. — *Parola.*

Wystrzały, ciosy, mordercze pchnięcia, bojowe okrzyki na dziobie i śródokręciu. Na okręt wdarł się teraz oddział Pullingsa: marynarze toporami przecinali cumy, a żołnierze piechoty morskiej zdobyli w tym czasie zejściówkę na prawej burcie — ich czerwone kurtki wydawały się szare w mdłym blasku księżyca. Ze wszystkich stron słychać było teraz zwycięskie nawoływania Anglików. Jack pobiegł w stronę grotmasztu i grupki broniących się tam zawzięcie ludzi, głównie oficerów — strzelali z pistoletów, wymachiwali szablami i pikami, podczas gdy od strony lądu szeregowi członkowie załogi dziesiątkami zeskakiwali do łodzi lub prosto do wody. Tuż obok przebiegł Haines z kilkoma marynarzami. Nie zwracając uwagi na bitewny zgiełk, szybko wspięli się na maszt i już po chwili byli na rejach.

Na kwarterdek dotarł z dziobu Smithers, krzyczący i spocony, a z nim kilkunastu żołnierzy, pojawił się też Pullings z zakrwawionym toporem w dłoni. W górze rozwinęły się marsle — przy szotach i brasach czekali już ludzie.

— *Capitaine* — zawołał Jack. — *Capitaine, cessez effusion sang. Rendez-vous. Hommes destertes. Rendez-vous.*

— *Jamais, monsieur* — odpowiedział Francuz i wyprowadził potężne pchnięcie.

— Bonden, podetnij mu nogi! — krzyknął Aubrey, parując i tnąc wysoko. Szpada dowódcy korwety uniosła się w górę, Bonden przebiegł pod opadającym ostrzem i chwycił francuskiego kapitana z tyłu za szyję. Było już po wszystkim. Pan Goodridge stanął za sterem — „Skąd ten człowiek się tutaj wziął?" — i donośnym głosem zaczął wydawać niezbędne komendy wybierającym szoty marsli ludziom. Był już ku temu najwyższy czas: brzeg od pewnego czasu oddalał się powoli.

— *Capitaine, enbas, dessous, s'ilvousplait. Toutes officiers dessous.* — Francuscy oficerowie kolejno oddawali szpady, a Jack przekazywał je Bondenowi. Padły jakieś niezrozumiałe słowa. Po włosku? — Panie Smithers, proszę zamknąć tych ludzi w komorze łańcuchowej.

Na forkasztelu wybuchło nagle gwałtowne zamieszanie i padł pojedynczy strzał. Z brzegu bez przerwy odzywały się muszkiety, dookoła na pokładzie leżały ciała zabitych, ranni jęczeli w kałużach krwi. Zdobyta korweta żeglowała powoli na zachód, a błogosławiony wiatr wiał prawie dokładnie z trawersu. Należało teraz okrążyć skraj mielizny West Anvil i dopiero po zwrocie można będzie podejść do „Polychrest". Nie było innej drogi, tylko ta, prowadząca prosto w stronę dział baterii St Jacques; pozostało jeszcze pół mili, wciąż coraz bliżej potężnych armat.

— Postawić fokżagiel i bezan — zawołał Jack. Im szybciej uda się pokonać niebezpieczny odcinek, tym lepiej, ponadto w żadnym wypadku nie wolno było teraz spartaczyć zwrotu przez sztag. Okręt co prawda wyjątkowo posłusznie słuchał steru, lecz po nieudanym zwrocie brzegowe baterie na pewno rozniosłyby korwetę na strzępy.

Działa Convention strzelały z tyłu uparcie i na razie niezbyt celnie — jedna kula przebiła jednak

wszystkie trzy marsle. Aubrey pobiegł tymczasem na dziób, rozwiązać problemy, jakie powstały przy stawianiu fokżagla. Członkowie załogi „Polychrest" tłoczyli się na pokładzie. Widząc swego kapitana, wołali coś głośno, uradowani, niektórzy wydawali się wręcz innymi ludźmi.

— Wilkins... — Jack powiedział miękko, kładąc dłoń na ramieniu jednego z marynarzy. — Weź sobie do pomocy Shaddocka i zacznijcie wyrzucać za burtę ciała zabitych...

Korweta okazała się niedużą, dobrze utrzymaną jednostką. Miała osiemnaście... Nie... Dwadzieścia dział. Była trochę większa niż „Polychrest" i nosiła nazwę „Fanciulla". Rzeczywiście. Dokładnie taką nazwę podał admirał. Dlaczego milczą działa baterii St Jacques?

— Panie Malloch, proszę przygotować małą dziobową kotwicę usunąć resztki lin z kluzy na rufie. — „Dlaczego oni nie strzelają?"

Z tyłu za grotmasztem rozległ się głośny trzask: trzy kule z Convention uderzyły w kadłub. Druga bateria jednak nadal milczała. Załoga fortu St Jacques nie wiedziała chyba, że „Fanciulla" została zdobyta przez Angii-ków. Francuzi myśleli, iż korweta zamierza zaatakować nieprzyjacielski okręt, unieruchomiony na mieliźnie. —Oby podobna sytuacja potrwała jak najdłużej... — Aubrey mruknął do siebie. Fokżagiel wypełnił się wiatrem, prędkość wzrosła, właśnie zmieniał się kierunek pływu. Dowódca „Polychrest" spojrzał na zegarek, obracając tarczę ze wskazówkami w stronę księżyca. Odezwały się wreszcie działa St Jacques i w ich błysku udało się odczytać godzinę. Dokładnie jedenasta. Artylerzyści baterii na wyspie najwyraźniej wiedzieli już, jaki jest aktualny stan rzeczy; na szczęście skraj mielizny znajdował się już bardzo blisko.

— Zabiłem jednego, sir! — Młody Parslow przybiegł specjalnie, by o tym opowiedzieć. — Strzeliłem mu w brzuch, gdy próbował przebić piką Barkera.

— Bardzo dobrze, panie Parslow. Proszę teraz pomóc bosmanowi przygotować kotwicę do rzucenia. Panie Goodridge, wydaje mi się, że już wkrótce będziemy mogli wykonać zwrot?

— Jeszcze sto jardów, sir — odpowiedział pierwszy nawigator, patrząc uważnie na umocnienia twierdzy St Jacques. — Te dwie wieże muszą znaleźć się idealnie w jednej linii...

Punkt zwrotu był coraz bliżej; baszty fortecy zbliżały się do siebie powoli i Jack wydał wreszcie długo oczekiwaną komendę:

— Do zwrotu przez sztag! Panie Pullings, czy jest pan gotowy? — Umocnienia baterii brzegowej znikły w kłębach gęstego dymu, bramstenga stermasztu korwety z trzaskiem poleciała za burtę, chmura drobniutkich kropelek wody zmoczyła pokład rufówki. — Sternik, zwrot! Szoty i halsy luz! — Okręt obrócił się sprawnie jak mały kuter, brak tylnych żagli dodatkowo przyspieszył odpadanie na nowy kurs po przejściu linii wiatru. — Wybierać wszystko! Z życiem! — Korweta bez problemu wykonała zwrot i płynęła teraz w stronę „Polychrest". Slup nie miał fokmasztu, stracił bramstengę grotmasztu i bukszpryt. Karonady na dziobie strzelały jednak bez przerwy, a gdy „Fanciulla" zakotwiczyła na nawietrznej, po przeciwnej stronie kanału, na pokładach stojącej na mieliźnie jednostki odezwały się ciche wiwaty.

— Wszystko w porządku, panie Parker? — zawołał Jack.

— W porządku, sir. Trochę nam się oberwało, zatonęła też zacumowana przy burcie łódź... Ogólnie jednak jakoś się trzymamy...

— Proszę obsadzić kabestan i przygotować się do przyjęcia liny... — Huk dział oraz odgłos przelatujących nad głowami i uderzających o kadłuby okrętów kul zagłuszył dalsze słowa, kapitan musiał więc powtórzyć rozkazy: — Panie Pullings, proszę przygotować za rufą kuter do przeniesienia holu.

— Czerwony kuter zatonął, uderzony strąconą stengą masztu, a niebieski został przy brzegu. Jest tylko pański gig, sir. Uciekający Francuzi zabrali wszystkie swoje łodzie.

— Wobec tego niech będzie gig. Panie Goodridge, gdy tylko podamy linę, może pan zacząć ją wybierać. Pullings... ze mną. — Jack skoczył do łodzi, chwycił hol i powiedział: — Będziemy potrzebowali jeszcze przynajmniej dwudziestu ludzi do kabestanu. Panie Pullings, musi pan jak najszybciej obracać tam i z powrotem.

Już po chwili byli przy burcie „Polychrest", z rufowej kluzy wyciągnęły się po linę niecierpliwe ręce. Niebo rozjaśnił pomarańczowy błysk: moździerzowy pocisk rozerwał się w powietrzu, znacznie bliżej kanonierek niż połączonych teraz liną okrętów.

— Robi się gorąco, sir — zauważył Parker. — Gratuluję panu zdobyczy... — Pierwszy porucznik zawahał się, mówił z trudem, wyduszając z siebie słowa. W błyskach wystrzałów wydał się Jackowi dziwnie stary, zmęczony i przygarbiony.

— Dziękuję. Rzeczywiście zaczynają dobierać się nam do skóry... Z życiem tam, przy tej linie. Z życiem! — Po kilku minutach cała lina leżała na pokładzie i w ślad za nią w kluzie pojawiła się ciężka cuma. Przywożeni przez Pullingsa ludzie grupkami wchodzili na pokład. Po chwili hol został obłożony na kabestanie. Gdy wkładano handszpaki, Jack znów spojrzał na zegarek. Było tuż po północy. Odpływ trwał już pół godziny. — Gotowe! Wybierać! — Aubrey zawołał w stronę korwety. — Dalej, wybieramy! — krzyknął do stojących przy kabestanie marynarzy. — Musicie dać z siebie wszystko! — Kabestan zaczął się obracać, zagrzechotały zapadki, cuma powoli podnosiła się coraz wyżej, z naprężających się pokrętek pryskały krople wody.

W tym samym czasie fort St Jacques rozpoczął wściekłą kanonadę, gdyż kanonierki odpłynęły wreszcie na bok, w obawie przed pociskami. Zagrzmiały ciężkie moździerze, Francuzi strzelali teraz ze wszystkich dział, jakie posiadali; armatnia kula zabiła czterech marynarzy pracujących przy kabestanie, stenga grotmasztu z łoskotem uderzyła w pokład forkasztelu, zacumowany przy burcie gig został rozbity w drzazgi. Na szczęście w porę zdążyli wyjść z niego na górę ostatni ludzie.

— Wybierać, cały czas wybierać! — Jack wrzeszczał jak opętany. Pośliznął się na zakrwawionych deskach, kopniakiem odrzucił na bok nieruchome ciało i sam chwycił za handszpak. — Wybierać! Wybierać! — Lina napinała się coraz bardziej, coraz wyżej podnosząc się z wody. Marynarze z gigu rzucili się na pomoc kolegom chodzącym dookoła kabestanu. — Wybierać! Wybierać! Ruszyliśmy się! — Pomimo łoskotu dział można było teraz co jakiś czas usłyszeć, a raczej wyczuć pod stopami,

szorowanie dna o piasek. Ludzie zdobyli się na słaby okrzyk radości, zapadki szczęknęły jeszcze dwa razy i nagle wszyscy upadli przed siebie. Kabestan przestał stawiać opór: kula przecięła linę.

Aubrey również się przewrócił i został przygnieciony przez kilku innych ludzi. Z trudem wygrzebał się spod splątanych ciał i podbiegł do relingu.

— Goodridge! Goodridge, ahoj! Czy może pan podejść bliżej?

— Nie chcę ryzykować, sir. Nie podczas odpływu. Tu jest bardzo płytko, zaledwie kilka sążni wody. Nie macie łodzi?

— Nie mamy. Wybierzcie zerwaną linę i przygotujcie nową. Słyszy mnie pan? — W huku dział trudno mu było usłyszeć siebie samego. Kanonierki zatoczyły koło i strzelały teraz z wewnętrznej redy, ponad mielizną. Jack zrzucił kurtkę, położył szpadę na pokładzie i bez chwili namysłu skoczył za burtę. Gdy nurkował, w głowę uderzył go postrzępiony kawałek metalu: odłamek eksplodującego kartacza. Na moment stracił przytomność i poszedł głęboko pod wodę, po chwili oprzytomniał jednak nieco. Wypłynął na powierzchnię i dotarł jakoś pod burtę „Fanciulli". — Wciągnijcie mnie na górę! — zawołał. Ciężko dysząc i ociekając wodą, usiadł na pokładzie. — Czy jest tutaj ktoś, kto umie pływać? — zapytał. Nikt się nie odezwał.

— Spróbuję popłynąć na gretingu — zaproponował nieśmiało któryś z marynarzy.

— Dajcie mi linę — powiedział kapitan, podchodząc do trapu na rufie.

— Nie chce pan posiedzieć chwilę, odpocząć i wypić łyk rumu? Jest pan cały zakrwawiony... — Goodridge z wyraźną troską przyglądał się dowódcy, który tylko niecierpliwie pokręcił głową — na pokład poleciały krople krwi. Trwał odpływ i liczyła się teraz każda sekunda. Poziom wody obniżył się już o sześć cali. Aubrey zszedł po trapie do wody i płynąc na plecach, ruszył w stronę „Polychrest". Niebo płonęło rozświetlane kolejnymi wystrzałami, widać było też gwiazdy i srebrną, wypukłą twarz księżyca. Coś tutaj jednak było nie tak. Srebrzysty dysk rozdwoił się, oba księżyce wirowały, zamieniały się miejscami. Kasjopeja znajdowała się nie tam, gdzie powinna. Woda zalewała Jackowi twarz.

„Boże, tracę siły" — pomyślał, obrócił się na brzuch i uważnie popatrzył dookoła, wysoko podnosząc głowę. Stojący na mieliźnie slup był teraz z lewej strony, nie z przodu. Stojący na pokładzie ludzie krzyczeli coś głośno. Kapitan ruszył w stronę „Polychrest", ciągnąc za sobą przywiązaną do ramienia linę. Zebrał teraz wszystkie swe siły, wpatrzony w burtę okrętu parł do przodu — płynął jednak coraz wolniej i po każdym pociągnięciu rękami zanurzał się cały pod wodę. Musiał walczyć z silnym przeciwnym prądem, a lina była bardzo ciężka.

— Tak trzymać — mruknął do siebie, biorąc poprawkę na prąd. Pokonując ostatnie dwadzieścia jardów, poczuł nagły przypływ sił, nie był jednak w stanie sam wyjść z wody. Marynarze kręcili się bezradnie, próbując wciągnąć dowódcę na pokład. — Weźcie najpierw linę... Niech was wszystkich szlag trafi! — krzyknął głośno. Usłyszał swoje własne słowa dopiero po chwili, tak jakby to ktoś obcy wołał do niego z daleka. — Przenieście ją na dziób i jak najszybciej wybierajcie...

Jack podpłynął do rufowego trapu i podtrzymywany przez Bondena powoli wszedł na górę. Usiadł na odwróconym wiadrze i z trudem łapiąc oddech, patrzył na obracających kabestan ludzi. Z początku chodzili szybko, potem coraz wolniej... Przez cały ten czas fale unosiły rufę slupa i co jakiś czas z głuchym dudnieniem uderzały nią o twardy piach. W kadłub trafiały też bez przerwy armatnie kule z dział obu baterii: cieśla biegał z kawałkami przybitki i uszczelniał kolejne przestrzelmy. Od chwili, w której udało się podjąć nową linę, burty zostały przebite kilkanaście razy. Jack przestał jednak zwracać na to uwagę. Kolejne salwy stały się teraz bezbarwnym tłem, natrętnym brzęczeniem — liczyło się tylko najważniejsze zadanie.

— Wybierać. Wybierać. Z życiem... — poganiał dających z siebie wszystko ludzi. Lina naprężyła się do granic wytrzymałości, umilkło grzechotanie zapadek. Aubrey rzucił się do handszpaku, naparł na belkę całym swoim ciężarem, pośliznął się na rozlanej krwi, pchnął raz jeszcze. Kliknęła zapadka. Cały kabestan zaskrzypiał głośno. Kolejne kliknięcie.

— Ruszyliśmy — szepnął pchający obok ze wszystkich sił marynarz. Kadłub szorował o piasek, nieśmiało, jakby z wahaniem, od rufy nadeszła kolejna fala i slup zakołysał się swobodnie. — Udało się! Udało się! —Na forkasztelu „Polychrest" i na pokładach korwety odezwał się dziki okrzyk radości.

— Wybierać, wybierać — Aubrey nadal popędzał marynarzy. — Musimy jak najszybciej znaleźć się na głębokiej wodzie. — Kabestan obracał się teraz całkiem szybko, ludzie nie nadążali z odbieraniem odwijanej liny. Slup wypłynął powoli na środek kanału. — Dosyć! Wszyscy do żagli! Panie Parker, postawić wszystko, co się da.

— Słucham? Czy może pan powtórzyć...? — Nieważne, marynarze, którzy usłyszeli rozkaz, byli już na rejach. Po chwili rozwinął się podziurawiony i poszarpany grotżagiel. Za to grotsztaksel był prawie nienaruszony; slup rozpędzał się powoli i zaczął wreszcie słuchać steru. Jack poczuł nagły przypływ świeżych sił.

— Panie Goodridge — zawołał donośnym głosem. — Niech pan odetnie kotwice i poprowadzi mnie w morze przez Ras du Point. Proszę wypuścić za rufą hol, gdy tylko ruszy pan z miejsca.

— Tak jest, sir.

Kapitan osobiście stanął za sterem, kierując „Polychrest" na nawietrzną stronę kanału. Nie wolno było dopuścić do tego, by na skutek dryfu znów znaleźli się na mieliźnie. Okręt żeglował ociężale, dziwnie niezgrabnie kołysząc się z burty na burtę, kadłub był bardzo głęboko zanurzony. Na masztach pojawiło się jeszcze kilka żagli: stermarssztaksel, fragment bezana — porwane skrawki płótna. Wszystkie razem pozwalały jednak żeglować Z prędkością około dwóch węzłów i przy tym prądzie, płynąc wzdłuż kanału, już za dziesięć minut powinni znaleźć się na szerokich wodach.

— Panie Rolfe...

— Pan Rolfe nie żyje, sir.

— Proszę wobec tego zawołać któregoś z jego ludzi. Działa mają jak najszybciej wrócić na miejsce.

— Nie było sensu zwracać się do Parkera: pierwszy porucznik był zupełnie zdezorientowany. — Panie Pullings, niech pan weźmie kilku sprytnych ludzi na dziób. Sprawdźcie, czy uda wam się podjąć hol z wody. Co się stało, panie Gray?

— Sześć stóp wody w zęzach, sir. Doktor pyta, czy może przenieść rannych do pańskiej kabiny. Umieścił ich na razie w mesie oficerskiej, lecz woda zalała tam już podłogę.

— Oczywiście. Zaraz ktoś mu pomoże. Czy udało się panu znaleźć kolejne przestrzeliny? Musimy natychmiast obsadzić pompy.

— Robię, co mogę, sir, lecz wydaje mi się, że to nie kwestia otworów po kulach. Kadłub po prostu się rozpada. Otwiera się jak pączek róży...

Huraganowy ogień armat brzegowych baterii zagłuszył słowa cieśli. Niektóre pociski były rozżarzone do czerwoności: Francuzi zdążyli rozpalić paleniska. Kule przeważnie wpadały do wody, trzy z nich przeleciały jednak nisko nad pokładem, od dziobu do rufy, ścinając resztki want stermasztu. Babbington przyszedł na rufę —jeden z rękawów jego kurtki wisiał pusty. Chwiejąc się na nogach, podchorąży zameldował, że hol został podjęty z wody i obłożony na polerze.

— Bardzo dobrze. Allen, proszę wziąć kilku ludzi na dół. Pomożecie doktorowi przy przenoszeniu rannych do mojej kabiny. — Kapitan uświadomił sobie nagle, że niepotrzebnie tak głośno krzyczy. Z fortu Convention wystrzeliło jeszcze pojedyncze działo i zapadła cisza. Robiło się też coraz ciemniej, gdyż księżyc był już bardzo nisko. Hol naprężył się, slup zadrżał lekko i ruszył w ślad za korwetą, na której postawiono właśnie główne żagle oraz marsle na fok i grotmaszcie. Jej załoga zajęta teraz była usuwaniem szczątków ściętej stengi stermasztu. Jack z podziwem spoglądał w stronę płynącego przed dziobem okrętu: była to naprawdę piękna i zgrabna jednostka. Ciągnęła hol z wielką siłą — musiała też być bardzo szybka.

Płynęli teraz wzdłuż krawędzi mielizny East Anvil, od strony lądu — grzbiet piaszczystej łachy wystawał ponad powierzchnię i rozbijały się na nim spienione fale. Przed dziobem znajdowało się przejście Ras du Point, pełne transportowców. Również i te jednostki wydawały się nieświadome tego, że „Fanciulla" zmieniła właściciela. Stały w miejscu — taka szansa nadarzała się tylko raz w życiu.

— Panie Goodridge! Jak tam pańskie działa?

— Wspaniałe, sir. Mosiężne dwunastofuntówki i cztery ósemki. Mamy też pełno gotowych ładunków.

— Wobec tego proszę przejść środkiem, między tymi transportowcami, dobrze?

— Tak jest, sir.

— Jenkins, jak tam nasz proch?

— Mokry, sir. Woda dostała się do prochowni. Mamy jednak po trzy suche ładunki na każde działo i mnóstwo kul.

— Wobec tego proszę załadować podwójnie, po dwa pociski. Wystrzelimy po drodze na wiwat. Na pewno nie będzie to elegancka salwa, na okręcie brakowało ludzi. Uda się tylko wystrzelić z obu burt, lecz absolutnie nie było mowy o przetaczaniu i szybkim ładowaniu dział. Nawet jednak coś takiego powinno wystarczyć — Francuzi na pewno długo popamiętają podobne pożegnanie, a o to przecież chodziło. Jack roześmiał się głośno, uradowany pomysłem. Po chwili znów wybuchnął śmiechem, gdyż zrozumiał, że stoi na nogach tylko dzięki temu, iż z całej siły trzyma się steru.

Księżyc zgasł już prawie zupełnie, przesmyk Ras du Point przybliżał się bardzo powoli. Pullings zdołał wykonać z przodu coś na kształt prowizorycznego masztu i postawił kolejny żagiel. Parslow spał jak suseł koło relingu. W gromadzie transportowców zapanowało poruszenie. Aubrey usłyszał odległe wołanie i odpowiedź z „Fanciulli" zakończoną gromkim wybuchem śmiechu. Załogi statków dopiero teraz dostrzegły niebezpieczeństwo. Na masztach pojawiły się stawiane pospiesznie żagle. Korweta płynęła teraz w odległości stu jardów przed dziobem „Polychrest".

— Panie Goodridge, niech pan wystawi grotmarsel na wiatr — krzyknął Jack. Slup sunął bardzo ociężale, obie jednostki zbliżały się jednak teraz powoli do siebie. Francuskie żaglowce uciekały w kilku różnych kierunkach, przynajmniej trzy statki zderzyły się ze sobą w wąskim kanale. Kolejne sekundy mijały dziwnie powoli, aż wreszcie nadeszła właściwa chwila. Znów należało działać. Jeden transportowiec znajdował się z lewej strony przed dziobem i był oddalony o jakieś dwieście jardów, trzy inne, sczepione razem, stały na mieliźnie za prawą burtą.

— Ognia! — zawołał Aubrey, wykładając ster na burtę. W tej samej chwili odezwały się też działa korwety. Oba okręty znajdowały się w samym środku rozproszonej gromady i strzelały z obydwu burt. Członkowie załóg stojących na mieliźnie statków wymachiwali latarniami i coś krzyczeli, w huku dział nie można tego było jednak zrozumieć. Uciekający transportowiec nie zdołał wykonać zwrotu przez sztag i zepchnięty wiatrem zdryfował pod burtę „Polychrest", tuż po wystrzale ostatniej karonady. Drzewce francuskiego żaglowca zaplątały się w ocalałe wanty slupa, któryś z angielskich marynarzy wykazał się przytomnością umysłu i związał ze sobą grotreje obu jednostek. Francuski kapitan skapitulował, widząc tuż nad głową lufy pustych przecież dział.

— Panie Pullings, proszę obsadzić ten statek — polecił Jack. — Niech pan trzyma się blisko, na mojej zawietrznej. Mogę panu dać tylko pięciu ludzi. Panie Goodridge! Strzelajcie dalej!

Minęło zaledwie pół godziny i w przesmyku nie było ani jednego transportowca normalnie utrzymującego się na wodzie: trzy weszły na mieliznę, dwa wylądowały na brzegu, jeden zatonął (dwudziestoczterofuntowe kule z bliskiej odległości dosłownie roztrzaskały burty), pozostałe statki uciekły na zewnętrzną redę lub z powrotem do portu w Chaulieu. Jeden z nich spłonął tam, przypadkowo trafiony rozgrzaną do czerwoności kulą z brzegowej baterii St Jacques. Pół godziny wystarczyło obu okrętom na przejście kanału i ostrzelanie po drodze francuskich jednostek. Slup poruszał się jednak coraz wolniej, coraz bardziej ociężale, tak mocno naprężając hol, iż Jack wezwał w końcu korwetę i zdobyty transportowiec pod burtę „Polychrest".

Prowadzony przez Bondena zszedł pod pokład, chcąc sprawdzić prawdziwość coraz bardziej alarmujących raportów cieśli i polecił, by ranni jak najszybciej zostali przeniesieni na korwetę. Wydał również rozkazy dotyczące jeńców, poprosił o przyniesienie dokumentów i usiadł z trudem. Patrzył na trzy kołyszące się na falach jednostki i na zmęczonych ludzi przenoszących rannych

kolegów oraz najniezbędniejsze rzeczy na pokład ,,Fanciulli".

— Czas już na nas, sir — powiedział Parker. Obok stali Rossall i Pullings, gotowi, by przenieść kapitana.

— Idźcie. Dam sobie radę — Jack oświadczył stanowczo. Jego podwładni spojrzeli po sobie, dostrzegli determinację na twarzy dowódcy i posłusznie przeszli na korwetę. Stali teraz niepewnie przy relingu. Bryza zmieniła kierunek i wiała od strony lądu, niebo na wschodzie pojaśniało wyraźnie. Byli już za Ras du Point; mielizny zostały z tyłu i w oddali lśniły ciemnym błękitem głębokie wody kanału. Aubrey wstał i trzymając się tak prosto, jak tylko mógł, podszedł do rozbitej furty działowej i z wielkim trudem skoczył na pokład ,,FanciulIi". Po skoku zachwiał się, z trudem utrzymując równowagę i obrócił się powoli — chciał ostatni raz popatrzeć na swój okręt. Pogruchotany żaglowiec jeszcze przez jakiś czas utrzymywał się na wodzie, aż wreszcie miękko poszedł na dno. Z otwartych luków z głośnym westchnieniem uciekało powietrze, kadłub zanurzał się powoli i po chwili osiadł na piasku. Z wody wystawały tylko końce potrzaskanych masztów. Trwało to w sumie ponad dziesięć minut i uciekające z żył resztki krwi utworzyły w tym czasie pod stopami kapitana sporą kałużę.

— Chodź, przyjacielu — Stephen powiedział Jackowi wprost do ucha, tak jakby to wszystko działo się we śnie. — Chodź na dół. Słyszysz, co mówię? Musisz pójść ze mną. Straciłeś za dużo krwi. Na dół. Słyszysz mnie? Bonden, zniesiemy go razem pod pokład...

ROZDZIAŁ DWUNASTY

,,Fanciulla "

Downs

20 września 1804

Szanowny Panie,

Na życzenie Pańskiego syna Williama, mojego dzielnego i gorliwego podchorążego, piszę tych kilka stów, aby poinformować Pana o naszym starciu z Francuzami w zeszłym tygodniu. Dowodzony przeze mnie okręt wspaniale spisał się w tej walce, lecz Bóg mi świadkiem, iż nasz sukces był wyłącznie zasługą moich oddanych oficerów — Pański syn szczególnie chlubnie się wśród nich wyróżnił. Wszystko u niego w porządku i mam nadzieję, że sytuacja nie zmieni się na gorsze, został bowiem pechowo ranny, gdy zdobywaliśmy ,, Fanciullę " . Kość ramienia jest pogruchotana i jak się obawiam, będzie tutaj konieczna amputacja. Na szczęście to lewa ręka, a pod opieką tak doświadczonego lekarza jak doktor Maturin na pewno wszystko dobrze się zagoi. Mam nadzieję, iż nie uzna Pan tej chwalebnie odniesionej, zaszczytnej rany za nieszczęście.

Czternastego września w nocy wpłynęliśmy na redę portu w Chaulieu, gdzie nasz okręt nieszczęśliwie wszedł na mieliznę i dostał się pod krzyżowy ogień francuskich baterii brzegowych. W tej sytuacji niezbędne stało się zdobycie jakiejś większej jednostki, która mogłaby ściągnąć nasz slup z piachu. Wybraliśmy okręt zacumowany koło jednego z fortów i wyruszyliśmy tam

pospiesznie na łodziach. Pański syn został ranny właśnie podczas owego abordażu. Jak się okazało, zdobyliśmy liguryjską korwetę o nazwie „Fanciulla", uzbrojoną w dwadzieścia dział — służyło na niej kilku francuskich oficerów. Następnie zaatakowaliśmy nieprzyjacielskie transportowce: syn Pana wyróżnił się wtedy sprawnością i odwagą. Udało nam się zdobyć jeden z tych statków, jeden zatopiliśmy, a pięć znalazło się na brzegu. W tym momencie dowodzony przeze mnie slup „Polychrest" nieszczęśliwie zatonął. Jego kadłub został przestrzelony w ponad dwustu miejscach, spore uszkodzenia spowodowały też uderzenia o dno podczas pięciogodzinnego postoju na mieliźnie. Na zdobytych pryzach udaliśmy się do Downs. Wczoraj po południu na pokładzie okrętu „Monarch" odbyło się posiedzenie sądu wojennego i oficerowie „Polychrest" zostali w zaszczytny sposób uwolnieni od wszelkich zarzutów związanych z utratą okrętu. Sędziowie pozwolili sobie także na kilka bardzo ujmujących uwag pod naszym adresem. Pełniejszy opis całej tej akcji znajdzie Pan w moim liście do redakcji „Gazette", który zostanie wydrukowany w jutrzejszym wydaniu. Wymieniam tam nazwisko Pańskiego syna i ponieważ udaję się właśnie do siedziby Admiralicji, wspomnę również o Pańskim dzielnym chłopcu podczas rozmowy z pierwszym lordem.

Załączam szczere wyrazy uszanowania dla Pani Babbington i pozostaję Pańskim uniżonym sługą

Jno. Aubrey

PS. Doktor Maturin również przesyła serdeczne pozdrowienia i prosi, abym przekazał, iż istnieje nadzieja na to, że uda się uratować złamane ramię. Muszę tutaj dodać, że nikt w naszej flocie nie posługuje się tak sprawnie chirurgicznym nożem jak on, co w razie konieczności będzie dla obojga Państwa na pewno sporą pociechą.

— Killick! — krzyknął Jack, składając i pieczętując list. — To na pocztę. Czy doktor jest już gotowy?

— Jestem gotowy i czekam na ciebie od czternastu minut — Stephen odpowiedział z przekąsem. — Piszesz naprawdę bardzo powoli, daję słowo. Przez ten czas można by z powodzeniem napisać *Iliadę*... I komentarz do niej...

— Bardzo cię przepraszam, mój drogi. Nienawidzę pisania listów. Zawsze idzie mi to jak po grudzie. Nie mam lekkiego pióra...

— *Non omnia possumus omnes* — doktor wygłosił filozoficzną sentencję. — Może jednak uda nam się o umówionej porze zejść do łodzi? Tutaj są twoje lekarstwa. Musisz wypić tę miksturę i połknąć proszki. Pamiętaj też o kuflu portera: rano, przy śniadaniu i w południe.

Wyszli wreszcie na pokład. Od rana trwało tu wielkie poruszenie: mycie, szorowanie, cegiełkowanie; wszędzie pachniało farbą, a mosiężne lufy dział były gorące od polerowania. Marynarze dowiedzieli się, że zdobyty przez nich pryz zostanie zakupiony do służby w marynarce wojennej i mieli nadzieję, że zadbana, dobrze utrzymana jednostka uzyska wyższą cenę. Byli tym bezpośrednio zainteresowani — otrzymają przecież trzy ósme zapłaconej za okręt sumy.

— Myślę, że pamięta pan o moich zaleceniach, panie Parker? — zapytał Jack, przygotowując się do

zejścia za burtę.

— Och, tak, sir — zawołał pierwszy porucznik. — Wszyscy pracują tak ciężko z własnej, nieprzymuszonej woli... — Patrzył na kapitana z wyraźnym szacunkiem, wręcz służalczo. Niezależnie od wszystkich innych powodów, cała przyszłość porucznika Parkera zależała od tego, co dowódca okrętu powie w Admiralicji dziś wieczorem.

Aubrey skinął głową, ostrożnie chwycił linki poręczowe i powoli zszedł do łodzi. Gdy odpływali spod burty, na pokładzie odezwały się życzliwe, radosne wiwaty. Okrzyki nie potrwały jednak zbyt długo; ludzie natychmiast z powrotem wzięli się do roboty, gdyż wycena jednostki miała nastąpić już za kilka godzin.

— Powinniśmy skierować się trochę bardziej w lewo. — Stephen wskazał sternikowi kierunek. — O czym to mówiłem? Ach, tak. Kufel portera do obiadu, żadnego wina. Jeśli już, to z wodą, przed spaniem. Nie wolno ci też jeść wołowiny ani baraniny, tylko ryby, drób i króliki. I oczywiście... *Venerem omitte.*

— Słucham? Ach tak... Oczywiście. Masz rację... Wiosła! Wyciągnijcie łódź na brzeg. — Pod dnem zagrzechotały muszelki i drobne kamyki. Aubrey i Maturin ruszyli w poprzek plaży, grzęznąc w miękkim piasku. Przecięli drogę i skierowali się na wydmy.

— Tutaj? — zapytał Jack, rozglądając się dookoła.

— Za następnym pagórkiem. Jest tam taka mała, osłonięta ze wszystkich stron dolinka. To bardzo wygodne miejsce. O, tam... — Przeszli przez piaszczysty grzbiet i ich oczom ukazała się ciemnozielona kareta oraz woźnica, jedzący spokojnie śniadanie.

— Moim zdaniem, znacznie lepszy byłby karawan — Aubrey mruknął pod nosem.

— Po co? Twój własny ojciec nie rozpoznałby cię w tych bandażach i z taką ziemistą cerą. Mówiąc szczerze, rzeczywiście wciąż bardziej nadajesz się na pasażera karawanu niż karety. Zdarzało mi się przeprowadzać sekcje nieboszczyków, którzy wyglądali znacznie lepiej niż ty w tej chwili. Dalej, wsiadaj, nie ma chwili do stracenia. Uwaga na schodki. Preserved Killick, dbaj dobrze o naszego dowódcę. Dwa razy dziennie ma brać lekarstwo. Pamiętaj, że najpierw trzeba je dobrze wstrząsnąć... Proszki trzy razy. Kapitan na pewno będzie udawał, że o nich zapomniał...

— Ja będę o tym pamiętał, sir. Dopilnuję wszystkiego, może pan na mnie polegać.

— Zamknij drzwi. Jedziemy. Wszyscy z drogi! Uwaga!

Kareta zatoczyła koło, Stephen przez chwilę patrzył na znikający w oddali obłok kurzu.

— Szkoda, że nie spróbowaliśmy jednak tego numeru z trumną i karawanem — zauważył Bonden. — Jeśli teraz go zamkną, serce mi chyba pęknie.

— To był raczej głupi pomysł. Jadący z Dover karawan, zaprzężony w czwórkę koni, na pewno zwróciłby powszechną uwagę i komentarze. Kapitan nie potrzebuje teraz zbędnego rozgłosu...

— To prawda, lecz karawan ma też swoje zalety. Z tego co mi wiadomo, nikt nigdy nie aresztował zwłok. Jest już jednak za późno. Płynie pan z nami, czy mamy zabrać pana później?

— Dziękuję, Bonden... Muszę coś załatwić w Dover, znajdę tam jakąś łódź.

Kareta jechała spokojnie, na szczęście nie wzbudzając podejrzeń, gdyż od chwili powrotu z Chaulieu Aubrey śmiertelnie obawiał się swych wierzycieli. Wrócił do Downs bez „Polychrest" i z pryzami. Wokół jego osoby narobiło się w związku z tym sporo szumu. Nie było się co prawda czego wstydzić, lecz w swojej obecnej sytuacji na pewno powinien unikać rozgłosu. Dla pewności Jack nie schodził więc w ogóle na ląd i odrzucał wszystkie zaproszenia, nawet od wysoko postawionych osobistości. Jego sytuacja finansowa poprawiła się nieco; za „Fanciullę" powinien otrzymać około tysiąca funtów, za transportowiec od stu do dwustu, lecz wciąż nie wiadomo było, czy Admiralicja wypłaci pełną sumę pieniędzy należną za głowę każdego członka załogi zdobytego okrętu, skoro tylu marynarzy uciekło na brzeg? Czy zostanie przyznana zwyczajowa nagroda pieniężna za każde działo na zniszczonych transportowcach? Słysząc te pytania, nowy agent pryzowy potrząsnął tylko z powątpiewaniem głową i powiedział, że niczego nie jest w stanie na razie obiecać. Na szczęście wypłacił od razu sporą zaliczkę i w kieszeni kurtki Jacka przyjemnie szeleściły teraz nowiutkie banknoty. Nie oznaczało to jednak w żadnym razie końca kłopotów i gdy jechali przez Canterbury, Rochester oraz Dartford, Aubrey chował się w najciemniejszym kącie karety. Zapewnienia Stephena niewiele tutaj pomogły — kapitan doskonale wiedział, jak się nazywa i był przekonany, że również wszyscy inni ludzie muszą widzieć w nim Jacka Aubreya, winnego firmie Grobian, Slendrian and Co. jedenaście tysięcy dwanaście funtów, sześć szylingów i osiem pensów. Istniały też inne, bardziej racjonalne powody do obaw. Wierzyciele oraz ich prawnicy łatwo mogli się domyślić, że dowódca „Polychrest" zostanie niezwłocznie wezwany do Admiralicji i zapewne podjęli już odpowiednie działania. Jack nie opuszczał więc karety, gdy zmieniano konie, większą część drogi przebył, drzemiąc, schowany przed wzrokiem ciekawskich. Ostatnio bez przerwy czuł się zmęczony. Spał również w chwili, gdy Killick obudził go i z szacunkiem, lecz równocześnie tonem nie znoszącym sprzeciwu, powiedział:

— Czas wziąć lekarstwo, sir.

Jack spojrzał na przygotowaną porcję leku. Chyba jeszcze nigdy Stephen nie przygotował czegoś równie wstrętnego. Już na sam widok tego paskudztwa od razu zbierało się na wymioty. Ratowanie zdrowia nie było chyba warte tak strasznej ceny.

— Nie przełknę tego świństwa bez popicia — stwierdził stanowczo.

— Trudno. Spróbujemy coś na to poradzić — powiedział steward, wychylając głowę przez okno karety i zawołał: — Woźnico, ahoj! Zatrzymaj się koło najbliższej oberży. Słyszysz mnie? — Po kilku minutach kareta zajechała przed drzwi gospody. — Teraz, sir, pójdę sprawdzić, czy tam w środku wszystko w porządku... — Killick spędził w swym życiu bardzo niewiele czasu na lądzie — większą część z tego przeżył w zapadłej wiosce wśród bagien Essex. Miał jednak sporo wrodzonego sprytu i dużo wiedział o lądowych szczurach. Większość z nich stanowili jego zdaniem naganiacze szukający chętnych do służby na okrętach, kieszonkowcy, oszuści, prostytutki i kwestujący urzędnicy biura do spraw kombatantów. Wydawało mu się też, że z daleka potrafi wyczuć łajdaka; chyba dlatego wszyscy napotkani ludzie wydawali mu się podejrzani. Równocześnie nawet na chwilę nie

przestawał wierzyć w to, że absolutnie nikomu nie uda się go oszukać. Był najgorszym z możliwych towarzyszem podróży dla osłabionego ranami i zdenerwowanego dłużnika, kryjącego się przed wierzycielami. W jakiejś bitwie zdobył kapelusz duchownego, co w połączeniu z kolczykami w uszach, marynarskim warkoczykiem, niebieską kurtką z mosiężnymi guzikami, białymi spodniami i srebrnymi sprzączkami przy butach dawało tak wspaniały efekt, iż niektórzy z siedzących w gospodzie gości wyszli za Killickiem aż do stojącej na dworze karety. Nie zwracając na nich uwagi, wsadził głowę do wnętrza powozu.

— Nic z tego, sir. W barze siedzi kilku bardzo podejrzanych gości. Będzie pan musiał wypić coś tutaj. Co panu przynieść? Musi pan jak najszybciej wziąć lekarstwo... — Po chwili namysłu Jack odpowiedział, że ma ochotę na odrobinę sherry. — Och, nie, sir. Doktor zabronił panu pić wino. Jeśli już, to porter. — Killick przyniósł butelkę sherry (do karety wypadało przecież zamówić wino) i kufel piwa. Opróżnił butelkę, oddał tyle drobnych reszty, ile uznał za stosowne i uważnie przyglądał się połykającemu lekarstwo kapitanowi.

Jack wykrzywił się, z trudem pohamował wymioty i wypił duszkiem piwo.

— Tak właśnie powinno wyglądać porządne leczenie — oświadczył z przekonaniem steward. — Jedź już, bracie! — krzyknął do woźnicy.

Jack zasnął znowu i obudziło go dopiero szarpnięcie za ramię.

— Co się stało? — zapytał, ziewając.

— Zacumowaliśmy, sir. Jesteśmy na miejscu.

— Zgadza się... — Kapitan ujrzał za oknem znajomy dziedziniec i oprzytomniał nagle. — Bardzo dobrze. Staniesz teraz gdzieś z boku i na mój sygnał wjedziesz potem po mnie szybko na dziedziniec.

Aubrey był pewny, że spotka go dziś w Admiralicji całkiem uprzejme przyjęcie. Zdobycie „Fanciulli" wywołało przecież bardzo przychylne reakcje we flocie i w prasie. Nastąpiło w chwili, gdy nie było innych wiadomości mogących zapełnić strony gazet, a groźba inwazji skutecznie pogorszyła nastroje czytelników. Slup Jego Królewskiej Mości „Polychrest" zatonął w najlepszym możliwym momencie; żaden inny wyczyn nie przysporzyłby tej pechowej jednostce więcej chwały. Dziennikarze zachwyceni byli faktem, iż choć oba okręty nominalnie były tylko slupami, na pokładzie „Fanciulli" znajdowało się dwa razy więcej ludzi. Szczęśliwie pomijano milczeniem fakt, iż jej załogę stanowiło aż osiemdziesięciu pokojowo nastawionych Włochów. Redaktorzy policzyli też uprzejmie małe działa na pokładach transportowców w ogólnym zestawieniu sił. Szczególnie miły sercu Jacka stał się autor artykułu zamieszczonego w „The Post". Ów dżentelmen napisał, co następuje:

Było to wspaniałe i naprawdę zadziwiające zwycięstwo. Stało się ono udziałem niedoświadczonej i niepełnej załogi, złożonej głównie ze świeżo zaciągniętych rekrutów oraz kilkunastoletnich chłopców. Ten wspaniały sukces brytyjskich marynarzy powinien pokazać francuskiemu cesarzowi, jaki los czeka jego flotyllę inwazyjną. Jeśli nasi bohaterscy majtkowie są w stanie niszczyć jej jednostki schowane za niedostępnymi mieliznami i pod osłoną krzyżowego ognia brzegowych

baterii, poradzą sobie też na pewno na otwartym morzu.

W całym artykule było znacznie więcej podobnych zdań o bohaterstwie i nieustraszonych sercach marynarzy — te fragmenty szczególnie podobały się nowej załodze „Fanciulli" i co bardziej wykształceni jej członkowie odczytywali je w kółko swym kolegom z kilku krążących po okręcie egzemplarzy gazety. Jack wiedział, że podobne sformułowania na pewno spodobały się też Admiralicji; lordowie byli przecież równie wrażliwi na publiczne pochwały jak zwykli śmiertelnicy. Wiadomo było też, że ów ogólny podziw wzrośnie po opublikowaniu oficjalnego listu z dokładną liczbą ofiar: siedemnastu zabitych i dwudziestu trzech rannych. Cywile byli zawsze dziwnie usatysfakcjonowani, gdy marynarze przelewali krew i zwycięstwa ceniono tym bardziej, im więcej one kosztowały. Szkoda tylko, że mały Parslow dostał w głowę. Gdyby nie to, wszystko wyglądałoby wręcz idealnie. Jack wiedział też coś, o czym nie napisały gazety, a co na pewno bardzo ucieszyło jego przełożonych. Dowódca "Fanciulli" nie miał czasu lub sposobności, by zniszczyć swoje tajne dokumenty, więc francuskie sekretne sygnały oraz szyfry przestały na jakiś czas być tajemnicą.

Teraz jednak, gdy siedział w poczekalni, w sercu kapitana „Polychrest" obudziły się też wątpliwości; przypomniał sobie swoje wcześniejsze grzechy i to, że admirał Harte w swej złośliwości zrobił na pewno wszystko, co tylko możliwe, by mu zaszkodzić. Aubrey zdawał sobie doskonale sprawę z tego, iż nie będzie w stanie wytłumaczyć się ze wszystkich swoich złych uczynków. W Downs czasem zbyt wiele sobie pozwalał i ostrzeżenie przekazane przez Stephena trafiło w czuły punkt. Mogło ono pochodzić tylko z jednego źródła — od Dundasa, który był przecież naprawdę dobrze ustosunkowany i na pewno dokładnie wiedział, jak przełożeni oceniają postępowanie dowódcy „Polychrest". Jeśli zechcą przejrzeć dzienniki okrętowe i książki poleceń, trudno będzie wyjaśnić pewne rzeczy. Drobne nadużycia i kłamstewka, tak za każdym razem sprytnie zakamuflowane, wzięte razem wyglądały wręcz żałośnie i idiotycznie. I jeszcze coś: jak to się stało, że zaraz na początku akcji slup wszedł na mieliznę? Wyjaśnij to, przemądrzały spryciarzu...

Jack był więc bardziej niż uradowany, gdy lord Melville wstał na jego widok zza biurka i wyciągając rękę na powitanie, zawołał:

— Kapitan Aubrey! Tak się cieszę, że pana widzę. Pamięta pan, co kiedyś powiedziałem: Jeśli nadarzy się sposobność, na pewno odznaczy się pan chwalebnie w boju... Pamięta pan? Rozmawialiśmy tu, w moim gabinecie... Jak się okazało, miałem rację. Rada jest bardzo zadowolona I tego, iż to właśnie pan został dowódcą „Polychrest". Ogólny podziw wywołała też pańska akcja w Chaulieu. Szkoda tylko, że nie obyło się bez strat. Wiem, że były znaczne. Pan też mocno ucierpiał. Proszę mi powiedzieć. .. — pierwszy lord spojrzał na obandażowaną głowę swego rozmówcy — ...jak tam pańskie rany? Czy bardzo... Czy bardzo panu dokuczają?

— Raczej nie, wasza wysokość. Można wytrzymać.

— W jakich okolicznościach został pan ranny?

— Cóż... Oberwałem czymś w głowę, najprawdopodobniej był to odłamek pocisku z moździerza. Tak mi się przynajmniej zdaje. Na szczęście byłem wtedy pod wodą i to złagodziło siłę uderzenia. Straciłem tylko trochę skóry i włosów. Druga rana to skutek pchnięcia szpadą, którego nawet nie poczułem w ferworze walki. Okazało się jednak, że ostrze przecięło którąś z żył i zanim zdałem

sobie z tego sprawę, straciłem mnóstwo krwi. Doktor Maturin powiedział, że zostało jej we mnie najwyżej trzy uncje i to głównie w palcach nóg.

— Widzę, że jest pan pod dobrą opieką.

— Och, tak, wasza wysokość. Doktor natychmiast wypalił ranę rozżarzonym do czerwoności żelazem i zatamował krwawienie opaską. Naprawdę szybko postawił mnie na nogi.

— Proszę mi powiedzieć, co panu przepisał? — zapytał zaciekawiony lord Melville. Bardzo interesował się własnym organizmem i dbał o swe zdrowie.

— Zupę. Olbrzymie ilości zupy, wodę z czosnkiem i ryby. I oczywiście lekarstwo, takie zielone. Do tego jeszcze porter.

— Porter? Czy porter poprawia krew? Muszę wypić dzisiaj kufel... Doktor Maturin to wspaniały człowiek.

— To prawda, wasza wysokość. Gdyby nie on, lista ofiar byłaby znacznie dłuższa. Ludzie są mu za to bezgranicznie wdzięczni. Chcą podarować doktorowi laskę ze złotą gałką.

— Dobrze, bardzo dobrze. Mam tutaj pański oficjalny list. Widzę, że z wielkim uznaniem wyraża się pan o swoich oficerach. Pisze pan, że szczególnie wyróżnili się Pullings, Babbington i Goodridge, pierwszy nawigator. Tak przy okazji, mam nadzieję, że rana młodego pana Babbingtona nie jest zbyt poważna? Jego ojciec dwukrotnie wspierał naszą partię w wyborach z racji tego, że syn służy w marynarce.

— Chłopak ma złamane ramię, podczas abordażu trafiła go muszkietowa kula. Schował jednak rękę pod kurtkę i z wielką odwagą walczył dalej. Później, gdy tylko założono mu opatrunek, wrócił na pokład i z wielkim oddaniem nadal wypełniał swe obowiązki.

— Jest pan więc zadowolony ze wszystkich swoich oficerów? A pan Parker?

— Wszyscy bardzo dobrze się spisali.

Lord Melville wyczuł w głosie Jacka wahanie.

— Czy może objąć samodzielne dowództwo? — zapytał, patrząc swemu rozmówcy prosto w oczy.

— Tak, wasza wysokość.

Rozpędzone myśli i nagły konflikt: koleżeńska lojalność, sumienie, zdrowy rozsądek, dobro służby, zwykła uczciwość...

— Cieszę się, że tak pan uważa. Książę William od pewnego czasu bombarduje nas prośbami w sprawie swego dawnego towarzysza broni... — Melville dotknął dzwonka i do gabinetu wszedł urzędnik niosący kopertę. Na jej widok serce Jacka załomotało i regenerująca się wciąż krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach. — To ważna okazja. Proszę pozwolić, że jako pierwszy pogratuluję panu

awansu. Przesunąłem trochę datę. Dnia dwudziestego trzeciego maja bieżącego roku otrzymał pan stopień kapitana.

— Dziękuję, wasza wysokość. Naprawdę bardzo dziękuję... — Na śmiertelnie dotąd bladej twarzy Jacka pojawiły się purpurowe rumieńce. —To dla mnie... To dla mnie prawdziwa przyjemność i wielki zaszczyt. Jeszcze raz dziękuję... Jestem bardzo wzruszony i czuję się naprawdę zobowiązany.

— Niech pan siada, niech pan siada, kapitanie Aubrey. — Lord Melville powiedział to z nie ukrywaną sympatią. Był wyraźnie przejęty. — Nie wygląda pan dobrze. Jakie ma pan plany? Pewnie zechce pan teraz skorzystać z kilkumiesięcznego urlopu? Pańskie zdrowie z pewnością tego wymaga.

— Och, nie, wasza wysokość! W żadnym wypadku. To była tylko chwilowa słabość, czuję się już całkiem dobrze. Ponadto doktor Maturin zalecił mi na czas rekonwalescencji jak najwięcej morskiego powietrza. Mam wręcz unikać pobytu na lądzie.

— No cóż... Niestety nie dam panu „Fanciulli"; zostanie przyjęta do służby jako slup i po awansie na stopień kapitana nie może pan zostać jej dowódcą. Trudno, los czasem jedną ręką daje, a drugą zabiera. Tak to czasem bywa. Skoro zaś nie mogę jej panu oddać, na pewno sprawiedliwie będzie, jeśli dostanie ją pański pierwszy porucznik.

— Dziękuję, wasza wysokość. — Jack sposępniał nagle i lord Melville popatrzył na niego zdumiony.

— Na szczęście... — dowódca floty mówił dalej — ...istnieje chyba poważna nadzieja na fregatę dla pana. Myślę tu o „Blackwater"; jest jeszcze w budowie i jeśli wszystko pójdzie dobrze, zostanie zwodowana za pół roku. W sam raz zdąży pan odzyskać siły, poodwiedza pan przyjaciół. Będzie pan też mógł od samego początku dopilnować prac wyposażeniowych.

— Wasza wysokość — zawołał Jack. — Nie wiem, jak mam dziękować... Otrzymawszy tak wiele, nie śmiem prosić o więcej... Jeśli jednak mam być szczery, moje sprawy finansowe bardzo się skomplikowały po bankructwie mojego agenta pryzowego i bardzo chciałbym objąć od zaraz jakiekolwiek dowództwo. Może znalazłoby się coś tymczasowego?

— Korzystał pan z usług tego drania Jacksona? — Lord Melville spojrzał na swego rozmówcę uważnie. — Robert też został przez niego oszukany. Stracił wtedy w sumie ponad dwa tysiące funtów. No cóż...

Rozumiem więc, że przyjmie pan tymczasowe dowództwo? Nawet na krótko?

— Bardzo chętnie, wasza wysokość. Wszystko jedno, co to będzie i na jak długo...

— Nie jestem w stanie nic obiecać... Może uda mi się coś znaleźć. Nie obiecuję jednak. Dowódca fregaty „Ethalion" jest chory. W grę wchodzą też „Lively" kapitana Hamonda i „Immortalite" lorda Carlowa — obaj, z tego co wiem, chcą wziąć udział w obradach parlamentu. Na pewno są też inne ewentualności, lecz w tej chwili nie pamiętam szczegółów. Poproszę pana Baintona, by się tym zainteresował, gdy będzie miał chwilkę wolnego czasu. Wie pan, w tych sprawach nigdy nic do końca nie wiadomo. Gdzie pan zanocuje? Nie wraca pan już przecież na „Fanciullę".

— W „Grapes", wasza wysokość. To Savoy...

— Savoy? — Lord Melville upewnił się, zapisując adres. — Rozumiem. Oczywiście. Czy zostały nam jeszcze jakieś sprawy, które powinniśmy omówić?

— Jeśli wolno, chciałbym jeszcze wspomnieć o czymś... Załoga „Polychrest" dała z siebie podczas bitwy naprawdę wszystko, lecz wydaje mi się, że ci ludzie nie mogą dłużej zostać razem. Moim zdaniem powinni zostać porozsyłani w małych grupkach na okręty liniowe.

— Czy to tylko ogólne wrażenie? Może mógłby pan podać jakieś nazwiska? Oczywiście wiem, że będą to tylko przypuszczenia...

— Nie jestem w stanie powiedzieć nic konkretnego, wasza wysokość. Uważam jednak, że lepiej będzie ich rozdzielić.

— Zajmę się tym. Myślę, że załatwiliśmy już wszystko. Jeśli nie ma pan innych planów, może zechce pan zjeść z nami w niedzielę obiad? Lady Melville bardzo się ucieszy. Będzie też Robert i Heneage...

— Bardzo dziękuję za zaproszenie, wasza wysokość. Akurat w niedzielę na pewno będę mógł przyjść. Proszę pozdrowić ode mnie lady Melville.

— Do zobaczenia, wobec tego. Jeszcze raz gratuluję panu awansu i życzę dobrego dnia.

Radość. Pojawiła się dopiero wtedy, gdy Jack wyszedł z gabinetu i zaczął schodzić po schodach. Chwilowa rozpacz po utracie „Fanciulli" minęła dopiero na trzecim lub czwartym stopniu. Bardzo liczył na to dowództwo — taki szybki, zwrotny i dobrze utrzymany okręt... Dopiero na półpiętrze zapomniał o wszystkim. Pozostała tylko wszechogarniająca, błoga radość. Dostał przecież upragniony awans. Nareszcie. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, Jack Aubrey umrze jako admirał.

Spojrzał życzliwie na uśmiechniętego portiera w czerwonej kurtce, niecierpliwie przestępującego z nogi na nogę u podstawy schodów.

— Gratuluję, sir — zawołał portier. — Och! Jest pan nieodpowiednio ubrany!

— Dziękuję, Tom. Coś nie tak? — Jack na chwilę zapomniał o radości i uważnie obejrzał swój mundur.

— Nie, nie, sir. — Portier posadził kapitana w swoim wysokim skórzanym fotelu i zabrał się do odczepiania epoletu umocowanego na lewym ramieniu. — Teraz lepiej — powiedział, przypinając epolet z prawej strony. — Wyglądał pan jak zwykły dowódca okrętu. Tak... Z mojej pomocy skorzystał też kiedyś lord Viscount Nelson. Po awansie na stopień kapitana zszedł po tych schodach tak samo jak pan.

— Naprawdę, Tom? — Aubrey zapytał zadowolony. Bardzo spodobały mu się słowa portiera (choć opisywane zdarzenie w żadnym wypadku nie mogło przecież mieć miejsca) i sypnął garścią złotych monet. Nie było ich może aż tak wiele, lecz wystarczyły, by Tom stał się wyjątkowo uprzejmy — szybko wybiegł z budynku i pomógł wprowadzić karetę na dziedziniec.

Budził się powoli, zadowolony i odprężony. Do łóżka poszedł po dziewiątej, wcześniej połknął lekarstwo i wypił kufel portera. Przespał dwanaście godzin, a wszystkie sny pełne były szczęścia i radości. Chciał w nich podzielić się z całym światem swymi uczuciami, lecz wciąż nie umiał sobie poradzić z wszechogarniającą, upartą bezsilnością. Śnił o Magdalenie z obrazu wiszącego w domu Queenie. Dziewczyna zapytała: „Dlaczego nie nastroisz swoich skrzypiec według gamy kolorów? Czemu wciąż używasz tych nudnych, pospolitych nut?" To było takie oczywiste; obaj ze Stephenem zaczęli stroić swoje instrumenty i już po chwili zamiast dźwięków popłynęły z nich barwy. Wiolonczela mieniła się na przemian brązem i purpurą, kolory mieszały się ze sobą, potem odpływały daleko, jaskrawe i soczyste. Nie umiał jednak sobie ich przypomnieć. Wszystkie zblakły nagle i powoli zaczęły zamieniać się w pozbawione treści słowa. Świat sennych marzeń stracił nagle sens. W obandażowanej głowie zaczęły kłębić się niespokojne myśli. Dlaczego niektóre sny wydają się takie realne i prawdziwe? Co znaczą? Jack podniósł się gwałtownie, beztroskie zadowolenie nagle gdzieś znikło. Wisząca na oparciu krzesła mundurowa kurtka wyglądała dokładnie tak samo jak wczoraj. Na kominku leżała jednak owa drogocenna koperta z żaglowego płótna. Wyskoczył z łóżka, wziął ją do ręki, obejrzał ze wszystkich stron i ostrożnie położył na swoim kuferku, tuż obok głowy. Po chwili zasnął znowu.

Killick krzątał się po pokoju, niepotrzebnie hałasując. Niezupełnie przypadkowo przewracał wciąż różne przedmioty i przez cały czas przeklinał pod nosem. Był w bardzo złym humorze. Powód takiego stanu rzeczy Jack bez trudu odgadł, a raczej wy wąchał, nie ruszając się z łóżka — dał przecież wczoraj wieczorem Killickowi złotą gwineę z okazji swego awansu. Kapitański steward przepił wszystko bardzo sumiennie, do ostatniego pensa i został w nocy przywieziony z miasta na wózku.

— Dzień dobry, sir — powiedział, zmuszając się do kaszlu. — Pora wziąć lekarstwo. — Jack spał dalej. — Udawanie nieboszczyka nic tutaj nie pomoże. Pora wstawać. Kapitan, czy nie kapitan, wszystko jedno. Trzeba połknąć wszystko jak należy i popić piwem. Dalej...

Około południa Jack wstał wreszcie i używając dwóch luster, obejrzał tył swojej głowy: rana goiła się chyba całkiem dobrze, lecz z ogolonym przez Stephena czubkiem czaszki wyglądał jak jakiś łysiejący bandzior. Skrzywił się, włożył cywilne ubranie i wyszedł na ulicę. Chciał pospacerować trochę na zewnątrz; do okien oberży „Grapes" przez cały rok nawet na chwilę nie zaglądało słońce. Po drodze zaszedł do baru i zapytał, dokąd dokładnie sięga Savoy — chodziło mu o granice błogosławionego sanktuarium — powiedział też, że chce dowiedzieć się czegoś więcej o ludziach, którzy przetrwali tutaj najdłużej.

— Może pan iść aż do Falconer's Rents, potem w poprzek na Essex Street, do czwartego domu od rogu i z powrotem na Cecil Street, bliżej City. Nie wolno panu jednak w żadnym wypadku przejść na drugą stronę ulicy lub minąć posterunków przy Sweating-House Lane. Jeśli się pan zagapi, będzie po wszystkim — spokojnie wyjaśnił pan Grapes. Takie niewinne pytania o chroniących się w Savoyu dłużników słyszał przynajmniej sto razy w roku.

Kapitan Aubrey przemierzał powoli tam i z powrotem ulice Księstwa Lancaster. Po drodze wstąpił do kawiarni, odruchowo sięgnął po gazetę i na jednej ze stron zauważył tekst swego listu: absurdalnie znajome zdania, podpis tak bardzo zmieniony przez druk... Tuż obok zamieszczono artykuł na temat akcji w Chaulieu. Jego autor napisał, iż brytyjscy marynarze byli naprawdę szczęśliwi, mogąc walczyć przy stosunku sił dwanaście i jedna ósma do jednego. Dla Jacka było to

coś naprawdę nowego. Skąd wzięła się taka liczba? Prawdopodobnie dziennikarz uwzględnił wszystkie działa i moździerze brzegowych baterii oraz uzbrojenie wszystkich francuskich jednostek obecnych na wodach zatoki, i podzielił to wszystko przez liczbę armat „Polychrest". Pomimo owego dziwnego stwierdzenia o uczuciach dzielnych marynarzy, ów człowiek wykazał jednak sporo zdrowego rozsądku i najwyraźniej sporo wiedział o Royal Navy. Napisał, że kapitan Aubrey znany jest jako dowódca nie ryzykujący niepotrzebnie życie swoich podwładnych. „To prawda" — pomyślał Jack. Dalej w artykule pojawiło się pytanie, dlaczego właśnie slup „Polychrest", słynący z niezliczonych defektów i wad, miał wykonać zadanie, do którego absolutnie się nie nadawał. W tym czasie inne jednostki —tu następowały nazwy — stały bezczynnie w Downs. Lista ofiar objęła przecież aż jedną trzecią stanu osobowego załogi i ktoś powinien za to odpowiedzieć. Dowodzony przez tego samego oficera slup „Sophie" zdobył fregatę „Cacafuego", tracąc tylko trzech ludzi.

„Co na to powiesz, ty stary..." — Jack zapytał w duchu admirała Harte.

Spacerując dalej, dotarł w pobliże kaplicy. W środku grały organy — koncertujący muzyk lekko i czysto wykonywał zawiłe frazy urzekającej fugi. Kapitan ruszył więc ścieżką dookoła ogrodzenia, szukając drzwi. Zanim jednak zdołał je otworzyć, wejść do środka i usiąść w ławce, skomplikowana muzyczna struktura urwała się nagle. Tłusty chłopiec zszedł z chóru i pogwizdując, wybiegł na dwór. Ciężko było znieść podobne rozczarowanie i nagły brak cudownie narastającego napięcia. Jack poczuł się jak na pokładzie żeglującego pod pełnymi żaglami okrętu, który nagle stracił wszystkie maszty.

— Taka szkoda, że przestał pan grać — powiedział do schodzącego z chóru organisty. — Myślałem, że usłyszę zakończenie.

— Nie mogłem dłużej grać, zabrakło mi powietrza — wyjaśnił organista, siwiejący pastor. — Ten łobuz pracował równo godzinę i żadna siła nie utrzymałaby go tutaj nawet minutę dłużej. Cieszę się, że spodobało się panu brzmienie naszych organów. Jest pan może muzykiem?

— Och nie, sir. Raczej dyletantem. Będę jednak szczęśliwy, jeśli pozwoli mi pan podmuchać trochę, oczywiście pod warunkiem, że zechce pan grać dalej... Nie możemy tak zostawić Handla. To wstyd.

— Będzie pan pompował? Naprawdę? Pokażę panu, jak to się robi. Zresztą, na pewno świetnie zna się pan na rzeczy. Muszę biec na chór, bo zaraz będą tutaj państwo młodzi. Za parę minut mam udzielić im ślubu...

Jack cierpliwie poruszał miechem i wnętrze kaplicy znów wypełniło się muzyką. Kolejne motywy splatały się ze sobą, w powietrzu wirowały barokowe ozdobniki, aż wreszcie wszystkie wątki zbiegły się razem we wspaniałym, monumentalnym finale, zaskakując czekającą na ślub młodą parę. Przyszli małżonkowie weszli cicho do środka; siedzieli teraz w ławce zdenerwowani i zawstydzeni, ich twarze promieniały w mrocznym wnętrzu. Nie zapłacili za muzykę — miała to być tylko najprostsza ceremonia — zaprosili za to do kościoła właścicielkę domu, w którym mieszkali oraz znajomą akuszerkę. Oboje byli niezwykle młodzi, piękni, bardzo tym wszystkim przejęci i zachwyceni. Pastor z wielką powagą udzielił im ślubu, zaznaczając w pewnej chwili, iż celem związku małżeńskiego jest wydanie na świat potomstwa. Lepiej więc na pewno wziąć ślub, niż smażyć się w piekle.

Gdy już było po wszystkim, nastroje państwa młodych bardzo się poprawiły. Na twarzach znów wykwitły rumieńce i uśmiechy. Nowożeńcy wydawali się jak na razie zadowoleni z małżeństwa i oczarowani sobą. Jack pocałował pannę młodą i podał chłopcu rękę — oboje byli jeszcze dziećmi. Złożył im serdeczne życzenia, potem wyszedł na zewnątrz, uśmiechnięty i zadowolony. „Na pewno czeka ich szczęśliwe życie" — pomyślał. „Będą się nawzajem wspierać, nie grozi im ta cholerna samotność.. . Dobrze jest mieć przy boku kogoś, z kim można dzielić radości i smutki. Ta dziewczyna była taka słodka. Ani śladu przewrotności i babskiej złośliwości: wierna i ufna. Małżeństwo to coś wspaniałego, nie ma porównania z... Boże, jestem po złej stronie Cecil Street".

Natychmiast obrócił się, chcąc przejść przez ulicę i w tej samej chwili wpadł na niego nadbiegający z tyłu młody człowiek. Ów młodzieniec wyraźnie kogoś gonił i trzymał w ręce jakiś papier.

— Kapitan Aubrey, sir? — zapytał zdyszany chłopak. Było już za późno na ewentualną ucieczkę. Jack szybko rozejrzał się dookoła: wierzyciele z pewnością nie liczyli na to, że aresztuje go taki dzieciak? — Powiedziano mi w „Grapes", że spaceruje pan po terenie księstwa, wasza wysokość. — W tym głosie na pewno nie było żadnej groźby. Dawało się wyczuć tylko umiarkowane zadowolenie. — Mogłem krzyknąć za panem, ale wiem, że to nie wypada...

— Kim jesteś, przyjacielu? — Jack stał wciąż przygotowany do ewentualnego starcia.

— Jestem siostrzeńcem Toma, wasza wysokość. Portiera, jeśli pan pozwoli. Tom ma dzisiaj służbę i prosił, bym to panu przekazał. — Młodzieniec podał Jackowi list.

— Dziękuję ci bardzo... — powiedział z ulgą Jack. — Bystry z ciebie chłopak. Powiedz wujowi, że jestem mu bardzo zobowiązany. A to dla ciebie, za fatygę,

W strumieniu jadących ulicą pojazdów nareszcie pojawiła się luka i kapitan szybko przeszedł z powrotem do Lancaster. Wrócił do „Grapes", poprosił o kieliszek brandy i bardzo zdenerwowany usiadł w fotelu. Nigdy jeszcze w swoim życiu nie był taki wzburzony.

— Nie ma mowy o brandy, sir — oświadczył stanowczo Killick. Zatrzymał wchodzącego do pokoju chłopca i skonfiskował przyniesiony na górę alkohol. —Nie wolno panu nawet pić wina! Doktor tak powiedział. Rusz no się, mały, skocz do baru i przynieś panu kapitanowi kufel portera. I żeby mi tylko czasem nie było za dużo piany... Znam te wasze sztuczki.

— Killick, niech cię szlag trafi. Idź do kuchni i poproś tu panią Broad. Pani Broad, co ma pani dzisiaj na obiad? Jestem strasznie głodny.

— Pan Killick powiedział, że nie może pan jeść wołowiny ani baraniny — zauważyła pani Broad. — Mam jednak ładny kawałek dziczyzny: soczysty udziec młodziutkiej sarny, sir.

— Dobrze. Niech więc będzie ta sarnina. Czy może pani przynieść mi też atrament i pióra? Boże... — Jack westchnął, gdy został sam w pokoju. — Soczysta, młodziutka sarna...

Dopiero po obiedzie napisał list do Stephena:

„Grapes"

piątek

Drogi Przyjacielu,

Możesz mi pogratulować— dostałem awans! Zupełnie się tego nie spodziewałem, chociaż dowódca floty przyjął mnie wyjątkowo uprzejmie. Nagle przyniesiono kopertę z oficjalnym rozkazem, pierwszy lord go podpisał i dwudziestego trzeciego maja zostałem awansowany na stopień kapitana. To coś jak nieoczekiwana salwa z trójpokładowca: tyle radości... Na początku długo nie mogłem w to wszystko uwierzyć. Zanim jednak po kryjomu dostałem się do „Grapes", zakwitłem ze szczęścia jak róża — szkoda, że Ciebie tutaj nie było! Świętowałem, popijając twoje lekarstwo porterem i zaraz potem poszedłem spać.

Dziś rano poczułem się za to o wiele lepiej. Przypadkowo trafiłem do kaplicy (tu w Savoyu) i przeżyłem naprawdę wzruszające chwile. Pastor grał pięknie na organach fugę Handla, lecz dmuchający w miechy chłopiec poszedł do domu i utwór nie został zakończony. Wziąłem się więc sam do pompowania i we dwójkę z pastorem doprowadziliśmy to arcydzieło do końca. Jak więc widzisz, kapitanowie marynarki przydają się czasem nawet w kościele.

Już jednak w chwilę później niewiele brakowało, a straciłbyś pacjenta. Jak ostatni głupiec wyszedłem poza granicę Księstwa Lancaster— w tej samej chwili podbiegł do mnie młody chłopiec i na cały głos wykrzyknął moje nazwisko. Byłem przekonany, że tym razem znalazłem się na zawietrznym brzegu. Na szczęście był to tylko rozkaz nakazujący mi, bym zgłosił się na fregacie „Lively ".

To tymczasowe dowództwo i jako pełniący jedynie zastępstwo kapitan nie mogę zabrać ze sobą przyjaciół ze starej załogi. Proszę cię jednak, Stephen, byś zechciał popłynąć ze mną w charakterze gościa. Marynarze z "Polychrest" otrzymają należne im pieniądze, a Parker zostanie dowódcą „Fanciulli". Miał to być ukłon w moją stronę, lecz jeśli chodzi o tego akurat człowieka, trudno wyobrazić sobie większą niesprawiedliwość. Zatroszczyłem się na szczęście o załogę i nie powinno być tutaj niepotrzebnych kłopotów. Bardzo proszę, przyjedź do mnie czym prędzej. Nie masz pojęcia, jak wielką sprawisz mi wtedy przyjemność. Wiem, że jestem wstrętnym egoistą, lecz muszę tutaj dodać coś jeszcze. Po tym, jak zaznałem Twojej opieki, nie pozwolę, by leczył mnie zwykły okrętowy łapiduch, a przecież wciąż jeszcze nie czuję się najlepiej. „Lively" to wzorowo utrzymana fregata, z dobrą reputacją i, jak mi się wydaje, zostaniemy skierowani do Indii Zachodnich. Pomyśl o bonito, egzotycznych ptakach, palmach i żółwiach...

Wysyłam do Ciebie Killicka. Chętnie pozbędę się go na jakiś czas; ostatnio stał się wprost nie do wytrzymania, wymądrza się i ciągle faszeruje mnie Twoimi lekarstwami. Przekaże Ci mój list i przy okazji dopilnuje, by nasze bagaże bezpiecznie dojechały do Nore. W niedzielę zjem obiad u lorda Melville 'a, Robert odwiezie mnie potem prosto na okręt swoją dwukółką. Nie będziemy zatrzymywali się po drodze. Wejdę w nocy po cichu na pokład i nie zamierzam postawić nogi na lądzie aż do chwili, w której przestanę wreszcie obawiać się aresztowania za długi i pobytu w więzieniu.

Zawsze Twój

— Killick! — Jack zawołał głośno.

— Tak, sir?

— Jesteś trzeźwy?

— Jak niemowlę, sir.

— W takim razie spakuj do kufra rzeczy, których używam na lądzie, wszystko oprócz munduru... I mojej brzytwy... Pojedziesz z tym do Nore, na pokład fregaty „Lively" i oddasz jej pierwszemu porucznikowi to urzędowe pismo. Zamustruję na ten okręt w niedzielę jako tymczasowy dowódca. Potem czym prędzej wybierzesz się do Downs. Masz tutaj następne dwa listy, jeden dla doktora, drugi dla pana Parkera. W tym ostatnim są dobre wiadomości, oddaj go więc pierwszemu porucznikowi do rąk własnych. Pamiętaj... Jeśli doktor zgodzi się popłynąć ze mną, zawieziesz na „Lively" jego kuferek i wszystko inne. Co tylko zechce. Nawet jeśli to będzie wypchany wieloryb lub dwugłowa małpa, zapłodniona przez bosmana. Nie zapomnij też o reszcie moich rzeczy, które zostały na „Fanciulli". Zabierzesz mój drugi kufer i wszystko, co udało się uratować z „Polychrest". Powtórz teraz, co masz zrobić. Dobrze. Tutaj są pieniądze na drogę, a to pięć szylingów na porządny kapelusz.

Ten, który masz teraz na głowie, możesz wrzucić do Tamizy. „Lively" to bardzo porządna fregata. Nie możesz pojawić się na jej pokładzie w czymś takim. Kup sobie też nową kurtkę. Masz wyglądać jak człowiek. — Nowy okręt Jacka należał przecież do najlepszych we flocie.

Tuż po północy, w szczerym polu, urwało się koło dwukółki i Aubrey dotarł na miejsce dopiero rano, przejeżdżając o świcie przez zatłoczone ulice Chatham. Była to naprawdę ciężka próba po tak męczącej nocy. Najgorsze miał jednak dopiero przed sobą. W drodze na okręt spotkał w porcie Stephena, który wyruszył z brzegu mniej więcej w tym samym czasie, tyle że z innego miejsca i kursy obu łodzi zbiegły się w jednym punkcie, mniej więcej o trzy staje od fregaty. Doktor skorzystał z jednego z jej kutrów. Marynarze na widok Jacka zasalutowali wiosłami i odtąd posłusznie płynęli w ślad za nowym dowódcą. Obaj przyjaciele znaleźli się więc w bliskiej odległości, a Stephen przez całą drogę nawoływał wesoło. Killick patrzył na kapitana przerażony, podchorąży siedzący za sterem zesztywniał, podobnie jak cała załoga kutra. Tylko jeden z wioślarzy, Matthew Paris z załogi „Sophie", uśmiechał się radośnie. Służący doktora (były tkacz, wciąż nie marynarz) nie miał zielonego pojęcia o właściwym zachowaniu — patrzył na to wszystko obojętnie swymi przyjaznymi, zmrużonymi oczami. Maturin miał na sobie jakieś bardzo dziwne ubranie. Gdy wstał, krzycząc i wymachując rękami, okazało się, iż od stóp do głów odziany jest w coś ciasnego i szarego. Ów niezwykły strój zwieńczony był czymś w rodzaju szalika; blada, zachwycona twarz doktora w zestawieniu z tym szczególnym kołnierzem wydała się Jackowi nienaturalnie płaska i duża. Stephen wyglądał teraz jak skrzyżowanie małpy z kangurem i jakby tego było mało, w dłoniach trzymał kieł narwala. Kapitan siedział wyprostowany, z podniesioną głową, udało mu się nawet wywołać na twarzy lekki uśmiech. W pewnej chwili coś odkrzyknął, odpowiadając na któreś z kolei wołanie:

— Dzień dobry... Tak... Nie... Cha, cha... — Natychmiast jednak spoważniał, jego twarz przypominała teraz kamienną maskę. „Coś mi się zdaje, że nasz doktor wypił za dużo" — pomyślał, z politowaniem kręcąc głową.

Wspinaczka po burcie, zaskakująco wysokiej w porównaniu z „Polychrest", świdrujący w uszach dźwięk gwizdków, pokład, prezentujący broń żołnierze piechoty morskiej, idealnie równo ustawione pododdziały, eleganckie mundury. Jack dawno nie widział czegoś podobnego; nawet podchorążowie mieli śnieżnobiałe spodnie i obszywane złotem kapelusze. Oficerowie stali nieruchomo, z odkrytymi głowami: porucznicy marynarki, porucznicy piechoty morskiej, pierwszy nawigator, lekarz okrętowy, ochmistrz, dwóch mężczyzn w czarnych kurtkach (zapewne kapelan i nauczyciel) oraz spora grupka podchorążych. Jeden z młodych dżentelmenów miał trzy stopy wzrostu, pięć lat i palec w buzi; był to niewinny zgrzyt, który dziwnie cieszył w zestawieniu z tymi wszystkimi złoceniami, wyszorowanym do białości pokładem i hebanowymi poręczami.

Aubrey dotknął ręką kapelusza i z powodu bandaża uniósł go nie więcej niż o cal.

— Trafił nam się ważniak — szepnął dowódca wachty żaglowej fokmasztu.

— Nic dobrego dla nas z tego nie wyniknie — podsumował któryś z marynarzy.

Pierwszy porucznik, wysoki mężczyzna o poważnej i surowej twarzy, zrobił krok do przodu i powiedział:

— Witamy na pokładzie, sir. Nazywam się Simmons.

— Dziękuję, panie Simmons. Dzień dobry. Czy mógłby pan przedstawić mi wszystkich oficerów?

Ukłony, nieśmiałe uśmiechy i grzecznościowe zwroty; z wyjątkiem kapelana oraz ochmistrza wszyscy byli raczej młodzi i na pierwszy rzut oka sprawiali dobre wrażenie. Odzywali się uprzejmie i ostrożnie, z wyraźną rezerwą.

— Bardzo dobrze... — Jack podziękował pierwszemu porucznikowi. — Jeśli pan pozwoli, za godzinę przeprowadzimy zbiórkę załogi. Odczytam wtedy rozkaz przekazujący mi dowództwo. Doktorze Maturin, dlaczego nie wchodzi pan na pokład? — zawołał, wychylając się za burtę.

Stephen nie zdołał jeszcze dotąd nauczyć się marynarskich sztuczek i droga na górę zajęła mu sporo czasu. Popychany z tyłu przez przerażonego Killicka pełzł powoli coraz wyżej, sapiąc głośno, a oficerowie fregaty zamarli w przedłużającym się coraz bardziej, pełnym napięcia oczekiwaniu.

— Panie Simmons... Oto mój serdeczny przyjaciel, doktor Maturin.

— Jack popatrzył na dziwacznie ubranego Stephena z nie ukrywanym wyrzutem. — Będzie mi towarzyszył. Doktorze Maturin, pan Simmons, pierwszy porucznik okrętu „Lively".

— Bardzo mi miło pana poznać — oświadczył doktor z uprzejmym dygnięciem; człowiek ubrany w coś równie dziwnego nie mógłby chyba wykonać zabawniejszego ruchu. Oficerowie „Lively" przyjęli jednak ów gest zaskakująco spokojnie i z niewzruszoną powagą, a pan Simmons ukłonił się sztywno, odpowiadając, że również czuje się zaszczycony. Gdy jednak Stephen spróbował być miły i ze śmiertelnie poważną miną porównał fregatę do statku Kompanii Wschodnioindyjskiej, na którym miał kiedyś okazję przebywać, jeden z chłopców nie wytrzymał i roześmiał się głośno. Ów dziecięcy śmiech ucichł jednak szybko, a zapłakany winowajca natychmiast zniknął gdzieś głęboko pod pokładem.

— Na pewno chcesz teraz obejrzeć moją kabinę — powiedział Jack, chwytając doktora mocno za ramię. — Marynarze zaraz wniosą twoje rzeczy na pokład. Nie musisz się o nic martwić — dodał szybko, gdyż Maturin spojrzał z troską w stronę łodzi i najwyraźniej miał ochotę wyrwać się z żelaznego uścisku.

— Osobiście tego dopilnuję — gorliwie zapewnił pan Simmons.

— Och, dziękuję panu — zawołał Stephen. — Proszę im powiedzieć, by uważali na moje pszczoły.

— Oczywiście, sir. — Pierwszy porucznik uprzejmie skinął głową.

Jackowi udało się jakoś w końcu zaprowadzić przyjaciela do kapitańskiego salonu. W przestronnej kabinie stały dwa działa —jedno na lewej, drugie na prawej burcie — i oprócz skromnych mebli oraz gołych ścian nie było tam właściwie nic więcej, oczywiście jeśli nie liczyć wygiętej w łagodny łuk linii okien na rufie. Kapitan Hamond najwyraźniej nie był więc sybarytą. Aubrey rozejrzał się dookoła, usiadł ciężko na wyścielanej szafce i przez chwilę patrzył uważnie na nowe ubranie doktora — z daleka wyglądało ono bardziej niż tragicznie, a z bliska jeszcze gorzej.

— Stephen — powiedział powoli. — Stephen... Wejść!

W drzwiach kabiny pojawił się Matthew Paris z kwadratowym pakunkiem w rękach. Stephen podbiegł szybko do marynarza, bardzo ostrożnie odebrał od niego paczkę owiniętą żaglowym płótnem, postawił ją delikatnie na stole i przyłożył do niej ucho.

— Posłuchaj, Jack — powiedział z uśmiechem. — Przyciśnij mocno ucho i posłuchaj, a ja zastukam... — W środku coś nagle zaszumiało.

— Słyszałeś? To znaczy, że królowej nic się nie stało. Wszystko u nich w porządku. Musimy jednak natychmiast je rozpakować, potrzebują powietrza. Widzisz? Szklany ul! Czy to nie zachwycające i wspaniałe? Zawsze chciałem mieć pszczoły...

— Jak ty sobie to wyobrażasz? Jak zamierzasz je hodować na okręcie wojennym? — wykrzyknął Aubrey. — Gdzie znajdziesz dla nich kwiaty na morzu? Co będą jadły?

— Widać ich każdy ruch. — Stephen obserwował wnętrze ula, wyraźnie zafascynowany. — O

jedzenie dla nich nie musisz się martwić. Wystarczy podać im co jakiś czas trochę cukru na spodku. Skoro niewidomy geniusz, monsieur Huber, może mieć pszczoły, na pewno i my poradzimy sobie z nimi jakoś na tej przestronnej korwecie.

— To jest fregata, nie korweta.

— Och, mój drogi, mniejsza o szczegóły. Nie będziemy się kłócić. O! Tutaj jest ich królowa, chodź, zobacz!

— Ile ich tam w środku może być? — zapytał Jack, trzymając się w bezpiecznej odległości.

— Około sześćdziesięciu tysięcy — odpowiedział beztrosko doktor.

— W przypadku złej pogody zamocujemy tu przegub od kompasu, tak żeby ul się niepotrzebnie nie kiwał.

— Pomyślałeś prawie o wszystkim — zauważył kapitan. —Trudno, chyba wytrzymamy z tymi pszczołami. Jak Damon i Pitagoras. Cóż to w końcu jest? Sześćdziesiąt tysięcy pszczół w jednej kabinie to w końcu nic takiego. Pozwól jednak sobie coś powiedzieć...

— Tak?

— Jest jeszcze coś, czego nie wziąłeś pod uwagę.

— Chodzi ci o to, że królowa może wciąż być dziewicą? — zaciekawił się Stephen.

— Raczej nie. Na pewno nie... Widzisz... Fregata, na której jesteśmy, należy do najlepszych we flocie.

— To bardzo dobrze. Strasznie się cieszę z tego powodu. Popatrz, królowa złożyła jajeczko. Wszystko w porządku! Nie musimy martwić się o jej cnotę.

— Wspaniale. Problem w tym, że na porządnym okręcie na pewne rzeczy zwraca się szczególną uwagę. Nie zauważyłeś tych wszystkich paradnych mundurów? Coś podobnego widzi się zwykle tylko z okazji admiralskiej inspekcji lub wizyty samego króla...

— Jeśli mam być szczery, nie wydało mi się to niczym szczególnym. Powiedz szczerze, drogi przyjacielu, czy coś jest nie tak?

— Posłuchaj... Czy mógłbyś... Czy mógłbyś zdjąć to ubranie?

— Zauważyłeś je więc? Zostało zrobione z owczej wełny. Widziałeś kiedykolwiek coś równie praktycznego? Taki strój nie krępuje ruchów: jest równocześnie ciepły i wygodny. I co najważniejsze, zdrowy. Sporządził go dla mnie mój służący. Przed zamustrowaniem na okręt był tkaczem, umie też szydełkować i robić na drutach. Musiałem mu tylko dokładnie wytłumaczyć, o co mi chodzi. Pracuje teraz nad takim samym ubraniem dla ciebie.

— Będę ci bardzo wdzięczny, Stephen, jeśli zdejmiesz to jak najszybciej. Może nie znam się na zdrowej odzieży, lecz na pewno nie mogę pozwolić, by mnie wyśmiewano. Jestem tutaj przecież tylko tymczasowym dowódcą.

— Przecież mówiłeś mi tyle razy, że na morzu strój nie jest ważny? Sam często chodzisz w spodniach z żaglowego płótna; ja na przykład nigdy nie włożyłbym czegoś podobnego. To, co mam teraz na sobie — doktor dotknął palcem swojego brzucha, wyraźnie rozczarowany — to równocześnie sweter i wygodne pantalony.

Fregata „Lively" nie została wycofana ze służby w czasie pokoju. Członkowie załogi spędzili razem wiele lat, w tym czasie zmieniło się tylko kilku oficerów i wiele rzeczy wykonywano w szczególny, właściwy tylko dla tej jednostki sposób. Każdy zresztą okręt stanowił przecież na swój sposób odrębne królestwo, z własnymi zwyczajami i atmosferą. Najczęściej zdarzało się to wtedy, gdy jakiś żaglowiec pływał w odległych rejonach świata lub daleko od admirałów oraz reszty floty, a ‚Lively" spędziła przecież sporo czasu w Indiach Wschodnich. W powrotnej drodze do Anglii, tuż po wybuchu wojny, szczęśliwie trafiła koło Finisterre na dwa francuskie statki, również powracające z Indii i gdy marynarze otrzymali należne im pieniądze, kapitan Hamond nie miał najmniejszych problemów z zamustrowaniem nowej załogi. Większość ludzi ponownie zgłosiła się do służby i mógł pozwolić sobie nawet na odsyłanie z kwitkiem ochotników. Aubrey widział tego człowieka dwa razy: przedwcześnie osiwiały, cichy, wiecznie zamyślony, pozbawiony wyobraźni i poczucia humoru mężczyzna po czterdziestce, interesujący się hydrografią oraz teorią żeglowania, raczej za stary jak na dowódcę fregaty. Przy ich pierwszym spotkaniu kapitan Hamond towarzyszył lordowi Cochrane'owi i wydał się Jackowi raczej bezbarwny w porównaniu z pełnym osobistego uroku arystokratą.

Zbiórka załogi potwierdziła tylko przypuszczenia nowego dowódcy. Fregata była wyjątkowo dobrze utrzymanym okrętem, ze wspaniale wyszkoloną i sprawną załogą, złożoną z prawdziwych marynarzy. Sądząc z ich zachowania, wszyscy byli na swój sposób zadowoleni, lecz niezliczone, prawie niezauważalne szczegóły świadczyły o tym, iż na pokładzie panowała wciąż bardzo surowa dyscyplina, a oficerów i szeregowych członków załogi dzielił odpowiedni dystans. Gdy jednak obaj ze Stephenem siedzieli za stołem, czekając na posiłek, Jack zaczął zastanawiać się, skąd wzięła się owa szczególna reputacja tego akurat żaglowca. Na pewno nie z racji wyglądu. Wszystko na pokładzie było oczywiście w jak najlepszym porządku, jak na okręt wojenny przystało, lecz z drugiej strony nic nie zwracało szczególnej uwagi, poza może manilowymi linami i potężnymi rejami. Kadłub i pokrywy furt działowych pomalowano na szaro, z żółtym pasem pomiędzy furtami, wszystkie działa miały kolor czekolady i jedynym dostrzegalnym kawałkiem mosiądzu był dzwon okrętowy. Nie wchodziły tu również w grę jakieś szczególne sukcesy, gdyż (raczej nie z własnej winy) uzbrojona w dwadzieścia osiem osiemnastofuntowych armat fregata nie miała jak dotąd okazji walczyć z równym jej siłą przeciwnikiem. Może chodziło tu po prostu o ciągły stan najwyższej gotowości? Pokłady przez cały czas wyglądały tak, jakby za chwilę miała rozpocząć się bitwa morska i z chwilą gdy bęben zaczynał bić na alarm, okręt prawie od razu mógł podjąć walkę. Wystarczyło tylko usunąć kilka grodzi i trochę mebli — dwie kozy same schodziły pod pokład, a klatki z kurami zjeżdżały po pomysłowej pochylni. Co ciekawe, po ogłoszeniu alarmu odtoczono również dwa działa w kapitańskiej kabinie — Jack nigdy dotąd nie widział podczas ćwiczeń czegoś takiego. Wszędzie panowała szczególna, spartańska atmosfera, co jednak niczego tutaj nie wyjaśniało

i na pewno nie wynikało ze złej sytuacji materialnej. Wprost przeciwnie, w załodze „Lively" nie brakowało dobrze sytuowanych ludzi. Dowódca kupił sobie przecież niedawno miejsce w parlamencie, oficerowie już przed ostatnimi zdobyczami byli niezależni finansowo, kapitan Hamond dbał też o to, by rodzice przysyłali podchorążym odpowiednie sumy na utrzymanie.

— Stephen, jak tam twoje pszczoły? — Jack przypomniał sobie nagle o ulu doktora.

— Bardzo dobrze, dziękuję. Wykazują wzmożoną aktywność, wręcz entuzjazm. Zauważyłem jednak... — Maturin zawahał się wyraźnie — ...że raczej niechętnie powracają do domu.

— Czy to ma znaczyć, że je stamtąd wypuściłeś?! Że sześćdziesiąt tysięcy żądnych krwi pszczół lata sobie w mojej kabinie?

— Och, nie, nie... Nie aż tyle. Najwyżej połowa, albo i mniej. Jeśli nie będziesz ich prowokował, spokojnie możesz tam wchodzić. Gdy się ściemni, na pewno wrócą do ula. Mogę wtedy wejść tam po cichu i je zamknąć. Wydaje mi się jednak, że lepiej będzie, jeśli przesiedzimy noc tutaj i pozwolimy im przyzwyczaić się do nowego otoczenia. Mają na razie wszelkie prawo trochę się denerwować i nie powinniśmy im przeszkadzać.

Jack nie był co prawda pszczołą, lecz również miał wszelkie powody, by czuć się nieswojo. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że załoga „Lively" stanowiła hermetyczną, samowystarczalną społeczność — dla tych ludzi był na pewno intruzem. Sam służył przecież na okrętach dowodzonych tymczasowo przez różnych kapitanów i wiedział, jak podobna sytuacja wygląda z drugiej strony, jak łatwo jest wzbudzić powszechną niechęć, nadużywając władzy i posiadanych uprawnień. Najmądrzejszą rzeczą okazywało się wtedy zachowanie umiaru i trzymanie się na uboczu. Należało też jednak pamiętać o tym, że kiedyś przyjdzie mu może dowodzić tymi ludźmi podczas walki, od której rezultatu zależeć będzie przecież jego przyszłość i reputacja. Dlatego właśnie, chociaż zamustrował na krótko, nie zamierzał patrzeć z boku na niektóre sprawy. Powinien przy tym poruszać się ostrożnie, ale i zdecydowanie; najtrudniej będzie tutaj znaleźć równowagę, a najpoważniejszą przeszkodą może okazać się złośliwy pierwszy porucznik. Na szczęście Jack miał teraz trochę pieniędzy, co oznaczało, że przez jakiś czas będzie mógł zapraszać na posiłki swoich oficerów, choć oczywiście na pewno nie zdoła w tym dorównać Hamondowi, goszczącemu u siebie za każdym razem dwanaście osób. Na pewno potrzebna będzie już wkrótce następna zaliczka od agenta pryzowego, lecz jak na razie nowy dowódca fregaty nie musiał wcale udawać biedaka. Było chyba jakieś łacińskie przysłowie o biedzie i śmieszności — Jack nie mógł przecież pozwolić sobie na to, by go wyśmiewano.

— Stephen, mój drogi — powiedział do kompasu nad koją w kapitańskiej sypialni. — Po co ubrałeś się w coś takiego? Jak to się stało, że ktoś tak mądry jak ty wystroił się w zrobiony na drutach kostium pajaca?

W mesie oficerskiej sprawy nie wyglądały jednak aż tak źle, jak można było przypuszczać.

— Nie, panowie... — z przekonaniem oświadczył doktor Floris, lekarz okrętowy. — Zapewniam was, że to naprawdę wielki człowiek. Czytałem jego ostatnią naukową rozprawę kilka razy. Od deski do deski. To wspaniałe dzieło, pełne interesujących, bardzo błyskotliwych refleksji i spostrzeżeń.

Podczas ostatniej inspekcji zapytał mnie o tę książkę sam naczelny lekarz floty. Byłem szczęśliwy, mogąc pokazać mu swój zniszczony i poznaczony notatkami egzemplarz. Wyjaśniłem też, iż wszyscy moi pomocnicy musieli nauczyć się wybranych fragmentów na pamięć. Tak... Z niecierpliwością czekam na moment, w którym zostanę przedstawiony naszemu nowemu pasażerowi. Ciekawi mnie też bardzo, co doktor Maturin powie o przypadku naszego Wallace'a.

Zebranych w mesie oficerów wyraźnie przekonały te słowa. Wszyscy bardzo cenili wykształconych ludzi i gdyby nie wyjątkowo nieszczęsne porównanie ze statkiem Kompanii Wschodnioindyjskiej, gotowi byli nawet wybaczyć Stephenowi ekscentryczny strój. Ich zdaniem mógł być to po prostu tylko niewinny wybryk lub zwykła w przypadku filozofów ekstrawagancja — coś w rodzaju udzierganej z wełny beczki Diogenesa.

— Skoro jednak ów człowiek pływał już na okrętach, dlaczego pozwolił sobie na taką uwagę? — zastanawiał się Simmons. — Jak mógł porównać nasz okręt z jakimś statkiem handlowym pływającym do Indii? To przecież zniewaga i do tego jeszcze wypowiedziana z bardzo dwuznacznym uśmiechem.

Pan Floris podniósł głowę znad talerza, lecz nie mógł znaleźć żadnego logicznego usprawiedliwienia. Kapelan zakaszlał i oświadczył, że pozory bardzo często mylą. Może ów dżentelmen bywa czasem trochę rozkojarzony? Może statki kompanii w jakiś sposób kojarzą mu się z luksusem? To przecież prawda, jeśli chodzi o komfort podczas morskiej podróży, niektóre z nich są wygodniejsze niż okręty liniowe.

— Tym gorzej — oświadczył trzeci porucznik: młody człowiek, tak chudy i wysoki, że trudno było uwierzyć, iż mógł on znaleźć gdziekolwiek wygodne miejsce do spania. Mieścił się chyba tylko w komorze łańcuchowej.

— Cóż, jeśli chodzi o mnie — odezwał się dowódca oddziału piechoty morskiej i gospodarz dzisiejszego obiadu—gotów jestem wypić szklaneczkę naszego wspaniałego Margaux za zdrowie owego jegomościa, nie zwracając zupełnie uwagi na to, co może się komukolwiek wydawać. Nigdy jeszcze w swoim życiu nie widziałem czegoś podobnego: pasażer wspinający się po burcie okrętu wojennego z kłem narwala w jednej i zielonym parasolem w drugiej ręce. To przykład naprawdę swoistej odwagi.

Wszyscy bez większego przekonania spełnili ów toast — wyjątkiem był tylko doktor Floris. Oficerowie zajęli się teraz zdrowiem Kasandry, ostatniego z przywiezionych na okręcie gibonów i innych egzotycznych zwierząt, pochodzących głównie z Jawy oraz dalekich wysp na morzach Wschodu. O nowym kapitanie nie dyskutowano w ogóle. Przyszedł z opinią dobrego żeglarza i dowódcy. Wiadomo było też, że lubi się zabawić i jest protegowanym lorda Melville'a. Kapitan Hamond należał do zagorzałych zwolenników St Vincenta. Udał się na obrady parlamentu właśnie po to, aby wziąć udział w głosowaniu po stronie przyjaciół byłego pierwszego lorda Admiralicji, nienawidzącego Pitta oraz jego administracji. St Vincent robił wszystko, by lord Melville został oskarżony o sprzeniewierzenie sekretnych funduszy i usunięty z urzędu. Oficerowie fregaty podzielali poglądy swego kapitana: wszyscy co do jednego byli zdeklarowanymi wigami.

Śniadanie trochę Jacka rozczarowało. Kapitan Hamond codziennie pijał kakao, swój ulubiony napój i

zachęcał do tego również załogę, tymczasem Maturin i Aubrey nie umieli rozpocząć dnia bez kubka gorącej, mocnej kawy.

— Killick! — zawołał Jack, wykrzywiając się z obrzydzeniem. — Natychmiast wylej to świństwo za burtę i przynieś mi kawę.

— Przepraszam, sir... — Steward był wyraźnie zaniepokojony. — Nie mam nawet ziarenka... Zapomniałem zabrać. W kuchni też nic nie znalazłem.

— W takim razie biegnij do stewarda z mesy oficerskiej, do ochmistrza lub do szpitalika i dobrze poszukaj! Co za łajdak! — kapitan powiedział z oburzeniem. — Nie zabrał naszej kawy!

— Jeśli trochę poczekamy, na pewno kawa lepiej będzie nam smakować — pocieszał go Stephen. Chcąc zająć czymś uwagę przyjaciela, wziął na palec jedną z pszczół. — To robotnica — wyjaśnił. — Zobaczysz teraz, co się będzie działo. — Posadził owada na krawędzi spodka, w którym przygotował wcześniej syrop z kakao i cukru. Pszczoła ostrożnie spróbowała słodkiej mikstury, wypiła jej sporo i ociężale wzbiła się w powietrze. Jakiś czas latała dookoła spodka, potem skierowała się w stronę ula. — Teraz, mój drogi — oświadczył doktor, spoglądając na zegarek i zapisując czas — będziesz świadkiem czegoś naprawdę ciekawego.

Po dwudziestu pięciu sekundach pojawiły się dwie następne pszczoły. Z charakterystycznym, świdrującym brzęczeniem krążyły nad talerzykiem, potem podobnie jak ich koleżanka spróbowały syropu i wróciły do ula. Upłynęło znów dwadzieścia pięć sekund i nad spodkiem latały już cztery bzyczące owady, po chwili było ich szesnaście, później dwieście pięćdziesiąt sześć... Ów regularny postęp został jednak zakłócony po czterech minutach, gdy z ula powrócili znający już doskonale drogę zwiadowcy.

— Widzisz? — zawołał Stephen otoczony wirującą chmurą. — Chyba nie wątpisz teraz, że nasze pracowite pszczółki porozumiewają się w jakiś sposób? Że są w stanie przekazać sobie nawzajem informacje dotyczące położenia danego miejsca w przestrzeni? Ciekawe, jak to robią? Jak określają pozycję? Może definiują jakoś namiar na dany punkt? Jack, nie denerwuj tego biedactwa. Widzisz przecież, że tylko odpoczywa...

— Przykro mi, sir, lecz na całym okręcie nie ma nawet odrobiny kawy... O Boże... — Killick stanął w drzwiach jak wryty.

— Stephen, wybaczysz mi chyba. Muszę wyjść na chwilę — oświadczył niepewnie Jack, bardzo ostrożnie podniósł się z krzesła i skulony wybiegł z kabiny. — I to ma być wzorowy okręt! — zawołał w swojej sypialni, sięgając po szklankę wody. — Coś podobnego nie mieści mi się w głowie. Dwustu sześćdziesięciu ludzi na pokładzie i ani grama kawy!

W dwie godziny później Jack poznał powody, które sprawiły, że fregata stała się sławna w całej flocie. Dowodzący portem admirał polecił, by ,,Lively" natychmiast wyszła w morze.

— Potwierdzić odbiór — polecił Aubrey, gdy przekazano mu treść nadanego z brzegu sygnału. — Panie Simmons, ruszamy...

Przyjemnie było patrzeć, jak załoga podnosiła kotwice. Gdy zagrały piszczałki, nie było zwykłej w takich przypadkach nerwowości i tłoku w zejściówkach. Ludzie płynęli raczej, niż biegli na stanowiska, nie wpadali na siebie, nie musieli uciekać przed wymachującymi kawałkami liny pomocnikami bosmana. Z tego, co udało się zauważyć Jackowi, prawie nikt tutaj nikogo nie poganiał, wszyscy byli spokojni i skupieni. Wstawiono handszpaki, chwycili za nie żołnierze piechoty morskiej i marynarze z bezanwachty. Fujarka zagrała piskliwie *Drops of Brandy,* kabestan zaczął obracać się powoli — wybierano jedną kotwicę i równocześnie luzowano łańcuch drugiej. Po kilku minutach z dziobu przybiegł zdyszany podchorąży i zameldował, że główna kotwica została umocowana do kotbelki. Pierwszy porucznik przekazał ów meldunek dowódcy okrętu.

— Proszę kontynuować, panie Simmons — polecił Jack.

W wodzie została teraz tylko kotwica zapasowa i w miarę kolejnych obrotów kabestanu okręt ruszył powoli w jej kierunku.

— Kotwica w pionie — zawołał bosman. Oznaczało to, że kotwica znalazła się dokładnie pod dziobem i łańcuch skierowany był pionowo w dół.

— Kotwica w pionie — pierwszy porucznik zameldował Jackowi.

— Dziękuję. Proszę kontynuować — spokojnie odpowiedział kapitan. Zbliżała się decydująca chwila. Załoga musiała równocześnie zakładać nowe opaski mocujące łańcuch do mesindżera (liny obłożonej bezpośrednio na kabestanie) i postawić marsle, tak by można było, ruszając z miejsca, oderwać kotwicę od dna. Nawet na najlepszych okrętach podczas tej właśnie operacji nie obywało się bez sporego zamieszania. Przy tak niekorzystnym wietrze i silnym prądzie wszystkie niezbędne czynności musiały zostać wykonane z dokładnością do ułamków sekundy. Aubrey spodziewał się więc teraz szeregu szybko następujących po sobie komend i bieganiny.

Pan Simmons podszedł do uskoku rufówki i zawołał:

— Uwaga... Kotwicę rwij! — Nie ucichł jeszcze tupot nóg zmieniających stanowiska ludzi, gdy padł następny rozkaz: — Postawić żagle!

Tylko tyle. Nic więcej. Wanty natychmiast zapełniły się wchodzącymi szybko na maszty marynarzami, marsle rozwinęły się w zupełnej ciszy — piękne, wspaniale skrojone i wytrymowane — wybrano szoty, podniesiono i przebrasowano reje. Fregata miękko ruszyła z miejsca, kotwica powędrowała w górę. Na pokładzie nie padło jak dotąd ani jedno słowo. Przedstawienie na tym się jednak nie skończyło — mała kotwica wciąż powoli wędrowała w górę, a na masztach i sztagach pojawiały się kolejne płótna: fok, kliwer, fokbramsel. Okręt żeglował coraz szybciej, niemal idealnie w stronę latarni morskiej w Nore. Wciąż wszystko odbywało się bez komend, bez okrzyków, tylko wysoko w takielunku rozlegało się jakieś dziwne zawodzenie, coś pośredniego między szczekaniem i płaczem. Jack spojrzał zdumiony na reję grotbramsla i ujrzał skuloną brązową postać, trzymającą się jedną ręką perty. Gdy okręt zakołysał się na fali, ów niewyraźny kształt runął w dół, lecąc łagodnym łukiem, prosto w stronę grotmarssztagu. Jakiś cudem zdołał uczepić się tej liny i niewiarygodnie sprawnie przeskakiwał teraz z jednej części takielunku na drugą, aż w końcu przycupnął na fokbombramrei.

— To Kasandra, sir — pan Simmons wyjaśnił szybko, widząc zdezorientowaną i przerażoną twarz kapitana. — Małpa z Jawy.

— Boże... — Jack powiedział zdumiony. — Myślałem, że któryś z naszych chłopców zwariował. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego... Chodzi mi oczywiście o ten manewr... Czy pańscy ludzie zawsze stawiają żagle według własnego uznania?

— Tak, sir — pierwszy porucznik oświadczył z dumą.

— Wspaniale. Bardzo dobrze. Widzę, że na „Lively" panują inne niż wszędzie zwyczaje. Coś takiego zobaczyłem naprawdę po raz pierwszy.

Fregata biegła po falach na skrzydłach bryzy, cudownie rześka i żwawa. Kapitan rozejrzał się dookoła i podszedł do rufowego relingu, gdzie Stephen rozmawiał z Randallem. Doktor miał na sobie szarą kurtkę oraz brązowe spodnie i pochylał się, chcąc lepiej słyszeć piskliwy głos chłopca. Jack spojrzał na wodę, szybko przesuwającą się za burtą

— prędkość wynosiła już siedem i pół węzła — oraz na kilwater i przez chwilę obserwował zakotwiczony w oddali trójpokładowiec oraz wieżę kościoła. Prawie nie było dryfu. Wychylając się za burtę, o jeden rumb na lewo przed dziobem, zobaczył latarnię Nore. Przy takim wietrze, każdy z okrętów, na których dotąd żeglował, w ciągu następnych dziesięciu minut znalazłby się na mieliźnie.

— Czy odpowiada panu ten kurs, panie Simmons? — zapytał ostrożnie.

— Jak najbardziej, sir — spokojnie odpowiedział pierwszy porucznik. Simmons na pewno dobrze znał ten okręt — podobne stwierdzenie wydawało się bardziej niż oczywiste — i na pewno wiedział, na co można było sobie pozwolić. Jack powtarzał to sobie w myślach, uspokajając sam siebie, lecz następne chwile stały się jednymi z najtrudniejszych w jego życiu. Oczyma wyobraźni widział ów wspaniały okręt bez masztów, z roztrzaskanym kadłubem... Wstrzymywał oddech w chwilach, gdy fregata pędziła po spienionej wodzie, tuż przy skraju płycizny, gdzie nawet najmniejszy dryf musiałby doprowadzić do katastrofy. Na szczęście po kilku minutach mielizna znalazła się w końcu za rufą.

Kapitan odetchnął z ulgą i z wymuszoną obojętnością poprosił, by pierwszy porucznik skierował okręt do Downs. Mieli tam zostać zamustrowani dodatkowi członkowie załogi oraz Bonden, oczywiście pod warunkiem, że ten spryciarz jeszcze się stamtąd nie ulotnił. Był tutaj bardzo potrzebny — kapitan Hamond zabrał swojego sternika ze sobą do Londynu. Pan Simmons podał stojącemu za kołem sterowym marynarzowi nowy kurs, a Jack zaczął spacerować po nawietrznej stronie kwarterdeku, uważnie obserwując zachowanie fregaty i jej załogi.

Nic dziwnego, że wszyscy we flocie słyszeli o „Lively". Aubrey wiedział już, czym wyróżniał się ten żaglowiec: niewiarygodnymi wręcz możliwościami i perfekcyjnie wyszkoloną załogą. Sprawność, z jaką podniesiono kotwice, a potem żagle, wydawała się wręcz czymś nieprawdopodobnym, nierealnym, jak owe dźwięki wydawane przez skaczącego wysoko w olinowaniu gibona.

Za burtą przesuwało się znajome, niskie, szare i błotniste wybrzeże — morze też było szare, odległy horyzont odcinał je wyraźną kreską od upstrzonego chmurami nieba. Fregata pędziła półwiatrem, tak

jakby poruszała się po niewidzialnej, precyzyjnie wyznaczonej i idealnie prostej ścieżce. Z przeciwka, zmierzając w stronę rzeki i Londynu, przepłynęły cztery powracające z Gwinei statki handlowe, bryg należący do Royal Navy, kilka mniejszych stateczków oraz łodzi. W porównaniu z „Lively" wszystkie te jednostki wydały się Jackowi ślamazarne i zaniedbane.

Jedynym wyjaśnieniem tego, co dane mu było dzisiaj zobaczyć, był fakt, że kapitan Hamond, z zamiłowania naukowiec oraz nawigator, szczególnie starannie dobrał swoich oficerów i później przez całe lata szkolił załogę. Dlatego nawet ludzie ze śródokręcia potrafili sterować i obsługiwać żagle. Na początku wachty wszystkich trzech masztów nieustannie współzawodniczyły ze sobą w stawianiu i zwijaniu płócien: marynarze trenowali wszystkie możliwe czynności oraz ich coraz bardziej skomplikowane kombinacje, aż w końcu doszli do niemożliwej już do udoskonalenia sprawności i wprawy. Dzisiaj, chcąc zaprezentować się jak najlepiej i broniąc honoru fregaty, przeszli samych siebie. Wiedzieli o tym doskonale i wszyscy spoglądali teraz na nowego kapitana ze skrywanym zadowoleniem, tak jakby chcieli powiedzieć: „Pokazaliśmy, co umiemy, zarozumiały mądralo. Mało ci oczy nie wyszły na wierzch..."

„Trudno sobie wymarzyć okręt bardziej gotowy do walki" — pomyślał Aubrey. „Jeśli przypadkiem spotkamy którąś z tych dużych francuskich fregat, będziemy mogli dosłownie tańczyć dookoła, choć są one przecież wszystkie tak pięknie zbudowane i zwrotne..." — Pozostawało oczywiście jeszcze jedno bardzo ważne pytanie: Jak załoga „Lively" spisałaby się podczas takiej bitwy? Ci ludzie to na pewno wspaniali marynarze, bez dwóch zdań; czy nie byli jednak trochę za starzy i zbyt spokojni? Nawet chłopcy okrętowi wydawali się nadmiernie wyrośnięci: za ciężcy, by mogli wychodzić na bombramreje — prawie wszyscy się już przecież golili i dość dawno przestali być dziećmi. Wśród swych podwładnych Jack zauważył też wielu Azjatów — na przykład marynarz o nazwisku Low Bum, który stał teraz za sterem i zadziwiająco starannie trzymał kurs. Gdy zamustrował w Macao, nie miał najmniejszych problemów z zapleceniem sobie natychmiast marynarskiego warkoczyka. Podobnie John Satisfaction, Horatio Jelly-Belly i kilku innych. Czy umieli walczyć? Załoga fregaty „Lively" nie brała chyba dotąd udziału w żadnej z owych uciążliwych wypraw, podczas których nieustannie ryzykuje się życie i ludzie z czasem przestają zwracać na to uwagę. Jack postanowił przejrzeć okrętowe dzienniki. Zauważył też, że panewka jednej z pomalowanych na brązowo rufowych karonad została częściowo pokryta farbą. Kiedy więc ostatni raz strzelano z tego działa? Trzeba będzie również sprawdzić, jaki rozkład dnia obowiązywał dotąd na okręcie.

Tymczasem, na przeciwnej burcie, młody Randall opowiedział Stephenowi o śmierci swej matki i o tym, że w ich domu hodowano żółwia. Chłopiec miał nadzieję, że ów żółw za nim nie tęskni. Czy to prawda, że Chińczycy nigdy nie jedzą chleba z masłem? Nigdy? Zupełnie nigdy? To dziwne...

— Ja jadam teraz posiłki przy jednym stole ze starym Smithem i artylerzystą, pan Armstrong jest dla mnie zawsze taki uprzejmy — oznajmił z dumą podchorąży i coś sobie nagle przypomniał. Chwycił doktora za rękę, chcąc zwrócić na siebie uwagę. — Jak pan myśli, czy George Rogers zostanie dzisiaj wychłostany? — zapiszczał podekscytowany. — Czy nasz nowy kapitan każe go oćwiczyć batem ?

— Nie mam pojęcia, mój drogi. Myślę, że nie... Na pewno nie...

— Tak bardzo chciałbym zobaczyć chłostę! — zawołał chłopiec, podskakując w miejscu. — Nigdy

nie widziałem czegoś takiego. A pan?

— Widziałem...

— Czy było dużo krwi?

— Mnóstwo — Stephen oświadczył z powagą. — Kilka wiader... Młody Randall podskoczył znowu, zapytał, która godzina i ile czasu zostało jeszcze do sześciu szklanek.

— George Rogers zupełnie oszalał — malec wyjaśnił szybko, gdy doktor pokazał mu zegarek. — Dwa razy nazwał Joe Browna... Nazwał go... No... Strasznie mu naubliżał. Słyszałem wszystko. Może chce pan sprawdzić, czy umiem na pamięć nazwy wszystkich rumbów? Och, ojciec macha do mnie ręką... Przepraszam.

— Sir... — zaczął pierwszy porucznik, podchodząc do Jacka. — Proszę o wybaczenie... Zapomniałem wspomnieć panu o dwóch sprawach: kapitan Hamond pozwalał, by podchorążowie odbywali co rano lekcje w przedpokoju jego kabiny. Czy zechce pan utrzymać w mocy ten zwyczaj?

— Oczywiście. Dobrze, że mi pan o tym powiedział.

— Dziękuję, sir. Jest jeszcze druga kwestia: do tej pory zwykle w każdy poniedziałek wymierzaliśmy kary.

— W poniedziałek? To dziwne.

— Tak, sir. Kapitan Hamond uważał, że dobrze będzie, jeśli winowajcy będą mogli spokojnie przemyśleć w niedzielę swoje postępowanie.

— Słusznie. Niech więc tak zostanie. Miałem zamiar zapytać pana, jakie w tym względzie panują u was zwyczaje... Chodzi mi właśnie o wymierzane na okręcie kary. Nie chciałbym wprowadzać tutaj jakichś gwałtownych zmian, lecz muszę pana uprzedzić, że nie jestem zwolennikiem nadużywania bata.

Simmons uśmiechnął się ostrożnie.

— Podobnie jak kapitan Hamond, sir. Zwyczajową karą było u nas dotąd pompowanie: otwieraliśmy zawór, woda zza burty mieszała się z zawartością zęz i to wszystko razem wędrowało za burtę. Taka procedura jest bardzo zdrowa dla kadłuba. Tylko w wyjątkowych przypadkach używaliśmy bata. Na Oceanie Indyjskim przez prawie dwa lata nie był w ogóle wyjmowany z pokrowca. Później, bliżej kraju, chłosta zdarzała się u nas nie częściej niż raz na dwa, trzy miesiące. Obawiam się jednak, że dzisiaj może okazać się konieczna. Mieliśmy niedawno bardzo nieprzyjemne zdarzenie.

— Chyba nie artykuł trzydziesty dziewiąty?

— Nie, sir... Kradzież.

W pierwszej chwili tak właśnie można było nazwać to, co się wydarzyło; jeśli wierzyć słowom

podoficera pełniącego służbę porządkową, w grę wchodziła właśnie kradzież, awanturnicze zachowanie i stawianie czynnego oporu przy aresztowaniu. Załoga zebrała się na rufie, żołnierze piechoty morskiej utworzyli regularny czworobok, obecni byli leż wszyscy oficerowie. Porządkowy wyprowadził winnego i zaczął przedstawiać ciążące na aresztowanym marynarzu zarzuty:

— Jest oskarżony o kradzież. Przywłaszczył sobie małpią głowę...

— Nieprawda! — zawołał George Rogers, wyraźnie wciąż bardzo rozwścieczony.

— ...własność Evana Evansa, artylerzysty kwarterdeku.

— To kłamstwo!

— Gdy został wezwany na rufę...

— Mówiłem już, że to wszystko nieprawda! Podłe kłamstwa! — Rogers wrzeszczał coraz głośniej.

— Cisza! — krzyknął Jack. — Będziesz się bronił, jak przyjdzie twoja kolej, Rogers... Brown, możesz mówić dalej.

— Kiedy powiedziałem mu, że według moich informacji posiada ową głowę i gdy poleciłem mu, by zgłosił się na rufie celem wyjaśnienia oskarżeń przedstawionych przez Evana Evansa, artylerzystę kwarterdeku, wachta lewej burty... — podoficer mówił głośno, spoglądając co chwilę świdrującym wzrokiem w stronę aresztanta — ...naubliżał mi, był pijany i schował się w żaglowni.

— Nieprawda!

— Gdy wysłałem po niego kilku ludzi, stawiał wobec nich czynny opór. Byli to: Button, Menhasset i Mutton, starsi marynarze.

— Kłamstwo! Jedno wielkie kłamstwo! — Rogers wyraźnie stracił panowanie nad sobą. — Wszystko nieprawda!

— Dobrze więc... Co się wtedy stało? Opowiedz nam o tym swoimi słowami — polecił Jack.

— Już mówię, wasza wysokość — powiedział Rogers, rozglądając się dookoła. Był blady i trząsł się cały ze złości. — Powiem jak na spowiedzi... Ten tutaj podoficer, Brown, przyszedł na dziób, a ja w tym czasie pracowałem przy uszczelnianiu pokładu. Byłem po wachcie. Brown kopnął mnie, za przeproszeniem, w tyłek i woła: „Zasuwaj w podskokach na rufę, George, i to szybko, bo tak ci przyłożę, że się nie pozbierasz. Wpakowałeś się w niezłe gówno". Ja wstałem wtedy i mówię: „Guzik mnie obchodzą twoje pieprzone rozkazy, Joe Brown, tak samo jak to, co plecie ten głupi zasraniec Evans". Nikogo przecież nie obraziłem, wasza wysokość. Taka jest święta prawda. Nie było żadnego gadania o wyjaśnianiu oskarżeń. To wszystko kłamstwa...

Ta część opowieści aresztowanego marynarza wydała się Jackowi znacznie bliższa prawdy niż oficjalna wersja wydarzeń — dalej nastąpił bardzo szczegółowy opis całej tej awantury: kto i gdzie kogo popchnął, co powiedział. Zeznania Rogersa, Buttona, Menhasseta i Muttona były sprzeczne oraz

pełne wzajemnych oskarżeń, przycinków i złośliwości. Główny problem zszedł teraz na drugi plan, najważniejszą kwestią okazał się nagle fakt, że ktoś pożyczył komuś dwa dolary koło Bandy i owe pieniądze jak dotąd nie zostały zwrócone: nawet w postaci grogu, tytoniu lub czegokolwiek innego.

— Co w końcu z tą małpią głową? — zapylał poirytowany Jack.

— Jest tutaj, sir — oświadczył podoficer, wyjmując zza pazuchy włochaty przedmiot.

— Rozumiem więc, że wy obaj, Evans i Rogers, przyznajecie się do tej głowy?

— Należała do mojej Andrew Masher, wasza wysokość — z przekonaniem oświadczył Evans.

— To głowa mojego Ajaxa, sir, trzymałem ją schowaną w swoich rzeczach od czasu, gdy biedak zachorował i zdechł koło Przylądka Dobrej Nadziei.

— Skąd wiesz, że to twoje, Evans?

— Że co, sir?

— Po czym poznajesz, że to głowa twojej Andrew Masher?

— Po jej pełnym czułości wyrazie twarzy, sir, wasza wysokość. Po minie biedaczki. Griffi Jones, który w Dover handluje wypchanymi zwierzętami, da mi za nią jutro rano złotą gwineę.

— Co na to powiesz, Rogers?

— Przecież to kłamstwa, sir! — Rogers wykrzyknął wzburzony. — To mój Ajax! Karmiłem go przecież od samego Kampongu. Dzieliłem się z nim grogiem, jadł moje suchary, jak człowiek...

— Czy miał jakieś szczególne znaki? Po czym mógłbyś go rozpoznać?

— Po twarzy, sir... Chociaż trochę teraz się skurczyła i jest taka pomarszczona.

Jack obejrzał uważnie małpią głowę: pysk zwierzęcia zastygł w szczególnym grymasie. Jeśli można było się tutaj czegokolwiek doszukać, to tylko szczególnej, pełnej melancholii pogardy. Który z marynarzy mówił prawdę? Pewnie obaj myśleli, że mają rację — na okręcie były dwie takie głowy, a teraz jest tylko jedna. Trudno było jednak uwierzyć, że ktokolwiek może twierdzić, iż nieomylnie rozpoznaje ów włochaty przedmiot tak łudząco podobny do kokosowego orzecha.

— Andrew Masher to była samica, czy tak? — zapytał po namyśle. — Ajax był samcem, czy tak?

— Zgadza się, wasza wysokość.

— W takim razie proszę przekazać, by przyszedł tutaj doktor Maturin. Oczywiście, jeśli ma chwilkę wolnego czasu... Doktorze Maturin, czy można poznać płeć małpy po zębach...? Albo po rysach twarzy?

— To zależy... — Oczy Stephena rozbłysły, gdy ujrzał trzymaną przez Jacka głowę.—To na przykład jest wspaniały okaz samca gatunku *simia satyrus*. Wystarczy spojrzeć na te wypukłe policzki i pozostałości owego tak charakterystycznego dla samca wola, o którym wspomina Hunter.

— Wobec tego, wszystko się wyjaśniło — uroczyście oznajmił kapitan. — To Ajax. Bardzo dziękujemy, doktorze. Oskarżenie o kradzież zostaje wycofane. Nie można jednak się tak rozbijać, Rogers... Czy ktoś ma coś do powiedzenia na korzyść tego marynarza?

Drugi porucznik wystąpił naprzód i poinformował wszystkich zebranych, że Rogers należy do jego pododdziału: jest pracowity, przeważnie bywa trzeźwy i ma dobry charakter, nie umie jednak utrzymać nerwów na wodzy. Aubrey z powagą skinął głową i powiedział, iż podobne postępowanie do niczego dobrego nie prowadzi — uleganie emocjom oraz nadmierna drażliwość to często prosta droga na szubienicę. Pechowy właściciel Ajaxa miał odtąd panować nad sobą i przez tydzień nie będzie otrzymywał grogu. Małpia głowa została na razie skonfiskowana w celu przeprowadzenia dalszych, dokładniejszych badań i natychmiast znikła wraz z doktorem w drzwiach kapitańskiej kabiny. Rogers patrzył smętnie w tamtym kierunku, zupełnie zdezorientowany i ogłupiały.

— Na pewno dostaniesz ją z powrotem — kapitan zapewnił go z przekonaniem, choć sam zbytnio w to nie wierzył. Pozostali stający dziś do raportu marynarze (wszyscy oskarżeni o zwykłe pijaństwo) zostali ukarani dokładnie tak samo jak Rogers. Pełniący w razie potrzeby rolę pręgierza greting powędrował na swoje zwykłe miejsce, niepotrzebny był też dzisiaj dziewięciorzemienny bat, przechowywany w specjalnym pokrowcu. Gwizdki wezwały marynarzy na obiad, a Aubrey zaprosił do siebie na posiłek pierwszego porucznika, kapelana oraz oficera i podchorążego z odpoczywającej wachty. W zamyśleniu spacerował teraz tam i z powrotem po pokładzie, z wyraźną troską spoglądając na ustawione na obu burtach armaty.

Doskonale wiedział o tym, iż na wielu okrętach w ogóle nie prowadzono ćwiczeń artyleryjskich. Na takich jednostkach działa odzywały się jedynie podczas walki lub gdy oddawano salut armatni i jeśli tak właśnie wyglądała sytuacja w przypadku „Lively", miał zamiar jak najszybciej to zmienić. Nawet strzelając z bliska, należało trafiać w jak najczulsze miejsca, a w przypadku okrętu tej klasy o wszystkim decydowała przecież zwykle precyzja i szybkość, z jaką oddawano kolejne salwy. Pojawiał się tutaj jednak pewien problem: fregata to przecież nie „Sophie" z jej malutkimi armatkami. Do nabicia dział na jednej burcie zużywano tutaj ponad cetnar prochu — przy planowaniu ćwiczeń to również powinno zostać wzięte pod uwagę. Tak... Kochana „Sophie". Tak bardzo jej Jackowi teraz brakowało.

Nagle zdołał rozpoznać muzykę, która od pewnego czasu coraz natarczywiej brzęczała mu w głowie. Był to ów utwór Hummla, który tak często grywali ze Stephenem w Melbury Lodge, adagio. Niemal natychmiast ujrzał w myślach Sophie, stojącą obok fortepianu: wysoką, smukłą, zakłopotaną i onieśmieloną.

Zatrzymał się w pół kroku, zawrócił i próbował zająć się najpilniejszymi bieżącymi sprawami. Nic jednak z tego nie wyszło — muzyka mieszała się z myślami o prochu i pociskach. Był coraz bardziej poirytowany i nieszczęśliwy. W pewnej chwili niespodziewanie głośno klasnął w dłonie i powiedział do siebie:

— Muszę przejrzeć dzienniki okrętowe i sprawdzić, jak właściwie wyglądały tutaj ćwiczenia artyleryjskie. Trzeba też powiedzieć Killickowi, żeby odkorkował wino. Tak. Ten łajdak mógł zapomnieć o wszystkim, ale na pewno nie o winie.

Zszedł pod pokład. W przedpokoju kapitańskiej kabiny wciąż jeszcze utrzymywał się zapach podchorążych. W następnym pomieszczeniu było zupełnie ciemno.

— Zamknij drzwi! — zawołał Stephen.

— Co się stało? — Jack zapytał zdziwiony. Był tak bardzo zajęty działami i umiejętnościami załogi, że zupełnie zapomniał o pszczołach. W tej chwili istniały dla niego tylko armaty, ładunki i kule.

— Zwykle dość szybko się przystosowują do najprzeróżniejszych warunków. To chyba najmniej pod tym względem wymagające owady — wyjaśnił Maturin. Jego głos dobiegał z najdalszego kąta kabiny. — Dlatego spotykamy je wszędzie: od Norwegii do rozpalonych piasków Sahary. Jak na razie najwyraźniej nie przywykły jednak jeszcze do nowego otoczenia.

— O Boże! — zawołał Jack, szukając po omacku klamki. — Czy wszystkie są na wolności?

— Nie wszystkie — uspokajał przyjaciela Stephen. — Dowiedziałem się od Killicka, że będziesz miał gości. Pomyślałem więc, że lepiej będzie, jak je stąd usunę. Obecność pszczół w jadalni irytuje czasem nieświadomych ich zwyczajów ludzi. — Coś chodziło po szyi Jacka, po plecach spływały mu strużki zimnego potu. Nie umiał odnaleźć drzwi.

— Postanowiłem stworzyć im sztuczną noc — doktor mówił dalej. — W naturze po zapadnięciu ciemności wracają przecież do ula. Zapaliłem też w trzech miejscach ogień, aby wytworzyć trochę dymu, lecz te moje działania nie przyniosły oczekiwanego efektu. Możliwe, że po prostu jest zbyt ciemno... Może wystarczy tylko półmrok? — Maturin podniósł róg zasłony z żaglowego płótna i we wpadającej do kabiny strudze słonecznego światła kapitan ujrzał tysiące pszczół. Owady siedziały na każdej poziomej płaszczyźnie, przelatywały bezładnie z miejsca na miejsce, ponad pięćdziesiąt sztuk chodziło po jego kurtce i spodniach.

— Tak jest chyba lepiej, prawda? — zapytał Stephen. — Zbierz te pszczoły na palec i zanieś do ula. Musisz to robić bardzo delikatnie. Nie wolno ci okazywać niepokoju. Jak chyba wiesz, w takiej sytuacji lęk może się okazać czymś wręcz tragicznym. One to czują...

Jack znalazł wreszcie klamkę. Otworzył drzwi z trzaskiem i wybiegł z kabiny.

— Killick! — wrzasnął głośno, otrzepując ubranie.

— Sir?

— Wejdź tam i pomóż doktorowi. Szybko!

— Nie mogę, sir.

— Co to ma znaczyć? Boisz się? Marynarz z okrętu wojennego boi się pszczół?

— Tak, sir.

— Trudno. Posprzątaj w przedpokoju i nakryj tam do stołu. Otwórz też dwanaście butelek czerwonego wina. — Kapitan pobiegł do swojej sypialni i szybko zrzucił z siebie ubranie. Czuł, że coś chodzi mu po plecach. — Co będzie dzisiaj na obiad? — zapytał.

— Dziczyzna, sir. Znalazłem bardzo ładny udziec w Chators. Taki sam jak ten przysłany przez panie z Mapes.

— Panowie, witam was bardzo serdecznie — powiedział Jack, gdy z wybiciem sześciu szklanek popołudniowej wachty przybyli zaproszeni na obiad goście. — Przykro mi, lecz będziemy musieli jakoś się tutaj zmieścić. Mój przyjaciel przeprowadza w tej chwili w salonie ważny eksperyment naukowy. Killick, powiedz doktorowi, że czekamy na niego. Niech przyjdzie, jak tylko będzie miał chwilkę wolnego czasu. No dalej, ruszaj się... — kapitan mruknął, zaciskając znacząco pięść i spoglądając groźnie na stewarda. — Na co czekasz? Możesz przecież zawołać przez zamknięte drzwi.

Posiłek przebiegał w bardzo miłej atmosferze. Na fregacie panowały spartańskie warunki, jeśli chodziło o wygląd i wyposażenie pomieszczeń, lecz Jack odziedziczył po swoim poprzedniku wspaniałego kucharza, doskonale znającego kulinarne upodobania ludzi morza. Zaproszeni przez kapitana goście byli ludźmi z wyższych sfer i umieli zachowywać się swobodnie w sztywnych granicach etykiety obowiązującej na okręcie wojennym. Nawet milczący podchorąży siedział przy stole elegancko i z godnością. Wszyscy byli jednak zanadto skrępowani obecnością dowódcy, a Stephen siedział głęboko nad czymś zamyślony i Jack z radością znalazł towarzysza rozmowy w kapelanie, nie przejmującym się zbytnio grzecznościowymi konwenansami oraz zwyczajami panującymi we flocie. Pan Lydgate, dożywotni proboszcz parafii w Wool, był kuzynem kapitana Hamonda i wybrał się w rejs dla podratowania nadwątlonego zdrowia. Kapelanowi nie zależało na nowej karierze — zrezygnował ze swojego dotychczasowego zajęcia tylko po to, by zmienić otoczenie i powietrze. Zalecane byłyby zwłaszcza okolice Lizbony i Madery, jeszcze bardziej Bermudy... Pastor miał nadzieję, że okręt właśnie tam zmierza.

— To całkiem możliwe — zgodził się Aubrey. — Szczerze mówiąc, sam też na to liczę, lecz podczas wojny nie można być niestety niczego pewnym. Znałem kapitanów, którzy przygotowali się na podróż do Przylądka Dobrej Nadziei i dosłownie w ostatniej chwili zostali skierowani na Bałtyk. Trudno. Zrobimy wszystko, czego będzie od nas wymagało dobro służby... — W ostatniej chwili Jack zdał sobie sprawę z faktu, że podobne stwierdzenie na pewno nie poprawi nastroju przy stole i szybko zawołał: — Panie Dashwood, proszę dolać sobie wina. Dobro służby wymaga również, byśmy nie zapominali o opróżnianiu butelek. Panie Simmons. dziś rano widziałem małpę, strasznie mnie zadziwiła... Żywa małpa, na maszcie.

— Kasandra, sir? To jedna z sześciu małp, jakie wzięliśmy na pokład w Tungoo. Nasz lekarz mówi, że to gibon. Wszyscy członkowie załogi bardzo ją lubią, lecz wydaje nam się, że jej dni są już policzone.

Przygotowaliśmy dla niej flanelową koszulę, gdy znaleźliśmy się na podejściu do kanału La Manche, lecz biedna małpa nie chce nosić ubrania. Nie je też angielskich potraw.

— Słyszałeś Stephen? — Jack zagadnął doktora. — Na pokładzie jest gibon, który nie czuje się najlepiej.

— Tak? Ach, tak, wiem. — Maturin nagle odzyskał kontakt z otaczającą go rzeczywistością. — Miałem przyjemność spotkać to przemiłe stworzenie dziś rano. Trzymał je za rękę pewien bardzo młody dżentelmen i w pierwszej chwili trudno było powiedzieć, kto kogo prowadzi... To wyjątkowo sympatyczna małpka, pomimo żałosnego stanu, w jakim się znajduje. Wprost nie mogę się doczekać chwili, w której będę mógł przeprowadzić sekcję. Monsieur de Buffon sugeruje, że pod nieowłosionymi powierzchniami na pośladkach kryją się gruczoły zapachowe, nie potrafi on jednak udowodnić tej hipotezy.

W kabinie powiało chłodem i rozmowa urwała się nagle. Po chwili Jack odezwał się ostrożnie:

— Wydaje mi się, mój drogi, że wszyscy bylibyśmy o wiele bardziej zadowoleni, gdyby udało ci się jakoś wyleczyć biedaczkę. Nie interesuje nas wcale wyjaśnienie, czy jakiś tam monsieur de Buffon miał rację. Sądząc z nazwiska, jest przecież Francuzem... Spróbuj lepiej uratować naszą Kasandrę.

— Przecież to właśnie załoga zabija ją powoli. Biedna małpa stała się już nałogową alkoholiczką, a z tego, co wiem, nic nie jest w stanie sprawić, by marynarze przestali częstować rumem swe żywe maskotki. Przykładem może być tutaj nasza foka schwytana na Morzu Śródziemnym, która najzwyczajniej w świecie utonęła w stanie kompletnego upojenia alkoholowego. Gdy została wyłowiona, przeprowadziłem szczegółowe badania: jej nerki i wątroba były w strasznym w stanie. Wyglądały identycznie jak u pana Blanckleya, sześćdziesięciotrzyletniego oficera nawigacyjnego z kecza bombowego „Carcass". Ów człowiek nie trzeźwiał od trzydziestu pięciu lat i gdy zmarł, miałem okazję otworzyć jego zwłoki. Tak... Biedną Kasandrę spotkałem tuż po tym, jak wydano ludziom grog. Skoczyła z samego czubka masztu, gdy tylko rozległy się pierwsze dźwięki *Nancy Davidson*. Była pijana w sztok i doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Starała się nawet ukryć przede mną swój stan; wyraźnie zawstydzona, chwyciła mnie ostrożnie za rękę. Tak przy okazji... Jak nazywa się ten młody dżentelmen, którego wtedy spotkałem?

Współbiesiadnicy wyjaśnili doktorowi, że był to Josiah Randall, syn drugiego porucznika. Gdy fregata powróciła z poprzedniej podróży, okazało się, że matka chłopca nie żyje i został on bez jakiejkolwiek opieki. Ojciec wziął więc syna ze sobą na okręt, a kapitan wciągnął malca na listę załogi i przydzielił go bosmanowi jako służącego.

— To taka smutna historia. — Jack pokręcił głową. — Dlatego mam nadzieję, że już wkrótce nadarzy się okazja do walki. Moim zdaniem nic tak nie pomaga mężczyźnie zapomnieć o kłopotach... Może trafi się nam jakaś francuska lub hiszpańska fregata? Najlepsi byliby Hiszpanie. Potrafią uparcie się odgryzać!

— Czy uczestniczył pan w wielu starciach na morzu? — zapytał pastor, spoglądając na obandażowaną głowę kapitana.

— Nie było tego aż tak dużo. — Dowódca uśmiechnął się do siebie. — Znam ludzi, którzy mieli w tej kwestii znacznie więcej szczęścia ode mnie.

— A właściwie, w ilu morskich potyczkach bierze udział przeciętny oficer? — duchowny pytał dalej. — Byłem bardzo zdziwiony, gdy po moim przybyciu na pokład okazało się, że nikt nie potrafi mi opowiedzieć, jak wygląda prawdziwa, zażarta i krwawa bitwa.

— W tej kwestii wszystko zależy od szczęścia, a raczej od boskich wyroków opatrzności — odpowiedział kapitan, kłaniając się swojemu rozmówcy. — Istotne jest tutaj na przykład to, w jakim rejonie świata operuje dany okręt, w grę wchodzą też zwykle inne, mniej istotne czynniki. Co jednak najważniejsze... —Jack zamilkł na chwilę, gdyż wydawało mu się, że może teraz powiedzieć coś żartobliwego i nie chciał zgubić tej myśli. — ...aby walczyć, trzeba najpierw znaleźć odpowiedniego przeciwnika. Jeśli komuś wciąż nie udaje się spotkać Francuza, nie może przecież stoczyć potyczki z samym sobą. Mówiąc prawdę, służba w marynarce to przecież głównie ochrona konwojów, blokowanie portów, przewożenie żołnierzy i inne tego typu nudne zajęcia. Ośmielam się stwierdzić, że ponad połowa poruczników z „Navy List" nie widziała z bliska prawdziwej bitwy morskiej. Chodzi mi tutaj o starcie dwóch jednostek o podobnej sile ognia, o zmagania zespołów okrętów lub całych flotylli.

— Jeśli chodzi o mnie, ma pan zupełną rację. Nie brałem dotąd udziału w czymś takim — szczerze przyznał pan Dashwood.

— Ja z kolei miałem tylko kiedyś okazję obserwować walczące żaglowce, gdy służyłem na okręcie „Culloden", w roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym ósmym — wyjaśnił pan Simmons. — To była wielka bitwa, lecz zaraz na początku weszliśmy na mieliznę i mogliśmy jedynie patrzeć z daleka. Myślałem wtedy, że mi serce pęknie. Wszyscy zresztą tak bardzo to przeżyliśmy...

— Wierzę panu. Trudno jest wyobrazić sobie coś bardziej przykrego. Pamiętam, jak bohatersko próbowaliście zejść z tej płycizny.

— Był pan wtedy na Nilu, sir?

— Tak. Na „Leanderze". Pamiętam, że wyjrzałem na pokład dokładnie w chwili, gdy okręt „Mutine" podszedł do waszej jednostki od rufy, próbując was ściągnąć i odholować na głębszą wodę.

— Rozumiem więc, że brał pan udział w naprawdę wielkiej bitwie, kapitanie Aubrey? — ucieszył się kapelan. — Proszę mi powiedzieć, jak coś podobnego wygląda? Jakie to jest przeżycie?

— Słowa nie są tu absolutnie w stanie przekazać wszystkiego. To tak, jakbym miał opowiedzieć panu treść symfonii lub opisać smak wspaniałej potrawy. Podczas bitwy jest przede wszystkim bardzo dużo hałasu: więcej niż by się to mogło wydawać możliwe. Ponadto czas zdaje się mieć wtedy zupełnie inne znaczenie i sekundy nie płyną tak samo jak zwykle. Myślę, że rozumie pan, o co mi chodzi? Oprócz tego pojawia się jeszcze potworne zmęczenie, a gdy jest już po wszystkim, trzeba jakoś posprzątać cały ten bałagan.

— Ach, o taki opis właśnie mi chodzi. Mówi więc pan, że huk jest wręcz ogłuszający?

— Dokładnie. Na Nilu eksplodował tuż obok nas „Orion" i przez dobre dziesięć dni musieliśmy porozumiewać się, krzycząc. Jeszcze głośniej było pod St Vincent. W „rzeźni" (tak nazywamy

miejsce, gdzie pełniłem wtedy służbę, jest to część pokładu artyleryjskiego na śródokręciu) stało obok siebie w rzędzie szesnaście trzydziestodwufuntówek. Wszystkie strzelały tak szybko, jak to tylko było możliwe. Wie pan, ogłuszający wystrzał, gorące działo podskakuje z trzaskiem i cofa się popchnięte odrzutem, a tuż nad głową, na wyższym pokładzie, też przez cały czas grzmią armaty. Do tego dochodzą jeszcze inne przeraźliwe odgłosy, gdy w kadłub raz za razem trafiają nieprzyjacielskie kule, z masztów spadają na pokład zerwane reje i liny, a dookoła jęczą lub krzyczą ranni. To wszystko w tak gęstym dymie, że trudno jest cokolwiek zobaczyć i prawie nie można oddychać. Spoceni ludzie poruszają się po omacku w tej gryzącej w oczy chmurze, co jakiś czas wiwatują jak opętani, a gdy trafi się sekunda przerwy, piją szybko wodę dużymi łykami. Podczas bitwy pod St Vincent strzelaliśmy równocześnie z obu burt, co jeszcze podwajało hałas i zamęt. Tak. Właśnie to się głównie pamięta: ogłuszający huk, błyski wystrzałów... — Jack zawiesił głos i nieco zmienił temat. — Dopiero podczas bitwy widać, jak ważną rzeczą jest wprawa oraz zdyscyplinowanie obsługujących działa ludzi. Co dwie minuty oddawaliśmy salwę burtową, a nasi przeciwnicy potrzebowali na przeładowanie armat prawie czterech minut. Dlatego ich pokonaliśmy.

— Rozumiem więc z tego, że brał pan również udział w bitwie pod St Vincent — podsumował kapelan. — Chyba nie będę zbyt niedyskretny, jeśli zapytam, czy uczestniczył pan jeszcze w jakichś innych niebezpiecznych akcjach na morzu? Oczywiście pomijając pański ostatni wyczyn, o którym wszyscy słyszeliśmy. Chodzi mi tutaj o zdobycie „Fanciulli"...

— Och, to były same błahostki. Podczas ostatniej wojny obijałem się trochę po Morzu Śródziemnym, byłem też w Indiach Zachodnich. Tylko tyle — odpowiedział Jack.

— Zapomniał pan o zdobyciu „Cacafuego"... — uśmiechając się. wtrącił pierwszy porucznik.

— Kiedyś były wspaniałe czasy, teraz zupełnie nic się nie dzieje — z zazdrością stwierdził milczący dotąd podchorąży.

— Myślę, że wybaczy mi pan, jeśli moje pytania stają się zanadto osobiste. Chciałbym jednak wyrobić sobie jasny pogląd na tę sprawę; interesuje mnie sylwetka przeciętnego oficera, który miał okazję trochę powalczyć na morzu. Oprócz tych wielkich bitew, uczestniczył pan zapewne również w jakichś innych niebezpiecznych akcjach. Ile ich było?

— Cóż, trudno mi powiedzieć... Nie pamiętam — oświadczył Aubrey z rozbrajającym uśmiechem. Nie chciał kontynuować tej rozmowy. I tak opowiedział już o sobie zbyt wiele. Gotów był teraz przyznać rację ludziom, którzy twierdzili, że na okrętach wojennych nie ma miejsca dla kapelanów. Czuł się coraz bardziej nieswojo, dał więc znak Killickowi i na stole pojawiła się dziczyzna oraz kolejna karafka z winem.

Jack w milczeniu zaczął kroić pieczeń, wyraźnie zakłopotany, a obecni przy stole oficerowie zrozumieli wreszcie, że natarczywość pastora zirytowała kapitana. Pierwszy porucznik zmienił więc czym prędzej temat rozmowy, powracając do sprawy zwierząt spotykanych czasem na okrętach. Słyszał sporo o psach-marynarzach: na przykład o pewnym wyżle, który podczas bitwy zdusił lont dymiącego kartacza. Na okręcie „Culloden" załoga hodowała krokodyla, na wielu jednostkach trzymano też koty...

— Psy? To mi o czymś przypomniało — odezwał się kapelan. Widać było, iż najwyraźniej nie zamierza siedzieć cicho. — Już dawno chciałem panów zapytać, dlaczego o nocnych wachtach mówicie, że są to „psie" wachty?

— Dlaczego? Ponieważ pełniącym wtedy służbę chce się wyć do księżyca — poważnym tonem wyjaśnił Stephen. Pastor ze zrozumieniem pokiwał głową, a pozostali biesiadnicy spuścili wzrok, dusząc się ze śmiechu. Atmosfera przy stole nareszcie się poprawiła.

— Panie Butler, butelka stoi obok pana — powiedział szybko Jack, gdyż kapelan zaczął rozglądać się podejrzliwie. — Panie Lydgate, jeśli pan pozwoli, dołożę panu jeszcze kawałek.

Odpowiedź udzielona pastorowi tak wszystkich rozbawiła, że kapitan postanowił wspomnieć o całym tym zdarzeniu podczas obiadu u admirała. Jak się jednak okazało, nie został zaproszony na pokład flagowca. Tuż po zakotwiczeniu na zatłoczonej redzie w Downs, pojawił się za to Parker — z nowiutkim epoletem, teraz dowódca korwety — przybył, aby pogratulować swemu byłemu przełożonemu awansu i oczywiście po to, by przyjąć gratulacje.

W pierwszej chwili coś ścisnęło Jacka za serce, gdy z łodzi odpowiedziano na wywołanie słowem „Fanciulla", co oznaczało, że przypłynął nią kapitan tej właśnie jednostki. Widok uradowanej i przejętej twarzy wspinającego się po burcie Parkera rozwiał jednak wszystkie uprzedzenia. Były pierwszy porucznik wyglądał teraz przynajmniej o dziesięć lat młodziej, poruszał się szybko i sprawnie jak chłopiec, z całej jego postaci dosłownie promieniowało zadowolenie. Z przykrością stwierdził, że zgodnie z otrzymanymi rozkazami już za godzinę musi wyruszyć w morze, lecz serdecznie i gorąco zaprosił Jacka oraz Stephena na uroczystą kolację — przy pierwszej sposobnej okazji. Opowieść o zdarzeniu z pytającym o „psie" wachty pastorem bardzo go rozbawiła; doktor Maturin już przecież wcześniej wiele razy zadziwiał wszystkich swą błyskotliwą inteligencją i wyjątkowym poczuciem humoru. Trudno też o lepszego lekarza. Parker przyznał, że nadal łyka rano oraz wieczorem zapisaną przez doktora pigułkę i będzie to czynił nawet do końca życia. Gdy w pewnej chwili Aubrey wspomniał ostrożnie o korzyściach płynących z ograniczenia kar cielesnych oraz nie nadużywania bata, kapitan „Fanciulli" ukłonił się z szacunkiem i oświadczył, że bardzo ceni sobie rady tak doświadczonego dowódcy okrętu i z pewnością z nich skorzysta. Trudno przecież o lepszy wzór do naśladowania. Na pożegnanie chwycił Jacka za obie ręce i ze łzami w swych małych, blisko osadzonych oczach powiedział:

— Nie wie pan, co to znaczy, sir. Nareszcie mi się udało, po tylu latach... Coś takiego może zupełnie zmienić człowieka. Może mi pan wierzyć. Z radości jestem nawet teraz gotów całować chłopców okrętowych.

Brwi kapitana fregaty uniosły się wysoko pod zwojami bandaża, uściskał jednak swego gościa bardzo serdecznie, potem odprowadził go do trapu. Ta wizyta była w szczególny sposób wzruszająca i Jack patrzył teraz zamyślony w ślad za odpływającą łodzią.

— Przepraszam, sir... — Pierwszy porucznik stanął tuż obok i odezwał się ostrożnie. — Pan Dashwood ma do pana wielką prośbę. Chciałby zabrać do Portsmouth swoją siostrę, jej mąż jest oficerem piechoty morskiej i służy w tamtejszym garnizonie.

— Ależ oczywiście, panie Simmons. Z najwyższą przyjemnością powitamy ją na pokładzie. Chętnie oddam jej moją kabinę. Nie. Niestety... Kabina jest teraz zajęta przez...

— Och, nie, sir. Pan Dashwood nie chce narażać pana na zbędne niewygody. To przecież tylko jego siostra... Odda jej swoją kajutę, a sam przez tych kilka dni będzie spał w hamaku zawieszonym w mesie. Tak właśnie postępowaliśmy w podobnych przypadkach, gdy fregatą dowodził kapitan Hamond. Czy zamierza pan zejść na ląd, sir?

— Nie. Wyślę na brzeg Killicka po mojego sternika, prowiant i maść na użądlenia. Ja zostanę na pokładzie. Proszę jednak przygotować łódź dla doktora. Dzień dobry pani — powiedział kapitan, odsuwając się na bok i zdejmując kapelusz. Trap zagrzechotał pod ciężarem pani Armstrong, żony artylerzysty. — Proszę uważać. Niech pani chwyci się obiema rękami linek poręczowych.

— Dziękuję — odpowiedziała wesoło pani Armstrong. — Pływałam na okrętach już jako mała dziewczynka i chyba jakoś sobie poradzę. — Chwyciła zębami pałąk koszyka, kolejne dwa kosze powiesiła na lewym ramieniu, potem zeszła do łodzi tak sprawnie jak kilkunastoletni podchorąży.

— To naprawdę wspaniała kobieta, sir — zauważył pierwszy porucznik. — Pielęgnowała mnie. gdy leżałem w gorączce koło Jawy. Pan Floris i holenderscy lekarze spisali mnie już wtedy na straty...

— No cóż... — Jack pokręcił głową. — W arce Noego też były kobiety, więc pewnie może być z nich na morzu jakiś pożytek. Szczerze jednak mówiąc, zwykle ich obecność na okręcie nie przynosi niczego dobrego. Zaczynają się spory, kłótnie, bójki, zazdrość. W portach jest niewiele lepiej: pijaństwo i długa na łokieć lista chorych. Oczywiście to, co powiedziałem, nie odnosi się do żony artylerzysty, do żon pozostałych oficerów czy też do siostry pana Dashwooda... Ach, Stephen, jesteś wreszcie. — Pan Simmons odszedł na bok. — Właśnie wspomniałem pierwszemu porucznikowi o łodzi dla ciebie. Na pewno zechcesz zejść na brzeg, prawda? Dwóch pasażerów zgłosi się dopiero jutro rano, będziesz więc miał mnóstwo czasu.

Maturin uważnie spojrzał na swego przyjaciela. Czy nie powróciła czasem owa dawna dolegliwość? Czy Jack znów jest tak dziwnie nieszczęśliwy? Wydaje się co prawda nienaturalnie beztroski i wesoły, lecz raczej kiepski z niego aktor.

— A ty nie popłyniesz na ląd, mój drogi? — doktor zapytał ostrożnie.

— Nie — zdecydowanie oświadczył Aubrey. — Zostanę na pokładzie. Tak między nami — zniżył nieco głos — nie zejdę już chyba nigdy z własnej woli na ląd. Przysiągłem sobie nie ryzykować niepotrzebnie, nie chcę zostać aresztowany. Mam jednak do ciebie prośbę — wykrzyknął, siląc się na wesołość. Stephen znał ten sztuczny ton aż nazbyt dobrze. — Musisz koniecznie przywieźć mi trochę porządnej kawy. Na Killicku nie mogę polegać. Drań zna się na winie jak przemytnik, lecz absolutnie nie ma pojęcia o kawie.

Stephen skinął głową.

— Dobrze, będę o tym pamiętał. Muszę też kupić trochę grochu — dodał obojętnie. — Zajrzę do New Place i do szpitala. Czy mam przekazać jakąś wiadomość od ciebie?

— Oczywiście pozdrowienia. Serdeczne pozdrowienia i życzenia zdrowia dla Babbingtona oraz pozostałych rannych z załogi „Polychrest". Pamiętaj też o Macdonaldzie. To na drobne upominki dla nich, jeśli pozwolisz. Powiedz Babbingtonowi, że szczególnie jego bardzo chciałbym odwiedzić, lecz na razie jest to absolutnie niemożliwe. Naprawdę bardzo mi przykro z tego powodu.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Zapadał już wieczór, gdy Stephen wyszedł wreszcie ze szpitala. Jak się okazało, pacjenci z załogi „Polychrest" mieli się całkiem dobrze. Człowiek z okropną raną brzucha przeżył jakimś cudem, a ramię podchorążego Babbingtona goiło się bez komplikacji. Doktor szedł więc przez miasto w stronę New Place spokojny i zadowolony — tylko jako lekarz, gdyż niejasne przeczucie podpowiadało mu, że coś jest nie w porządku. Nie był więc specjalnie zdziwiony, gdy okazało się, że dom pana Lowndesa jest pusty i zamknięty na głucho.

Jeśli wierzyć relacjom dzieci sąsiadów, umysłowo chory dżentelmen został odwieziony gdzieś karetą zaprzężoną w czwórkę koni, „kilka tygodni temu albo w zeszłym miesiącu, w każdym razie jeszcze zanim dojrzały jabłka w ogrodzie". Podobno kłaniał się wszystkim z okna powozu i śmiał się do rozpuku. A woźnica miał czarną kokardę na kapeluszu. Służba wyjechała następnego dnia — chyba do Sussex, do Brighton lub do Londynu. Mieszkająca tutaj wcześniej młoda dama przestała się pokazywać jeszcze przed wyjazdem gospodarza. Nikt nie wiedział nic więcej. Pan Pope, lokaj z New Place, był bardzo dumnym i zarozumiałym człowiekiem, a wszyscy służący pochodzili z samego Londynu i z nikim tutaj się nie zadawali.

Stephen postanowił więc sam zbadać sprawę. W przeciwieństwie do Jacka wybrał prostą i bardziej przyziemną metodę: kawałkiem drutu przekręcił nieskomplikowany zamek ogrodowej furtki, potem pomagając sobie ekstraktorem Mortona, otworzył kuchenne drzwi. Ostrożnie wszedł po schodach, nacisnął klamkę i znalazł się w holu. Wysoki, nakręcany raz na miesiąc zegar chodził jeszcze. lecz jego ciężarki prawie dotykały podłogi. Miarowe tykanie dźwięczało echem w pustym przedpokoju i wędrowało w ślad za doktorem aż do salonu. Dalej była cisza — zwinięte dywany, przykryte pokrowcami i poustawiane pod ścianami meble, przenikające tu i ówdzie przez żaluzje promienie zachodzącego słońca. Wirujący w strugach światła kurz, ćmy i pierwsze pajęczyny w zupełnie nieoczekiwanych miejscach. Na przykład na gzymsie kominka w bibliotece, gdzie pan Lowndes wypisał kredą na ścianie kilka linijek wiersza:

Zaszedł już księżyc, a z. nim Plejady Odeszła północ, biegną godziny Ja, Safona, leżę tu sama i czekam...

Chcę się kochać... Nie. Miłość to przecież rzecz nieuchwytna, niematerialna.

Idealna cisza, bezduszna perfekcja i porządek. Zupełnie nieruchome powietrze. Zapach odkrytej podłogi. Kolejny stojący zegar, odwrócony tarczą do ściany.

W pokoju Diany ta sama surowa sterylność i ład; nawet lustro zostało przykryte pokrowcem. Po co? W tym rozproszonym świetle nie okazałoby się przecież dla niej takie okrutne. Nie wyczuwało się tu oczekiwania lub jakiegokolwiek napięcia, a skrzypiące pod stopami Stephena deski nie stanowiły żadnego zagrożenia. Nie umiał też doszukać się w tym wszystkim jakichkolwiek emocji. Mógłby teraz

zacząć skakać tutaj lub wrzeszczeć dziko, nie zwracając absolutnie niczyjej uwagi, a i tak nie udałoby mu się w żaden sposób zakłócić panującego w tych opuszczonych wnętrzach bezruchu. Brakowało tu sensu i jakiegoś uchwytnego znaczenia. Pogrążone w półmroku pokoje przywodziły na myśl śmierć, czaszkę leżącą gdzieś w gęstych zaroślach. Przyszłość znikła bez śladu, a wspomnienia dawno zgasły i odeszły w niepamięć. Po raz pierwszy w życiu Stephen tak wyraźnie doświadczył istnienia *deja vu,* choć oczywiście już wcześniej poznał to dziwne uczucie. Zdarzało się przecież czasem, że wiedział wcześniej, co powie jadący tą samą karetą nieznajomy, czasem znał z góry odpowiedź na pytanie, które nie zostało jeszcze zadane. Często wydawało mu się też, że rozpoznaje wnętrza, w których nigdy nie był. Znajome wydawały się wtedy nawet najdrobniejsze szczegóły, takie jak na przykład wzór tapety na ścianie.

W koszu na śmieci leżało kilka zmiętych w kulki kartek papieru. Był to jedyny szczegół, zakłócający panującą tu dookoła idealną harmonię, jeśli nie liczyć oczywiście tykania niestrudzonego zegara w holu. Cisza była i tak prawie zupełna; te martwe pomieszczenia stanowiły szczególne, zaskakująco wyraźne zaprzeczenie wszelkich form istnienia.

— Czego ja tutaj właściwie szukam? — Stephen zapytał sam siebie, a jego słowa zadźwięczały echem w pustych pokojach. — Swojego nekrologu? — W koszu znalazł tylko kilka notatek spisanych ręką służącej (wszystkie były nieistotne i bez znaczenia) oraz pomięty arkusz, na którym ktoś próbował pióro. Poplątane linie znaczyły może coś kiedyś, lecz teraz na pewno nikt nie zdoła już ich rozszyfrować. Doktor wrzucił papiery z powrotem do śmieci, przez moment stał nieruchomo, nasłuchując bicia własnego serca i po chwili odważnie wszedł do garderoby Diany. Znalazł tutaj dokładnie to, czego powinien oczekiwać: pustkę, ciszę i stłoczone pod ścianami meble. To wszystko nie miało przecież teraz najmniejszego znaczenia. Było tutaj jednak coś jeszcze. W powietrzu wciąż unosił się delikatny zapach perfum, miejscami silniejszy, miejscami zupełnie rozmyty i słaby, prawie niewyczuwalny.

— Nareszcie — Stephen westchnął cicho. — Może tego właśnie potrzebowałem? W końcu mogło mnie spotkać coś znacznie gorszego...

Bardzo ostrożnie zamknął drzwi pokoju, zszedł po schodach do holu i zatrzymał zegar, zaznaczając w ten sposób swoją obecność w opuszczonym domu. Po chwili był już w ogrodzie i ruszył przez zaniedbany, pokryty liśćmi trawnik do zielonej ogrodowej furtki, potem dalej, w stronę drogi biegnącej wzdłuż wybrzeża. Z założonymi za plecami rękami szedł naprzód, w gęstniejącym powoli mroku, aż ujrzał przed sobą świata Deal. Dopiero tutaj przypomniał sobie, że w Dover czeka na niego łódź, zawrócił więc i szybko ruszył z powrotem.

„Nawet dobrze się stało" — rozmyślał. „Na pewno siedziałbym teraz w jakiejś oberży, czekając, aż będzie wystarczająco późno, bym mógł po cichu wrócić na pokład i położyć się spać, bez zbędnych rozmów czy uprzejmości. Tak jest lepiej. Tysiąc razy wolę spacer tą piaszczystą, ciągnącą się w nieskończoność drogą".

Poranek przyniósł sporo ciekawych wydarzeń. Najważniejsze z nich to spotkanie Stephena z panem Florisem. Obaj panowie zostali sobie wreszcie przedstawieni i zaraz potem zwiedzili okrętowy szpitalik. Po drodze obejrzeli skonstruowany przez pana Florisa nawiewnik z rozpiętego przemyślnie żagla, a potem odwiedzili chorych — pan Floris szczególnie nalegał, by doktor Maturin zbadał

człowieka o nazwisku Wallace. Zdaniem Stephena sprawa była raczej oczywista — chodziło o naprawdę ciężki przypadek kamicy nerkowej, wymagający jak najszybszej interwencji chirurgicznej. Drugie wydarzenie to przybycie na okręt pani Miller z małym synkiem. Siostra pana Dashwooda pojawiła się na pokładzie już o brzasku, gdyż fregata stała od wczoraj na jednej kotwicy, z podniesioną flagą „P", gotowa do drogi. Jak się okazało, zapowiedziana przez pana Simmonsa pasażerka była młodą i piękną kobietą, która na pewno dokładnie wiedziała, czego chce. Poruszała się energicznie i odważnie, a jej zachowanie zdradzało ową szczególną swobodę, którą zapewnia ładnym kobietom dziecko oraz obrączka na palcu. Oczywiście przy powitaniu najważniejsze były zwyczajowe uprzejmości: pani Miller podziękowała kapitanowi za zgodę na odbycie podróży i przeprosiła za kłopot. Zapewniła też, że z małym Brydgesem na pewno nie będzie żadnych problemów. Płynął już kiedyś aż do Gibraltaru i z powrotem, ani razu nie chorował i nie płakał.

— Droga pani — Jack odpowiedział z ukłonem —jesteśmy naprawdę zaszczyceni, mogąc gościć was na pokładzie. Szkoda, że płyniecie z nami tylko do Portsmouth. Nie ma tu też mowy o żadnych kłopotach; podwiezienie po drodze żony lub siostry oficera to przecież drobnostka. Jakże mógłbym odmówić? Wydaje mi się jednak, że pozostaniecie z nami trochę dłużej, gdyż wiatr zmienił właśnie kierunek i wieje teraz z południa.

— Mamo... — odezwał się niespodziewanie mały Brydges. — Dlaczego wujek John tak mruga i daje ci znaki? Przecież bardzo krótko rozmawiałaś z panem kapitanem i na pewno zaraz pójdziemy do kabiny. A ja wcale się nie odzywałem.

— Stephen? — zapytał Jack, stukając do drzwi. — Mogę wejść? Mam nadzieję, że cię nie obudziłem? Spałeś może?

— Nie, nie spałem. Wejdź, proszę.

— Przyszedłem ci powiedzieć, że w mesie oficerskiej wszyscy są bardzo wzburzeni. Z tego, co mi wiadomo, około miliona twoich skrzydlatych podopiecznych dostało się dziś rano do dzbanka, w którym przygotowano kakao. Jakieś sto sztuk utonęło, pozostałe wypełzły mokre ze środka przez dziobek. Oficerowie oświadczyli, że nie są w stanie pełnić służby w podobnych warunkach. Jeśli coś podobnego przydarzy się podczas następnego śniadania, odejdą do cywila.

— Nie wiesz, czy może przypadkiem zanotowali dokładny czas?

— Och, na pewno. Walczyli z pszczołami, jedli śniadanie i zajmowali się prowadzeniem okrętu, a w wolnych chwilach biegali kolejno do pierwszego nawigatora, sprawdzić na chronometrze, która jest dokładnie godzina, cha, cha...

— Widzę, że żartujesz sobie ze mnie, tymczasem owo zdarzenie stanowi wspaniały dowód na to, że pszczoły potrafią rozróżniać zapachy. Karmiłem je dotąd syropem z kakao i cukru: woń kakao kojarzy im się więc z pożywieniem. Dziś rano odkryły nowe źródło takiego pokarmu, przekazały sobie nawzajem potrzebne informacje i poleciały na śniadanie. Trudno o wspanialszy dowód ich inteligencji i umiejętności komunikowania się. Mam nadzieję, że jutro nasi oficerowie zanotują dokładny czas pojawienia się pierwszego owada. Gotów jestem założyć się o sporą sumę, że nastąpi to, oczywiście z dokładnością do dziesięciu minut, z chwilą wybicia siedmiu szklanek. Dotąd była to

zwykła pora porannego karmienia.

— Czy to znaczy, że jutro znów powtórzy się to samo?

— Oczywiście. Chyba że nasi oficerowie przestaną pić na śniadanie mocno osłodzone kakao. Dlaczego pszczoły miałyby zrezygnować z uczty? Nie widzę rozsądnego powodu. Ciekawe, czy informacje o nowym źródle pożywienia zostaną również przekazane nowym pokoleniom moich podopiecznych? Dziękuję ci, Jack, za te wspaniałe nowiny. Od lat żadne naukowe odkrycie nie sprawiło mi tyle radości. Gdy tylko wszystko dokładnie sprawdzę, za kilka tygodni albo miesięcy, powiadomię o rezultatach moich badań innych uczonych. Zależy mi zwłaszcza na tym, aby o wszystkim dowiedział się monsieur Huber.

Blada twarz Stephena promieniowała tak szczerym zadowoleniem, że Jack nie zdołał dotrzymać danej oficerom obietnicy. Mogli przecież uszczelnić grodzie, dziurki od klucza i świetliki lub po prostu pić herbatę albo kawę. Jeśli nawet przyjdzie im spędzić cały dzień pod moskitierą — co z tego? Nie takie niewygody trzeba czasem wytrzymać dla dobra służby.

— Mam jeszcze dla ciebie następną wiadomość — powiedział kapitan miękko. — Dzisiejszy obiad zjemy w towarzystwie pięknej, młodej damy. Siostra Dashwooda zaokrętowała dziś rano. Jest naprawdę bardzo ładna i dobrze wychowana. Zeszła od razu pod pokład i do tej pory się nie pokazała.

— Przykro mi, lecz niestety tym razem nie skorzystam z twojego zaproszenia. Myślę, że mi wybaczysz. Czekam, aż zacznie działać znieczulenie i zabieram się do operacji. Pan Floris przygotował już wszystko, a jego pomocnicy właśnie ostrzą chirurgiczne noże. Wolałbym co prawda odłożyć zabieg do chwili, gdy dotrzemy do Haslar, lecz przy tym wietrze pożeglujemy tam kilka dni, tymczasem pacjent jest naprawdę w ciężkim stanie i nie można już dłużej zwlekać. Pan Floris i jego ludzie bardzo chcą zobaczyć, jak operuję, a ja z przyjemnością zaprezentuję im moją metodę. Właśnie dlatego odpoczywam, nie chciałbym spartaczyć pokazu. Oczywiście muszę też pamiętać o chorym. Na pewno poczuje się lepiej, wiedząc, że jest w dobrych rękach. To przecież skomplikowany zabieg, który zajmie mi trochę czasu.

Pacjent, nieszczęsny Wallace, nie wyglądał na specjalnie zadowolonego. Prawdopodobnie cieszył się z faktu, że pokroją go pewne i wprawne dłonie, lecz poza tym nie miał specjalnych powodów do radości. Ogłupiały po dużej dawce opium i rumu bladł coraz bardziej, w miarę jak prowadzący go, a raczej ciągnący go siłą ludzie, zbliżali się do przygotowanej wcześniej ławki. Już po chwili został po marynarsku przygotowany do operacji: jeden z kolegów przywiązał warkoczyk pacjenta do pierścienia umocowanego do pokładu, drugi włożył biedakowi w zęby kulę, a trzeci zapewnił go, że leżąc tutaj, oszczędza przynajmniej sto gwinei, gdyż żaden lekarz na lądzie nie operowałby go za mniejszą sumę. Doktor Maturin to przecież nie byle kto: jest uznaną medyczną sławą i ma w dodatku laskę ze złotą główką.

— Panowie — powiedział Stephen, podwijając rękawy. — Jak za chwilę zobaczycie, rozpocznę nacięcie tutaj i poprowadzę je dalej w stronę kręgosłupa. Proszę zwrócić uwagę, że punkt wyjścia leży dokładnie na linii łączącej...

Jack również w tym samym czasie trzymał w ręce nóż i w przedpokoju swojej kabiny kroił pasztet z dziczyzny.

— Proszę pozwolić, że nałożę pani kawałek — powiedział. — Z pasztetem radzę sobie doskonale, lecz gdy trzeba pokroić coś bardziej skomplikowanego, proszę zwykle o pomoc doktora Maturina. To mój serdeczny przyjaciel, pozna go pani dziś po południu. Jest doskonałym chirurgiem i z krojeniem pieczeni radzi sobie znacznie lepiej ode mnie. Czas mijał powoli, a fregata żeglowała wytrwale na wiatr, płynąc długim halsem w poprzek kanału. Bryza stopniowo przybierała na sile, lecz na masztach wciąż postawione były bramsle i sporo sztaksli.

— Wspaniale, panie Simmons — oświadczył Jack, wracając na pokład. — Rzadko można spotkać okręt, który tak chodzi na wiatr. Wprost trudno w to uwierzyć...

Było ciepłe i jasne popołudnie. Po niebie tylko gdzieniegdzie sunęły postrzępione kłaczki chmur i na błękitnym tle wyraźnie odcinały się wypełnione wiatrem żagle oraz lśniący bielą manilowy takielunek. Fregata pomalowana była w pozbawiony wyrazu sposób, wręcz brzydko i w niczym nie przypominała jachtu. Owe rzadko spotykane, przywiezione aż z Filipin, jasne manilowe liny przydawały jej jednak szczególnego piękna i uroku — zwłaszcza jeśli do tego dodało się jeszcze trudną do opisania lekkość i gracje, z jaką żeglowała po błękitnym morzu. Z południa przychodziła wzdłuż kanału długa martwa fala, pofałdowana powierzchnia wody zmarszczona była przez coraz silniejszą bryzę i co jakiś czas spod dziobu strzelała w górę chmura drobniutkich kropel, ulatujących szybko w stronę rufy. Za każdym razem w tej wodnej mgiełce zapalała się na moment i gasła wielobarwna tęcza. Szykowało się wprost wymarzone popołudnie oraz wspaniały wieczór na artyleryjskie ćwiczenia.

— Proszę mi powiedzieć, panie Simmons, jak często ćwiczyliście strzelanie z dział?

— Na początku służby raz w tygodniu, sir — odpowiedział pierwszy porucznik. — Admiralicji nie podobało się jednak nieuzasadnione zużycie prochu oraz kul i kapitan Hamond zrezygnował z cotygodniowych ćwiczeń. Od tej pory strzelaliśmy raz na miesiąc, bateriami, choć oczywiście przynajmniej raz w tygodniu ćwiczyliśmy na sucho ładowanie i przetaczanie dział.

Jack ze zrozumieniem skinął głową. I on również otrzymywał te urzędowe listy, pełne zakamuflowanych pogróżek. W zamyśleniu zaczął spacerować w kółko po nawietrznej stronie kwarterdeku. Przetaczanie dział tam i z powrotem to na pewno dobry trening dla załogi, lecz podobna zabawa miała przecież niewiele wspólnego z ostrym strzelaniem. Z drugiej jednak strony, każda pełna salwa burtowa kosztowała aż dziesięć gwinei i należało to niestety brać pod uwagę. Przez chwilę rozważał wszystkie możliwości, zszedł do kabiny pierwszego nawigatora, by spojrzeć na mapy i wezwał do siebie artylerzystę. Wysłuchał raportu o liczbie przygotowanych ładunków i kul, potem poprosił o krótką ocenę stanu wszystkich dział. Jak się okazało, pan Armstrong upodobał sobie szczególnie cztery długie dziewięciofuntówki. Właśnie te armaty strzelały podobno najlepiej — artylerzysta obsługiwał je osobiście, razem ze swoimi pomocnikami.

Na horyzoncie, z lewej strony przed dziobem, pojawił się teraz nieregularny zarys francuskiego wybrzeża i fregata musiała zmienić hals. Żeglowała naprawdę wspaniale; trudno było wyobrazić sobie sprawniej przeprowadzony zwrot. Dziób przeszedł gładko przez linię wiatru, okręt przepłynął

zaledwie kabel i płótna znów wypełniły się wiatrem. Prędkość prawie się nie zmniejszyła. Pomimo dużej liczby żagli i konieczności pracochłonnego przenoszenia szotów sztaksli na drugą burtę, już po piętnastu minutach od wzywających załogę na pokład gwizdków marynarze mogli klarować liny po zwrocie. Francja tymczasem powoli znikała za rufą.

„To naprawdę wspaniały okręt"—Jack rozmyślał zadowolony. „Nie ma hałasu i zamieszania, nie istnieje ryzyko, że zwrot się nie uda. Do tego robimy aż osiem węzłów; nie ma chyba na świecie jednostki z rejowymi żaglami, która byłaby w stanie nas prześcignąć. Cóż jednak z tego, skoro nie będziemy umieli przyłożyć wrogowi, gdy już się z nim spotkamy".

— Zrobimy teraz krótki hals, panie Norrey — powiedział do pełniącego właśnie służbę pierwszego nawigatora. — Proszę potem położyć okręt w dryf pod marslami, o tutaj, w odległości pół mili od Balbec.

— Stephen — zapytał kilka minut później. — Jak udała się twoja operacja?

— Bardzo dobrze, dziękuję — odpowiedział doktor. — Trudno byłoby o lepszą okazję do zademonstrowania mojej metody: wprost wymarzony przypadek, wymagający natychmiastowej interwencji, dobre oświetlenie

i dużo wolnego miejsca dookoła. No i co ważne, pacjent przeżył.

— Świetnie, naprawdę świetnie. Słuchaj, mój drogi. Czy mógłbym cię o coś prosić?

— Oczywiście — odpowiedział Stephen, spoglądając na Jacka podejrzliwie.

— Chodzi mi tylko o to, żebyś przeniósł swoje ukochane owady na rufową galeryjkę. W kabinie będą niedługo strzelały działa. Nie wiem, jak pszczoły znoszą taki hałas. No i obsługujący armaty marynarze mogliby się zbuntować.

— Och, zaraz się tym zajmę — zawołał Maturin. —Ja przeniosę ul, a ty zamocujesz na galeryjce przegub od kompasu. Chodźmy, szkoda czasu.

Jack wrócił na pokład roztrzęsiony, po plecach wciąż ciekły mu strumyczki zimnego potu. Fregata była już blisko wyznaczonej pozycji, natychmiast kazał więc ogłosić alarm. Zagrzechotał bęben, ludzie tak jak zwykle pobiegli na wyznaczone stanowiska, lecz wszyscy wiedzieli doskonale, że tym razem nie chodzi o cotygodniowy rytuał. Odgadli to nie tylko ze wzmożonej aktywności i znaczących spojrzeń artylerzysty — tuż po ogłoszeniu alarmu pani Miller została wraz z synkiem odesłana do ładowni w towarzystwie niosącego naręcze poduszek podchorążego. Zapytana, czy nie będzie przeszkadzał jej hałas, odpowiedziała radośnie, że nie, wprost przeciwnie: lubi, gdy dzieje się coś ciekawego.

Okręt sunął teraz pod marslami, w odległości pół mili od brzegu i gołym okiem można było policzyć owce skupione wokół obserwującego fregatę pasterza. Marynarze nie zdziwili się zbytnio, gdy po meldunku, że są „wszyscy obecni i trzeźwi, sir", polecono im odczopować działa.

Załogi niektórych armat miały trochę kłopotów z wykonaniem tego rozkazu i w kilku przypadkach

potrzeba było sporej siły, lecz zanim okręt zbliżył się do baterii broniącej wejścia do malutkiego portu w Balbec, wyciągnięto z luf nawet najbardziej oporne, od dawna nie wyjmowane zatyczki. Francuzi mieli tutaj tylko trzy dwudziestoczterofuntowe armaty, ustawione na małej wysepce u ujścia rzeki. Wszystkie wypaliły z maksymalnej odległości, znikając w chmurze gęstego dymu. nad którą powiewała dumnie olbrzymia, trójkolorowa flaga.

— Niech działa strzelają po kolei, panie Simmons — polecił Jack. — W półminutowych odstępach. Zaczniemy na mój rozkaz. Panie Fanning, proszę zapisywać numery dział i wyniki strzelania.

Francuscy artylerzyści mierzyli starannie, lecz poruszali się bardzo powoli. Ich trzecia salwa strąciła co prawda rufową latarnię „Lively", lecz był to ich jedyny poważniejszy sukces; do czasu, gdy fregata znalazła się wreszcie w miejscu, które upatrzył sobie jej kapitan, zdołali tylko przestrzelić pojedynczą kulą grotmarsel. Padł wreszcie rozkaz, działa okrętu odzywały się kolejno, lecz ich pociski nie wyrządziły baterii większej szkody. Marynarze poruszali się stanowczo zbyt wolno i nie mieli zielonego pojęcia o celowaniu. Tylko jedna wystrzelona z prawej burty kula uderzyła w obmurowanie i gdy umilkła ostatnia armata „Lively", na wysepce rozległy się szydercze okrzyki.

Bateria przesuwała się powoli do tyłu, okręt był w tej chwili oddalony od niej o niewiele ponad ćwierć mili.

— Czy rufowe działa są już przygotowane, panie Simmons? — zapytał kapitan. — Dobrze. W takim razie poślemy im teraz salwę. — Czekał przez chwilę, aż pokład podniesie się na fali i w tym czasie jedna dwudziestoczterofuntowa francuska kula uderzyła w kadłub tuż obok ławy wantowej stermasztu, a druga z przeraźliwym wyciem przeleciała nad pokładem rufówki. Dwaj podchorążowie skulili się przerażeni i patrzyli teraz na dowódcę z niepokojem, ciekawi, czy to zauważył. Najwyraźniej po raz pierwszy w życiu znaleźli się pod artyleryjskim ostrzałem.

— Ognia! — zawołał wreszcie Aubrey. Cała burta eksplodowała przeciągłym grzmotem i okręt zatrząsł się aż po stępkę. Na moment dym przesłonił słońce, po krótkiej chwili szary obłok szybko odpłynął na zawietrzną. Jack przechylił się przez reling, wypatrując. Tym razem poszło trochę lepiej: w kilku miejscach leżały porozrzucane kamienie, a trójkolorowa flaga niebezpiecznie się przechyliła. Marynarze wiwatowali radośnie, lecz prędkość, z jaką obsługiwali działa, w niczym nie przypominała ich sprawności w stawianiu i zrzucaniu żagli. Mijały kolejne minuty. W rufę „Lively" uderzyła następna kula.

„Może trafiła w galeryjkę" — Jack pomyślał z nadzieją, zapominając na chwilę o wzbierającej w nim z każdą sekundą złości.

— Grotmarsel do łopotu — zawołał. — Ster prawo na burtę. Czy dopilnuje pan, by ci ludzie wreszcie podtoczyli działa, panie Simmons?

— Wysepka oddalała się powoli, francuska kula uderzyła w wiszącą na żurawikach łódź, zasypując pokład klepkami i odłupanymi drzazgami.

— Ster lewo. Tak trzymać. Ognia. Do zwrotu! Uwaga!

Tylko dwa pociski ostatniej salwy dosięgły celu, jeden z nich uciszył jednak nieprzyjacielskie działo, rozbijając ambrazurę. Fregata wykonała zwrot. Strzelały teraz kolejno działa na lewej burcie (do tego czasu ludzie zdążyli zdjąć koszule), potem wszystkie armaty wypaliły jednocześnie. Gdy okręt po raz drugi znalazł się w pobliżu wyspy, zmniejszając dystans, tak by do akcji mogły wkroczyć krótkolufowe karonady, żołnierze z załogi baterii opuścili w popłochu swe stanowiska i pospiesznie ruszyli w stronę brzegu, stłoczeni w jednej małej łodzi. Druga łódka dryfowała nieopodal z przeciętą cumą.

— Ognia! — Jack zawołał znowu i umocnienia na wyspie znikły w chmurze kurzu oraz odprysków rozbitych kamieni. — Jak tam nasze łodzie? — zapytał podchorążego pełniącego służbę na rufie.

— Pański gig został rozbity. Pozostałe są w porządku.

— Proszę zwodować kuter. Panie Dashwood, popłynie pan na tę wyspę. Proszę zagwoździć wszystkie ocalałe lub zdatne do naprawy działa. Niech pan też zabierze stamtąd to, co zostało z francuskiej flagi i przekaże ją pani Miller z pozdrowieniami od załogi „Lively". Przyda się nam też ta dryfująca łódź. Zaraz po waszym powrocie postawimy żagle.

Fregata kołysała się łagodnie na fali, a załoga kutra szybko wykonała zadanie. W porcie poza stateczkami rybackimi nie było nic godnego uwagi i prawie wszystko zostało już zrobione.

— Wydaje mi się jednak, panie Simmons, iż dobro służby wymaga od nas, byśmy jeszcze trochę ostrzelali tę baterię — oświadczył z przekonaniem Jack, gdy łodzie zostały już podniesione na żurawikach. — Postawić kliwer. Musimy sprawdzić, czy uda nam się uzyskać lepszy czas niż cztery i pół minuty pomiędzy kolejnymi salwami.

Pływali teraz powoli tam i z powrotem, zamieniając resztki umocnień w kupę gruzu. Załogi dział były wyraźnie bardzo z tego zadowolone. Obsługujący armaty ludzie pracowali w tej chwili naprawdę gorliwie, choć wciąż jeszcze niezbyt dokładnie celowali.

Zanim fregata ruszyła wreszcie w dalszą drogę, artyleryjskie umiejętności marynarzy nieco się poprawiły. Koordynacja poszczególnych czynności zbliżyła się odrobinę do tego, czego oczekiwał dowódca, a jego podwładni mieli okazję oswoić się nieco z hałasującymi i podskakującymi dziko działami. Wciąż jednak wszystko odbywało się zatrważająco powoli.

— Wspaniale, panie Simmons — powiedział Jack do pierwszego porucznika, który od pewnego czasu przyglądał mu się niepewnie. — Nie poszło nam aż tak źle. Działa numer cztery i siedem strzelały bardzo dobrze. Gdyby jednak udało nam się dojść do trzech celnych salw w ciągu pięciu minut, nie będziemy musieli obawiać się żadnego przeciwnika. Zamierzam oddawać podobny salut armatni w stronę każdej mijanej po drodze francuskiej baterii; to znacznie przyjemniejsze niż zwykłe strzelanie do celu. Ponadto nasi przyjaciele z Admiralicji nie będą mogli mieć wtedy absolutnie żadnych pretensji. Liczę po cichu na to, że przed wypłynięciem na odległe morza popływamy jeszcze trochę po wodach kanału.

Jack zapewne nie wypowiedziałby na głos tego życzenia, gdyby wiedział, jak szybko miało ono zostać spełnione. Fregata „Lively" nie zakotwiczyła jeszcze dobrze w Spithead, gdy na jej pokład

dotarły nowe rozkazy: okręt miał udać się natychmiast do Plymouth, gdzie czekał na ochronę konwój zmierzający na północ. O Bermudach trzeba było zapomnieć na kilka tygodni, a może i na dobre. Łódź od admirała przywiozła także młodego urzędnika z biura nowego agenta pryzowego i czek na sumę o sto trzydzieści funtów wyższą od najśmielszych oczekiwań Jacka. W poczcie był również list, w którym generał Aubrey z dumą informował syna o swoim powrocie do parlamentu. Tym razem został wybrany posłem z okręgu St Muryan — najpodlejszego z podłych okręgów w Cornish, utworzonego na terenie posiadłości przyjaciela, pana Polwhele. Hasła wyborcze generała nie były zbyt skomplikowane i właściwie zawierały się w dwóch słowach: „śmierć wigom!"

Przygotowałem już swoje pierwsze przemówienie — napisał ojciec w liście. *Wygłoszę je w poniedziałek. Zmiażdżę ich bez litości— wprost trudno uwierzyć w tak straszną korupcję! Po feriach wystąpię raz jeszcze (znacznie bardziej zdecydowanie), jeśli oni do tego czasu czegoś dla nas nie zrobią. Przelewaliśmy swoją krew w obronie ojczyzny i ten kraj jest nam chyba coś teraz za to winien.*

Słowo „chyba" zostało przekreślone i tekst kończył się prośbą, by Jack wpisał na listę załogi swego nowo narodzonego brata, gdyż „kiedyś może się to przydać". Te wiadomości specjalnie Jacka nie ucieszyły. Stwierdzenie o przelewaniu krwi nawet mu się podobało, znał jednak dobrze swego ojca i wiedział, że potrafi on być bardziej niż nierozważny.

Pani Miller zeszła na ląd, zadowolona i dumna jak paw — poszarpana francuska flaga stała się dla niej jedną z najcenniejszych pamiątek, wręcz relikwią, a fregata ruszyła dalej zygzakowatym kursem wzdłuż kanału, borykając się z przeciwnym, zachodnim i południowo-zachodnim wiatrem. Fakt, iż dowódca się wzbogacił i jego ojciec został parlamentarzystą, załoga uczciła z hukiem, rozbijając baterię brzegową na cyplu Barfleur oraz stację semafora w Cap Levi. Z dymem szły kolejne baryłki prochu, a na francuski brzeg spadło w sumie kilka ton żelaza. Artyleryjskie umiejętności marynarzy „Lively" bardzo się poprawiły. Podobało im się strzelanie do nieprzyjaciół — sporą radość sprawiało też wszystkim niszczenie obiektów zbudowanych ludzkimi rękami na brzegu. Atakowanie oszklonej stacji semafora było na pewno o wiele bardziej interesujące niż celowanie do wyrzuconej za burtę starej beczki, i obsady dział wyjątkowo gorliwie przykładały się do tych ćwiczeń. Gdy po kolejnej salwie wymierzonych maksymalnie wysoko dział, okna i szyby znikły z trzaskiem, na pokładzie rozległy się tak gromkie wiwaty, jakby fregacie udało się właśnie zatopić okręt liniowy. Również wszyscy oficerowie, łącznie z kapelanem, cieszyli się z tego powodu jak dzieci.

Jack nie wypowiedziałby również swego pochopnego życzenia, gdyby wiedział, że w ten sposób pozbawi Stephena obiecanych tropikalnych atrakcji, nie mówiąc o tym, że w dalekich krajach sam mógłby wreszcie bez obaw zejść na ląd. Na Maderze, Bermudach czy w Indiach Zachodnich nie musiałby co chwilę spoglądać niespokojnie za siebie. Jedyne realne niebezpieczeństwo stanowiliby tam Francuzi, może Hiszpanie.. . No i żółta febra...

Trudno. Na razie zakotwiczyli na zawietrznej Drake Island, a z lewej strony przed dziobem widać było Plymouth Hoe. Zgodnie z otrzymanymi rozkazami musieli teraz czekać, aż żołnierze 92 regimentu piechoty załadują się na transportowce w Hamoaze. Biorąc pod uwagę panujący tam totalny bałagan, zapowiadał się raczej dłuższy postój.

— Jack, może odwiedzisz admirała Haddocka? — zagadnął Stephen.

— Nie — odpowiedział zdecydowanie Aubrey. — Wykluczone. Postanowiłem, że nie będę schodził na ląd. Wiesz przecież.

— Sophie i Cecylia nadal mieszkają w domu admirała — obojętnie zauważył doktor.

— Och! — zawołał wzburzony Jack i zaczął chodzić tam i z powrotem w poprzek kabiny. — Stephen... — powiedział po chwili. — Nie mogę ich odwiedzić. Co jej powiem? Cóż teraz jestem wart? Co z jej punktu widzenia sobą przedstawiam? Sporo o tym ostatnio myślałem. Postąpiłem bardzo źle i samolubnie, jadąc za nią wtedy do Bath. Nie powinienem był tego robić. Niepotrzebnie dałem się ponieść emocjom, zawładnęły mną uczucia i działałem bez zastanowienia. Raczej kiepski ze mnie w tej chwili kandydat na małżonka. Jestem kapitanem marynarki, to prawda, lecz tonę przecież po uszy w długach. Jeśli odejdzie Melville, stracę wszelkie szansę zrobienia dalszej kariery, a gdy schodzę na ląd, muszę przemykać się chyłkiem jak ścigany przez policjantów złodziej. Nie. Nie zamierzam po raz kolejny wystawiać jej uczuć na próbę. Nie chcę też ranić siebie. Zresztą... Po tym wszystkim na pewno jej już na mnie nie zależy...

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Przepraszam, panienko. Czy może mi panienka powiedzieć, gdzie w tej chwili jest panna Sophie? — zapytał lokaj admirała Haddocka. — Jakiś dżentelmen chce się koniecznie z nią widzieć.

— Zaraz zejdzie na dół — odpowiedziała Cecylia. — Dżentelmen? Kto to taki?

— Doktor Maturin. Prosił, żeby dokładnie tak powiedzieć: doktor Maturin.

— Ach, przyprowadź go tutaj, Rowley! —Cecylia zawołała radośnie. — Chętnie z nim porozmawiam. Doktorze Maturin! Witam serdecznie! Jak pan tu do nas trafił? Naprawdę, sprawił mi pan wielką niespodziankę. Bardzo się cieszę... Kapitan Aubrey odniósł taki wspaniały sukces. Zdobył „Fanciullę"! Wielka szkoda, że jego slup „Polychrest" zatonął. Widzę jednak, że chyba udało wam się uratować wasze ubrania? Z taką radością przeczytałyśmy o tym wszystkim w gazecie. Obie z Sophie podskakiwałyśmy w różowym pokoju jak owieczki, trzymając się za ręce i wołałyśmy: hurra, hurra! Trudno to opisać. Naprawdę bardzo się ucieszyłyśmy, może mi pan wierzyć, choć tego dnia wcale nie było nam wesoło. Płakałyśmy nawet i potem brzydko wyglądałam na balu u dowodzącego portem admirała. Sophie w ogóle tam nie poszła. Niewiele zresztą straciła; co to za bal, gdy wszyscy młodzi panowie stali w drzwiach lub pod ścianami, a tańczyło tylko kilku podtatusiałych oficerów, wie pan, jak to w wojsku: ci najstarsi stopniem. Trudno zresztą nazwać coś takiego tańcem! Tylko raz poproszono mnie na parkiet. Och, obie tak wtedy płakałyśmy. Można było wykręcać chusteczki. Nic w końcu dziwnego, ta cała sprawa jest przecież bardzo przykra. Kto mógł przewidzieć, że tak się to skończy? Jak my teraz spojrzymy ludziom w oczy? Mogła przynajmniej poczekać z tym do chwili, aż wyjdziemy za mąż. Moim zdaniem jest... Nie powinnam przy panu tego mówić. Pamiętam, że swego czasu mieliście się ku sobie, prawda?

— Co was obie tak zmartwiło?

— Co? Diana, oczywiście. Nie wie pan o niczym? O Boże...

— Bardzo proszę, niech mi pani o wszystkim opowie.

— Mama kazała mi nie mówić o tym nikomu, lecz jeśli obieca pan dochować tajemnicy, wyjaśnię panu szeptem, co się stało: Diana mieszka z panem Canningiem. Myślałam, że się pan zdziwi. Kto by się tego spodziewał? Mama nie przewidziała takiego biegu wypadków, a przecież jest taka mądra. Do tej pory nie może opanować złości. Mówi, że podobny skandal bezpowrotnie zaprzepaścił nasze nadzieje na porządne małżeństwo. Taka szkoda. Nie zależy mi oczywiście aż tak bardzo na porządnym małżeństwie, lecz z drugiej strony nie chciałabym zostać starą panną. Wręcz się tego obawiam. Cicho! Trzasnęły chyba drzwi pokoju, Sophie już schodzi. Zostawię was samych i nie będę udawała przyzwoitki. Nie powtórzy pan nikomu tego, o czym panu opowiedziałam? Obiecał mi pan.

— Sophie, moja droga — powiedział doktor, całując pannę Williams na powitanie. — Dzień dobry. Tak się cieszę. Natychmiast odpowiem na wszystkie pytania: Jack został awansowany na stopień kapitana. Przypłynęliśmy tu obaj na fregacie, która stoi o tam, koło tej małej wysepki. Jack tymczasowo zastępuje dowódcę tego okrętu.

— Fregata? Która? Gdzie?

— Proszę tutaj — powiedział Stephen, obracając we właściwym kierunku ustawiony na trójnogu olbrzymi mosiężny teleskop admirała. — To Jack: chodzi po pokładzie w swoich ulubionych starych spodniach.

Rzeczywiście. Jack spacerował tam i z powrotem na rufie, po raz kolejny pokonując odcinek od tylnego relingu do ostatniej karonady.

— Och! — Sophie zawołała wzburzona. — Ma obandażowaną głowę. Mam nadzieję, że tym razem to nie jego biedne uszy — mówiła cicho, ustawiając ostrość.

— Nie, nie. Tylko rana głowy. Nie więcej niż tuzin szwów...

— Kapitan nie zejdzie na ląd? — dziewczyna zapytała ostrożnie.

— Niestety, nie. Najprawdopodobniej natychmiast zostałby aresztowany za długi. Jako przyjaciel stanowczo mu to odradzam, nie wyobrażam też sobie, by jakakolwiek kobieta mogła oczekiwać, że...

— Ależ oczywiście, doktorze. Zapomniałam...

Jack spacerując, spoglądał co chwilę w stronę Mount Edgcumb, oficjalnej rezydencji admirała Haddocka. W pewnej chwili oczy kapitana oraz Sophie jakby się spotkały i dziewczyna cofnęła się o krok, wyraźnie zawstydzona.

— Czy obraz jest nieostry? — zainteresował się Stephen.

— Nie. Wcale nie... Nie powinnam tak się przyglądać. To nie wypada... Czy pański przyjaciel dobrze się czuje? Wszystko u niego w porządku? Zaskoczyła mnie pańska wizyta. Nie spodziewałam się... A co u pana?

— Wszystko dobrze, dziękuję.

— Nie wygląda pan najlepiej. Proszę usiąść tutaj, koło mnie. Co Cissy panu naopowiadała?

— Nic istotnego... — Stephen zawahał się i odwrócił głowę. — Czy to prawda?

Sophie nie zdołała nic odpowiedzieć. Chwyciła tylko doktora za rękę.

— Niech pani mnie teraz uważnie posłucha, moja droga... — Stephen uścisnął delikatnie dłoń dziewczyny.

— Och! Wybaczcie mi, proszę... — Admirał Haddock zajrzał do pokoju i natychmiast cofnął głowę.

— Niech pani mnie posłucha: „Lively", nasza fregata, ma popłynąć w górę kanału, do Nore, z tymi głupkowatymi żołnierzami. Wyjdzie w morze, gdy tylko transport będzie gotowy. Musi pani wybrać się do nas na okręt dziś po południu i poprosić Jacka o podwiezienie do Downs.

— To niemożliwe. Nigdy bym się nie odważyła... To po prostu nie wypada. Nie mogę pozwolić sobie na coś równie śmiałego i niestosownego. W żadnym wypadku.

— Ależ skądże. Przecież popłynie pani w towarzystwie siostry. Nie ma w tym nic niezwykłego, wprost przeciwnie. Dalej, moja droga. Powinna pani już zacząć pakować rzeczy. Teraz albo nigdy. To naprawdę wyjątkowa okazja. Kto wie, czy już za miesiąc nie będziemy w Indiach Zachodnich.

— Nie mogę... Wiem, że ma pan dobre intencje. Bardzo panu dziękuję za tak wielką życzliwość. Wie pan jednak przecież, że młodej kobiecie nie wypada...

— Przykro mi, moja droga, lecz nie mam zbyt wiele czasu — oświadczył Stephen, wstając. — Proszę więc uważnie mnie posłuchać i zrobić dokładnie to, o czym powiedziałem. Powinna pani spakować swoje rzeczy i jak najprędzej popłynąć na okręt. Właśnie nadeszła odpowiednia chwila, by wszystko ostatecznie się wyjaśniło. Trzeba ją wykorzystać, w przeciwnym razie już wkrótce może was rozdzielić kilka tysięcy mil i stracicie wówczas, zupełnie niepotrzebnie, kilka nieszczęśliwych lat.

— Jestem taka zdezorientowana i zmieszana... Nie mogę jednak... Nie, nigdy nie odważę się na coś podobnego. Może on mnie nie chce?

— Z oczu Sophie popłynęły łzy. Rozpaczliwym ruchem wykręciła chusteczkę i powtórzyła cicho: — Nie, nie mogę... Nigdy...

— Do widzenia — powiedział doktor, zbierając się do wyjścia. — Skąd u pani ta dziecięca bezradność i nieuzasadniony pesymizm? Gdzie odwaga? Nie wolno tak poddawać się bez walki. Proszę pamiętać, że Jack najbardziej ceni sobie śmiałość i zdecydowanie.

W swoim dzienniku Stephen napisał:

Plymouth to szczególne miejsce. Nigdy nie spotkałem w jednym miejscu tyle plugastwa, podłości,

nędzy i brudu. We wszystkich miastach portowych, które dotąd widziałem, można znaleźć cuchnące i parszywe zakątki, lecz Plymouth nie ma chyba sobie równych. Jeszcze gorsze jest przedmieście, nazywane Dock — ewentualne porównanie obu tych miejsc przywodzi na myśl biblijne wersy o Sodomie i Gomorze. Spacerowałem po zapaskudzonych ulicach, nagabywany przez oferujących swe seksualne usługi zwyrodniałych mieszkańców obojga płci (niektórzy z nich fizycznie nie byli zresztą ani mężczyznami, ani kobietami) i trafiłem w końcu do przytułku, gdzie starcy przebywali aż do chwili, w której można było im wyprawić w miarę przyzwoity pogrzeb. Do tej pory nie jestem w stanie zapomnieć o tym, co tam widziałem, choć przecież z racji wykonywanego zawodu dane było mi już wcześniej poznać rozmaite, czasem bardzo wynaturzone formy ludzkiego nieszczęścia. Nigdy jednak dotąd nie napotkałem tak niesamowitego połączenia brudu, okrucieństwa i bestialskiej ignorancji. Wstrząsnął mną zwłaszcza tamtejszy lokalny szpitalik: czegoś podobnego nie potrafiłbym sobie wyobrazić. Ogłupiały staruszek przykuty łańcuchami do ściany w ciemnym pomieszczeniu, klęczący we własnych ekskrementach, nagi, okryty tylko brudnym kocem; zidiociałe dzieci, okładanie batem. Słyszałem wcześniej o podobnych praktykach — nie są one w końcu niczym nowym — lecz nagromadzenie podobnych rzeczy w jednym miejscu przyprawiło mnie prawie o wymioty. Nie byłem nawet w stanie zdobyć się na litość czy oburzenie, straciłem poczucie rzeczywistości i wiarę w sens istnienia. To cud, że wybrałem się jednak na ów koncert, na który tak gorąco zapraszał mnie kapelan. Zaniosły mnie tam po prostu bezwiednie moje nogi, mniej chyba niż umysł wrażliwe na owe odrażające, bezsensowne okropieństwa. Muzyka była dosyć dziwaczna, lecz wydała mi się nawet ciekawa i, co najważniejsze, została dobrze zagrana: wyróżniała się zwłaszcza trąbka. Kompozytor utworu, jakiś Niemiec o nazwisku Molter, nie miał chyba nic szczególnego do przekazania, lecz udało mu się stworzyć wspaniałe dźwiękowe tło, dzięki czemu właśnie owa trąbka mogła dać naprawdę popisowy koncert. Pełną formalnej elegancji partię tego instrumentu ożywiały chwilami idealnie czyste i zaskakująco wyraziste kolory. Próbowałem zdefiniować nasuwające mi się tutaj na myśl skojarzenia, lecz niestety nic z tego nie wynikło. Istniejący na pewno w tym wszystkim logiczny związek nadal pozostaje dla mnie niejasny. Początkowo sądziłem, że najważniejszą artystyczną wartością jest tutaj muzyka, potem uznałem, że pierwszorzędną rolę odgrywa styl, wreszcie wydało mi się, iż o wszystkim przesądziło wspaniałe, brawurowe wykonanie. Związane z koncertem przeżycia i wrażenia zdołały co prawda odwrócić na chwilę bieg moich myśli, lecz wszystkie niepokoje i rozterki powróciły dzisiaj, dręcząc mnie ze zdwojoną wręcz. siłą. Nie mam niestety teraz wystarczająco dużo duchowej energii, bym mógł borykać się z podobnymi problemami. Kolo mojego domu leży olbrzymi głaz, na którym Rzymianie wyryli łacińską sentencję: fui non sum non curo. *Pamiętam ów napis bardzo dobrze, często wybierałem się słuchać tam właśnie śpiewu nocnych ptaków. Za każdym razem doświadczałem przy tym kamieniu szczególnego spokoju duszy:* a tranquillitas animi et indolentia corporis. *Przyszła mi tutaj na myśl kolejna refleksja — piszę tu przecież o moim domu, a w tym właśnie wypadku jest to bardzo szczególne i mające wiele rozmaitych znaczeń słowo. Szczególnie istotna jest tutaj, a zwłaszcza tak ważna w moich stronach, sprawa nienawiści wobec Hiszpanów: w duszach ludzi wciąż żywe są marzenia o niepodległej Katalonii.* Doktor wyjrzał przez okno kabiny na szarą, oleistą wodę, skażoną ściekami i brudami Plymouth. Przez chwilę patrzył na wydęty brzuch pływającego nieopodal martwego szczenięcia, potem zanurzył pióro w kałamarzu i pisał dalej: *Z drugiej jednak strony, czy można mieć nadzieję, że ów ukryty ogień zapłonie kiedyś pełnym, jasnym płomieniem? Nie chcę nawet myśleć o tym, co mogłoby się stać z odzyskaną nagle wolnością. Istnieją co prawda wręcz niewiarygodne potencjalne możliwości, kto wie jednak, jak zostałyby one wykorzystane? Dookoła nas jest przecież tyle podłości, niesprawiedliwości i*

nieszczęść. Często główną siłą pobudzającą ludzi do działania bywa nienawiść. Życie staje się zwykle monotonnym pasmem mozolnego wysiłku — jedyny radośniejszy okres to dzieciństwo, potem rozpoczyna się nieprzerwana walka, w której niestety nie można zwyciężyć. Przegrywamy ją stopniowo, powoli tracąc zdrowie, a większości z nas na starość przyjdzie niestety żyć w biedzie. Nasza egzystencja to jakby długotrwała choroba, której nikt nie potrafi uleczyć i z góry można przewidzieć jej zakończenie. Ostatnie lata ludzkiego istnienia są czasem wręcz przerażające: utrata sił, reumatyczne bóle, otępienie... Starzy ludzie dziwaczeją, nie są w stanie pracować, tracą przyjaciół, rodzinę i kontakt z otaczającym światem. Prędzej czy później przychodzi też najgorsze: wyrok śmierci, od którego niestety nie ma odwołania. Trudno o coś równie okrutnego i poniżającego. Z drugiej jednak strony jesteśmy czasem gotowi zaskakująco beztrosko zmarnować stającą przed nami szansę. Rezygnujemy z nikłej nadziei na szczęście i ulegamy zazdrości, chciwości, próżności czy też konwenansom. Kierujemy się źle rozumianym własnym interesem i nadmiernie wybujałym poczuciem honoru. Trudno doszukać się w tym głębszego sensu, lecz czasem jesteśmy przecież nawet gotowi ryzykować życie w obronie swego dobrego imienia, choć jest to przecież coś, czego w żadnym wypadku nie można zdefiniować. Takie zachowanie świadczy wręcz o bezgranicznej głupocie, a przecież i ja sam nie ustrzegłem się podobnych błędów. Niezaprzeczalnym na to dowodem jest moje postępowanie wobec Diany. Nie popisałem się co prawda tutaj jako znawca życia, lecz chciałbym, by i Sophie umiała być bardziej bezpośrednia, zdecydowana, szczera i odważna. Z drugiej jednak strony, nie wszystkie kwestie są tutaj aż tak oczywiste. Ja wiem dokładnie, jak bardzo Jackowi zależy na tej dziewczynie, a ona może po prostu nie zdawać sobie z tego sprawy.

Stephen po raz kolejny podniósł oczy znad kartki i spojrzał przez okno, prosto w twarz panny Williams. Sophie znajdowała się w łodzi, o kilka stóp poniżej i z napięciem patrzyła w stronę rufowego pokładu. Miała rozchylone usta, bezwiednie przygryzała zębami dolną wargę, skierowane w górę oczy zdradzały najwyższe zdenerwowanie. Obok siedział admirał Haddock. I Cecylia.

Gdy Stephen znalazł się na górze, admirał podziwiał właśnie głośno manilowe olinowanie. Jack i Sophie stali dość daleko od siebie, oboje byli wyraźnie poruszeni.

„Mój przyjaciel jest nie tyle przejęty, co zakłopotany" — pomyślał doktor. „Zupełnie stracił pewność siebie i na pytania gościa odpowiada półsłówkami".

— Te wszystkie liny musiałyby zostać posmołowane, gdyby użyto tutaj zwykłych konopi — wyjaśnił pannom admirał.

— Posmołowane? — zawołała Sophie. — Ach tak, rzeczywiście... Na pewno używa się w tym celu specjalnego pędzla, prawda? — Głos zamarł jej w gardle i twarz dziewczyny oblała się rumieńcem.

— Powierzam panu moje podopieczne, kapitanie Aubrey — oświadczył admirał. — To naprawdę wielka odpowiedzialność. Przyślę je na pokład w czwartek. Z bagażami.

— Oczywiście. Z bagażami. Ma pan rację, choć nie bardzo mamy tutaj na okręcie miejsce dla pań... To znaczy... Przepraszam, mamy, oczywiście, jak najbardziej. Tylko trochę tu u nas ciasno... Serdecznie zapraszamy. Z najwyższą przyjemnością zaopiekuję się pannami Williams.

— Och, niech się pan tak nimi nie przejmuje, kapitanie. To przecież jeszcze dzieci. Płynąc z panem, zaoszczędzą sporo na kosztach podróży. Może pan ulokować dziewczęta gdziekolwiek, na przykład w kabinie

doktora, cha, cha... O wilku mowa. Witam, doktorze Maturin. Cieszę się, że pana widzę. Chyba się pan nie obraził? Co? Widziałem was ostatnio. No, no... Kto by się tego spodziewał? Niech pan uważa, kapitanie Aubrey. Wbrew pozorom, pański przyjaciel ma cholerne powodzenie u dam... — Obecni na pokładzie oficerowie zmarszczyli brwi. Admirał był człowiekiem starej daty i żył w nieco innym świecie niż oni. — Wszystko załatwione, kapitanie? Wspaniale. Bardzo się cieszę. Chodźcie, panienki. Marynarze opuszczą was obie do łodzi na tej ławeczce. Pozapinajcie się tylko dobrze, wieje dziś bardzo chłodny wiatr. Och! — Admirał zniżył głos do szeptu, słyszalnego w promieniu kilkunastu metrów. — Powiem coś panu na ucho, kapitanie... Czy czytał pan parlamentarne przemówienie swojego ojca? Chyba nie... Ciekawy był zwłaszcza jeden fragment: „A teraz zajmijmy się marynarką wojenną. I tutaj również widać, że poprzednia administracja nie tylko zezwalała na korupcję i nadużycia, lecz wręcz zachęcała do podobnych praktyk. Z tego, co opowiedział mi mój syn, oficer pełniący służbę na morzu, sytuacja we flocie wyglądała gorzej niż źle. Po znajomości promowano niewłaściwych oficerów, dostarczane na okręty żagle oraz liny do niczego się nie nadawały i, w co trudno wręcz uwierzyć, zezwalano na to, by na okrętach przebywały kobiety. Kobiety! To niepojęte. Myślałem dotąd, że do podobnej rozwiązłości zdolni są jedynie Francuzi". Generał mówił dalej w tym samym stylu i jeśli wolno mi coś panu poradzić, proszę na przyszłość bardziej uważać. Takie stwierdzenia, wypowiadane w parlamencie, mogą tylko zaszkodzić pańskiej karierze. Lepiej będzie, jeśli pański ojciec zajmie się wyłącznie sprawami armii i zostawi flotę w spokoju. Rozumie pan, o co mi chodzi? Proszę wziąć sobie do serca te moje rady. Naprawdę... — Admirał poklepał Jacka po ramieniu i zszedł do łodzi, żegnany ze wszystkimi przysługującymi mu honorami. Jack przez odpowiednio długą chwilę patrzył z szacunkiem w ślad za odpływającymi gośćmi, aż wreszcie odwrócił się w stronę pełniącego służbę podchorążego.

— Proszę natychmiast poprosić tutaj cieślę — polecił. — Panie Simmons, niech pan będzie tak uprzejmy i pośle na rufę kilku ludzi, wprawionych w pracach porządkowych oraz malowaniu. Proszę mi też powiedzieć, który z naszych oficerów ma najlepszy gust?

— Gust, sir?

— Tak. Chodzi mi o poczucie piękna, dobry smak... Wie pan...

— No cóż, nie wydaje mi się, by którykolwiek z nas był w tej materii szczególnie uzdolniony. W mesie oficerskiej nigdy nie rozmawiamy

o pięknie i temu podobnych sprawach. Jest jednak człowiek, który może okazać się tutaj przydatny. To niejaki Mallet, pomocnik cieśli, były paser i prawdziwy znawca pięknych rzeczy oraz dzieł sztuki. Przynajmniej tak mi się wydaje. Jest już stary i nie ma zbyt wiele siły, pomaga więc panu Charnockowi tylko przy drobniejszych, bardziej precyzyjnych pracach. Wydaje mi się jednak, że na okręcie nie znajdzie pan nikogo lepszego...

— Porozmawiam z nim. Chciałbym trochę przyozdobić swoją kabinę. Czy ten Mallet jest na tyle godny zaufania, by mógł sam zejść na ląd?

— Och, nie, sir. Dezerterował dwa razy, a w Lizbonie próbował dostać się na ląd w beczce, był jednak po niewłaściwej stronie płycizny. Raz ukradł też suknię pani Armstrong i próbował uciec, udając kobietę.

— W takim razie poślę z nim Bondena i patrol piechoty morskiej. Panie Charnock — kapitan zwrócił się do czekającego z boku cieśli — proszę ze mną. Zobaczymy, czy uda się coś zrobić z moją kabiną, by mogła tam zamieszkać dama. Panie Simmons, może pan w tym czasie polecić cieśli, by przygotował dywan z żaglowego płótna. Białe i czarne kwadraty. Dokładnie taki sam jak na „Victory". Nie ma ani chwili do stracenia. Stephen, mój drogi — zawołał Jack, gdy przez chwilę byli sami. Objął przyjaciela ramieniem i uścisnął mocno. — Nie jesteś zdziwiony? Nie cieszysz się? Jak to dobrze, że mam trochę pieniędzy. Chodź, powiesz mi, jak można upiększyć moją kabinę.

— Nie musisz niczego zmieniać. Taki wystrój w zupełności wystarczy. Potrzeba tylko jeszcze jednej wiszącej koi, z odpowiednią pościelą i kilkoma poduszkami. Przydałaby się też karafka z wodą i szklanka.

— Możemy też przesunąć grodź o dobre osiemnaście cali w stronę dziobu — Jack rozmyślał na głos. — Tak przy okazji... Mam nadzieję, że odprawisz swoje pszczoły na ląd?

— Po co? Nie żądałeś tego, gdy zaokrętowała pani Miller. W ogóle nie zwracałeś wtedy na nie uwagi. Nie chcę ich przenosić. Coraz bardziej przyzwyczajają się do nowego otoczenia i zaczęły już nawet budować komórkę dla nowej królowej!

— Stephen, bardzo cię proszę... Daję ci słowo honoru, że natychmiast wysłałbym swoje pszczoły na ląd, gdybyś to ty tego sobie zażyczył. Mam jeszcze jedną prośbę. Opowiadałem ci chyba o tym, że jadłem kiedyś obiad w towarzystwie lorda Nelsona?

— Nie więcej niż dwieście lub trzysta razy.

— I na pewno wspomniałem ci też wtedy o tych wspaniałych srebrnych talerzach? Robią je właśnie tutaj. Czy mógłbyś wybrać się na ląd i zamówić dla mnie cztery sztuki, oczywiście jeśli ta suma wystarczy? Jeśli to za mało, wystarczą tylko dwa. Muszą mieć na obrzeżu splot z liny, o taki... Zapamiętasz? Mallet... — Aubrey zwrócił się do podstarzałego, łysiejącego marynarza, którego przyprowadził właśnie pierwszy oficer. — Pan Simmons powiedział mi, że masz poczucie piękna i znasz się na dziełach sztuki.

— Och, sir... — zawołał Mallet, kłaniając się kilka razy. — Nie wiem, czym zasłużyłem sobie na taką opinię. Przyznaję jednak, że miałem kiedyś do czynienia z pięknymi przedmiotami.

— Świetnie. Potrzebuję paru ozdób do mojej kabiny. Rozumiesz? Przede wszystkim lustro. Olbrzymie. Do tego eleganckie zasłony i małe, delikatne krzesełka. Wszystko musi być w sam raz dla młodej damy.

— Oczywiście, sir. Wiem, o co chodzi. W jakim to ma być stylu, sir? Chińskim? Klasycznym? Francuskim?

— W najlepszym, Mallet. Postaraj się też o kilka ładnych obrazów. Pojedzie z tobą Bonden i on będzie płacił. Muszę mieć pewność, że nie będzie tu żadnych kombinacji. Nie chcę kupować malowideł Rafaela za cenę dzieł Rembrandta.

Następne dni, dla Stephena ostatnie dni jego pobytu na pokładzie „Lively", były męczące i nieprzyjemne. Raz za razem szorowano kapitańską kabinę, w powietrzu unosił się intensywny zapach farby, pszczelego wosku, terpentyny i żaglowego płótna. Kilka razy dziennie przemieszczano z miejsca na miejsce dwie wiszące koje, otoczone kwiatami wstawionymi do pojemników na armatnie lonty. Doktorowi oczywiście zakazano tam wstępu. Mógł przebywać jedynie w sypialni, gdzie musiał leżeć nieprzyjemnie blisko chrapiącego i rzucającego się niespokojnie na koi Jacka. Panująca na okręcie atmosfera pogarszała się z dnia na dzień i fregata coraz bardziej przypominała slup „Polychrest" w przeddzień buntu załogi — ponure spojrzenia, niezadowolone twarze i gniewne szepty. Kapitan był jednak w doskonałym nastroju. Śmiał się głośno, zacierał dłonie i z radości podskakiwał ciężko na pokładzie. Żonaci oficerowie przyglądali się temu z pełnym złośliwej satysfakcji zadowoleniem, pozostali z trudem ukrywali swe oburzenie.

Stephen wybrał się do rezydencji admirała Haddocka i usiadł z Sophie w altance, wysoko nad brzegiem morza.

— Jack bardzo się zmienił — doktor zauważył ostrożnie. — Zobaczy pani... W pierwszej chwili trudno to może dostrzec, lecz na pewno nie jest teraz tak wesoły i beztroski jak dawniej. Wydaje się znacznie bardziej zrównoważony i mniej niż kiedyś skłonny do zawierania nowych przyjaźni. Dostrzegam to zwłaszcza teraz, bo wyraźnie odseparował się od swoich oficerów i załogi. Z drugiej jednak strony, umie w tej chwili cierpieć ze znacznie większą pokorą. Potrafi też trzymać swe nerwy na wodzy i nie ulega tak łatwo emocjom. Moim zdaniem po prostu przestał wreszcie być dużym chłopcem. Dorósł nagle i nigdy już nie będzie taki jak dawniej. Co więcej, w miarę owego dorastania stał się wręcz obojętny na wiele rzeczy, które dotąd sprawiały mu tyle radości. Oczywiście w żaden sposób nie dotyczy to pani — wtrącił Stephen szybko, widząc zaniepokojoną minę dziewczyny. — Kapitan z najwyższą przyjemnością powita was obie na pokładzie. Pięknie pani dzisiaj wygląda, Sophie — dodał, mrużąc oczy. — Zwłaszcza pani włosy. Czy szczotkowała je pani dzisiaj? Są takie puszyste. Tak czy inaczej, Jack jest teraz znacznie lepszym oficerem i... nieco bardziej ponurym człowiekiem.

— Ponurym? Och, doktorze...

— Muszę tutaj też przyznać, że martwię się o jego przyszłość. Z tego, co mi wiadomo, prędzej czy później możemy spodziewać się zmian w Admiralicji. Nasz przyjaciel ma tam bardzo nikłe wpływy i raczej nie będzie wówczas miał najmniejszych szans na kolejne dowództwo. W tej chwili brakuje okrętów dla kilkuset oficerów w stopniu kapitana. Widziałem ostatnio kilku z nich; stali na wydeptanej trawie w miejscu nazywanym Hoe i pożerali wzrokiem płynące w oddali żaglowce. Tymczasowe zastępstwo na „Lively" wkrótce się skończy i nasz przyjaciel wyląduje na lądzie. W obecnej chwili marynarka wojenna ma tylko osiemdziesiąt trzy okręty liniowe, sto jeden fregat i może ze dwadzieścia innych jednostek, którymi może dowodzić oficer w stopniu kapitana. Jack jest pięćset osiemdziesiąty siódmy na liście liczącej sześćset trzydzieści dziewięć nazwisk. Jego sytuacja wyglądałaby znacznie lepiej, gdyby nadal pełnił tylko obowiązki dowódcy okrętu, czy był nawet tylko porucznikiem. Miałby wówczas znacznie więcej różnych możliwości...

— Przecież generał Aubrey jest członkiem parlamentu. Czy to nie pomoże?

— Nie. Wszystko wyglądałoby znacznie lepiej, gdyby starszy pan umiał trzymać język za zębami. Rzeczywistość jest jednak zupełnie inna. Niestety. Ojciec Jacka uparcie zabiera głos, zapamiętale przedstawiając syna jako zagorzałego torysa. Trudno o coś mniej roztropnego. Wie pani chyba, że lord St Vincent i związani z nim ludzie to zdeklarowani wigowie, podobnie jak większość oficerów we flocie.

— O Boże... Miejmy więc nadzieję, że kapitanowi przytrafi się w najbliższym czasie jakiś wartościowy pryz. Z całą pewnością na to zasługuje. Admirał Haddock mówi, że „Lively" to jeden z najlepszych okrętów w całej Royal Navy.

— To prawda. Ta fregata żegluje zadziwiająco szybko i ma perfekcyjnie wyszkoloną załogę. Musi pani jednak wiedzieć, że skończyły się czasy drogocennych pryzów. Na początku wojny można było spotkać na morzu francuskie i holenderskie statki powracające z Indii, lecz teraz już się to nie zdarza. Jack musiałby zdobyć dwanaście jednostek takich jak „Fanciulla", dopiero wtedy będzie w stanie spłacić swe długi i bez obaw zejść na ląd. Tak przy okazji, wybiera się tu do pani w niedzielę. Nie możemy się już wszyscy doczekać tej chwili. Proszę, niech pani zatrzyma go jak najdłużej, w przeciwnym razie grozi nam bunt załogi. Od paru dni na okręcie zapanowało istne piekło. Nie dość, że marynarze muszą szorować kadłub poniżej linii wodnej, to jeszcze ostatnio kazano im czesać jagnięta.

— Serdecznie zapraszamy obu panów. Czy te jagnięta to jakaś część okrętu lub takielunku? Przeczytałam kilka razy *Słownik morski* (aż w końcu zaczęły wypadać z niego kartki) i nie znalazłam tam jakiejkolwiek wzmianki o jagniętach.

— Niewykluczone, że na okręcie coś tak właśnie się nazywa. W morskim żargonie wiele zwykłych słów ma specjalne znaczenie. W tym jednak konkretnym przypadku nie chodzi o coś takiego. Te akurat jagnięta to tylko małe owieczki, które prędzej czy później zostaną po prostu zjedzone. Nasz kapitan przygotował na wasz przyjazd ogromne zapasy: beczułkę herbatników, które zapewne szybko się zestarzeją, cztery duże sery ze Stilton, puszkę pachnącego mydła i nowe ręczniki. Tak jak powiedziałem, jagnięta są myte i czesane dwa razy dziennie. Niech pani zatrzyma go na obiedzie i na kolacji. Może wreszcie trochę wszyscy odpoczniemy.

— Na co kapitan miałby ochotę? Co lubi? Co mam przygotować? Na pewno pudding i peklowaną wołowinę. A na co pan miałby ochotę, doktorze? Coś z grzybami, prawda?

— Żałuję, lecz nie będę mógł skosztować tych przysmaków. W niedzielę będę o sto mil stąd. Muszę jeszcze kupić coś dla Jacka, a wieczorem pojadę karetą pocztową do Londynu. Mam nadzieję, że nie na długo. To mój nowy adres. Proszę napisać, jak podobała się pani morska podróż.

— Czy musi pan jechać? — zawołała Sophie, chwytając Stephena za ramię. — Co teraz będzie?

— Nie wiem, moja droga. To tak jak nauka pływania na głębokiej wodzie; trzeba za wszelką cenę utrzymać się na powierzchni. Gdzie jest mój kapelusz? Niestety... Muszę już iść. Oczywiście nie ruszę się stąd jednak bez buziaka.

— Jack, co robisz? — zapytał Stephen, wchodząc do kapitańskiej kabiny.

— Chcę zmusić ten cholerny kwiat, by się wreszcie wyprostował. Robię, co mogę, a one i tak marnieją. Podlewam je przed śniadaniem i potem jeszcze raz wieczorem, lecz to wcale nie pomaga. Nie wiem, co robić.

— Skąd bierzesz wodę?

— Prosto z beczki w kuchni.

— Nic więc dziwnego. Ciecz, którą pijemy i której używamy do mycia, absolutnie nie nadaje się do podlewania kwiatów. Wyślij kogoś na brzeg po deszczówkę. I wymień te badyle na jakieś rośliny wodne, jeśli masz zamiar dalej tak je moczyć.

— Dziękuję za radę, Stephen. Natychmiast tak zrobię... Rośliny wodne, powiadasz? Zapomnij proszę na razie o tej przeklętej zieleninie i powiedz, jak ci się teraz u mnie podoba. Ładnie tutaj? Wygodnie? Jak w domu? Żona artylerzysty stwierdziła, że nigdy nie widziała czegoś podobnego. Poradziła mi tylko, bym przygotował jeszcze jakieś miejsce na ich ubrania i poduszkę do igieł.

Kapitańska kabina wyglądała teraz jak skrzyżowanie poczekalni burdelu z salą zakładu pogrzebowego. Stephen powiedział jednak tylko, zupełnie zresztą szczerze, iż zgadza się z opinią pani Armstrong. Zauważył też, że koje mniej będą przypominały katafalki, gdy usunie się ustawione dookoła nich kwiaty.

— Mam twoje talerze — oświadczył, podając przyjacielowi paczkę owiniętą zielonobrunatnym papierem.

— Och, dziękuję ci, Stephen. Prawdziwy z ciebie przyjaciel. Piękne, prawda? Tak błyszczą... Och! — Jack posmutniał nagle. — Zapomniałeś, o co cię prosiłem? Zapomniałeś, jaki splot ci pokazywałem?

— Czy to ma jakiekolwiek znaczenie? Lina to lina... Czy tak spleciona, czy inaczej, co za różnica?

— Wielka, mój drogi. Tak długo jesteś na morzu, a wciąż nie orientujesz się w najprostszych sprawach.

— Trudno. Ten złodziej, sprzedawca, powiedział mi, że lord Nelson miał właśnie taką srebrną zastawę, z takim dokładnie obrzeżem, a ja w to naiwnie uwierzyłem. Teraz nic już się nie poradzi. Będziesz jakoś musiał przełknąć tę żabę. Popłyniesz do Downs, a po drodze będziesz jadł ze swoich lśniących talerzy, roniąc gorzkie łzy rozpaczy z powodu owej niewłaściwie splecionej liny. Jeśli jedzenie będzie ci z tego powodu mniej smakowało, tym lepiej. W najgorszym razie trochę schudniesz. Powiem ci też coś jeszcze. Nareszcie odpoczniesz trochę od mojego towarzystwa. Muszę wyjechać w bardzo ważnych sprawach. Po powrocie do Londynu zatrzymam się w „Grapes". Proszę, napisz do mnie kilka słów. Żegnam... Niech ci Bóg błogosławi...

W Katalonii zebrano już winogrona, gdy doktor Maturin pożegnał wielebnego opata Montserrat. Jadąc na swym żwawym mule, mijał posępne i ogołocone winnice, kamienne uliczki w wioskach

były purpurowe od wytłoków, wszędzie unosił się intensywny zapach fermentującego soku. Rok okazał się wyjątkowo pomyślny: wczesne i obfite zbiory, mnóstwo melonów, figi suszące się we wszystkich możliwych miejscach dookoła Leridy, drzewa uginające się pod ciężarem dojrzałych pomarańczy. W Aragonii jesień była bardziej wyraźna i podczas podróży przez zielony kraj Basków prześladowały Stephena chłodne deszcze. Padało nawet na opustoszałej plaży, gdy czekał na łódź — olbrzymie krople wody spływały po przemoczonym płaszczu i znikały wśród drobniutkich kamyczków chrzęszczących pod stopami. Monotonny szum fal, potem nareszcie odgłos zanurzających się ostrożnie wioseł i ciche wołanie:

— Niech będzie błogosławiony Abraham i naród wybrany.

— Wilkes i wolność — odpowiedział Stephen.

— Rzuć z rufy kotwicę, Tom. — W strugach deszczu słychać było stukanie i głośny plusk. Po chwili głos odezwał się znowu, tym razem bardzo blisko. — Jest pan tutaj? Przeniosę pana, sir. Bardzo pan przemoczony.

— To przez tę ulewę...

Deszcz bębnił bez przerwy o pokład lugra, gasił fale na całej długości kanału, zalewał ulice Londynu, wypełnił po brzegi rynny i rynsztok przed gmachem Admiralicji.

— Strasznie pada, sir — oświadczył młody dżentelmen, który powitał Stephena ubrany w kwiecisty szlafrok i szlafmycę. — Może rozwieszę pański płaszcz przy kominku?

— Dziękuję. Wydaje mi się jednak, że lepiej będzie, jeśli pojadę do mojej oberży, skoro sir Joseph nie może na razie tu przybyć. Chciałbym trochę odpocząć, miałem bardzo męczącą podróż.

— Bardzo mi przykro, lecz z tego, co wiem, zarówno sir Joseph, jak i pierwszy lord są w tej chwili w Windsorze. Jeśli admirał Knowles panu nie wystarczy, wyślę zaraz do nich posłańca.

— W grę wchodzi tutaj bardzo ważna decyzja polityczna, tak mi się przynajmniej zdaje i chyba lepiej będzie poczekać do jutra, choć sprawa jest naprawdę bardzo pilna.

— Obaj panowie dziś w nocy wyruszą z powrotem do Londynu i sądząc z rozkazów, jakie pozostawił mi sir Joseph, nie uczynię chyba nic złego, zapraszając pana jutro rano do niego na śniadanie. Może pan przyjść tak wcześnie, jak tylko uzna pan to za stosowne.

W „Grapes" było ciemno, wszyscy spali w najlepsze za zamkniętymi szczelnie okiennicami. W oberży panowała głucha cisza, nikt nie odpowiadał na pukanie i Stephen zaczął się już obawiać, że pójdzie spać głodny, a noc przyjdzie mu spędzić w dorożce lub burdelu.

— Chyba będziemy musieli pojechać gdzie indziej — powiedział znużony.

— Może ja zapukam — zaproponował woźnica. — Nawet myszy się obudzą... — Trzasnął kilka razy wściekle batem po okiennicach i w wymarłym wnętrzu odezwało się wreszcie ostrożne „kto tam?"

— Dżentelmen, który chciałby wreszcie schronić się przed deszczem— odpowiedział dorożkarz. — Mówi, że nie jest foką ani syreną i ma już dosyć wody.

Zagrzechotały zamki, za drzwiami rozległo się głośne ziewanie.

— Ach, to pan, doktorze — zawołała pani Broad, wyglądając na ulicę. — Proszę do środka. W pańskim pokoju od wtorku pali się ogień na kominku. Boże, jaki pan przemoczony. Proszę mi dać swój płaszcz. Waży chyba tonę.

— Dziękuję. — Stephen z westchnieniem ulgi oddał gospodyni swoje okrycie. — Nic dzisiaj nie jadłem. Czy mógłbym panią prosić o jajko i kieliszek wina? Osłabłem z głodu.

Już po chwili doktor siedział wygodnie, ubrany w ciepłą flanelową bieliznę, należącą kiedyś do pana Broad i z uwagą przyglądał się swej skórze. Była blada, przemoczona, pozbawiona życia, w wielu miejscach zafarbowana od pończoch i płaszcza. Barwnik wsiąkł bardzo głęboko. „Ciekawe, jak głęboko?" — Stephen chciał to sprawdzić, lecz ostrze kieszonkowego noża znacznie wcześniej dotarło do krwi.

— Oto jajko dla pana — powiedziała pani Broad. — I kawałek wędzonej szynki. Przyszło też do pana kilka listów.

Maturin przysunął się bliżej kominka i zajął się jedzeniem. Otwarte listy rozłożył na kolanach. Pismo Jacka jak zwykle było równe i zamaszyste, Sophie stawiała drobne, okrągłe, nie połączone ze sobą literki. Widać jednak w nich było wyraźnie determinację i odwagę.

Mój list będzie cały zroszony łzami — napisała. *Staram się co prawda, by kapały tylko na blat mojego biurka, lecz zapewne i tak wiele z nich upadnie na papier.* — Rzeczywiście. Powierzchnia kartki miejscami była wybrzuszona i pofałdowana, gdzieniegdzie rozpłynął się atrament. — *Płaczę głównie ze szczęścia, gdyż nareszcie wyjaśniły się wszystkie nieporozumienia. Obiecaliśmy sobie nawzajem (kapitan Aubrey i ja, że żadne z nas nie poślubi kogoś innego. Nigdy! Nie są to bynajmniej sekretne zaręczyny — nie zdecydowałabym się na coś takiego — lecz różnica jest tutaj naprawdę niewielka, co może oznaczać, że moje zasady moralne są teraz znacznie mniej kategoryczne niż kiedyś. Wierzę jednak, że Pan na pewno mnie zrozumie. Nawet jeśli innym się*

to nie uda. Jestem naprawdę bardzo szczęśliwa, a Pan był wobec mnie zawsze taki życzliwy i czuły.

— Tak, tak, moja droga... — Stephen mruknął pod nosem, opuszczając kilka podobnych, następujących dalej i bardzo zobowiązujących uwag. Pominął też niezwykle szczegółowy opis pewnego interesującego sobotniego wieczoru. Fregata została wówczas unieruchomiona przez morską ciszę w pobliżu Isle of Wight, kochani marynarze śpiewali na forkasztelu i tańczyli przy piskliwych dźwiękach skrzypek, a pan Dredge z piechoty morskiej pokazywał Cecylii gwiazdy. Właśnie wtedy w kapitańskiej kabinie doszło do gorących wyznań i odbyła się owa decydująca rozmowa. — Dalej, dalej — doktor westchnął niecierpliwie. — Do rzeczy, dziewczyno. Powiedz nam teraz, skąd wzięły się te dodatkowe łzy...

Wszystko wyjaśniło się dopiero na trzeciej stronie. Gdy dziewczęta wróciły do domu, ich matka,

zacna pani Williams bardzo się rozgniewała. Nie mogła zrozumieć, co właściwie wyobrażał sobie admirał Haddock. Jak to się mogło stać? To przecież niesłychane — jej córki tak długo przebywały w towarzystwie człowieka, o którym wiadomo, że ma bardzo poważne kłopoty! To przecież bez wątpienia zwykły łowca posagów. O nic więcej mu nie chodzi. Czy Sophie zupełnie zapomniała o świętym posłuszeństwie wobec rodzonej matki? Przecież wszystko zawdzięcza właśnie swej udręczonej rodzicielce, której życie jest nieprzerwanym pasmem poświęceń i bolesnych wyrzeczeń. Czy zapomniała o dziesięciu przykazaniach? Pani Williams oczekiwała natychmiastowego zerwania tego niestosownego związku. Jeśli ów pozbawiony moralnych skrupułów człowiek okaże się na tyle bezczelny i przybędzie z wizytą, zostanie bezwzględnie wyrzucony za drzwi, choć oczywiście trudno było sobie wyobrazić, by w ogóle ośmielił się postawić stopę na lądzie... Co z tego, że zdobył ów malutki francuski okręt, o czym pisały gazety? Podstawowym obowiązkiem mężczyzny jest lojalność wobec wierzycieli i banku. Wszelkie awanturnicze wyczyny nie mają tutaj znaczenia. Można tylko dziękować Bogu, że jak dotąd w gazetach nie pojawiło się nazwisko żadnego z krewnych pani Williams. Jedynym wyjątkiem były tutaj informacje o ślubach, zamieszczane w kronice towarzyskiej „Timesa". Jakim mężem mógłby być ktoś taki? Co można myśleć o człowieku, który wciąż tuła się po świecie i w podobnie brutalny sposób atakuje innych ludzi? Oczywiście można posłużyć się tutaj chwalebnym przykładem lorda Nelsona, lecz czy Sophie chciałaby, by spotkał ją los nieszczęsnej lady Nelson? Czy wie, co oznacza słowo „kochanka"? Tak w ogóle, to kim właściwie jest ten kapitan Aubrey? Kto cokolwiek o nim wie? Może ma narzeczoną w każdym porcie? I mnóstwo nieślubnych dzieci? Pani Williams była bardziej niż niezadowolona.

Łzy padały tutaj gęściej i tekst miejscami stawał się trudny do odczytania. Dwie linijki całkiem się rozpłynęły, z trudem udało się jednak odcyfrować fragmenty zdania: *będę czekać do końca życia, jeśli okaże się to konieczne* oraz *jestem pewna, że on również postąpiłby tak samo*. Następny wiersz był już tylko w połowie nieczytelny i kończył się słowami: *muszę kończyć, może zdążę jeszcze wysłać ten list dzisiejszą pocztą*. Stephen uśmiechnął się do siebie po przeczytaniu podpisu: *bardzo, bardzo Panu wdzięczna Sophie*. Ziewając szeroko, sięgnął po list od Jacka, wyciągnął się wygodnie na łóżku, blisko świecy i leniwie rozłożył kartkę. Z ogromnym trudem zmusił swe zamykające się oczy do kolejnego wysiłku: *Lively, na morzu, 12 września 1804. Mój Drogi Przyjacielu...* — Dwunastego września... Właśnie tego dnia Mendoza był w El Ferrol. Doktor wciąż próbował nieco szerzej otworzyć oczy. Linijki tekstu zdawały się wręcz tryskać szczęściem i radością, nadal jednak falowały, coraz bardziej zamazane. *Możesz mi pogratulować.* — Gratuluję, oczywiście... — *Nigdy nie zgadniesz, co się wydarzyło.* — Zgadnę, bracie. Tylko nie rozpisuj się niepotrzebnie, błagam... —*Mam już chyba żonę. Zdobyłem jej serce! Sophie to wspaniała dziewczyna* — Stephen pociągnął niecierpliwie nosem. Właśnie tego się obawiał; dalej następował bardzo szczegółowy opis wyglądu i cech charakteru panny Williams. Ponieważ na pewno znał ją znacznie lepiej niż kapitan Aubrey, nie spodziewał się znaleźć tutaj niczego nowego. — *Okazała się wobec mnie taka bezpośrednia, szczera. W jej przypadku nie ma mowy o kokieterii, przewrotności i innych cholernych ochmistrzowskich sztuczkach. Przepraszani, nie powinienem chyba używać w liście podobnych słów. Jeśli potrafisz to zrozumieć, ta dziewczyna jest jak trzydziestodwufuntowa armata...* — Czy to możliwe? Porównał Sophie do trzydziestodwufuntówki? Tak. To do niego podobne. Linie tekstu rozmazywały się coraz bardziej. — *Nie chcę wyrażać się potocznie o mojej przyszłej teściowej, lecz...* — Co miało tutaj znaczyć słowo „potocznie"? — *Będę szczęśliwy, jeśli zjawisz się na pokładzie w Falmouth... Portsmouth... konwój... Madeira, Cape Verdes! Palmy kokosowe!... Musisz się pospieszyć, inaczej popłyniemy bez Ciebie...* — Potem były już tylko palmy kokosowe,

niewiarygodnie wysokie, majestatycznie kołyszące się na wietrze... *Deus ex machina.*

Stephen obudził się o świcie z głębokiego, nieprzerwanego snu. Był szczęśliwy. Poprosił o kawę, bułki i szklaneczkę whisky. Jedząc śniadanie, jeszcze raz przeczytał oba listy, pokiwał radośnie głową, wypił za zdrowie Sophie i Jacka, potem wyjął swe tajne notatki owinięte natłuszczonym jedwabiem. Usiadł przy stole i zaczął odszyfrowywać je powoli, przygotowując oficjalny raport. Na zakończenie napisał w dzienniku:

Jeśli chodzi o Jacka i Sophie, mogę się tylko cieszyć z ich szczęścia. Kto jednak wie, czy nie będą oboje musieli zapłacić za nie latami oczekiwania, a może i wstydu. J.A. wydaje się teraz starszy i bardziej dojrzały niż kiedyś, myślę nawet, że z racji swej natury nie będzie mógł już bardziej dorosnąć. Jest jednak tylko mężczyzną i w żadnym wypadku nie zniesie długotrwałego celibatu. Lord Nelson powiedział kiedyś: „Za Gibraltarem każdy mężczyzna staje się kawalerem ". Kto wie, co może nastąpić: tropikalny upał, bezwstydne młode kobiety, nawykowe obżarstwo, gorące żądze... Co będzie, gdy znów zapłonie ogień, gdy nastąpi kolejny atak pozbawionej skrupułów Diany? Nie, nie... Jeśli w grę wejdzie tutaj deus ex machina, *ta tak ciekawa sytuacja przekształci się w żałosną, beznadziejnie rozwlekłą i smutną tragedię. Przyznaję, że po cichu liczyłem na ich długotrwałe narzeczeństwo. Z tego jednak, co mi wiadomo, dni lorda Melville'a są już chyba policzone. Gdy w grę wchodzą sprawy tajnych służb, nie można przecież ujawnić wszystkich okoliczności oraz faktów — właśnie dlatego obecny dowódca floty nie jest w stanie się bronić, nie zdoła też na pewno pomóc swym zagrożonym przyjaciołom. Tak przy okazji: przespałem dziś ponad dziewięć godzin bez jednej kropli. Dziś rano zobaczyłem moją butelkę laudanum na gzymsie kominka. Była nie tknięta. Nie mogłem w to uwierzyć...*

Doktor zamknął zeszyt, zadzwonił na pokojówkę i poprosił, by wezwano dla niego dorożkę. Kazał się zawieźć na Horseuards' Parade. Zapłacił tutaj woźnicy, popatrzył w ślad za odjeżdżającym zaprzęgiem i minąwszy szybko kilka przecznic, otworzył małe zielone drzwi na tyłach gmachu Admiralicji.

Na policzkach sir Josepha były jeszcze resztki mydła po porannym goleniu.

— Witam serdecznie, doktorze Maturin — zawołał uradowany. — Proszę usiąść tutaj przy kominku, przejrzeć gazety i poczekać na śniadanie. Będzie gotowe już za chwilę... Bardzo martwiliśmy się o pana — dodał, ściszając głos. — Mendoza został aresztowany w Hendaye...

— Nie miał przy sobie nic ważnego — wyjaśnił Stephen. — To, co mógłby ewentualnie im wyjawić, nie ma już w tej chwili najmniejszego znaczenia. Hiszpania zamierza przystąpić do wojny.

— Ach! — zawołał wzburzony sir Joseph. Odłożył na bok swoją filiżankę i przez dłuższą chwilę patrzył uważnie prosto w twarz swego rozmówcy. — Czy to absolutnie pewna wiadomość?

— Tak, sir. Podjęto już ostateczne decyzje. Tylko dlatego pozwoliłem sobie przybyć tutaj wczoraj tak późno w nocy.

— Szkoda, że mnie pan nie zastał... Przeklinałem Windsor, gdy posłaniec dotarł do nas już po tej stronie Staines. Wiedziałem, że w grę wchodzić musi sprawa najwyższej wagi. Pierwszy lord

powiedział to samo.

Stephen wyjął z kieszeni swój krótki raport i zaczął mówić:

— W Ferrol formuje się flotylla. Okręty objęte paktem w San Ildefonso. Oto ich lista. Te oznaczone krzyżykiem są w tej chwili gotowe do wyjścia w morze i mają na pokładzie zapasy na sześciomiesięczną podróż. To z kolei wykaz hiszpańskich regimentów stacjonujących w porcie i najbliższej okolicy oraz nazwiska dowodzących nimi oficerów. Przy każdym jest krótka charakterystyka, nie ufałbym jednak zbytnio informacjom dotyczącym tych nazwisk, przy których umieściłem znak zapytania. A tutaj mam spis maszerujących w tej chwili oddziałów francuskich... — dodał, podając kartkę.

— Wspaniale! — Sir Joseph spojrzał chciwym wzrokiem na dostarczone przez Stephena informacje. Bardzo cenił sobie podobne dane: szczegółowa lista, z rubrykami, konkretne liczby i fakty. Tak właśnie powinna wyglądać działalność wywiadu. W niczym nie przypominało to dostarczanych zwykle przez agentów pogłosek oraz nie sprawdzonych plotek. — Świetnie. Niemal wszystko idealnie zgadza się z tym, co przekazał nam admirał Cochrane.

— Tak — zgodził się Maturin. — Może nawet zbyt idealnie...

Mendoza był inteligentnym szpiegiem, lecz interesowały go wyłącznie pieniądze. Osobiście nie dałbym głowy za te informacje, choć moim zdaniem są one wysoce prawdopodobne. Sprowadza mnie jednak do pana zupełnie inna sprawa... Coś znacznie bardziej ważnego skłoniło mnie do najwyższego pośpiechu... Chodzi mi tu o sekretne porozumienie zawarte pomiędzy Paryżem i Madrytem. Zapewne wie pan o tym, że Hiszpania od lipca znajdowała się pod coraz silniejszym naciskiem. Godoy uległ wreszcie, zwleka jednak z wypowiedzeniem wojny aż do chwili, w której wiozące kolonialne skarby okręty dotrą z Montevideo do Kadyksu. Bez tego złota jest prawie bankrutem. Chodzi tu o cztery fregaty hiszpańskiej marynarki wojennej, oto ich wykaz: uzbrojona w czterdzieści dział „Medea" oraz „Fama", „Clara" i „Mercedes" z trzydziestoma czterema działami każda. „Fama" podobno bardzo szybko żegluje, również pozostałe jednostki mają bardzo dobrą opinię. Eskadrą dowodzi wiceadmirał don Jose Bustamente, roztropny i odważny oficer. W Montevideo załadowano pięć milionów osiemset dziesięć tysięcy złotych monet. Okręty mają zawinąć do Kadyksu na początku października i gdy tylko wiadomość o tym dotrze do Madrytu, Hiszpania oficjalnie przystąpi do wojny. Bezpośrednim powodem ma stać się incydent w Sarastro. Co ważne, bez owych pieniędzy sytuacja w kraju skomplikuje się na tyle, że ewentualne powstanie w Katalonii, wsparte przez okręty znajdujące się teraz koło Tulonu, miałoby wszelkie szansę powodzenia.

— Dziękuję panu, doktorze — zawołał sir Joseph, ściskając dłoń swego gościa. —Jesteśmy panu bezgranicznie zobowiązani. Wiedzieliśmy, że to prędzej czy później nastąpi, nie byliśmy jednak w stanie określić nawet przybliżonej daty... Wciąż mamy jednak jeszcze czas na podjęcie ewentualnych działań. Muszę natychmiast powiadomić o tym lorda Melville'a, na pewno zechce się z panem zobaczyć. Również pan Pitt powinien się jak najszybciej o wszystkim dowiedzieć... Tak przeklinam ten wyjazd do Windsoru... Proszę mi wybaczyć na chwilę. — Lord wybiegł na korytarz. Stephen natychmiast dolał sobie kawy z nie tkniętej filiżanki gospodarza.

Wciąż jeszcze popijał swój ulubiony napój, gdy sir Joseph wrócił do gabinetu, wyraźnie rozczarowany.

— Dowódca floty jest na tym przeklętym przesłuchaniu. Będzie zajęty przez kilka godzin, a teraz ważna jest każda minuta. Posłałem jednak wiadomość... Musimy działać natychmiast. W grę wchodzi oczywiście decyzja rządu, jestem jednak pewien, że nie wolno nam zwlekać. Oby tylko wiatr się nie zmienił. Zostało nam tak mało czasu!

— Rozumiem więc, że planuje pan jakąś błyskawiczną akcję?

— Oczywiście. Nie mogę rzecz jasna podejmować decyzji w imieniu rządu, lecz moim zdaniem w grę wchodzi obecnie tylko zdecydowane i szybkie uderzenie. Czy ma pan może jakieś zastrzeżenia co do moralnej strony podobnego posunięcia? — sir Joseph zapytał z uśmiechem.

— Nie obchodzi mnie moralna ocena zaistniałej sytuacji — spokojnie odpowiedział Stephen. — Przedstawiłem panu tylko fakty, pozwalając sobie równocześnie na uwagę, że ewentualne działanie z naszej strony zwiększa szanse katalońskich powstańców. To wszystko. Proszę mi powiedzieć, jak posuwa się śledztwo w sprawie zarzutów stawianych dowódcy floty? Czy te przesłuchania coś wyjaśniły?

— Niewiele. Sprawy nie wyglądają najlepiej. Wiemy obaj, że lord Melville ma związane ręce. Nie narażając swego honoru, nie zdoła oficjalnie rozliczyć się z sekretnych funduszy; korzystają z tego otwarcie jego wrogowie, w pełni świadomi zaistniałej sytuacji. Nie mogę powiedzieć panu nic więcej. Jestem przecież urzędnikiem państwowym... — To prawda, sir Joseph rzeczywiście był urzędnikiem i to bardzo wpływowym. Od wielu lat zajmował wysoką pozycję w Admiralicji, a z jego opinią liczyli się wszyscy kolejni dowódcy floty: jedynym wyjątkiem był tutaj zarozumiały St Vincent.

Prywatną pasją gospodarza była entomologia. Stephen zapomniał o tym w pierwszej chwili i dopiero zapytany pod koniec rozmowy o jakieś nowe ciekawostki z tej właśnie dziedziny, zaczął nerwowo szukać czegoś pod kurtką.

— Mam dla pana coś szczególnie interesującego — oświadczył z dumą. — Zupełnie wyleciało mi to z głowy... Dobrze, że sobie przypomniałem. Pewien bystry ksiądz z San Marti znalazł go... ją... a może ich... tego lata. Skrzydła są trochę pokruszone i uszkodzone przez deszcz, lecz wciąż można wszystko rozpoznać... — Między kartkami kieszonkowego notesu doktora leżał rozpostarty motyl, genetyczny wybryk: dwa skrzydła z prawej strony tułowia były jaskrawozielone, pozostałe dwa lśniły złotem.

— Obojniak! — wykrzyknął sir Joseph, oglądając owada. — Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego. Samiec z jednej strony i samica z drugiej... Jestem naprawdę zdumiony. Naprawdę... Zaskoczył mnie pan dzisiaj po raz drugi!

Tematem rozmowy stały się teraz motyle, ćmy i szczególny przywilej reprezentowania jednocześnie obydwu płci. W pewnej chwili do pokoju wszedł starszy wiekiem sekretarz, wyszeptał coś lordowi do ucha i bezgłośnie wyszedł za drzwi.

— Wszystko wyjaśni się za jakieś pół godziny, doktorze. Może zadzwonię, by przyniesiono nam jeszcze kawy? Nie pamiętam, kiedy opróżniłem swoją filiżankę...

— Z najwyższą przyjemnością, sir. Czy mógłbym teraz zwrócić się do pana, oczywiście zupełnie nieoficjalnie, w sprawie mojego przyjaciela, pełniącego służbę w marynarce?

— Oczywiście, proszę bardzo. Jak ten człowiek się nazywa?

— To kapitan Aubrey. Kapitan John Aubrey.

— Szczęściarz Jack Aubrey? Tak, tak. To on zdobył „Fanciullę"... Wspaniała i godna podziwu akcja. Wie pan jednak o tym lepiej ode mnie, był pan tam przecież!

— Chciałem po prostu zapytać, czy Jack ma jakieś szansę na następne dowództwo. Tylko tyle...

— No cóż... — Sir Joseph usiadł wygodniej w swoim fotelu i zastanawiał się przez chwilę. — Jak pan zapewne wie, nie mam zbyt wiele do powiedzenia w sprawach kadrowych... Zajmuję się zupełnie innymi problemami. Wiem jednak, że lord Melville bardzo sobie ceni pańskiego przyjaciela i w odpowiedniej chwili zamierza zadbać o jego dalszą karierę; podobno w grę wchodzi tutaj któryś z budowanych obecnie okrętów. Ostatni awans powinien być jednak jak na razie wystarczającą nagrodą za dotychczasowe zasługi naszego dzielnego kapitana. Wydaje mi się, że na razie nie można tutaj liczyć na coś więcej niż tymczasowe dowództwo... Jak panu zapewne wiadomo, sytuacja jest bardzo skomplikowana. Znajdujemy się pod nieustanną presją, gdyż niektórzy z czekających na przydział oficerów mają bardzo możnych i wpływowych protektorów. Należy też wziąć pod uwagę coś jeszcze; istnieje niestety wielkie prawdopodobieństwo, że lord Melville już niedługo nas opuści. Jego następca może mieć w pewnych kwestiach zupełnie inne poglądy i pański przyjaciel nigdy nie doczeka się okrętu... — Sir Joseph znacząco machnął ręką. — Jest wspaniałym oficerem, lecz ma niestety wielu wrogów, a dotychczasowy przebieg jego służby może budzić pewne zastrzeżenia. Na domiar złego niezbyt szczęśliwie wybrał sobie ojca, jeśli oczywiście można tak powiedzieć... Czy zna pan generała Aubreya, doktorze?

— Spotkałem go kiedyś. Nie wydał mi się zbyt inteligentnym człowiekiem...

— Każde jego parlamentarne przemówienie zapewnia opozycji głosy pięciu nowych wyborców. Co gorsza, ów dżentelmen ma zwyczaj zaskakująco często zabierać głos i to przeważnie w sprawach, o których nie ma zielonego pojęcia.

— Nic dziwnego. Naprawdę dobrze zna się tylko na polowaniu z nagonką na lisy.

— Właśnie. Niestety posłowie nie zajmują się na razie podobnymi problemami... Powinien pan też wiedzieć, że ulubionym tematem wystąpień generała jest marynarka wojenna, co nawet przy częściowych zmianach w administracji może tylko zaszkodzić pańskiemu przyjacielowi. Już teraz pewne osoby spoglądają na niego nienawistnym okiem.

— Potwierdził pan tylko moje obawy, sir. Dziękuję za szczerość... Jestem panu bardzo zobowiązany.

Obaj panowie znów zajęli się motylami i chrząszczami — zwłaszcza te ostatnie owady szczególnie

interesowały sir Josepha, który jak dotąd nie miał okazji dokładniej się nimi zająć. Po chwili tematem rozmowy stało się wspaniałe przedstawienie *Le Astuzie Femminili* w Covent Garden; Stephen powinien koniecznie się tam wybrać — sir Joseph oglądał tę operę już dwa razy i zamierzał uczynić to po raz trzeci dziś wieczorem. Widać było jednak, że w tym akurat momencie tak naprawdę myśli o czymś zupełnie innym. Chwaląc utwór Cimarosy, co chwilę spoglądał na poruszające się nieubłaganie wskazówki tykającego głośno zegara.

Stary sekretarz pojawił się znowu, tym razem jakby o dziesięć lat młodszy i wyraźnie ożywiony. Podał lordowi kartkę z wiadomością, potem prawie wybiegł z gabinetu.

— Będziemy działać! — sir Joseph zawołał radośnie, pociągając kilka razy za sznur dzwonka. — Muszę teraz tylko znaleźć odpowiednie okręty. Panie Akers, poproszę o teczki A12 i A27 oraz o bieżące zestawienia. Panie Roberts, proszę przygotować gońców i pisarzy. Lord Melville przesyła panu pozdrowienia, doktorze, i prosi o chwilę rozmowy w swoim gabinecie, dokładnie dwadzieścia minut po jedenastej. Czy byłby pan uprzejmy popłynąć na którymś z naszych żaglowców? Bardzo możliwe, że konieczne będą negocjacje. To zwykle znacznie lepsze rozwiązanie niż użycie siły.

— Oczywiście. Może pan na mnie liczyć. Nie wolno mi jednak się pokazać; moja dalsza działalność wywiadowcza nie miałaby wówczas sensu. Proszę postarać się o kogoś, kto mówi po hiszpańsku i w razie potrzeby mógłby pośredniczyć w ewentualnych rozmowach. Chciałbym przy okazji pozwolić sobie na pewną dość istotną uwagę. Moim zdaniem, mając do czynienia z admirałem Bustamente, powinien pan postarać się o naprawdę bardzo silną eskadrę. Może kilka liniowców? Tak by Hiszpanie mogli poddać się z honorem. W przeciwnym razie będą walczyli jak lwy. Te cztery fregaty mają wspaniale wyszkolone i wyjątkowo zdyscyplinowane załogi; w żadnym wypadku nie można ich lekceważyć.

— Na pewno będę miał to na uwadze, doktorze. Biorąc jednak pod uwagę obecny stan naszej floty, niczego nie obiecuję. Czy jest jeszcze coś... Chwileczkę, panie Robinson... Czy jest jeszcze coś, o czym powinniśmy pamiętać? Może przypomniał pan sobie o czymś ważnym?

— Tak, sir. Mam wielką prośbę do pana, nie chciałbym jednak niepotrzebnie nadużywać pańskiej uprzejmości... Wiem, że to z mojej strony zbyt śmiałe, lecz jak pan zapewne pamięta, nigdy nie oczekiwałem od Admiralicji czegokolwiek w zamian za moją działalność, choć wielokrotnie proponowano mi różnorodne formy gratyfikacji...

Sir Joseph spochmurniał nagle, powiedział jednak ostrożnie, iż każde życzenie doktora spotka się z jak najbardziej gorliwą uwagą.

— Chciałbym prosić — Stephen zaczął mówić z wahaniem — by w skład formowanej eskadry weszła fregata „Lively", którą dowodzi kapitan Aubrey...

Posępna twarz lorda natychmiast się rozpogodziła.

— To akurat jestem w stanie załatwić od ręki — zawołał z ulgą. — Wiem, że lord Melville na pewno się zgodzi. Z radością wyświadczy podobną przysługę pańskiemu i swojemu przyjacielowi. Czy to jednak wszystko, sir? Z pewnością chodzi panu o coś jeszcze.

— To absolutnie wszystko. I tak jestem panu nieskończenie zobowiązany. Serdecznie dziękuję.

— Boże... — Sir Joseph z niedowierzaniem pokręcił głową. — Muszę się zastanowić... Kapitan Aubrey ma już na okręcie lekarza i nie wypada nam dokonać nagłej zmiany. To zresztą nie byłoby to, o co mi chodzi. Musi pan otrzymać odpowiedni tymczasowy przydział i zamustrować wcześnie rano. Trochę to potrwa, zanim zostaną przygotowane odpowiednie instrukcje i rozkazy. Musimy jeszcze poczekać na nadzwyczajne posiedzenie rady. Wszystko będzie jednak na pewno gotowe dziś wieczorem. Pojedzie pan więc z gońcem Admiralicji. Nie ma pan chyba nic przeciwko podróżowaniu nocą?

Gdy Stephen wyszedł z parku, padała już tylko drobna mżawka. Była ona jednak na tyle nieprzyjemna, że zrezygnował z zaplanowanej wyprawy do kramów z książkami na Wych Street i wrócił do swojego pokoju w „Grapes". Wyciągnął się tam wygodnie w głębokim skórzanym fotelu przy kominku, wpatrzony w płomienie i pozwolił swym myślom rozbiec się swobodnie we wszystkich możliwych kierunkach. Było mu coraz bardziej błogo i przyjemnie, niepostrzeżenie mijały kolejne godziny, za oknem miejsce szarego, mglistego dnia zajęła rozświetlona pomarańczowymi lampami noc. Nieruchome i bezwładne ciało straciło jakby swe fizyczne granice, umysł pracował coraz wolniej, chwilami pogrążając się w letargu. Ów szczególny stan ducha przerwało dopiero pojawienie się posłańca z Admiralicji. Drzemiący w fotelu doktor oprzytomniał z trudem i nagle uświadomił sobie, że nic jeszcze dzisiaj nie jadł od chwili, w której lord Melville poczęstował go ciasteczkiem i kieliszkiem madery. Pusty żołądek nagle zaczął upominać się o swoje prawa, Stephen zamówił więc szybko do pokoju herbatę i grzanki. Mnóstwo grzanek. Usiadł do stołu, bliżej świecy i uważnie przeczytał przyniesione przez posłańca papiery. Było ich sporo: wiadomość od sir Josepha, potwierdzająca włączenie fregaty „Lively" w skład formowanej pospiesznie eskadry, informacja o tymczasowym przydziale i stopniu dla doktora Maturina (wszystko zostało przygotowane w podobny sposób jak w przypadku sir J. Banksa z Royal Society) oraz imponujący formą dokument potwierdzający ów przydział i awans. Co ciekawe, w tej niecodziennej sytuacji wszystko zostało napisane odręcznie; złożony w pośpiechu podpis lorda Melville'a był trochę zamazany. W kopercie znajdował się też oficjalny rozkaz, polecający Stephenowi udać się na stojący w Nore okręt, oraz prywatny list, w którym sir Joseph informował, że szczegółowe instrukcje nie będą niestety gotowe przed północą. W związku z tym prosił o wybaczenie i przesyłał w załączeniu swój bilet na *Le Astuzie Femminili* Cimarosy. Lord miał nadzieję, że zdoła w ten sposób uprzyjemnić doktorowi większą część dzisiejszego wieczoru. Będzie to też zarazem wspaniała okazja do sprawiedliwej oceny twórczości tego niewątpliwie wybitnego kompozytora.

Sir Joseph był bardzo bogatym człowiekiem i do tego kawalerem, nic więc dziwnego, że lubił sobie dogadzać: wykupił całą lożę, wysoko po lewej stronie widowni. Jak się jednak na miejscu okazało, z tego akurat punktu o wiele lepiej widać było publiczność oraz orkiestrę niż scenę, lecz Stephen i tak rozsiadł się tam bardzo zadowolony. Oparł swe wciąż zatłuszczone od tostów dłonie o wyścielaną miękkim pluszem krawędź balustrady i z nie ukrywaną satysfakcją spojrzał w dół, na ludzi zajmujących najtańsze miejsca na parterze —jak dotąd i on sam stamtąd właśnie oglądał wszystkie przedstawienia. Sala napełniała się szybko, gdyż o wystawianej właśnie operze Cimarosy sporo ostatnio rozmawiano w londyńskich salonach. Co prawda królewska loża, daleko po prawej ręce doktora, była pusta, lecz prawie wszystkie pozostałe miejsca zostały już zajęte. Ludzie chodzili tam i z powrotem, przestawiali krzesła, machali do przyjaciół lub podobnie jak doktor obserwowali

pozostałych widzów. Dokładnie po przeciwnej stronie zauważył grupkę oficerów marynarki: dwóch z nich miał okazję kiedyś poznać. W dole, blisko za orkiestrą, siedział Macdonald, Z przypiętym z przodu pustym rękawem kurtki, a miejsce tuż obok zajmował najprawdopodobniej brat bliźniak sympatycznego Szkota — obaj byli do siebie uderzająco podobni. Stephen dostrzegł też kilka innych znajomych twarzy. Wszystko wskazywało na to, że zebrali się tu dzisiaj wszyscy londyńscy miłośnicy opery oraz kilka tysięcy ludzi, którzy najprawdopodobniej w ogóle nie interesowali się muzyką. Zatłoczone wnętrze wypełnione było szmerem niezliczonych rozmów, na szyjach dam poruszających z gracją wachlarzami lśniły drogocenne kamienie.

Prawie wszyscy widzowie wreszcie usiedli, przygaszono światła i rozległy się pierwsze dźwięki uwertury. Większość rozmów ucichła nagle, pozostałe zostały zagłuszone. Maturin zainteresował się teraz orkiestrą i wykonywanym utworem.

„Nieudolne to i żałośnie pompatyczne" — pomyślał. „Da się posłuchać, lecz w tej muzyce nie ma nic specjalnie interesującego. Jest wręcz trywialna. Jak sir Joseph mógł porównać tak niedojrzałego kompozytora z Mozartem?" Jedyną godną podziwu rzeczą była jak na razie pełna zaangażowania gra jednego z wiolonczelistów, po mistrzowsku operującego smyczkiem. W pewnej chwili na balkonie z prawej strony coś błysnęło: do jednej z lóż wchodziła właśnie grupka spóźnialskich i w ciemnościach zalśniło na moment światło wpadające przez otwarte drzwi. Jacyś barbarzyńcy. Goci albo Maurowie... Z drugiej jednak strony ta muzyka nie była przecież specjalnie ciekawa i nie wymagała od słuchaczy jakiejś szczególnej uwagi. Wszystko jedno, dla podobnie prymitywnych ludzi grać mógłby sam Orfeusz, a oni i tak by tego nie zauważyli.

Na tle skrzypiec nagle pięknie zagrała harfa. Dwie harfy, rozmawiające ze sobą. Ich dialog nie wnosił tutaj co prawda niczego nowego, lecz brzmiał bardzo przyjemnie. U Moltera podobnie porywająco grała trąbka... Co z tego jednak? Dlaczego coś jest tutaj nie w porządku? Skąd bierze się ów prawie nieuchwytny niepokój i obawa przed czymś, czego w żaden sposób nie można zdefiniować? Młoda kobieta, wykonująca właśnie arię na scenie, miała wspaniały głos i była uderzająco piękna, lecz ów śpiew nie wydawał się doktorowi niczym przyjemnym, podobnie jak wyjątkowa uroda śpiewaczki. Wprost przeciwnie. Stephen czuł się coraz bardziej nieswojo. W pewnym momencie poczuł, że pocą mu się dłonie.

Pewien głupawy Niemiec stwierdził kiedyś, że ludzie myślą słowami. Nic podobnego. To tylko kolejna pseudonaukowa bzdura. Myśl budzi się w naszym umyśle do życia w tysiącu istniejących współbieżnie form, powiązanych splątanymi nićmi rozmaitych skojarzeń. Mowa jest tutaj tylko jedną z wielu ich możliwych postaci, pozwala wyrazić daną treść za pomocą wybranych słów, będących zwykle zbiorem ograniczonych w swoim znaczeniu symboli. Zwykle nie są one w stanie w pełni przekazać większości naszych odczuć i wrażeń, dlatego właśnie w naszej świadomości istnieją równolegle języki muzyki oraz barw. Wielu ludzkim odczuciom niepotrzebne są słowa; Mozart na pewno formułował swe myśli za pomocą dźwięków i nut, a Stephen w tym akurat momencie rozumował, kojarząc ze sobą zapachy. Utwór zbliżał się powoli do coraz bardziej oczywistej kulminacji. Ów długo oczekiwany moment nastąpił wreszcie i na widowni wybuchły huraganowe brawa. W loży spóźnialskich Stephen zobaczył Dianę Villiers, klaszczącą życzliwie, lecz bez wielkiego entuzjazmu. Nawet w znacznie większym tłumie rozpoznałby ją natychmiast. Nie patrzyła na scenę i uśmiechniętych śpiewaków, lecz na kogoś znajdującego się głębiej z tyłu w loży.

Spokojnie poruszała rękami w długich białych rękawiczkach i mówiła coś, przekrzykując hałas. Doktor nie słyszał wypowiadanych przez nią słów, chłonął jednak wzrokiem wymowny wyraz jej twarzy i charakterystyczne ruchy głową.

Obok Diany stała kobieta, najprawdopodobniej lady Jersey, tak się przynajmniej Maturinowi zdawało, a miejsca za plecami obu pań zajmowali czterej mężczyźni: Canning, dwóch oficerów w szamerowanych złotem czerwonych mundurach i mocno zarumieniony cywil, przepasany wstęgą orderu Garter — zapewne jakiś niższy rangą królewski urzędnik. Właśnie z tym człowiekiem rozmawiała pani Villiers, lecz widać było wyraźnie, iż ów napuszony pajac nie do końca ją rozumie. Sądząc jednak z jego miny, musiał być w tej chwili bardzo z siebie zadowolony.

Stephen obserwował to wszystko bez szczególnych emocji, lecz z najwyższą uwagą. W pierwszej chwili serce skoczyło mu do gardła, wyraźnie zmieniło się też tempo oddechu. W żaden jednak widoczny sposób nie wpłynęło to na zdolność spostrzegania i wyciągania wniosków. Zapewne już od początku przedstawienia zdawał sobie sprawę z tego, że Diana musi być gdzieś blisko. Przez cały czas czuł zapach jej perfum — aż do momentu, gdy opadła kurtyna — i prawdopodobnie właśnie dlatego tak, a nie inaczej, zareagował na błyskotliwy dialog dwóch harf.

Oklaski ucichły wreszcie, lecz Diana wciąż trzymała swe dłonie w górze i przechylony przez barierkę Maturin nie mógł oderwać od nich wzroku. Rozmawiając wciąż ze stojącym z tyłu mężczyzną, pani Villiers poruszyła powoli prawą, potem lewą ręką. Boże... zrobiła to z zaplanowanym, pełnym wyrachowania wdziękiem... Drzwi loży otworzyły się nagle, stanął w nich kolejny człowiek, przepasany szeroką błękitną wstęgą i obie panie natychmiast podniosły się z miejsc. Doktor nie widział twarzy przybysza, dostrzegł jednak natychmiastową zmianę w zachowaniu Diany: inaczej trzymała głowę, wyprostowała się, nawet piękny wachlarz ze strusich piór poruszał się teraz wyraźnie inaczej. Nastąpiły ukłony, dygnięcia, wybuch śmiechu — zamknięto drzwi i mężczyzna z błękitną szarfą pojawił się w sąsiedniej loży. Stephen zupełnie nie zwracał na niego uwagi, mógłby to być nawet sam książę piekieł. Najważniejsza była teraz Diana. Maturin chciał w jakiś sposób potwierdzić to, o czym już od dawna wiedział. Nie musiał czekać zbyt długo. Już po kilku minutach bez najmniejszego trudu udało mu się zweryfikować swe najgorsze przypuszczenia, a wywołany tym ból okazał się tak zaskakująco dotkliwy, że umysł doktora stracił na chwilę zdolność logicznego myślenia. Naturalna gracja, którą zawsze tak podziwiał, odeszła w niepamięć. Pozostała jedynie sztuczna poza, nie kończący się występ przed pełną podziwu publicznością. Stephen pojął nagle, że od tej chwili w jego świadomości z postacią Diany nierozerwalnie łączyć się będzie pełna wyrachowania wulgarność. Oczywiście było to tylko jego bardzo prywatne odczucie; w żadnym wypadku nie mogli dostrzec tego ludzie, którzy nieco gorzej ją znali. W najmniejszym stopniu nie umniejszało to też podziwu, z jakim obserwowali ją wszyscy znajdujący się w pobliżu mężczyźni — była naprawdę bardzo dobrą aktorką. W żadnym jednak wypadku nie zmieniało to najważniejszego. Stephen uświadomił sobie wreszcie, że kobieta w tamtej loży już nigdy nie będzie godna jego uwagi.

Diana była wyraźnie czymś zaniepokojona. Najprawdopodobniej czuła na sobie wzrok doktora i od czasu do czasu uważnie rozglądała się po widowni. Jak na razie bezskutecznie, gdyż Maturin za każdym razem spuszczał wzrok, jak podchodzący sarnę myśliwy, a tę samą lożę przez cały czas obserwowało bardzo wielu ludzi — pani Villiers była chyba najładniejszą z obecnych tu dzisiaj kobiet. W jej wysoko upiętych kruczoczarnych włosach lśniły brylanty, uwagę zwracała też

wspaniała błękitna suknia z głębokim dekoltem. Pomimo starań doktora ich spojrzenia spotkały się wreszcie i Diana urwała w pół słowa prowadzoną właśnie rozmowę. Stephen zamierzał wstać i ukłonić się grzecznie, lecz nie potrafił niestety zmusić swych nóg do jakiegokolwiek wysiłku. Zdumiony tym oparł dłonie na poręczy, usiłując jakoś się podnieść, lecz dokładnie w tej samej chwili kurtyna powędrowała w górę i harfy znów odezwały się wibrującym glissando.

„Nigdy nie przypuszczałem, że moje ciało może odmówić mi posłuszeństwa. .." — pomyślał zdumiony doktor. „I to w podobnym momencie. .. To gorsze niż najbardziej nawet dokuczliwe mdłości. Wprost nie chce się wierzyć... Czy Diana, którą pamiętam z New Place, istniała naprawdę? Może była tylko wytworem mojej wyobraźni? Czy z tęsknoty mógłby powstać na przykład jednorożec?"

Pomimo głośnej muzyki i zamieszania na scenie Stephen słyszał wyraźnie natarczywe pukanie do drzwi swej loży. Nie odpowiedział na nie i po dłuższej chwili stukanie ucichło. „Czy i ja w jakiś sposób wpłynąłem na jej obecny wizerunek?" W odpowiedzi na to postawione samemu sobie pytanie doktor przecząco pokręcił głową.

Kurtyna opadła wreszcie i zapalono wszystkie światła. Loża Diany była pusta — na wyścielanej pluszem barierce leżały tylko długie białe rękawiczki — a orkiestra grała *Boże, chroń króla.* Stephen siedział nieruchomo, tłum w dole powoli wypływał z sali, pojedynczy ludzie zawracali w poszukiwaniu pozostawionych kapeluszy. Po chwili widownia zupełnie opustoszała. Pojawili się na niej teraz pracownicy opery, usuwając śmieci i gasząc światła.

— W tamtej loży ciągle ktoś siedzi — zauważył jeden ze sprzątaczy.

— Pijany?

— Może myśli, że będzie jeszcze jeden akt. Na szczęście to już koniec.

— Dalej, proszę pana — powiedział portier, otwierając drzwi zapasowym kluczem. —Już po wszystkim. Przedstawienie dawno się skończyło.

Do świtu pozostało jeszcze kilka godzin, gdy uśpiony i zatłoczony pokład działowy fregaty „Lively" ożył nagle.

— Wszyscy na pokład do podnoszenia kotwicy! — krzyczeli donośnie pomocnicy bosmana. — Wstawać lenie, dalej! Pokaż nogę, bracie! Pobudka! Wstawać! Żywo!

Rozespani mężczyźni (na okręcie nocowało też około stu kobiet) oderwali się od swych ponętnych towarzyszek lub nieco bardziej może czasem prozaicznych żon, wybiegli na pokład, prosto w wilgotny mrok i zabrali się do podnoszenia kotwicy — zgodnie z wydanym im rozkazem. Ruszył kabestan, piskliwie zagrały skrzypki, tymczasowe przyjaciółki pospiesznie odesłano na ląd i za rufą znikło światło latarni Nore.

Fregata skierowała się w stronę North Foreland, ze sprzyjającym prądem i wiejącym z baksztagu wiatrem.

Pełniący wachtę oficer szybko uciszył głośne spekulacje i nerwowe rozmowy. Marynarze dyskutowali jednak nadal, po cichu, korzystając z hałasu powstającego podczas cegiełkowania pokładów. Co się dzieje? Czy Bonaparte rozpoczął inwazję? Musiało wydarzyć się coś naprawdę niezwykłego; nie wysyła się przecież w morze okrętu z zaledwie połową zapasu słodkiej wody. Wiadomo było tylko tyle, że pod burtę przypłynęła w nocy łódź dowodzącego portem admirała i przywiozła oficera marynarki oraz jakiegoś cywila. Ten człowiek był już chyba kiedyś u kapitana... Nikt nie potrafił na razie powiedzieć nic więcej, lecz Killick lub Bonden na pewno dowiedzą się wszystkiego jeszcze przed śniadaniem.

W mesie oficerskiej również panowało zdumienie. Także i tutaj niecierpliwie oczekiwano jakichkolwiek dokładniejszych informacji. Wszyscy byli tu jednak znacznie bardziej zaniepokojeni niż marynarze na forkasztelu, gdyż zgodnie z nie sprawdzoną plotką na okręcie pojawił się znów doktor Maturin. To prawda, że wszyscy oficerowie zdążyli już nawet trochę polubić tego człowieka, lecz panicznie obawiali się tego, co mógł on przywieźć z sobą na pokład.

— Czy jest pan absolutnie pewny, że to był on? — pytano pana Dashwooda, który w porcie pełnił poranną wachtę.

— Nie mogę przysiąc — oficer odpowiadał niepewnie. — Było bardzo ciemno i nie udało mi się dokładniej przyjrzeć zasłoniętej przed deszczem twarzy tego człowieka. Nikt jednak inny nie wchodziłby na okręt w tak dziwaczny sposób. Jak jednoręki niedźwiedź... Gdybym sam tego nie widział, nie uwierzyłbym, że jest to w ogóle możliwe. Wioślarze z łodzi odpowiedzieli jednak na nasze wywołanie tak, jakby mieli na pokładzie oficera w stopniu kapitana. Tylko dlatego nie jestem absolutnie pewny...

— Jeśli było tak, jak pan mówi, to nie może być on — zdecydował Simmons. — Sternik admirała nigdy nie popełniłby takiego błędu. Widocznie w nocy przypłynął na okręt jakiś oficer, dobry znajomy naszego kapitana; to wyjaśniałoby, dlaczego przy powitaniu obaj zwracali się do siebie po imieniu lub per „mój drogi".

— Chyba ma pan rację — zgodził się Randall.

— To jedyne rozsądne wyjaśnienie — przyznał pierwszy nawigator. Jedynie ochmistrz nie interesował się tą zagadką. Ostatnim razem

pszczoły ani razu nie wdarły się do jego kabiny i w tej chwili znacznie bardziej niepokoiły go zupełnie inne sprawy: polityczne przyczyny tak gwałtownego wyjścia w morze i opłakany stan okrętowych zapasów.

— Mam w tej chwili w magazynie tylko pięćdziesiąt sążni płótna — narzekał. — Brakuje nam też lin. Jak sobie poradzimy po przekroczeniu równika? Co będzie koło Madery, nie wspominając nawet o Fernando Poo? Przecież właśnie tam płyniemy; moim zdaniem nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.

Jack wiedział niewiele więcej. Wydał odpowiednie rozkazy i wrócił do swojej kabiny, ubrany w długi nieprzemakalny płaszcz zarzucony na nocną koszulę. Na stole leżały bezpośrednie rozkazy, plik

dalszych szczegółowych instrukcji i gruba zalakowana koperta, której zgodnie z umieszczonym na niej napisem nie wolno było otworzyć przed osiągnięciem czterdziestego trzeciego równoleżnika. Podobne jak dzisiaj sytuacje nie zdarzały się zbyt często i kapitan fregaty był tym wszystkim bardzo przejęty, wręcz zaniepokojony.

— Stephen, mój drogi... Cieszę się, że przybyłeś na okręt tak szybko. Nie spodziewałem się ciebie wcześniej niż w Falmouth — oświadczył, czytając rozkazy. — Z tego jednak, co widzę, niepotrzebnie kusiłem cię perspektywą rejsu na Maderę i do Indii Zachodnich. Polecono mi jak najszybciej wyjść w morze i udać się na spotkanie koło Dodman. Formuje się tam zespół okrętów: „Indefatigable", „Medusa", „Amphion" i my. Dziwne. Nie mogę na razie otworzyć koperty z dalszymi instrukcjami. Może ty wiesz, o co tutaj chodzi?

— Nie mam zielonego pojęcia — odpowiedział doktor.

— Niech szlag trafi Admiralicję z jej wszystkimi lordami — krzyknął wzburzony Jack. — Kto to widział: wychodzimy w morze zupełnie nie przygotowani do długiej podróży. Jeden rozkaz i wszystkie nasze plany wzięły w łeb. Jak tak można? To nie moja wina, lecz przepraszam cię, mój drogi. — Kapitan czytał dalej. —Hej... A to co? Myślałem, że nie masz z tym nic wspólnego, że przypłynąłeś po prostu razem z posłańcem.. . A tu proszę... W razie oddzielenia się od eskadry lub utraty kontaktu z jednym lub więcej... to nieważne, po prostu wyliczono tu wszystkie ewentualności... mam skorzystać z rad oraz wskazówek pana Stephena Maturina, doktora nauk medycznych i tak dalej, awansowanego tymczasowo do stopnia kapitana Royal Navy. Mam po prostu zdać się na ciebie. Kto by pomyślał...

— To nic wielkiego. Mogę się przydać, gdyby konieczne były negocjacje. Tylko tyle.

— Cóż, widzę teraz, że cię nie doceniałem. — Aubrey usiadł i z niedowierzaniem przyglądał się doktorowi. — Powiedziałeś jednak przed chwilą, że o niczym...

— Posłuchaj, mój drogi. Od czasu do czasu zmuszony jestem mówić nieprawdę, mam ku temu swoje powody. Nie pozwolę jednak, by ktokolwiek nazwał mnie kłamcą.

— Ależ nie, nie... — zawołał Jack. — Nie miałem takiego zamiaru. Skądże. Nigdy bym sobie na to nie pozwolił. Wiesz przecież, jak bardzo ciebie lubię. Jedyny problem w tym, że czasem nie potrafię rozsądnie myśleć. Nie jestem też głupi. Wiem, że prowokowanie cię może okazać się bardzo niebezpieczne. Nareszcie trochę lepiej wszystko rozumiem. Nie przypuszczałem, że jesteś aż takim spryciarzem... Dziwne, że wcześniej się tego nie domyśliłem. Zwłaszcza po tym, jak przemyciłeś mnie do Hiszpanii.

— Nie muszę więc niczego ci wyjaśniać? To dobrze. Nie chciałbym niepotrzebnie cię oszukiwać.

— Tylko jedna rzecz wciąż nie daje mi spokoju — wyjaśnił Jack. — Jak to się stało, że otrzymałeś ten tymczasowy awans? Jak pewnie wiesz, w marynarce wojennej wszyscy są bardzo zazdrośni o stanowiska i stopnie. Podobne wyróżnienie nie zdarza się zbyt często; ja sam nigdy dotąd o czymś podobnym nie słyszałem. Musisz być kimś bardzo ważnym dla panów z Whitehall.

— Mnie również bardzo to zastanawia. Cieszy mnie taki dowód uznania, lecz wciąż nie wszystko potrafię zrozumieć. Dlaczego muszę być kapitanem marynarki? Mogłem przecież zaokrętować jako twój gość, zwykły pasażer.

— Już wiem! — Jack krzyknął radośnie. — Powiedz mi, Stephen, oczywiście jeśli to nie tajemnica, czy ten rejs może przynieść jakieś... korzyści finansowe?

— Chyba tak.

— W takim razie chodzi zapewne o to, byś miał udział w pieniądzach z pryzów. Dzięki awansowi otrzymasz część należną oficerowi w stopniu kapitana. Rozkazy wydała nam bezpośrednio Admiralicja, więc w podziale ewentualnych łupów nie będzie uczestniczył żaden admirał. Jeśli zdobędziemy cokolwiek, nieźle się obłowisz...

— To miłe ze strony sir Josepha, że o tym pomyślał. Nie żałuję teraz, że wysłałem mu w prezencie mojego motyla-obojniaka. Posłaniec był naprawdę zdumiony; nic dziwnego, to przecież królewski podarunek. Czy wiesz może, ile wyniosłaby moja część w przypadku podziału sumy... na przykład: miliona funtów?

— W przypadku eskadry złożonej z czterech okrętów z czterema, nie... z pięcioma kapitanami? Poczekaj, niech policzę. Jedna piąta z dziesięciu to dwa... Jedna ósma z dwustu to dwadzieścia pięć... Siedemdziesiąt pięć tysięcy funtów. Szkoda, mój drogi, że nie ma już teraz na morzach takich pryzów.

— Siedemdziesiąt pięć tysięcy funtów? To przecież absurd. Co zrobiłbym z taką sumą? Po co komukolwiek aż tyle pieniędzy?

— Ja na pewno nie miałbym podobnych problemów — rozmarzył się Jack, a w jego oczach zapaliły się jaskrawe ogniki. Nie zwracając uwagi na próbującego go zatrzymać doktora, wybiegł z kabiny. Postanowił sprawdzić, czy kliwry dobrze pracują i czy wybrane zostały wszystkie buliny. Na pokładzie naubliżał porządnie marynarzom z wachty i po kilku minutach wrócił do swego salonu.

— Naszemu kapitanowi zaczyna odbijać — zauważył dowódca pod wachty żaglowej fokmasztu.

— Nigdy dotąd nie udawał takiego ważniaka. Nie wiem, o co tutaj chodzi, lecz stanowczo mi się to wszystko nie podoba — oświadczył któryś z marynarzy.

— Może wybiera się do swojej ukochanej — zażartował Blue Edward, Malaj. — Możecie mi wierzyć, że dla takiej dziewczyny jak jego Sophie zrobiłbym chyba wszystko...

— Za dużo sobie pozwalasz, bracie — głośno oburzył się George Allen. — Nasz kapitan z pewnością zasługuje na więcej szacunku. Jeśli jeszcze raz powiesz coś podobnego w mojej obecności, ciężko tego pożałujesz.

— To prawda, że człowiek jest w stanie odbyć nawet podróż dookoła Laponii lub tak jak pan Banks przemierzać południowe morza — rozmyślał głośno Stephen. — Powiedz mi jednak, Jack, jak przebiegł wasz wspólny rejs? Jak Sophie znosiła kołysanie? Czy piła porter do posiłków, tak jak

kazałem?

— Och, wszystko wypadło wręcz wspaniale. Przede wszystkim mieliśmy doskonałą pogodę: kilka przyjemnych i ciepłych dni, a na falach tylko gdzieniegdzie pokazywały się grzywy z piany. Pan Simmons dał wspaniały pokaz, stawiając wszystkie bombramsle i żagle boczne. Sophie powiedziała, że w życiu nie widziała dotąd czegoś równie pięknego. Nasza fregata pomknęła jak strzała, zostawiając „Amethyst" daleko za rufą. Szkoda, że nie widziałeś ich czerwonych ze wstydu twarzy... Potem mieliśmy kilka cudownych dni ciszy i wiele razy rozmawialiśmy o tobie. Panna Williams była też taka miła dla młodego Randalla, który strasznie płakał po śmierci Kasandry. Starszy pan Randall bardzo polubił za to Sophie, podobnie jak wszyscy pozostali oficerowie... Jedliśmy dwa razy z nimi obiad... Cecylia z kolei dobrze czuła się w towarzystwie pana Dredge'a z piechoty morskiej. Jestem mu bardzo wdzięczny za to, że się nią zajął i odciągnął ją od nas... Sophie piła oczywiście regularnie swój porter i raz dziennie wypijała szklaneczkę grogu. Sporo też jadła, bardzo mi się to podobało. Co się zaś tyczy przyszłości... No cóż... Jesteśmy pełni nadziei, lecz to chyba na razie wszystko, na co możemy sobie pozwolić. Nie mam domu, majątku, koni... Stephen? Co się stało? Zasnąłeś?

— Wcale nie zasnąłem... — oburzył się doktor. — Słyszałem wszystko, o czym mówiłeś. Muszę jednak przyznać, że jestem bardzo zmęczony. Podróżowałem przez całą noc, a wczoraj miałem wyjątkowo ciężki dzień. Chciałbym się położyć, jeśli pozwolisz. Gdzie będę teraz sypiał?

— To dobre pytanie — odpowiedział Jack. — Gdzie masz teraz spać? Oczywiście możesz położyć się w mojej koi, lecz jak to oficjalnie powinno wyglądać? Chyba nawet sam Salomon nie umiałby rozwiązać podobnej zagadki. Czy razem z tym awansem nadano ci jeszcze jakieś dodatkowe przywileje? Który z nas jest teraz starszy stopniem?

— Nie mam pojęcia. Przyznaję, że nie czytałem zbyt dokładnie tych dokumentów. Wiem tylko, że Admiralicja obdarzyła mnie ogromnym zaufaniem, co bardzo mnie ucieszyło.

— No cóż. Jesteś na pewno znacznie mniej doświadczonym kapitanem niż ja, więc to chyba ja powinienem być tutaj przełożonym... Zajmę więc nawietrzną stronę kabiny. Tobie przypadnie w udziale zawietrzna połowa i po każdym zwrocie będziemy zamieniać się miejscami, cha, cha... Wstrętny ważniak i służbista ze mnie, prawda? Nie przejmuj się, oczywiście żartuję. Tak w ogóle wydaje mi się jednak, że powinienem odczytać twój awans na zbiórce załogi. To naprawdę niecodzienny przypadek...

— Wolałbym za wszelką cenę uniknąć podobnej sytuacji. Będzie znacznie lepiej, jeśli uda mi się nie zwracać niczyjej uwagi. Myślę też, Jack, że zachowasz dla siebie to, czego się w mojej sprawie domyśliłeś. Liczę na twoją dyskrecję. Od tego może kiedyś zależeć moje życie.

Stephen miał wszelkie powody, by ufać Jackowi, który w razie potrzeby potrafił trzymać język za zębami. Jednak nie wszyscy kapitanowie umieli w podobny sposób dochować tajemnicy. Gdy z Plymouth przybyła pospiesznie „Medusa", ze smagłym, mówiącym ponoć biegle po hiszpańsku dżentelmenem na pokładzie, na czekających koło Dodman okrętach natychmiast pojawiły się plotki, że eskadra zostanie stąd skierowana do Kadyksu — podobno Hiszpania przystąpiła lub w najbliższym czasie przystąpi do wojny. Taka perspektywa bardzo wszystkich ucieszyła, gdyż hiszpańskie statki handlowe były jak dotąd nieosiągalną zdobyczą. Z ładowniami pełnymi

najprzeróżniejszych bogactw żeglowały beztrosko, otwarcie kpiąc sobie z angielskich patrolowców i okrętów blokady. Jeśli sytuacja rzeczywiście uległa zmianie, wystarczy nawet jeden taki pryz; jedno przyjemne sobotnie popołudnie mogło przynieść marynarzom pieniądze równe nawet pięcioletniej płacy. Trudno było jednak jak na razie potwierdzić te interesujące pogłoski, gdyż dowódcy okrętów spędzali długie godziny na tajnych naradach z udziałem owego mówiącego po hiszpańsku jegomościa i doktora Maturina, który ku zaskoczeniu wszystkich pojawił się na pokładzie. Eskadrę tworzyły wciąż tylko trzy żaglowce: „Lively", „Amphion" i „Medusa" — w jej skład miała jeszcze podobno wejść potężna, uzbrojona w czterdzieści dział fregata „Indefatigable". Rzeczywiście, długo oczekiwana jednostka pojawiła się wreszcie na horyzoncie. Płynęła ociężale, ostrym bajdewindem —jej dziób raz za razem zalewały fale, przygnane z zachodu przez coraz silniejszy wiatr, a na maszcie pojawił się sygnał dla pozostałych okrętów: *Uformować szyk torowy za moją rufą, postawić wszystkie możliwe żagle*. Dla załogi „Lively" nadeszły teraz naprawdę ciężkie chwile. Fregaty płynęły jedna za drugą, idealnie tym samym kursem, każda w odległości dokładnie dwóch kabli od poprzedniczki i obsługujący żagle marynarze prawie nie schodzili z masztów. Jak się okazało, niepotrzebne były dodatkowe płótna — wprost przeciwnie. Chcąc zachować ustaloną pozycję w szyku, należało nieustannie zwalniać bieg okrętu. Rozpoczęło się refowanie, podbieranie na gejtawach, zrzucanie kliwrów i sztaksli, luzowanie szotów. Ludzie byli tym coraz bardziej poirytowani — ich zniecierpliwienie dosięgło zenitu, gdy po otwarciu ostatnich rozkazów i naradzie kapitanów na pokładzie „Indefatigable" okazało się, że ostatecznym celem wyprawy jest przechwycenie hiszpańskiej eskadry płynącej z ujścia Rio de la Plata do Kadyksu. Wręcz z zadowoleniem przywitano więc paskudne niedzielne popołudnie: na zachodzie, nisko nad horyzontem, pojawiły się gęste czarne chmury, a wysoka i nieprzyjemna martwa fala, stała się tak dokuczliwa, że nawet doświadczeni marynarze, którzy od lat prawie nie stąpali po stałym lądzie, zaczynali cierpieć na chorobę morską. Wiatr co chwilę zmieniał kierunek — raz był ciepły, raz zimny, a słońce zaszło za bardzo groźnie wyglądającym pasmem krwistoczerwonych obłoków, zza których co jakiś czas przebłyskiwały pojedyncze zielone promyki. Niedaleko na zawietrznej znajdował się przylądek Finisterre: na okrętach pospiesznie założono wzmocniony takielunek, przygotowano sztormowe żagle i zdjęto na pokład bramstengi masztów. Dodatkowo zabezpieczone zostały też działa, wiszące na żurawikach łodzie i wszystkie cięższe przedmioty.

Gdy okrętowy dzwon „Lively" wybił dwie szklanki środkowej wachty, wiejąca dotąd nieregularnie z południowego zachodu bryza dmuchnęła nagle z północy i bardzo gwałtownie przybrała na sile. Fale spiętrzyły się jeszcze bardziej, gnane przez coraz potężniejszą wichurę, a w górze, wysoko nad głowami, zupełnie niespodziewanie przeskoczyła błyskawica. Po niebie przetoczył się ogłuszający grzmot i pokład zalały strugi ulewnego deszczu. Widoczność pogorszyła się tak bardzo, że z rufy nie można było teraz dostrzec sztormowej latarni na forkasztelu. W pewnej chwili grotmarssztaksel z trzaskiem wyrwał się z likliny, a podarte strzępy płótna znikły gdzieś w mroku na zawietrznej. Jack wzmocnił wachtę na sterze, polecił zainstalować dodatkowe talie, mające nieco ulżyć stojącym za kołem marynarzom i zszedł do swojej kabiny. Chciał poinformować leżącego sobie wygodnie w wiszącej koi Stephena, że nadchodzi sztorm.

— Przesadzasz, bracie — beztroskim tonem oświadczył doktor. — Strasznie jesteś przemoczony. Od chwili, w której tutaj wszedłeś, ściekła z ciebie na podłogę kwarta wody. Popatrz, jak ta kałuża śmiesznie przelewa się teraz po podłodze, kpiąc sobie z praw grawitacji.

— Lubię, jak czasem nieźle powieje — przyznał Jack. — Tym razem ta zła pogoda bardzo nam zresztą sprzyja. Na pewno zatrzyma przemierzające ocean hiszpańskie okręty. Powinniśmy się z tego cieszyć, gdyż pozostało nam naprawdę mało czasu. Ładnie byśmy wyglądali, gdyby tym fregatom udało się uciec nam sprzed nosa i wejść do Kadyksu.

— Jack, czy widzisz ten zwisający luźno sznurek? Bądź tak dobry i przywiąż go do tego haczyka obok. Właśnie tam, dziękuję. Zawiązany przeze mnie węzeł szybko się rozwiązał. Mam teraz czego się trzymać i mogę znów w razie potrzeby powstrzymywać kołysanie się koi, niepotrzebnie pogłębiające objawy choroby.

— Źle się czujesz? Słabo ci? Masz mdłości? A może jest ci po prostu niedobrze od kiwania?

— Nie, nie, to absolutnie nie to, o czym myślisz. Co za niedorzeczna sugestia... Obawiam się, że w grę wchodzi tu bardzo poważna dolegliwość. Jakiś czas temu ugryzł mnie oswojony nietoperz. Mam teraz wszelkie powody, by podejrzewać, że to stworzenie nie było całkiem zdrowe i wydaje mi się, że dostrzegam szczególne podobieństwo mojego obecnego stanu do pewnej groźnej choroby, tak szczegółowo opisanej przez Ludolfusa.

— Może dobrze ci zrobi szklaneczka grogu? — z troską w głosie zapytał Jack. — Albo kanapka z szynką? — dodał, uśmiechając się życzliwie.

— Nie, dziękuję, nic z tych rzeczy. Tak jak ci powiedziałem, to bardzo poważna sprawa, kto wie, czy nie będę musiał... Och, znowu nas tak wściekle rzuciło. Nasza kochana „Sophie" nigdy nie zachowywała się w ten sposób. Co za dzikie i nieodpowiedzialne ruchy... Czy mógłbyś po prostu zgasić lampę i zostawić mnie samego. Na pewno lepiej będzie, jeśli przy tak wzburzonym morzu osobiście zajmiesz się prowadzeniem okrętu. Nie widzę powodu, byś miał wciąż stać nade mną z tym swoim ironicznym uśmiechem...

— Jesteś pewien, że w żaden sposób nie mogę ci pomóc? Może przyniosę tu miskę albo wiadro?

— Nie, nie, skądże... — Twarz Stephena pełna była determinacji. Skóra na jego policzkach miejscami przybrała zielonkawy odcień i na takim tle jednodniowy zarost wydawał się zaskakująco czarny. — Czy ta wichura potrwa długo?

— Myślę, że nie. Najwyżej jakieś dwa lub trzy dni. — Jack z trudem złapał równowagę przy kolejnym przechyle. — Przyślę tutaj zaraz Killicka z miednicą.

— Boże... —jęknął żałośnie Stephen. — Teraz znowu... — Fregata znieruchomiała na moment w dolinie pomiędzy dwiema ogromnymi falami, po chwili uniosła się jednak wysoko i pchnięta wiatrem zaczęła szybko opadać w dół, z bukszprytem wycelowanym w stronę gnających szybko po niebie chmur. Wydawało się, że ten szaleńczy taniec nigdy się nie skończy. — „Jeszcze trzy dni takiego piekła..." — pomyślał z rozpaczą doktor. „To straszne. Tego nie wytrzyma żaden normalny człowiek."

Na szczęście fregata trafiła tylko na ostatnie podmuchy złośliwego wrześniowego sztormu. Podczas porannej wachty niebo rozpogodziło się wyraźnie, słupek rtęci na barometrze powędrował w górę i

choć na razie nie można było pozwolić sobie na więcej niż mocno zrefowane marsle, wszystko wskazywało na to, że już koło południa uda się rozwinąć kolejne żagle. O świcie morze od horyzontu po horyzont zalśniło białymi pasmami piany — w pobliżu dostrzeżono zalany wodą wrak portugalskiego statku rybackiego, a daleko na nawietrznej sztormowała „Medusa", najwyraźniej oszczędzona przez wiatr i fale. Jack był teraz najstarszym stażem kapitanem, zasygnalizował więc, by postawiono na niej więcej żagli. Zgodnie z otrzymanymi rozkazami, w razie podobnej sytuacji, wyznaczonym miejscem spotkania rozproszonych jednostek eskadry miał stać się przylądek Santa Maria, w pobliżu Kadyksu.

Tuż przed południem nastąpiła długo oczekiwana zmiana kursu. Wiatr wiał teraz z baksztagu, kołysanie wyraźnie osłabło i na pokładzie pojawił się doktor Maturin, wciąż bardzo posępny, lecz wyraźnie w lepszym niż w wcześniej nastroju. Dzisiejszy poranek spędził w towarzystwie pana Florisa — obaj medycy wspólnie raczyli się lekarstwami i zgodnie uznali, że dręczące ich w nocy dolegliwości były wywołane równoczesnym atakiem kilku szczególnie złośliwych chorób. Niewątpliwie najgroźniejsze z nich to szkorbut, katar żołądka, a także ów szczególny paraliż, opisany przez Ludolfusa. Na szczęście w przypadku doktora Maturina udało się skutecznie zahamować najbardziej niebezpieczne objawy i to wyłącznie dzięki odpowiednio dobranym dawkom mieszaniny balsamu Lucatellusa oraz proszku z Algaroth.

Po obiedzie, w odległości około sześćdziesięciu mil od wybrzeży Portugalii, na „Lively" odbyły się ćwiczenia w strzelaniu z dział. Pomimo wciąż wysokiej fali nie ograniczono się tylko do przetaczania armat: baterie oddawały kolejne salwy, a za pędzącą na południe z prędkością jedenastu węzłów jednostką ciągnęła się długa chmura prochowego dymu. Dotychczasowe intensywne szkolenie przyniosło widoczne efekty; ludzie co prawda nadal poruszali się zbyt wolno — trzy minuty i dziesięć sekund między kolejnymi wystrzałami — lecz celowali teraz o wiele lepiej niż kiedyś. Zauważony w odległości trzystu jardów od burty pień złamanej przez wichurę palmy już przy pierwszej salwie wyleciał wysoko nad wodę, pomimo bardzo utrudniającego zadanie kołysania. Został on również bezbłędnie trafiony, gdy działa wypaliły po raz drugi. Towarzyszyły temu oczywiście gromkie wiwaty, które słychać było aż na pokładzie „Medusy". Jej załoga również przez ponad godzinę gorliwie ćwiczyła strzelanie z dział. Na obu jednostkach zajęto się też od rana przygotowaniem pocisków — wybierano najbardziej okrągłe kule i usuwano z nich nawet najdrobniejsze ślady rdzy. Jak się jednak wkrótce okazało, na płynącej za rufą „Lively" fregacie większość czasu trzeba było poświęcić rozpaczliwym próbom nadążenia za otwierającym szyk okrętem. Dlatego właśnie na jej masztach pojawiły się bramsle, podczas gdy na „Lively" nie rozrefowano jeszcze marsli, a gdy wiatr osłabł nieco, na wyraźnie powolniejszej „Medusie" zaryzykowano nawet postawienie bombramsli i żagli bocznych — straciła ona jednak w ten sposób dwa bomy, nie zyskując większej prędkości. Oficerowie i żaglomistrz „Lively" obserwowali to oczywiście z wyraźną satysfakcją, ale i z niepokojem: czy uda się w porę przechwycić zmierzające do Kadyksu okręty? Czy „Indefatigable" i „Amphion" zdążą dotrzeć na miejsce spotkania przed bitwą? Hiszpanie nie byli może najlepszymi żeglarzami, lecz na pewno nie można było im zarzucić braku odwagi, a w przypadku ewentualnego starcia siły po obu stronach będą przecież bardzo wyrównane: cztery fregaty (czterdzieści i trzy razy po trzydzieści cztery armaty) po stronie Anglików oraz podobne cztery fregaty (trzydzieści osiem i trzy razy po trzydzieści dwa działa) po stronie Hiszpanów. Jack wyjaśnił to wszystko bardzo szczegółowo swoim oficerom po zapoznaniu się z treścią ostatnich rozkazów, gdy nie istniało już niebezpieczeństwo, że komukolwiek z załogi uda się

w jakiś sposób skomunikować z lądem. Również szeregowi marynarze żywili bardzo podobne obawy — na pokładzie nie było teraz człowieka, który nie wiedziałby, co przewożą płynące z ujścia Rio de la Plata okręty. Szybko wyjaśniono to nawet dwóm Jawajczykom i byłemu mieszkańcowi Borneo: „To złoto, bracie. Złoto i srebro. W skórzanych workach i skrzyniach..."

Wiatr słabł teraz z godziny na godzinę. Z początku log szarpał wściekle, chcąc zerwać linę i odczytywana prędkość wynosiła chwilami nawet trzynaście węzłów, lecz już o świcie następnego dnia, trzydziestego września, trzeba było tę samą linkę odwijać delikatnie ręką, a pełniący służbę podchorąży bardzo niepewnym głosem zameldował dwa węzły i jeden sążeń.

Resztę dnia wypełniło wszystkim ciągnące się w nieskończoność oczekiwanie na silniejszy wiatr. Żarliwe modlitwy załogi zostały jednak wysłuchane dopiero w czwartek, drugiego października, gdy zerwała się wreszcie rześka, świeża bryza. Płynące pod pełnymi żaglami fregaty minęły tego dnia po południu przylądek St Vincent. „Medusa" również i tym razem z wielkim trudem dotrzymywała kroku biegnącej po falach „Lively". Gdy podobnie jak co dzień przeprowadzono ćwiczenia w strzelaniu z dział — był to swoisty armatni salut, oddawany ledwo widocznemu na lewym trawersie ze szczytu masztu przylądkowi — na rufie pojawił się bosman i przez chwilę rozmawiał o czymś z Simmonsem. Pierwszy porucznik przygryzł wargi, wahał się przez chwilę, aż wreszcie niepewnym krokiem podszedł do kapitana.

— *Sir*... — zagadnął ostrożnie. — Bosman przyszedł do mnie i w imieniu załogi poprosił o wyłączenie z dzisiejszego strzelania armat na dziobie.

— Tak? Coś podobnego! — Jack zawołał oburzony. Już wcześniej zauważył skierowane w swoją stronę pełne wyrzutu spojrzenia marynarzy. — Może chcą też, żebym podwoił im od dzisiaj przydział grogu?

— Och, nie, sir — zgodnym chórem oświadczyli marynarze obsługujący najbliższe działo.

— Cicho tam! — krzyknął Simmons. — Nie, sir, chodzi im o to, że... Jakby to powiedzieć... Wszyscy wierzą, że strzelanie z dziobowych dział niepotrzebnie spowalnia bieg okrętu, a ponieważ mamy tak mało czasu...

— Rozumiem. No cóż, kto wie, czy nie ma w tym racji. Zapewne naukowcy mają w tej sprawie inne zdanie, lecz chyba nie wolno nam ryzykować. Będziemy tylko przetaczać działa na dziobie i pozorować pozostałe czynności.

Na twarzach obecnych na pokładzie ludzi pojawiły się pełne zadowolenia uśmiechy. Marynarze wytarli pot zalewający oczy — nawet w cieniu żagli trudno było wytrzymać upał — zacisnęli mocniej chustki na czołach, popluli w dłonie i ze zdwojoną energią zabrali się do przetaczania dział: najkrótszy odstęp pomiędzy kolejnymi salwami wyniósł dziś mniej niż dwie i pół minuty. Armaty odzywały się raz za razem, po ćwiczeniach w strzelaniu na rozkaz przyszła kolej również na prowadzenie niezależnego ognia. Wyraźnie wyczuwalne na okręcie napięcie, narastające powoli od momentu minięcia przylądka Finisterre, nagle dosięgło zenitu, gdy w pewnej chwili „Medusa" zasygnalizowała żagiel na horyzoncie, tuż za swym lewym trawersem.

— Wejdzie pan na maszt, panie Harvey — Jack polecił wysokiemu, szczupłemu i lekkiemu podchorążemu. — Proszę wziąć ze sobą najlepszą lunetę na okręcie, może pan Simmons zechce pożyczyć panu swój teleskop...

Chłopak sprawnie wspinał się na górę, z lunetą przewieszoną na pasku przez ramię. Po chwili był już na jabłku masztu — nawet nieszczęsna Kasandra nie poradziłaby sobie lepiej — i stamtąd składał pospieszny meldunek:

— Ahoj, na pokładzie... Sir... To „Amphion". Mają chyba prowizoryczną stengę fokmasztu.

Rzeczywiście, była to ta właśnie fregata —jeszcze przed zapadnięciem zmroku dołączyła do czekającego na nią zespołu, przynosząc z sobą również silną, świeżą bryzę. Od tej pory trzy jednostki płynęły razem i już następnego ranka znalazły się na wyznaczonym miejscu spotkania, trzydzieści mil na południowy wschód od przylądka Santa Maria, doskonale widocznego z masztów w jaskrawym świetle dnia.

Najstarszym stażem kapitanem był teraz Sutton, dowódca "Amphion" i pod jego rozkazami wszystkie trzy fregaty przez cały dzień pozostawały na wyznaczonej pozycji. Na ich masztach tłoczyli się obserwujący zachodni horyzont ludzie, lecz jak na razie nie dostrzeżono tam niczego oprócz olbrzymiej, sięgającej daleko aż do brzegów Ameryki połaci błękitnego morza. Gdzieś tam miały jednak znajdować się wyładowane złotem hiszpańskie jednostki. Wieczorem do brytyjskiego zespołu dołączyła ostatnia fregata, „Indefatigable" i czwartego października okręty eskadry uformowały szeroką linię, tak by mogły przeczesać jak najszerszą połać oceanu. Wciąż jednak pozostawały ze sobą w kontakcie i od tej chwili w absolutnej ciszy cierpliwie patrolowały ustalony akwen. W obawie przed zaalarmowaniem przeciwnika po opłynięciu przylądka St Vincent zaniechano codziennych ćwiczeń artyleryjskich. Na pokładzie „Lively" słychać było teraz jedynie dobiegające z forkasztelu odgłosy ostrzenia broni oraz stukanie młotków — pomocnicy artylerzysty czyścili z rdzy kolejne pociski.

Fregaty żeglowały cierpliwie, tam i z powrotem, co pół godziny zmieniając hals. Hasłem do zwrotu było za każdym razem pierwsze uderzenie okrętowego dzwonu. Na wszystkich masztach pełnili służbę obserwatorzy, wypatrujący sygnałów z pozostałych okrętów, uzbrojone w lunety oczy nieustannie przeszukiwały horyzont.

— Czy pamiętasz Ansona, Stephen? — Jack zapytał przyjaciela, gdy razem spacerowali po pokładzie. — Czy czytałeś może jego książkę?

— Tak. Ten człowiek zmarnował mnóstwo wspaniałych możliwości.

— Opłynął świat dookoła, wiele razy wyprowadził Hiszpanów z równowagi i zdobył galeon powracający z Manili. Czegóż więcej można chcieć?

— Odrobiny więcej uwagi wobec otaczającego świata. Opisów tak bezmyślnie przemierzanych mórz i lądów, które dane mu było widzieć. Oprócz paru ciekawych uwag o słoniach morskich, w całej jego książce nie ma właściwie żadnych interesujących naukowych obserwacji. Szkoda, że Anson nie zabrał ze sobą w rejs jakiegoś przyrodnika.

— Gdybyś to ty akurat z nimi popłynął, z pewnością stałbyś się ojcem chrzestnym przynajmniej tuzina nowych gatunków ptaków o dziwnie zakrzywionych dziobach. W takim jednak przypadku musiałbyś mieć teraz jakieś dziewięćdziesiąt sześć lat... Nie mam pojęcia, jak ci ludzie byli w stanie znieść trudy podobnej wyprawy. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło.

— Nie wiem, czy aż tak dobrze. Podczas podobnej podróży można było dokonać wielu odkryć; na przykład z zakresu botaniki lub geologii... Może pomuzykujemy sobie trochę po południu? Napisałem pewien utwór i bardzo chciałbym ci go zagrać. To lament nad Tir nan Og.

— Tir nan Og? Cóż to takiego?

— Jedyne przyzwoite miejsce w moim kraju. Niestety, przestało istnieć już dawno temu.

— Poczekajmy, aż zapadnie mrok, dobrze? Gdy się ściemni, możesz dowolnie dysponować moim czasem. Polamentujemy sobie wtedy do woli. Tak długo, jak tylko zechcesz...

Prawie nikt nie spał dobrze tej nocy. Piątego października większość marynarzy oraz oficerów wstała na długo przed świtem i już przed wschodem słońca zakończono uszczelnianie, szorowanie oraz mycie pokładów; dzięki temu załoga nie musiała wykonywać rano wszystkich tych czynności. Dzień wstawał powoli, spokojny północno-wschodni wiatr rozsnuł nad morzem długie pasmo dymu z kuchennego komina, a obserwator z fokmasztu, błogosławiony Michael Scanlon, zameldował donośnym, słyszalnym chyba nawet w Kadyksie głosem, że „Medusa", ostatni okręt w szyku, sygnalizuje wykrycie czterech dużych żagli zmierzających na północny zachód.

Niebo na wschodzie rozjaśniało się coraz bardziej, wiszące wysoko chmury lśniły podświetlone bijącym zza horyzontu złocistym blaskiem. Szare, fosforyzujące morze nagle zaczęło cieszyć oczy błękitem i na widnokręgu można było teraz bez trudu dostrzec cztery białe plamki, wyraźnie zmierzające w stronę Kadyksu.

— Czy to Hiszpanie? — zapytał zdyszany Stephen, po tym jak obaj z Jackiem wspięli się na marsa grotmasztu.

— Tak, na pewno — z przekonaniem odpowiedział Aubrey. — Zwróć uwagę na krótkie i przysadziste stengi ich masztów. Proszę, weź moją lunetę. Ahoj, na dole! Wszyscy na pokład, do zwrotu przez sztag!

W tej samej chwili na „Indefatigable" podniesiono sygnał wzywający wszystkie jednostki eskadry do zwrotu i rozpoczęcia pościgu. Stephen ruszył nieporadnie po wantach w dół, podtrzymywany przez Jacka, Bondena i jednego z pomocników bosmana. Biedny marynarz miał łzy w oczach, gdy przerażony doktor w pewnej chwili uczepił się kurczowo jego warkoczyka. Maturin przygotowywał teraz szybko w myślach wskazówki, jakich należało udzielić panu Osborne'owi, przebywającemu na fregacie „Indefatigable" — jej kapitan pełnił funkcję komodora eskadry. Wszystko wskazywało na to, że ewentualne pertraktacje będą wyjątkowo trudne. Hiszpańskie żaglowce sprawnie formowały zwartą grupę, a na ich masztach raz za razem pojawiały się flagowe sygnały. Serce Stephena łomotało jak oszalałe, gdy schodził pod pokład, do kapitańskiej kabiny.

Nie zdążył niestety usiąść do przygotowanego naprędce śniadania. Został pilnie wezwany na pokład „Indefatigable". Z kromką chleba w jednej ręce i kubkiem kawy w drugiej czekał na kwarterdeku, aż marynarze opuszczą łódź. Nieprzyjacielskie okręty były zaskakująco blisko. Płynęły w szyku bojowym, jeden za drugim i doktor mógł bez trudu policzyć ich szeroko otwarte furty działowe.

Prowadzące pościg brytyjskie fregaty nie tworzyły już wyciągniętego szeregu. Znajdująca się najdalej na południe oraz najbliżej Hiszpanów „Medusa" wykonała zwrot i żeglując ostro na wiatr, zmierzała w stronę ich pierwszego okrętu. O kilkaset jardów z tyłu płynęła „Indefatigable", kierująca się w stronę drugiej hiszpańskiej fregaty: jak się okazało, była to „Medea" z powiewającą na stermaszcie flagą admirała Bustamente'a. Nieco dalej znajdowała się angielska „Amphion", a za nią pędziła zamykająca szyk „Lively". Dowodzona przez Jacka fregata szybko doganiała pozostałe żaglowce, a gdy Stephen odpłynął na okręt komodora, na jej fokmaszcie postawiono bramsel. Natychmiast jeszcze bardziej przyspieszyła biegu, przeszła tuż za rufą „Amphion" i ruszyła w stronę ostatniej hiszpańskiej jednostki: „Gary".

„Indefatigable" zmieniła tymczasem nieco kurs i z pracującymi wstecz marslami czekała na łódź. Stephen został błyskawicznie wciągnięty na pokład i fregata znów szybko ruszyła naprzód. Komodor — ciemnowłosy, nerwowy człowiek o czerwonej twarzy, poprowadził szybko doktora pod pokład i podczas pospiesznie zaimprowizowanej narady wyraźnie nie zwracał uwagi na wyliczane kolejno argumenty, które mogłyby ewentualnie pomóc w negocjacjach, mających skłonić hiszpańskiego admirała do kapitulacji. Przez cały czas siedział jak na szpilkach, bębniąc niespokojnie palcami o blat stołu. Oddychał szybko, był wyraźnie rozzłoszczony i podenerwowany. Z kolei pan Osborne — wyjątkowo bystry i pojętny — kiwał tylko po każdym punkcie ze zrozumieniem głową. Nie odzywał się bez potrzeby i nawet na moment nie spuszczał wzroku z twarzy udzielającego mu ostatnich wskazówek Stephena.

— ...i wreszcie — doktor kończył swoje wywody — powinien pan za wszelką cenę skłonić go, by przybył tu na nasz okręt. Dzięki temu będziemy mogli łatwiej uzgodnić nasze stanowiska w ewentualnych spornych sprawach.

— Dalej panowie, szybciej, na górę! — zawołał komodor, biegnąc w stronę zejściówki. „Indefatigable" i „Medea" zbliżały się do siebie coraz bardziej. Były już w zasięgu armatniego strzału... W zasięgu strzału z muszkietu... Z pistoletu... Na masztach obu jednostek powiewały kolorowe bandery, widać było wyraźnie twarze ludzi stłoczonych na pokładach hiszpańskiego żaglowca.

— Ster prawo na burtę! — polecił komodor. Koło sterowe obróciło się kilka razy i potężna fregata posłusznie zmieniła kurs, zajmując pozycję w odległości zaledwie dwudziestu jardów od okrętu admirała Bustamente'a — na nawietrznej, dokładnie na prawym trawersie. Komodor podniósł do ust tubę głosową i skierował ją w stronę rufówki nieprzyjacielskiego flagowca. — Skrócić żagle! — zawołał. Hiszpańscy oficerowie zamienili szybko kilka słów, jeden z nich wzruszył ramionami. Zapadła absolutna cisza, słychać było tylko gwiżdżący w takielunku wiatr i plusk fal. — Skrócić żagle! —Tym razem polecenie zostało powtórzone znacznie głośniej. Hiszpanie nie reagowali. Nadal trzymali ten sam kurs, kierując się w stronę oddalonego o dwie godziny drogi Kadyksu. Dwie eskadry płynęły teraz równolegle, burta w burtę i tak blisko, że cień hiszpańskich masztów dotykał pokładów angielskich okrętów.

— Proszę posłać im kulę przed dziób — polecił komodor. Armatni pocisk uderzył w wodę dokładnie o jard przed stewą hiszpańskiej fregaty. Chmura drobniutkich kropelek poleciała w kierunku rufy i „Medea" ożyła nagle, tak jakby ów wystrzał zdjął z niej czarodziejskie zaklęcie. Na jej pokładach zapanowało poruszenie, ciszę przerwały wypowiadane szybko rozkazy i niemal w tej samej chwili marsie zostały wzięte na gejtawy.

— Niech pan da z siebie wszystko, panie Osborne — powiedział komodor. — Daję mu jednak tylko pięć minut na podjęcie ostatecznej decyzji...

— Proszę przywieźć admirała ze sobą, jeśli to tylko będzie możliwe — przypominał Stephen. — Niech pan też pamięta o tym, że Godoy zdradził królestwo i przeszedł na służbę Francuzów.

Łódź pomknęła szybko w stronę nieprzyjacielskiego okrętu. Osborne sprawnie wszedł na pokład i ukłonił się w stronę krucyfiksu. Kolejne ukłony przeznaczone były dla admirała i kapitana fregaty. Po chwili Bustamente zaprosił angielskiego parlamentariusza do swojej kabiny.

Od tego momentu czas zaczął dłużyć się niemiłosiernie. Stephen stał przy grotmaszcie z założonymi w tyle rękami: nienawidził pana Grahama, komodora eskadry. Nienawidził też tego, co nieuchronnie musiało nastąpić. Próbował wyobrazić sobie przebieg toczących się nieopodal rokowań i ze wszystkich sił starał się pomóc w nich swymi myślami. Jeśli Osborne zdoła jakoś zaprosić tutaj hiszpańskiego admirała, pojawić się mogą jeszcze całkiem spore szanse na osiągnięcie porozumienia.

Doktor spojrzał odruchowo na pozostałe okręty eskadry. Pierwszą pozycję w szyku, przed dziobem „Indefatigable", zajmowała „Medusa", kołysząca się tuż obok hiszpańskiej „Famy". Za rufą fregata „Amphion" przeszła teraz na zawietrzną „Mercedes", a „Lively" wciąż znajdowała się blisko na nawietrznej „Clary". Nawet ktoś tak nieobeznany z podobnymi sprawami jak Stephen mógł bez trudu zauważyć, że Hiszpanie znajdowali się w stanie najwyższej gotowości. Tym razem nie musieli wyrzucać do morza beczek, kojców i klatek z kurami, nie porządkowali nerwowo pokładów, jak to wielokrotnie widywał na Morzu Śródziemnym. Przy każdym dziale stali przygotowani, skupieni ludzie, wzdłuż całej linii armat w specjalnych pojemnikach paliły się lonty.

Komodor Graham chodził szybko tam i z powrotem po pokładzie. Stawiał nerwowe, nierówne kroki.

— Czy to potrwa teraz całą noc? — zapytał głośno, spoglądając na trzymany w dłoni zegarek. — Ile jeszcze mam czekać?

Minął ciągnący się w nieskończoność kwadrans, na pokładzie wciąż czuć było zapach spalających się powoli lontów. Komodor przemierzył pokład jeszcze kilka razy i wreszcie nie wytrzymał:

— Proszę wystrzelić z działa i wezwać łódź — polecił gniewnie.

Kolejna armatnia kula uderzyła w wodę tuż przed dziobem hiszpańskiej fregaty. Angielski parlamentariusz pojawił się na pokładzie, szybko zszedł do łodzi i po chwili stanął przed komodorem. Miał bladą, zmartwioną twarz. Nim zaczął mówić, przecząco pokręcił głową. — Admirał Bustamente przekazuje panu pozdrowienia, sir, i prosi, bym przekazał, że nie jest

zainteresowany naszymi propozycjami. Nie zamierza dobrowolnie się poddać. Był jednak prawie gotów skapitulować, gdy podczas naszej rozmowy zgodnie z pańską wskazówką wspomniałem o Godoyu — dodał cicho Osborne, zwracając się do Stephena. — Z całego serca nienawidzi tego człowieka.

— Muszę więc sam tam popłynąć — zawołał doktor. — Wciąż jest jeszcze nadzieja.

— Nic z tego! — Graham krzyknął rozwścieczony. — Mieliście panowie dość czasu. Panie Carrol, przejdziemy przed dziobem Hiszpana!

— Do brasów! — Komenda została zagłuszona przez salwę burtową „Mercedes". Nieprzyjacielska fregata zaatakowała „Amphion".

— Proszę dać sygnał do walki z bliska — polecił komodor i w rozległej zatoce zagrzmiało nagle sto dział. Nad wodą zawisła olbrzymia chmura gryzącego w oczy prochowego dymu, dryfująca powoli z wiatrem na południowy zachód. Raz za razem podświetlały ją pomarańczowe języki ognia i rozbłyski kolejnych wystrzałów. Przeraźliwy huk trudny był do opisania. Stephen stał nadal przy grotmaszcie z założonymi na plecach rękami. Czuł, że serce mu drży, a po plecach płyną strumyki zimnego potu. W ustach czuł nieprzyjemny, cierpki smak prochu. Ze zdumieniem stwierdził, że doznaje szczególnych, narastających stopniowo emocji, tak bardzo podobnych do doznań i przeżyć zdarzających się czasem podczas korridy. Wręcz w uniesienie wprawiały go teraz wiwaty obsługujących działa ludzi. W pewnej jednak chwili te wszystkie odgłosy nagle znikły, wymazane ogłuszającym grzmotem, tak potężnym, że doktor prawie stracił świadomość i zdolność rozumowania. Z miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się hiszpańska fregata „Mercedes", wystrzeliła wysoko w niebo fontanna jaskrawych płomieni.

Z ogromnego słupa dymu posypały się teraz w dół reje, kawałki lin i pogruchotane fragmenty kadłuba, o pokład „Indefatigable" uderzyła też czyjaś oderwana głowa. Znów słychać było działa: „Amphion" zajęła pozycję na zawietrznej hiszpańskiego flagowca i „Medea" została wzięta w dwa ognie. Dookoła raz za razem odzywały się wiwaty, chłopcy przynoszący ładunki oraz kule nie kończącym się strumieniem zbiegali pod pokład i wracali na górę. Załogi dział wiwatowały niestrudzenie, aż wreszcie rozległ się głośniejszy, inny niż wszystkie, okrzyk:

— Poddali się! Okręt admirała zrzucił banderę!

Na wszystkich żaglowcach brytyjskiej eskadry kolejno milkły armaty. Tylko działa „Lively" wciąż jeszcze posyłały salwę za salwą w stronę „Clary", a „Medusa" wystrzeliła kilka razy za oddalającą się coraz bardziej „Famą", która co prawda wcześniej skapitulowała, opuszczając banderę, lecz teraz rozwinęła wszystkie żagle i prawie nie uszkodzona szybko uciekała z wiatrem.

„Clara" poddała się kilka minut później. ,.Lively" dziarsko ruszyła do przodu i już po chwili znalazła się tuż obok okrętu komodora Grahama.

— Gratuluję panu zwycięstwa, sir! — zawołał Jack. — Czy mogę ruszyć w pościg?

— Dziękuję, kapitanie Aubrey — odpowiedział dowódca eskadry. — Niech pan jak najszybciej

dogoni tych łajdaków. Mają przecież ładownie pełne skarbów! Niestety nie możemy panu pomóc, za bardzo nam się oberwało...

— Czy mógłby pan przysłać do mnie na okręt doktora Maturina, sir? Mój lekarz został na pokładzie pryzu.

— Oczywiście. Szybko, opuścić łódź... Dajcie teraz z siebie wszystko i nie pozwólcie im się wymknąć, Aubrey. Słyszy pan?

— Tak jest, sir!

„Lively" zostawiła z tyłu „Indefatigable" i minęła okaleczoną „Amphion", prawie zahaczając o jej bukszpryt. Z postawionymi bramslami ruszyła na południowy wschód, śladem uciekającej „Famy". Hiszpańska fregata znajdowała się już w odległości ponad trzech mil i zmierzała wyraźnie w stronę pasma nieco ciemniejszej wody — w kierunku silniejszego wiatru. Na jego skrzydłach bez trudu udałoby jej się dotrzeć na Wyspy Kanaryjskie lub wrócić pod osłoną nocy do Algeciras.

— Witaj z powrotem, mój drogi — zawołał Jack, wciągając brutalnie Stephena na pokład. — Było gorąco, co? Kości całe? Nic ci się nie stało? Wszystko w porządku? Twarz masz czarną od dymu. Zejdź na dół, w mesie oficerskiej pożyczą ci miednicę; w mojej kabinie trzeba najpierw zrobić porządek. Umyj się i poczekaj chwilę. Śniadanie dokończymy, gdy uda się rozpalić ogień w kuchni. Zaraz do ciebie przyjdę, musimy tylko najpierw powiązać zerwane liny i usunąć najpoważniejsze uszkodzenia.

Doktor spojrzał na swego przyjaciela zdumiony. Jack stał wyprostowany, potężny i ogromny.

— Nie mieliśmy innego wyjścia, musieliśmy w końcu użyć siły... — Stephen powiedział ostrożnie.

— Rzeczywiście — zgodził się Jack. — Nie znam się na polityce, uważam jednak, że to było po prostu konieczne. Zwłaszcza w moim przypadku... Źle mnie zrozumiałeś... — zawołał szybko, widząc, że doktor z oburzeniem wydął wargi i odwrócił w bok głowę. — Oni pierwsi otworzyli do nas ogień i gdybyśmy im natychmiast nie odpowiedzieli, byłoby z nami krucho. Ich pierwsza salwa przewróciła dwa nasze działa. Z drugiej jednak strony... — Aubrey zachichotał cicho —...właśnie o takiej okazji marzyłem. Zejdź na dół, a ja przyjdę do ciebie za chwilę. Na pewno nie dogonimy ich — wskazał brodą uciekającą „Famę" — wcześniej niż w południe, o ile oczywiście w ogóle nam się to uda.

Stephen zszedł do kokpitu. Brał dotąd udział w kilku bitwach morskich, nigdy jednak wcześniej nie słyszał w tym miejscu śmiechu. To przecież właśnie tutaj ludzie płacili swą krwią za to, co działo się na pokładzie. Na skrzynkach ustawionych dookoła stołu siedzieli dwaj pomocnicy doktora Florisa i trzej pacjenci. Na stole leżał czwarty ranny, Z nieskomplikowanym i opatrzonym już złamaniem kości udowej. Opowiadał teraz wszystkim o tym, jak w pośpiechu zostawił swój wycior w lufie działa. Armata wypaliła w stronę burty „Clary" i ów wycior utkwił tam między pogruchotanymi belkami. Pan Dashwood zauważył, co się stało i powiedział: „Potrącimy ci za to z żołdu, Bolt, ty wstrętny draniu".

— Dzień dobry panom. — Stephen ukłonił się, wchodząc. — Ponieważ nie ma pana Florisa, przyszedłem zobaczyć, czy mógłbym w czymś pomóc...

Pomocnicy okrętowego lekarza skoczyli na równe nogi, spoważnieli natychmiast i sprawnie schowali butelkę. Zapewnili doktora gorliwie, że są mu bardzo wdzięczni za jego dobre chęci, lecz obecni tutaj ludzie byli jedynymi ofiarami dzisiejszego starcia: dwie powierzchowne rany od odłamków, jeden postrzał (muszkietowa kula, nic groźnego) i ta właśnie złamana noga.

— Oczywiście, jeśli nie liczyć Johna Andrewsa i Billa Owena. Zmiażdżyła ich spadająca figura dziobowa „.Mercedes" — zauważył człowiek ze złamaną nogą.

— Hiszpanie nie strzelali dzisiaj najlepiej, choć wyraźnie bardzo się starali — dodał inny marynarz. — I tak przeważnie trafiali w takielunek. Czy pan wie, sir, że udało nam się oddać siedemnaście salw burtowych w ciągu dwudziestu ośmiu minut? Pan Dashwood sprawdził to na swoim zegarku. Siedemnaście salw, w tak krótkim czasie!

Załoga „Lively" wciąż zajęta była splataniem i wiązaniem lin — fregata znalazła się wreszcie dokładnie za rufą „Famy" i dopiero teraz na dobre ruszyła w pogoń za uciekającym okrętem. Na pokładzie brakowało ludzi do pracy, gdyż część marynarzy została na zdobytym pryzie, pod dowództwem Simmonsa, i gdy Stephen wszedł do kapitańskiej kabiny, wszystko wyglądało tam dokładnie tak, jak podczas bitwy. Działa nie zdążyły jeszcze ostygnąć, w powietrzu unosił się zapach prochu, obok wybitego w burcie otworu, wśród pogruchotanych kawałków drewna, turlała się tu i tam hiszpańska kula. Całe pomieszczenie wydawało się dziwnie puste i zapomniane. Było tu teraz mnóstwo wolnej przestrzeni — z dawnego rozkładu wnętrza pozostało tylko pół dziobowej grodzi i jedno krzesło, na którym siedział hiszpański kapitan, wpatrzony w rękojeść swej szpady.

Na widok wchodzącego Stephena Hiszpan wstał i ukłonił się z daleka. Doktor podszedł bliżej i przedstawił się, mówiąc po francusku. Powiedział, że kapitan Aubrey z pewnością chciałby czymś poczęstować swego gościa. Na co don Ignacio ma chęć? Czekolada? Kawa? Wino?

— Do licha, zupełnie o nim zapomniałem — powiedział Jack, schodząc na dół. — Stephen, to kapitan „Clary". *Monsieur, j'ai Vhon-neitr de introduire une omie, le Dr Maturin, Dr Maturin, 1'espagnol capitaine, don Gardo...* Jeśli możesz, zaproponuj mu coś do picia: v*ino, chocolato, aguardiente?*

Hiszpan ukłonił się kilka razy, ze śmiertelną powagą; był bardzo wdzięczny, lecz na razie nie miał na nic ochoty. Przez chwilę trwała jałowa rozmowa — Aubrey przerwał ją szybko, proponując by don Ignacio skorzystał z kabiny nieobecnego pierwszego porucznika i odpoczął tam trochę przed obiadem.

— Zupełnie zapomniałem o swoim jeńcu — oświadczył Jack, wracając. — Współczuję temu biedakowi. Dobrze wiem, co to za uczucie, przez jakiś czas nie chce się żyć... Pozwoliłem, by zatrzymał szpadę: to nieco łagodzi gorycz porażki. Walczył przecież tak dobrze, jak potrafił. Nie zazdroszczę mu jednak tego, co teraz czuje... Killick, ile nam zostało baraniny?

— Dwa udźce, sir, i najlepsza część przodu. Jest też jedno całe jagnię... Wystarczy dla trzech osób.

— Wobec tego, niech będzie baranina. Przygotuj cztery nakrycia. Pamiętaj o srebrnych talerzach.

— Cztery? Tak jest, sir. Cztery.

— Chodźmy z tą kawą na pokład. Tu w kabinie ciągle przypomina mi się biedny don Garcio. Tak przy okazji, Stephen, nie pogratulowałeś mi. Wiesz przecież, że to my pokonaliśmy „Clarę".

— Gratuluję ci z całego serca, mój drogi. Naprawdę. Dobrze też, że to zwycięstwo nie kosztowało zbyt wiele. Dalej, daj mi tę tacę.

Brytyjska eskadra została z tyłu, zajęta zdobytymi pryzami. W pogoń za uciekającym okrętem ruszyła co prawda również „Medusa", lecz była ona wciąż bardzo daleko i nad horyzontem widniały tylko jej maszty, bez kadłuba. Odległość dzieląca „Lively" od „Famy" wydawała się wciąż taka sama, jak na początku pogoni — może nawet wzrosła odrobinę, lecz pracujący przy takielunku marynarze najwyraźniej nie przejmowali się tym zbytnio. Nadal biegali z miejsca na miejsce, objuczeni nowymi linami, blokami i belami żaglowego płótna, co jakiś czas spoglądając spokojnie w stronę ściganej jednostki. Po bitwie na pokładach panowała wciąż większa niż zwykle swoboda: zwłaszcza wysoko na rejach słychać było prowadzone głośno rozmowy i beztroski śmiech. Jeden z pomocników cieśli, idący gdzieś z kawałkiem surowego drewna na ramieniu, powiedział do kapitana:

— Już niedługo, sir. Jeszcze trochę.

— Straciliśmy większość bomów, na których stawia się boczne żagle — wyjaśnił doktorowi Jack. — Hiszpanie dawno już rozwinęli wszystko, co posiadają. Zobaczysz, co będzie, gdy i my postawimy trochę więcej płócien.

— Ta uciekająca fregata płynie wyjątkowo szybko — zauważył doktor.

— Tak, jest z tego znana w ich flocie. Ma piękny, smukły kadłub i podobno na Wyspach Kanaryjskich wyczyszczono jej dno. Popatrz, Stephen! Wyrzucają działa za burtę. Widziałeś chlupnięcie? Teraz następne. Zaraz zaczną wylewać do morza wodę. Pamiętasz, jak pompowaliśmy na „Sophie". Cha, cha... Wiosłowałeś wtedy jak prawdziwy bohater. Na szczęście oni nie mogą pomagać sobie wiosłami. Utopili właśnie ostatnie działo z prawej burty... Wyraźnie teraz przyspieszyli. To rzeczywiście bardzo szybki żaglowiec.

— Pomimo tego będziesz próbował go dogonić? „Medusa" została daleko z tyłu.

— Nie lubię się popisywać, Stephcn, lecz założę się z tobą o tuzin butelek dowolnego czerwonego wina... wybierzesz, jakie tylko zechcesz. .. że jeszcze przed obiadem dogonimy tę hiszpańską fregatę. Jeśli tak będzie, postawisz mi kufel piwa, jeśli nie, wygrałeś wino. Możesz mi wierzyć, że jedyną szansą ratunku jest dla nich teraz niespodziewane pojawienie się okrętu liniowego. Wolno im też oczywiście wciąż liczyć na to. że stracimy któryś z masztów... Zwłaszcza jeśli zostawią sobie działa na rufie; na pewno spróbują nam przyłożyć.

— Nie odpukasz w nie malowane drewno? Przyjmuję ten zakład. Wiesz, że lubię dobre wino.

Aubrey przyjrzał się swemu przyjacielowi uważnie. Doktor wyglądał teraz trochę lepiej niż

przedtem. Musiał bardzo przeżyć poranną eksplozję...

— Nie odpukam—Jack odpowiedział z przekonaniem. —Tym razem nie boję się prowokować losu. Już to zrobiłem, kazałem przecież Killickowi przygotować cztery nakrycia. Jedno z nich jest przeznaczone dla kapitana „Famy". Zaproszę jej dowódcę, by jadł z nami, lecz nie oddam mu szpady. Zachował się przecież niehonorowo: skapitulował, a potem uciekł.

— Wszystko gotowe, sir — zameldował pan Dashwood.

— Świetnie, świetnie. Szybko wam to poszło, dziękuję. Proszę postawić boczne żagle.

Przy bocznych likach bramsli, marsli i głównych żagli „Lively" natychmiast pojawiły się dodatkowe płótna, rozpięte na specjalnych, umocowanych do rej bomach. Szybkość, z jaką wykonano tę operację, sprawiła, że serca ludzi z załogi „Famy" zamarły z przerażenia.

— Wylewają wodę — oświadczył pierwszy nawigator, obserwujący przez lunetę szpigaty ściganej jednostki.

— Myślę, że możemy postawić jeszcze żagle na bukszprycie i wziąć na gejtawy stermarsel.

Okręt pochylił się teraz do przodu, spod dziobu uciekały w stronę rufy i kilwateru białe strugi spienionej wody. Dowodzona przez Jacka jednostka nareszcie pokazała, na co ją stać — „Fama" wyraźnie zaczęła się przybliżać. Na masztach nie było teraz ani jednego żagla, który nie byłby do końca wypełniony wiatrem. Cisi i skupieni marynarze pilnowali, by wszystkie płótna pracowały w optymalny sposób. Okręt nie tyle płynął teraz, co niewiarygodnie lekko biegł po falach.

Na ściganej fregacie postawiono już wcześniej wszystkie możliwe płótna. Teraz jednak jej załoga spróbowała rozwinąć jeszcze bezan na wypchniętym daleko bomie. Widząc to, Aubrey przecząco pokręcił głową. Wiedział, że nic z tego nie wyjdzie. Podobnego zdania byli również pozostali obecni na pokładzie oficerowie. Nie mylili się. Wiatr wiał przecież idealnie z tyłu i „Fama" miała teraz kłopoty z utrzymaniem się na kursie. Kosztowało ją to prawie dwieście jardów; jej kilwater nie był już tak idealnie prosty jak przedtem.

— Panie Dashwood, artylerzysta może wypróbować armatę na dziobie — polecił Jack. —Muszę przecież wygrać zakład — dodał i spojrzał na zegarek. — Jest za kwadrans pierwsza.

Odezwało się prawoburtowe dziobowe działo pościgowe; pojedynczy wystrzał zabrzmiał dziwnie cicho po porannym bitewnym zgiełku i daleko za rufą „Famy" podniosła się w górę biała fontanna wody. Drugi strzał był znacznie lepiej wymierzony — kula upadła jakieś trzydzieści jardów obok celu — a następny pocisk musiał przelecieć nisko nad pokładami, gdyż hiszpańska fregata po raz kolejny nagle zmieniła kurs. Odległość dzieląca obie jednostki malała teraz gwałtownie.

Nastąpiła chwila ciszy, na rufie wszyscy czekali na kolejny armatni wystrzał na dziobie, przygotowani na huk. Działo nie odezwało się jednak. Zamiast tego rozległy się gromkie, spontaniczne wiwaty, które już po chwili dotarły do rufy. Porucznik przebiegł szybko przez tłum wrzeszczących i poklepujących się po plecach marynarzy. Zdjął z głowy kapelusz i zameldował:

— Hiszpanie się poddali, sir. Opuścili banderę.

— Bardzo dobrze, panie Dashwood. Proszę przejąć ten okręt i przysłać tutaj ich kapitana. Czekam z obiadem.

„Lively" wyprzedziła swą zdobycz i miękko zwolniła biegu. Z gracją odwróciła się na wiatr, zwinęła skrzydła jak ptak i dryfowała teraz tuż przed dziobem „Famy". Łódź uderzyła o wodę i już po kilku minutach wróciła, przywożąc dowódcę nieprzyjacielskiego okrętu. Hiszpański kapitan wszedł na pokład, zasalutował, potem z ukłonem oddał swą szpadę. Jack przekazał ją stojącemu blisko z tyłu Bondenowi i zapytał:

— Czy mówi pan po angielsku, sir?

— Odrobinę, sir — odpowiedział Hiszpan.

— Wobec tego będzie mi bardzo przyjemnie, jeśli zechce pan zjeść obiad w moim towarzystwie. Proszę do mojej kabiny. Wszystko jest już przygotowane.

Usiedli do pięknie nakrytego stołu, w wysprzątanym i podzielonym znów grodziami pomieszczeniu. Do zachowania obu jeńców od pierwszych chwil nie można było mieć najmniejszych zastrzeżeń. Obaj nieźle sobie podjedli: przez ostatnie dziesięć dni żywili się przecież wyłącznie sucharami i fasolą. W miarę jak na stole zmieniały się dania, powoli zapominali o swej urażonej dumie i stopniowo stawali się zwykłymi, serdecznymi ludźmi. Resztki wzajemnych uprzedzeń znikły wreszcie zupełnie, gdyż na stole jedna za drugą pojawiały się kolejne butelki. Rozmowa płynęła swobodnie w trzech językach: po angielsku, hiszpańsku i prawie po francusku. W pewnej chwili odezwały się nawet śmiechy i biesiadnicy zaczęli przekrzykiwać się nawzajem. Gdy w końcu pudding ustąpił miejsca na stole kruchym ciasteczkom oraz orzechom, Jack posłał dookoła stołu karafkę z porto. Poprosił przy tym, by wszyscy napełnili swe kieliszki po brzegi i powiedział:

— Panowie, chciałbym zaproponować toast. Wypijmy za Sophie.

— Sophie! — zgodnym chórem zawołali hiszpańscy kapitanowie.

— Sophie... — westchnął Stephen. — Niech Bóg jej błogosławi.